



AP
10

MIROSLAV ZAMBOCH

CZAS ŻYĆ. CZAS ZABIJAĆ



MIROSLAV ZAMBOCH

CZAS ŻYĆ. CZAS ZABIJAĆ



TLUMACZYŁ
KONRAD BAŃKOWSKI

ILUSTRACJE
DOMINIK BRONIEK

fabryka słów

Lublin 2012

COPYRIGHT © BY Miroslav Žamboch
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2012
COPYRIGHT © FOR TRANSLATION BY Konrad Bańkowski, 2012

WYDANIE I

opracowanie wersji elektronicznej
lesiojot

ISBN 978-83-7574-801-7

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA
Eryk Górski, Robert Łakuta

PROJEKT OKŁADKI
Paweł Zaręba
ILUSTRACJA NA OKŁADCE
Jan Doležálek

ILUSTRACJE
Dominik Broniek

REDAKCJA
Karolina Kacprzak

KOREKTA
Magdalena Grela-Tokarczyk, Agnieszka Pawlikowska

SKŁAD ORAZ OPRACOWANIE OKŁADKI
Dariusz Haponiuk



WYDAWNICTWO
Fabryka Słów sp. z o.o.
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91
691962519

ALFONS



Dom był całkiem ładny i znajdował się w świetnej dzielnicy. Aż mnie zaskoczyło, jak ładny i w jak świetnej dzielnicy. Nie dla takich ludzi zazwyczaj pracuję. Wspaniała fasada zdobiona reliefami, do tego park oddzielony od ulicy nie tyle płotem, co małym, dekoracyjnym murkiem. Właściciel musiał mieć wystarczająco kasy, żeby dniem i nocą opłacać ochronę przed złodziejami, bandytami i zabójcami, czyli dokładnie takimi typkami jak ja.

Zatrzymano mnie dopiero, kiedy wkroczyłem z ulicy na utwardzoną alejkę obsadzoną przystrzyżonymi cyprysami. Co ciekawe, wystarczyło podać imię. Główne wejście było mniejszą wersją bramy głównej, tyle tylko, że wykonano je z inkrustowanego drewna ze srebrnymi zdobieniami. No, a czemu nie? Kiedy wchodziłem po stopniach, dwóch wypindrzonych, śliczniutkich jak poranek mundurowych z halabardami zastąpiło mi drogę. Czekałem w milczeniu.

- Czego tu chcesz? - spytał ten po lewej, kiedy już miał dość niezręcznej ciszy. Mówił obojętnie, jakby to tak naprawdę wcale go nie obchodziło. Po całym dniu sterczenia w słońcu jego ciemnoniebieski mundur znaczyły plamy potu. Oprócz tej śmiesznej, ozdobnej halabardy u boku zwiisał mu jeszcze miecz. Przyglądał mi się z ostrożną uwagą. Nie był to znowu aż taki fircyk, jak się zdawało na pierwszy rzut oka.

- Przynoszę coś Grumukowi - odpowiedziałem.

- Panu Grumukowi - poprawił mnie odruchowo.

- Panu Grumukowi. - Kiwnąłem głową.

Jeśli o mnie chodzi, mógłbym Grumuka tytułować Jego Ekszelencją.

- Jak mi wypłacicie do ręki moje umówione cztery setki, mogę to oddać nawet i wam - powiedziałem głośno.

Spojrzeli po sobie zaskoczeni. Ten z lewej bez słowa wszedł do środka. Jego kumpel, który został ze mną, wyglądał już jakby mniej nonszalancko. Z uwagą mi się przypatrywał, jego wzrok wędrował od miecza na pasie przez ramię do jelca katzbalgera na moim lewym boku, tuż pod ręką. Od przybycia do Aganodu nie miałem czasu się gdzieś zatrzymać i odłożyć żelastwo. Stałem bez ruchu, pozwalając, aby ciepłe promienie słońca grzały mnie w plecy. Lubię ciepłko. Strażnik swoją inspekcję zakończył na moich bicepsach. Te zazwyczaj wystarczają, żeby tacy jak on zaczęli się bać. Sto dwadzieścia pięć kilogramów mięśni, kości i ścięgien. Każdy, nawet najdrobniejszy fragment ciała nawykły do tego, by tłuc, bić, siekać, kopać, łamać i rozrywać. Tych, którzy się mnie nie boją, boję się z kolei ja. Z tym że oni o tym nie wiedzą, tej przyjemności im nie dam.

Pierwszy strażnik wrócił z jakimś niewyględnie ubranym facetem. Był o głowę wyższy ode mnie, chudy, a po kolorze skóry dało się wywnioskować, że na słoneczku za często się nie wygrzewał.

- Proszę do środka, pan Grumuk oczekuje - zaprosił mnie.

Kiedy się okazało, że jestem w porządku, tym dwóm przy wejściu natychmiast wyraźnie ulżyło. Za to ja się cały spałem. Bo niby czemu miałby się mną zajmować aż sam Grumuk? Wnioskując po domu, musiał być bardzo bogatym kupcem, na tyle bogatym, że pewnie zasiada w radzie miejskiej i diabli wiedzą czym jeszcze. Czyżby oczekiwał tego, co mu niosłem, z aż taką niecierpliwością?



Grumuk czekał już na mnie w swoim gabinecie. Przeciętny gość, z wypieczczonym wąsikiem i palcami pełnymi pierścieni.

Przed sekretarzykiem wypełnionym karafkami i butelkami w malowniczych kształtach stał smukły gość o czarnych włosach ściągniętych srebrną obręczą. Dłonie miał drobne, ruchy pewne i precyzyjne i wydawało się, jakby się z tymi szklaneczkami i likierami wręcz pieścił, jakby mu to zajęcie sprawiało prawdziwą przyjemność.

- Masz to? - Grumuk warknął niecierpliwie, kiedy tylko pojawiłem się w drzwiach.

Facet z opaską postawił na stole przed Grumukiem szklanekę, potem przejechał po mnie przelotnym spojrzeniem. Skrzywił usta w drobnym uśmiechu, po czym wrócił na swoje miejsce. I bez oficjalnej prezentacji pokapowałem, za co tak naprawdę miał płacone. Wystarczyło zobaczyć, jak się porusza.

- O ile o to chodziło. - Wzruszyłem ramionami i sięgnąłem do plecaka. Namacałem drewnianą szkatułkę, wyciągnąłem ją przed siebie.

Ręka Grumuka wystrzeliła do przodu jak atakująca żmija. Pierwotnie kasetka była sama w sobie małym rzeźbiarskim cudem, jednak po trzech miesiącach tłuczenia się w podróży trochę się tu i ówdzie porysowała. Uroczyście postawił szkatułkę na stole, otworzył i w nabożnym uniesieniu wyjął z niej naszyjnik. Oprawione w złoto, głęboko zielone szmaragdy rzucały w zachodzącym słońcu ponętne odbłyски.

- To ten! - Wypuścił z ulgą powietrze.

- No, a te cztery setki złotych... - przypomniałem się spokojnie.

W moich słowach nie kryłem żadnej groźby, jednak przystojniak w opasce jakiejś się musiał chyba doszukać, bo wbił we mnie ciężkie spojrzenie.

- Oczywiście, oczywiście! - Grumuk pokiwał głową ze zrozumieniem. - Dostaniesz.

Nawet go trochę rozumiałem. Błyskotka naprawdę zapierała dech w piersiach, a do tego Grumuk miał duszę kolekcjonera. Myślę, że z naszyjnikiem znali się dość dobrze, ale w jakichś niewyjaśnionych okolicznościach przyszło im się rozstać. Aż tak bardzo mnie to nie interesowało, ważniejsze było, jak bardzo

chciał go odzyskać i ile za to był skłonny zapłacić.

- Wiesz, ile jest wart? - Spojrzał na mnie. Oczy wciąż jaśniały mu zielonym blaskiem szmaragdów.

- Owszem. - Kiwnąłem głową. - Same kamienie koło tysiąca ośmiuset, ale ze względu na kunszt oprawy, kiedy po raz ostatni trafił na rynek, poszedł za ponad dwa i pół.

- Zdajesz sobie z tego wszystkiego sprawę, a jednak przyniosłeś naszyjnik mnie? Za cztery setki? - spytał z niedowierzaniem.

- Na tyle się umówiliśmy, w dodatku dostałem zaliczkę. - Wzruszyłem ramionami.

Pan popychadło, który mnie wprowadził, patrzył na mnie jak na wariata, ochroniarz spoglądał z zaciekawieniem, za to Grumuk zbaraniał. Pewnie nawet nie wierzył, że ten naszyjnik zdobędę, ale zaliczka warta była zachodu.

To, że tych kamyków i tak bym nigdzie nie zdołał opchnąć, zatrzymałem już dla siebie. Każdy jubiler znał je doskonale i nikt nie zaryzykowałby kupna tak gorącego towaru. No, chyba że cena okazałaby się haniebnie niska...

- A gdyby tak jeszcze udało się odkupić od młodszego Geviga Zaranną Koronę, miałbym wszystkie klejnoty, w których miała ponoć brać ślub pierwsza cesarzowa imperium! - Grumuk mamrotał do siebie. - Cudowne kamienie, cudowne wykonanie - rozpływał się.

No cóż, bogaci ludzie mają zamiłowania odpowiadające ich pozycji. Co akurat nie miało żadnego wpływu na to, iż z panem Gevigiem Młodszym już raczej żadnych interesów robić nie będzie. Ale to już zupełnie inna historia.



Dostałem moje cztery setki oraz dziesięć procent premii i wyszedłem na ulicę. Cztery stowy to wcale niemało pieniędzy, a ja akurat potrzebuję dużo złota. Na spłatę starych długów. Komu i za co jestem dłużny, to już moja sprawa. Sam bym o tym najchętniej zapomniał, ale niestety, to wcale nie takie proste.

Nabrałem ochoty na odrobinę odpoczynku. Ot, zabawić się,

opróżnić parę butelek gorzałki, spędzić miło czas w burdelu. A jak mi te cztery dychy, które dostałem ekstra, zaczną porządnie chudnąć, rozejrzeć się spokojnie za kolejną robotą. Miałem nadzieję, że może Grumuk szepnie o mnie słowo tu i ówdzie. Bywało, że za porządnym zleceniem musiałem się nachodzić nawet i parę miesięcy. Robiłem się wtedy dość nerwowy.

Znalazłem sobie wcale porządny zajazd, zaniósłem swoje rzeczy do pokoju i zszedłem od razu z powrotem do wyszynku. Na kolację zamówiłem butelkę żytniówki, trochę mięsa i zacząłem spokojnie jeść i popijać. Ruch był spory, jednak właścicielowi udawało się utrzymać porządek. W jednej części zatrzymywali się goście lepsi - kupcy i rzemieślnicy, w drugiej cisnęli się przekupnie i chłopcy, którzy nie mieli co do gęby włożyć, ale i tak niekiedy przychodzili się oderwać od codziennej nędzy i przepić to, czego im później będzie tak bardzo brakować. Dziwki krążyły pomiędzy obiema salami w zależności od tego, gdzie akurat węszyły większą szansę na klienta. Dopilem butelkę i zamówiłem drugą. Wychylając kolejną szklaneczkę, napotkałem spojrzenie jednej z dziewczyn. Jej długie włosy miały barwę dojrzałych kasztanów. Z twarzy nie była ładniejsza od koleżanek, piersi miała mniejsze, ale zaciekało mnie, jak się poruszała. Jak chodziła. A ponieważ wabiła nienachalnie, nawet mi się to spodobało. Już nie pamiętam, kiedy ostatni raz byłem w burdelu. Skinąłem na dziewczynę, podeszła i usiadła przy moim stole. Nalałem jej szklaneczkę. Napiała się, ale nie wychyliła całej.

- A ty co za jeden? - zapytała.

Nie odpowiedziałem, tylko przyglądałem się, jak sący żytniówkę.

- Mogłabym dostać wina?

Kiwnąłem głową. Zamówiłem.

- Tchnie od ciebie strachem - rzuciła. Kiedy tylko karczmarz postawił przed nią dzban czerwonego wina, podsunęła mi swoją niedopitą wódkę.

- I co, boisz się mnie?

- Ja nie, ale te wszystkie chłopcy owszem. Ja takie rzeczy

potrafię wyczuć. No więc, coś ty za jeden?

- Gość, klient. Nic więcej - odpowiedziałem. - Na górze mam pokój. A tę butelkę spokojnie możesz ze sobą zabrać.

Sam się zaopatrzyłem w jeszcze jedną flaszkę gorzały. Raz, że nie była taka zła, a dwa, że nie miałem okazji porządnie się napić już od ładnych paru tygodni.

W pokoju zgarnąłem wszystkie klamoty z łóżka i po prostu zrzuciłem je na ziemię. Oprócz stołu był to jedyny mebel. Łóżko skrzypiało ze starości i się rozjeżdżało, ale z drugiej strony siennik okazał się świeżo nabity, koce całkiem czyste, a i pluskiew ani żadnego innego robactwa nie dawało się nigdzie dostrzec. Przez dziury w podłodze wdzierały się gwar i wyziewy z wyszynku poniżej. A mimo to było to jedno z lepszych miejsc, w jakich przyszło mi kiedykolwiek nocować.

Położyłem się na łóżku, dziewczyna przysiadła obok. Obserwowałem jej twarz, jak gęstniejący mrok powoli ściera z niej szczegóły, pozostawiając jedynie zarys. Powoli popijałem wódkę, ona sączyła wino.

- Sporo cię to wyniesie, siedzę tu już dość długo - odezwała się wreszcie.

- Jeden złoty? - zaproponowałem cenę.

Widziałem, że aż się zachwiała. To była stawka za rzeczy, o które normalni faceci zazwyczaj nie proszą. Jakby ktokolwiek potrafił opisać normalnego faceta.

- Dobrze - zgodziła się mimo wszystko.

Chwilę później mrok zwyciężył nad światłem i nie mogłem już dostrzec jej wyrazu twarzy. Usiadłem i zacząłem ją rozbierać.



Było przyjemnie, jak zawsze. Może nawet nieco lepiej niż ostatnim razem, ale bez rewelacji. Pewnie mogłem sobie nawet odpuścić. No tak, tylko że ja to sobie zawsze powtarzam już po. Przez chwilę znów miałem to odczucie straty, jakby po czymś, czego niby nigdy nie miałem, ale o czym wiem, że istnieje.

Napiłem się. Doświadczenie nauczyło mnie, że takie uczucia

szybko ulatują. Po ciemku wsłuchiwałem się w szelest pościeli. Z chęcią bym zobaczył, jak wyglądała nago, ale nie chciało mi się wstawać po lampę. W każdym razie po omacku była cudownie miękka i ciepła.

- Za pasem spodni znajdziesz pieniądze. Weź, na ile się umówiliśmy - powiedziałem, zanim jeszcze całkiem wstała z łóżka.

- Tak mi ufasz? - spytała z niedowierzaniem. Brzdęknęła sprzączka.

- Nie, ale ty mnie nie okradniesz.

Wraz z nocą do pokoju wdzierał się chłód. Czuję go na piersi i na nogach.

- A niby czemu nie miałabym?

- Bobym cię za to zabił.

- Nie okradnę - potwierdziła, ledwo kryjąc strach. Mój pas położyła na łóżku.

Nogi owionęło mi ciepło jej ciała. Cztery kroki później stała już przy drzwiach.

- Wcale nie jesteś taki zły, na jakiego wyglądasz, wiesz? - rzuciła na odchodnym.

- A tu masz rację - zgodziłem się i pociągnąłem z butelki. - Jestem znacznie, znacznie gorszy.

Zamknęła za sobą i tyle ją widziałem. Normalnie nie jestem aż tak gadatliwy, ale akurat wpadłem w jakiś podły nastrój. A do cholery z tym... Zwykły klient. Facet, któremu zachciało się dupy. Nic ponadto.



Obudziły mnie kroki. Szybkie, wystraszone, kobiece. Kiedy skrzypnęły zawiasy, ja już stałem w rogu pokoju za drzwiami. Trzymała lampę i była sama. Wnioskując z ciszy na dole, musiała już być ciemna noc. Miała czarne włosy, gołe ramiona, czerwony haftowany gorset. Głupawo gapiała się na puste łóżko i pociągała nosem, jakby od płaczu. Dotknąłem jej ramienia samymi czubkami palców, katzbalger trzymając nisko, tak aby nie mogła

go zobaczyć. Szarpnęła się i obróciła błyskawicznie. Oczy miała wielkie ze strachu. Płakała naprawdę, nie udawała. Łzy rozmyły jej makijaż, podczas gdy silny policzek zmienił jej usta w grymas zaakcentowany rozmazaną pomadką.

- On ją zabije! Błagam cię, pomóż!

Była ubrana jak dziwka, umalowana jak dziwka, to musiała być dziwka. Jednak w tym momencie, kiedy górę wziął strach, zniknęły opanowanie i cynizm, które pomagały przeżyć na ulicy, a pozostała zwykła, przerażona kobieta.

- Ja nikomu nie pomagam i tym razem też nie zamierzam - powiedziałem cicho, ostrze trzymając w pogotowiu.

- Ale on ją zabije! Zatłucze na naszych oczach. A my nawet nie mamy tych pieniędzy! - już prawie krzyczała.

- Óóó... - spróbowałem ją uspokoić.

Nie chciałem na siebie zwracać niczyjej uwagi. Niestety, nie wyglądało na to, abym był ją w stanie przekonać, żeby mi dała spokój.

- Powiedz mi dokładnie, o co chodzi, ale nie krzycz, bo cię zaknebluję, zwiążę jak baleron i zostawię na podłodze, dopóki się porządnie nie wyśpię.

Widziałem, że chciała coś szybko powiedzieć, ale po tym, co oznajmiłem, zmieniła zamiar.

- Johan chce dla przykładu skatować Karę! Tak, żebyśmy wszystkie widziały. Twierdzi, że któraś z nas ukradła mu pieniądze, trzydzieści złotych! - Emocje znowu wzięły górę, podniosła głos. - Ale my tych pieniędzy nie mamy!

Opuściłem broń. Nie wyglądała na zabójczynię albo przynętę mającą na celu zwabienie mnie w pułapkę.

- Kim jest Kara i kim jest Johan? - zapytałem, choć już się zaczynałem domyślać, dokąd to wszystko zmierzało.

- Johan się nami opiekuje, pilnuje, żeby nam się nic złego nie stało - zaczęła wyjaśniać niepewnym głosem.

- Alfons - skwitowałem. - Dobra, mów dalej.

- A Kara to dziewczyna, którą zabrałeś do siebie.

- Dziwka.

- Tak. - W oczach czaruli pojawił się knąbny przebłysk.

- I niby czemu miałbym jej pomóc?

- Mówiła, że jesteś...

- Że jestem co? - wskoczyłem jej w słowo. - No, co jestem? - Złapałem dziewczynę gniewnie za ramię. Ten wybuch złości zaskoczył nawet mnie samego.

- Nic, nic... - Próbowała się wycofać na bezpieczniejszy teren. - Mówiła, że jesteś straszliwie silny. I... nie przyszedł mi do głowy nikt inny, kto by się mógł postawić Johanowi. On też jest bardzo silny. I chyba nawet większy od ciebie.

- W dalszym ciągu nie widzę powodu, żeby jej pomagać - powiedziałem już spokojnie.

Zorientowałem się, że wciąż ściskam ramię dziewczyny. Musiało ją porządnie boleć, ale nawet nie syknęła.

- To ja ci zapłacę! - przyszło jej do głowy. - Przecież pracujesz za pieniądze.

- Owszem - zgodziłem się. - Ale nie biorę zleceń na zabójstwa. Za trzysta złotych obiję Johana tak, że przez trzy dni nie będzie mógł stanąć o własnych siłach - zaproponowałem.

- To strasznie dużo pieniędzy - szepnęła.

- No - przytaknąłem. - Bo ja jestem drogi.

Widziałem, jak się przez chwilę bije z myślami. Gdyby alfons jakimś przypadkiem dowiedział się, że to ona mnie najęła, jej los byłby przypieczętowany.

- Dobrze - zgodziła się w końcu, całkiem błada.

- Zaliczka. - Wyciągnąłem bezceremonialnie dłoń. - Dziesięć procent, czyli niech będzie półtora złotego.

Miałem nadzieję, że nie będzie miała przy sobie pieniędzy i będę się mógł z tego interesu wycofać. Przeszukała po kolei wszystkie zakamarki gorsetu, aż wreszcie podała mi piętnaście srebrnych drobniaków. Teraz wycofać się już nie mogłem - dałem słowo.

- Szybko, zanim będzie za późno - ponagliła mnie.

Z drugiej strony, trzysta złotych za to, że jakiemuś dryblasowi przetrzępię dupsko, nie było złym interesem. Dzięki

temu mógłbym zostać w Aganodzie z tydzień, dwa dłużej. Wciągnąłem spodnie i buty i poszedłem za nią. Przed gospodą nagle się zatrzymała.

- Nie zabrałeś żadnego miecza.

Musiła o nich usłyszeć od Kary, wątpię, żeby miała czas tak dokładnie rozejrzeć się po pokoju.

- Do tego, żeby przypieprzyć jakiemuś gościowi, miecz mi niepotrzebny. Myślałem, że się spieszymy - przypomniałem jej.

Popatrzyła na mnie niepewnie, ale za chwilę obróciła się i ruszyła przed siebie drobnymi, szybkimi krokami. O tym, że za paskiem miałem nóż, a w bucie sztylet, wiedzieć przecież nie musiała.

Powiodła mnie prostopadle do głównych ulic dzielnicy uciech, w zaułki i przejścia czasem tak wąskie, że ramionami szorowałem o ściany domów po obu stronach. Potem zesliśmy kilka stopni w dół i po trzaskaniu bicia oraz krzykach zorientowałem się, że byliśmy prawie na miejscu.

- Zgub się - poradziłem - żeby cię nikt ze mną nie widział.

Johan wymierzał karę na dziedzińcu jednego z większych w okolicy domów, jednak dwuskrzydła brama stała otwarta na oścież. W świetle trzech kopających pochodni wiele nie widziałem, ale rzeczywiście, była to Kara, moja nocna towarzyszka. Została przywiązana do belki wieńczącej wejście do chlewa. Dostrzegłem dwanaście innych dziewczyn. Wyglądało na to, że Johanowi wiodło się wcale dobrze. Może powinienem się dowiedzieć, czy przypadkiem nie pracował dla jakiejś bandy, ale na to już było za późno.

Bicz trzasnął po raz kolejny. Pod kobietą ugięły się nogi, ale przywiązane ręce trzymały ją w pozycji pionowej.

- Zatłukę ją, żebyście dobrze wszystkie widziały! Chcę moje trzydzieści złotych! Czy to jest jasne? Natychmiast!

Johan rzeczywiście okazał się wielki. Wyższy ode mnie, może odrobinę grubszy, bo przecież nie musiał uganiać się z jednego końca świata na drugi, jak ja. Ale widać było po jego budowie, po szerokich ramionach i mocno zbudowanym tułowi, że siłę

miał wrodzoną.

- Za to, że mi któraś z was te pieniądze ukradła, ona teraz umrze! No to patrzcie, jak za was cierpi! - Znów uderzył biczem.

Przekroczyłem bramę i wszedłem w krąg światła. Widziałem Karę teraz dokładnie. Skórę miała pociętą aż do mięsa, głowa zwisała bezwładnie. Włosy opadały żałośnie aż na piersi. Zapewne nie była już tak ciepła i miękka w dotyku.

- Ej, Johan! Ktoś mnie do ciebie przysłał! - zawołałem, zanim znów uniósł bicz.

Obrócił się w moją stronę, prostując przygięte do następnego uderzenia plecy. Był jeszcze potężniejszy, niż początkowo myślałem, i te trzynaście złotych zapłaty zaczęło mi się wydawać kwotą całkiem adekwatną.

- Kto i po co? Nie znam cię - powiedział zdeorientowany.

- Wziąłem pieniądze za to, że cię tak obję, żebyś przez trzy dni nie mógł ustać na nogach.

Przekrzywił głowę i wybuchnął gromkim śmiechem, jakbym mu opowiedział przedni dowcip. Jeszcze nikt mi w życiu nie powiedział, że jestem zabawny, ale z drugiej strony, może jego jeszcze nikt w życiu nie obił i dlatego to mu się wydało takie dowcipne.

Bez ostrzeżenia sieknął mnie biczem i gdybym czegoś podobnego po nim nie oczekiwał, dostałbym prosto w twarz. Skończyło się na uderzeniu w ramię.

- Szybki jesteś - ocenił i odrzucił bicz.

Staliśmy już całkiem blisko siebie. Kobiety rozpięchły się i stały teraz poprzyklejane do ścian. Też był szybki. Może nawet, jak na mój gust, trochę za szybki. Wnioskując z tego, jak się poruszał, musiał kiedyś być zapaśnikiem. I to raczej dobrym. Do czasu aż uznał, że stręczycielstwo jest i łatwiejsze, i przyjemniejsze.

- Gdy już będziesz leżał bezwładny na ziemi, rozdepczę ci jaja. Ale powoli, żebyś zdychał pomału - obiecał mi, kiedy krążyliśmy wokół siebie.

Wiedział dobrze, na czym ta zabawa polega, pewnie i dla niego

to była nie pierwszyna. Zatoczyliśmy kolejne kółko. Nie widziałem nic wokół siebie, nie rejestrowałem nawet bladych twarzy w mroku. Też niedobrze, jeszcze mu która będzie chciała przybiec z pomocą.

Nieznacznie opuścił gardę, próbował mnie sprowokować do ataku. Przyjąłem wyzwanie. Zamierzał chwycić moją rękę tak, aby mógł wejść całym ciałem, tymczasem to ja wyszedłem mu naprzeciw i uderzywszy czołem, złamałem Johanowi nos. Ku memu zdziwieniu ustał. Pociągnął mnie, ale nie zdołał utrzymać, przetoczyłem się po bruku w przewrocie. Już na mnie czekał. Był tak szybki, jak po nim oczekiwałem. Wciąż leżąc na ziemi, kopnąłem go pod kolano, ale po raz kolejny utrzymał się na nogach. Nie pozostał mi dłużny, zacząłem inkasować kopniaki w ramię. Poczułem je aż w kości.

- Całkiem dobry jesteś - powiedział z krzywym uśmiechem.

Cofałem się, a tymczasem on na mnie najeżdżał coraz agresywniej, próbując to sięgnąć ciosami, to pochwycić.

- Wyglądasz, jakby ci ktoś na mordzie rozgniółł ogórka - rzuciłem po jego kolejnych trzech trafieniach. Dosięły mnie wszystkie, na szczęście tylko częściowo. Niemniej co poczułem, to moje. Pięści miał jak z kamienia. Musiał w dalszym ciągu regularnie boksować.

- A ty zaraz będziesz miał taki cały łeb - wycodził twardo.

Zrobił krok w moją stronę, ja w jego, równocześnie obracając się bokiem. Jego pięść trafiła mnie gdzieś pod żebra, wypuściłem z płuc powietrze. Dzięki temu obrotowi udało mi się jednak pochwycić jego drugą rękę. Jeszcze się próbował wybronić, ale szybko przerzuciłem go przez udo i już leciał ku matce ziemi.

Ku memu wielkiemu zdziwieniu udało mu się nie skrzyć karku. Jak na gościa o takiej masie, był stanowczo zbyt gibki. Z twarzą wykrzywioną bólem dźwignął się na nogi, ręce trzymał opuszczone wzdłuż tułowia. W żadne z moich uderzeń nie włożyłem całej siły, ale były krótkie i twarde i sam grad ciosów posłał go z powrotem na glebę.

Nie podniósł się już. Siedział tylko, trzymając się ręką za splot słoneczny.

- Na trzy dni w łóżku może nie wystarczyć - zdecydowałem i kopnąłem Johana prosto w klatę. A potem jeszcze raz.

Zwinął się z bólu, ale jakoś nie odniosłem wrażenia, żebym mu zdołał złamać choć jedno żebro. Leżał na boku obok pieńka z wbitą weń siekierą i jęczał.

Podszedłem dwa kroki do drzwi chlewa i odciąłem Karę. Gdybym jej nie pochwycił, zwałiby się na ziemię. Posadziłem ją i oparłem delikatnie o ścianę. Obróciłem się w stronę jej przyjaciółki.

- Należą się pieniądze - powiedziałem cicho.

- Ja... ja... - Kręciła tylko głową.

- Zaraz będą - wychrypiła Kara, po czym podczołgała się do otumanionego bólem Johana i zaczęła mu przeszukiwać kieszenie. W mieszkaniu miał dwanaście złotych. Pozostałe dziewczyny przyglądały się w milczeniu. Wiedziały, że podpisała tym na siebie wyrok śmierci. Wziąłem pieniądze, odwróciłem się ku czaruli, która mnie najęła, i zacząłem dokładnie przeliczać pieniądze.

- Tych pięć srebrnych mi się nie należy. - Wskazałem na drobniaki. Omiotłem ręką pieniek i położyłem je tam. - No, to do miłego. - Kopnąłem Johana z czubą i ruszyłem ku bramie. Zaatakował przy moim drugim kroku, z siekierą wzniesioną wysoko nad głową. Odpuścił sobie wszelką finezję wcześniejszego pojedynku, chciał mnie po prostu upokorzyć, zarąbać na miejscu za to, co mu zrobiłem. Wyprowadziłem jego rękę łukiem na zewnątrz. Sam włożył w ten cios tyle siły, że nawet nie musiałem mu za bardzo pomagać. Siłą własnej bezwładności wywinął salto i upadł na plecy. Lewa noga podskoczyła mu parę razy w drgawkach, z ust pociekła stróżką krew.

- Przecież wiedziałem, że ta siekiera tam jest i że będziesz chciał jej użyć - wyjawilem, zanim poderżnąłem mu gardło. - Drogie damy, na koszt firmy! - rzuciłem, po czym poszedłem się

wreszcie wyspać.



Spałem długo i dobrze. Następne dwa dni wałęsałem się po Aganodzie, przysłuchiwałem plotkom po karczmach i rozglądałem, skąd w miarę szybko mógłbym wyciągnąć jakąś robotę. Nie wyglądało to źle. W Aganodzie działał silny cech złotniczy, prowadzący ożywiony handel ze wszystkimi okolicznymi miastami. Często najmowali ochronę, a płacono według wiarygodności. Parę miesięcy spędzone na kursowaniu pomiędzy dwoma cywilizowanymi miastami wydawało mi się atrakcyjną perspektywą.

Późnym popołudniem wracałem do zajazdu, próbując po drodze, gdzie mieli najlepsze piwo. Pod Uschniętym Drzewem, gdzie nalewali jedno z najlepszych, podeszła do mnie Kara. Musiała mieć chyba korzonki ze stali, jeśli już po dwóch dniach dała radę chodzić. Jednak bicz pozostawił po sobie ślady, w tym nawet na twarzy. Szpeciło ją mnóstwo nabrzmiałych, długich na kilka centymetrów szram. Było jasne, że zostaną blizny.

Przysiadła na ławie obok mnie i pod stołem wcisnęła mi do ręki płócienne zawiniątko. Wyczułem w nim drobniki.

- Nic mi nie jesteś dłużna, ta twoja przyjaciółka...

- Lara - uzupełniła.

- Lara obiecała mi trzynaście złotych, które dostałem.

- To są pieniądze od pozostałych. Boją się ciebie, więc wysłały mnie, co mi odpowiada, bo przecież na ulicy nic teraz nie zarobię, a tak przynajmniej mam prowidzję za pośrednictwo.

- Od pozostałych? Ale ja przecież nie jestem alfonssem.

Milczała.

Rozsupłałem zawiniątko. W najróżniejszej drobnicy doliczyłem się sześćdziesięciu srebrnych, czyli sześciu złotych.

- I tyle codziennie oddawałyście Johanowi? - zaniekawilem się.

- Przy dniach targowych bywa lepiej, a jak pogoda jest zła czy w zimie, to gorzej - odparła wymijająco.

Sześć złotych za dzień to od groma pieniędzy. Uznany

rzemieślnik, zatrudniający czeladników, po odliczeniu kosztów mógł zarobić najwyżej dwa złote tygodniowo. Sześć złotych za dzień, sześćdziesiąt za dziesięć dni, sześćset każdych sto dni. Mógłbym tu zostać i tylko pilnować, żeby mi ta rzeka złota nie wyschła.

- Dziś oddały mi tyle, co Johanowi, ale bardzo możliwe, że co nieco zatrzymały dla siebie. Więc żeby im się w dupach od dobrobytu nie poprzewracało, wypadaloby, żebym jednej z drugą czasem przyłożył, ot tak, żeby się bały i nie zaczęły podskakiwać. Tak to idzie?

- Dokładnie tak, wygląda na to, że masz już doświadczenie.

Mógł się w tym kryć cień pogardy, a może i nie. Nie zależało mi.

- Johan tak pracował - skonstatowałem.

- Owszem. Dwa lata temu jedną dziewczynę tak bił, aż zabił. To było, jeszcze zanim zaczęłam tak pracować. Tym razem przysła kolej na mnie. - Bezwiednie sięgnęła ręką do siniaka pod okiem.

Nie powiem, żeby mi się to podobało, ale sześć złotych to sześć złotych.

- No to gdzie był rejon Johana? - spytałem.

- Dlaczego miałabym ci powiedzieć? - odpowiedziała pytaniem na pytanie.

- Dlatego że za każdy dzień, kiedy będę potrzebował twojej pomocy, zapłacę ci pięć srebrnych. - Odliczyłem wspomnianą kwotę.

Zgarnęła pieniądze, schowała je, zawiesiła na mnie beznamiętne spojrzenie i opisała okolicę. Chodziło o dwie ulice w dzielnicy uciech przylegające do rzecznej przystani i odchodzące od nich uliczki. Obszar niewielki, ale panował tam wzmożony ruch.

- Zostaniesz tutaj? - spytała ostrożnie.

Pokręciłem głową i zamówiłem piwo.

- Nie biorę każdej roboty...

Wbrew moim oczekiwaniom wydawało się, że Karę moja odpowiedź zaskoczyła, a może nawet i przstraszyła.

- Jeśli odejdę, na moje miejsce przyjdzie ktoś inny - kontynuowałem.

- Oczywiście. Z tym że najpierw będzie sobie musiał wyrobić imię. No i ukarać nas za śmierć Johana.

- To tylko pod warunkiem, że rozejdzie się wieść o tym, co się wydarzyło.

- Rozejdzie się, rozejdzie. Któraś zawsze rozgada.

Nie znalazłem na to odpowiedzi. To było ich życie, ich los. Ja miałem dość swoich własnych problemów.

- Trzy dni. Zostań na trzy dni. Wieczorami przejdiesz się po ulicach, pogonisz natrętów...

Nie rozumiałem tego. Skąd dziewczynie przyszło do głowy, że jestem kimś, kto jej pomoże? Kimś, kto zechce jej pomóc? I czemu jej tak na tym zależało?

- Przez trzy dni może zdołam namówić Larę, żeby ze mną uciekła. Ja w zawodzie jestem już skończona, grosza nie zarobię.

- Wskazała swoją twarz. - Jeśli ona tu zostanie, pozostałe ją sypną.

Prawo dżungli jest wszędzie takie samo. Przeżyć za wszelką cenę, wdrapać się po trupach, byle wyżej, ku słońcu. Albo jesteś drapieżnikiem, albo ofiarą.

- Za trzy dni dostaniesz przecież osiemnaście złotych. To wcale nie jest mało.

To rzeczywiście nie było mało. Stłumiłem w sobie chęć, by zapytać, dokąd pójdzie. Wszystko jedno, bez mężczyzny, bez pieniędzy nie miała innego wyjścia, niż należeć do każdego, kto ją zechce.

- Na południe, do puszczy. Mało tam kobiet, to je cenią - odpowiedziała na moje niezadane pytanie.

A ludzie umierają, wojując z prastarym, puszczanym ludem albo w wojenkach lokalnych władków, dopowiedziałem sobie w myślach. Na głos nie wyrzekłem jednak nic, bo tak naprawdę się z nią zgadzałem. I wydawało mi się to lepsze, niż zgnieć w Aganodzie.

- Będziemy ci płacić za ochronę, sześć złotych za noc -

namawiała mnie.

- Nie mogę być wszędzie - zastrzegłem się.

- Z tym się liczymy, znamy przecież ryzyko.

Sześć złotych to dużo pieniędzy.

- Gdybym cię potrzebował, gdzie mogę cię znaleźć? - Podjąłem decyzję.

Opisała mi dom niedaleko miejsca, gdzie Johan próbował ją na śmierć ubiczować, i na tym żeśmy skończyli.

Zanim wróciłem do zajazdu, przeszedłem się jeszcze ulicami, aby uczynić zadość moim nowym obowiązkom. Rozpoznałem nawet kilka twarzy z poprzedniej nocy. Nic nie zakłócało odwiecznej wymiany handlowej zaspokajania chuci za złoto. No, poza jednym pijaczyną, ale z nim załatwiłem sprawę szybko, niemalże od niechcenia.

Tuż przed moją karczmą, gdzie zamierzałem wrócić później na kolację, odniosłem wrażenie, że ktoś mnie śledzi. Nie wiedziałem kto - po ulicach kręciło się wciąż sporo ludzi, ale postanowiłem, że kolacji odkładać nie będę. Najwyżej wymknę się potem tylnym wyjściem.

Po posiłku poszedłem do pokoju zabrać płaszcz. Wiedziałem, że w nocy będzie zimno. Kiedy sięgnąłem do skobla, usłyszałem za sobą szelest materiału. Błyskawicznie przykleknąłem, garota zamiast gardła oplotła mi czoło. Sięgnąłem lewą ręką za siebie, namacałem materiał, szarpnąłem. Przez ramię przeleciał mi cień. W tym samym momencie drzwi do pokoju otworzyły się, skoczyłem do przodu, chwyciłem pod kolana. Cios w krocze go uziemił. Równocześnie kopnąłem dusiciela, który właśnie próbował się podnieść. Wtedy oczy zalała mi krew z rozciętego czoła.

Bezceremonialnie zaciągnąłem obu do pokoju, na wpół oślepiony związałem napastników i dopiero wtedy przetałem oczy i zaświeciłem lampę. Garota, którą chudy, wykrzywiony gość próbował zacisnąć mi na gardle, wykonana została ze specjalnego, szorstkiego w dotyku materiału, który wgryzał się w tkankę jak małe ostrza. Gdybym się nie zdażył schylić i tylko

broniał ręką, pewnie zatrzymałaby się dopiero na kości.

- Z czego to jest zrobione? - chciałem się dowiedzieć.

- Z wyprawionej domowym sposobem skóry rai - odpowiedział chudzielec.

Jego kumpel był niższy, ale barczysty i dość krzepki. Za broń służył mu podłużny worek wypełniony piaskiem. Widać, że specjalizowali się w likwidowaniu problemów po cichu i bez zbędnego gadania. O ile miejska straż nie była zbyt dokładna, uderzenie w potylicę dało się łatwo przegapić. Zwłaszcza jeśli ofiara została w ten sposób tylko ogłuszona, a przyczyną śmierci było późniejsze uduszenie.

Trzeba przyznać, że ci dwaj wystartowali do mnie całkiem odważnie. Zwłaszcza po tym, co zrobiłem z Johanem. Musiał być widać dość znany i mieć opinię twardziela. Spytałem ich o to.

- Na mieście mówią, że podszedłeś go z dwoma zawodowcami, a przedtem jeszcze podtrułeś - zdradził mi ten barczysty.

- Zamknij się - ostrzegł kumpla chudzielec. - Niczego się od nas nie dowiesz. - Posłał mi złe spojrzenie i splunął.

Otarłem plwocinę, zważyłem w ręce garotę i odłożyłem na łóżko. Potem kawałkami drewna odciętych od nóg stołu i skrawkami rzemienia zakneblowałem im obu usta.

- Jak nic nie powiecie, to nie powiecie - rzekłem im na odchodnym.

Wzdrygnęli się, ale bez przesady.

Kara nic na ten temat nie wiedziała, ale wyjawiała, że ci dwaj najprawdopodobniej należeli do bandy kontrolującej ulice sąsiadujące z tymi Johana. Czyli teraz moimi. Czoło wciąż mi krwawiło. Struna musiała zostać nasączona jakimś świństwem, no, chyba że takie są właśnie właściwości skóry rai.

Przed północą, żeby nie było, przeszedłem się jeszcze ulicami i dopiero potem wróciłem do pokoju. Najpierw wyjąłem knebel temu barczystemu.

- Nie zabijaj mnie, proszę, wszystko powiem!

No to usiadłem i czekałem. Rzeczywiście należeli do bandy Poverta, tego, o którym wspominała Kara. Jak już się rozgadał,

z rozpędu zdradził mi jeszcze, że w centrum miasta toczyła się właśnie wojna o rejony i na nich samych zaczyna naciskać jakaś inna grupa. Ponoć bardzo silna. Po śmierci Johana zwietrzyli szansę, żeby usunąć się im z drogi. Przez cały ten czas, kiedy barczysty się spowiadał, chudzielec leżał nieruchomo i wbijał we mnie ślepią. Z nich dwóch on był zdecydowanie bardziej niebezpieczny.

- Powiedziałeś mi, co wiedziałeś, nie zabiję cię - upewniłem gościa, rozwiązałem mu nogi i zacząłem pracować nad ręką. W chwili gdy tylko była wolna, uniosłem ją odrobinę, a potem opuściłem krótkim szarpnięciem na kolano i złamałem w łokciu. Zwalił się na ziemię, trzęsąc z bólu, z szokiem malującym się na twarzy.

- Nie zabiję cię, bo nie wiem, gdzie ukryć ciało - wyjaśniłem. - A nie mogłem ryzykować, że będziesz mi tu podskakiwał.

Szarpnięciem postawiłem go na nogi, wyciągnąłem na korytarz i wcisnąłem w zdrową rękę jego obuszek.

- Nie wiem, co z tobą zrobią kumple, kiedy im twój ziomek opowie, jak mi pięknie śpiewałeś - powiedziałem i poprowadziłem go schodami w dół i na zewnątrz. - Jak cię jeszcze raz zobaczę, to ci obie te łapy urwę - obiecałem zamiast czułego pożegnania.

Kiedy wróciłem do pokoju, chudzielec leżał kawałek dalej, niż go zostawiłem, a pęta na nogach miał już prawie całkiem rozerwane. Pracował ciężko, ale nie dość ciężko. Na łamanie ręki już się przygotował. Nie drgnął mu ani mięsień. Twardy był jak stary korzeń. Ale że mu przetrączę nogę w kostce, tego się już nie spodziewał.

- Jesteś niebezpieczniejszy - wyjaśniłem i jego też zabrałem na zewnątrz.

Odkuśtykał z zaciśniętymi zębami, wbijał we mnie nienawistne spojrzenie, jednak przez całą drogę nie powiedział ani słowa.

Do łóżka już nie wróciłem. Spałem na podłodze, z bronią tuż pod ręką. Okazało się, że zupełnie niechcący wylądowałem w samym środku pola walki.



Z samego rana znalazła mnie Kara. Natychmiast zauważyła koleczą koszulę pod płaszczem, lecz powstrzymała się od komentarza. Wiedziała już też i o tym, że straż miejska znalazła niedaleko dwóch mężczyzn, którzy zabili się nawzajem w pojedynku. Kawałek dalej doszło również do większej szarpaniny, po której zostało na ziemi kilka trupów. Mogło to mieć związek z bandą Poverta, ale nie musiało.

- Jeszcze dwa dni i znikam - przypomniałem jej, gdy mi dawała pieniądze.

Zaskakująco ciężko zarobione pieniądze, jak sobie uświadomiłem. Do głowy by mi nie przyszło, że bycie alfonsem to taka ciężka robota.

- Tyle mi wystarczy. Jutro z Larą sprzedamy wszystko, czego ze sobą nie zabierzemy, i ruszamy na południe.

Mogła kłamać, ale mogła i mówić prawdę.



Przed południem jeszcze trochę pospałem, a na wieczór przeszedłem się po moim rejonie, nasłuchując przy okazji, co w trawie piszczy. Znow mówilo się o walkach, o zabitych, o podpaleniach. Pod wieczór ponownie miałem wrażenie, że ktoś mnie śledzi. A kiedy w ciasnej uliczce wyszło na mnie trzech typków, nawet się nie zdziwiłem. No niech będzie. Tego pierwszego załatwiłem garotą, drugiego nożem, a trzeci połamał nogi, gdy próbował uciekać dachami.

- Jesteś taki sam jak Johan, myśleliśmy, że to pójdzie łatwo. - Trząś się ze strachu i z bólu, kiedy do niego podszedłem.

- Johan jest martwy - zwróciłem mu uwagę.

Przyjrzałem się, w jakim był stanie, i zostawiłem, niech sobie radzi. Pewnie się wykrwawi, ale przy odrobinie szczęścia może zdąży przed tym dopełnić chociaż na terytorium swojej bandy.



Po całej nocy łożenia czekałem na poranek jak na zbawienie. Byłem głodny i potrzebowałem się wyspać. W zajeździe najpierw udałem się do łaźni, potem położyłem na trochę, a dopiero na koniec przysłała kolej na śniadanie. Obfite śniadanie, jak się należy. Kara, oprócz tego, że przyniosła pieniądze, dotrzymywała mi towarzystwa i zasypywała nowinami. Wyglądało na to, że w nocy walki trwały wszędzie, choć akurat w moim rejonie mniej niż naokoło. Domyśliłem się, że Johan do tej pory jakoś zdołał chronić swój złotonośny grajdołek przed zakusami bandytów. Tych kilka wyszynków i domów gry wciśnięte między dzielnicę tkaczy a lukratywną przystań nie wydawało im się warte nieprzyjemności, jakie mógł sprawić wielki twardziel. Jego mały folwark zwyczajnie nie był wystarczająco dochodowy.

Nie uporałem się jeszcze nawet z połową zamówionych dań, kiedy do sali weszło trzech mężczyzn. Nie patrzyli w moją stronę. Byli jednak zbyt dobrze ubrani, zbyt gładko ogoleni, zbyt pewni siebie. I wszyscy trzej uzbrojeni. Nosaty, z którego gruchowatym kulfonem parokrotnie musiała się poznać bliżej czyjaś pięść, miał zakrzywioną szablę i dwa identyczne noże z rękojeściami z orzecha. Przy mniejszym, ascetycznie wyglądającym gościu nie widać było żadnego ostrza, podczas gdy tłustawy facet po jego prawicy popisywał się mieczem, który nawet z daleka wyglądał na kosztowny egzemplarz.

Wiedziałem, że przyszli tu za mną, mieli to wypisane na twarzach. Zanim do mnie podeszli, Kara siedziała już przy innym stole.

- Możemy się przysiąc? - spytał ten bez broni, ale na odpowiedź nie czekał.

Powoli odkrajałem kawałeczki wędzonki i czubkiem noża podrzucałem prosto do ust. W odróżnieniu od nich, ja swoją broń trzymałem w ręku.

- Jak się wydaje, w ostatnim czasie przejąłeś po kimś pewien określony interes.

„Pewien określony interes”... No proszę, a ja myślałem, że zostałem zwyczajnym alfonssem. Brzmiało to tak bardzo inaczej, że aż prawie ładnie.

- Planujemy poszerzyć zasięg naszej działalności i chcielibyśmy przejąć od ciebie ten obszar. Proponujemy odstępnę w wysokości pięćdziesięciu złotych albo możliwość pracy dla nas za należyty procent.

Spojrzałem dyskretnie na Karę. Siedziała w rogu, nie rzucając się nikomu w oczy, słyszała każde słowo.

- Od jutra, od jutrzejszego południa ten rejon może być wasz - odpowiedziałem spokojnie.

Dobroczyńcą nie jestem, inni mnie nie obchodzą. Dbam o kasę, która jest mi potrzebna, i o nic więcej. Dałem słowo do jutra i ani chwili dłużej. Moje słowa bardzo wyraźnie ich zaskoczyły. Po tym, co się w ostatnich dniach wydarzyło, oczekiwali oporu.

- No tośmy się w takim razie dogadali - zakończył krótką dyskusję asceta. Nosaty pogardliwie się uśmiechnął, pan niepozorny od razu się podniósł. Dla niego nie byłem wart nawet uśmiešku.

Podał mi sakiewkę z pięcioma monetami. Wedle wagi - dziesięciozłotowymi.

- Od jutra - pożegnał się ze mną nosaty i zabębnił palcami po jelcu szabli.

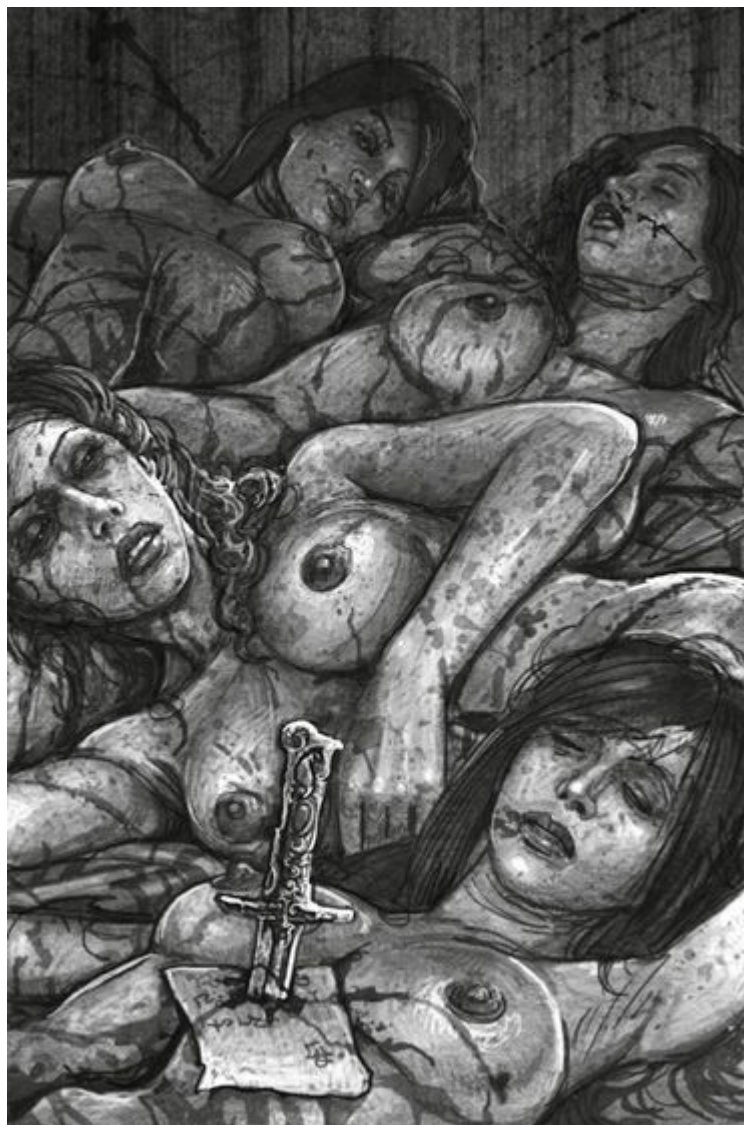
Gdy tylko zniknęli za drzwiami, do zacichłej gospody jakby wróciło życie. Nie pasowali tu tak bardzo, że miejscowi mało się nie posikali ze strachu.

Odliczyłem dwie dziesiątki, dorzuciłem piątkę i tak, żeby nikt nie widział, dałem pieniądze Karze.

- Dlaczego? - Nie mogła zrozumieć.

- Dlatego że pieniądze, które ot tak spadają z nieba, przynoszą pecha. Człowiek się musi nimi podzielić.





Pech przyszedł krótko po południu. Ktoś krzyknął i wokół jednej z uliczek zaczęli się natychmiast zbierać gapie. W moim rejonie, więc sam poszedłem rzucić okiem. Pod jakąś odrażająco wyglądającą płachtą leżało pięć ciał. Wszystkie to moje dziewczyny. Jedna w drugą rozcięte w ten sam sposób. Jak zwierzyzna do patroszenia. Cięcie było tak czyste, że musiał to być myśliwy i mieć w tym wprawę. Przesłanie dla mnie, wbite w pierś, miała martwa Lara - nóż z rękojeścią oprawioną elegancko w orzechowe drewno. Rękojeścią tak elegancką, że aż się wydawała prosić, żeby ją chwycić.

Kara stała pod ścianą. Obejmowała się ramionami, oczy miała pełne łez.



Stężenie ciała wskazywało na to, że zabili ją, zanim jeszcze przyszli ze mną pogadać. Sprytnie posunięcie handlarza, który chce podkreślić atrakcyjność oferty. Na ziemi leżał guzik od mankietu. Drobny, wykonany starannie ze srebra. Podniosłem go, wcisnąłem do kieszeni i odgarniając ludzi z drogi, odszedłem.

Nie dotyczyło mnie to. Za dwa dni będę daleko stąd, a przynajmniej na drugim końcu miasta. Martwa dziwka to nie mój problem. Nawet pięć martwych dziwek to w dalszym ciągu nie był mój problem. A przynajmniej nie byłby mój, gdyby nie jeden szczegół. Aganod może i jest jednym z największych miast na wschodzie, ale luksusowych salonów, gdzie nosiłoby się przy mankietach srebrne guziki, znowu aż tak wiele nie ma.

- No, to na pewno robione na zamówienie! - wykrzyknęła w uniesieniu właścicielka kramu, matrona, której niewiele brakowało do ciężkiej wagi zapaśniczki. - Należy do pana Hturiego, będzie bardzo zadowolony, kiedy go dostanie z powrotem. Już tu nawet u nas dzisiaj był i bardzo się martwił, że nie mamy takich guzików na składzie.

Wyjąłem guzik z jej dłoni.

- Sam mu zaniosę. Kto wie, może coś z tego będę miał? Srebrniaka, może nawet dwa. - Uśmiechnąłem się do niej.

Kramarka przestała się uśmiechać. Skoro dla głupiego srebrnego gotów byłem tłuc się taki kawał, stało się jasne, że sam groszem nie śmierdziałem. Ale mimo wszystko wskazała mi, gdzie iść.

Po drodze musiałem się wprawdzie jeszcze paru osób dopytać, ale krótko po zmroku stałem i tak przed wejściem do najlepszej w mieście restauracji, gdzie Hturi miał dla swych przyjaciół w interesach zamówiony salon.

- Nie mogę pana wpuścić do środka - oznajmił pilnujący drzwi portier.

- A co, jeśli cię zmuszę, żebyś zeżał własne jaja? - spytałem, po czym położyłem facetowi rękę na ramieniu i ścisnąłem.

- W takim przypadku... - zająknął się. - W takim przypadku oczywiście wpuszczę. Byłoby to... Byłoby to czystym grubiaństwem pana nie wpuścić - plątał się z twarzą wykrzywioną bólem.

Może i miał rację. Osobiście w zasadach etykiety rozeznanie miałem gorsze niż słabe. Zadzwonił jakiś umówiony sygnał i drugi portier otworzył drzwi od środka.

- Myślę, że będzie najlepiej, jeśli zostaniesz tam, gdzie jesteś - poradziłem mu.

Personel posyłał mi osłupiałe spojrzenia, ale skoro byłem już wewnątrz, musiało to oznaczać, że zostałem sprawdzony.

- Mam wiadomość dla pana Hturiego - szepnąłem pierwszemu kelnerowi, który mi się nawinął.

- Duży salon na pierwszym piętrze.

Na miejsce dotarłem nieniekajony. Przed wejściem stał kulfoniasty.

- Przyszedeś prosić o robotę? - Uśmiechnął się paskudnie. - Do środka się nie pchaj, świętują tam właśnie odniesiony sukces w interesach. Masz dla mnie ten nóż? - szydził.

- Mam. - Kiwnąłem głową i oddałem kulfoniastemu jego własność. Ten uśmiezek już mu tak został.

Otworzyłem drzwi. Salonik nie był aż taki wielki. Tak akurat na dziesięć, piętnaście osób. Przy stole uroczystościom przewodził

roześmiany Grumuk, po lewicy którego siedział pan Hturi, zaś po prawej miał przybocznego, którego już widziałem, i osobistego ochroniarza w opasce. Pozostałe miejsca zajmowali ludzie pokroju Hturiego, wszyscy wystawnie odziani, jakby się wybrali na koronację. I wszyscy uzbrojeni. Może i powinienem był się wysilić na jakiś mądrzejszy oraz bardziej dyplomatyczny plan, ale do takich akurat nie mam ani serca, ani głowy.

Pierwszy zwrócił na mnie uwagę ochroniarz, który zaszeptał coś Grumukowi na ucho. Ten popatrzył na mnie w zamyśleniu, ustały rozmowy.

- Też przyszedłeś uczcić nasz wspólny sukces? - Grumuk podniósł głos, wstając przy tym cicho. - Udało nam się wreszcie rozwiązać wszystkie spory i otworzyć drogę wspólnym, niczym niezakłóconym interesom!

Hturiemu musiał się nie spodobać wyraz mojej twarzy, bo zaszeptał coś do mężczyzny obok, a ten poderwał się i wybiegł drzwiami u szczytu sali.

- A o jakichże to interesach mówimy? - zapytałem.

- Jakichkolwiek, pieniądze przecież nie śmierdzą - uśmiechnął się Grumuk.

Co do tego miał rzeczywiście rację. Zwłaszcza gdy złoto porządnie z krwi i gówna się obmyje.

Kiedy sięgnąłem po broń, wszyscy powstali, zaczęło błyskać od wydobytych ostrzy. Może i potrafili zabijać kurwy, dusić od tyłu, mimochodem skopać na śmierć niewygodnego gościa, ale trochę już popili i nie zwykli stawiać czoła komuś takiemu, jak ja. Do tego wyprzedzała mnie już moja reputacja, a strach spowalnia.

Zasłonę pierwszego zwyczajnie zmiotłem i odrąbałem mu kawał twarzy, drugiego rozbroiłem odbiciem i przekłułem, trzeciemu przeszedłem pod ostrzem i głowicą roztrzaskałem szczękę. Potem straciłem orientację. Parłem w przód, salonik był szeroki, ale nie na tyle, aby się odważyli prześliznąć pod ścianami. Zaganiałem ich przed sobą, rzucałem się na nich, odrąbywałem nogi, ręce, głowy. Sam krwawiłem z niezliczonych ran, jednak

kolcza koszula osłaniała moje ramiona, chroniła przed najgorszym. Ich lekkie ostrza nie mogły dać jej rady. W zamieszaniu zgubiłem gdzieś długi miecz, lecz katzbalger i to, co znalazłem po drodze, wystarczyły mi i tak. Ściany czerwieniły się od krwi, ludzie krzyczeli, a ja szedłem wciąż do przodu. Przebiłem jakiegoś piękniśa z długimi włosami, ktoś na niego wpadł, broń wyskoczyła mi z ręki.

Na krótką chwilę zapanowała cisza, wahali się. Skoczyło na mnie dwóch, prawie równocześnie. Złapałem za nogi leżącego przede mną trupa, zamachnąłem się nim i tego bliższego jednym ciosem zmiotłem. Ten wolniejszy zawahał się, chciał przystanąć, lecz pośliznął się na mokrej od krwi podłodze. Zanim padł, zamachnąłem się po raz drugi i już go tam pod tym trupem zostawiłem. Grumuk ze swoim przybocznym kulili się na samym końcu, przede mną został jedynie tylko elegancik w opasce.

- Wiedziałem, że się jeszcze spotkamy. - Wykrzywił kąciaki ust w uśmiechu. - Zobaczymy, który z nas jest lepszy.

W dupie miałem jego „zobaczymy”. Udałem, jakbym sięgał po miecz, błyskawicznie zaatakował ciosem z góry w dół. Przemknąłem mu pod ręką, stał mnie drasnęła w ramię, ale i tak zdołałem się w niego wpakować. Jego cios poprowadziłem dalej przy tułowiu tak, aby mi już nie zagrażał, po czym przerzuciłem gościa przez ramię i walnąłem nim o podłogę. Sam przy tym wylądowałem w przykłęku i błyskawicznym ruchem wyrwałem mu grdykę.



Grumuk opierał się plecami o ścianę, a przed siebie wypychał swojego przybocznego. To Grumuk wszystkim zarządzał. Sięgnąłem po niego, zaciągnąłem do okna, jedną ręką chwyciłem za kostkę i wywiesiłem na zewnątrz.

- Dlaczego kazałeś je zabić? - spytałem.

- Tak mi doradzili, że to taka inwestycja na przyszłość - bełkotał Grumuk. - W takiej branży trzeba mieć ciężką rękę! Nie będą się kurwy stawiały alfonsowi, kimkolwiek by był. To szkodzi

interesom!

- A pozostałe? Dlaczego nie zabiliście wszystkich, co? - Chciałem się dowiedzieć.

Trzepotał się strasznie, a mnie zaczynała już boleć ręka.

- Ich kolej miała przyjść później - prawie krzyczał. - Tych pierwszych pięć to było ostrzeżenie, również dla ciebie, żebyś się słuchał.

Na zewnątrz niecodzienne widowisko obserwował już tłumek ludzi.

- A co się z nimi stanie teraz?

- Nic, oczywiście, że nic! - zaklinał się.

Nie było aż tak wysoko, ale upadku prosto na głowę przeżyć nie miał prawa.

- Wyśliznął mi się - wyjaśniłem przybocznemu i ruszyłem biegiem do drzwi.

Czas najwyższy, żeby zniknąć.

Opuściłem Aganod jeszcze tego samego dnia, na noc rozbiłem się na opuszczonej dróżce biegnącej pagórkami wiodącymi na południe. Używali jej wyłącznie pasterze owiec i miejska straż się tam nie zapuszczała.

Cała ta szarpanina zmęczyła mnie bardziej, niż przypuszczałem, więc zdecydowałem się zostać jeszcze jeden dzień. Późnym popołudniem na horyzoncie pojawiły się dwa większe powozy i lekka dwukółka. Pod wieczór dotarli do mojego małego obozu. Na pierwszy rzut oka ludzie wydawali się biedni i niezbyt rozmowni, przepelnieni zmartwieniami o przyszłość. Rozbili swój obóz kawałek dalej, zostawiając mnie w spokoju. Przy moim ognisku pojawiła się za to Kara. To do niej należała dwukółka.

- Na południe? - spytałem.

- Owszem - odpowiedziała. - Dlaczego? Dlaczego to wszystko? Po co to zabijanie na koniec? - z kolei ona zapytała mnie.

I co jej miałem odpowiedzieć? Że takiemu facetowi jak ja, facetowi, który najmuje się odwalać za innych brudną robotę, facetowi, który kradnie i zabija, że takiemu facetowi na niczym nie zależy? Mnie zależało tylko na jednym - na moim słowie.

Robię, za co mi płacą, a one zapłaciły za ochronę. Nie mogłem tego tak zostawić, nie mogłem pozwolić, żeby zabili je wszystkie.

To znaczy mogłem, gdyby tylko poczekali jeden dzień dłużej.

Miałem Karze to wszystko wyjaśnić?

- Dlatego - odpowiedziałem tylko, żeby coś powiedzieć, i obróciłem się na drugi bok wygrzać przy ogniu i to drugie zranione ramię.

Odeszła w ciemność, ku tamtemu ognisku, wkroczyła w prąd swego własnego losu i nigdy więcej już jej nie widziałem.

W CIEMNOŚCI



Było to małe górnicze miasteczko - czy może raczej osada - ale piwo tu mieli dobre. Całkiem dobre. Nalewane z wielkiej beczki z zatkniętą mosiężną pipą, serwowane w wielkich dzbanach, do których oberżysta lał uczciwie, do pełna, aż gęsta piana ściekała po ściankach. Nawet nie mrugnąłem okiem, a już postawił przede mną kolejny. Miedziaka, którego położyłem na stole, kudłate łapsko zgarnęło z kuglarską wręcz zręcznością, a przy tym tak szybko, że nie byłem pewien, czy moneta zdążyła w ogóle dotknąć drewna.

Miedziaki, srebniki, złote... Pieniądze były w tym momencie moim głównym problemem. Do terminu spłaty zostały mi już tylko niecałe dwa tygodnie, a w kieszeni wciąż brakowało dokładnie trzydziestu dwóch złotych. Plus paru drobnych na coś do picia i takie tam... Gdziekolwiek indziej, w Saxpolis czy jakimś innym bogatym mieście, bez problemu zarobiłbym tyle w dwa dni. Obić jednego, dwóch gości, złamać komuś rękę albo nogę i wyszedłbym na swoje. Tylko że nie byłem w bogatym mieście, byłem w... Przez dłuższą chwilę musiałem wyteńczyć pamięć, żeby w ogóle sobie przypomnieć, jak się to miejsce nazywa. Dziura. No właśnie, byłem w Dziurze. Bardzo trafna nazwa, biorąc pod uwagę fakt, że oprócz paru glinianych chałup i prymitywnej przystani, rzeczywiście znajdowały się tu jedynie dziury, w których kopano glinę. Aczkolwiek gdyby nazwali to miejsce Dupa, odpowiedź na pytanie, gdzie właśnie przebywałem, nabrałaby tylko na adekwatności.

Wrzawa panująca przy sąsiednich stołach stała się nagle tak

głośna, że zdołała zagłuszyć nawet moje niewesołe myśli. Górnicy bawili się na całego. Uniosłem wzrok znad dzbana z piwem. Wyglądało na to, że ktoś nieoczekiwanie wygrał pojedynek na rękę z popularnym miejscowym faworytem. Oberżysta zwiększył tempo, a do piwa zaczął dodawać małe kielonki gorzałki. Zapowiadało się na wieczór długi i nieokiełznany. Tyle że tutejsi górnicy dostawali za swoją potwornie długą i potwornie niebezpieczną szychtę marnych dwanaście miedziaków. Na to, żebym w dzień lub dwa zdołał z nich wycisnąć trzydzieści dwa złote, zdecydowanie się nie zanosilo. Baron Holmegor, dla którego odwalilem właśnie robótkę, wypłacił mi wprawdzie umówione wynagrodzenie, ale potem się zbiesił i nie chciał dać kolejnego zlecenia, które wcześniej obiecał. A był to główny powód, dla którego tłukłem się do tej zapadłej dziury. Tkwiałem teraz o dobre trzy dni ostrym marszem od wszelkich cywilizowanych miejsc, w których można zarobić jakieś pieniądze. Absolutnie nie miałem pojęcia, o co chodzi. Zapłacił mi równe trzy stowy, ale na tych niedołączonych matałach, którzy nie potrafiliby nawet przesznułować nic z urobku do konkurencji, w dwa tygodnie zarobił przynajmniej trzy razy tyle. Za to teraz wymigał się od spotkania. A dokładniej, to jego szacowni pośrednicy nie pojawili się w umówionym miejscu na rozmowę. Tylko że mi te pieniądze naprawdę były potrzebne. Musiałem spłacić długi, a jeśli spóźnię się z ratą, wszystkie poprzednie pójdą psu na budę. A na to żaden rozsądny człowiek nigdy nie pozwoli. Zwłaszcza gdy zapłacił tyle, co ja do tej pory. Zwłaszcza gdy zapłacił dużo więcej, niż mógł sobie na to pozwolić. Jest więc chyba zrozumiałe, że nie podobało mi się, kiedy ktoś robił sobie ze mnie jaja. I nie stanowiło dla mnie żadnej różnicy, czy był to Holmegor pyszniący się tym swoim tytułem barona, czy ktokolwiek inny.

Może trzeba go po prostu chwycić za gardło i porządnie ścisnąć? Może coś bym z niego wytrząchnął. Poza płucami, ma się rozumieć. Zacząłem myśleć o jego siole na szczycie najwyższego w okolicy pagórka. Chroniła go mała armia, bo

górnicy jak to górnicy, chłopaki subtelne nie są, a jak się dobrze narąbią, poczucie humoru wyłącza im się zupełnie. Aczkolwiek ktoś taki jak ja, ktoś, kto jednym uderzeniem pięści łamie kości, pewnie by się dostał do środka bez problemu. I musiałbym mieć niewyobrażalnego wręcz pecha, żeby w takiej posiadłości nie znaleźć przynajmniej kilku brzęczących złotem dziesiątek. Mój plan miał może parę niedomkniętych dziur, ale z drugiej strony, te smętne przemyślenia i tak ciężko w ogóle nazwać planem.

- Ej, ty! Co tak siedzisz w kącie jak niewyruchana panna? Chodź się przyłączyć.

Chłop, który stanął przed moim wciśniętym w ciemny kąt stołem, był ode mnie o dobrą głowę wyższy, a do tego miał długie i mocarne łapska. Wyglądał, jakby potrafił kruszyć kamień gołymi rękoma. Gębę miał już od napitku dobrze zaczerwienioną.

- Łokcie mnie bołą. Spadłem z konia i nie mogę się siłować. - Spróbowałem się wymówić.

- Pierdolenie! Stawiam pięć miedziaków, że nie dasz mi rady.

Gwar przycichł o pół tonu. Zawody w siłowaniu się na rękę znałem bardzo dobrze, jak i wiele innych zresztą. Co prawda sam byłem bardzo silny, ale nigdy nie wiadomo czy tu, między tymi wielkimi, brunatnymi chłopami, nie czaił się ktoś jeszcze silniejszy. To się przecież mogło zdarzyć. W walce nie miałoby to znaczenia, bo w odróżnieniu od tych, którzy byli silni z natury i od ciężkiej fizycznej pracy, ja byłem silny z wytrenowania, szybki i skoordynowany. Bez tego w ogóle nie mógłbym wykonywać swojej pracy. Moją pracą było zabijanie i wrodzone dyspozycje nie miały tu żadnego znaczenia.

Zacząłem ściągać płaszcz, który został pozszywany do kupy z resztek trzech poprzednich. Jak już nie będę musiał odkładać każdego grosza, zafunduję sobie porządny kożuch. Taki, w którym będę wyglądać jak niezgrabny tłusciuch, ale który jednym ruchem można zrzucić z ramion. Co jest jeszcze łatwiejsze, kiedy w poły wszyte są ciężkie, metalowe pasy. Widziałem to kiedyś u jednego gościa.

Póki co, nie miałem innego wyjścia, tylko się mozolnie uwolnić z kapoty. Ledwie mi się udało. Ten chałat z pewnością szyto na kogoś znacznie mniejszego niż ja. Mój przeciwnik przyglądał mi się z niedowierzaniem.

- Ja pierdołę, co za łapska.

- A coś myślał? Poddajesz się?

W odpowiedzi pokręcił tylko energicznie głową.

Starał się, to mu musiałem przyznać, ale nie na wiele się to zdało. Pokonałem jego, a po nim jeszcze kilku kolejnych gości. Kiedy skończyliśmy, mięśnie miałem twarde jak kamienie, żyły tak nabiegłe krwią, że wyglądały jak korzenie drzewa, a żołądek rozgrzewały mi kolejne kieliszki, za które nawet nie musiałem płacić. Po położeniu największego i najsilniejszego górnika byłem już o jednego złotego, trzy srebrne i garść miedziaków bogatszy. Dla kogoś innego całkiem przyzwoita suma, jednak moich problemów to nie rozwiązywało. Rzuciłem pieniądze na szynkwasa.

- Kolejka dla wszystkich, tylko lej równo, bo ręce połamię.

Karczmarz krzywo się uśmiechnął, jego odpowiedź utonęła w powodzi gromkiego śmiechu. Wiedziałem, że nie będzie oszukiwał. Nie podarowaliby mu tego.

Za złotego, licząc po miejscowych cenach, wychodziło od cholery picia. Potok roznoszonych przez karczmarza i jego pomocników kufli na jakiś czas zamknął nam wszystkim gęby.

- Ktoś ty za jeden? - zapytał mnie Hanuri, dwumetrowy olbrzym o tak doskonałych proporcjach ciała, że nie mogłem zrozumieć, jak się tu znalazł. Z powodzeniem mógłby być atletą, żigolakiem bogatych szlachcianek albo też innym hochsztaplerem. A tymczasem skończył jako przodownik zmiany, która właśnie bawiła się w gospodzie.

- Niedobry pan Holmeger zapłacił mi za brudną robotę i obiecał kolejną. Ale zmienił zdanie, a ja utknąłem tutaj - wyjaśniłem zgodnie z prawdą.

Generalnie za głupi jestem, żeby kłamać. Albo zbyt leniwy. I w związku z tym wolę mówić prawdę, co, jak zauważyłem,

zazwyczaj ludzi myli skuteczniej niż kłamstwa.

- Aż tak źle ci z oczu nie patrzy - uśmiechnął się Hanuri.

Spojrzałem na niego, potem na swoje ręce, potem znów na niego. Hanuri wyglądał, jakby swoje już przeżył, ale możliwe, że to tylko ciężka praca na przodku tak go naznaczyła. Na pewno był silny, ale ja miałem na rękach więcej krwi, niż on widział od urodzenia. Takie życie.

- Skoro tak sądzisz... - Nie wyprowadzałem go z błędu.

Zaskrzypiały drzwi. Był to ten charakterystyczny dźwięk zawiasów z miękkiego drewna, które zawsze będą skrzypieć, choćbyś je smarował bez przerwy. Właściciel widać skąpił, ale nie tam, gdzie trzeba. Takie drzwi długo nie wytrzymają, a już zwłaszcza w mordowni.

Weszli żołnierze. Nie mieli mundurów, zbroi ani długiej broni, ale poznałem to po nich natychmiast. Nie poruszali się jak pojedyncze osoby, lecz jak oddział. W dodatku ten znajdował się całkiem wyraźnie na terytorium wroga.

- Nie kumplujecie się z nimi za bardzo, co? - zauważyłem.

Atmosfera była całkiem rozluźniona, jednak krótkie przycichnięcie rozmów zdawało się potwierdzić moje domysły.

- Nie za bardzo - przytaknął Hanuri. - To nasi nadzorcy.

Więcej się nie dopytywałem, zamiast tego pociągnąłem piwa. Jak będzie chciał, sam mi o tym opowie. Zorientowałem się, że pozostali górnicy też rzucają przybyłym wrogie spojrzenia.

- Zupełnie jakby im chłopaki czegoś zazdrościli - spróbowałem.

- No, pieniędzy - wycedził. - Są najęci na kontraktach, tak samo jak my. Tylko że dostają za robotę przynajmniej pięć razy więcej.

- Hmm... - zamyśliłem się.

- Szeregowi. Ile Holmegor płaci oficerom, nie mam pojęcia - uściślił.

O ile z górników udało mi się wycisnąć półtora złotego, z wojskowych mogłem mieć pięć, dziesięć razy tyle. A to już się opłacało. Termin spłaty mojego długu krwi był już bardzo nieprzyjemnie blisko.

- A czemu więc przychodzą tutaj, skoro się tak nie lubicie? -
Zmieniłem temat.

Hanuri wyglądał na spokojnego, popijał swoje piwo bez pośpiechu, ale systematycznie i nieznacznie rozglądał się dokoła. Oczekiwał kłopotów, choć sam nie miał zamiaru się w nie wplątywać. Kłopotów, które nie były mu obce.

- W Dziurze są tylko dwie gospody. Ta bardziej elegancka dla żołnierzy i ta tania dla nas. Z tym że tu dają lepsze piwo.

To mnie zaciękało.

- Jak tańsze piwo może być lepsze?

- Wyczyściłem studnię, z której karczmarz bierze wodę do warzenia piwa. A do tego w słodowni wybiłem wywietrzniki w ścianach i dachu tak, żeby spowodować tam odpowiedni przepływ powietrza.

- Dobrze się na tym znasz - oceniłem.

- Ale on nie. - Wskazał karczmarza. - Ani nikt inny w okolicy. I dlatego zaczynają przyłazić tutaj.

Wynikało z tego, że Hanuri siedzi tu już czas jakiś. Ciekawe. Sprawiał wrażenie faceta, który potrafiłby zarobić na życie łatwiejszymi sposobami niż harówka w kopalni.

Pomimo zawiści odczuwanej przez górników do żołnierzy paru znajomych jednak między nimi się znalazło. Po chwili tłumionych rozmów stanął przede mną jakiś dryblas w towarzystwie swoich dwóch kompanów. Może jednak wyduszę z dzisiejszego wieczora jakiś pieniądz?

- Podobno krzepki z ciebie gość - rzucił do mnie.

Wzruszyłem ramionami.

- A ciebie nie zapyta? - Odwróciłem się do Hanuriego. Przypuszczałem, że bez problemu byłby w stanie utrzymać w wyciągniętej ręce worek z ziarnem albo dorosłego chłopca za gardło. A miał długie. Te ręce znaczy.

- Nie biję się - odpowiedział zwięźle.

- I oni to tak po prostu przyjęli do wiadomości?

Stojący przede mną drygal wyglądał na coraz bardziej wściekłego, bo przez cały ten czas otwarcie go ignorowałem.

- Dwóm takim, co nie dowierzali, połamałem gnaty.

Jak na kogoś, kto się nie bił z zasady, był to argument całkiem przekonujący.

- To co, boisz się? - burknął żołnierz.

- Nie - odpowiedziałem spokojnie. - I nawet nie miałbym nic przeciwko porządnym zapasom. Ale nie za darmo.

- Stawiam dwa złote, że ci z tego twojego świńskiego ryja zrobię krwawą sraczkę - wyzwał mnie.

Pomacałem się po nosie. Piękny nie był, to fakt, ale żeby zaraz ryj? Do tego krwawa sraczka? Chłoptaş był pewien swego, nie ma co.

- Dobra - przyjąłem wyzwanie. - Ale kiedy twój ryj zmieni się w krwawą sraczkę, twoje złoto jest moje. A jak będziesz chciał, możesz nawet dorzucić coś górką.

- Stoi - roześmiał się.

Hanuri przyglądał mi się ciekawie, pozostali górnicy z widocznym współczuciem. Widać miał niezłą reputację. Albo właśnie bardzo złą, w zależności, z której strony na to spojrzeć. Niecierpliwa publika zaczęła natychmiast odsuwać stoły pod ściany, żebyśmy mieli dość miejsca. Może go jednak nie doceniłem, przemknęło mi przez myśl. Kłykcie miał wielokrotnie porozbijane, a palce lewej dłoni nieświadomie wręcz podwinął w specjalny sposób zmieniający jego pięść w kościaną maczugę. Była to bardzo stara i mało znana sztuczka. Ja sam nigdy się jej nie nauczyłem. Człowiek, od którego kiedyś chciałem się tego nauczyć, powiedział, że brakuje mi do tego cierpliwości i że jestem wystarczająco silny, aby zabijać ludzi o wiele bardziej prostackimi metodami. Nie do końca uśmiechało mi się, żeby za te nędzne dwa złote jakiś specjalista od walki na pięści miał mnie teraz okładać przez pół godziny.

- Jakie obowiązują zasady? - spytałem, podnosząc się wolno z krzesła.

- Żadne - zarechotał, a wraz z nim jego kompani.

Śmiali się jeszcze, kiedy wpakowałem mu już kilka krótkich, treściwych haków z prawej. Byłby to ustał, ale po pięści dostał

go jeszcze mój łokieć. Ten zmienił faceta w szmacianą lalkę i rzucił na podłogę.

Gwar ucichł, jakby kto wrzeszczącemu człowiekowi wyrwał krtań. Schyliłem się nad siłaczem, złapałem za włosy i uniosłem tak, że podłogi dotykał tylko kolanami.

- No to co? Dajesz mi to złoto?

Początkowo był jeszcze całkiem nieobecny, ale takie zwisanie za włosy ma cudowne właściwości pobudzające.

- Dam - wyszeptał.

Puściłem go i czekałem, aż wysupła z sakiewki drobniaki.

- Jeszcze się z tobą policzę - zagroził mi, kiedy wreszcie zdołał zdźwignąć się na nogi i odkuśtykać.

- Kiedy wola - zgodziłem się.

Czasem bywam grzeczny aż do bólu.

Było oczywiste, że drugi raz już go tak zaskoczyć nie zdołam. Ale też, z drugiej strony, następnym razem nie miałem zamiaru walczyć z nim gołymi rękoma. Żelazo, a już szczególnie dobrze naostrzone żelazo, powinno ułatwić zadanie.

Usiadłem z powrotem na swoim miejscu, położyłem pieniądze przed sobą na stole i zapatrzyłem się w ich powabne lśnienie. No to jeszcze trzydzieści. Nic mniej, nic więcej. Dokładnie tyle było mi potrzebne, aby oskarżenie o czary potwierdzone i podpisane przez inkwizytora pozostało zamknięte w zacisznym mroku sejfu. Niestety, nie wiedziałem, ani gdzie się ten sejf znajdował, ani kto go pilnował. Inaczej już dawno bym ten dokument wykradł albo po prostu zabił wszystkich, którzy wiedzieli, jak się do niego dostać.

- Zaskoczyłeś go - usłyszałem słowa, których się spodziewałem. Które miałem nadzieję usłyszeć.

Kolejny żołnierz stał przede mną, z kilkusobową świtą za plecami. Bokser, pomyślałem, spostrzegłszy jego pozę i zwisające luźno ramiona. Oderwałem wzrok od monet, a kiedy przestała mnie już mamić ich urzekająca barwa, dostrzegłem ciężką gębę z rozplaszczonym nosem, małe oczka tonące w głębokich dolinach pod kościstymi, wystającymi łukami

brwiowymi, wielokrotnie rozcięte usta i jako tako zachowane zęby. Najwyraźniej bił się dużo i w większości wygrywał bez poważniejszego uszczerbku. Musiał być dobry. Wyglądało na to, że roilo się tu od zaprawionych w bojach przeciwników, którzy oferowali za walki psie pieniądze. Mało atrakcyjna kombinacja.

- Na pierwszego wystarczyły mi dwa ciosy, a niby był tu najlepszy. Myślisz, że pójdzie ci lepiej? - Zacząłem się z nim drażnić.

- Zaskoczyłeś go. Gawryła nie ustałby teraz puknięcia kasztanem w głowę. Wyzywam cię.

- Za darmo się nie biję, cztery złote - oznajmiłem.

Wzruszył ramionami, cofnął się o krok i przyjął postawę. Boksować się na gołe pięści o kilka złotych? Jakże nisko upadłem... Ale co robić, te pieniądze były mi naprawdę potrzebne.

- Jakie obowiązują zasady? - spytałem, znowu podnosząc się powoli z krzesła.

Nie dał mi szans na unik, tyle co drobnymi zastawami zdołałem jedynie zmienić kierunek jego uderzeń tak, aby mi najwyżej poodcierały skórę na głowie i na skroniach, zamiast posłać natychmiast w błogą ciemność. Starał się wykorzystać przewagę, jaką dawało mu to, że stał nade mną przygotowany, więc nie zostało mi nic innego, jak tylko zsunąć się z krzesła i kopnąć mu je pod nogi. Tego się nie spodziewał. Zachwiał się, pomogłem mu podcięciem, runął prosto na mnie. Owszem, był silny, ale tylko na odległość i nie aż tak silny jak ja. W dodatku o walce w zwarcu, na podłodze, nie miał pojęcia. Zanim się opamiętał, założyłem mu na łokieć dźwignię o moje ramię. Wrzasnął, przegapił moment, kiedy jeszcze mógł się wyrwać, w następnym był już kaleką.

Nie przestawał się drzeć, ale ja stałem już wyprostowany, przede mną mur nieprzyjaznych twarzy. Nawet nie zauważyłem, kiedy przybyło żołnierzy w gospodzie.

- Czyli że zasad żadnych nie ma. Nie szkodzi. - Nie miałem zamiaru się obrażać. Przeszukałem jęczącego z bólu, znalazłem

przy nim cztery złote, uniosłem tak, żeby każdy widział, ile biorę, i odłożyłem monety na stół. Dopiero potem pozwoliłem, żeby go odciągnęli.

No to miałem już sześć. Pomacałem otarcia pozostawione przez pięści boksera. Był szybki i przygotowany, ale udało mi się go zaskoczyć tak samo jak tego pierwszego. Jeszcze dwadzieścia sześć złotych. Początki zawsze są ciężkie.

- Znajdzie się ktoś jeszcze, kto chce sobie powalczyć? - zawołałem drwiąco.

Nikt mi na to nie odpowiedział, ale noc była przecież jeszcze młoda. Siadłem z powrotem na swoje miejsce, koło Hanuriego, i położyłem monety przed sobą na stole. Sześć złotych. Człowiek, który zatrudnia trzech, czterech czeladników, jest obrotny i zna się dobrze na swoim rzemiośle, zarobi tyle w niecały miesiąc. Ja miesiąca nie miałem.

- Wygląda na to, że dla złota skłonny jesteś chwycić się czegokolwiek - napomknął wielki przodownik.

Nie było w tym drwiny ani wyrzutu, po prostu stwierdzenie faktu.

- Owszem, dla złota zrobię wszystko. A ty tu niby czemu jesteś? - spytałem go w odpowiedzi.

- Też dla pieniędzy. Z tym że mi płaci w srebrze, nie w złocie.

- Widocznie nie zrobiłbyś tego, czym zajmuję się ja.

- Nie zrobiłbym.

To brzmiało interesująco. Człowiek rzadko spotyka się z ludźmi zdolnymi gołymi rękoma wrywać ręce i nogi, ale którzy odrzucają możliwość zarobienia w ten sposób pieniędzy.

Zabawa w gospodzie znów się rozkręciła, w powietrzu jednak dało się wyczuć oczekiwanie. Wiedziałem, że grupki przy stołach i przy barze rozmawiają głównie o tym, czy znajdzie się ktoś jeszcze, kto odważyłby się mnie wyzwać, czy mu się powiedzie i czy może nie dostałem jeszcze po łbie na tyle, żebym do następnej walki stawał osłabiony. No i jak ten pojedynek, choć nie było jeszcze pewne, że jakikolwiek nastąpi, będzie wyglądał. Nie przeczuwali, że nic mi nie było i że każdego, kogo by tam

tylko mieli najlepszego, roztrzaskam na krwawą sraczkę, byle tylko zdobyć te dwadzieścia sześć złotych, których mi jeszcze brakowało. Póki co sytuacja rozwijała się całkiem nieźle.

- Faktycznie tu siedzisz dla pieniędzy? - dopytywałem Hanuriego dalej.

- No.

- Dla tej niekończącej się harówki w przodku? Za dwanaście miedziaków dziennie? Każdego dnia ryzykując własną skórą?

- Jestem przodownikiem, dostaję srebrnego i sześć miedziaków dziennie - zaprotestował. - Do tego zawsze coś na boku skapnie od chłopaków. Ale poza tym masz absolutną rację - zgodził się i uśmiechnął, jakby dopiero teraz do niego dotarło, że w ciągu paru minut zarobiłem tego wieczora tyle, ile on w trzy dni.

Tymczasem zbliżał się już do mnie kolejny chętny rzucić mi wyzwanie. Tym razem nie był to żołnierz, ale górnik. Nieco mniejszy, z tych, co to wpadają babom w oko, symetrycznie zbudowany aż do twarzy, która wyglądała tak, jakby mu ją ktoś kiedyś próbował podpalić. Zatrzymał się stosunkowo daleko, dając mi do zrozumienia, że nie ma zamiaru rzucić się na mnie, zanim wstanę z krzesła, ale że bym i ja nie mógł go niczym zaskoczyć.

- Stawiam osiem złotych - powiedział tylko.

- Nie będziesz chciał, że bym go oszczędzał, co? - Obróciłem się do Hanuriego.

Było mi wszystko jedno, co odpowie, rzuciłem to tylko i wyłącznie po to, żeby dożyć tamtemu. Coraz bardziej wyglądało na to, że łatwo nie będzie, a na arenie nauczyłem się, że nie wolno odpuścić najdrobniejszej okazji, aby spróbować wyprowadzić przeciwnika z równowagi, zaburzyć jego spokój wewnętrzny i pewność siebie.

- To twoja walka. - Hanuri wzruszył ramionami. - Ale Vinc jest raczej ostry. I dobrze sobie radzi z nożem.

Ostrzeżenie bardziej niż eleganckie. Przy tego typu pojedynkach z nożami, pałkami albo innymi narzędziami, które pomagają wzmocnić ciosy i rozmiękczyć kości, zazwyczaj nie

trzeba było się liczyć, ale ja tu byłem obcy, a Vincowi mogło przecież pójść całkiem nieźle. Zwłaszcza gdyby mnie nie zabił na miejscu, a zdołał porządnie ponacinać, aż i tak bym skończył nad ranem w mokrym błocie za gospodą.

Póki co żadnego noża nie widziałem, choć to nie musiało o niczym świadczyć.

Niespiesznie wstałem i przez chwilę po prostu przyglądałem się Vincowi. Cicha woda brzegi rwie. Był znacznie bardziej niebezpieczny niż ci przed nim. Dzięki oszczędnemu ostrzeżeniu Hanuriego widziałem to teraz wyraźnie. Nie stał ani jak bokser, ani jak zapaśnik, ani jak ktoś, kto w okamgnieniu byłby zdolny jednym kopnięciem wepchnąć przeciwnikowi nos między oczy. Stał jak ktoś pomiędzy tym wszystkim. Na arenie pod tym względem wszystko było łatwiejsze. Człowiek zazwyczaj wiedział, z kim ma przyjemność. Zastanawiałem się, gdzie mógł mieć ukryty ten nóż. Albo noże...

- Zakład przyjęty - odparłem leniwie.

Zareagował błyskawicznie. Przypominał tajfun, z tym że jego ciosy nie były na tyle silne, żebym ich nie mógł przez pierwszych parę chwil wytrzymać. Wreszcie i mnie też udało się go parę razy trzepnąć, aż nim zatrzęsło.

Cisza przed jego kolejnym atakiem zrobiła się podejrzenie długa. Widocznie grzmotnąłem go całkiem porządnie. A to oznaczało, że nie będzie zwlekał z użyciem swoich ukrytych atutów. O ile takowe rzeczywiście miał.

Słyszałem oddechy ludzi wokół nas, w kuchni syczał olej, smród spalenizny stawał się coraz bardziej natrętny. Przyglądali się wszyscy. Wzrok Vincowi się wreszcie rozjaśnił, przyszedł do siebie. Noża w dalszym ciągu nigdzie nie widziałem, co oznaczało, iż ukryty został tak, aby można było po niego sięgnąć w ostatniej chwili. Czyli że będzie chciał dojść do zwarcia i wtedy mnie wykończyć.

Mogłem chwycić krzesło albo stół i jednym uderzeniem wymłócić mu mózg ze łba. Nie byłoby to trudne. Ale po takiej końcówce straciłbym już na pewno publiczność, a ja

rozpaczliwie musiałem zarobić więcej. Nie mogłem sobie pozwolić na utratę przychylności tej spinej ciżby, która wynikała wyłącznie z wiary, że któryś z nich zdoła mi wreszcie wyłoić skórę, może nawet zabić. Potrzebowałem pieniędzy.

Moje myśli krążyły w kółko jak natrętne muchy. Wciąż te same muchy. Zabijać za pieniądze.

Pragnienie, żeby mi się wysiłek z Vincem zwrócił z procentami, aż mnie ssało. Z wystudiowaną powolnością, niby leniwie, ale z pewnością siebie, zrobiłem pierwszy krok, ku któremu on wystrzelił jak z cięciwy. Wydłużyłem swój krok o pół stopy, moja druga noga natychmiast wybiła do przodu. Ludzie zazwyczaj nie spodziewają się, że taki kloc jak ja jest zdolny kopnąć tak wysoko. I tak błyskawicznie. Co nie zawsze jednak mi się udaje. Chciałem Vinca trafić w splot słoneczny, ale moja stopa wylądowała nieco wyżej, przez co zamiast zatrzymać go w miejscu, jak planowałem, wywinął salto i wylądował na plecach na podłodze. Jeden z noży, które z kuglarską zwinnością zdołał wyczarować Bóg wie skąd, zabrzączał kawałek dalej o kamienny szynkwias.

- Łatwo poszło - sapnąłem, siadając z powrotem na swoje miejsce.

Twarz mi oświetlał blask ośmiu złotych. To lśnienie nie nudzi mi się nigdy.

Hanuri przyglądał mi się bez słowa. Cisza w gospodzie ustępowała powoli. Tym razem pokazałem im coś, czego w zwykłych karczemnych bijatykach się nie widuje. Musieli wreszcie zrozumieć, że nie jestem zwykłym ulicznym mięśniakiem, ale kimś z wyższej półki. Co prawda, to prawda. Kiedyś należałem do absolutnej elity gladiatorów, którzy z każdym wejściem na arenę zarabiali setki, czasem nawet tysiące złotych.

- Pokazałeś już wszystko, co umiesz? - zaciekawiał się Hanuri.

- Nie wiem. - Wzruszyłem ramionami. - Zależy od sytuacji. Ale coś mi się wydaje, że miejscowi żołdacy są niespotykanie doświadczeni w walce bez broni, a to się często nie zdarza.

- Holmegor dobiera ich sobie w ten właśnie sposób - potwierdził. - Gdyby nie dotrzymał terminów dostawy węgla, musiałby płacić potężne kary. Do tego skorzystałaby na tym konkurencja. I dlatego potrzebuje, żeby wydobywanie szło praktycznie bez przerwy. Za to z kolei musi płacić przyzwoite pieniądze. Więc z drugiej strony stara się oszczędzać, jak tylko może. Wszyscyśmy podpisali umowy, w których stoi, że jeśli choć raz nie stawimy się na zmianie, Holmegor zatrzymuje połowę wypłaty. No i te chłopaki, oprócz tego, że nas chronią przed konkurencją i utrzymują porządek, od czasu do czasu wleją komuś tak, że przez dzień czy dwa nie ustanie na własnych nogach. I w ten sposób Holmegor oszczędza.

- To ziemie imperialne, więc nie może sobie pozwolić, żeby mu pracownicy ot tak, w niewyjaśnionych okolicznościach zdychali, toteż potrzebuje zawodowców, którzy wiedzą, na ile sobie mogą pozwolić - domyśliłem się.

- Dokładnie tak - potwierdził Hanuri.

Co tu robił on sam, to już była inna historia. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego wolał schodzić pod ziemię, zamiast spacerować sobie na świeżym powietrzu i tylko od czasu do czasu dobrze komuś przypieprzyć. Jego sprawa. Od najgłośniejszego stołu wstał kolejny gość i ruszył w moją stronę. Następne pieniądze.

Po pierwszej krótkiej przerwie w wymianie ciosów przyszło mi zmienić zdanie na temat mojego nowego przeciwnika. Był twardszy, niż na to wyglądał, a do tego potrafił znieść więcej, niż myślałem, że będzie możliwe. I sam szedł po więcej. Schyliłem się przed jego prawym hakiem i zanim zdążył zareagować, trzasnąłem go pod brodę, ale nie wyszło mi to tak, jakbym sobie życzył. W tym czasie trafiła mnie, niczym kafar, jego lewa pięść. Równocześnie pociągnąłem ręką dalej i oparłem na jego szczęce, zaparłem łokciem i rzuciłem gościa przez bok na podłogę, aż zadudniły dechy. Błyskawicznie odskoczyłem, choć po drodze zdołałem mu jeszcze sprzedać solidnego kopniaka w zębra.

Miałem nadzieję, że bolało go to przynajmniej tak jak mnie, pierwszych kilka oddechów łapałem z prawdziwym trudem. Nic złamanego chyba nie miałem, ale i tak bolało jak cholera.

Podniósł się. Który to już raz? Nie spuszczałem z niego wzroku, patrzyłem prosto w oczy, jakbym chciał przewiercić na wylot. Żrenice facetowi trochę latały, zajęło mu to parę chwil, zanim znów zdołał się zebrać w sobie. Moment, żeby się go pozbyć, byłby idealny, gdyby nie to, że i ja musiałem złapać oddech.

Knajpa huczała, chłopaki przekrzykiwali się nawzajem, przyjmowano zakłady, a wszystkiego dopełniał brzęk błyskawicznie opróżnianych kufli.

Wiedziałem, że nie odpuści, będzie się bił aż do końca. Miał też w dalszym ciągu dość sił, aby był to koniec dla niego szczęśliwy. O ile zrobię jakiś błąd. Pokrzykujący gość z kuflem w dłoni miał twarz pochłapaną krwią. Oblizalem usta i otarłem oko, na które już prawie nie widziałem. Moją krwią. Musiał być ochlapany moją krwią.

Przeciwnik instynktownie wybrał ten moment do ataku. Jego dwa szybkie kroki zwały się w jeden, po którym nastąpił szybki wypad. Tupnięcie nogi zadudniło prawie tak głośno, jak jego ciało kilka chwil wcześniej. Nie zdołałem gościa podciąć, ale przynajmniej usunąłem mu się z drogi i przywaliłem raz w nerki. Na drugie uderzenie nie miałem czasu, bo już stał ze mną twarzą w twarz. Był szybki, naprawdę szybki. A do tego nawet po silnych ciosach odchylał się nie dalej niż na piędziesiąt centymetrów.

Znów zaatakował i znów ledwie się zdołałem uchylić. Moja pięść tylko go poślaskotała. Uśmiechnął się. Widać było, że wracała mu pewność siebie. Ta krótka przerwa dobrze mu zrobiła. Zapomniał już o bólu i ciosach, które zainkasował.

Wrzawa się nagle podniosła jeszcze bardziej ogłuszająca, wszyscy wyczuli zmianę inicjatywy między walczącymi. Oczami wyobraźni już mnie pewnie widział rozpląszczonego na ziemi z poprzetrącanymi kośćmi i wnętrznościami rozdeptanymi na kaszę. Zrobił krok do przodu, próbując wepchnąć mnie w kąt, pozbawić możliwości uniku. Tymczasem ja na ten manewr nie

zareagowałem i zostałem tam, gdzie stałem. Znowu szybki krok, za nim ostry, ale na ułamek sekundy wstrzymany wypad, chciał mieć możliwość mnie sięgnąć, nawet gdybym się uchylił. Tymczasem ja wyskoczyłem mu naprzeciw. Zasłaniając tułów, zbiłem jego powalający cios i sam wpakowałem mu od dołu jeden, drugi, trzeci... wszystkie ciężkie, każdy zdolny zamroczyć normalnego chłopca. Sam zarobiłem w twarz, potem w żebra, ale młocka, jaką mu spuściłem, wreszcie go złamała. Odchylił się, przeniósł wagę swego ciała na pięty. Wciąż jeszcze tłukł mnie po twarzy, ale były to mizerne próby, brakowało im już siły. Zdołał mi jedynie rozciąć wargę.

Kolejny cios i jeszcze jeden, aż w końcu stanął bezradnie z opuszczoną głową, wytrzeszczonymi oczami i otwartą gębą. Nie zdołał nabrać powietrza, wydać najmniejszego dźwięku. Co było bez znaczenia, bo krzyki widzów zagłuszały wszystko inne. Jak i bez znaczenia było, kto wygrał. Po tak długim, zażartym pojedynku chcieli już tylko krwi, chcieli okrwawionego ochłapu mięsa.

Facet, który stał przede mną, który jakimś cudem wciąż jeszcze trzymał się na nogach, gdyby był na moim miejscu, z pewnością by im tego dostarczył. Zmasakrowałby mnie, rozerwał na strzępy, zaprezentował swój popisowy finałowy cios. Wykroczyłem prawą do przodu, przykucnąłem, zwarłem w sobie, a potem wystrzeliłem jak z katapulty w górę i do obrotu. Trafiłem go w twarz piętą lewej nogi i chociaż trzasku łamanych kości nie było słychać, to ja wyraźnie to poczułem. Przewrócił się w tył jak bezwładna kukła i już tak został z rozrzuconymi ramionami.

Wrzaski żądnych krwi bestii przytłoczyły mnie niczym walącą się ścianą. Jeśli go zabiłem, będę musiał uciekać, zdałem sobie sprawę. Tylko najpierw zainkasuję wygraną.

Powoli, nieskończenie powoli uniósł się i przewalił na bok. Jego silne, poznaczone nabrzmiałymi żyłami ręce ruszyły nieporadnie w górę ciała, jakby nie były pewne, czy sobie z tym zadaniem poradzą. A potem w dziecięcym geście samoobrony

zakryły głowę oblepioną mokrymi od świeżej krwi włosami.

Zrobiło mi się niedobrze. Zrobiło mi się niedobrze w momencie, kiedy tylko jego ręce drgnęły. Nikt o tym nie musi wiedzieć... Uniosłem ramiona w geście zwycięstwa i odwróciłem się twarzą do mojego stołu, zostawiłem go za plecami. Hanuri siedział na swoim miejscu, pomimo iż miał stamtąd bardzo kiepski widok na zaimprovizowany ring.

Oddychałem powoli i głęboko, czekając, aż wirujący wokół mnie świat zacznie się trochę uspokajać.

- Muszę się napić - wychrypiałem.

Podsunał mi piwo.

- Co się stało? - zaciekał się.

- Dał mi popalić, ot co - udało mi się powiedzieć w miarę beznamytnie.

- Chciałeś go zabić.

- Może. - Nie sprzeciwiłem się.

Na moim miejscu zrobiliby to samo, powodów do zmiłowania nie miał przecież żadnych.

Te ręce. Dokładnie tak jak wtedy. Ale wtedy też nie miałem zmiłowania. Nigdy, dla nikogo.

- Nie wyglądasz za dobrze.

- Gorzały! - zakrzyknąłem. - Butelkę!

Równocześnie zgarnąłem szesnaście wygranych złotych. Razem trzydzieści. To już prawie tyle, ile mi potrzeba. Plus trochę drobnych na napitek. Musiałem je mieć, po prostu musiałem.

Dostałem flaszkę, zacząłem pić prosto z gwinta, aż wspomnienie mojego brata leżącego na ziemi i zasłaniającego głowę tak, jak ten gość, którego właśnie zbiłem do nieprzytomności, straciło na natrętności. Ręce brata też się uniosły, by go ochronić. Bezskutecznie. Znów się uniósł, a ja go posłałem na ziemię po raz kolejny. Po raz ostatni.

- Butelkę i miejsce na nocleg - wymamrotałem.

Potem ręce już się nie poruszyły, zamarły w bezruchu. Aż w końcu i całkiem ostygły.

Pokuśtykałem schodami na stryszek. W tej knajpie na końcu świata było to jedyne miejsce, gdzie się mogłem pozbyć wspomnień i przyzwicie wyspać. Po drodze zgarnąłem jeszcze flaszkę wódki. Takie zapominanie wymaga wysiłku.



Obudził mnie rano chrzęst żelaza. Otworzyłem oczy i zorientowałem się, że wokół mnie stoi pięciu uzbrojonych mężczyzn, niektóre twarze znałem już z poprzedniego wieczora. Nadgarstki chłodził mi gruby żelazny łańcuch.

- Czyli że umarł... - odgadłem i popatrzyłem na tego, którego wczoraj w gospodzie przyjąłem uważać za ich przywódcę. W ręce kolebał mu się mieszek, do którego zgarnąłem miedziaki. Jeśli przytaknie, spróbuję im wyrwać łańcuchy i ich nimi zaatakować. Wiele szans sobie nie dawałem, ale lepsze to, niż tak po prostu dać się zamknąć.

- Nie - pokręcił głową. - Już jest z powrotem na nogach.

- W takim razie to jakaś pomyłka. - Odetchnąłem z ulgą. - Poza tym, że wczoraj w gospodzie trochę się zabawiłem, nic innego na sumieniu nie mam.

- Idziemy - zakomenderował, kiedy już upewnił się, że mają mnie pod kontrolą.

Ku memu zdziwieniu nie spętali mi rąk za plecami, wystarczyły im łańcuchy na moich rękach, z tyłu, poszturchiwaniem kopii popędzało mnie dwóch pozostałych. Ranek przeminął, ale w gospodzie w dalszym ciągu trwały jeszcze porządki po wczorajszym. Widocznie wieczór trwał w najlepsze już i po moim zniknięciu.

Na zewnątrz czekała reszta obstawy, dalszych dziesięciu chłopca. W żyłach wciąż jeszcze krążyły mi ostatki gorzałki, dręczyło potworne pragnienie. Wątpiłem, żeby pozwolili mi zatrzymać się na popas przy studni, więc w przelocie złapałem za olbrzymi ceber. Te dwa łachy, które mnie wiodły niczym jakąś zdobycz, nie chciały na to pozwolić, ale na swoje nieszczęście nie trzymali końców łańcucha tak mocno, jak im się wydawało.

- Zostawcie go - zakomenderował dowódca kopijnikom, którzy chcieli mi odpłacić pięknym za nadobne.

Nie nosił żadnych insygniów, ale przypuszczałem, że kiedyś musiał być podoficerem. Żadna wyższa szarża nigdy nie zniżyłaby się do takiej roboty. Grunt, że miał posłuch. Skłęli mnie na czym świat stoi, ale dali się napić w spokoju. Resztę wody wylałem sobie na głowę.

Kroczyliśmy błotnistą drogą między chaotycznie rozmieszczonymi domami, a raczej kurnymi chatami. Zewsząd dobiegało skrzywienie, trzaski i stukot. Kiedy wyszliśmy poza osadę, dostrzegłem byle jak i naprędce sklecone wieże wydobywcze, wielkie hałdy węgla i wykładane kamieniem drogi, po których wózki dowoziły urobek nad rzekę, gdzie załadowywano go na łodzie płynące w dół rzeki, ku miastom.

Nad tym wszystkim, na ogołconym z drzew szczycie jednego z pagórków rozkładała się okazała rezydencja. W cywilizowanych okolicach byłby to najwyżej zbytecznie rozbudowany kompleks kilku połączonych, schludnie wyglądających domów. Tutaj, w tej podmokłej dziczy, gdzie oprócz węgla znajdowały się tylko bagna, torfowiska i gęste świerkowe lasy rojące się od natrętnych, wygłodniałych niedźwiedzi, rezydencja Holmegora wyglądała w istocie jak pałac.

- Holmegor chce mnie widzieć? Wystarczyło powiedzieć, próbowałem się z nim spotkać od dwóch dni.

Zanim doszliśmy na górę, znów dopadło mnie pragnienie, tym razem w towarzystwie głodu.

Tuż przed palisadą z naostrzonych stempli zastępujących regularne ogrodzenie dostrzegłem jedną rzecz, która nie bardzo mi się spodobała. Były to wielkie stalowe klatki zawieszane na pniach ogołconych z koron drzew. W dwóch z nich siedzieli mężczyźni kulący się z zimna. Wyglądali na bardzo wynędzniałych i niezbyt rozbawionych.

- Więzienie - powiedział jeden z żołdaków ze złośliwą satysfakcją. - Wcześniej zamykaliśmy ich pod ziemią, ale spieprzali, nornice jedne.

- Aha - odpowiedziałem takim tonem, jakbym mówił coś mądrego, a popatrzyłem na niego takim wzrokiem, że choć byłem w pętach, zamilkł natychmiast.

Reputacja bywa użyteczna.

Drugą rzeczą, która też mi się nie podobała, był gość w czerwonym odzieniu i nogawicach tak obcisłych, że nawet jedwabne pończochy nie przylegałyby ściślej, który przechodził właśnie przez bramę. Na głowie miał hełm z pióropuszem, też czerwonym, a na ramionach płaszcz. Nie bez trudności rozpoznałem w nim samego Holmegora. Kiedy załatwialiśmy nasze interesy w mieście, ubierał się normalnie. Tutaj widać czuł się panem na tyle, by popuścić wodzy swym upodobaniom. Towarzyszyło mu sześciu mężczyzn. Jeden z nich, wydawało się, miał na sobie coś, co mogło być sędziowską togą. Z lekka się zataczał. Albo był koślawy i chodzenie po śliskim błocie i kiepsko osadzonych kamieniach sprawiało mu problemy, albo dopiero co zakończył popijawę. Względnie rozpoczął nową.

- Ej, Holmegor! Odbiło ci czy jak? - zakrzyknąłem, kiedy byliśmy mniej więcej twarzą w twarz. - Obiecywałeś, że co stracę na podróży na to zadupie, zwróci mi się z zarobku za dodatkowe zlecenie. A tu zamiast tego od dwóch dni nie mogę się do ciebie dostać!

- Klękni przed sądem! - warknął żołnierz stojący po mojej lewej, równocześnie opierając grot kopii o mój kark.

Stałem dalej.

- Jakim sądem? To przecież ziemie imperium, a i żaden z ciebie patrycjusz! Obowiązuje tu prawo cesarskie!

Działo się tu coś, czego nie rozumiałem. Holmegor starał się zarobić, to zrozumiałe, ale wyglądało, że zależało mu na tym do tego stopnia, iż przestał się przejmować łamaniem prawa. Przynajmniej na tyle, na ile wiedział, że mogło mu się upiec. Dlatego najmował ludzi takich jak ja i uważał przy tym, aby nic go z nimi w widoczny sposób nie łączyło. Był w końcu poważanym baronem, a ja specjalistą od brudnej roboty. Niemniej ostatnie, czego bym po Holmegorze oczekiwał, to

bratanie się z jakimkolwiek przedstawicielem cesarskiej władzy sędowniczej.

- Ten oto człowiek bez zezwolenia dopuścił się na mych najętych pracownikach zakazanego proceduru zarobkowego - zapiszczał Holmegor.

Musiał zwariować. Cesarzowi braku piątej klepki też nie można było odmówić, ale tak on sam, jak i cały ród Saxmundsenów miał słabość do pojedynków, gladiatorów i tym podobnych. Organizowaniem kosztownych igrzysk kupował sobie wręcz przychylność motłochu. Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś, kto porachował kości przeciwnikowi w uczciwym pojedynku jeden na jednego, miał być za cokolwiek ukarany. W większości przypadków nawet jeśli ktoś zginął, zazwyczaj udawało się to załagodzić, wypłacając odszkodowania bliskim. Przyjmowanie zakładów było niczym innym jak naturalną częścią całego tego cyrku. Z Holmegora był kutwa, ale żeby łamać prawo dla tych paru złotych, z których oskubałem jego ludzi...?

- Nie ma takiego prawa. Puść mnie, zapłać, co jesteś winien, i będziemy kwita.

Dziwiłem się, że pozwolił sobie, aby być widzianym w mojej obecności przez tylu świadków.

Gość, który próbował zmusić mnie do klęknienia, wbijał mi w szyję grot kopii coraz mocniej i mocniej, aż wreszcie przebił skórę. To go trochę speszyło, w końcu jak by to wyglądało, gdyby zabił człowieka, z którym właśnie rozmawiał jego szef.

- Czcigodny Cirhussie? - Holmegor zwrócił się do swego towarzysza w todze.

- Takiego prawa nie ma... - Tamten czknął potężnie. - Ale zaraz będzie!

Był zupełnie ululany.

Wyciągnął z zanadrza zmierzwione i potwornie umorusane gęsie pióro. Holmegor kiwnął na jednego ze swych przybocznych, a ten podskoczył ku sędziemu i rozstawił przenośny stoliczek, który miał zawieszony na piersi. Na stoliczku ustawił kałamarz, w nim umieścił pióro.

- Ze skutkiem od dnia pierwszego... roku trzysta dziewięćdziesiątego trzeciego - sylabizował pijany sędzia, spisując własne słowa - zakazuje się działalności za...robokowej, która nie byłaby zatwierdzona przez dzierżawcę, pana Holmegora Markusa. Naruszenie owego przepisu karane będzie z paragrafu dwadzieścia jeden, ustęp trzy, kodeksu cesarskiego przypadkiem mienia, grzywną dziesięciu złotych oraz dwoma tygodniami więzienia lub przymusowej pracy wedle woli dzierżawcy. Kropka.

Nieporadnie odłożył pióro tak, że spadło prosto w błoto, obrócił się i zaczął gramolić się z powrotem w stronę domostwa Holmegora.

- Muszę się czegoś napić - dobiegło mnie tylko.

Wreszcie zaczęło mi świtać. Zrozumiałem, że to właśnie ten nasączony wodą łachmyta stał za ostatnimi sukcesami Holmegora. Prawnymi figlami zdołał pozbyć się części drobniejszych konkurentów, a na tych, z którymi nie dał sobie rady przepisami, najął właśnie mnie.

- Zabierzcie mu wszystkie pieniądze i zamknijcie do klatki - rozkazał Holmegor.

- To wszystko za trzydzieści złotych? - Nie mogłem uwierzyć.

- Nie - pokręcił głową. - Za te trzy setki, któreś mnie kosztował. Nie dam się ograbiać byle włóczędze!

Jak mówię, pazerny i głupi. Myślał, że jestem takim samym idiotą jak on i zawsze noszę pieniądze przy sobie.

Aczkolwiek w tym wypadku miał rację.

Wszyscy obecni stali spokojnie i sprawiali wrażenie, jakby to była ich zasługa, że tu stałem. Pieniądze nawet dałbym sobie zabrać, czemu nie? Zawsze można zarobić od nowa, ale problem przecież polegał na tym, że nie miałem czasu, musiałem spłacić dług. Stałem nieruchomo i czekałem, aż złączą z przeszukiwaniem. Ten, co to mnie dźgał kopią, wziął tę wdzięczną robotę na siebie. Ugiąłem nogi w kolanach tak, aby przy przeszukiwaniu kieszeni mojego płaszcza musiał się dobrze pochylić. Złapać jego głowę pod pachę i omotać szyję

łańcuchem, zanim jego koledzy trzymający mnie na uwięzi zdążyli zareagować, wcale nie było takie trudne. Dopiero teraz szarpnęli za końce i natychmiast zorientowali się, że wraz z tym ich kompan gwałtownie posiniał. Puścili łańcuchy i postanowili rozprawić się ze mną ręcznie. Jednego kopnąłem w kolano, aż trzasnęło, drugiego przyciągnąłem do siebie. Biedaczyna nadział się paskudnie ramieniem na zapartą w ziemię kopię.

- Łapcie go, do cholery! - krzyknął Holmegor. - Natychmiast!

- Ostrożnie, utrzymać odstęp, mamy przewagę - rozkazał przytomniej dowódca.

Musiałem dać nogę, zanim się zorientują, że nie dałbym im wszystkim rady. Odplątałem przyduszonemu łańcuchy z szyi, zostawiłem go leżącego na ziemi i puściłem się biegiem w dół. Było strasznie ślisko, przewracałem się i podnosiłem, ale zanim jeszcze dobiegłem do pierwszych domów, dotarło do mnie, że daleko nie zabiegnę. Bo niby dokąd? Ludzie Holmegora mieli konie, do tego byli lepszymi jeźdźcami niż ja, no i znali okolicę. Tak więc rzeka. To moja jedyna szansa.

Zaryzykowałem szybkie spojrzenie za siebie. Wprawdzie Holmegor i jego sfora coś tam pokrzykiwali i machali ze wzburzeniem rękoma, ale na tym koniec. W zorganizowaną pogoń jakoś się nie zebrali. Tym lepiej dla mnie. Trochę zwolniłem. Minąłem pierwszą wieżę wydobywczą, gdzie mężczyźni ładujący węgiel na furę wprawdzie popatrzyli na mnie podejrzliwie, ale szybko wrócili do pracy bez wtrącania się w nie swoje sprawy. Minąłem granicę porastającego pagórek lasu, pod nogami zachręściła mi wybrukowana kamieniami droga. Przebiegłem ją w poprzek, za bardzo kluczyła od szybu do szybu. Trzeszczenie kołowrotów, skrzypienie wozów, chrzęst ładowanego węgla, to wszystko czyniło taki hurgot, że nie słyszałem już nawet pobrzękiwania ciągnących się za mną łańcuchów. Czas przestać tak gonić i jakoś się ich pozbyć. Przy hałdzie wyższej niż normalny dom zwolniłem zupełnie. Kawałek dalej wznosiła się największa w okolicy wieża wydobywczą. Wyglądała na dawno nieużywaną. Widocznie zaczęli drążyć w

tym miejscu, jak najbliżej rzeki, a dopiero potem ruszyli w górę doliny. Miałem nadzieję, że uda mi się w niej znaleźć jakieś porządne narzędzia, a przy tym nikt mnie nie będzie niepokoić niepotrzebnymi pytaniami.

Spoza wału czarnego, lśniącego węgla wychynał najpierw hełm, a za nim twarz z bokobrodami i wąsem opadającym aż na pierś. Potem druga głowa, trzecia, następna, wreszcie pojawił się cały rząd. Chwilę później widziałem już ich ręce i tułowia.

Holmegerowi na odsiecz przybyły posiłki.

Ten z wąsami zatrzymał się, po nim również i pozostali, lecz nie równocześnie, na komendę, niczym jednostka imperialnego wojska, która ma paradny dryl we krwi, ale jak grupa zaprawionych w bojach awanturników, którzy wiedzieli, jak osiągnąć zamierzony cel najmniejszym nakładem sił.

Przez chwilę mierzyliśmy się nawzajem wzrokiem, wydawało się, że przycichły hałasy pracujących górników i tylko łańcuchy, które wciąż za sobą ciągnąłem, pobrzękiwały, jakby chciały na siebie zwrócić uwagę.

- Myślę, że cię zabierzemy z nami - powiedział wąsaty.

Mógłbym spróbować obieć ich naokoło i zebrać do kupy łańcuchami, ale na to, niestety, były za krótkie. Co za pech.

- Zejdźcie mi z drogi, dobrze radzę. Aż tak dobrze wam nie płaci - odparłem.

Na twarzy wąsatego pojawił się pogardliwy uśmieszek, jak u kogoś, kto przygląda się pijakowi rozlewającemu gorzałkę po stole. I znikł równie szybko, jak wódka wsiąkająca w szczeliny spękanych desek.

- Złapcie...

Nie czekałem, aby dowiedzieć się, za co chcieli złapać. Znów puściłem się biegiem. Biorąc pod uwagę ich oraz regularnych ludzi Holmegora, było wyłącznie kwestią czasu, kiedy mnie dopadną. Przeskoczyłem przez kanał melioracyjny wykopany wzdłuż drogi i ruszyłem ku najbliższej wieży. W pół drogi obejrzałem się za siebie. Nie spieszyli się tak jak ja, pozwolili mi wyrobić dystans, ale sami rozlali się w tyralierę. Może nie byłoby

głupio zawrócić i się przez nich przebić, jednak kątem oka dostrzegłem dwóch z kuszami i to przesądziło sprawę.

Do wieży dotarłem akurat w momencie, kiedy na górę wyjechała winda.

- Zjeżdżam na dół - oznajmiłem obsłudze.

Facet, któremu poprzedniego wieczora złamałem kolanem nos i przyprawiłem o jeszcze kilka innych nieprzyjemnych kontuzji, uśmiechnął się wrednie.

- Nie wydaje mi się.

Wybiłem się w górę i obiema nogami kopnąłem go w pierś. Wylądował trzy metry dalej na kupie żwiru ze zmiażdżonymi żebrami. Koń, którego przy tym niechcący trąciłem w zad, popatrzył na mnie z wyrzutem i zarżał.

Do niego akurat nic nie miałem.

Pozostali trzej robotnicy instynktownie się ode mnie odsunęli. Dłonie trzymali na rękojeściach noży, ale nie odważyli się ich wyciągnąć. Dobra myśl, nóż może się przydać. Schyliłem się nad biedakiem z roztrzaskaną gębą, który wciąż próbował złapać oddech, i zabrałem mu jego kozik. Górnik nie wyglądał dobrze, dawałem mu szanse pół na pół.

- Zjeżdżam na dół - powtórzyłem.

Najmniejszy z tamtych trzech, przepasany skórzanym fartuchem, spojrzał na platformę windy, a potem w górę, ku mechanizmowi zabezpieczającemu, który ją utrzymywał w zablokowanej pozycji na powierzchni. Jeszcze o kawałek wyżej, na systemie wielokrążków, wisiała przeciwwaga.

Zaskrzypiały kamienie, po drugiej stronie hałdy ktoś się wdrapywał na górę. Byli na tyle doświadczeni, że wystarczy jeden. Pozostali już mnie pewnie zachodzili ze wszystkich stron. Ruszyłem ku windzie. Po drugiej stronie szybu, diabli wiedzą skąd, pojawił się jakiś człowiek z mieczem w ręku. Po grzechocie toczącego się w dół węgla i kamieni wnioskowałem, że szło ich za nim więcej. Rzuciłem w niego nożem, uchylił się niemalże znudzonym ruchem. Nigdy w tym nie byłem dobry.

- Stój!

Wydawało mi się, że słyszę jęk napinanych cięciw. Przy odgłosach trzeszczącego zewsząd drewna było to praktycznie niemożliwe. W biegu schyliłem się, zgarnąłem z ziemi solidny kamień i posłałem go w ślad za nożem. Ten z mieczem czegoś takiego się akurat nie spodziewał. Kamień miał z pięć kilogramów, trafił go prosto w pierś. Miecz zadzwonił o kamienie, mężczyzna zrobił trzy niepewne kroki w tył, po czym z rozmachem klapnął na zadek.

Sam stałem już na platformie windy. Biełt wystrzelony skądś wyżej odłupał deszcz drzazg z belki nad moją głową. Wszędzie wokół mnie wychylały się z ukrycia twarze żołnierzy. Złapałem z ziemi miecz i ciąłem po linach, uwalniając przeciwwagę.

- Jaaaade! - wrzasnąłem, znikając w czarnym szybie.

Słońce znikło, otuliła mnie ciemność, świszczwały liny, terkotały bloczki mechanizmu dźwigowego, nieprzystosowane do takich prędkości.

Za długo lecę, nie przeżyję, pomyślałem. Nagle huk i ciemność. Wylądowałem na boku, w nosie drażnił mnie suchy pył. Poczulem zapach dymu, a po jakimś czasie zacząłem dostrzegać bliższe i dalsze ogniki górniczych lamp. Spojrzałem ku górze. Niebo wydawało się być niewyobrażalnie wysoko. Ze ścian wychylały się wystraszone twarze górników. Zbiegało się ich coraz więcej, żeby zobaczyć, co się stało. Uniósłem się. Bolał mnie każdy najdrobniejszy fragment ciała. Czułem się, jakbym obił sobie wszystkie gnaty. Ten upadek był gorszy niż dziesięć wieczorów walk.

- Łapać go! Kto go schwyta, ma zapewnioną nagrodę! - niósł się z góry wściekły głos. Holmegor wreszcie dotarł na miejsce.

Nawet nie powiedział, jak wysoką. Co za kutwa.

Stałem na nogi. Po kilku chwilach macania na oślepie, rozgarniając resztki windy, zdołałem znaleźć wystarczające oparcie, aby zacząć gramolić się ku najbliższemu tunelowi.

Tam już czekał Hanuri. Popatrzył na mnie, na stos belek na dnie szybu, potem w górę. Zgadując po ognikach lamp, z wylotów wyższych tuneli spoglądało w moim kierunku dziesięciu,

może piętnastu innych górników.

- Na co się gapicie? Dniówkę w prezencie chcecie dostać? - Hanuri nawet na moment nie wyszedł ze swej roli przodownika.

- Przesuniemy się do sztolni obok Mokrej Dziury. Póki co będziemy tam składować urobek, a potem się to wszystko wywiezie naraz, na koniec zmiany. Davis, zarządz, żeby obsługa na górze się nie opierdalała, niech czekają na węgiel!

Więcej nie było trzeba. Górnicy zaczęli się powoli rozchodzić do swoich zajęć.

- Holmegor! - krzyknąłem w górę szybu. - Jesteś mi dłużny trzydzieści złotych. To przecież żaden majątek. Zapłać i będziemy kwita! Te pieniądze nie są warte kłopotów, które ci jeszcze sprawię!

- Nikt, słyszysz? Nikt mi się nie będzie przeciwstawiał! I to na mojej własnej ziemi!

Kretyn. To nie była jego ziemia, Holmegor nie dostał jej nawet w lenno, on ją zwyczajnie dzierżawił.

- Zabiłeś mojego człowieka, dopadnę cię za to! - poznałem głos wąsatego.

Czyli ten, którego sięgnąłem kamieniem, już się nie podniósł. Może cierpiał na zrzeshotnienie kości albo co? Choć przynajmniej wiedziałem, na czym stałem. Zgrywanie ostatniego sprawiedliwego nie miało dalej sensu.

- Pomóż mi - zwróciłem się do Hanuriego. - Na początek muszę się pozbyć tego. - Uniosłem ręce, podzwaniając łańcuchami. - No i przydałby mi się przewodnik. Ich jest cała zgraja, a ja sam jeden. Bez kogoś, kto wie, jak tu się poruszać, nie mam szans.

Przyglądał mi się bez słowa.

- Przydałaby mi się też jakaś broń. Takie zabijanie gołymi rękoma to ciężka robota, a ja mam kłykcie poobijane jeszcze po wczorajszym.

- Holmegor obiecał nagrodę - przypomniał mi.

Prędzej czy później złotu ulegnie każdy, lecz Hanuri nie wyglądał na kogoś, kto schyliłby się po każdą monetę.

- To dusigrosz i idiota. Przez te trzydzieści złotych straci znacznie więcej. Naprawdę wierzysz, że będzie potem skłonny jeszcze wypłacać jakieś nagrody?

- Może tak, a może nie. - Wzruszył ramionami.

Nijak nie mogłem odgadnąć, co Hanuriemu siedzi we łbie, ale bardzo potrzebowałem kogoś po mojej stronie. Czas zamieszania, czas, kiedy mogłem się jeszcze jakoś szybko wywinąć, minął bezpowrotnie. Wąsaty wiedział, co robić, i przypuszczałem, że jego ludzie już zdążyli zgromadzić górników, którzy potrafią poprowadzić ich pod ziemią. Pewnie zdążył też obsadzić wyloty wszystkich szybów.

Po poprzednim huku walącej się windy i krzykach ludzi teraz panowała nadnaturalna wręcz cisza. Ustały skrzypienia, odgłosy kilofów, nie było słycać nic, tylko nasze oddechy. Wydawało mi się, że słyszę, jak osiada na nas i na kamieniach węglowy pył. Kiedy indziej pewnie bym nawet na to nie zwrócił uwagi, ale teraz było to wręcz uderzające.

- Dlaczego to wszystko robisz? - postawił mi pytanie.

Udało mi się wreszcie wpaść na to, co tu robił on. Miał rodzinę, a z nią plany i przyszłość. Musiał zarobić pieniądze nie tylko dla siebie, ale i dla nich. Ja rodziny już nie miałem. Niektórzy zostali straceni, inni po prostu zabici, jeszcze inni... Wciąż musiałem gonić za pieniędzmi, aby ich w ogóle przy życiu utrzymać. Dwa razy do roku musiałem na oznaczone konto posyłać sumę, za którą człowiek rozsądny mógłby wieść całkiem zamożne życie. Musiałem, bo w sejfie Cesarskiego Banku Crambijskiego leżało oskarżenie o czarostwo podpisane przez głównego inkwizytora Zakonu. Gdyby je dostarczono pod właściwy adres, na stosach spłonęliby wszyscy moi krewni, aż do siódmego stopnia. Nawet tacy, o których istnieniu nie miałem pojęcia. Po tylu latach przestali być moją rodziną nawet ci, z którymi dorastałem. Dla pieniędzy uczyniłem wiele rzeczy, które mnie odmieniły, które zmieniły to, co do nich czułem. Zwyczajnie przestałem lubić ludzi. Jakichkolwiek. Jedyne, co mi pozostało, to co pół roku wpłacać sumę, za którą można by

kupić ładny kawałek ziemi i gospodarstwo.

- Potrzebuję pieniędzy - odpowiedziałem sucho. - Dużo pieniędzy.

Może powinienem mu być powiedzieć więcej, wyglądał na człowieka, który zrozumie bliźniego w potrzebie, pewnie by nawet docenił, gdybym mu wyjawiał moją prawdę. Nie wyjawilem. Jakoś nigdy nie potrafiłem się do tego zmusić. Jedyne, co mogłem zrobić, to czekać, aż podejmie decyzję. Nawet się nie zastanawiałem nad tym, czy będę musiał zabić Hanuriego, czy w ogóle podniosę na niego rękę. Samo się okaże. Też nie wyglądał na kogoś, kto sobie nie potrafi w życiu poradzić i się o siebie zatroszczyć. Czego można było spodziewać się po mnie, po poprzedniej nocy dobrze już wiedział.

- Co ja z tego będę miał? - przerwał moje rozmyślenia.

Takie podejście rozumiałem. Może coś nas jednak łączyło? Może mogliśmy się dogadać?

- Mnie potrzeba trzydziestu złotych, ani mniej, ani więcej. Co mi się z Holmegora uda wydusić ponadto, jest twoje.

- Nawet gdyby to było pięćdziesiąt? - Chciał się upewnić.

- Nawet. Ale jeśli tylko trzydzieści, będziesz się musiał obejść smakiem.

Chwilę się nad tym zastanawiał, wreszcie kiwnął głową.

- Stoi. Wyglądasz na takiego, co dotrzymuje słowa. Ale walczyć ani zabijać dla ciebie nie będę. Znam tych ludzi, to dobre chłopaki. Poprowadzę cię kopalnią, zabiorę do wyjścia. To wszystko.

- I zdejmiesz ze mnie te ozdóbki. - Pokazałem mu łańcuchy.

- Pewnie, wliczone w umowę. - Znów przytaknął.

Przeszliśmy drobny kawałek wąskim korytarzem do miejsca, w którym wykuta przestrzeń okazała się na tyle duża, że światło lampy Hanuriego rozprasało się w mroku, ledwie tylko sięgając ścian. Zgadywałem, że jaskinia była na kilka kroków długa i szeroka.

- Narzędziownia - wyjaśnił. - O wiele wygodniej jest je trzymać

tutaj, niż tachać w górę i w dół za każdym razem.

Pod ścianą stał wielki, poczerniały od węglowego miazgu dębowy pień. Hanuri skądś wytrzasnął ciężki przecinak i wielgachny młot.

- Holmegor oszczędza wszędzie tam, gdzie nie powinien. Łańcuchy są niehartowane, same pękają - wyjaśnił.

Położyłem rękę na pieńku. Zakładałem, że będę musiał przytrzymać mu przecinak tak, aby obiema rękami mógł wziąć dobry zamach młotem, ale okazało się, że żadnej pomocy nie potrzebował. Łup, cup i z moich przydługich ozdób pozostało po jednym ogniwie dyndającym przy obręczach na moich nadgarstkach.

- No i załatwione - ocenił swoje wysiłki.

Był silny. Mało który wielki chłop jest w istocie tak silny, na jakiego wygląda. A on był. Wśluchiwałem się w echo dwóch uderzeń młota niosące się chodnikami, próbując odgadnąć, jak daleko sięgają. Mogliśmy być z pięćdziesiąt metrów pod ziemią, może nawet więcej. Najpierw zabiję ich wszystkich, a potem będę się martwił, jak się wydostać na powierzchnię - wybrałem najprostsze rozwiązanie. Takie lubię najbardziej.

- Potrzebowałbym jakiejś broni, żebyś się nie musiał za mnie bić - powiedziałem. - Ten młot wygląda poręcznie.

- Za ciężki do bitki. - Pokręcił głową.

Miał tupet, nie ma co.

Sięgnął w ciemność i podał mi długi, stalowy pręt, zaostrzony na końcu. Zważyłem go w ręce, kilka razy machnąłem nim na próbę.

- Używamy ich do wyszukiwania niepewnych miejsc oraz kieszeni z metanem.

Jak dla mnie, mogli tym wyszukiwać i nogawki z metanem. Był to słuszny kawał przyzwoitej stali, przebić nim chłopca na wylot nie powinno stanowić problemu. No, chyba żeby jakimś niewyobrażalnym pechem trafić w kręgosłup, wtedy trzeba by się przyłożyć trochę więcej.

Kiedy wypróbowałem broń, Hanuri bacznie mi się

przyglądał i nie bardzo podobało mu się to, co zobaczył. W migotliwym świetle lampy jego twarz zamieniła się w maskę zaniepokojonego, starego bóstwa. Cóż, jego problem.

- Jak powiedziałem, wskażę ci drogę i nic poza tym. Nie kiwnę palcem, nawet gdyby cię na moich oczach mieli zabić - przypomniał mi. - Jestem tu przodownikiem, jedna trzecia chłopaków dostaje pełne wynagrodzenie tylko dzięki temu, że się o nich troszczę i nie pakuję w kłopoty. Mam dwójkę dzieci, chętnie doczekałbym się trzeciego.

- Zrozumiałem przecież. - Wzruszyłem ramionami. - Nic więcej od ciebie nie chcę, nasza umowa jest jasna.

W mroku korytarza coś się poruszyło. Nigdy bym nie przypuszczał, że szczury mogą żyć tak głęboko.

- Bazg! - zareagował na szmer Hanuri. - Chodź tutaj.

Z ciemności wynurzył się zgarbiony człowiek. Całą jego łysinę pokrywała jedna wielka blizna. Wyglądał, jakby go ktoś kiedyś z upodobaniem próbował oskalpować.

- Obiecali za niego nagrodę - wymamrotał garbus.

Chyba brakowało mu kilku zębów, z pewnością na przedzie. Moje własne po wczorajszym dopiero przestawały się ruszać. Jak zawsze. Do czasu.

- Jak myślisz, ile by ci Holmegor za niego zapłacił?

- Będzie pewnie z pięć srebrnych - odpowiedział Bazg.

To już nawet nie brzmiało jak mamrotanie, bardziej jak szelest. Zębów faktycznie musiał nie mieć. A zatem dobrze mi się wydawało, szczury były w stanie przeżyć tak głęboko.

- Jak będzie po wszystkim, masz je u mnie.

- Rozumiem, szefie.

Ruszyliśmy w ciemność. Hanuri przykręcił lampę do tego stopnia, że prawie nie widziałem, po czym stąпам.

- Holmegor to dusigrosz... - zaczął cicho wyjaśniać, kiedy posuwaliśmy się powoli w gęstych ciemnościach.

Jak na mój gust, chodnik był aż za ciasny. Co chwila waliłem w coś głową albo ocierałem się o ściany ramionami.

- Ale ma bardzo doświadczonego sztygara, na którego się zda.

Mamy tutaj siedem szybów. Jednak oprócz wyrobisk i korytarzy, które służą do wydobycia węgla, kopimy też szyby poprzeczne dla wentylacji. U ich wylotów korzystamy nawet z wiatraków.

Czekałem, żeby dowiedzieć się, co z tego słowotoku wynikało dobrego dla mnie.

- Jak już powiedziałem, Holmegor oszczędza więcej, niżby dyktował rozsądek. Wiele szybów wentylacyjnych nie jest należycie utrzymywanych. Chłopaki wiedzą, że nie na wszystkich można polegać.

Było oczywiście, że Hanuri znał kopalnię jak własne podwórko i doskonale wiedział, na ile i gdzie mógł sobie pozwolić. Zmiana echa jego głosu kazała mi się domyślać, że zbliżamy się znów do większego wyrobiska. I całe szczęście, bo od ciągłego walenia głową w stemple czułem się już jak wołowa bitka.

- Skrzyżowanie - wyjaśnił, kiedy wyszliśmy z korytarza. Rozpostarłem ramiona, ale nie udało mi się sięgnąć ścian. - Pójdziemy tędy. - Złapał mnie za łokieć i obrócił w pożądanym kierunku. - To najkrótsza droga do ósmego szybu.

Byłem przekonany, że wcześniej wspominał tylko o siedmiu.

- Holmegor spisał go na straty, ale my w dalszym ciągu go utrzymujemy, że tak powiem, w wolnym czasie. - Hanuri zaśmiał się sam do siebie.

To brzmiało obiecująco. Była szansa, że wąsaty o nieużywanym szybie nie będzie nic wiedział. Posłusznie dreptałem za Hanurim i starałem się pokazać ciemności, jaki to ze mnie twardziel. Nie wychodziło mi to najlepiej, była wszędzie. W oczach, w ustach, połykałem ją i mało się nią nie dławiłem. Jednak nic, ani ciemność, ani wąski korytarz, przez który musiałem się teraz przeciskać bokiem, nie mogły mnie zatrzymać. Migocząca lampa Hanuriego wyznaczała szlak. Z każdym krokiem nabierałem przekonania, że wyjście jest już niedaleko, że za parę chwil znów wychynę na światło dzienne. Nie bałem się śmierci, ale umierania w ciemnościach tak. Dziwne.

Na kolejnym skrzyżowaniu, które - wnioskując po echu naszych kroków - musiało być mniejsze niż poprzednie, ale wciąż zbyt

rozległe, by sięgnąć ścian, zatrzymałem Hanuriego. Obrócił się. Głębokie cienie pobudzone do życia skaczącym płomieniem zmieniły jego twarz w jakąś upiorną maskę. Właśnie takie maskarony wieńczyły arenę. Zastygłe w agonicznym grymasie oblicza zwycięzców i pokonanych.

- Nie jesteś jedynym, który wie o istnieniu ósmego szybu wentylacyjnego - zaszeptalem tak cicho, że gdybym się nie nachylił do jego ucha, pewnie wcale by mnie nie usłyszał.

- Pewnie. Wie o nim każdy, kto przepracował tu więcej niż jeden okres - odpowiedział.

Wąsаты o nim wiedział. Niemożliwe, żeby o nim nie słyszał. Już tam na mnie czekał.

- Wyjdźmy gdzie indziej - zażądałem, mimo iż protestował przeciwko temu każdy najdrobniejszy kawałeczek mojego ciała.

- Dlaczego? Myślisz, że im ktoś pomaga? Że ich ktoś doprowadził?

Nie musiałem nawet odpowiadać. Cisza nie była już tak absolutna, jak przed paroma chwilami.

- Cholera! - zaklął. - Musimy uciekać.

Za późno, byli już zbyt blisko. A nawet jeśli nie, to ucieczka nie wchodziła w grę. W pośpiechu na pewno rozbiłbym sobie łeb, poobtłukiwał łokcie, kolana i diabli wiedzą co jeszcze. Już lepiej stawić im czoła.

- Odsuń się. Tylko lampę postaw tam, na ziemi. Nie będziesz się przecież za mnie bił - przypomniałem mu, kiedy się wahał.

Sam stanąłem plecami do ściany, a półtorametrowy pręt, o który do tej pory tylko się potykałem, uniosłem na wysokość piersi. Hanuri zniknął błyskawicznie i bezszelestnie. Chłop tak wielki jak on nie powinien znikać tak cicho. Może to jakaś górnicza specjalność? Knot w lampie powoli się dopalał, kroki zbliżających się brzmiały coraz głośniejsze, ale równocześnie jakos tak dziwnie, jakby dobiegały z różnych kierunków równocześnie. Początkowo wydawało mi się, że schodziły się tu tylko trzy korytarze, ale teraz odniosłem wrażenie, że musiało ich być znacznie więcej. Sprawdziłem ścianę za moimi plecami. Była

tam, nie stałem u wylotu korytarza. Trzeba mieć coś, na czym można polegać. Sam, pod ziemią, otoczony przez nieprzyjaciół.

Brzęknięcie żelaza o kamień zabrzmiało tak głośno, że aż się chciałem instynktownie rzucić w stronę źródła dźwięku, ale na kilka kolejnych uderzeń serca zapanowała znowu cisza. Pieprzona nora.

Nagle w ciemności przede mną pojawiły się dwa jasne punkty. Zorientowałem się, że to oczy. A skoro widziałem je ja, to i one musiały widzieć mnie. Na szczęście bardziej interesowała gościa stojąca na ziemi lampa. Wtem świetliki oczu drgnęły i zapłonęły jakby jaśniej. Dostrzegł mnie. Rzuciłem się jak sprinter, w odpowiednim momencie dźgając na wprost stalowym prętem. Nie zatrzymałem się, napierałem całym ciężarem ciała. Ktoś przeraźliwie wrzasnął. Straszny dźwięk. W podziemiach nie powinno się krzyżeć. Stalowy szpic przeszedł przez miękkie mięso, otarł się o kość i wbijał głębiej. Uderzyłem w niego ciałem, ale napierałem dalej, ze sprintera zmieniając się w zapaśnika, pchałem faceta przed sobą w korytarz. Znowu czyjś wrzask. Pręt przeszył drugiego na wylot i dźgnął następnego. Światła ubywało, widać upuszczali lampy w pośpiechu, łapiąc się za broń.

Nie było to tak całkiem bez sensu, tyle że ja miałem już w dłoni nóż, który szczęśliwie namacałem przy pasku trupa przede mną. Cofnąłem się o krok i pozwoliłem, aby ciała nabite na pręt osunęły się na ziemię. Znowu zaatakowałem, lecz tym razem pręt już puściłem. Ciemności przede mną nastąpiły absolutne, więc zacząłem siekać na oślep. Poczułem, jak kaleczę sobie rękę o kolczą koszulę czy coś podobnego. To mi zdradziło, gdzie stał jej posiadacz. Chlastałem go dotąd, aż poczułem, jak rosi mnie ciepły, lepki deszcz. Przekleństwa, krzyk, paniczne wycie. Nie zatrzymałem się ani na moment, nie mogłem im dać szansy na opamiętanie się.

Nagle zrobiło się cicho. Stałem. Cisza była tylko pozorna. Słyszałem słabnący charkot i pęknięcie baniek z krwi. Musiałem komuś przebić płuco i teraz leżał gdzieś bez słowa i nadziei na

przeżycie. Ciemność też była pozorna. W oddali przede mną jarzył się blado jakiś nieokreślony poblask. Smród śmierci nasilił się, zrobiło mi się niedobrze. Zacząłem się wycofywać, aż dotarłem do skrzyżowania, z którego ruszyłem do ataku. Lampa wciąż jeszcze dawała trochę światła.

- Możemy iść, droga wolna - powiedziałem.

Z nicości wynurzył się Hanuri.

- Są martwi? - zapytał.

Znałem ten ton. Sam już znał odpowiedź, ale jeszcze nie dowierzał.

- Ilu ich było? Żołnierze czy górnicy?

- Nie wiem. - Wzruszyłem ramionami, choć przecież nie mógł tego zobaczyć. - Są martwi, więcej nic mnie nie obchodzi.

- Racja - powiedział w końcu. - Ty naprawdę się rwiesz na górę, co?

- Dokładnie. Mamy umowę - przypomniałem mu.

- Owszem. A wszystko, co górą, jest moje.

Nie widziałem twarzy Hanuriego, ale mógłbym się założyć, że się uśmiechnął.

- Tędy - wskazał i znów poczłapaliśmy korytarzem.

- W życiu nie widziałem kaganka, który dawałby tak mało światła, jak ten twój. - Pokusiłem się w końcu o przerwanie milczenia. Dotarliśmy wreszcie do korytarzy, w których nie musiałem się martwić, że za chwilę rozwalę sobie łeb albo skrucę nogę.

- No. Specjalnie go tak podkreśliłem - odparł. - Pali się dzięki temu dłużej. Teraz pójdziemy skrótem. Trzeba się dobrze schylić, a jak nie dasz rady, to idź na czworaka.

Im dalej, tym lepiej.

Ciemność napierała na mnie z każdej strony, a wraz z nią kamienne ściany pełne ostrych występów, nierówne podłoże z niewidzialnymi kałużami zimnej wody oraz zadymione gęste powietrze.

- Jak to się dzieje, że nie zalewa was woda? - W pobliżu płynęła przecież rzeka.

- Nieprzepuszczalne skały - wyjaśnił Hanuri. - Dobra, dalej musimy już zejść do parteru.

Posłuchałem, chociaż żadnej przeszkody nie mogłem dostrzec. Kiedy jednak nieostrożnie poderwałem głowę, zapłaciłem za to uderzeniem tak silnym, że aż zobaczyłem gwiazdy, a włosy zlepiała mi świeża krew.

- Węgla tu jest od groma, ale właśnie z powodu wód podskórnych można go wydobywać tylko w tych kilku określonych miejscach. Holmegor albo miał doradcę, który się na tym bardzo dobrze znał, albo po prostu miał szczęście - wyjaśnił Hanuri podczas jednego ze sporadycznych postojów, jakie robiliśmy dla nabrania sił. Korytarz stał się nie tylko ciasny, ale i nadzwyczaj kręty, przez co posuwaliśmy się bardzo mozolnie.

Ciemnością nagle jakby wstrząsnęły wibracje, dopiero po chwili zorientowałem się, że to echo krzyku.

- Szukają nas - skonstatował Hanuri i ruszył ponownie w drogę.

- Nie wiedzą jednak, w którą stronę się skierowaliśmy. Tu są dziesiątki kilometrów chodników.

- Może byłoby lepiej zatrzymać się i poczekać, aż się to wszystko trochę uspokoi? - zaproponowałem.

- Niech będzie - zgodził się.

W tym samym momencie zachlupotała pod naszymi nogami woda.

- Najniższy punkt chodnika, tu już jednak zaczyna przesiąkać. Bez pomp nie da się kopać głębiej, ale to by podniosło koszty wydobywania, więc Holmegor nie jest zainteresowany. Kawałek dalej jest takie miejsce, w którym możemy się ukryć.

Kryjówka była wypełniona do połowy wodą i przypominała norę, gdzie niedawno utopił się borsuk. Szczególnie zapachem. W świetle lampy Hanuriego ściany połyskiwały drobkami jakichś minerałów. Co parę chwil od sufitu odrywała się kropla wody i z głośnym pluskiem rozbijała o lustrzaną powierzchnię.

- Wystarczy nam światła? - Wskazałem migoczący płomyk.

Za żadną cenę nie chciałem znaleźć się w zupełnych

ciemnościach. Na tej głębokości bałem się tego stokroć bardziej niż całej tej nagonki za moimi plecami.

- Knot jest tak przykręcony, że wytrzyma dzień z nawiązką - uspokoił mnie.

- To dobrze. - Kiwnąłem głową z ulgą.

Gdybym miał się znaleźć dziesiątki metrów pod ziemią bez światła, czułbym się po prostu jak pogrzebany za życia.

Czekaliśmy, a tymczasem głosy dochodzące nas korytarzem przybierały na sile. Niepokoiło mnie, że do naszej kryjówki wiodła tylko jedna droga. Równie dobrze jaskinia mogła okazać się pułapką.

Hanuri nagle zasłonił płomień specjalną przykrywką. Ciemność nabrała materialnej gęstości, stała się jak bestia miażdżąca człowieka w uścisku.

- Są blisko. Milcz, dopóki ci nie powiem - wyszeptał.

Nie miałem pojęcia, skąd on to wiedział, ale kilka oddechów później rzeczywiście usłyszałem wyraźny chrzęst kroków, zgrzytnięcie żelaza o kamień, stłumione przekleństwo.

- Jesteśmy w najniższym punkcie chodnika - powiedział ktoś. Nie rozpoznałem głosu.

- Potrzebuję porządnej mapy. Bez niej nie możemy mieć pewności, że czegoś nie przeoczyliśmy - zabrzmiała niepewna odpowiedź.

Tym razem wiedziałem, kto to powiedział. Wąsaty - dowódca oddziału, który mnie podczas mojej ucieczki o mało nie złapał, dotarł i tutaj. Ciekawe, co im Holmegor za mnie obiecał, że im się w ogóle chciało? Aż tak im zależało? Ja bym dawno machnął ręką. Oczywiście o ile nie potrzebowałbym na gwałt pieniędzy, jak w tej chwili. Do terminu zapłaty został już tylko tydzień. Zastrane trzydzieści złotych.

Pograżyłem się w starych, dobrze mi znanych, a przez to jeszcze nieprzyjemniejszych przemyśleniach. Na parę chwil straciłem poczucie upływającego czasu, zapomniałem wręcz, gdzie się znajdowałem.

- Już są daleko. - Hanuri wytrącił mnie z zamyślenia. - Jeszcze

trochę poczekamy, a potem pójdziemy tymi niższymi korytarzami do szybu wentylacyjnego na pagórku.

- Na pagórku? - zaciekawilem się.

- No. Ósemki, jak już wiemy, pilnują. Dwójka i trójka wchodzi prosto w zbocza tego pagórka, na którym stoi posiadłość Holmegora. Węgiel znajduje się tam zaraz pod powierzchnią, początkowo mieliśmy fedrować i tam, jednak potem jakoś zmienił zdanie. Ale wywietrzniki zostały, mają najlepszy cug.

Brzmiało to nieźle. Biorąc pod uwagę, że Holmegor był śmierdzącym tchórzem, mógłbym się założyć, że okolice swojego podwórka kazał przeszukać w pierwszej kolejności.

Czekaliśmy więc dalej. Ja, on, krople wiodące swój krótki żywot między sklepieniem a powierzchnią wody i ciemność. Ta była najcierpliwsza z nas wszystkich.

- Idziemy? - zapytałem w końcu, kiedy nie mogłem już znieść tego siedzenia w miejscu. Na zewnątrz mogła już równie dobrze panować noc, straciłem poczucie czasu. A i miejsca, na dobrą sprawę, też.

- Dobra, czemu nie... - zgodził się. Odsłonił płomyk, który znów odepchnął od nas napastliwą ciemność na kilka nieodległych kroków.

Podniosłem się zdrętwiały. Powierzchnia wody rozfalowała się, skórę przeszył chłód. Przez cały ten czas trzymałem swój stalowy pręt pod wodą, zaostrzonym końcem celując w wyjście z kryjówki. Gdyby ktoś tam nas nakrył, nie miałby o nim pojęcia do momentu, aż byłoby za późno. Palce mi przez to zeszywniały jak nakrochmalone.

- Z powrotem do skrzyżowania, a potem pierwszym korytarzem w prawo - zakomenderował Hanuri. Byłem bliżej wyjścia, w tej ciasnocie nie mieliśmy nawet jak obejść jeden drugiego.

Szedłem po omacku z ręką wyciągniętą przed siebie na wypadek jakichś niespodziewanych przeszkód, ale do skrzyżowania udało mi się dotrzeć bez żadnych problemów. Powietrze było tu o niebo lepsze niż w borsuczej norze.

- Idę pierwszy - zdecydowałem i urwałem natychmiast, niemalże w pół słowa.

Popatrzyliśmy po sobie. Widziałem, jak oczyma bada ściany lśniące od ściekającej wody. Echo moich słów zabrzmiało zupełnie inaczej. Dźwięk powinien się odbijać od nagich skał, jak poprzednio, a się nie odbijał.

Z korytarza po lewej wynurzył się pokrzywiony Bazg, za nim jeszcze trzech górników. Nasza droga w dalszym ciągu pozostawała otwarta, ale nie mogliśmy pozwolić, żeby wiedzieli, którąś dajemy chodu.

- Czego za nami lezicie? - spytał Hanuri.

Powiedział, że za mnie bić się nie będzie, to było jasne. Ale czy biłby się ze mną, gdybym zaczął zabijać jego ludzi? Oto dobre pytanie.

- No jak to: czego? - obśmiał się Bazg. - No przecie, że dla kasy.

- I co, myślicie, że wam się opłaci? Widzieliście, co zrobił z wojskowymi? - Hanuri wskazał mnie ręką. - Ilu znaleźliście martwych na krzyżówce?

Jeden z górników splunął.

- Trzech. I jednego ostro poharatanego - wymamrotał. - Raczej nie wyżyje.

No patrzcie, a głowę bym dał, że tam było tylko trzech. Zresztą w takim zamieszaniu każdy mógł się pomylić.

- Dla nas wszystkich będzie najlepiej, jeśli damy mu odejść i będziemy udawać, że nigdy go nie widzieliśmy - próbował im przemówić do rozumu Hanuri. W kontekście trupów, które znaleźli, jego słowa nabierały dodatkowej wagi.

Powinien dodać do tego jeszcze parę groszy. Pieniądze zawsze mają dar przekonywania. Drugi w kolejności po hartowanej stali. Pech chciał, że sam nie miałem dość, aby im taką gratyfikację zaproponować.

- A tobie co obiecał za pomoc? - Bazg uśmiechnął się pogardliwie.

Zrozumiałem, że tak naprawdę wcale nie chodziło mu o

pieniądze. On po prostu chciał się poczuć ważny i jeszcze do tego mieć kogoś, kto by go słuchał i za nim poszedł.

- Holmegor ukradł mi trzydzieści złotych i tyle chcę odzyskać z powrotem. Wszystko, co zdobędę ponadto, jest jego. - Wskazałem Hanuriego.

- Nasze - uzupełnił Hanuri, zapraszającym gestem dopuszczając pozostałych do spółki.

Staraliśmy się obaj, ale kiepskie to było staranie, bardzo kiepskie. Człowiek w złoto wierzy tylko wtedy, kiedy je widzi, kiedy je ma na wyciągnięcie ręki, kiedy to złoto szepcze mu prosto do ucha „mój panie”.

- Wyjdzie tego dużo mniej, niż nam obiecał Holmegor - zaczął się targować Bazg. - Od ciebie możemy nie dostać nic, a od niego tygodniówkę na łebka. - Zatoczył ręką koło, wskazując na swoich kumpli.

Z pozostałych korytarzy wychynęło ich jeszcze więcej. Po dwóch, trzech z każdego wylotu.

- Jest też inna możliwość, że na was te pieniądze zaoszczędzi - podsunąłem. - Martwym nie trzeba płacić nic.

Pomimo iż wokół nas przybyło lamp, z których każda była podkrecona silniej niż Hanuriego, światła przybyło jedynie odrobinę. Sama nasza obecność i błyszczące spojrzenia wydawały się je pochłaniać. Widziałem pały, młoty i spore, choć spracowane, noże. Z moim zaostrzonym prętem mogłem nieprzyjemnie ich zaskoczyć.

- Te wszystkie groźby są chyba zbędne, co? Nie będziemy się przecież zabijać dla kilku zasranych groszy. Nikt tu chyba nie będzie na tyle głupi - powiedział Hanuri, kręcąc głową, jakby sam nie mógł uwierzyć, że w ogóle doszło do takiej sytuacji.

- Ciebie zabijać nie musimy, wystarczy, że staniesz po właściwej stronie.

W sprawie pojednania na Bazga nie było co liczyć.

Nie przepadam za rozprawianiem o zabijaniu. Już wolę zrobić, co trzeba, bez zbędnych gadek. Nieistotne detale zniknęły. Została tylko broń, ściskające ją ręce, ułożenia ciała, dogodne

sytuacje, okazje do ataku, błyskawiczne decyzje.

- Obiecałem, że go wyprowadzę na powierzchnię, i słowa dotrzymam. Znacie mnie, jestem przecież waszym przodownikiem. Pieniędźmi się z wami uczciwie podzielę. No to co wam się lepiej opłaci? Albo wszyscy wyjdziemy z tego bogatsi, albo zostaniemy z tym, co mamy w kieszeniach teraz. Kto by nie chciał zarobić bez wysiłku, siedząc spokojnie na dupie?

Hanuri wykazywał się uporem godnym lepszej sprawy. Ja bym już dawno machnął ręką.

Stal w mojej dłoni robiła się coraz cieplejsza. Niemalże zrosła się z ciałem, stawała się częścią mnie samego.

Wyglądało na to, że słowa przodownika przynajmniej kazały im się chwilę zastanowić. Dotarło wreszcie do nich, że nie miałem zamiaru się poddawać, przypomnieli sobie zabitych, a do tego wiedzieli, że Hanuri był na wskroś uczciwy.

Bazg również się zorientował. Wielka szansa na przywództwo zaczynała wymykać mu się z rąk. Jeszcze moment i będzie za późno, jeszcze moment i do końca życia pozostanie tym, czym był do tej pory - nędznym wypierdkiem. W takich właśnie chwilach ludzie stają się najniebezpieczniejsi.

- Wara od naszego złota! - warknął i z nożem w ręce rzucił się do ataku. Ale nie na mnie, na Hanuriego.

Hanuri tylko się nieznacznie usunął, przychylił, obrócił, chwycił oniemiałego Bazga w pasie, zakręcił młyńca i cisnął z powrotem, skąd tamten wyskoczył, prosto w jego kumpli. Byłem pod wrażeniem.

Ktoś krzyknął, potem jęknął. Jakimś cudem Bazg utrzymał się na nogach. Ostrze jego noża straciło blask, pociemniało. W dziennym świetle zapłonęłoby szkarłatem.

- Zabił Lotara! Zabił Lotara! - zaczął się drzeć, jakby postradał zmysły.

Tego, że sam ścisnął w ręce zakrwawiony nóż, jakoś nie dostrzegł.

Moment, w którym waży się wszystko, drobina czasu

wykrojona z otaczającej nas ciemności, w niej kopzące knoty lamp, rozjaśnione nimi ściągnięte twarze mężczyzn.

- No, na co czekacie? Na niego!

Złapał jednego ze swoich kumpli i pchnął na nas. Ci stojący po drugiej stronie dostrzegli tylko tyle, że jeden z ich ludzi ruszył do ataku, to wystarczyło.

Zanim nas dopadli, staliśmy z Hanurim plecami do siebie, jakbyśmy to mieli przetrenowane. Mój pręt ciał powietrze, ostry koniec zahaczył o uniesiony łokieć ręki dzierżącej solidny młot. Krótkim wypadem minąłem zranionego i wbiłem tępy koniec stalowej tyki kolejnemu napastnikowi w brzuch, aż sflaczał jak przebity bukłak. Rękami zasłoniłem się przed spadającym z góry ciosem pałą, tamten pociągnął go po łuku, na mój zbolwały od schylania się grzbiet.

Krzyki, rżenie, sapanie, zawierucha na całego. Mój pręt uwiązał w ciżbie, w ostatniej chwili przystanąłem, schyliłem się i zdecydowanym krokiem w tył zaskoczyłem jakiegoś gościa, który chciał mi pałą rozbić łeb. Przeleciał przeze mnie i padł prosto pod nogi jednego ze swoich kompanów. Obaj dostali po pysku aż miło.

Dopiero teraz, z pustymi rękami, zaczynałem się czuć w swoim żywiole. Wbiłem komuś pięść w piwne brzuszysko aż po łokieć. Nie tylko ustał, ale próbował nawet posłać mi serię ciężkich ciosów na korpus. Założyłem mu dźwignię na ramię i użyłem jako tarczy przed kolejnymi napastnikami. Podciągnąłem dźwignię i z bólu skoczył do pólśalta prawie o własnych siłach. Kilku zwalonych z nóg mężczyzn runęło z ogromnym pluskiem do wody. Krótka przerwa. Za moimi plecami też się nieco uspokoiło. Na młyńcach Hanuriego można było polegać.

Dwóch pierwszych powoli dźwigało się na nogi. Jeden z mozołem, widać było, że próbował zgadnąć, co się z nim stało. Ten drugi jednak wyglądał zaskakująco świeżo. Jakby kąpiel w zimnej wodzie była jedyną nieprzyjemnością, jaka go w całym tym bajzlu spotkała. W każdej ręce trzymał nóż, a wyraz twarzy miał aż nadto znajomy.

- Vade, daj spokój! Rzuć te noże! - gdzieś z tyłu dobiegł głos Hanuriego.

Vade, czy jak mu tam było, potrząsnął tylko głową, jakby chciał strząsnąć spływające mu po twarzy kropelki wody. Jeden nóż trzymał ostrzem do góry, drugi w uchwycie obronnym, wzdłuż przedramienia. Widać, że już się musiał kiedyś bić na noże. I to nie raz.

- No to chodź - zaprosiłem go. Sam stanąłem w lekkim rozkroku z rękoma opuszczonymi swobodnie wzdłuż ciała.

Łatwy, nieruchomy cel. Takim mu się musiałem wydać, bo rzucił się na mnie tak, jakby chciał zakończyć jednym ciosem pod żebra, a w przypadku kontrataku zbić go bez problemów drugim ostrzem. Czego jednak nie dostrzegł, to mój stalowy pręt, który upuszczony wylądował na kamieniu pod ścianą, a teraz był mniej niż na wyciągnięcie ręki ode mnie. Nogami nawet nie ruszyłem z miejsca, sięgnąłem tylko po pręt i dźgnąłem Vade'a prosto w pierś. Refleks miał zaskakująco dobry, częściowo zdołał mój atak zablokować. Tylko częściowo. Zamiast trafić prosto w serce, stal przeszła mu lewy bok tuż nad biodrem. Wylądował w wodzie, zwinięty w kłębek, z krwawą pianą na ustach.

- No, i to by było tyle... - Rozejrzałem się niespiesznie.

Hanuri stał oniemiały, spoglądał na mężczyzn leżących i siedzących na ziemi, skulonych pod ścianami. Kilku martwych, dwóch, może trzech już się nie wylizze, pozostali z kolei zostali poturbowani tak, że tej bijatyki nie zapomną do końca życia. Tego byłem pewien.

- Niezła rozróżba - skonstatowałem.

- Niektórzy nie żyją - powiedział Hanuri. W jego głosie brzmiało wyraźne niedowierzanie.

Jak na kogoś o takich możliwościach, wykazywał się nieoczekiwanymi skrupułami.

- Ich wybór. - Wzruszyłem ramionami. - Musimy ruszać, chyba że chcesz podobiać tych, którzy przeżyli, żeby nikomu nie zdradzili, którądy poszliśmy.

- Idziemy - odparł Hanuri, próbując ukryć narastającą w nim wściekłość. - Im szybciej się ciebie pozbędę, tym lepiej.

Niedawno wydawałoby mi się to niemożliwe, a jednak tym razem korytarzami pełnymi zakrętów, zagłębień, porzuconych wózków i drewnianych torów gnaliśmy w pełnym pędzie. Jeszcze się nie zdążyłem od tego biegu zadyszeć, a już chodniki za nami ożyły dźwiękami. Znow nas ścigali. Nie rozumiałem, jak to było możliwe, zakładałem, że Bazg o swoich planach powiedział tylko tym, których ze sobą zabrał do pomocy. Może ich na nas ściągnęły hałasy. Tak całkiem po cichu żeśmy się przecież nie tłukli.

- Rzucę okiem, zaczekaj tutaj - ostrzegł mnie Hanuri i zniknął za rogiem.

Wyłonił się zza niego krótką chwilę później i zanim jeszcze przygasił lampę, zakrył mi dłonią usta. Równoległym chodnikiem, połączonym z naszym krótkim korytarzykiem, przeszedł mały oddział. W mroku nie było widać, czy górnicy, czy żołdacy, ale każdy z nich niósł lampę i jakąś broń.

- Spróbujemy innej drogi - wyszczał Hanuri po chwili zastanowienia. Ruszyliśmy dalej nieprzeniknionym jak dla mnie podziemnym labiryntem.

Przestałem się orientować w układzie korytarzy. Idąc po omacku, obeszliliśmy dwa szyby wentylacyjne, w których pooddychaliśmy chwilę świeższym powietrzem. Wydawało mi się, że nad głową dostrzegłem gwiazdy, ale mogły to też być oddalone płomyki lamp.

- Wkraczamy teraz do opuszczonej części chodnika, w której już nie fedrujemy. Ale będziemy szli głównymi korytarzami, te powinny być wciąż w porządku - szepnął Hanuri, zanim doszliśmy na kolejne skrzyżowanie.

Byliśmy już całkiem blisko, kiedy zatrzymały nas szmery i odgłosy tłumionej rozmowy. Ostrożnie, krok za krokiem, podkradliśmy się na tyle, żebyśmy mogli wyrzeć. Skrzyżowania pilnowało kilku ludzi w mundurach stałej obsady Holmegora. Po cichu wycofaliśmy się na bezpieczną odległość.

- Wygląda na to, że Holmegor rzucił wszystkich ludzi, jakimi dysponował. I to zarówno wojskowych, jak i górników. - Hanuri potwierdził tylko to, czego sam już zdążyłem się domyślić. - Dlaczego?

Zastanowiłem się przez chwilę. Holmegor obiecał mi robotę, lecz słowa nie dotrzymał. No niech to, zdarza się. Obiecał mi też zwrot wydatków na podróż, z czego nie zobaczyłem złamanego grosza. Pies srał i to. Potem odebrał mi moje ciężko zarobione pieniądze. Trzydzieści złotych. Jak tak policzyć, ile go będzie kosztować wstrzymanie wydobywania, dodatkowy żołądek dla wąsatego i jego koleżków, no i nagroda za złapanie mnie, nijak się to nie kalkulowało. Już najbardziej opłacałoby mu się machnąć na mnie ręką i dać mi uciec.

- Boi się - odpowiedziałem. - Ktoś mu powiedział, kim jestem, i przestraszył się, że będę chciał wyrównać z nim teraz rachunki. Więc się mnie chce za wszelką cenę pozbyć raz na zawsze.

No, chyba że postanowił zerwać wszelkie powiązania z półświatkiem, a ja byłem ostatnim ogniwem. Bo, na przykład, chciał odtąd żyć wyłącznie uczciwie.

- No więc kim ty w takim razie jesteś?

Tym razem uśmiechnąłem się ja.

- Już raz żeśmy to przerabiali. Niezbyt miłym facetem, tego możesz być pewien. W dalszym ciągu warto mi pomóc stąd się wydostać? - zapytałem.

- Umowa to umowa - odpowiedział. - Tyle tylko, że będziemy musieli zdać się na stare, zapomniane korytarze, które nigdy nie zostały nawet poszerzone tak, żeby można było w nich pracować. Może wciąż jeszcze da się nimi przejść.

Poczułem na plecach dreszcze. Może wciąż jeszcze da się nimi przejść... To nie była krzepiąca uwaga. Coraz bardziej przypominaliśmy dwa borsuki zaszczute przez sforę psów i zaganiane głębiej i głębiej na samo dno nory. Tam, skąd już nie było odwrotu.

- No to chodźmy.

Sztolnie, chodniki, korytarze, czy co to wszystko tak naprawdę

było, stawały się coraz ciasniejsze, coraz niższe. Najpierw zawadzaliśmy o strop głowami, potem już zgarbionymi plecami. Jednak odgłosy pogoni nie chciały nas odpuścić. Albo było to tylko jakieś złudzenie, albo rzeczywiście podążyli za nami do starej części kopalni.

Nie wiem, jak długo żeśmy się tak przeciskali, ale jak na moje obolałe plecy, było to stanowczo zbyt długo. Wreszcie dotarliśmy do miejsca, w którym korytarz skręcał w prawo tak ostro, że aż wydawał się zawracać w kierunku, z którego przyszliśmy.

- Tędy. - Hanuri wskazał coś przy samej podłodze.

Dopiero kiedy się schyliłem, dostrzegłem otwór wiodący do tunelu tak niskiego, że można się było doń wcisnąć jedynie na czworaka.

- Wiedzie prosto do sztolni numer trzy, z której nikt już węgla nie wydobywa. Ta idzie w górę, w poprzek pokładów, prawie pod samym gruntem. Uchodzi do niej przepiór z szybu wentylacyjnego, którym można się przecisnąć na powierzchnię. Przy odrobinie wysiłku.

Przyglądałem się Hanuriemu, próbując odgadnąć, czy tylko żartuje, czy rzeczywiście już mu totalnie odbiło. Przecisnąć na powierzchnię? O czym on pieprzył? Rozumiem, że na górę można się dostać na różne sposoby - wyjechać za pomocą dźwigu, wdrapać się po drabinie, czy nawet stopniach, choćby i wspiąć po skałach. Ale przecisnąć na górę? Przy moich rozmiarach?

- A co z tą starą sztolnią? Nie byłoby to łatwiejsze może? - zaproponowałem, kiedy dotarło do mnie, że nie żartował. - Powiedziałeś, że idzie pod samą powierzchnię.

- W górnictwie tego słowa znaczeniu, czyli na jakieś dziesięć, piętnaście metrów. Może nawet trochę więcej.

Długo rozważałem dostępne opcje, ale wyglądało na to, że i tak była tylko jedna. Przecisnąć się szybem wentylacyjnym...

- A co z tobą?

- Zostanę i poczekam na nich. Powiem, że zmusiłeś mnie, żebym ci towarzyszył aż dotąd. I spróbuję ich powstrzymać, choć

podejrzewam, że tam - wskazał ręką jamę - już im się nie będzie chciało za tobą tłuc. Nic tam nie jest podstemplowane, więc się chłopaki obawiają zawałów.

Kolejna dobra wiadomość.

- No. Widać ich całkiem jeszcze nie popierdoliło - mruknąłem dla podtrzymania konwersacji.

Na myśl, że będę musiał przeciskać się korytarzem tak wąskim, iż mógłbym w nim zwyczajnie utknąć i tak już zostać, aż mnie zmroziło.

- No to tylko pozostaje pytanie, czy ci uwierzą, że cię zmusiłem.

- Jestem prostym górnikiem, nie jestem tu po to, żeby chwytać zbiegów. Od tego Holmegor ma specjalnych ludzi.

Miałem co do tych słów pewne wątpliwości. Hanuri wydawał się dość doświadczony w młóceniu, a nawet likwidacji ludzi. Nie powiedziałem jednak nic, wołałem się przygotować na to, co mnie wciąż jeszcze oczekiwało. Za żadną cenę nie chciałem leżeć w tę śmierdzącą dziurę. Bałem się. Jasna cholera, jak ja się bałem. Byle tylko odciągnąć ten moment, popatrzyłem na Hanuriego. Tak jak poprzednio ja, tak teraz on zamyślił się i błędził gdzieś daleko, gdzie nikt inny wstępu nie miał.

- Tak sobie myślę, że już mi wystarczy. Chciałem zostać na jeszcze jedną turę, ale to już nie to, co dawniej. Robota coraz gorsza, ludzie jacyś tacy nieprzyjemni. Ze starej gwardii nikt się nie ostał. Machnę ręką chyba, będzie nam musiało wystarczyć to, co mamy.

Kiedy to mówił, na twarzy zagościł mu łagodny uśmiech.

- Nie mogę się doczekać, aż ich znowu zobaczę. Żonę i dzieci.

Zorientował się, że myśli na głos, łagodny wyraz twarzy zniknął bez śladu. To znów był Hanuri, który niczym rozkręcony młyn był w stanie rzucić dorosłym chłopem o ścianę tak, że tamten kończył z rozbitym łbem i połamanymi kośćmi.

- Idź. - Wskazał dziurę. - Słyszę, jak się zbliżają.

Odetchnąłem głęboko.

- Pamiętaj, co wycisnę z Holmegora ponad te moje trzy dychy,

jest twoje.

Machnął tylko ręką i jeszcze raz wskazał wejście do tunelu.

- Pierwsza część, tak do jednej trzeciej, jest całkiem łatwa. W dwóch miejscach możesz się nawet obrócić. Poczekał na nich po ciemku. - Podał mi lampę.

Z żołądkiem ściśniętym w lodowaty kamień i napiętymi wszystkimi mięśniami zacząłem się pchać do środka. Stalowy pręt, tak dla towarzystwa i na wszelki wypadek, zabrałem ze sobą.

Początkowo rzeczywiście szło mi nie najgorzej. Miejscami mogłem nawet iść schylony i tylko od czasu do czasu musiałem zejść na kolana. Potem przyszła pierwsza zapowiedź tego, co mnie miało jeszcze czekać - przewężenie, przy którym musiałem położyć się płasko na ziemi i posuwać do przodu, podciągając jedynie na łokciach. Popychałem lampę jak najdalej przed siebie, potem szedł pręt, a za nimi ja. Na szczęście już po kilku metrach sklepienie uniosło się na tyle, że znów mogłem unieść się na czworaka i tak, piędź po piędzi, parłem dalej w królestwo kamieni.

Cisza, przerywana jedynie sporadycznymi trzaskami dobiegającymi gdzieś z wnętrza skał, ustąpiła nagle miejsca niosącym się z oddali niewyraźnym ludzkim głosem, które po chwili przeszły w krzyki. Nie miałem pojęcia, skąd ten hałas dochodził, miałem jedynie nadzieję, że nie zawali mi ton skał na głowę. A gdyby zawalił, to że przynajmniej zabiłoby mnie od razu. Posuwałem się dalej naprzód, uważając, żeby się za mocno nie uderzyć, nie wyłożyć jak długi, nie zgasić niechcący płomienia lampy i nie zgubić nigdzie pręta. Jak do tej pory okazał się więcej niż przydatny. Jedno, czego o tym chodniku nie dało się powiedzieć, to że był prosty. Wił się tak, że gdyby nie to, iż nie odchodziły od niego żadne kolejne tunele, już dawno bym się pogubił. Po jakichś stu metrach mozolnej wędrówki wyczułem, jakby ktoś za mną podążał. Był to pomysł zupełnie idiotyczny, totalny nonsens. Tylko taki pomylenieć jak ja, który musiał postawić wszystko na jedną szalę, byłby gotów

wcisnąć się do tej mogiły. Zatrzymałem się i nastuchiwałem, ale dałem sobie spokój, kiedy uświadomiłem sobie, co oświetla przede mną nikły płomyk lampy. Czekало mnie kolejne przewężenie. Prześwit był na jakieś trzydzieści pięć, czterdzieści centymetrów wysoki, a szeroki też jedynie na rozpiętość łokci... Podsunąłem się kawałek bliżej i obadałem sytuację. Droga za przewężeniem nie wyglądała zbyt obiecująco. O marszu w skłonie mogłem jedynie pomarzyć. Nawet posuwanie się na czworaka było wątpliwe. Może jednak lepiej zawrócić? Wszystko w tym momencie wydawało się lepsze, niż zdechnąć z pragnienia zaklinowany gdzieś między głazami.

- Bakly! Bakly! Żwawo, depczą mi po piętach. - W kakofonii dźwięków rozpoznałem swoje imię.

Hanuri czołgał się niedaleko za mną.

W kłacie może i nie jest szerszy ode mnie, ale z tymi swoimi długimi kulaskami i tak nie będzie mu lżej niż mnie, pomyślałem ze złośliwą satysfakcją. Dopóki nie uświadomiłem sobie, że ruszył przeciw za mną dopiero przed chwilą.

Dogonił mnie, kiedy już od dobrych dziesięciu metrów pełzałem płasko na brzuchu, a oczy zalewała mi krew z rozciętej głowy.

- I co, nie przekonałeś ich? - rzuciłem półgębkiem, zanim ruszyłem dalej jeszcze węższym odcinkiem. Dobrze chociaż, że sufit tu był wyżej i można było pełznąć bokiem.

- Ano nie. Bazg przeżył i zdążył innym nagadać, że jestem z tobą w zмовie i że to ja pozabijałem część chłopaków. A do tego Holmegor podniósł nagrodę za schwytanie ciebie do pięćdziesięciu złotych.

To w dalszym ciągu nie fortuna, choć z drugiej strony, dla pracujących tu górników była to równowartość rocznego wynagrodzenia za cholernie przecież ciężką i niebezpieczną pracę.

- Ruszaj się trochę, kłocu, są tuż za mną!

Zacząłem się wpychać do kolejnej dziury. Tym razem jedynym sposobem, żeby się precyzyjnie, było położyć się na plecach i podciągać na koniuszkach palców, równocześnie odpychając

piętami od ziemi. Utkniesz tu, utkniesz, powtarzał mi w głowie obrzydliwy głos. Przy każdym wydechu zdmuchiwałem ze skały o kilka centymetrów od mojej twarzy pył, który leciał mi prosto do oczu.

- No dalej!

- Za ciebie też wyznaczylimy nagrodę?

- Bązg obiecał pięć złotych z własnych zaskórniaków. Podobno pozabijałem mu kumpli!

Pięć złotych. Mieli go za jakiegoś partacza czy co?

Tunel wreszcie trochę się rozszerzył. Mogliśmy unieść się na łokciach i posuwać nieco szybciej.

- Kawalek dalej jest takie miejsce, gdzie będziesz się mógł obrócić. Musimy się tam dostać, bo inaczej skroją mnie tu plasterek po plasterku!

Odcinek korytarza przestronny na tyle, żeby dało radę się obrócić. No, to brzmiało całkiem przyjemnie. Skała pod moimi palcami wyraźnie zmieniła się w dotyku. Nie musiałem być górnikiem, żeby zorientować się, iż znajdowaliśmy się teraz w innej warstwie geologicznej. Pełznąłem spokojnie dalej, ale Hanuri musiał już mieć oczy pełne pyłu.

- Pospiesz się, do jasnej cholery, są tuż za mną!

Złapałem rękoma za skalny próg i podciągnąłem się, w ostatniej chwili przetaczając się na bok. Zawadziłem przez to ramieniem o ostry skalny występ, ale również uniknąłem dzięki temu ostrza miecza, które wynurzyło się z mroku przede mną i natychmiast z powrotem w nim zniknęło.

Czyli że mieliśmy ich tak za plecami, jak i przed sobą. Hurra.

Przetoczyłem się na drugi bok, znów unikając ostrza dosłownie o włos. Musiał dźgać obiema rękami, inaczej nie byłby aż tak szybki. Znów złapałem za występ i wyciągnąłem się tak daleko i tak szybko, jak tylko dałem radę. Głową uderzyłem w głowę, coś cięło mnie w przedramię, pewnie jego miecz, ale sam leżałem już na nim z twarzą na wysokości jego szyi. Sięgnął do moich oczu. Światła było tu tak mało, że widziałem jedynie kształty. Sapanie i charczenie w ciemności, trzaskanie kłykci. Jeden z

jego palców znalazł drogę do mojego oka, szarpnąłem głową, co dało mu dodatkową chwilę. Sam błdziłem dłońmi pod kołnierzem jego kaftana. Z rękoma wyciągniętymi daleko przed siebie nie miałem szans na zadawanie ciosów.

- Ruszaj się! - wrzeszczał z tyłu Hanuri.

W oczach znów poczułem palce tego gościa. Wsparłem się kolanami o ściany tunelu, przyciągnąłem faceta bliżej do siebie i zyskałem w ten sposób wystarczająco dużo miejsca, żeby złapać go za gardło. Bezlitosne pazury znów wbiły mi się w oczodoły, ale tylko zacieśniłem uścisk i ataki nagle osłabły. Podusiłem jeszcze chwilę, po czym sięgnąłem do grdyki napastnika i zwyczajnie ją wyrwałem. Ruszyłem po trupie dalej, ciągnąc ze sobą swój stalowy pręt. Lampę zostawiłem Hanuriemu, niech się o nią martwi. To miejsce, w którym mogłem się obrócić, okazało się mniejsze niż lisia nora, ale i tak była to najrozleglejsza przestrzeń, w jakiej się od dłuższego czasu znajdowałem. Litościwie ruszyłem dalej, zostawiając tę luksusową komnatę do dyspozycji Hanuriemu. Oczy bolały mnie jak diabli, ale ze wzrokiem miałem wszystko w porządku. W korytarzu przede mną dostrzegałem bladą poświatę. Tam już czekali następni. Oni mieli światło, a ja swój szpikulec. Dobry układ. Zza pleców dobiegły mnie odgłosy walki, potem krzyk. Nie był to głos Hanuriego, jak widać, musiał się zdążyć obrócić na czas. Sam zbliżałem się już do następnego przeciwnika. Nie zwracałem sobie głowy cichym skradaniem się. W odpowiednim momencie dźgnąłem prętem w ciemność i w coś trafiłem. Ktoś wrzasnął z bólu. Naprzeciw mnie wyskoczyło wygięte ostrze. Dostrzegłem je w ostatniej chwili, nie miałem najmniejszej szansy zareagować. Na szczęście okazało się dużo krótsze niż mój pręt. Pchnąłem ramię w przód i wbiłem ostry koniec jeszcze głębiej. Wrzask przeszedł w skowyt, który raptem załamał się i umilkł całkowicie.

Świetnie.

Wtem na kark posypał mi się pył i drobne kamyki, za nimi kolejne. Po nich przyszedł pośpiesznie głęboki, przenikający do

szpiku kości dźwięk. Nigdy w życiu niczego podobnego nie słyszałem i właśnie dzięki temu natychmiast odgadłem, co to było - pękająca skała. Za mną zapadła absolutna cisza, jakby cały świat zamarł w bezruchu. Wszystko straciło nagle znaczenie: walka, przelana krew, pieniądze, o które toczyła się ta gra.

- Bakly, uciekaj! Byle dalej! Skała ruszyła!

Teraz słyszałem już i ja. Dźwięk pękających kamieni. Głęboki, na granicy słyszalności.

Uciekać? Na brzuchu? Skoro i tak innej możliwości nie ma, czemu nie?

Wąsko czy nie, parłem naprzód najszybciej jak się dało. Kawalek przede mną, na nieco szerszym odcinku, znów dostrzegłem światło lampy, a chwilę później natknąłem się na człowieka, który próbował się wycofywać. Zamiast rozsądnie przyspieszyć, zatrzymał się, żeby ze mną walczyć. Prawie od niechcienia dźgnąłem go dwa, trzy razy w twarz i kontynuowałem ucieczkę. Skała pękała, w powietrzu unosiło się coraz więcej pyłu, a ja parłem naprzód ze zdobyczną lampą w jednej ręce i szpikulcem w drugiej. Podłoga tunelu drżała pod mną. Gdzieś na górze musiały odrywać się całe bloki skalne. Skądś słychać było skowyt ginących pod zawałem. Kolejny przeciwnik, w mroku przede mną zajaśniały oczy. Skoczył na mnie niczym jakaś obłąkana podziemna żaba. Puściłem szpikulca i w ostatniej chwili odbiłem jego przedramię. Zdołał mnie tylko lekko zahaczyć nożem. Siłowaliśmy się w korytarzu, który i na jedną osobę był za ciasny, bardziej raniły nas ściany niż wzajemne ciosy. W pewnym momencie znalazłem się na ziemi, przywalony jego ciałem. Zaparłem się mocno rękoma, dokoła nas głośnie pękały kamienie, a do wtóru im, dużo ciszej, czaszka, kiedy młóciłem jego głowę o sklepienie. Długo tego nie wytrzymał, poczułem, że cały wiotczeje, odepchnąłem ciało na bok. Naraz ktoś chwycił mnie za nogi w uścisku tak mocnym, że nie mogłem nawet poruszyć stopami. Kaganek wciąż jeszcze świecił, ale w powietrzu było tyle pyłu, że i tak niewiele widziałem. Zaczynałem się nim wręcz dławić. Dotarło do mnie

jednak, że nogi od kolan w dół po prostu mi przysypało. Zacząłem rozgrzebywać ten gruz rękoma, jak tylko mogłem najszybciej, wreszcie się wyswobodziłem, złapałem pręt, lampę i chodu. Łoskot nie ustawał.

Przemieszczałem się dotąd, aż mi zabrakło sił i oddechu. Potem już tylko leżałem, zakrywając głowę ramionami, i czekałem na to, co się wydarzy.

Wreszcie piekło się skończyło. Kamienie przestały lecieć mi na głowę, pył zaczął osiadać. Oddychałem ostrożnie i powoli, mimo iż brakowało mi powietrza. Nie byłem w ogóle pewien, czy jeszcze żyję, czy tylko mi się wydawało. Ciemność panowała absolutna, lampa musiała zgasnąć przysypana kamieniami albo zaduszona pyłem. Ruszyłem znów przed siebie, tyłkiem co rusz ocierałem o strop, ale nie obchodziło mnie to już nic. Dopóki miałem się dokąd posuwać naprzód, dopóty byłem szczęśliwy. Drogę zagroził mi kłęb ludzkich ciał. Dwóch mężczyzn leżało splecionych ze sobą w sposób tak nienaturalny, że nawet nie próbowałem odgadnąć, jak zginęli. Może w panice próbowali się przedostać jeden przez drugiego. Ich lampa wciąż jeszcze paliła się kawałek dalej, gdzie ją z jakiegoś powodu zostawili. Klęcząc na czworaka, przyglądałem się twarzy jednego z nich. Miał wydrapane oczy. Kiedy go na próbę próbowałem poruszyć, z jego otwartych ust wypadły palce, które odgryzł temu drugiemu. To wszystko była jakaś makabryczna łamigłówka, na którą czułem się stanowczo za głupi. Postanowiłem ją więc rozwiązać po swojemu - na siłę. Najpierw spróbowałem gołymi rękoma, ale nijak mi to nie szło. Mogłem szarpać ile dusza zapragnie, wydawali się tylko zaciskać wokół siebie jeszcze ciaśniej. Na szczęście w boku jednego z nich tkwił wbity nóż. Niewielki, ale wystarczający. Kiedy wreszcie jeden z kręgów szyjnych puścił, w rękę została mi oddzielona od reszty ciała głowa. Byłem cały zasapany, zboczony krwią, a przed oczami latały mi ciemne pląty spowodowane brakiem tlenu. Tak to sobie w każdym razie tłumaczyłem. Jakimś zagadkowym sposobem wokół jego szyi była owinięta noga drugiego. Złamałem ją w kolanie i po chwili

szarpaniny splecione ciała zaczęły się wreszcie od siebie uwalniać. Rozdzieliłem je na tyle, żeby dało się między nimi przecisnąć, i ruszyłem w dalszą drogę. Co nie było takie łatwe. Tuż zaraz tunel zniżał się jeszcze bardziej. Nie umiałem rozeznaczyć, czy był taki od początku, czy to skutek zawału.

Pchałem się dalej, innego wyjścia nie miałem.

W niektórych miejscach musiałem wyduszać z płuc powietrze, tak było ciasno. Stalowy pręt zostawiłem w cholerę już dawno, jedynie lampę wciąż uparcie popychałem przed sobą. Następny trup leżał akurat w miejscu, w którym strop nieco się unosił. Tylko dzięki temu udało mi się po nim przejść. Faceta zabiło ostrze w kark. Tego, który je wbił, znalazłem kawałek dalej, przyszpilonego do ziemi ostrym kawałkiem skały. Przez kilka mrozących krew w żyłach chwil macałem trupa panicznie dokoła, bojąc się, że nie dam rady się obok niego przecisnąć. Na szczęście z boku zostało trochę miejsca. Powinno wystarczyć, o ile uda mi się rozebrać facetowi po kawałku klatkę piersiową. Leżąc na plecach, podparłem go kilkoma kamieniami, żeby się na mnie nie przewalił, i zabrałem się do mało radosnej roboty. Wszystko było lepsze, niż zostać pogrzebanym żywcem.

Wreszcie dotarłem do sztolni, o której mówił Hanuri. Śmierdziało tu spalenizną, zwęglonym mięsem. Zajęło mi to chwilę, zanim w mizernym świetle kaganka dostrzegłem dławczego. W rogu, w płytkim zagłębieniu, czerniło się zwinięte w kłębek spalone ciało. Rozbita lampa leżała zaraz obok. Widocznie musiał się niechcący oblać olejem i podpalić. Jediną pożyteczną rzeczą, jaką przy nim znalazłem, był kilof. Wziąłem go ze sobą i zacząłem szukać wylotu szybu wentylacyjnego. No i tak. Ja zdołałem tu dotrzeć, podczas gdy Hanuri, który znał kopalnię jak własną kieszeń, nie. Leżał gdzieś przywalony tonami skały. Martwy, o ile miał szczęście.

Moje wciąż wydawało się zbyt wielkie, aby było prawdziwe. Toteż nawet się nie zdziwiłem, kiedy okazało się, że dalszą drogę miałem zablokowaną. Wstrząsy, które spowodowały zawalenie się chodników, nie pozostawiły szybu w lepszym od nich stanie.

Wróciłem do zwęglonych zwłok i przez dłuższą chwilę po prostu stałem tak, spoglądając na przemian to w ciemność, to na dopalający się knot.

Każdy rozsądny człowiek na moim miejscu po prostu by siadł i czekał na koniec. Ale ja tak nie mogłem, aż taki rozsądny nie byłem. Zrobiłem w życiu wiele paskudnych rzeczy, które doprowadziły mnie aż tutaj. Biłem się, pojedynkowałem, zabijałem, szantażowałem i wymuszałem. Ludzie byli dla mnie wyłącznie przeszkodami na drodze. Nie mogłem się poddać, bo wszystko to poszłoby na marne. Musiałem zdobyć moje trzydzieści złotych i wpłacić je na odpowiedni rachunek. Liczyło się tylko to i nic innego.

Uderzyłem w twardą, nieustępliwą skałę. Ciemność rozświetliły tryskające na wszystkie strony iskry. Uderzyłem znowu i znowu. Kopałem ku górze, tak aby odłamki i gruz padały do korytarza za mną. Uderzenia stali mieszały się z gruchotem sypiącego się węgla i moim urywanym oddechem. Po kilku godzinach olej się wreszcie dopalił, lampa zgasła. Gęsta ciemność objęła mnie jak zapaśnik próbujący wycisnąć ze mnie ostatnią kroplę duszy. Mimo to kopałem dalej. Ubywało mi sił i wiedziałem, że to tylko kwestia czasu, kiedy węgiel mnie uwięzi. Że w końcu przestanie się toczyć w dół, a zacznie mnie tłoczyć coraz ciaśniej, jak ta ciemność. Mimo to kopałem dalej. Ciągle w górę.

W pewnym momencie, nie wiedziałem, po kilku godzinach, może dniach, złamał się trzonek kilofa. Nie wytrzymał niesłabnącego naprężenia. Wziąłem, co zostało. Ułamany koniec kaleczył mi i tak już poharatane dłonie, ale nie zważałem na to. Kopałem dalej.

Co innych zmusiłoby do poddania się, mnie wciąż wystarczało, żeby zmobilizować się do dalszego wysiłku.

Metal nie uderzał już z tą samą siłą, z tą samą częstotliwością. Coraz częściej padałem, ale za każdym razem podnosiłem się i kopałem dalej.

Wciąż i wciąż, uderzenie za uderzeniem. Kiedy pod piętami zaczynał się gromadzić węgiel, spychałem go za siebie, w dół.



Kopałem.

Musiałem posłać pieniądze.

Kopałem.

W ciemności. Sam. Pod ziemią.

Kopałem. W górę. Zawzięcie.

Natrafiłem na jakąś jamę, dzięki temu posunąłem się kilka metrów naprzód, zyskałem trochę przestrzeni.

Grzechot padającego węgla dolatywał mnie teraz z większego oddalenia, tyle tylko, że kilof wydawał się coraz cięższy, gorący pył wdzierał się w płuca. Jak mi się chciało pić!

Kopałem mimo to.

Aż przyszedł moment, kiedy nie byłem w stanie zrobić nic więcej. Nie zdołałem nawet unieść ręki.

Przegrałem. Czuję to wyraźnie.

W ciemności. Pod ziemią. Sam.

Siadłem na kamieniu i czekałem na koniec.



Markus Holmegor stał z filiżanką herbaty w ręku i niespokojnie rozglądał się po dziedzińcu swojej posiadłości. Lubił o niej myśleć jako o zamku, nawet jeśli na dole, w mieście, pilnował się, aby tak nie mówić. Jednak tutaj było inaczej, tutaj to on był panem.

Ta drobna utarczka z Bakłym kosztowała Holmegora więcej niż tygodniowy przestój w wydobywaniu plus związane z tym koszty dodatkowe. Kiedy sobie wszystko podliczył, te trzydzieści złotych kosztowało go znacznie więcej. Nic to, przynajmniej wreszcie się Baklego pozbył. Teraz, kiedy miał do dyspozycji sędziego Cirhussa, który szedł mu we wszystkim na rękę, mógł sobie pozwolić na to, aby pozbyć się niewygodnych śladów po swoich wcześniejszych, mniej legalnych współpracownikach. Gdyby pozwolił się wymknąć Baklemu, ten z pewnością ściągnąłby baronowi na kark cesarskich inspektorów. Trzeba tylko teraz wziąć wszystko mocniej w garść i jak najszybciej nadrobić straty. No i kosztowną inwestycję w Cirhussa. Łożenie na pijackie

ekscesy sędziego wcale nie było takie tanie. Utrzymywanie go w jako takim użytecznym stanie też nie. Jednak skoro teraz Holmegor miał Cirhussa już pod kontrolą, będzie go strzegł jak oka w głowie.

Zamyślony popatrzył na trenujących na dole nowicjuszy. Z drugiej strony, nie będzie musiał nic zapłacić najemnikom. Poza dwoma, wszyscy zostali pod ziemią. Rekrutom da się do podpisania długoterminowe kontrakty, potrąci się za wyposażenie i mundury. Tak przy okazji, musiał przyznać, wyglądali w nich naprawdę dobrze. Mimo iż kombinował na wszystkie strony, jak z interesu z węglem ukłęcić jak najwięcej dla siebie, musiał przy tym również przykładać wagę i do tego, jak się prezentowali jego ludzie.

Wydało mu się, że dobiegł go dźwięk, który do rozkazów i musztry nie pasował. Podejrzliwie spojrzął w stronę, gdzie swoje pokoje miał sędzia. Tamten chlał coraz więcej i ktoś przez cały czas musiał pilnować, żeby po pijaku nie zrobił sobie jakiejś krzywdy. Problemem okazało się to, że te momenty, w których Cirhuss miał wystarczająco dobry humor i był wystarczająco trzeźwy, aby podpisywać podsuwane mu dokumenty, stawały się coraz krótsze i krótsze.

Żołnierze kontynuowali ćwiczenia z mieczami i włóczniami, Holmegor wrócił do swych przemyśleń o interesach. A górnikom i tak się całej należności nie wypłaci, zdecydował. W końcu to, co się wydarzyło pod ziemią, to częściowo też i ich wina. Będzie to musiał tylko jakoś umiejętnie załatwić, może posmarować paru wybranym chłopakom, niech pilnują i studzą gorące głowy pozostałych.

Chrzęszczący dźwięk trących o siebie kamieni odezwał się znowu, tym razem wyraźnie gdzieś z dziedzińca. Usłyszeli go też rekruci, którzy przerwali ćwiczenia.

- Co tam się, do cholery, dzieje? - wrzasnął Holmegor z okna.

Dowódca oddziału rozejrzął się i wrzucił bezradnie ramionami. Kiedy przez następną chwilę nic się więcej nie wydarzyło, obrócił się z powrotem do swoich kadetów, aby podjąć ćwiczenia, ale

właśnie w tym momencie jeden z brukowych kamieni po drugiej stronie dziedzińca poruszył się. Po nim następny i nagle oba zapadły się pod ziemię. Za nimi poleciały następne, aż w placu otworzyła się spora dziura. W zapadającym zmięczeniu nic w jej wnętrzu nie było widać.

- Tapnięcie? Niech no który rzuci okiem - huknął z okna Holmegor.

Trzeba było przerwać wydobycie pod pagórkem dużo wcześniej, teraz podłoga będzie się mu zapadać pod nogami... A przecież lepszej lokalizacji pod swój pałac nie znajdzie.

Wojskowi ruszyli ku jamie, dotarli tam w tym samym momencie, w którym wygrzebał się z niej na powierzchnię olbrzymi, smoliście czarny mężczyzna. Tylko dzięki białym błyskającym oczom można było poznać, iż jest to w istocie człowiek, a nie jakiś węglowy posąg. W rękę dzierżył kilof z ułamanym trzonkiem.



Nabrałem w płuca świeżego powietrza i rozejrzałem się. Przekopałem się prosto na centralny dziedziniec rezydencji Holmegora. O takim szczęściu nie mogłem nawet marzyć. Przeciwników nie musiałem szukać, szło na mnie dwunastu, może piętnastu chłopów w nowiuteńkich, błyszczących zbrojach. Wszyscy wyglądali raczej dość nerwowo.

Spojrzałem na kilof. Tak na dobrą sprawę zostało samo ostrze, a i z niego oba końce były spracowane do połowy swojej oryginalnej długości. Byłem wyczerpany, bolały mnie wszystkie mięśnie i tylko cudem trzymałem się jeszcze na nogach. Ale żyłem i wciąż mogłem zabijać. Więcej do szczęścia mi nie trzeba.

Kiedy czekałem pod ziemią na swój koniec, byłem przekonany, że dałem już z siebie wszystko, że nadszedł czas zrezygnować, poddać się. Wiedziałem, że przegrałem, i pogodziłem się ze swoim końcem. I właśnie wtedy, nieoczekiwanym zbiegiem okoliczności, łutem szczęścia, które przecież nigdy mnie nie rozpieszczęło, coś się wokół zaczęło dziać. Oderwał się kawałek

stropu, za nim następny. Słyszałem, jak spadają i toczą się głazy, czułem poruszenie powietrza, kiedy skalne odłamki niemal muskały moje ramiona, podczas gdy mnie samemu nic się nie stało. A kiedy łomot kamieni ucichł, przez wąziutką szczelinę dostrzegłem błądny błysk światła. Nagle nabrałem nowych sił, nagle łomotałem znów kilofem, jakby los świata od tego zależał. A kiedy przez następny dzień i noc przekopywałem się na powierzchnię, miałem wystarczająco dużo czasu, aby porozmyślać nad tym, jak to się poddałem. Tak zwyczajnie i po prostu się poddałem, przekreśliłem wszystko, co do tej pory zrobiłem. Nie żeby było to cokolwiek dobrego, ale przecież to, co zrobiłem, odmieniło mnie, uczyniło tym, kim byłem. I zrozumiałem, że nie poddam się już nigdy. Że choćby mi przetrącili nogi, to się będę czołgał. Choćby mi odjęli ręce, będę gryzł. Ból, cierpienie, nic nie miało znaczenia. Nie dać się, przecie dalej, to jedyne, co się liczyło. A w tej chwili potrzebowałem ku temu moich trzydziestu dwóch złotych. Najpierw jednak musiałem przebić się przez tę bandę przerażonych rekrutów.

- Śliczny wieczór. - Wyszczrzyłem zęby do pierwszego z nich, po czym doskoczyłem doń i wbiłem kilof między żebra.

Zanim czwarte ciało zdążyło paść na ziemię, za resztą już się tylko kurzyło.

- Co wy robicie, do cholery? Zabić go! - darł się z okna Holmegor.

Spojrzałem na niego, na kilof i znów na niego.

- Wisisz mi pieniądze! - krzyknąłem tylko.



Znalazłem go na ostatnim piętrze, w najodleglejszym z możliwych pokoiu. Nikt z jego domowej świty nie odważył się wejść mi w drogę. Kiedy jednym kopniakiem wywaliłem drzwi z futryny, wcisnął się w najdalszy kąt pomieszczenia. Wyciągnął do mnie ręce, w każdej z nich trzymając zasobny mieczek.

- Bierz! Zabieraj je, zabierz pieniądze! To wszystko jest twoje!

Aż się cały trząsał. Nie wiem, czy ze strachu, czy z wysiłku, bo

mieszki wyglądały na ciężkie.

Spojrzałem na niego, na zboczyony krwią kilof, znów na niego.

- Miej litość! - zaczął błagać.

Litość... Potrząsnąłem głową. Pomyślałem o tych wszystkich ludziach tam, na dole, o Hanurim, o tym, jak musiałem się przekopywać przez jeszcze ciepłe ludzkie ciała.

- Nie wiem, co to litość - odpowiedziałem i wbilem mu ułamany trzonek kilofa w usta.

Odchodząc, rzuciłem go razem z kilofem do sztolni, a górnikom, którzy mnie obserwowali, poradziłem, aby uznali tę śmierć za katastrofę górniczą. Nadmienilem im również, iż we wnętrzach domostwa Holmegora pełno jest różnych drobiazgów, które mogą im się przydać, za to jemu już z pewnością nie będą potrzebne.



Trzy dni później, zapłaciwszy, co byłem dłużny, i mając kolejne pół roku na zbieranie następnej raty, zapukałem do drzwi niewielkiej chałupki na obrzeżach Fenidonga. Ogródek był mały, ale bardzo starannie zagospodarowany. Kwiaty rosły na przemian z warzywnymi zagonami, dwie większe jabłonie aż się czerwieniły od owoców.

Otworzyła mi młoda kobieta z wydatnym brzuchem i palcami opuchniętymi od zaawansowanej ciąży. Spoza niej wyglądały dwie dziecięce twarzyczki, jedna w drugą identyczne. Wdowa, dwoje sierot i pogrobowiec. Niezły start w życie. Przez chwilę mierzyła mnie wzrokiem.

- Męża nie ma w domu. - Odgadła bez trudu, w czyjej sprawie przychodzę. - Kopie węgiel w górze rzeki, wróci za dwa tygodnie. A zresztą on już się nie interesuje zapasami ani... tamtą robotą - dodała po krótkiej chwili.

- Wiem, wiem - uspokoiłem ją.

Więc Hanuri też był zapaśnikiem. No proszę. A i innych zleceń się swego czasu nie bał, zupełnie jak i ja. To wiele wyjaśniało. A co do tego, że z zapasami skończył na dobre, to akurat miała

rację, niestety.

- Przyniosłem coś, co u mnie zostawił na przechowanie.

Na podłogę tuż za progiem położyłem wielką sakwę. Znajdowała się w niej gotówka Holmegora, z potrąceniem moich trzydziestu złotych.

- Ostrożnie, bo ciężkie - ostrzegłem ją tylko i bez pożegnania ruszyłem z powrotem przez ogródek.

Życie nie jest sprawiedliwe. Tego nauczyłem się już dawno. A najczęściej nie jest sprawiedliwe względem tych, którzy na tę sprawiedliwość zasługiwali właśnie najbardziej. Dużo bardziej niż ja. Jak się tak zastanowić, to w większości przypadków życie zachowuje się wręcz jak kawał zdradzieckiego sukinsyna.

Na pierwszej krzyżówce dostrzegłem w oddali znajomą sylwetkę wysokiego, barczystego mężczyzny. Schowałem się za róg jakiejś chałupy i czekałem. W istocie, był to Hanuri. Połowa jego twarzy to była jedna wielka gojąca się rana, oko miał przewiązane i kulał, ale obie ręce i obie nogi miał wystarczająco sprawne, żeby sobie poradzić. Niósł ze sobą skromny tobołek.

Życie nie jest sprawiedliwe. Tak było, jest i będzie. Ale od czasu do czasu do niektórych szczęście się jednak uśmiecha.

Ruszyłem dalej, rozglądając się za gospodą, gdzie mógłbym znaleźć paru gości, którzy za to, że im rozbiją gęby, postawią mi jednego. A jutro znów zacznę szukać jakiejś solidnej, dobrze płatnej roboty.

POGOŃ ZA CZERWONĄ GWIAZDĄ



Baron Artur Cowen Coverfly wyciągnął nogi na stół i beznamyślnie przyglądał się esom-floresom, jakie na blacie pozostawiły ostrogi. Nie żeby się nimi przejmował. Marzył, aby wreszcie ściągnąć jeździeckie buty, wciąż jednak oczekiwał na wieści z dowództwa i wiedział, że jeśli wezwą go, by znów wskoczył na siodło, ordynans za nic w świecie nie zdoła naciągnąć mu ich z powrotem na opuchnięte stopy. Może najwyższy czas przyjrzeć się, co pod względem wygody dyktowała najnowsza moda? Podczas kiedy się nad tym zastanawiał, Sedrik przyniósł mu kielich wina rozcieńczonego wodą. W innych warunkach napój byłby obrzydliwie ciepły, ale dzień był tak parny, że mimo wszystko przyniósł odrobinę orzeźwienia. Niestety, głębokie piwnice rodzinnego zamku, w których obłożone słomą wielkie bloki lodu potrafiły wytrzymać prawie aż do końca lata, pozostały gdzieś tam, daleko. To akurat baronowi nie przeszkadzało, nigdy nie dbał o rządzenie, znajdował je nudnym. Stopień pułkownika, który zresztą otrzymał z rąk samego cesarza, dawał mu władzę nad znacznie większą ilością dusz, niż obejmował jego dwór. I życie wyglądałoby w zasadzie znakomicie, nawet w tych cisnących butach, gdyby tylko nie musiał tu siedzieć beczynnym i czekać na czarodzieja z rozkazami.

Zawirował kurz, otworzyły się drzwi, a w nich pojawiło się brodate oblicze wielkiego Hoovery'ego, jednego z członków jego straży przybocznej. Hoovery jakoś nigdy nie przyswoił sobie

nawet tych bardziej elementarnych zasad etykiety. Coverfly raz nawet zakuł oficera na tydzień w żelaza, po tym jak tamten ubliżył mu niewybrednym słowem w towarzystwie innych szlachciców, ale to też nie pomogło. Z drugiej strony, potężny brodacz o okazałym, acz zadziwiająco umięśnionym brzuszysku był wierny swemu panu niczym pies, a do tego radził sobie jak nikt inny z dwuręcznym mieczem. A kiedy przyszło i do tego, również ze sztyletem i garotą.

Hoovery nie czekał na zaproszenie, jego dwumetrowa sylwetka wypełniła szczelnie framugę.

- Już jadą, panie. Znaczą ci ludzie, co na nich czekamy. Mam zostać?

Coverfly błyskawicznie oszacował opcje. Mało prawdopodobne, aby się mieli z czarodziejem o cokolwiek posprzeczać, a przynajmniej nie na samym początku. Wprawdzie on sam pracował dla cesarza, a czarodziej dla Varatchiego, ale przecież Jego Wysokość oraz Jego Eksceleńcja, jak ich zazwyczaj tytułowano, byli dożgonnymi sprzymierzeńcami. I to pomimo... Coverfly zdecydował, że zwracanie sobie głowy niepotrzebnymi wątpliwościami może poczekać na lepszy moment.

- Na razie nie, ale weź Framę i przyjrzyjcie się dobrze, kto zaczął. Ostrożności nigdy za wiele.

Hoovery kiwnął tylko głową i zniknął. Fram był jego nieodłącznym partnerem. O półtorej głowy niższy, szczupły, obrotny i zręczny. Dowolna broń leżała mu w ręku tak, jakby się z nią urodził.

- Sedrik, przynieś coś do jedzenia - zażądał Coverfly, dalej sącząc wino.

Przy drugim kielichu poczuł, jak krew mu się rozrzedza, a skóra twarzy, którą słońce ostro spaliło pomimo cienia, jaki miał mu zapewnić kapelusz, traci wreszcie sztywność kowalskiego fartucha. Wcześniejsze pragnienie pozostało już tylko nieprzyjemnym wspomnieniem.

Ktoś dziarsko zapukał do drzwi, po czym, nie czekając na

zaproszenie, otworzył je. Do środka weszło dwóch mężczyzn. Poruszali się szybko, cicho i bardzo płynnie. Przypominali wodę, która przecieka przez szczeliny między starymi deskami. Średniego wzrostu, w niepozornych szarych tunikach i takich samych spodniach. W pierwszej chwili wydawało się, iż nie mieli na sobie żadnych zbroi, jednak Coverfly dostrzegł pod szyją jednego z nich metaliczny pobłysk wyzierający spod luźnego odzienia. Jakim więc cudem poruszali się tak cicho, tego nie mógł zrozumieć, jednak zaraz i tak przestał zwracać na nich uwagę, jakby w ogóle nie istnieli.

Wszedł czarodziej. Coverfly wiedział, że prawie wszyscy czarodzieje służący arcyksięciu Varatchiemu są młodzi, jednak widok dwudziestoletniego chłopca go zaskoczył.

Przybyły w żadnym wypadku nie sprawiał wrażenia zahartowanego ciężkim życiem, pracą czy bojem. Wyglądał raczej jak młody, uzdolniony i rozmiłowany w nauce paniczyk, który spędza czas, oddając się przyjemnościom i swoim zamiłowaniom. Przynajmniej na pierwszy rzut oka. To wrażenie zdawały się potwierdzać kolejne szczegóły - świetnej jakości odzienie podróżne, szyte na miarę buty wykańczane srebrną koronką oraz fakt, że nie nosił przy sobie żadnej broni. Za cały ekwipunek służyła mu jedynie mała sakiewka wisząca u pasa. Jednak spojrzenie z pozoru normalnych, niebieskich oczu czarodzieja w istocie mroziło krew w żyłach. Coverfly, w dalszym ciągu rozparty nonszalancko z nogami na stole, nagle poczuł się nieswojo. Może to przez te zmarszczki na tak młodej twarzy? - próbował odgadnąć przyczynę swego niepokoju. No, przynajmniej do pewnego stopnia, zdecydował. Stojący przed nim młodzieniec miał oczy kogoś o wiele starszego. Starszego niż sam Coverfly. Musiały widzieć naprawdę wiele. Zbyt wiele.

- Grigor Evan - przedstawił się młodzieniec.

Równocześnie do zajazdu wkroczyli następni dwaj członkowie eskorty, identyczni jak ci pierwsi.

- Pułkownik baron Artur Cowen Coverfly - odpowiedział mu Coverfly sucho, nie ruszając się z miejsca.

A więc czarodziej nie był szlachcicem. Ten nowy zwyczaj, aby w cesarskiej armii, a już szczególnie w jednostkach Varatchiego, mogli robić karierę przedstawiciele ostatnich stanów, powodował coraz częściej problemy natury towarzyskiej. Baron rozumiał powody, zbliżała się wojna, pewne zasady przestawały obowiązywać. To jednak jeszcze nie znaczyło, że miałyby komukolwiek ułatwiać życie.

- Mam dla was rozkazy ze sztabu - powiedział Evan równie sucho i położył na stole kopertę.

Kopertę z cesarską pieczęcią. Żeby jej dosięgnąć, Coverfly musiał zdjąć nogi ze stołu. I tak zaczynało mi być niewygodnie, pomyślał.

Czytał powoli, z uwagą, potem bacznie przyjrzał się podpisowi. Był identyczny jak pod jego nominacją - należał do cesarza. Potem popatrzył na całość dokumentu i zdjął go lekki niepokój. Ten list cesarz napisał sam, nie podyktował sekretarzowi. Co tylko podkreślało wagę całej akcji. Coverfly nie łudził się, że oto nagle cesarz nabrał zainteresowania jego osobą. Wprawdzie był baronem, ale takiej jak on arystokracji żyło przecież w imperium tysiące...

- Mam dla was jeszcze jedną kopertę - kontynuował Grigor Evan, kiedy Coverfly odlepił wreszcie wzrok od listu.

Też była zabezpieczona pieczęcią, tym razem arcyksiążęcą. Instrukcje brzmiały krótko i jasno i mimo to nie zawierały żadnej groźby, jednak pułkownika aż zmroziło. W niezwykle uprzejmych słowach Varatchi nakazywał baronowi, aby za wszelką cenę zapewnił bezpieczeństwo czarodziejowi Grigorowi Evanowi. Varatchi nadmieniał przy tym, niby mimochodem, iż cesarstwo miało do dyspozycji osmiuset pięćdziesięciu sześciu baronów, a tylko siedmiu czarodziejów. Ostatnie zdanie listu było obietnicą dalszej współpracy, gdyby bieżącą akcją udało się doprowadzić do końca zadowalającego wszystkie zaangażowane strony.

- Wygląda na to, że przez dłuższy czas przyjdzie nam współpracować, panie - skonstatował Coverfly sucho.

- Dokładnie tak, sire. - Dostał odpowiedź o wiele bardziej

uprzejmą, niż się spodziewał.

- To jedyny naprawdę porządny budynek w całym miasteczku. Sugeruję, żebyście się ze swymi ludźmi zatrzymali właśnie tutaj. Powinniśmy się wszyscy wygodnie zmieścić, a jutro z rana możemy wyruszać.

- To wy jesteście gotowi? - Grigor nie zdołał ukryć zaskoczenia.
- Wasi ludzie też?

- Wszystkie posiłki jeszcze nie dotarły, ale pozostawię na miejscu rozkazy, aby się z nami jak najszybciej połączyli. Odnoszę wrażenie, że szybkość będzie tu decydująca.

Młody czarodziej kiwnął zgodnie głową, ale widać było wyraźnie, że myśli o czymś zgoła innym.

- Przyleci gołąb. Wieczorem albo jutro rano. Niech go przypadkiem nikt nie upoluje - powiedział.

- Przyjąłem do wiadomości - przytaknął Coverfly.

Jak na kogoś w tak młodym wieku i o tak poślednim pochodzeniu, młodzieniec wydawał się mieć pewności siebie aż w nadmiarze. Gdzie jej nabrał? No właśnie, skąd czarodzieje biorą pewność siebie?

- Proszę wybaczyć moją nieobecność przy wieczerzy. Muszę się zająć pewnymi pilnymi sprawami, zostanę więc u siebie - pożegnał się Evan i wyszedł na zewnątrz.

Kiedy przybysze opuszczali zajazd, Coverfly uświadomił sobie, iż mimo że nikt na niego nie patrzył wprost, to jednak był przecież pod ciągłą obserwacją świty czarodzieja. Ci ludzie należeli do absolutnej elity, co, biorąc pod uwagę, jak bardzo Varatchiemu zależało na tym smarkaczu, mogło być wyłącznie dobrą nowiną.



Wjechaliśmy na wierzchołek łagodnego wzniesienia, skąd rozpościerał się widok na zatopione w zieleni miasteczko. Tu i ówdzie przezieraly jednak rdzawe plamy pustynnego pyłu. Z mapy oraz dzięki zasięgniętemu językowi wiedziałem, że biegła tędy dalej na zachód kupiecka ścieżka. I rzeczywiście, cienka,

jasna linia przecinała morze rozkołysanej trawy. To również oznaczało, że tu właśnie mieliśmy się rozdzielić.

Zsiadłem z konia. Był to olbrzymi wałach, który nadawał się bardziej do ciężkiej pracy w zaprzęgu niż pod siodło. Kiedy pozbył się mego ciężaru, z ulgą zagrzebał kopytem i parsknął na mnie z wyrzutem jakoś tak wręcz po ludzku. Choćby był nie wiem jak silny, i tak musiałem mu się wydawać zbyt ciężki.

Słyszałem, jak zeskoczyła na ziemię, lekko i zręcznie. Poklepała po szyi swoją klacz, dała jej jabłko. Tutaj musiało kosztować ze dwa miedziaki. Zawsze rozpieszczała wszystkie swoje zwierzęta. Wszystkie bez wyjątku.

- Jesteś na mnie zły? - odezwała się.

- Nie jestem - westchnąłem. Obróciłem się i otoczyłem ją ramionami. - Tak się tylko zamyśliłem. Sama byś się zorientowała, przecież wiesz, że u mnie co na sercu, to i na języku.

Jak na kobietę, była dość wysoka, więc mogła mi spoglądać prosto w oczy. Przyjrzałem jej się uważniej, a przy tym mimowolnie złapałem za rękę. Postarzała się. Jej twarz bruzdziły zmarszczki, które zostawiły napięcie, nieprzespane noce, podróże bez chwili wytchnienia i ucieczki. Pozostawiły swe ślady podejrzliwość i nieufność. Starzała się szybciej, niż ktokolwiek powinien, a już na pewno szybciej, niż miałyby się starzeć tak młoda dziewczyna. To wszystko był jednak jej własny wybór, na który ja nie mogłem mieć żadnego wpływu.

- A nad czym się tak zamyśliłeś? - spytała, obejmując mnie, dokładnie tak, jak to zwykła robić dawniej.

- Nad tym, kiedy cię znowu zobaczę.

Oparła głowę na moim ramieniu.

- Wiesz, jaki jesteś wspaniały? Cieszę się, że nie próbujesz mnie przekonywać, żebym zmieniła zdanie, że bierzesz mnie taką, jaka jestem. - Zaśmiała się, wciąż w moich ramionach. - Nikt inny by tak nie potrafił.

Spoglądałem w dal poprzez powiewający na wietrze kosmyk jej jasnych włosów. I co ja mogłem na to odpowiedzieć? Już to

wszystko kiedyś przerabialiśmy. Moje głupie marzenia o świecie, w którym żyłaby w dostatku, u boku kochającego męża, opiekując się dziećmi i tylko od czasu do czasu trochę dla mnie czarując. Bezpieczna, między ludźmi, którzy by ją szanowali i się nią opiekowali. Wybrała jednak inaczej. Przez chwilę wydawało mi się, że w oddali, na równinie przede mną, skąd właśnie nadjechaliśmy, dostrzegam jakiś ruch, jednak zaraz ciemna kropka gdzieś przepadła. Mogło to być cokolwiek. Wilk, puma, nawet sarna szukająca jedzenia. Mogło mi się też przywidzieć. Czekałem jeszcze trochę, ale nie poruszyło się już nic więcej.

- Znasz mnie przecież - mruknąłem wreszcie niewyraźnie. - Nie ma takiej rzeczy, z którą bym sobie nie poradził. No, a ty już lepiej ruszaj, czas ucieka, a masz jeszcze kawał drogi przed sobą. I do tego pogoń za plecami.

Zrobiła krok w tył, spojrzała mi prosto w oczy.

- Bardzo cię kocham, wiesz? - rzekła cicho.

Była jedyną osobą na całym świecie, która mogła to powiedzieć. W milczeniu próbowałem zapamiętać każdy najdrobniejszy szczegół, każdą zmarszczkę, każdy włos, sposób, w jaki mówiła.

- Weź to. - Podana mi niewielki worek zaciągnięty mocnym rzemieniem. Zawiesiłem go sobie u pasa.

- Uważaj na siebie - powiedziałem tylko.

Zamiast odpowiedzi dostałem całusa w policzek, musnął mnie niesforny kosmyk włosów. Wskoczyła na siodło i zaczęła się oddalać kupiecką ścieżką. Spoglądałem za nią, za moją martwą córką, dopóki nie zniknęła mi z oczu. Martwą, bo przecież to tylko kwestia czasu, kiedy wpadnie w ręce tajnych służb cesarskich, łowców czarodziejów czy też kogokolwiek innego pracującego na zlecenie Imperium Crambijskiego. Zuzanna ruszała prosto w jamę lwów, węży, skorpionów, rekinów i krokodyli. A przy tym zadania, którymi obarczał ją książę Dask, były wciąż coraz trudniejsze, coraz niebezpieczniejsze. Nie wierzyłem, że jeszcze ją kiedyś zobaczę. A mimo to miałem

nadzieję. Skłamałem, kiedy powiedziałem, że umiem sobie poradzić ze wszystkim. Z brakiem nadziei nie potrafiłem. Wiele bezsennych nocy spędziłem na rozważaniach, jak jej mogę pomóc. Jedyne, co mi przyszło do głowy, to zabijać. Zabijać żołnierzy, agentów, szpiegów, dosłownie każdego, kogo tylko cesarstwo miało do dyspozycji. Wiedziałem oczywiście, że na mnie jednego było ich wszystkich zbyt wielu, że krwawa bruzda, jaką za sobą pozostawiałem, była jedynie mizernym śladem, jaki na morzu pozostawia łódź. Jednak co innego mi zostało? Robiłem tyle, ile było w mojej mocy.

Obróciłem się i ciągnąc konia za uzdę, ruszyłem w dół, ku miasteczku.



Egever wiedział, że była to szansa jego życia. Znalazł się we właściwym miejscu, we właściwym momencie, do tego nie opuszczało go szczęście. Po raz pierwszy uśmiechnęło się do niego, gdy udało mu się wymknąć ludziom hrabiego, którego wizyta nieproszonych gości we własnej posiadłości ostro rozwścieczyła, i po raz drugi, kiedy bezbłędnie ocenił, iż go ten tłuszcioch nie dostrzeże. Tylko dzięki swym umiejętnościom zdołał się w ostatniej chwili ukryć.

Kiedy zdobędzie ten przedmiot, a to przecież pewne, że go zdobędzie - był przecież najlepszym, najzdolniejszym złodziejem, o jakim świat słyszał - więc kiedy już zdobędzie ten przedmiot, do końca swoich dni pławić się będzie w przepychu i bogactwie. Oferty paserów były wręcz niebotyczne. Egever dobrze znał większość z nich, wiedział, komu i na ile mógł zaufać. Ci, na których mógł polegać najwięcej, również wydawali się oferować najlepsze ceny. Kto za nimi stał? To go nie obchodziło. Chciał tylko swojej zapłaty, chciał pieniędzy, które ziszczą jego marzenia. Od bogactwa dzielił go już jeden mały krok. Kobieta odjechała na wschód, zostawiając pustynię za sobą, podczas kiedy tłuszcioch zjechał w dół po drugiej stronie. To znaczyło, iż ona przedmiotu ze sobą nie zabrała. Egever odczekał jeszcze

chwilę, po czym ruszył za swą zdobyczą.



- Spóźnia się - powiedział jeden z mężczyzn przy stole, odkładając niechętnie karty.

Koharow nie odpowiedział. Mogli tu siedzieć spokojnie nawet i kilka dni, jego ludzi denerwowało jedynie to, że musieli czekać na kogoś, kogo nie znali. Spojrzał na Sierżanta. Jak się tamten nazywał naprawdę, Koharow nie miał pojęcia, po prostu zwracał się do niego tak, jak i inni, podług stopnia, który tamten otrzymał w wojsku.

- Wolałbym, żebyś się stąd nie ruszał. Nikt z nas go nie zna, jeszcze się okaże, że odjedzie bez nas.

Sierżant, lekko przygarbiony mężczyzna o byczym karku i szerokich barach, które sprawiały, iż wyglądał na mniejszego, niż był w istocie, tylko się uśmiechnął. A właściwie tak się wydawało. Kiedy otworzył usta, podłużna blizna biegnąca od kącików ust nadawała jego twarzy wygląd, jakby się uśmiechał.

- Nie bój się, rozpoznacie go.

- Podobno widuje się z samym księciem - zagadnął Koharow.

- O tym nic mi nie wiadomo - odparł Sierżant kategorycznym tonem, po czym wstał i ruszył ku szynkwasowi po następne piwo.

- A ty skąd go znasz? - dopytywał dalej Koharow, kiedy jego towarzysz wrócił z dwoma kolejnymi dzbanami.

- Trochęśmy pobojowali.

- Przeciw komu?

Piwo okazało się ciepłe, drugi dzban smakował dużo gorzej niż ten pierwszy. Koharow wiedział, że zawsze tak się dzieje. Czwartego po prostu nie dawało się już wypić.

- Przeciw sobie. To długa historia.

Sierżant nie był w nastroju, ale Koharow czuł, że kiedy tylko nadejdzie dogodniejszy moment, dowie się więcej. Pracowali razem już całe trzy miesiące i od czasu do czasu raczyli się wzajemnie historiami z przeszłości.

- Idę się przejść - powiedział i wychylił swoje piwo duszkiem. Na dworze było gorąco jak diabli, a on przez ostatnie dwa dni nie wypił tyle, ile potrzebował. Wciąż się jednak porządnie nie odlał i nie wypłukał z siebie trującego szlamu, który odkładał się w nim od paru dni. - Rzucę okiem na tę drugą gospodę.

- Wojsko tam siedzi - rzucił zwięźle Sierżant, obserwując grę, która rozpoczęła się na nowo przy sąsiednim stole.

- No i właśnie im się chcę trochę poprzyglądać.



Koharow został w płaszczu, połą na wszelki wypadek odrzucił z pochwy miecza, aby w razie potrzeby móc po niego sięgnąć. Wojskowi musieli być częścią planu, co do tego nie miał wątpliwości. Jego ludzie, o ile mógł ich tak nazwać, widać okazali się niewystarczający. Co tylko wzbudzało w nim jeszcze większą ciekawość.

Odetchnął rozgrzany powietrzem, z przyzwyczajenia sprawdził konie w stajni. Już ponad trzy lata wałęsał się po południowych krańcach Pustyni Gutawskiej, od czasu do czasu eskortując karawany kupieckie, niekiedy też przyłączając się do wypraw badawczych, z którymi nanosił na mapy osady, oazy i studnie artezyjskie. Dwukrotnie dostał rozkaz, który znaczył tyle, co znaleźć i zabić. Ostatnim razem ruszył za Ferdynandem Faranetim, bandytą, który ni stąd, ni zowąd zaczął coraz częściej napadać na karawany idące na północ, do hrabstwa daskijskiego. Koharow zastanawiał się czasami, jak to jest, że hrabstwem władał książę, ale jakoś nikt mu tego do tej pory nie potrafił wyjaśnić. Jednak w wykonywaniu rozkazów księcia Daska nijak to nie przeszkadzało. Koharow pracował dla niego na takich samych zasadach, jak i cała armia nieumundurowanych najemników, obserwatorów, zabójców i im podobnych typków. Oprócz tego działał też na własną rękę i własny rachunek.

Dotarł do drugiej w mieście knajpy. Wszedł do środka, starając się nie zwrócić niczyjej uwagi, i siadł przy stole najbliższej wyjścia.

W części sali przylegającej do kamiennej ściany rozłożyło się dwudziestu chłopów. Niektórzy siedzieli na krzesłach, inni leżeli wprost na podłodze. Nawet jak na tak dziki i nieokiełznany zakątek wydawali się uzbrojeni bardziej niż to konieczne. Koharow wiedział, co to za jedni - profesjonalni najemnicy. Wnioskując ze śladów, musiało ich być znacznie więcej. Pewnie nie chcieli siedzieć w ciżbie i część pozostała w stajni albo jeszcze gdzie indziej, zgadywał. Nikt nie zauważył jego przybycia. Do gospody zaglądali również inni goście, zazwyczaj na krótko, ale ruch był wystarczający, żeby Koharow mógł zostać, nie wzbudzając podejrzeń.

Zaskrzypiały zewnętrzne schody. A właściwie nie tyle zaskrzypiały, co jęknęły, i Koharow zastanawiał się przez chwilę, czy wytrzymają ciężar. Wytrzymały, więc szybko przesunął się przy stole tak, aby móc spoglądać na drzwi bez oglądania się przez ramię. Do środka wszedł niewielki tłuścioch w kapeluszu z szerokim rondem i w skórzanym, ciężkim płaszczu, długim po kolana. Kiedy przemaszerował przed Koharowem, ten zorientował się, iż przybyły wcale nie jest mały, a nienaturalnie rozłożysty, co zakłamywało proporcje jego ciała. Podobnie jak u Sierżanta, tylko znacznie bardziej. Przybysz zdjął kapelusz. Jakiś czas temu musiał ogolić głowę na łyso, teraz widać już było siwą krótką szczecinę. W dodatku z całą pewnością nie był gruby, w każdym razie nie na twarzy, która wyglądała jak wyciosana z granitu, i to bardzo prymitywnymi narzędziami. Zaś oczy... Koharow aż przygryzł wargi. Zazwyczaj potrafił z oczu dowiedzieć się o człowieku prawie wszystkiego, czytał w nich jak w otwartej księdze, jednak ten tutaj stanowił zagadkę. Jakby w ogóle nie był człowiekiem.

Przybyły zlustrował pobieżnym spojrzeniem całą salę, po czym ruszył w kierunku szczupłego mężczyzny w białej koszuli ze złotymi mankietami. Elegant był w wyraźny sposób odziany znacznie lepiej niż pozostali, i reszta kompanii na grubiański, żołnierski sposób, ale szczerze odnosiła się do niego z wyraźnym szacunkiem.

- Craig? - przybysz rzucił takim tonem, jakby zamierzał splunąć na podłogę.

- We własnej osobie, panie.

Słowo „panie” zostało wyszczone tak jadowicie, że zabrzmiało wręcz jak wyzwanie.

- A z kim ja mam przyjemność?

- Z tym, od kogo wzięłeś dwieście złotych za stawienie się na tym spotkaniu.

Przybysz nadal mówił tak samo pogardliwie, jednak Koharow miał pewność, iż nie była to pogarda zamierzona. Prędzej oznaka braku zainteresowania, jakby cała ta sprawa wielkiego mężczyzny nie dotyczyła. Jeden z najemników, z którym Craig wcześniej o czymś rozprawiał, szurnął krzesłem i jakby od niechcenia wstał.

- Tych parę groszy wystarczyło jedynie na tyle, abyśmy się tu w ogóle zdołali dotrzeć - powiedział Craig ze słyszalną szyderczą nutą w głosie. - A i to ledwo ledwo.

- Nie w drobnostkach rzecz - przytaknął mu przybyły.

Wydawał się zupełnie nieświadom tego, że z krzesła uniósł się kolejny mężczyzna, a za plecami miał jeszcze dwóch innych. Do tego wyglądał na nieuzbrojonego, o ile nie skrywał czegoś pod płaszczem. Tylko że przecież najemnicy ani nie dadzą mu wystarczająco dużo czasu, by po nią sięgnął, ani też nie na wiele mu się zda przeciw takiej przewadze, ocenił Koharow.

- Mam dla was ofertę - ciągnął jak gdyby nigdy nic przybysz. - Po sto złotych na głowę dla każdego za trzy tygodnie pracy, dowódca dostanie trzysta.

Koharow szybko przeliczył: przynajmniej dwudziestu chłopów po stówce plus trzysta dla dowódcy, to razem wychodziło od cholery pieniędzy.

- To brzmi obiecująco - uśmiechnął się Craig. - Jest tylko jeden problem. Takiej kwoty, panie, nie nosilibyście przecież ze sobą. Czy może jednak się myłę?

- Ależ oczywiście, że noszę przy sobie. - Mężczyzna spojrzał na swego rozmówcę, jakby miał do czynienia z idiotą. - Jeszcze nie

spotkałem najemników, którzy przyjmują czeki. - Mam je w sakwach, przy siodle. W imperialnych dziesięciozłotówkach.

- Jak to tak? Z taką fortuną podróżujecie sami? Nieuzbrojeni? - Craig aż się poderwał na równe nogi. Koharow w pełni rozumiał jego ekscytację. Sam nie mógł uwierzyć własnym uszom.

- A dlaczego miałbym chadzać z bronią? Przyszedłem przecież dobić interesu, a nie walczyć. Rozsądni ludzie zawsze się dogadają.

Gdyby jego głos nie brzmiał tak płasko, Koharow byłby skłonny się założyć, że przybysz się z najemników naśmiewa.

Znaku, jaki Craig dał swoim ludziom, Koharow nawet nie dostrzegł. Musiał przyznać, że zgrani byli nieźle. W ręku gościa po lewej nagle pojawił się sztylet, na co przybysz zareagował odruchowo, jakby właśnie tego oczekiwał. Zwarł w swej pięści rękę ze sztyletem, pochylił się do przodu i drugą rękę oparł tamtemu na piersi na wysokości mostka. Koharow nie widział, aby się poruszył, a mimo to napastnik poszybował w tył ku ścianie, jakby go koń kopnął. Chrupnięcie potylicy musiał usłyszeć wyraźnie każdy z obecnych. Drugi z najemników, którzy otrzymali sekretny znak, ruszył także. Przybysz nawet się nie obrócił w jego stronę, a jedynie skłonił się jeszcze niżej i z zaskakującą zwinnością kopnął w tył, trafiając atakującego w podbrzusze. Zanim tamten padł na ziemię, przybysz już trzymał go za głowę. Czas stanął w miejscu, Koharow widział wyraźnie, jak mężczyzna wpił się spojrzeniem w oczy Craiga. Potem nastąpił drobny, ledwie zauważalny ruch i kręgosłup najemnika pękł.

- Widać wpadli w szal z tego gorąca. Słyszałem o takich przypadkach - powiedział spokojnie przybysz i rzucił przed siebie ciało ruchem tak obojętnym, jakby pozbywał się odpadków. Zupełnie jakby to była dla niego czynność, którą powtarzał setki, może nawet tysiące razy.

Najemnicy poderwali się ze swych miejsc, gotowi w każdej chwili ruszyć pomścić swych towarzyszy, spoglądali w napięciu na swojego dowódcę.

- Ilu masz ludzi? - spytał siłacz, jakby nic się nie stało.

- Trzydziestu dwóch. Miałem trzydziestu dwóch, teraz już trzydziestu - odpowiedział Craig z kamienną twarzą. Panował nad sobą po mistrzowsku.

- Czyli to wyjdzie jakieś trzy i pół tysiąca, tak? Nigdy nie miałem głowy do liczb.

- Zgadza się, trzy i pół tysiąca. - Craig kiwnął głową. - Jednak zanim przyjmę pieniądze, mam w zwyczaju wiedzieć, od kogo. Jak was zowią, panie?

Tym razem pytanie brzmiało autentycznie uprzejmie, bez żadnych podtekstów. Koharow wymruczał pod nosem to imię ciut wcześniej, zanim wypowiedział je przybyły. Był to w istocie ten sam człowiek, który i ich tutaj zawezwał. Bakły.



Koharow bez zwłoki wrócił do swoich ludzi w drugiej gospodzie. Znów go suszyło, mimo iż wiedział doskonale, że trzecie piwo będzie smakować prawie dokładnie, jak to drugie.

- Trzydziestu. Wyćwiczeni, doświadczeni i ostrzy jak brzytwy. Za cholereę im nie ufam. Bakły już z nimi rozmawiał - zaraportował pozostałym.

Sierżant zachichotał.

- No... Potrafi być przekonujący, to fakt.

Koharow zmilczał. Na zaciekawione spojrzenia dobiegające od pobliskich stołów odpowiedział tylko lekkim skinieniem głowy. Ten gest ich uspokoił, jednak on sam nie był do końca przekonany, czy za kilka dni pozostaną nadal tak spokojni.

- Tego piwa nie da się pić! - awanturował się przy barze jeden z gości. Miał na sobie przepoconą koszulę, ciasne spodnie opinające łydki i buty z krótką cholewą. Wnioskując z wyglądu, musiał należeć do czwórki, która siedziała przy stole blisko wejścia. Koharow przypomniał sobie, że na zewnątrz, w cieniu gospody, dostrzegł wóz. Musieli to być kupcy, którzy zatrzymali się na krótki odpoczynek, naprawy i uzupełnienie zapasów.

- To najlepsze piwo w całej okolicy, na pięćdziesiąt kilometrów

stąd nie znajdziecie lepszego - bronił się ze stoickim spokojem karczmarz.

- A jak daleko stąd do najbliższej innej gospody? - dociekał niezadowolony klient.

- Niedaleko, tyle co na drugim krańcu miasteczka. Z tym że piwo dla nich warzę ja - odpowiedział gospodarz, nalewając kolejne kufle. Gospoda była spora i w większości zapełniona gośćmi. Wielu ludzi, którzy tędy tylko przejeżdżali, zatrzymywało się na popas.

- A kolejna?

- W Suchym Dole. Pięćdziesiąt kilometrów stąd.

- Już rozumiem - westchnął zrezygnowany nerwus.

- Jest jeszcze wino - zaproponował karczmarz. - Biorę je od właściciela Beki, tej drugiej knajpy. Ale droższe - ostrzegł.

- Nalewaj.

Trzydziestu najemników i dwunastu jego własnych ludzi, liczył Koharow w zamyśleniu. Na przespiegi albo zwiad stanowczo zbyt wielu. Do najazdu na jakiś ukryty obóz też za dużo. Żeby się rzucić na którąś z twierdz, które przecież z powodzeniem mogły oprzeć się regularnym bandytom z pustyni, z kolei za mało. O co tu więc chodziło?

Wszedł Bakly. Wciąż miał na sobie płaszcz. Koharow dopiero teraz zdał sobie sprawę, że nie było to lekkie odzienie mające na celu ochronę przed palącym słońcem, ale równocześnie pozwalające ciału swobodnie oddychać. Wręcz przeciwnie, płaszcz, który nosił Bakly, uszyty został z grubo wyprawionej skóry wołu i bardziej pasował na wyprawę w ośnieżone szczyty górskie lub niegościnne połacie południa. Dziwne.

Bakly rozejrzał się szybko po sali i ruszył wprost ku Sierżantowi. Przy każdym stole, który minął, wzbudzał ożywione zainteresowanie. Dopiero z bliska było widać, jaki to wielki mężczyzna. Może nie aż tak wysoki, ale nadludzko wręcz rozłożysty. Koharow zaczął podejrzewać, że Bakly wcale nie jest taki gruby i otłuszczony, jak mu się początkowo wydawało.

Stanął wreszcie przed nimi i położył na stole kopertę z

wyraźnie widoczną pieczęcią rodu Dasków.

Koharow głośno przełknął ślinę. Bakly zwariował. Nie mogli sobie pozwolić, aby ktokolwiek zyskał namacalny dowód na to, że pracowali dla księcia. Podejrzenia nie miały znaczenia, nawet przyznania się do winy, wymuszonego na męczarniach, nikt nie traktował jako wiarygodnego, ale pismo, które nieprzyjaciele byliby w stanie okazać neutralnym władcy, mogło wpłynąć niekorzystnie na chwiejną równowagę sił. A to postawiłoby księcia Daska i jego sprzymierzeńców w bardzo nieprzyjemnej sytuacji.

Bakly siadł przy stole. Ciężka drewniana ława stęknęła pod jego cielskiem.

- Siedzą tu cesarscy szpiedzy.

Głos miał tak głęboki, że aż trudno było zrozumieć poszczególne słowa.

- Pozbądźcie się ich.

Koharow zrozumiał, że koperta miała tylko służyć za przynętę. Pomimo wielu lat spędzonych na pustyni, które uodporniły go na nieludzki upał, czoło nagle zrosił mu perlisty pot. Tu grało się na ostrzu noża, o najwyższe stawki. W chwili olśnienia zrozumiał, że ten niepokojący mężczyzna siedzący z nimi przy stole zwyczajnie nie zna innych reguł gry.

- Rozumiem. - Przytaknął, podniósł kopertę i jednym ruchem obrócił tak, aby ukryć pieczęć. Był szybki, ale nie za szybki. Tak, aby ten, kto ich obserwował, miał szansę dostrzec to, czego wypatrywał. Kiwnął na siedzącego przy sąsiednim stole Maruda. Znał go dobrze, pracowali ze sobą wiele razy, wiedział, że mógł na nim polegać. Podnieśli się obaj i poszli do pokoju, który Koharow wynajął na piętrze. Normalnie by sobie na taki luksus nie pozwolił, jednak tym razem potrzebował miejsca, gdzie spokojnie mógłby studiować mapy oraz naradzać się ze swoimi ludźmi.

Wrócili po kilku chwilach, ale już bez koperty.

- Coś do jedzenia - zamówił Bakly u karczmarza, kiedy ten pojawił się przy stole. Po napitki musiano się fatygować do baru,

jednak zamówienia na jedzenie były brane przy stołach.

- Mam pieczeń wieprzową, wczoraj mi dostarczyli sarnę, pewnie znalazłby się i wołowy udziec.

Bakly kiwnął głową.

- Wołowina - zdecydował.

- Dwa czy trzy plastry? - spytał karczmarz.

Koharow wiedział, że w tym przybytku zarabiano się głównie na alkoholu. Dzięki temu jedzenie było tanie, a porcje bardziej niż słusze. Nawet wygłodniały miewał czasem problemy ze zjedzeniem jednej porcji mięsa.

- Cały - oznajmił Bakly.

- Słucham? - nie zrozumiał karczmarz.

- Nie zwracajcie sobie głowy plastrami, przynieście cały udziec. Pieczony czy wędzony, wszystko jedno. I trochę chleba, jakbyście mieli.

Bakly uwierzył w zamówienie złotą monetą, którą położył przed sobą.

- Do tego piwo i flaszkę gorzałki. Albo nie... - zmienił zdanie - piwo wystarczy.

Oberżysta zniknął im z oczu, a Bakly zamilkł i po prostu siedział tak, jakby już więcej nie miał nic do powiedzenia. Czas upływał więc w ciszy i Koharow był coraz bardziej ciekaw, co będzie dalej.

- Przygotujcie swoich ludzi na wyprawę w pustynię. Na bardzo długą wyprawę w pustynię, daleko za ostatnie znane oazy - odezwał się wreszcie Bakly, kiedy przyniesiono zamówione jedzenie i picie. Nie czekając na odpowiedź, rzucił się na mięso.

Koharow przyglądał się olbrzymowi przez chwilę i odniósł wrażenie, że to nie człowiek się przed nim posilał, a jakiś nienasycony drapieжник. Tygrys, lew albo biały niedźwiedź.

Było absolutną niemożliwością, aby ktokolwiek zdołał zjeść taką górę mięsa na raz.

A jednak.

- Będziemy musieli tam coś ukryć, jak najgłębiej - zdradził im

Bakly pomiędzy kęsami.

„Jak najgłębiej” - przy tych słowach Koharow zdrzął. Wypuszczać się w pustynię to jak wypuszczać się w morze. Człowiek nigdy nie miał pewności, czy nie zapuścił się za daleko, czy zdoła wrócić.

- Rozumiem. - Kiwnął tylko głową, wstał od stołu i odszedł, pozostawiając tego przerażającego człowieka w towarzystwie Sierżanta.



Egever napił się piwa i uświadomił sobie, że nadciągały chmury. Tyle szczęśliwych zbiegów okoliczności naraz wzbudziło w nim głęboki niepokój. Tę kopertę z symbolem Dasków, którą w knajpie tłuscioch przekazał swoim ludziom, też mógłby całkiem nieźle spieniężyć. Nawet pusta miała wartość. Jednak gdyby zawierała rozkazy dla bandytów i szpiegów Daska... chętnych na taki kęs byłoby wielu, bardzo wielu. Zorientował się, że trzęsą mu się ręce. Gdyby rozegrał to dobrze, czekało go nie tylko bogactwo, ale zupełnie nowe życie. Kto wie, może nawet szlachectwo? Były już takie przypadki, nawet stosunkowo niedawno. Byle tylko niczego nie zepsuć, byle tylko działać ostrożnie, z namysłem, przebieglej niż kiedykolwiek dotąd. Weź się w garść, no, weźże się w garść, strofował sam siebie, aż się uspokoił. Tu nie ma miejsca na wątpliwości, spadek formy. Był przecież złodziejem, magikiem zręczności, prawdziwym ekwilibrystą. Potrafił ukraść każdą rzecz, jaką tylko sobie zamierzył.

Wrócił z piwem na swoje miejsce i uważnie przysłuchiwał się gwarowi. Wyglądało na to, że pojawienie się tłusciocha przyniosło nadzwyczajne ożywienie w handlu. Egever swoim wyostrzonym słuchem zewsząd wyławiał strzępki rozmów o zamówieniach na bukłaki na wodę, zwierzęta pociągowe, prowiant na wyprawę. Normalnie o tej porze roku, kiedy upał palił najmocniej, trwałby martwy sezon, jednak w tej chwili wydawało się, że każdy stał przed szansą życia. A przynajmniej

każdy, kto miał coś na sprzedaż.

Przyglądał się też, gdzie kto nocował, jak się zachowywali poszczególni ludzie. Kto ile wypił i na ile był zmęczony. Tłuszciochem sobie głowy nie zawracał. To oczywiste, że po zeżarciu takiej ilości mięsiwa będzie spał jak zabity. Normalnemu człowiekowi tyle jedzenia na raz rozstroiłoby żołądek na przynajmniej tydzień, ale dla tego tutaj to widocznie nie pierwszorzędna. Kiedy ruch w gospodzie zaczął zamierać, Egever podszedł do karczmarza i spytał o wolny pokój. Odpowiedź brzmiała dokładnie tak, jak się spodziewał.

- Niestety, dziś już wszystko zajęte.

Dostał jednak ofertę zanocowania w stajni. A gdyby zamówił jeszcze jedno piwo, to nawet i za darmo. To mu pasowało jak ułaf. Ze świeżym dzbanem wrócił na miejsce i czekał na swój moment. Rozmyślał nad tym, dokąd się udać najpierw. Okraść grubasa czy wybrać się po kopertę? Każda z opcji miała swoje za i przeciw.



Koharow siedział na podłodze w nogach łóżka, na którym umieszczone pod kocem tobołki udawały śpiącego człowieka. Marud stał cierpliwie za drzwiami, Sierżant czekał za ścianą, w pokoju bliżej schodów. Strasznie dużo ludzi do schwytania jednego szpicla, ale nie chciał ryzykować. Gdy już będzie po wszystkim, obiecywał sobie, że spali tę przeklętą kopertę ze wszystkim, co zawierała. Jako przynęta mogła ich wszystkich kosztować zbyt wiele. Z nadejściem nocy wreszcie się nieco ochłodziło. Nie za mocno, tyle tylko, że zamiast upalnie było teraz gorąco. Za to nad ranem robi się wcale przyjemnie. Na chwilę. Koharow dobrze już do tego wszystkiego przywykł.

Za drzwiami coś nieznacznie zaszeleściło. Nie miały zamka, a jedynie zasuwkę z prostą blokadą. Koharow zastanawiał się, jak też sobie włamywacz z nią poradzi. Ani się spostrzegł, a drzwi stały otworem. Nikogo nie mógł dostrzec, dobiegł go tylko zapach dymu, tytoniu i koni. Nieznaczne skrzypnięcie podłogi.

Jakim cudem włamywacz dawał radę poruszać się tak cicho? Przecież pod nim te same deski koncertowały, aż świdrowało w zębach. Ktoś, a raczej jedynie czyjś cień, podkradł się do łóżka i Koharow odgadł, że tamten planował go nie tylko okraść, ale przy tym i zamordować. Ścisnął w rękę napęczniony piaskiem podłużny płócienny worek. Bicie własnego serca niemalże go ogłuszało. Na tle nieba jaśniejącego w otwartym oknie zamajaczyła zgarbiona postać - teraz!

Zamachnął się, ale cios jakoś ominął cel i z pełną siłą trafił w ramię. Zabójca błyskawicznie uskoczył i Koharow zdołał jedynie złapać go za gardło i wskoczyć na plecy. Zagryzł z bólu zęby, kiedy ostrze rozharatało mu przedramię, jednak nie puścił, a nawet zdołał wepchnąć w krzyż przeciwnika kolano. Całym ciałem targnął w tył. Nie udało mu się jednak złamać tamtemu kręgosłupa, jak miał nadzieję, zamiast tego obaj padli na ziemię. Kawalek się przeturlali, a wtedy Koharow zyskał dogodną pozycję, w której mógł wreszcie docisnąć przeciwnika do desek podłogi, wyduszając dech z jego piersi. Nagle przywalił go jakiś ciężar, a twarz zalało mu coś ciepłego.

Krew, domyślił się natychmiast, ale czyja? Ilu ich tu było, do jasnej cholery? Tupot na schodach. Nie przestawał dusić i napierać na kręgosłup, tamten wprawdzie próbował Koharowa wciąż jeszcze dźgać, ale z każdym atakiem ubywało mu energii. Wreszcie przestał całkiem. Ciało w rękach Koharowa zwiotczało. Równocześnie usłyszał, jak ktoś krzyknął, potem gdzieś na korytarzu zadźwięczała stal. Poza zasięgiem Koharowa, więc póki co dla pewności zebrał się w sobie i naparł raz jeszcze. Kręgosłup niedoszłego zabójcy wreszcie z trzaskiem puścił.

Nagle uleciały z niego wszystkie siły. Nie zdołał nawet rzucić z siebie brzemienia, które cisnęło ku ziemi. Zasyczała lampa, kątem oka dostrzegł żółtą poświatę, chwilę później ktoś odwalił z niego martwy ciężar. Napotkał zatroskane spojrzenie Maruda, który właśnie ściągał z pleców dowódcy trupa z poderżniętym gardłem.

- Cały jesteś? - spytał Marud cicho.

- Ta krew to nie moja. Przynajmniej nie cała - odpowiedział Koharow, podnosząc się ostrożnie. - Temu też już wystarczy. - Wskazał na swojego przeciwnika. Wszystko rozegrało się tak błyskawicznie... - Było ich dwóch - skostatował.

- Trzech - dobiegło z korytarza.

A, prawda, przypomniał sobie.

W świetle pojawił się Sierżant z nożem w ręku. Ostrze miało charakterystyczną rdzawą barwę. Koharow kiwnął głową. Gdyby nie byli tak dobrze wyćwiczeni, już można by na nich krzyżyk położyć. Zaatakowali ich doświadczeni zabójcy, którzy nie chcieli pozostawić po sobie żadnych śladów.

- A jak z tobą? - spytał Maruda, który trzymał się za rękę.

- Tylko mnie trącił. Na szczęście miałem sztylet w ręku, z tym sobie rady już nie dał.

Wszyscy trzej nasłuchiwali chwilę. Nawet jeśli nocna bijatyka kogoś obudziła, nikt nie wykazywał zainteresowania.

- No to teraz musimy pozbyć się ciał - stwierdził Sierżant.

- Będziemy kopać aż do świtu - westchnął z niechęcią Marud.

- Podrzucimy je komuś na wóz, pod ładunek - zaproponował Koharow. - Zorientują się dopiero, jak im zacznie porządnie cuchnąć.

Pozostali uśmiechnęli się wesoło. No to pierwszy rozkaz Baklego udało im się wykonać.



W chwili, kiedy wynosili trzecie ciało, trzasnęły nagle drzwi, z gospody wypadł jakiś człowiek, przebiegł przez ulicę i zniknął po drugiej stronie między domami. Zaraz potem zatrzeszczało drewno, ściana stajni zmieniła się w chmurę drzazg i na ulicy pojawił się Bakly. Koharow odruchowo sięgnął po miecz. Sama sylwetka tego człowieka niosła ze sobą groźbę. Za żadną cenę nie chciałby się znaleźć w sytuacji, w której musi mu stawić czoła. Szans nie miałby żadnych, ale przecież należałoby przynajmniej spróbować. Chwilę później, choć nic konkretnego się nie wydarzyło, poczucie niebezpieczeństwa bijące od

wielkiego mężczyzny jakoś się rozproszyło.

- Co się stało? - zagrzemiał Bakly basowo.

- Sidła się zatrzasnęły, szpiedzy zlikwidowani - wyjaśnił Sierżant.

- To dobrze. - Bakly kiwnął głową, jednak ton jego głosu sugerował coś zgoła przeciwnego. - Ktoś mi ukradł Czerwoną Gwiazdę - wyjaśnił po chwili.

Koharow nie miał pojęcia, czym była Czerwona Gwiazda, lecz powstrzymał się od pytań.

- Przebiegł tuż obok nas. Dużej przewagi nie ma. - Zrozumiał nagle, co właśnie tutaj zaszło.

- Musiał mnie śledzić przez całą drogę - zastanawiał się Bakly na głos.

Czymkolwiek ta Czerwona Gwiazda była, musiała przedstawiać dla Baklego znaczną wartość i Koharowowi zaczynało świtać, że być może była wręcz powodem, dla którego się tu znaleźli.

- Mamy go gonić? - spytał.

- Rano, teraz nie ma sensu - odparł Bakly i siadł na drewnianych schodach wiodących do najbliższego domu, jakby zamierzał tam już poczekać na świt.

- To my tylko pozbędziemy się tych partaczy i zaraz będziemy z powrotem - rzucił Sierżant i wrócił do przerwanej pracy.



Po pierwszych kilkuset metrach Egever zdusił w sobie wreszcie paniczne ataki strachu i zwolnił tempo na takie, które mógł utrzymać przez kilka godzin, a gdyby zwolnił jeszcze bardziej, to nawet i dni. To właśnie w ten sposób zdołał dotrzeć za tłuszciochem i dziewczyną aż tutaj. Wspomnienie sprawiło, że jego serce znów zabiło jak szalone. To był najlepszy dzień jego życia, szczęście sprzyjało mu jak jeszcze nigdy dotąd. Długo się łamał nad tą pierwszą kradzieżą, coś mu w tym wszystkim nie pasowało, a potem i tak okazało się, że kopertą zainteresowani byli też inni. Co istotne, było ich więcej i wyglądali dalece zbyt niebezpiecznie, aby im wchodzić w drogę. Jednak nawet to nie

uchroniło ich przed marnym końcem, Egever wiedział już, że koperta to tylko podpucha. To jednak okazało się gwarantem jego sukcesu. To oraz ten nieokreślony niepokój, który nakazał mu przed akcją ściągnąć koszulę i nasmarować się oliwą. Tylko dzięki temu zdołał się wyrwać z uścisku, kiedy okazało się, że grubas wcale nie spał.

W zdradliwym blasku księżycy nie dostrzegł na czas zagłębienia i o mało nie skręcił sobie kostki. Wystarczy już, musiał być przecież wystarczająco daleko, uspokajał sam siebie. Pół kilometra dalej wreszcie się zatrzymał. Postanowił przeczekać do świtu, między łagodnymi pagórkami mógł się ukryć całkiem łatwo. Poza tym pieszego znacznie trudniej tropić niż jeźdźca. A już zwłaszcza tak lekkonogiego jak on.

Stał spokojnie, z rękoma zwieszonymi luźno po bokach i wpatrywał się w gwiazdy, które tak bardzo mu dziś sprzyjały. Na twarz powoli wypełził mu uśmiech. A może by tak sprawdzić, o co ten cały raban? No bo jak to tak? Obrabować bank i nawet nie wiedzieć, z czego? Z podróżnej sakwy wyciągnął skórzany mieszek. Nie odważył się jednak rozpaścić ognia, ani nawet zaświecić małej lampy, toteż zaczął swoją zdobycz badać na dotyk. Skórę pokrywały skomplikowane ni to wzory, ni to symbole. Jeśli miało to być pismo, to Egever nie miał pojęcia, w jakim języku. Do tego dochodziły jakieś wyszywania. W środku złodziej bez trudu namacał duży, najpewniej drogocenny, kamień. Może szmaragd albo diament? Czy jednak był wystarczająco cenny, aby się wszyscy tak o niego zabijali? Widać tak. Mieszka nie dało się otworzyć, zaszyty został cienkim drutem. Egever chwilę się wahał, wreszcie sięgnął po nóż. Ciekawość nie dawała mu spokoju, chciał wiedzieć, co tak naprawdę ukradł. Szkoda tylko, że będzie musiał czekać aż do rana, żeby w pełni nacieszyć oczy.



Grigor Evan krzyknął i rzucony konwulsją stoczył się z łóżka na podłogę. Człowiek pełniący przed jego drzwiami straż wpadł

natychmiast do środka z krótkim mieczem w dłoni. Nie marnował czasu na zapalenie światła, blask lampy z korytarza wystarczył, aby upewnić się, że w pokoju nie ma żadnych napastników.

Czarodziej dźwignął się na kolana i trzęsącą się ręką próbował rozpiąć lekką nocną koszulę, jak gdyby nie pozwalała mu swobodnie oddychać.

- Gwiazda wydostała się na świat, przebudzona - wychrypiął chaotycznie. - Musimy wyruszać!

Strażnik zaświecił wreszcie lampę, ale zamiast posłuchać rozkazu, stał tylko i przyglądał się uważnie swemu panu.

- Boli was brzuch? - zapytał, dotykając badawczo wciąż nabrzmiałych żył na szyi czarodzieja. Miecz odłożył na nocny stolik.

- Nie jestem otruty, idioto! - krzyknął Grigor. - Zaprzęgaj konie, ruszamy natychmiast! Wszystko mnie boli, nie tylko brzuch. Coś się stało, nie rozumiesz?!

Pół godziny później Grigor Evan kolebał się już w siodle. Atak słabości udało mu się opanować tylko do pewnego stopnia i wciąż wyglądał, jakby jego miejsce było w łóżku, a nie na nocnej wyprawie.

Baron Artur Cowen Coverfly nawet nie próbował już swego gościa, jak go zaczął w myślach nazywać, odwozić od tego pomysłu. Zamiast tego zdecydował się mu towarzyszyć, zabierając przy okazji jednostkę własnych ludzi. Rozkaz Varatchiego i tak nie dawał mu żadnej innej możliwości. Albo może i dawał, ale byłby to wybór dalece nierozsądny i baron powstrzymał się przed zbyt ochoczym kontemplowaniem tej ewentualności.

- Wyjaśnijcie mi w takim razie, proszę, co was tak gna? - spytał, kiedy wyruszyli drobnym klusem ku rozświetlającemu się wschodniemu horyzontowi.

- Wyczuwam ją, tę... tę rzecz, z której powodu tutaj jestem - odpowiedział mu czarodziej przez zaciśnięte zęby. - Coś ją uwolniło, coś przypadkowego, niesprawującego nad nią kontroli.

Daleko. Kilkadziesiąt, może nawet kilkaset kilometrów od nas, a i tak było to dla mnie wielce nieprzyjemne. Muszę ją zdobyć. Za wszelką cenę.

Młodzieńcowi w szarości poranka na chwilę rozbłyły oczy i nie był to odbłask słonecznego promienia.

Baron tylko kiwnął głową zrezygnowany. Evan rzeczywiście był zdecydowany podążać za swoim celem za wszelką cenę, nie zważając na przeszkody, koszty czy straty. Nie spodziewał się takiego fanatyzmu po młodym czarodzieju. Będzie musiał pamiętać, aby liczyć się z nim na przyszłość, i to tym bardziej, że przecież Grigor też jedynie spełniał rozkazy cesarza.



Koharow trzymał się o kilka kroków za Bakłym i rozglądając się uważnie, wypatrywał jakichkolwiek odcisków stopy, zmierzwionej trawy, potraconych kamyków. Nie potrafił zrozumieć, skąd ten olbrzym czerpał niezachwianą pewność, że w bardzo powoli ustępującym półmroku nie zgubi tropu złodzieja. Od czasu do czasu rzucał ukosem spojrzenia na Sierżanta, ale ten nie dawał nic po sobie poznać. Powietrze miało cudowny, chłodny posmak, ale świt był coraz bliżej, a z nim nadchodził upał.

Zwinnym truchtem wbiegli na szczyt kolejnego pagórka. Szeleściły poruszane wznagającym się wiatrem uschnięte kępki trawy, zgrzytał pod stopami piach. Ponad te odgłosy wybijały się przyspieszone oddechy.

- Stójcie - zatrzymał ich Bakły.

Koharow pomyślał nagle, że było coś nienaturalnego w tej ciszy, w tym jednostajnym, spokojnym wietrze. Uniósł wzrok i kawałek dalej, w jednej z dolin pomiędzy grzebieniami wydmy dostrzegł jakiś ciemny, poruszający się z wolna kształt. Wyglądało jak wirujące wrzeciono. Tornado? - pomyślał. Jak do tej pory odczuł niszczącą siłę huraganu na własnej skórze tylko raz. Znajdował się wtedy na pokładzie łodzi i przeżył jedynie dzięki szczęśliwemu zrządzeniu losu - niszczący wir powietrza i

wody jakoś ich ominął. Z tym że to tornado tutaj było jakieś dziwne. Poza łagodnym kolebaniem się na dnie dolinki nie wydawało się poruszać zbyt wiele. Jednak strach wzbudzało taki sam, jak i wszystko inne, co dla człowieka niezrozumiałe.

Bakly zostawił ich tam, gdzie stali, i zapadając się powyżej kostek w lekki, nawiany piach, ruszył w dół zbocza wydmy.

- Ktoś tam leży - zaobserwował Sierżant.

Koharow wysilił wzrok i po chwili przyznał mu rację.

Dziwaczne tornado zataczało kręgi wokół leżącego na ziemi trupa. A raczej wysuszonego szkieletu, jaki pozostaje po latach leżenia w suchym, gorącym powietrzu. O ile, oczywiście, nie doborą się wcześniej do niego padlinożercy, dopowiedział sobie w myślach Koharow. Widać tego tutaj zostawili w spokoju.

Bakly zatrzymał się i czekał, aż ta tajemnicza trąba powietrzna zataczająca kręgi wokół leżącego ciała odsunie mu się z drogi. W pewnym momencie wirujący kłęb zakotłosał się, wyglądało, jakby miał zamiar rzucić się w stronę stojącego przed nim mężczyzny, jednak po chwili ruszył dalej w sobie znanym kierunku. Koharow strasznie żałował, że nie dane mu było zobaczyć twarzy Baklego. Ten zrobił trzy szybkie kroki i zatrzymał się nad nieboszczykiem. Długo mu się przyglądał, a potem podniósł coś z ziemi. I nagle wirujący kłęb rozproszył się, tajemniczy wiatr ucichł, a Koharow zaczął oddychać jakby swobodniej, i to pomimo iż poprzedni, orzeźwiający chłód w jednej chwili ustąpił wzmagającemu się porannemu gorącu.

- Chodźmy rzucić okiem - zaproponował Sierżant i grzęznąć w piachu, ruszył w dół.

Koharow dogonił go dopiero przy nieboszczyku. Bakly trzymał w ręku jakiś przedmiot zawinięty w rozcięty skórzany woreczek, z włosów i przedramion zniknęły mu właśnie topniejące kryształki lodu. Chociaż musiały to raczej być kryształki soli z potu, bo przecież skąd lód na pustyni?

- A ten trup to kto? - zainteresował się Sierżant, trącając czubkiem buta czaszkę leżącego.

Poza kośćmi nie dostrzegali niczego, co mogłoby stanowić

jakąkolwiek wskazówkę. Na zmarłym nie pozostały żadne resztki odzienia, ozdób lub ekwipunku.

- Gość, który mi w nocy ukradł to - Bakly wskazał na przedmiot, który właśnie pieczołowicie chował do drugiego skórzanego worka, tak aby za żadną cenę nie odwinął się z tego pierwszego. - Jak już to uwolnił, zaczęło się żywić wszelką dostępną w okolicy mocą, ale na jego nieszczęście dokoła jest tylko pustynia - dodał.

Koharow nie rozumiał, co Bakly ma na myśli, nic tu nie miało najmniejszego sensu. Rozejrzał się dokoła. Kawałek dalej dostrzegł w trawie szkielet małego gryzonia. Dziwne, normalnie przecież padliną już coś by się zainteresowało. Żywi się wszelką dostępną mocą... Energią życiową ludzi i zwierząt też? Zmroziło go do kości.

- Więc jakim cudem tobie nic się nie stało?

Pytanie wyraźnie zaskoczyło Baklego. Jakby olbrzymowi ten szczegół umknął.

- Działalem szybko. - Zamyślił się. - No i nie da się o mnie powiedzieć, żebym był szczególnie wrażliwy. Potrafię znieść to i owo. Dobra, czas wracać, wkrótce wyruszamy.

W drogę powrotną ruszyli nieco spokojniejszym, ale w dalszym ciągu różnym tempem. Koharow, podobnie jak Sierżant, natychmiast zaczął się pocić.

- A więc wyruszamy w pustynię... - nawiązał do rozmowy poprzedniego wieczora i dotychczasowych przygotowań.

Bakly skinął potakująco głową, ale nie odpowiedział.

- W głęboką pustynię - uściślił Koharow, zastanawiając się, czy Bakly wiedział, co dokładnie oznacza ten termin. Wyglądało jednak, że wiedział.

Kolejne potaknięcie.

- A to, co masz uwiązane przy pasie, zabieramy ze sobą.

- Zgadza się. Czerwona Gwiazda nie może się dostać w ręce nieprzyjaciela - uzupełnił Bakly.

- To czemu po prostu nie przejdziemy przez pustynię na drugą stronę? - zaciekawiał się Sierżant.

Koharow zadrzał. Śmierci jako takiej się nie bał, ale za żadną cenę nie chciał skończyć, zdychając oszalały z pragnienia gdzieś w samym sercu tej piekielnej patelni. Nie raz już widział niefortunnych śmiałków, którzy spędzili tam zbyt wiele czasu. Nawet ci, którzy mieli pod dostatkiem wody, nawet ci, którzy przeżyli, nie wrócili stamtąd bez uszczerbku. Przeżyły może ich ciała, lecz dusze pozostały martwe na wypalonym słońcem, najeżonym czarnymi, bazaltowymi skałami pustkowiu.

- Pustyni Gutawskiej nie da się przejść, a przynajmniej nie na tej wysokości - zaczął powoli wyjaśniać. Bakly stopniowo zwiększał tempo i Koharow musiał robić drobne przerwy dla nabrania tchu.

- Rozciąga się na dobrych sto razgów, a do tego drogę zagradzają ponoć pola gejzerów, aczkolwiek nie spotkałem jeszcze nikogo, kto zapuściłby się tak daleko i zdołał wrócić.

- Razgów? - zapytał Sierżant.

- Jeden razg to odległość, na jaką może zanurzyć się w pustynię i wrócić zeń cało jeden człowiek, mający przy sobie taki zapas wody, jaki jest w stanie unieść - wyjaśnił tym razem Bakly.

To Koharowa zaskoczyło. Tylko ludzie dobrze znający Pustynię Gutawską znali ten termin i nim się posługiwali. A i to dopiero od stosunkowo niedawna, odkąd rozpoczęły się boje między lordami północy i południa. Jeszcze bardziej zaskoczyło go to, że Bakly powiedział „zanurzyć się w pustynię”. Tak mówili tylko bojownicy z pustynnej partyzantki. Sam się do nich nie zaliczał, aczkolwiek już parę razy zapuścił się głęboko. Trzeba było być całkiem pomylnym, żeby wyruszać na wyprawę, która dawała minimalne tylko szanse na powrót. A on jeszcze aż takim szaleńcem nie był. Taką w każdym razie miał nadzieję.



- Za wszelką cenę musimy jechać dalej! - powtórzył Evan już po raz dziesiąty.

Mieli za sobą trzydzieści ciężkich kilometrów, nad głowami pałało słońce, konie ledwo powłóczyły nogami, a Coverfly

zaczynał sobie uświadamiać, że poprzez kurierów kursujących pomiędzy nimi a idącą powoli ich śladem armią długo utrzymać komendy nie zdoła.

Problem polegał na tym, że czarodziej pozostawał głuchy na jakiegokolwiek rozsądne argumenty. Najgorsze okazało się jednak to, że ten szaleniec był gotów ruszyć w pogoń sam, tak jak stał, bez względu na ryzyko. Na to, w obawie o swoją własną skórę, Coverfly pozwolić nie mógł. Jedyne, co mógł, to kląć okoliczności, które sprawiły, iż znalazł się w tej sytuacji.

- Za chwilę powinniśmy stanąć w Kusybu. To zapadła dziura, ale przynajmniej mają wodę i może będą mieli jakieś świeże konie - oznajmił Hoovery.

- Czemu nie. - Ku zdziwieniu barona Grigor Evan nie oponował. - To jest akurat po drodze w kierunku, w którym mi umknęła.

Coverfly skinięciem dał znać, że ten pomysł podobał się i jemu, i ruszyli dalej, kolebiąc się w popołudniowym upale. Zaczął zwalniać, zatrzymując przy sobie czarodzieja. Poczekał, aż zostali z tyłu wystarczająco daleko, aby być poza zasięgiem słuchu, i ostrożnie zapytał:

- No dobrze, to co wam tak naprawdę umknęło? Jako żołnierz mam do wykonania zadanie, lecz muszę najpierw wiedzieć, na czym to zadanie dokładnie polega. Proszę nie zapominać, że armia nie jest najlepszym narzędziem do szukania igły w stogu siana.

Młody czarodziej wyglądał, jakby chciał barona zabić już za sam fakt, iż tamten ośmielił się powołać wprost na ściśle tajny cel całej operacji, jednak po krótkiej chwili zdołał się opanować.

- Może i macie rację - wymamrotał. - Czerwona Gwiazda jest silnym artefaktem magicznym, zdolnym obdarzyć ogromną mocą tego, kto umie się z nią obchodzić. O jej istnieniu dowiedziałem się ze starych ksiąg. Zorganizowałem rozległe poszukiwania, ale okazało się, że druga strona zdołała mnie ubiec. Musieli mnie śledzić! Musieli mnie wręcz otoczyć całą siatką szpiegów, inaczej byłoby to niemożliwe!

Nie umknęło uwadze barona, iż samo wspomnienie porażki i upokorzenia rozpałało gniew czarodzieja do białości.

- Druga strona? - spytał obojętnym tonem.

Evan był na tyle rozsierdzony, że Coverfly zwierzył okazję. Jeśli tamten nie opamięta się zbyt szybko, może zdoła wyciągnąć od niego jakieś dalsze szczegóły.

- No przecież Dask, nie kto inny! - zgodnie z oczekiwaniami wybuchł czarodziej. - Tylko jego ludzie byliby zdolni przechytryć agentów Varatchiego. Którykolwiek z pozostałych szlachciców mógłby na magiczny artefakt natrafić najwyżej przypadkiem i nie dalej niż we własnej piwnicy, ale księżę Dask nie tylko potrafił zbudować siatkę wywiadowczą rozciągającą się na całe imperium, ale jeszcze do tego jest w szpiegowaniu lepszy od nas!

Coverfly musiał przyznać, iż był pod wrażeniem, jak silnymi więzami lojalności Varatchi umiał opętać swoich ludzi. Grigor Evan nie uważał się wcale za imperialnego czy cesarskiego czarodzieja, on był na wskroś czarodziejem Varatchiego.

- Księżę Dask jest rzeczywiście niezwykle niebezpiecznym przeciwnikiem - przytaknął, aby dać Evanowi do zrozumienia, że on też chętnie podzieli się informacjami. Równocześnie sam się nad tym zastanowił. Aktualnie miał pod swoją komendą dziesięć tysięcy ludzi. Z danych, którymi dysponował, wynikało, że Dask mógł wystawić mniej więcej tyle samo. Czy zaryzykowałby stawienie mu czoła w otwartym polu? Zastanawiał się nad odpowiedzią, próbując być wobec siebie możliwie jak najbardziej szczerym. Niebezpieczne pytanie... Gdybym nie znalazł innego wyjścia, zdecydował wreszcie, ale nie była to odpowiedź, która go uspokoiła.

- Ta Czerwona Gwiazda... Można jej użyć jako broni? - Wrócił myślami na ziemię i ku bardziej interesującym tematom.

Ich eskorta zorientowała się, iż baron nie życzył sobie, aby im w rozmowie przeszkadzano, i nawet czterej milczący ludzie czarodzieja trzymali się na odległość.

- Oczywiście. Czerwona Gwiazda to moc, to niewyczerpany

samouzupelniający się zasobnik mocy. Poczułem ją ostatniej nocy, kiedy ktoś nieopatrznie przebudził Gwiazdę. Głupiec. Martwy głupiec. To tak, jakby gołą ręką chciał nabrać lawy tryskającej z wulkanu - odpowiedział Evan z nutą pogardy w głosie.

Coverfly milczał, mając nadzieję, że dowie się jeszcze czegoś więcej. I rzeczywiście, młody czarodziej, zadowolony, iż trafił mu się odpowiedni słuchacz, natychmiast poczuł potrzebę, aby zabłysnąć swoją wiedzą.

- Co więcej, Czerwona Gwiazda nie reprezentuje prymitywnej, surowej magii, którą trzeba z wysiłkiem kształtować mocą własnej woli, a jeśli ta okaże się niewystarczająco silna, potrafi spalić człowieka w okamgnieniu. Moc w niej zawarta jest uporządkowana, gotowa do użycia, wystarczy jedynie rozpoznać jej strukturę i rozpleść pojedyncze włókna, a wtedy jedną myślą człowiek może rozpętać burzę zdolną wyniszczyć ludzkość, wzbudzić trzęsienia ziemi i wulkany... - w miarę jak mówił, czarodziej rozpałał się coraz bardziej, jednak kiedy osiągnął szczyt podniecenia, nagle i bez wyraźnej przyczyny zapadł w ponure milczenie.

Tak już pozostał do końca podróży. Coverfly z ulgą dostrzegł, że pojawiły się przed nimi pierwsze drzewa pokryte spłowiałym, zakurzonym listowiem. Nie wyglądały imponująco, jednak w porównaniu z ciernistymi krzewami i długą, wyschniętą trawą owijającą się wokół końskich nóg i tak stanowiły przyjemne urozmaicenie krajobrazu. A co ważniejsze, zwiastowały wodę - Kusybu musiało być już blisko. Tu, na granicach Pustyni Gutawskiej, ludzie żyli tylko tam, gdzie mieli się czego napić.

- I to wszystko wiecie tylko po krótkim, jednorazowym kontakcie z mocą tego artefaktu? Tej Czerwonej Gwiazdy? - zaryzykował kolejne pytanie.

- Tak - potwierdził zwięźle Evan. Widać było, że w głębi duszy żałuje swojego wcześniejszego wybuchu rozmowności.

Co raczej nie jest całą prawdą, dopowiedział sobie w duchu Coverfly. Kontakt z mocą artefaktu musiał być dla młodego

czarodzieja przeżyciem bolesnym, który wstrząsnął nim na tyle, iż Evan stracił zdolność chłodnego myślenia. Nie dalej jak przed paroma chwilami przyznał przecież, że studiowaniu artefaktu poświęcił całkiem sporo czasu. Czerwona Gwiazda rzeczywiście musiała być niezwykle niebezpieczna. I cenna.

Jednak kim, do cholery, był ten, kto zdołał przebudzony drogocenny kamień znowu ukryć? - zastanawiał się Coverfly, który nagle uświadomił sobie, że czarodziej ani nie wyjawiał mu, iż chodziło o szlachetny kamień, ani jak to możliwe, że ta niewyczerpana moc tak nagle się ujawniła i zgasła. Mimo to Coverfly był przekonany, że jego skojarzenie jest słuszne. Jeszcze do niedawna o magii, artefaktach i czasach władzy czarodziejów w ogóle się nie mówiło, jednak zawsze jakieś ślady przetrwały w legendach i opowieściach.



Kusybu okazało się dokładnie takim zadupiem, jakiego się spodziewali. Coverfly przejął kontrolę nad źródłem wody i zajął jeden z ośmiu domów, którego mieszkańców bez cienia litości wygonił po prostu na zewnątrz. Razem z Evanem i dwoma z jego ochroniarzy zajęli większą izbę, podczas gdy dwaj pozostali trzymali straż poza budynkiem. Żeby nie czuć się nieswojo, Coverfly zatrzymał przy sobie Hoovery'ego, choć normalnie nie miał w zwyczaju jadać w towarzystwie swoich ludzi. Każdy posilał się z własnych zapasów, co w przypadku Sedrika oznaczało dość skromne menu. Wzbogacił je więc o kilka jajek i bochen świeżego chleba, które bez większych ceregieli zarekwirował miejscowym.

Początkowo Coverfly nie miał apetytu. Wypił dwa kielichy kryształowo czystej wody i sączył teraz trzeci, wzbogacony o dolewkę wina. Czarodziej też skubnął co nieco, widać wciąż jeszcze nie doszedł w pełni do siebie. Siedział tylko w milczeniu i gapił się w ścianę.

- Gwiazda znajduje się wciąż bardzo daleko, jakbyśmy się w ogóle do niej nie zbliżyli. Muszę ruszać dalej jak najszybciej.

Potrzebuję świeżego konia i trochę zapasów - odezwał się wreszcie, powracając do jedyne go tematu, na jaki skłonny był rozmawiać, gdy trochę odsapnęli. - Kiedy dotrą tu moje rzeczy, musicie je za mną posłać bez najmniejszej zwłoki. Będą mi niezbędnie potrzebne, aby należycie rozprawić się z tymi, którzy ukradli Gwiazdę.

W pierwszej chwili Coverfly nie powiedział nic. Z jednej strony cesarz rozkazywał mu zrobić wszystko, co konieczne, aby Evan spełnił swą misję, z drugiej Varatchi chciał, aby baron pilnował czarodzieja jak oka w głowie. Teraz wyglądało na to, iż te dwa rozkazy wydane przez dwóch najpotężniejszych ludzi na świecie są sobie zupełnie przeciwstawne. Równie dobrze mógł się dać rozerwać końmi tu na miejscu, zaoszczędzając wszystkim czasu i zachodu.

- A co się stanie, jeśli owe rzeczy, które są wam tak niezbędnie potrzebne, aby porachować się ze złodziejami, nie dotrą na czas? - spytał spokojnie.

- Już wasza w tym głowa, aby dotarły - odparł czarodziej obojętnie. Niestety, trafił w samo sedno.

- Za dwa, trzy dni powrócą moi ludzie, którzy wyruszyli na zwiad. Dowiemy się, kto dopuścił się kradzieży, ilu ma ludzi i, w przybliżeniu, jakie ma dalsze plany. Będziemy dzięki temu mogli się przygotować o wiele skuteczniej do dalszej pogoni. - Coverfly starał się podejść do sprawy tak rzeczowo, jak tylko się dało.

- Nie zamierzam czekać nawet jednego dnia. - Evan kategorycznie odrzucił myśl o postojach. - Nie mogę dopuścić do tego, aby Czerwona Gwiazda się ode mnie oddaliła, a oddała się przez cały czas, nawet w tej chwili. Jest ukryta za jakąś magiczną zasłoną, niemniej czuję to wyraźnie. Wyczuwam jej ruch i jej... stan.

- Zatem w którą stronę się przemieszcza? - spytał Coverfly z niepokojącym przecuciem, że domyśla się odpowiedzi.

- Tam. - Evan wskazał w kierunku, w którym rozciągała się nieskończona, wyprażona pustka Pustyni Gutawskiej. Najbardziej niegościnnie i niesprzyjające wszelkim przejawom

życia miejsce na ziemi.

- A co, gdybyśmy tak wystali szybki oddział, który siedziałby im na karku i znaczył drogę dla naszej przyzwoicie przygotowanej karawany? - Coverfly spróbował z innej strony.

Grigor Evan zamilkł i przez chwilę rozpatrywał zaproponowaną opcję.

- Wiem, że jesteście jednym z najzdolniejszych dowódców w armii cesarskiej, ale mimo to jakoś nie wydaje mi się, że wasi ludzie skłonni będą respektować rozkaz, na mocy którego zostaną wysłani na pewną śmierć - odpowiedział Evan, uważnie przy tym obserwując barona.

Coverfly zdusił w sobie wybuch wściekłości. Nie docenił go. Czarodziej dobrze się na tę misję przygotował. Wiedział o lokalnej mentalności i panujących tu warunkach więcej, niż dawał po sobie poznać. Wiedział doskonale, że żołnierze wysłani z misją do tego stopnia samobójczą zwyczajnie zdezerterują przy najbliższej nadarzającej się okazji, nie bacząc nawet na groźbę sądu polowego.

- Jeśli to ja ich poprowadzę, posłuchają każdego rozkazu - powiedział chłodno, czując narastające dreszcze strachu.

- Szefie? - Hoovery nieoczekiwanie wmieszał się do rozmowy.

Coverfly spojrzął na swego przybocznego. Modlił się w duchu, aby tamten miał do powiedzenia coś mądrego, coś, co ocali mu skórę. Za żadną cenę nie chciał wyruszać w pustynię. Czarodziej musiał być niespełna rozumu, skoro uważał, że właśnie tam kierował się artefakt. Gdyby jednak okazało się, że ma rację, wtedy niespełna rozumu musieli być złodzieje, którzy go przy sobie mieli.

- Moglibyśmy nająć Czarnych Jeźdźców - zaproponował Hoovery.

W pierwszym odruchu Coverfly chciał przybocznego strzelić w pysk za głupotę. No co za pomysł! Czarni Jeźdźcy - terroryzujący pogranicze pustyni bandyci, zabijający bez przyczyny kogo bądź i gdzie bądź - kosztowali go nie tylko życie całkiem sporej liczby ludzi, ale potrafili też opóźnić przemarsze.

Stawianie im czoła miało się z celem. Napadali znikąd i błyskawicznie znikali. Dzięki sieci dobrze ukrytych i tylko sobie znanych kryjówek zapadali się jak pod ziemię i zdolni byli przeczekać w nich każdą pogoń. Zapuszczali się też w pustynię daleko głębiej, niż ktokolwiek ośmieliłby się za nimi podążyć.

Coverfly nabrał głęboko powietrza, po czym bardzo powoli wypuścił je z płuc. Jak się nad tym chwilę zastanowić, pomysł może jednak nie był aż tak głupi.

- Ile potrzebujesz czasu na zorganizowanie spotkania? - spytał rzeczowo.

- Ze dwa dni, może trzy - odpowiedział Hoovery obojętnym tonem. Nożem o obustronnym ostrzu odkroił kawał szynki i zaczął go z namysłem przeżuwać. Jak na człowieka, który właśnie zgłosił się do wykonania śmiertelnie niebezpiecznej misji, zachowywał się nad wyraz normalnie.

- I oni zechcą dla nas pracować? - zaciekał się Evan. - Z tego, co o nich słyszałem, nie odniosłem wrażenia, że interesują ich pieniądze. Ich motywy działania wydają się... dość specyficzne i nie do końca zrozumiałe.

Barona po raz kolejny zaskoczyło, jak szczegółowymi informacjami dysponował w istocie czarodziej.

- O ile zdołamy się z nimi dogadać, Czarni Jeźdźcy będą o wiele lepsi niż oddział, jaki ja zdołałbym wystawić - odpowiedział Coverfly, patrząc czarodziejowi prosto w oczy. - Znają tę pustynię jak nikt inny, niestraszna im śmierć. W tropieniu nie mają sobie równych. Jeżeli rzeczywiście zależy wam tak bardzo na odzyskaniu Czerwonej Gwiazdy, sami się lepiej zaczniecie zastanawiać, co im możecie zaoferować. Nawet gdyby zawiedli, nawet gdyby nie zdołali dopaść złodziei, dzięki nim przynajmniej nie stracimy tropu, za to zyskamy czas, aby przygotować się do zapuszczenia w pustynię tak głęboko, jak tylko będzie trzeba. Tak daleko, jak tylko wasi złodzieje sami odważą się zapaść.

Pełna napięcia cisza trwała długo, jednak Coverfly nie spuścił wzroku do czasu, aż czarodziej kiwnął potakująco głową.

- To brzmi jak bardzo rozsądny plan, panie.



Koharow i Sierżant ostrożnie wspięli się na szczyt pagórka. Musieli się bardzo starać, aby żadne przypadkowe spojrzenie nie wyłapało ich sylwetek zakłócających linię horyzontu. Siedzieli teraz przylepieni do skały, która wznosiła się ku niebu niczym kiel jakiegoś monstrualnego, przedpotopowego zwierzęcia i z tego względnie bezpiecznego ukrycia obserwowali okolicę.

- Wydawałoby się, że ty i twoi ludzie powinniście się czuć tak daleko na pustyni całkiem jak u siebie, a tymczasem zachowujesz się wręcz przeciwnie - mruknął Sierżant. - Paskudna okolica. W życiu czegoś podobnego nie widziałem.

- Wieziemy wodę. Mnóstwo wody. I może się zdarzyć, że spotkamy śmiałków, dla których ta woda będzie stanowić różnicę pomiędzy życiem a śmiercią - odpowiedział Koharow.

Byli w podróży od dwóch dni, w czasie których pustynia zdążyła się zmienić. Piach ściemniał, pojawiły się czerwone, brunatne wręcz kamienie i skalne płyty o wysokiej zawartości hematytu, coraz częściej mijali też zerodowane, czarne bazaltowe głazy. Ciemniejszy kolor pustyni sprawił, że żar stał się jeszcze gorszy, a pochód karawany zmienił w istną mordęgę.

- Zauważyłem, że każdy z twoich ludzi ma przy sobie pełny bukłak z wodą. A przecież mamy ze sobą solidne zapasy. Chce im się je tachać? - kontynuował Sierżant, nie odrywając wzroku od widnokręgu. - Najemnicy zresztą też.

Koharow w duchu przyznał mu punkty za spostrzegawczość. Ludzie obeznani z pustynią mieli w zwyczaju trzymać swoje zapasy na czarną godzinę dobrze ukryte.

- Przez dwa dni drogi minęliśmy tylko jedną studnię, a i ta była zasypana. Musielibyśmy kopać naprawdę głęboko, żeby wydobyć stamtąd choćby kilka łyków. W południe przekroczyliśmy granicę jednego razga. Bez przynajmniej odrobiny zapasu już byś stąd nie zdołał dotrzeć z powrotem. Człowiek rozumny zawsze liczy przede wszystkim na siebie.

Sierżant kiwnął ze zrozumieniem głową.

- Nawet ktoś naprawdę zdesperowany, walczący o życie ostatkiem sił, też by się nie wynurzył?

Koharow zauważył, że Sierżant przyswoił sobie pustynną terminologię szybciej niż większość ludzi spoza piasków. W ciągu kilku zaledwie dni również dla niego pustynia stała się głębiną suchego, morderczego upału, która pozwalała człowiekowi zostać przy życiu jedynie tak długo, na ile wystarczyło mu tchu.

- Nie wynurzyłby się. Razg to razg. To maksymalna odległość dla silnego człowieka walczącego o przetrwanie - przypomniał mu Koharow, choć świadomość własnej wiedzy wcale nie poprawiła mu humoru.

Wrócili na dół, gdzie pięćdziesięciu ludzi instynktownie trzymało się niemalże na wyciągnięcie ręki od trzech ciężkich wozów ciągniętych przez poczwórne zaprzęgi małych, zawziętych koników. Kosztowały majątek, ale bez nich nie mieliby szans. Była to miejscowa rasa, hodowana od stuleci, wytrzymała i nieustępliwa. Co prawda konie potrzebowały więcej wody niż ludzie i gorzej znosiły gorąco, ale były za to niezwykle silne, dzięki czemu karawana mogła zaopatrzyć się w kilka tysięcy litrów wody.

Gwałtowny powiew wiatru przyniósł ze sobą tuman piachu, sypnął nim wszystkim do oczu. Kolumna stanęła jak na komendę, ludzie próbowali otrzeć suchy pył z twarzy, uspokoić rozdrażnione zwierzęta. Jakby to była ta ostatnia, przysłowiowa kropla, dowódca najemników podbiegł do Baklego, który z mechaniczną uporczywością kroczył przy burcie jednego z mozolnie prących do przodu wozów i za każdym razem, kiedy nastawała taka potrzeba, wraz z czterema innymi ludźmi pomagał umęczonym koniom w pokonywaniu przeszkód, których droga im nie skąpiła.

- Kiedy rozbijamy obóz? Moi ludzie mają już dość.

- Nie tutaj - odpowiedział nieprzyjemnym tonem Bakly i zabrał się do popychania wozu, widząc, że ten grzęźnie i za chwilę będzie zmuszony całkiem się zatrzymać.

Przez twarz Craiga przetoczyły się skrajne emocje. Od

zniesmaczenia po wściekłość.

- Twój szef nie jest szczególnie biegły w dyplomacji, co? - rzucił Koharow do Sierżanta półgębkiem.

- Co prawda, to prawda - zgodził się żołnierz.

- Zapłaciliście mi za to, żebym zapewnił waszym ludziom zbrojną eskortę, a nie za to, żebyśmy tu mieli zdechnąć od upału! - Najemnik ledwie się powstrzymywał przed wybuchem furii.

- Widzicie kolor tych skał? Czujecie, jak tu gorąco? - wmieszał się do rozmowy Koharow.

Kątem oka dostrzegł, że Sierżant poluzował w pochwie nóż, który miał wetknięty za pas. Nosił go rękąjescią do dołu. Niektórzy twierdzili, że w ten sposób można szybciej zdobyć broni.

- Gorąco jak gorąco. - Craig otarł z czoła zalewający mu oczy pot. - W tym piekle przecież wszędzie jest upał.

- Owszem, ale tutaj, wśród ciemnych, wznoszących się wysoko ponad nami skał, upał jest gorszy. Żeby rozbić obóz, musimy znaleźć jakiś jaśniejszy obszar, najlepiej jakieś kilkadziesiąt metrów wyżej.

Dowódca najemników kiwnął głową na znak, że rozumie i akceptuje to wyjaśnienie, a potem oddalił się. Bakly wyglądał, jakby go ta wymiana zdań zupełnie nie dotyczyła.

Po zmroku, kiedy pustynia powoli i niechętnie ochładzała się, siedzieli przy ogniskach płonących wokół wozów. Koharow owinął się derką, pomimo iż wciąż mu jeszcze było gorąco. Z doświadczenia wiedział, że nad ranem zrobi się naprawdę zimno, a gwałtowna utrata ciepła potrafiła wysać z człowieka energię szybciej, niż ktokolwiek uwierzyłby, iż to możliwe. W ciągu dnia przydział wody był racjonowany, jednak od zachodu słońca do północnej zmiany straży każdy mógł się napić do syta. Ten rozkaz Bakly wydał za namową Koharowa. Taki system sprawdzał się znakomicie, a do tego Koharowa cieszyło, że Bakly posłuchał jego rady. Nawet jeśli sam miał dokładnie takie same plany.

Craig siedział przy tym samym ognisku. W jego mizernym świetle przyglądał się z trudem rozłożonej na kolanie mapie.

- Jutro powinniśmy dotrzeć do Oazy Hutskiej. - Ocenił prawidłowo kolejny etap wyprawy.

Bakly nie zareagował, siedział w milczeniu, patrząc się gdzieś w bok, i powoli odkrajał plasterki wędzonej słoniny, którą potem żuł beznamiętnie. Zawsze wydawał się tak jeść, jakby zupełnie nie interesowało go, czy jedzenie ma w ogóle jakiś smak. Sierżant wpatrywał się w gwiazdy, choć mógł też nasłuchiwać rozmów dochodzących od sąsiednich ognisk.

- Musielibyśmy gnać jak wicher, i to bez południowej sjesty. Ja bym raczej powiedział, że pojutrze - odpowiedział Craigowi Koharow, mając nadzieję, że zachęci w ten sposób tamtego do dalszej rozmowy.

Wiedział, co tu robili oni - księżęcy ludzie z misją ukrycia głęboko na pustyni potężnego magicznego artefaktu. Jednak od najemników, w porównaniu do pieniędzy, jakie im płacił, Bakly oczekiwał podejrzenia niewiele. Czy aby na pewno chodziło wyłącznie o odprowadzenie ich do oazy na skraju pustyni? Dawno temu - chociaż właściwie to nie aż tak dawno, raptem kilka lat przed wojną - istniał cały łańcuch oaz ciągnący się dużo głębiej w pustynię. Farmerzy korzystali z gorącego klimatu i podziemnych zasobów wody do uprawy słodkiej winorośli, z której wytwarzali mocne wino, wielce cenione na stołach całego imperium.

Jednak teraz to już przeszłość. Teraz oazy były wypalone, a źródła wody, o które nie miał kto dbać i ich utrzymywać, zniknęły przysypane piachem postępujących wydm lub jeszcze gorzej, zostały zatrute sokami toksycznych kaktusów. Obie strony konfliktu używały ich jako broni biologicznej po równo, bezlitośnie niszcząc przedpola nieprzyjaciela.

- Pojutrze? - Craig wydawał się wyraźnie niezadowolony z odpowiedzi Koharowa. - Przecież na mapie to mniej niż połowa dystansu, jaki pokonaliśmy w dwa dni - zaprotestował.

- Owszem, ale są tam również oznaczenia dwóch razgów -

zwrócił jego uwagę Koharow. - My jesteśmy dopiero za pierwszym. Ciągnąc z wozami, postępujemy wolniej, niż gdybyśmy wędrowali pieszo.

Teraz i Sierżant zaczął przysłuchiwać się z uwagą.

- Ja wiem, że z wozami idziemy wolniej - Craig zaczynał się złościć - ale przecież i tak przez dwa dni przeszliśmy dwa razy więcej, niż dzieli nas od Hutskiej. Nie rozumiem, dlaczego nie mielibyśmy tam stanąć już jutro, i to bez pośpiechu!

- Bo razg razgowi nierówny - przyłączył się wreszcie do rozmowy Bakly. - Zależy od terenu. Są takie odcinki, że człowiek się cieszy, jak da radę wycisnąć cztery, pięć kilometrów. Mapy zwyczajnie kłamią.

Koharow rzucił mu badawcze spojrzenie. Bakly musiał mieć na myśli Bazaltową Wyżynę - rozległy obszar niewysokich gór. Wiatr i piasek wyłobiły tam w ciągu stuleci prawdziwą płataninę wąskich kanionów i przesmyków. Nie miał pojęcia, czego też Bakly mógł tam szukać. Sam zapuścił się kiedyś na wyżynę w poszukiwaniu ukrytej bazy Czarnych Jeźdźców. Nie wspominał tej wyprawy miło, o mały włos, a przypłaciłby ją życiem, i to bez pomocy bandytów.

- Rozumiem - uspokoił się Craig i wrócił do studiowania mapy.



Koharow otworzył oczy. Nie czekały go żadne niespodzianki. Ranek wyglądał identycznie jak poprzedni, jak setki, tysiące poprzednich poranków na pustyni. Wyschnięte, pozbawione jakiegokolwiek wilgotności powietrze, wyblakłe niebo, osłepiające słońce i długie, wędrujące szybko cienie skał. Kiedy wygrzebał się ze swojej derki, zauważył, że Bakly i Sierżant są już na nogach i o czymś po cichu konferują. Bakly wydobył z siebie całe trzy zdania i Koharow zgadywał, że w ten sposób wyczerpał przydział słów na nadchodzący tydzień.

Ludzie otrzymali swoją dzienną rację wody, który musiał im wystarczyć aż do wieczora, po czym zbiorniki zostały zapieczętowane. Sierżant nasmarował jeszcze osie wozów

olejem daktylowym i ruszyli w drogę. Co chwila musieli się jednak zatrzymywać. Na tak nierównym terenie wozy dostarczały im pełne ręce pracy. Nikogo do roboty nie trzeba było zaganiać, każdy dawał z siebie, ile było trzeba. Im dalej w pustynię, tym lepiej zdawali sobie sprawę z tego, że ich przeżycie zależy wyłącznie od wody, którą ze sobą wiozą, i od tego, jak szybko zdołają dotrzeć do kolejnego źródła. W południe droga przywiodła ich na głęboką przełęcz.

- Gawryli Wąwóz - oznajmił Koharow. - Kiedyś regularnie szły tędy karawany, droga była dużo lepsza i wozy nie miały trudności z jego pokonaniem, ale dziś wygląda tak, że nawet nie jestem pewien, czy da się zjechać w dół.

- Da się. Będziemy sobie pomagać linami - zareagował Bakly. - Kawalek dalej jest takie miejsce, przez które wozy przejdą jeden za drugim. Na styk, nie będzie nawet miejsca na to, aby iść obok. No i pewnie będziemy musieli wąwóz trochę udrożnić.

Zaskoczony Koharow kiwnął głową.

- Zgadza się, na szerokość osi, nie więcej.

- Wolisz jechać z przodu czy zamykać pochód? - wielki mężczyzna zwrócił się do dowódcy najemników.

Koszula Craiga nie była już tak biała ani tak elegancka. Szerokie rękawy, które przy przeciskaniu się między skałami okazały się bardzo niepraktyczne, już dawno poodcinał. Pytanie wzbudziło w nim podejrzenia. Jak do tej pory Bakly wyłącznie rozkazywał, a i to głównie za pośrednictwem Sierżanta. Zazwyczaj jednak nie odzywał się wcale.

- Pójdziemy jako straż tylna - wybrał wreszcie.

- No to jedziemy - zakomenderował bez dalszych ceregieli Sierżant. - Wiążcie liny, po ośmiu chłopca na wóz.

Koharow prosił w duchu o przychylność opatrności, aby dozwoliła im dostać się na dół w całości.

Jak się okazało, do najwęższego miejsca wąwozu dotarli bez większych trudności. Napierające na nich z obu stron skalne ściany wznosiły się tu tak wysoko, że skrywały ich przed promieniami słońca, zasłaniały zresztą większą część nieba. W

cieniu nie czuli wreszcie wszechobecnego żaru. Wąski przesmyk, z daleka wyglądający jak co najwyżej niska szczyrbina, przy bliższych oględzinach okazał się na tyle szeroki, iż przy odrobinie wysiłku wozy powinny dać radę się precisnąć.

- Ja i czterech chłopów z łomami pójdziemy pierwsi, na wypadek gdyby trzeba było odwalić z drogi jakiegokolwiek glazy - zarządził Bakly i bez zwłoki wkroczył w panujący w przesmyku półmrok.

W normalnych okolicznościach Koharow powitałby panujący tu chłód z wdzięcznością, jednak nie tym razem. Coś mu się nie podobało, niepokoiło i wyczuwał, że podobne wrażenie mieli jego ludzie. Sprawdził miecz w pochwie, ustawił się za drugim wozem i ruszył wraz z nim.

Skrzypienie kół odbijało się echem, chrzęst żwiru wydał się nagle bardzo głośny.

Rżenie koni, krzyk.

- Wróg! Atakują! - Spełniły się jego obawy.

- Napadli nas od tyłu!

Zawrócił w miejscu i wraz z Sierżantem i swoimi ludźmi ruszyli z powrotem. Wylot wąwozu blokowali łucznicy. Widział masakrowane konie padające pod gradem strzał, dziesięciu najemników Craiga, którzy mieli ich pilnować, kryło się przed ostrzałem. Pozostali byli zbyt daleko, u przewężenia, i starali się skryć przed niebezpieczeństwem.

Nikt nie zdawał sobie sprawy z tego, że walka na pustyni rządziła się swoimi własnymi prawami.

„Musimy przeprowadzić wozy na drugą stronę albo zlikwidować strzelców!” - chciał krzyknąć, ale zamiast tego padł tylko na ziemię i przetoczył się przez ramię. Powietrze tuż nad nim śpiewało od świszających grotów.

Nie zatrzymywał się. W trakcie przewrotki złapał w lewą dłoń kamień, cisnął nim i szczęśliwie trafił jednego z wojowników naciągających właśnie ciężką z nałożoną już strzałą.

„Czarni Jeźdźcy, Czarni Jeźdźcy!” - krzyczało w nim wszystko, zmusił się jednak, by przeć naprzód, by jak najszybciej zamknąć dystans dzielący go od łuczników, zanim zdążą znów naciągnąć i

wycelować. Trafiony kamieniem wystrzelił, ale nie trafił. Koharow tymczasem robił już mieczem, ostrze przecięło łuk, zanurzyło się w przedramieniu łuczника. Podążający pół kroku za Koharowem najemnik zwałił się na ziemię przestrzelony na wylot. Koharow nie dostrzegł nic więcej, jak w amoku ciął na lewo i prawo, wkładając całą swą furię w te krótkie uderzenia. Oplącało się. Jego atak zdołał roztrącić grupę łuczników, otworzył pozostałym pole do ataku.

Obejrzał się. Za jego plecami Sierżant wraz z trzema innymi powstrzymywali Czarnych Jeźdźców, którzy próbowali go podejść.

- Chronście wozy! Za każdą cenę chronście wozy z wodą! - udało mu się wreszcie krzyknąć.

Taktykę Czarnych Jeźdźców znał dobrze. Ich pierwszym celem zawsze była próba oddzielenia ofiary od zapasów wody. Gdyby to okazało się niemożliwe, wtedy starali się te zapasy zniszczyć, aby pozostawić napadniętych na pastwę pustyni.

Walka nie trwała długo. Kiedy napastnicy zorientowali się, że utracili przewagę zaskoczenia oraz liczebną, błyskawicznie rozbiegli się i w swych ciemnych płaszczach dosłownie wtopili się w cienie i okoliczne głązy.

- Do przesmyku! Do przesmyku! Ruszać z tymi wozami, żwawo! - zakomenderował Sierżant.

- Konie są martwe, mamy rannych i poległych - zaprotestował Craig.

Z ostrza trzymanego przez niego miecza ociekała krew. Widać było, że przyłożył się do swojej roboty solidnie.

- Stracimy wodę! - podniósł się pełen rozpaczony krzyk. - Podziurawili miechy!

- Martwych zostawcie, rannych na wóz, przepchniemy go ręcznie. - Sierżant dalej ogarniał sytuację, przeskakując w biegu ciała ubitych koni.

Craig przyglądał mu się chwilę, po czym podjął decyzję i zaczął wydawać rozkazy swoim ludziom.

Nikt nie protestował. Wsiąkająca w suche podłoże woda

uzmysłowiła wszystkim, jak wiele może ich kosztować najdrobniejsza nawet zwłoka.

Koharow rozejrział się i jego początkowa ulga ze zwycięstwa zaczęła błyskawicznie mijać. Byli tu wszyscy zbrojni, włącznie z jego ludźmi. A co, jeśli Czarni Jeźdźcy zaatakowali też od przodu? Czoło kolumny pozostało bez ochrony, za to z resztą zapasów. Do tego w każdej chwili mógł ich czekać kolejny atak. Niby nie było to w stylu Jeźdźców, ale... Ruszył biegiem, nie zastanawiając się już dłużej. Dopadł pierwszego wozu, nikogo przy nim nie zastał, za to kawałek dalej dostrzegł leżące na ziemi ciało. Podsyciło to najgorsze obawy Koharowa. Tyle dobrego, że okoliczny piasek nie wyglądał na mokry. Padł na kolana i prawie nie zmniejszając prędkości, przeczołgał się pod wozem na drugą stronę. Konie stały nietknięte, na koźle nie było nikogo. Na ziemi zaś leżały kolejne dwa ciała w ciemnych szatach Jeźdźców. Koharowowi język wysechł na wiór, miał wrażenie, jakby krew w żyłach zgęstniała mu na tyle, że zaczęły opuszczać go siły. Wszystkich czekał ten los, jeżeli Jeźdźcom powiódł się ich plan. Dobiegł do następnego wozu. Jeden koń leżał martwy, jednak drugi stał i niespokojnie grzebał kopytem. Dobrze, że stały w wolnym zaprzęgu, inaczej ciężar martwego zwierzęcia i tego zwałiby z nóg. Koharow zatrzymał się i przyczajony zaczął rozglądać się po okolicy. Dostrzegł jednego ze swoich ludzi. Leżał pokręcony i zakrwawiony, musiał być martwy. Obok niego spoczywały trupy Czarnych Jeźdźców. A nieco dalej kolejni i kolejni. Zaskakująco wielu, biorąc pod uwagę, jak wielką przewagę liczebną musieli mieć przy ataku. Postępował dalej, ostrożnie się rozglądając. Minął martwego nieprzyjaciela ze skręconym karkiem. Następny miał tak zmasakrowaną twarz, że już samo to musiało wystarczyć za przyczynę śmierci. Jeszcze inny zmiażdżoną klatkę piersiową. Połamane żebra wystawały z porozrywanego burnusa niczym zęby z paszczy jakiejś drapieżnej bestii, która od tyłu przegryzła się przez ciało. Koharow uświadomił sobie, że nie dostrzega ciał swoich własnych ludzi. Czwartym z kolei trup też należał do Czarnych Jeźdźców. Zginął

od ostrza, od czystego cięcia przez gardło. Za to piąty znów wyglądał, jakby stratował go rozwścieczony byk.

Uciekali, olśniło Koharowa wreszcie. Czarni Jeźdźcy uciekali przed czymś przerażającym i niepokonanym. Sam coraz bardziej zaniepokojony dotarł wreszcie do miejsca, w którym ściany rozszerzały się na około dziesięć metrów i kończył się spadek. Tam na kamieniu przysiadł Bakly. W poprzek kolan trzymał wyczyszczony już do połysku katzbalger i z zamkniętymi oczyma wystawiał twarz do słońca. Wokół niego leżało na ziemi jeszcze kilka ciał.

- Całkiem niezli z nich wojownicy. Nie bali się umierać. No, przynajmniej z początku - powiedział.

Koharow sam przeszedł niejedną bitwę i skłonny był powiedzieć, że i on nie bał się śmierci. Jednak sposób, w jaki ten człowiek przeszedł przez swych wrogów, niczym przez gromadę szmacianych lalek, napęlił go grozą.

- Straciliśmy trzy konie, kilku ludzi i trochę wody. Po Czarnych Jeźdźcach ani śladu - oznajmił.

- A więc to byli oni - mruknął Bakly.

- Musimy przeprowadzić wozy jak najszybciej. Wciąż nas czeka daleka droga.



Zanim Koharow całkiem się pozbierał, dzięki wspólnemu wysiłkowi jego ludzi i najemników wozy zostały przeprowadzone na drugą stronę przesmyku. Wszyscy natychmiast pozajmowali pozycje obronne za głazami i w skalnych zaułkach, czekając w gotowości na kolejny atak. Craig się nie ukrył, tylko stanął ramie w ramie z Koharowem i Baklym i z ręką na głowni miecza wspólnie lustrowali okolicę. Wad dowódca najemników miał sporo, ale tchórzostwo do nich nie należało, to Koharow musiał przyznać.

- Oczekiwaliście tego ataku? - najemnik spytał Baklego, nie przestając rozglądać się uważnie.

- Liczyłem się z tym. To bardzo dogodne miejsce na zasadzkę -

przyznał Bakly.

- Trzech ludzi nie żyje, dwóch rannych z szansami na przeżycie, Henry jeszcze dycha, ale to już tylko kwestia czasu - zdał Craigowi raport jeden z jego ludzi.

Upał wzmagał się z każdą chwilą. Odkąd wyszli z wąwozu, skały nie chroniły ich już swym głębokim cieniem. Powietrze trwało w takim samym bezruchu jak oni sami. Koharow postanowił również zrobić obchód swoich ludzi i oszacować straty. Wyniki oględzin nie wzbudzały otuchy. Jeden martwy, dwóch w takim stanie, że przez kilka dni nie wezmą miecza do ręki. Do tego grad strzał podziurawił na jednym z trzech wozów większość bukłaków z wodą. Nie wszystko jeszcze wyciekło, jednak i tak stracili prawie jedną trzecią zapasów. Z ciekawością obejrzał jedną ze strzał. Grot wykonany był w taki sposób, aby w miękkiej, skórzanej powłoce przebić jak największą dziurę.

Craig podszedł zaciekawiony, Koharow podał mu strzałę.

- Gdyby strzelali mniej po wozach, a więcej po ludziach, wyglądalibyśmy teraz dużo gorzej - zauważył Koharow.

- Jesteśmy głęboko na pustyni. Półtora razga czy jak to tam nazywacie. Jak to więc możliwe, że tu na nas czekali? - dziwił się Craig.

- Z rana, tuż przed świtaniem, wydawało mi się, że słyszę tętent kopyt - mruknął Sierżant, który właśnie powrócił z rekonesansu wśród pobliskich skał. - Potrafi się czasem nieść na kilometry.

- Trzeba było coś powiedzieć! - wzburzył się Craig.

- Na wpół spałem. - Sierżant wzruszył ramionami. - Myślałem, że mi się tylko przyśniło.

- I tak byliśmy przygotowani - zbył najemnika Bakly. - Poza tym właśnie po to was przecież nająłem, żebyście nas chronili w przypadku podobnych nieprzyjemności.

Koharow rozejrzał się. Czy rzeczywiście tylko po to ich ten wielki mężczyzna najął? Poważnie w to wątpił. Ciekaw był też, jak Bakly chciał na pustyni ukryć artefakt. Z oazy, na którą obrali kurs, nie wiódł dalej żaden szlak. Wszędzie wokół rozciągała się już tylko rozpalona do białości pustynia, która

przecież oferowała dość ograniczone możliwości ukrycia klejnotu. A przy tym, gdyby nawet zdołali znaleźć nadające się do tego miejsce, ktoś inny potrafi je znaleźć. Wierzył, że dla czarodzieja nie stanowiłoby to aż tak wielkiego wyzwania. Otarł z czoła pot i wrócił myślami do kwestii bardziej w tej chwili istotnych. Walka nie trwała może długo, ale mimo wszystko poważnie ich opóźniła. Dodatkowo musieli teraz przeładować resztę wody tak, aby te konie, które im pozostały, poradziły sobie z ładunkiem. Było jasne, że dzisiaj już nigdzie dalej nie ruszą.

- Skoro nas objechali łukiem, to znaczy, że musieli przebyć jeszcze większy dystans niż my - zastanawiał się Craig ze wzrokiem utkwionym w mapę. - I to konno, bez wozów, bez solidnych zapasów wody.

- Może przyjechali z innej strony - podsunął Sierżant.

- Z Prochowej Dziury? Według mapy to o dwa razgi dalej niż miejsce, z którego myśmy wyruszyli!

Dowódca najemników wydawał się znać już tę mapę na pamięć. Koharow uświadomił sobie, że początkowo go jednak nie docenił.

- I czym, do cholery, poili konie? - nie dawał za wygraną Craig.

Zachmurzony Bakly do odpowiedzi się nie rwał, Sierżant też nie wyglądał na chętnego. Koharow nie chciał tego jednak tak zostawić, nie stać ich było na niejasności i niedopowiedzenia, które wpływałyby na osłabienie zaufania w oddziale.

- Czarni Jeźdźcy słyną z tego, że podczas rajdów nie zabierają ze sobą wody na drogę powrotną - wyjaśnił.

Mówił cicho, co oczywiście przykuło uwagę każdego, kto go usłyszał.

- Zabierają ją tym, na których napadną? - Craig nie krył pogardy w głosie.

Ci chłopcy przybyli naprawdę z daleka, westchnął w myślach Koharow. Twarz zachował jednak zupełnie bez wyrazu i chłodno odpowiedział:

- Tak.

- To znaczy w takim razie, że czeka ich zgubny koniec, skoro udało nam się odeprzeć ich atak i nie zdobyli na nas żadnej wody? - domyślił się najemnik.

Myśl ta przyniosła mu widoczną ulgę.

- Niezupełnie. Zdobyli tyle wody, że powinno im wystarczyć - odpowiedział mu Koharow.

W przeszłości, kiedy o tym myślał, często wstrząsał nim dreszcz. Dziś już nie.

- Brakuje nam ciał czterech zabitych. - Naprowadził Craiga na trop.

Zapadła ciężka, nieprzyjemna cisza. Jak za każdym razem, kiedy ktokolwiek zboczył na ten temat.

- To oni piją krew? - spytał zaskoczony Craig.

Bez cienia strachu czy obrzydzenia w głosie, jedynie zaskoczony. Kolejny punkt dla dowódcy najemników. Kto wie, może nawet przeżyje, ocenił Koharow.

- Oczywiście, że nie piją krwi, krwi w człowieku nie ma znowu aż tak dużo. Mają jednak sposoby na to, aby z człowieka wycisnąć całą wodę, choć nikt nie wie, jakie to sposoby. Nie raz widziałem ciała przygotowane do... - przez chwilę szukał w myślach odpowiedniego słowa - prasowania. Najpierw oprawiają człowieka jak zwierzę, może nawet jeszcze dokładniej. Pozbywają się wszystkich organów, które mogłyby... - przelknął głośno ślinę - wpłynąć niekorzystnie na jakość wody. Potem starannie łamią wszystkie większe kości i wkładają resztę do tego swojego urządzenia.

Koharow zamilkł. Przez chwilę wydawało się, że nie powie już nic więcej, jednak odezwał się znowu:

- Nie wiem, czy rozdrabniają to ciało jakimiś tłuczkami na miazgę, czy robią to w jakiś inny sposób, ale wiem, że po tym wszystkim zostają tylko kawałki kości i resztki przypominające suszone łajno.

Kiedy skończył, zapadła głęboka cisza. Nikt się nawet nie poruszył. Jedynie konie od czasu do czasu potrząsały uprzężami.

- Cztery trupy, to im daje jakieś sto, sto pięćdziesiąt litrów

wody. A w razie potrzeby postępują tak samo i z końmi - dokończył już całkiem obojętnym tonem. - Nie przypuszczałem jednak, że mogliby się połakomić na nas. Nie ma ich wielu, więc zazwyczaj wybierają sobie znacznie łatwiejsze cele. Oazy, farmy na obrzeżach pustyni, małe grupki kupców, ale nie uzbrojoną po zęby karawanę.

- Rozbijamy tu obóz - powiedział Bakly, jakby zupełnie nie zwrócił uwagi na całą tę przemowę Koharowa. - Straże rozstawi Sierżant, wystawcie ludzi bez zwłoki. Może będą chcieli zaatakować raz jeszcze.



Pod wieczór upał stał się nie do zniesienia. Wystarczyła najmniejsza odrobina wysiłku fizycznego, aby człowiek natychmiast zaczął się pocić. Koharow zdawał sobie z tego sprawę, toteż na obchód posterunków ruszył wolnym tempem. Północną ścianę kiedyś porastały cierniste krzewy, które uschły już lata temu i teraz posłużyły za paliwo do rozpalenia ognisk. Krąg światła wokół wozów oświetlał płachty rozpięte na długich żerdziach, mające za zadanie chronić zasoby wody przed wystrzelonymi z ciemności strzałami. Obóz został przygotowany solidnie, to musiał przyznać. A nawet gdyby nie, kolejny atak byłby dla Jeźdźców bardzo ryzykowny, bo po paru dniach spędzonych na pustyni również najemnicy zaczynali już rozumieć, jak ważna jest ochrona zasobów drogocennej wody. Ostatni posterunek, tak jak i wszystkie poprzednie, prezentował się bez zarzutu. Dobrze ukryty i ze świetnym widokiem na okolicę.

Koharow zadowolony z wyników oględzin wrócił do dowódczego ogniska, przy którym siedział on, Bakly i Sierżant. Craig początkowo zamienił z nimi kilka słów, jednak potem poszedł do swoich ludzi.

Bakly leżał na derce w cieniu glazu, zawinięty w swój płaszcz, z rękoma splecionymi na piersi. Wyglądał jak kawał skały, bazaltowy obelisk. Tylko udaje, że jest z mięsa i kości, przyszło

Koharowowi do głowy.

Sierżant opiekał słoninę. Światło ognia odbijało się od jaśniejących placków kukurydzianych rozłożonych na kamieniach. Przynajmniej od tych niespalonych.

- Tylko jeden z tych ludzi, którzy stawili wam czoła, zginął od ostrza. Straciliście broń? - spytał Koharow o rzecz, która nie dawała mu spokoju przez cały ten czas od potyczki.

- Nie miałem czasu sięgnąć - odpowiedział spokojnie Bakly. - A nie mogłem im pozwolić, żeby zabili konie. Potem zaś byli już tak przerażeni, że bronie nawet nie potrzebowałem.

Koharow zastanawiał się chwilę nad tym, co właśnie usłyszał, ale nie powiedział już nic więcej.

- A ty też żeś ładnie wyskoczył - Sierżant zwrócił się do Koharowa, rozdając przy tym pierwsze kawałki mięsa. - Ryś by ci kroku nie dotrzymał, takie rzeczy widuje się rzadko. A w ogóle to jak żeś wylądował w tym rzemiośle? Tak jak i reszta twoich chłopaków?

Koharow pokręcił głową. Wszystkich jego ludzi na szlak pchnęły wypalone farmy i martwe rodziny. Po prostu nie zostało im już nic innego w życiu.

- Prawdę powiedziawszy, byłem fujarą. Do tego zapieprzać w polu też mi się nie chciało, uganiałem się tylko za spódniczkami. Kawał darmozjada, któremu w niczym nie można zaufać.

Koharow zamilkł i ułamał kawałek placka.

- A potem napadli na naszą oazę. Nie była wielka, ale i nie najmniejsza. Kilka rodzin, do tego garść parobków i dziewczek, przyzwoite stado koni. Konie nam zabrali, uprowadzili dwie samotne dziewczyny. Spalili jedną zagrodę. Nikomu na tych dziewczkach szczególnie nie zależało, pracy było wiele, każdy wolał się skupić na stratach i zniszczeniach. Zabrałem ze sobą dwóch chłopaków, którzy się mieli ku tym dziewczynom, i ruszyliśmy za bandytami. To byli jacyś desperaci, którzy nie mieli pojęcia o pustyni, odplaciliśmy im pięknym za nadobne. Podeszliśmy ich dwa razy, noc po nocy. Z końmi i wszystkim, cośmy na nich zdobyli, wróciliśmy do domu.

Koharow przez chwilę przeżuwał w zadumie, wspominając czasy, kiedy był młody i życie wydawało się prostsze.

- Od tego czasu ludzie mnie zaczęli szanować, uważać za bohatera. Traktowali jak brata - opowiadał dalej. - Myślałem, że będę mógł z tej nowej pozycji skorzystać, żeby przygarnąć sobie znów jakąś dziewczkę, napić się na cudzy rachunek. Z czasem jednak zaczęło mi się podobać, że inni się ze mną liczyli, przychodzili pytać o zdanie. Zamiast wrócić do wałkonienia się, stopniowo stałem się tym, kim jestem dziś.

Koharow wzruszył ramionami i zabrał się porządnie do jedzenia. Nie miał nic w ustach od rana, głodny był jak diabli.

- A te dziewczki? - zainteresował się Sierżant.

- Do oazy już nie wróciły. Miały dość i wcale im się nie dziwię. Razem z tymi swoimi amantami przyłączyły się do karawany idącej na Bauryt.

Koharow rzucił Sierżantowi i Baklemu pobieżne spojrzenie. Słuchali obaj. Sierżantowi na ustach zagościł przelotny uśmiezek. W tych czasach trudno o historie ze szczęśliwym zakończeniem, więc doceniali je nawet zatwardziali wojacy. Twarz Baklego pozostała jednak bez wyrazu.

- Jak daleko pójdą z nami najemnicy? - spytał go Koharow. - Ja i moi ludzie pracujemy dla księcia, pójdziemy tak daleko, jak tylko będzie trzeba, ale oni? Nie możemy im ufać...

W przedłużającej się ciszy rozległo się jedynie trzaskanie ognia.

- Do Wotty - odezwał się wreszcie Bakly w chwili, kiedy Koharow miał się już pogodzić z faktem, że żadnej odpowiedzi nie dostanie. - Znajduje się o niecałych dziesięć razgów od Hutskiej, idąc w kierunku samego serca pustyni. Taką mam z Craigiem umowę.

Koharow zaskoczony głośno przelknął, ale nie powiedział nic. Oczy Baklego spoglądały na niego z nieodgadnionym wyrazem. Nagle zrobiło mu się niedobrze. Wcale nie od tego spojrzenia.



Baron Artur Coverfly przeklinał chwilę, w której zgodził się na dogadanie się z Czarnymi Jeźdźcami. Była to banda najciemniejszych z możliwych indywiduali, nierespektująca nikogo i niczego, za którą zresztą sam cesarz wyznaczył przed paroma miesiącami specjalną nagrodę. Tym akurat baron aż tak bardzo się nie przejmował. Jako pułkownik miał prawo podejmować decyzje właściwe ze strategicznego punktu widzenia, które w danej sytuacji mogły nawet oznaczać pójście na współpracę z bandytami. Obiecał sobie zresztą, że jak tylko przestaną mu być potrzebni, porachuje się z nimi raz a dobrze. Doprowadzało go jednak do pasji, że musiał się zgodzić na wszystkie warunki, jakie ten przekłęty Trimitri, czy jak go tam zwali, postawił. Nie miał jednak wyjścia, czarodziej upierał się przy tym, aby ich do współpracy nająć.

I właśnie dlatego teraz wraz z Hooverym, Framem i Evanem musiał się tłuc na miejsce umówionego spotkania. Gdzie były jakiegokolwiek gwarancje, że Trimitri zwyczajnie ich nie napadnie? Czemu, do jasnej cholery, w ogóle się na ten pomysł zgodził? Wszystko sprowadzało się do tych dwóch przeciwstawnych sobie rozkazów cesarza i Varatchiego. Coverfly zdawał sobie sprawę, że na włosku wisiała nie tylko jego kariera. Gra toczyła się również o życie. Na sobie miał wszystko, co tylko najlepszego rodzinną zbrojownia mogła mu zapewnić, zainwestował też mnóstwo pieniędzy, by wyposażyć Hooverego i Framę. Szybkim spojrzeniem skontrolował obu swoich ludzi. Był od nich zależny w dużo większym stopniu, niż chciałby sobie na to pozwolić. Fram jako mniejszy pełnej kolczugi założyciel nie chciał, zadowolił się tylko skórzaną przesywanicą uzupełnioną naramiennikami i napiersnikiem. Uzbrojony był w niesymetryczny, koczowniczy łuk. Baron miał nadzieję, że to wystarczy. Z pięcioma, sześcioma przeciwnikami poradziliby sobie we trzech, potem musiałoby im już pomóc dwóch osobistych strażników czarodzieja. Dobra, poniżej dziesięciu dadzą sobie radę, a przecież Trimitri też musi się liczyć ze stratą sporej części swych ludzi, uspokajał się w myślach baron. Na

zdolność bojową samego czarodzieja nie liczył. Wolał już trzymać go z dala od niebezpieczeństwa, a przy tym samemu na siebie uważać.

Powoli zbliżali się do niewielkiego pagórka, na szczycie którego miało dojść do spotkania. Podobno zwali go kiedyś Zielonym, bo porastał lasem, ale to musiały być stare dzieje. Może i jest coś z prawdy w bajaniach, że dawniej nie było tu aż tak sucho.

Zwolnili tempo, by nie forsować koni. Hoovery okręcił się w siodle, rozglądając się naokoło, potem stanął i zeskoczył z konia. Parę chwil później znów ich dogonił.

- Żadnych śladów, nic a nic. Jeśli na nas czekają, musieli przyjechać z innej strony.

Coverfly skinął tylko głową. Na zasadzkę mieli okazji aż nadto.

- Dotrzymają słowa. Trimitri chce zdobyć za wszelką cenę to, co mu obiecałem. - Evan nie tracił pewności.

- I będzie miał ze sobą Czerwoną Gwiazdę? - spytał natychmiast Coverfly. Ciekawiło go, czy pewność siebie czarodzieja wypływała z arogancji, czy ze znajomości swoich możliwości. Ze względu na dobro wyprawy miał nadzieję, że w grę wchodziła ta druga ewentualność.

- Nie. Ta nadal przemieszcza się w głąb pustyni - odpowiedział Evan spokojnie. - Nie zakładałem, żeby się Jeźdźcom miało powieść za pierwszym razem. Kiedy w grę wchodzi artefakt tak potężny, książę z pewnością wystawił swych najlepszych ludzi.

Coverfly zaklął pod nosem.

Dotarli na szczyt pagórka, wokół nich rozciągnął się niewesoły widok.

- Mają nas tu jak na dłoni i przez cały ten czas, kiedyśmy się tu gramolili, pewnie nas spokojnie obserwowali. Przed napaścią nie obronilibyśmy się tu nawet przez przypadek - podsumował sytuację Fram.

Coverfly rozejrzał się bacznie. Gdyby sam chciał się zacząć i obserwować kogoś zmierzającego na ich miejsce, wybrałby widoczną nieopodal grupę skał.

- Już tu są - oznajmił nagle Evan.

Z zagłębienia terenu, którego żaden z nich wcześniej nie dostrzegł, wyłoniło się pięciu jeźdźców. Wszyscy mieli na sobie ciemne płaszcze.

Przynajmniej dotrzymał tej części umowy, pomyślał z ulgą Coverfly.

Przywódca grupy, zapewne sam Trimitri, podjechał do nich w milczeniu i zatrzymał się przed czarodziejem i baronem. Łby ich koni prawie się stykały.

Coverfly próbował spojrzeć w twarz spaloną słońcem, w pomarszczoną, skórzaną maskę, w głębinę oczu, ale nie udało mu się. Miał wrażenie, że nie było tam nic, jedynie pustka. Towarzysze Trimitriego wydawali się być tacy sami, zwierciadlane odbicia ich przywódcy. Jedynie ten najbardziej po lewej miał w sobie jeszcze jakieś resztki człowieczeństwa. To pustynia ich tak odmieniała?

- Masz, coś obiecał, czarodzieju? - odezwał się Trimitri.

Głos odpowiadał wygładowi. Suchy i pusty. Jakby martwy.

- A masz, co obiecałeś zdobyć?

Coverfly musiał przyznać, że zimny głos czarodzieja, osnuty wokół niewypowiedzianej groźby, Trimitriemu w niczym nie ustępował.

- Nie mam - odpowiedział spokojnie przywódca Czarnych Jeźdźców. - Podjąłem próbę, ale się nie powiodła. Ludzie, którzy wiozą twój ładunek w pustynię, są niezwykle silni. Na razie. Jest tylko kwestią czasu, kiedy ich pustynia pożre.

- W takim razie czemu ja miałbym dotrzymać mojej części umowy, skoro ty nie wywiązałeś się ze swojej? - spytał Evan.

Baron uświadomił sobie, że pytanie zostało zadane zupełnie neutralnym tonem, bez groźby czy innych podtekstów. Bardzo mądrze, pochwalił czarodzieja w myślach.

- Dlatego że będzie to dla ciebie korzystne. Jeśli dasz mi, co obiecałeś, będę dla ciebie dalej pracował.

Była to najgorsza oferta, jaką Coverfly w życiu słyszał, i już chciał ostrzegawczo złapać czarodzieja za ramię, ale ten wyraźnym ruchem ręki go powstrzymał.

- Dokąd zmierzają?

- Do Oazy Hutskiej. Jadą powoli, ale pewnie. Mają też wystarczające zapasy wody, nawet jeśli wziąć pod uwagę przeszkody, które ich czekają. Prowadzi ich wielki mężczyzna. Najlepszy wojownik, jakiego w życiu widziałem - odpowiedział Trimitri.

Baron wykrzywił usta w pogardliwym uśmiešku, jednak nie odezwał się ani słowem. Dziwnym zbiegiem okoliczności, za każdym razem, kiedy ktoś nawalił, było to z winy najlepszego szermierza, wojownika, kusznika albo łucznika, jakiego świat widział.

- Ma ze sobą najemników i Koharowa - kontynuował przywódca Czarnych Jeźdźców niezrażony, jakby wyrazu twarzy barona w ogóle nie dostrzegał.

- Koharowa? - zainteresował się Coverfly. Z tym imieniem już się chyba spotkał.

- Wesz taka, panie - burknął Hooverly. - Nie raz już żeśmy z nim mieli na pieńku, ale zawsze się jakoś wyśliznie... Wywiadowcy twierdzą, że pracuje dla księcia.

Evan rzucił przybocznemu barona wściekłe spojrzenie. Widać nie chciał, żeby ktokolwiek mieszał mu się do negocjacji.

- To bardzo zdolny chłop, widziałem go w akcji - Hooverly kontynuował niezrażony.

Fram uśmiechnął się.

- Bo ja na niego jeszcze nie trafiłem - wycedził.

- Ten wielki człowiek jest o wiele lepszy od Koharowa - zareagował z poważną miną Trimitri.

Coverfly wreszcie uświadomił sobie, co go w przywódcy bandytów najbardziej niepokoiło: tamten nie miał żadnej mimiki, nie wykonywał również żadnych ruchów poza tymi absolutnie niezbędnymi. Nie było możliwości odgadnąć, jak się zachowa, jak postąpi.

- Skąd wiesz, że do Hutskiej? - dopytywał się dalej Evan.

- Podслуchałem rozmowę ludzi Koharowa - odpowiedział spokojnie Trimitri. - Dasz mi to, co obiecałeś? - Powrócił do

jedynej kwestii, jaka go interesowała. - Swojego słowa dotrzymam wtedy z łatwością.

Jednostajna intonacja słów nie pozwalała baronowi odgadnąć nastawienia Trimitriego, przez co spał się cały w oczekiwaniu na problemy. Jego ludzie zareagowali podobnie. Jeśli Evan odmówi, będzie walka.

Czarodziej jednak przytaknął, sięgnął bez patrzenia do jednego z juków i wydobył zeń dwie duże, połyskujące srebrzyście igły. Jednak kiedy Coverfly przyjrzał im się uważniej, zauważył, że iglane ostrza były tylko na jednym z końców, przeciwległe rozszerzały się i przechodziły w puste rurki.

- Oto one. - Czarodziej podał bandycie przedmioty.

- Mnie nie oszukasz! - syknął nagle Trimitri. - Chcę wiedzieć, jak to działa!

Zmiana tonu głosu powiedziała baronowi, że jego przypuszczenia okazały się jak najbardziej prawidłowe. Trimitri był całkowicie niepoczytalny.

- A zatem chcesz wiedzieć, jak to działa, tak? - warknął Evan. Podprowadził swego konia bliżej przywódcy Czarnych Jeźdźców, tak że nieomal stykali się teraz głowami.

- No to przypatrz się uważnie, żeby nie przyszło ci do głowy mnie oszukać!

Oni wszyscy są chorzy na umyśle, zdecydował Coverfly i położył dłoń na rękojeści miecza. Fram trzymał swoją schowaną za plecami, zaś Hooverzy szycował buzdygan, który najlepiej sprawdzał mu się podczas walki w siodle.

Coverfly chciał krzyknąć, że przecież w ten sposób żadnych negocjacji się nie prowadzi, ale czarodziej już spał konia i ruszył na jeźdźca, którego Trimitri miał po swojej prawej stronie. Igła błysnęła w słońcu, po czym z obrzydliwym młaśnięciem wbiła się w pierś najmłodszego z Czarnych Jeźdźców, przechodząc gładko między kóleczkami kolczugi ukrytej pod płaszczem.

Młodzieniec puścił lejce i chciał wyrwać sterczącą mu z piersi igłę, ale jedyne, co zdołał, to położyć na niej słabnące ręce.

- Przyglądajcie się! - syknął czarodziej, zanim Jeźdźcy

zdecydowali się zaatakować.

Z pustego końca igły zaczęła wypływać krystalicznie czysta woda. Niczym zaintrygowane dziecko Trimitri pochylił się w siodle, aby móc się lepiej przyjrzeć. Potem jakby się opamiętał, skinął ręką na jednego ze swoich towarzyszy, a ten zeskoczył z siodła i zaczął natychmiast łapać uciekającą wodę do wydobytego skądś skórzanego bukłaka. A potem do następnego i następnego. Podczas gdy wszyscy zafascynowani przyglądali się cieknącej życiodajnej cieczy, młodzieniec coraz bardziej kurczył się, oczy zapadły mu się w głąb czaszki, skóra coraz bardziej przypominała z wyglądu pergamin, ubywało mięsa, aż w końcu żyjące jeszcze przed paroma chwilami ciało zmieniło się w kościotrupa obciągniętego cienką jak papier skórą. Wreszcie rozległ się klekoczący dźwięk i na ziemię zwała się z siodła wysuszona na pieprz mumia.

- Pięćdziesiąt trzy litry czystej wody, panie - oznajmił Czarny Jeździec.

Trimitri nastawił dłonie, aby tamten mógł mu trochę owej wody nalać, po czym bez żadnych skrupułów popróbował.

- Czysta i jeszcze ciepła. Nie sądziłem, czarodzieju, że mówisz prawdę, że dotrzymasz swego słowa.

Evan podał mu drugą igłę.

- Teraz ty dotrzymaj swego.

Trimitri poczekał, aż jego podwładny poda mu pierwszą igłę, schował ją pod płaszczem, po czym bez słowa obrócił konia i ruszył na wschód. Jego towarzysze, objuczeni wodą wydestylowaną magicznym sposobem z ludzkiego ciała, podążyli za nim.

- To było potworne - powiedział cicho Coverfly. - I czemuście mu to dali? Przecież nie dostarczył Gwiazdy! - dopytywał się z wściekłością w głosie. Wiedział, że widok umierającego człowieka i wyciekającej zeń wody będzie do niego powracał wielokrotnie.

- Dlatego że mi pomógł. A teraz dzięki temu - czarodziej zeskoczył z konia i wskazał mumię tak wysuszoną, że przy

upadku na ziemię rozpadła się na kawałki - możemy ich z łatwością śledzić. A właściwie to ja ich teraz mogę śledzić. Rzeczy, które stworzyłem sam, nikt nie zdoła przede mną ukryć. Oni będą śledzić Czerwoną Gwiazdę, a my będziemy śledzić ich.



Coverfly trzymał w ręku kielich i z pochmurną miną spoglądał na mapę. Na skraju pustyni pod wieczór zawsze zrywał się na krótko wiatr, ściany namiotu falowały, rzucając na stół mylące oczy cienie. Evan wyglądał na zmęczonego i wciąż jeszcze naburmuszonego.

- Zatrzymali się dopiero teraz! - warknął wreszcie z wściekłością. - Wciąż się od nas oddalają, a mówiliście, że nocą po pustyni podróżować się nie da. - Rzucił karcące spojrzenie Hoovery'emu. Wielki mężczyzna wzruszył tylko ramionami i dalej raczył się bez pytania winem z prywatnych zasobów barona. Ten znał grzeszki swego podwładnego zbyt dobrze, żeby zwracać uwagę na tak drobne pogwałcenie zasad dobrego wychowania.

- Jest ich około pięćdziesięciu, może mniej - mamrotał do siebie półgłosem Coverfly. - Trimitri na pewno ich liczbę zawyżył, żeby nie stracić twarzy po swojej porażce. Mają trzy wozy z wodą, ale dokąd oni, do czarta, jadą? To się nie trzyma kupy nijak!

Baron rozdrażnionym gestem odsunął mapę i nalał sobie wina. Czarodziej uczynił podobnie, nieznacznie się przy tym uśmiechając.

- Wyjaśnijcie mi, co się wam tak nie podoba - zażądał.

Coverfly uświadomił sobie, że młodzieniec ma głęboko zapadnięte oczy, jakby przez ostatnich kilka dni ostro balował albo ciężko pracował. Nie spytał, czym to było spowodowane, zamiast tego zaczął objaśniać:

- Wyruszyli stąd. - Pokazał na mapie. - I jadą w kierunku Hutskiej, gdzie wkrótce powinni się znaleźć. O ile już tam nie są, o co skłonny byłbym się wręcz założyć. Dokąd jednak pojedą

dalej? To wszystko - wskazał wypisane nazwy, wszystkie podkreślone czarnym ołówkiem - to kiedyś też były oazy. Kiedyś. Studnie są albo zasypane, albo zatrute, pola i gaje wypalone. Samotny podróżny może by tam jeszcze gdzieś wygrzebał kilka łyków wody, ale nie dziesiątki ludzi. Najbliższa większa oaza z przyzwoitym źródłem wody znajduje się tutaj, osiem razgów w kierunku praktycznie równoległym do granicy pustyni. Z wozami to będzie dwa razy dłużej, więc na pewno się tam nie dostaną. A nawet gdyby, my tam mamy wygodny dostęp z naszych posterunków. Na wszelki wypadek już tam posłałem jeden oddział. Nie wierzę, żeby chcieli tam jechać, to by nie miało najmniejszego sensu. - Spojrzał pytająco na czarodzieja.

Ten skinął głową na znak, że się zgadza z rozumowaniem barona.

- O ile to będzie możliwe, uczynią wszystko, aby dostarczyć Czerwoną Gwiazdę księciu. Jednak aby przejść przez pustynię na drugą stronę, ta jest w tym miejscu zbyt szeroka. A przynajmniej tak mi to przedstawili wasi ludzie.

- Jest szeroka, bez oaz, a do tego to bardzo trudny teren, który nigdy nie został naniesiony szczegółowo na mapy. Nikt nigdy nie przemierzył na tej wysokości pustyni w poprzek, nawet w czasach, kiedy istniały jeszcze oazy na dwadzieścia razgów w głąb - przypomniał Coverfly, czemu jego ludzie zgodnie przytaknęli.

- Do tego są tam jeszcze Góry Gejzerowe - dodał Hoovery.

- Bajanie. Nie spotkałem jeszcze człowieka, który dotarłby tak daleko i zdołał powrócić - parsknął Coverfly.

- Do Żelaznej Doliny, którądy ciągną karawany, ich nie puścimy, mamy tam obsadzone wszystkie możliwe szlaki. Paradoksalnie, są na dobrą sprawę chwyceni w potrzask na otwartej pustyni, gdzie nie mogą nam się zgubić. Jedyne wyjście, jakie im pozostaje, to udać się jak najgłębiej w pustynię - ocenił Grigor Evan ze spojrzeniem wbitym w mapę.

Coverfly spojrzął na swoich przybocznych.

- Koharow to wariat - podjął powoli Fram. - Rzykuje coraz

więcej i wdaje się w coraz bardziej obłąkane akcje. Sam przecież w pewnym momencie szukał Czarnych Jeźdźców. Tak że on w taką drogę bez powrotu może i jeszcze by się wypuścił. Za to pozostali, nie mam pojęcia. Żeby dostać się tak głęboko w pustynię, trzeba współpracy wielu ludzi, którzy muszą przecież wiedzieć, że idą na pewną śmierć.

- Najemnicy nigdy by na coś takiego się nie zgodzili. Craig i dla nas parę razy wyciągał kasztany z ognia i mogę zapewnić, że to cholernie ostrożny gość - uzupełnił Hoovey.

- Czegoś nie dostrzegamy, coś nam musiało umknąć. Jeżeli zostawia Czerwoną Gwiazdę w oazie lub jej okolicy, zapewniam was, że ją odnajdę, i to bez wysiłku - oznajmił czarodziej.

Coverfly czuł wyraźnie, że niniejszym wyczerpali temat i dalsze ślęczenie nad mapą nie przyniesie już nic nowego. Skinął na swych ludzi, aby się oddalili, i czekał na czarodzieja, żeby wziął z nich przykład i udał się do swojego, znacznie wygodniejszego namiotu. Dopiero wtedy uświadomił sobie, że przez cały ten czas towarzyszył im jeden ze strażników Evana. Zachowywali się tak cicho, że łatwo przestawało się rejestrować ich obecność.

Czarodziej nadal nie miał zamiaru odejść, więc baron nalał sobie kolejny kielich wina. Wraz z pierwszymi oddziałami, które ich dogoniły, dotarły zapasy, pośród których dzięki obrotności Sedrika znalazły się również prywatne rzeczy barona. Popijał trunek z prawdziwą rozkoszą, ale i ze smutkiem, wiedząc, że na więcej nie będzie sobie mógł już dziś pozwolić. Kac i upał, jaki ich niechybnie od rana czekał, to kombinacja, której za wszelką cenę chciał uniknąć.

- Potrzebuję mężczyzny - odezwał się cicho Evan.

Coverfly w pierwszej chwili myślał, że się przestyszał. Spojrzał na czarodzieja i zrozumiał, że jednak nie. Nie bardzo wiedział, jak ma zareagować. Spędzili już całkiem sporo czasu z dala od cywilizacji, to prawda, a w dodatku przy takim tempie, w jakim się przemieszczali, markietanki nie zdołały - albo nie chciały - dotrzymać im kroku. Ludzie w oddziale radzili sobie z pokusami na najróżniejsze sposoby, ale młodego, w porównaniu z

szorstkimi żołnierzami wręcz nieco zniewieściale wyglądającego Evana o coś takiego by nie podejrzewał.

- Mojej pomocy nie potrzebujecie tutaj. Wystarczy że się z pierwszym lepszym napijecie wina. Chyba żebyście chcieli, żeby robił za dziewczynę, wtedy lepiej jednak dla pewności dosypać mu jakichś narkotyków. U konowała możecie nawet dostać taką maść, dzięki której łatwiej...

Czarodziej gwałtownie poczerwieniał, Coverfly był pewien, że ze wstydu. Zrozumiał swoją pomyłkę, kiedy tamten eksplodował.

- Z czym wy mi tu, do jasnej cholery, wyskakujecie?! Co wy sobie myślicie? Że ja tu się będę gzić z tymi waszymi śmierdzącymi, durnymi ciołkami? Gdyby mi na tym zależało, mógłbym w każdej chwili mieć tyle kobiet, ile tylko zapragnę.

Uderz w stół, a nożyce się odezwą? - zastanawiał się Coverfly. Reakcja czarodzieja wydawała się stanowczo przesadzona. A może po prostu nie był zwykły, żeby tak po prostu wyklądać kawę na ławę?

- Potrzebuję człowieka do czarów, do tego, żeby odzyskać Czerwoną Gwiazdę, jeśli wam się nie powiedzie! Wystarczy mi jakikolwiek skazaniec, byle młody i silny - wysyczał Evan, próbując nad sobą zapanować. - A sodomitą żadnym nie jestem!

Muszę posprawdzić te wszystkie plotki na jego temat, pomyślał Coverfly. Było nie było, nie ma dymu bez ognia. Wyraz twarzy zachował przy tym idealnie obojętny. Podjął też natychmiastową decyzję, że temu napuszonemu, rozkapryszonemu gówniarzowi z pewnością żadnego ze swoich ludzi nie wyda. Skazać kogoś na śmierć albo wysłać na stracenie cały oddział przeciwko wrogowi to co innego. Ale żaden z jego ludzi nie zostanie zarżnięty jak prosię na ofiarnym stole czy jak to też ci magowie to robili.

- Obawiam się, że posiadane przeze mnie kompetencje jako dowódcy w armii cesarskiej nie zezwalają na spełnienie waszego życzenia. Jeżeli uda nam się pochwycić w niewolę jakichś nieprzyjaciół, być może wtedy da się coś z tym zrobić - odpowiedział bez ogródek.

Evan zrozumiał, że swoim wybuchem zatrzaskał przed sobą

drzwi. Obrócił się bez słowa i energicznie wymaszerował z namiotu. Za nim podążył jego strażnik, cichy i nieobecny, jakby niczego, co tu miało miejsce, w ogóle nie zauważył.



Wczesny poranek zastał obóz w ruchu i gwarze. Organizacja wyprawy w pustynię bez wcześniejszego odpowiedniego przygotowania była nie lada orzechem do zgryzienia i wynikające z tego napięcie zaczynało się dawać we znaki zarówno żołnierzom, jak i oficerom. Coverfly przechadzał się między swymi ludźmi niespiesznie, kontrolując, czy wszyscy przykładają się do zadań, które im poprzedniego wieczora przydzielal. Niedopełnienie inspekcji groziło błędami i chaosem, a te oznaczały opóźnienia. Baron uznawał powierzone mu jednostki za jedno ciało, jeden organizm, całkowicie posłuszny jego woli. Wierzył, że dowodząc tym organizmem, zdolny jest osiągnąć wszystko albo przynajmniej prawie wszystko - zdawał sobie sprawę, że istniały organizmy o podobnej strukturze, lecz nieporównanie większe. Gdyby przyszło mu się spotkać z wrogiem pięcio-, dziesięciokrotnie liczniejszym, musiałby zginąć tak, jak mniejszy drapieźnik ulega większemu.

Jednak w promieniu setek, a może nawet tysięcy kilometrów drugiego takiego krwiożerczego mastodonta być nie mogło, co pozwalało baronowi wierzyć, iż nic nie może stanąć mu na przeszkodzie. Jedyne jego przeciwnicy to pustynia i garstka ludzi. Może i byli to ludzie głęboko oddani swojej sprawie, jednak przeciwko dobrze zorganizowanej, przeważającej sile nawet najgłębszy fanatyzm nie miał przecież szans. Na rękę było mu również i to, że Evan musiał się, widać, zadowolić faktem, iż Czerwoną Gwiazdę tropili dla niego Czarni Jeźdźcy, i nie stawiał już żadnych dodatkowych żądań. Jedyne, o co poprosił, to aby móc wyruszyć z pierwszym oddziałem. Coverfly chętnie zostałby w obozie jeszcze trochę, żeby móc dopilnować wszystkich niezbędnych przygotowań, jednak z drugiej strony chciał mieć nad czarodziejem nieustanną pieczę.

- Sire, dotarło pierwszych pięć wozów, wszystkie wypełnione zapasami wody. Kolejnych piętnaście jest już w drodze - poinformował go kapitan, któremu Coverfly przydzielił to właśnie zadanie.

- W porządku. Wiecie, co robić dalej. - Baron skinął głową, po czym dał znak stajennemu, który czekał w otwartych wrotach stajni, że ma mu przyszykować wierzchowca.

Niedługo potem jechał już na czele stuosobowego oddziału pozostawiającego za sobą plamy pożółkłej roślinności znaczące granicę zamieszkałych terenów.

- To myśmy czekali tylko na te wozy? Widzę, że ludzie, którzy jadą z nami, już tu byli - niespokojnie napomknął czarodziej, który ciężko znosił każde, najdrobniejsze nawet opóźnienie.

- Woda. Bez niej się nie obejdziemy w podróży ani nie założymy pierwszego obozu.

- A to po co? Ten obóz? - spytał Evan bez entuzjazmu.

Wjechali na szczyt pierwszego pagórka. Przed nimi rozpostarł się widok na nieskończone morze wyprażonego słońcem pustkowiecia. Jak okiem sięgnąć, wszędzie roilo się od ciemnych kształtów poszarpanych skał, wystających niczym pogruchotane kości z połaci żwiru, piachu i porozrzucanych wszędzie większych kamieni.

- Oddział czołowy wymaga nieprzerwanych dostaw wody. Do tego celu potrzebujemy łańcucha pomniejszych, dobrze strzeżonych obozów zaopatrzeniowych. Dzięki nim woda może być stopniowo przesyłana z pobrzeża pustyni, pozwalając nam zapuścić się tak głęboko, jak tylko będzie to potrzebne.

Coverfly uświadomił sobie, iż użył terminu „pobrzeże pustyni”. Bronił się jak mógł przed przyjęciem terminologii miejscowych, ale i tak niektóre słowa oraz sformułowania przesaczyły się do jego słownika. Pobrzeże, nurkowanie, głębina... Jakby to rzeczywiście był jakiś ocean. I rzeczywiście, był, tyle że składający się z kamieni, piasku i upału. Postanowił skoncentrować się na kwestiach praktycznych, żeby odegnąć niepokojące przemyślenia.

- To będzie wymagało wiele czasu i energii - sprzeciwił się czarodziej.

- I ludzi - zgodził się z nim Coverfly. - Każdy z tych obozów musi być obsadzony i dobrze chroniony. Wystarczy, że nieprzyjaciel przerwie choć jedno ogniwo tego łańcucha i znajdziemy się w poważnych kłopotach. Tak się jednak nie stanie. Czerwona Gwiazda już jest nasza, i to bez używania magii i... - „tych wszystkich głupich idiotyzmów”, chciał dodać, ale ugryzł się w porę w język.

- Więc jak to jest możliwe, że ci, których ścigamy, obchodzą się bez tego całego zaplecza? - dociekał Evan z ledwie tylko skrywaną ironią.

- Nie wiem - wyznał z rozbrajającą szczerością Coverfly. - Może po prostu szukają śmierci?



- Ten szlak to jakiś koszmar! Od świtu do zmierzchu robimy nie więcej niż jakieś pięć, sześć kilometrów - skarżył się z ponurą miną Craig. - Wygląda, jakby go ktoś naumyślnie zniszczył.

Już czwarty dzień posuwali się mozolnie drogą, która początkowo miała im zająć jeden, najwyżej półtora dnia.

- Dokładnie tak - zgodził się z jego obserwacją Koharow.

Dowódca najemników spojrział na niego zaskoczony.

- Osobiście stawiałbym na mieszkańców Hutskiej. Wygląda na to, że odcięli się od reszty świata i mają nadzieję przeczekać, aż się to wszystko uspokoi.

- Odcięli się? - nie rozumiał Craig. - Ale po co? Niby w czym im to ma pomóc?

Słońce nad głowami prażyło niemiłosiernie i gdyby nie to, że znajdowali się w cieniu stromego występu wyrastającego z dna jaru, do którego musieli zjechać z powodu zawalonego mostu, zażywaliby teraz sjesty. Do tego musieli się dobrze przykładać do roboty, pchając wozy pod górę.

Mężczyzna wspomagający jedno z przednich kół nagle padł bezwładnie na ziemię. Koharow zaklął i skoczył zająć jego

miejsce, zanim wóz stoczy się, gruchocząc kości leżącego, ale dwóch mężczyzn, którzy akurat mieli przerwę, było szybszych.

- Kolejny udar - mruknął Sierżant. - Zaczynamy się sypać.

- A wody przecież nie brakuje - odpowiedział najemnikowi Koharow, kiedy wreszcie zjechali na dno parowu, gdzie zarówno oni, jak i biedny, zmachany koń mogli wreszcie złapać oddech. - A teraz wyobraźcie sobie, że nie przygotowaliśmy się na nieoczekiwane opóźnienia. Zwalone mosty, ścieżki przysypane przez osuwiska albo w ogóle zniszczone. To wszystko kosztuje przecież czas, wysiłek, no i wodę. Kiedy się wreszcie dowleczenie do oazy, o ile w ogóle uda wam się tam dotrzeć, nie stanowicie dla miejscowych większego zagrożenia niż talerz zimnych zakąsek.

- Ale to w takim razie oznacza, że każdy podróżny, który liczył na łatwą przeprawę, może tutaj zwyczajnie zginąć! - wykrzyknął zszokowany Craig, ocierając czoło chustą, która bardziej przypominała kawałek brudnej ścierki niż elegancki spłachetek haftowanego jedwabiu, jakim jeszcze niedawno była.

- Niejedna oaza padła ofiarą oddziałów dokładnie takich jak nasz - odpowiedział beznamiętnie Koharow. - A poza tym tylko skończony idiota liczy na łatwą przeprawę. Zwłaszcza w dzisiejszych czasach.

Przesłonił oczy przed blaskiem słońca odbijającym się od okolicznych skał i spojrzał ku górze.

- No to z krzyża, panowie. Bakły już jest na górze.

- Mógłby nam oddać tego konia i wciągnąć tamten wóz sam - wymruczał najemnik, na co Sierżant tylko pokazał zęby w uśmiechu.

Kolejną godzinę zajęło im, zanim na górę dostał się trzeci, najcięższy wóz. Wszyscy rozsiedli się, gdzie tylko udało im się znaleźć trochę rzucanego przez głązy cienia, i tępo spoglądali przed siebie. Przez to, że w dalszym ciągu nie oszczędzali wody i każdy mógł podczas postojów pić do syta, Koharow czuł, jak słoneczny żar go wysusza, a krew gęstnieje mu w żyłach. Na głębinie będzie gorzej. Znacznie gorzej. Rozejrzał się po martwej

pustyni i poczuł, jak część tej pustki zagnieżdża się w jego sercu. Widząc, jak zachowują się pozostali, zgadywał, że czuli się podobnie.

- Nie ma sensu już dziś robić popasu, słońce i tak zaraz zajdzie - odezwał się Bakly i wstał jako pierwszy.

Ktoś jęknął. Koharow z trudem uniósł się na nogi. Musiał włożyć sporo wysiłku, aby stanąć wyprostowanym.

- Jak dobrze pójdzie, przed wieczorem będziemy w Hutskiej - powiedział głośno tak, aby go każdy dobrze słyszał. Sam w to jednak nie wierzył. Jak do tej pory posuwali się naprzód coraz wolniej i wolniej i każdego dnia pokonywali mniejszy dystans, niż planowali dnia poprzedniego.

- Byłby z ciebie niezły podoficer - uśmiechnął się krzywo Sierżant, po czym sam krzyknął na swoich ludzi: - No dalej, ruszać się, do cholery! Jesteście bandą tłustodupych paniczyków czy na coś was jednak stać?!

Powoli ruszyli dalej. Toczące się mozolnie koła mełły piach, który mieszał się z potem na twarzach, pokrywając je warstwą szarego, pyłowego pudru.

Koharow uzmysłowił sobie w pewnym momencie, że nogi niosą go zupełnie mechanicznie, podczas gdy umysłem błądzi zupełnie gdzie indziej. Była to jedna z nieomylnych oznak zmęczenia. W takim transie człowiek mógł czasem pokonać całe kilometry, zanim się orientował, dokąd tak naprawdę idzie. Bywało w takich przypadkach, że na stracenie.

- Patrzcie, drzewo - powiedział ktoś z nabożnym zachwytem w głosie.

Czoło karawany zatrzymało się przed pokurczonym iglakiem. Tylko ostatnich kilka gałązek wskazywało, że jeszcze tliło się w nim jakieś życie.

- A tam rosną jakieś krzaki - wskazał ktoś kawałek dalej.

- Oaza musi już być niedaleko - skonstatował Craig.

- Bierzcie się w garść! Wozy ciasno do siebie, otoczyć je kordonem! - wykrzykiwał rozkazy Sierżant. Nikt nie protestował, posłuchali nawet najemnicy.

Ruszyli znów przed siebie. Podążali teraz prawdziwą drogą z widocznymi koleinami. Kilka chwil później ich oczom ukazał się pierwszy kanał nawadniający, a za nim pole obsadzone pokręconymi krzewami winorośli. Za nimi widać już było palmy i drzewa. Po dniach spędzonych w jałowej pustyni widok ten wydawał im się prawdziwym cudem. Karawana zwolniła, aż stanęła całkiem.

- Wody mają pod dostatkiem, a od czasu, kiedy przestały ją czerpać okoliczne oazy, nawet więcej niż normalnie - powiedział z zawiścią jeden z ludzi Koharowa.

- No dalej, jedziemy, jedziemy, do cholery jasnej! - krzyknął na nich Sierżant.

Bakly kroczył dalej przed siebie jednostajnym tempem i do tego czasu zdążył się już solidnie oddalić.

Koharow oderwał wzrok od uprawnych pól. Uświadomił sobie nagle jedną, zaskakującą rzecz. Jeżeli wytrzyma z mieczem w ręce i zabójczym słońcem nad głową jeszcze kilka lat, aż dokona tego, co sobie zamierzył, wróci na rolę. Zieleni, zapach świeżej ziemi i możliwość starania się o nią własnymi rękoma wydały mu się atrakcyjne jak nigdy dotąd.

Widział, jak zszokowani byli najemnicy widokiem zielonej wyspy w morzu popękanych głązów i morderczego żaru. Rozglądając się, doceniał wyrafinowany system irygacyjny, to jak był ocieniony i z jaką nabożną pieczołowitością ktoś pousuwał z kanałów wszystkie kamienie i poukładał je w schludne stopy.

Ujechali jeszcze dobry kilometr, zanim dostrzegli mur. Kamienny mur, zza którego wyglądały domy z równymi dachami. Już na pierwszy rzut oka stało się widoczne, że jest wciąż w budowie, a z porozrzucanych tu i ówdzie narzędzi domyślił się, że pracowano tu całkiem niedawno. Miejscowych czekało jeszcze sporo pracy, bo mur był dość niski i z pewnością nie potrafiłby zapewnić żadnej obrony przed najazdem. Nawet brama nie została nadal obsadzona. Do jej wykonania musiano użyć drewna z miejscowego, wypielęgnowanego gaju. Sam materiał musiał tu być na wagę złota.

Panująca cisza była aż przygnębiająca i Koharowowi przemknęło przez myśl, że może to zasadzka. Zachwycanie się zielenią sprawiło, że zapomniał o ostrożności. Spojrzał na Sierżanta, który tylko skinął głową porozumiewawczo, po czym bez słowa wskazał na potencjalne kryjówki, gdzie mogli się czaić przeciwnicy. Jego druga dłoń spoczywała w pełnej gotowości na rękojeści miecza. Koharow uniósł rękę, wyprostował palec wskazujący i środkowy. Jego ludzie natychmiast zaczęli nakładać cięciwy na łuki. Oaza ich wszystkich nappełniła fałszywym poczuciem bezpieczeństwa. I tylko Bakly szedł dalej, wydawałoby się zupełnie beztrzesko.

Oszał? A co, jeśli zasypie go grad strzał? Co, jeśli wyskoczy na niego pięćdziesięciu chłopów? Od nieukończonej bramy dzieliło Baklego już tylko jakichś dziesięć kroków.

Druga ewentualność okazała się tą właściwą.

Zaskrzypiał piach, z cienia wynurzyły się trzy postaci i ruszyły naprzeciw samotnemu mężczyźnie. Z ociąganiem podążyły za nimi kolejne.

Najszybszy okazał się wysoki, potężnie zbudowany mężczyzna z siekierą na długim stylisku, który postanowił zaatakować Baklego jeden na jednego. Koharow zdołał tylko zarejestrować malującą się na jego twarzy furię i błysk ostrza trzymanego po prawej, przy ziemi. Uniesienie topora w górę do ciosu zajęło mu mniej niż mgnienie oka. Zasięg broni też budził respekt. Dwaj biegnący za nim uzbrojeni byli w miecze lub szable, z daleka trudno było rozpoznać. Jednak pierwszy, decydujący atak będzie należał do topornika, Koharow nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości. Szybki, skoncentrowany, bez skrupułów, zdecydowany. Jak berserker. Myślący i kalkulujący berserker. Może i brzmiało to paradoksalnie, ale Koharow widział już w życiu paru takich. Pustynia potrafiła z ludźmi robić i jeszcze dziwniejsze rzeczy.

- Nie strzelać! - krzyknął do swoich ludzi, żeby przypadkiem nie trafili Baklego. Sam tymczasem rzucił się do walki, chronić plecy Baklego, na wypadek gdyby tamci zdołali go otoczyć.

Ostrze siekiery świsnęło w powietrzu, Bakly z doskonałym wyczuciem zgrał się z przeciwnikiem i błyskawicznym obrotem ustawił się plecami do niego. Płynnym ruchem uchwycił obiema rękami stylisko topora, zmienił nieznacznie tor lotu ostrza, a swojego przeciwnika dosłownie owinął wokół siebie. Tamten nie zdążył zareagować. Zatoczył krótkie salto i wylądował plecami na ubitym piachu. Ułamek sekundy później ostrze jego własnej siekiery rozłupało mu klatkę piersiową i zniknęło głęboko między żebrami.

„Uwaga!” - chciał krzyknąć Koharow, widząc, jak kolejny z trójki atakujących zdołał się niebezpiecznie zbliżyć do Baklego, jednak nie zdążył wysłowić nawet pierwszej sylaby. Wielki mężczyzna nawet się nie obrócił, przykleknął tylko na jedno kolano i bez mierzenia uderzył za siebie siekierą; dzięki szczęściu, czy może jakiemś szóstemu zmysłowi, trafił atakującego prosto w brzuch. Ostrze niegroźnie trąciło Baklego w ramię, po czym miecz przeciwnika wypadł z bezwładnej ręki i padł na ziemię równocześnie z ciałem swojego właściciela. Bakly nie zatrzymywał się. Z nadludzką szybkością znów poderwał siekierę, zablokował opadające ostrze i gwałtownym szarpnięciem wyrwał miecz z ręki trzeciego przeciwnika, po czym potężnym kopnięciem w pachwinę posłał go, nieprzytomnego z bólu, na ziemię.

Spokojnie popatrzył na zbliżających się bez entuzjazmu kolejnych napastników. Zamachnął się, siekiera świsnęła w powietrzu, uderzyła w skrzydło bramy opartej o mur i rozłupała je na pół.

- Jak chcecie umrzeć, to chodźcie - powiedział z pustymi rękami zwisającymi luźno.



Nie brzmiało to jak groźba, to była niemalże po prostu propozycja. I właśnie ten ton sprawi, Koharow miał co do tego absolutną pewność, że druga grupa atakujących zrezygnuje z natarcia. Mężczyźni zatrzymali się, spoglądając ze strachem na

swoich trzech towarzyszy u stóp Baklego. Nawet broń trzymali tak, jakby się chcieli jej jak najszybciej pozbyć. Powoli docierało do nich, co się właśnie przytrafiło ich najwaleczniejszym kolegom. Jeden wciąż próbował złapać oddech, drugi jęczał, trzymając się za brzuch, trzeci był martwy.

Bakly postąpił naprzód. Koharow przyglądał mu się gotowy skoczyć na pomoc, jednak prawdę powiedziawszy, nie wierzył, żeby miało dojść do kolejnego zwania. Bakly swoim występem złamał tamtym wolę walki. Koharow uświadomił sobie również, że i tak pewnie jego pomoc nie byłaby potrzebna. Spojrzał na zniszczoną bramę, przed oczami znów stanęły mu nieziemska szybkość i harmonia ruchów Baklego. Tymczasem za jego plecami Sierżant rozkazał karawanie podjąć marsz. Rozległo się miarowe skrzypienie kół wozów.

O ile wcześniej szli pośród pól, po drugiej stronie muru przeważały znakomicie utrzymane, zadbane ogrody z zagonami warzyw. Koharow nie mógł się nadziwić, jak urokliwa była ta oaza. Mogła wyżywić kilkudziesięciu, może nawet koło setki ludzi. I dokładnie tylu byłoby potrzeba, aby jej skutecznie bronić. Mężczyźni, którzy wyszli Baklemu na spotkanie, teraz wlekli się za nimi w bezpiecznej odległości. Rannych zabrali ze sobą, martwego zostawili tam, gdzie padł. Przed skupiskiem domów otoczonych soczyście zielonymi iglastymi drzewkami czekała grupa kobiet i dzieci. Koharow wyczuwał ich strach już na odległość. W pierwszej chwili chciał im powiedzieć, że nie muszą się obawiać, ale po krótkim namyśle zdecydował, że przecież sam tego nie może być pewien.

Bakly zatrzymał się przed milczącą grupą. Kiedy Koharow do niego dołączył, nie umiał odgadnąć, czy ich przywódca w ogóle stojących przed nim ludzi dostrzega. Wyglądał na bardzo głęboko zamyślonego, nic nie wskazywało na to, że dosłownie przed momentem stawiał czoła trzem przeciwnikom, z których dwóch unieszkodliwił, a jednego zabił. Jakby tę walkę stoczył tak zupełnie mimochodem.

Stali w ciszy, dopóki nie dołączyła do nich karawana. Koharow

poczuł na plecach gorąco bijące od koni.

- Boże, baby! - wykrzyknął jeden z najemników i ruszył w stronę grubej kobiety, u której boku stała dwójka dzieci.

To jeszcze nie są wszyscy mieszkańcy, pomyślał Koharow, przyglądając się ściśniętej grupce. Reszta się nadal ukrywa. Po plecach ciekł mu pot, językiem próbował bezskutecznie nawilżyć spękane wargi.

Tymczasem najemnik objął kobietę w pasie i mimo jej oporów wymusił na niej pocałunek. Próbowła się wyrwać, mężczyzna stracił równowagę, oboje wylądowali na ziemi w tumanie kurzu. Pozostali ludzie Craiga skwitowali to śmiechem i obleśnymi uwagami. Nikt inny się jednak nie poruszył, wszyscy tylko się przyglądali.

Najemnik, rozwścieczony prześmiewkami kompanów, zaczął podwijać spódnicę kobiety, przedramieniem docisnął jej kark do ziemi. Żarty, o ile w ogóle mogła być o nich mowa, się skończyły. Koharow zrozumiał, że za chwilę na ich oczach dojdzie po prostu do gwałtu. Bakly, który mógłby całe to zajście przerwać jednym słowem, stał tylko ponury i spoglądał na wszystko nieobecny wzrokiem.

- Puść ją - Koharow usłyszał swój własny, schrypnięty głos. Ostrze sztyletu opierał przy tym na karku najemnika.

Sam sobie nie mógł przypomnieć, kiedy zrobił te trzy kroki.

- Nie wygłupiaj się, jest ich tutaj dość, wystarczy i dla ciebie - nie zrozumiał w pierwszej chwili najemnik.

- Puść ją - powtórzył Koharow. Docisnął ostrze mocniej, tuż obok jego czubka pulsowała nabrzmiąta tętnica szyjna.

Podświadomie oczekiwał, że usłyszy szelest ubrań, kroki najemników spieszących na pomoc swemu koleźce. Było mu wszystko jedno. Podjął decyzję, wraz z nią poczuł wręcz ulgę.

- Nie przyszliśmy tu plądrować. Liczę do trzech, potem poderżnę ci gardło.

Mężczyzna wstał z ociąganiem. Oparł się przy tym kolanem o brzuch leżącej kobiety. Ta aż stęknęła z bólu.

- Co ty sobie, kurwa, myślisz, ty obesrany obrońco

wieśniactwa? - warknął.

Koharow udał, że nie słyszy. Już wiedział, czemu nikt nie ruszył najemnikowi na pomoc. Sierżant zagradzał im drogę z dłonią na rękojeści miecza.

- Znajdę cię później, masz jak w banku. A ty uważaj, oczu z tyłu głowy nie masz - najemnik rzucił groźbę i obrócił się, by odejść. Koharow uderzył. Był to ciężki hak mierzony w szczękę, który dosięgnął celu perfekcyjnie. Mężczyzna padł na ziemię nieprzytomny.

- Pilnujcie go - Koharow odezwał się do reszty ludzi Craiga. - Jeśli tylko zauważę, że się koło mnie kręci, skończę z nim.

Uznawszy sprawę za zakończoną, Koharow obrócił się do mieszkańców oazy.

- Gdzie są pozostali? Wiem, że was tu musi być więcej, nie ma sensu się ukrywać.

Odpowiedziała mu cisza.

- Naprawcie wozy i bukłaki - rzucił nagle Bakly, nie patrząc na nikogo konkretnego. - Zdobądźcie konie w miejsce zabitych, jutro wyruszamy. Zabierzemy tyle wody, ile damy radę. I nie chcę tu żadnych pożarów, żadnych dymów, które będą zdradzały naszą obecność.

Koharow dostrzegł, jak jego ludzie wymieniają ukradkowe spojrzenia. Doskonale wiedział, nad czym się zastanawiali. Dokąd, do jasnej cholery, Bakly zamyśla iść. Znajdowali się na samej granicy nadających się do życia obszarów. Dalej czekały już tylko pustynia i niechybna śmierć.

- Za godzinę zbierzemy się tam. - Bakly popatrzył na Koharowa i Craiga i wskazał ręką najbliższy dom. Sam ruszył jednak w innym kierunku, ku temu, co oaza miała najcenniejsze - otoczonemu trzcinań małemu, ale głębokiemu jeziorku, jedynemu tutejszemu źródło wody.



Koharow przydzielił swym ludziom rozmaite zadania i przyglądał się Craigowi, który zajęty był tym samym pośród

najemników. Po historii z Koharowem jego autorytet wśród własnych ludzi nieco jakby podupadł. Też sobie z tego musiał zdawać sprawę, bo gonił ich do roboty ostrzej niż kiedykolwiek wcześniej.

- Zacny cios - odezwał się Sierżant, który wrócił właśnie z oględzin jeziorka.

- Odgrywałem tylko swą rolę. - Koharow wzruszył ramionami i roztarł bolącą pięść. - Rolę obrońcy wieśniactwa.

- Coś już o tym słyszałem - roześmiał się Sierżant. - Bakly obchodzi granice oazy, zanim wróci, moglibyśmy coś przegryźć. Przypuszczam, że czeka nas harówka do nocy, skoro musimy się przygotować na poranny wymarsz.

- Bardzo bym chciał tę sprawę z Bakłym przedyskutować - wyznał Koharow. - Nie mogę się doczekać porządnego dzbana zimnej, źródlanej wody - dodał.

Jeść i pić dostali w domu, który Bakly wybrał na kwatery dla dowództwa. Posługiwała im kobieta, której pomógł Koharow. Pozostali mieszkańcy osady trzymali się od przybyszy na odległość, ale niewiele im to pomogło. Ludzie Craiga może i niczego nie podpalili, ale bez problemu znaleźli inne sposoby na narobienie szkód.

- Nie wyglądał mi na człowieka, który pozwoli, aby ludzie, którym przewodzi, dosłownie przed nim hańbili kobietę - zastanawiał się na głos Koharow, równocześnie napychając się świeżym chlebem, szynką i daktylami, a wszystko to zapijając pierwszorzędnym miejscowym winem i jeszcze lepszą wodą.

- Mnie też nie, ale on jednak jest dość dziwny. Myśli inaczej niż my. Czasem może i na to nie wygląda, ale w głowie ma wszystko w najdrobniejszych szczegółach poukładane - odparł Sierżant.

- Chciałbym z nim porozmawiać sam, bez Craiga w pobliżu.

- No to właśnie masz okazję. - Sierżant wskazał nożem wejście do izby.

Bakly wkroczył do wnętrza i nagle dość przestronna,

wydawałoby się, kuchnia i przylegająca do niej izba wyczuwalnie się zmniejszyły.

- Dlaczego zostawiliście tego człowieka tam, gdzie leżał? - spytał kobietę wprost. - Dlaczego go nie pochowacie?

- Bo to obcy. To znaczy był obcy. Przyszedł tu przed kilkoma tygodniami z Klatenu, co to go podobno wypalili. Przyjęliśmy go, bo nas mało teraz. Mnóstwo ludzi pomarło albo odeszło z oazy - odpowiedziała.

- Wygląda na to, żeście go za bardzo nie polubili - rzucił Sierżant z przekąsem.

- Z nikim nie chciał gadać, tylko gonił wszystkich do roboty. To on nas namówił, żeby zniszczyć szlak, żeby nikt się do nas nie mógł dostać. I jeszcze twierdził, że ze wszystkich sił musimy walczyć, żeby oazy bronić, inaczej spotka nas to, co spotkało ich.

- No to miał rację - zgodził się Sierżant.

- No i dużo nam to pomogło - odgryzła się gospodyni.

- Boście nie walczyli - wypomniął jej.

Na to odpowiedzi już nie miała i odeszła naburmuszona.

- Powiedzieliście, że wyruszamy jutro - zaczął Koharow.

Bakly złapał za dzban z wodą i jednym haustem opróżnił go do połowy.

- Owszem.

- Dokąd?

- Do Wotty. To mała oaza piętnaście razgów stąd, dalej w głąb pustyni. Tam będę mógł ukryć Gwiazdę.

- Żadna Wotta nie istnieje - odpowiedział Koharow cicho.

Bakly chwilę mu się badawczo przyglądał, ale zmilczał i usiadł przy stole.

- Dalej jest już tylko pustynia bez powrotu. Rozpalona pustka, piach, kamienie. Żadnej wody. Ta oaza, w której teraz jesteśmy, to najdalsze miejsce, w którym jeszcze tli się jakieś życie - nie ustępował Koharow. - Każdy, kto wejdzie głębiej, umrze. Z pragnienia, z gorąca, z opętania.

Bakly nie zaprzeczył.

- Muszę zanieść Czerwoną Gwiazdę tak daleko, jak tylko będzie to możliwe. Muszę ją ukryć tak, aby nie zdołał się do niej dostać nikt inny - powiedział tylko.

Koharow przyglądał mu się bacznie i po raz kolejny, dysponując tym wszystkim, co o Bakłym słyszał i co zdążył już sam zaobserwować, próbował wielkoluda rozgryźć. Kim on był tak naprawdę? Co się w nim skrywało?

- A my wszyscy przy tym zginiemy.

Koharow sam nie wiedział, czy było to pytanie, czy konstatacja.

- Jeśli będzie trzeba...

- Więc jak to możliwe, że Craig i jego ludzie w ogóle z nami pojedają? - zaciekawiał się Sierżant, jakby wzmianką o niechybnej śmierci zupełnie się nie przejął. - Nie wyglądają mi na typków, którzy za marne trzy stówki zgodzą się umierać.

- Mają mapę, taką samą jak moja - odpowiedział Bakly i wyciągnął z zanadru pojemnik, a z niego zrolowaną mapę i położył na stole.

Koharow rozwinął rulon z ciekawością. Była to najdoskonalsza mapa południowo-wschodniej części Pustyni Gutawskiej, jaką kiedykolwiek widział. Opisana w najdrobniejszym szczególe, z całą masą dodatkowych użytecznych informacji. Niektóre obszary miały swoje oddzielne, jeszcze bardziej szczegółowe opracowania. O piętnaście razgów w głąb pustyni od miejsca, w którym się znajdowali, na mapie widniał mały rysunek palmy, a przy nim nazwa Wotta.

- Mało jest ludzi, którzy w pustyni czuliby się jak u siebie w domu, tak jak ja - zaczął Koharow po kwadransie uważnego studiowania. - Ta mapa jest niesamowita. Zgadza się we wszystkich szczegółach, o których sam wiem. Ale o tej oazie łże. - Popukał palcem w Wottę.

- Owszem, ta oaza nie istnieje - potwierdził Bakly, a Koharow poczuł, jak ściska mu się serce.

W głębi duszy liczył jednak na jakąś fantastyczną historyjkę, która pozwoliłaby mu uwierzyć w istnienie schronienia w bezlitosnym sercu pustyni.

- Parę tygodni temu Craig kupił okazjnie identyczną mapę. Trochę wcześniej spotkał w gospodzie człowieka, który rozprawił o daktylach z Wotty. Trafiił równieŹ na kogoś, kto twierdził, Źe sam stamtąd pochodził.

- To wszystko było ukartowane?

- Jedna z ewentualności przyszykowana przez pana Łasiczkę. Jedna z ewentualności prowadzących do tego, aby pozbawić cesarza możliwości urośnięcia w potęgę za sprawą magicznego artefaktu. Oczywiście byłoby lepiej dostarczyć artefakt K. No, ale co poradzić, jeśli się nie da, musimy go przynajmniej dobrze ukryć - dokończył swoje wyjaśnienia Bakly.

Koharow wiedział, Źe ksiąŹę Dask prowadził z imperium zaciekle, potajemny bój - sam był jednym z pionków na tej szachownicy. Nie przypuszczał jednak, Źe ktokolwiek byłby zdolny planować na aż tyle ruchów naprzód. Przez chwilę siedział tylko w milczeniu i rozmyślał.

- I właśnie dlatego Źaden z najemników za Źadną cenę nie moŹe się dowiedzieć, Źe Wotta nie istnieje - ostrzegł ich Bakly.

Koharow skinął głową. Nagle pomyślał, Źe Bakly umyślnie zignorował próbę gwałtu. Zależało mu na tym, aby miejscowi za bardzo nie bratali się z najemnikami, a jeśli będą się ich bać, to nie będą chcieli z nimi rozmawiać w ogóle. Zaplanował to wszystko właśnie w ten sposób czy to los przez przypadek poszedł mu na rękę?

Nie wiedział, ale pytać nie chciał. Inna sprawa, Źe nawet by w tej chwili nie mógł, bo do izby wszedł właśnie Craig. Był w dobrym humorze, który w widocznym stopniu zawdzięczał spożytemu winu.

- I jak tam idzie narada wojenna? - zawołał głośno. - Znaleźliśmy jeszcze piętnaście osób. Trzech staruchów, ale oprócz nich same baby. Niektóre nawet niczego sobie!

- Z naradą wojenną czekamy na was - odpowiedział cicho Bakly i spojrział na Sierżanta. - Ile zdołamy zabrać ze sobą wody?

- DuŹo. - Sierżant dojadł ostatni kasek i zaczął wyliczać: - Znaleźliśmy trzy woły i siedem krów, cztery konie, ale za to tylko

dwa wozy, aczkolwiek oprócz nich mamy też pięć lekkich dwukółek. Bukłaków i innych pojemników na wodę mają tutaj całe sterty, widać, że w przeszłości dużo handlowali.

- Nie możemy im przecież zabrać wszystkiego! - zaprotestował Koharow.

- Pójdą z nami, nikogo tu nie zamierzam zostawiać - zwrócił się do niego z poważną miną Bakly.

Koharowa aż zatkąło. Co by się stało, gdyby tu i teraz zdradził sekret Baklego? Czy olbrzym zabiłby go? Najprawdopodobniej.

- A po co? - dopytywał się Craig, popijając z glinianego dzbana, który ze sobą przyniósł. - Będą nas tylko spowalniać.

- Pomogą z ładunkiem. A poza tym ciągną za nami Czarni Jeźdźcy. Naprawdę chcecie się tu z nimi spotkać w drodze powrotnej? Wystarczyłoby, żeby się tu rozsiedli i tylko na nas poczekali.

- Wypalimy oazę? - zaskoczył natychmiast Craig.

- Nie. Nie chcę, żeby wiedzieli, kiedy stąd wyruszyliśmy. A poza tym wypaleniem osady nie zniszczymy wody, więc nic byśmy tak naprawdę nie zyskali. Dlatego zamiast tego zatrujemy źródło.

Koharow przełknął z trudem ślinę i poczuł, jak jego ciało drętwieje z niedowierzania. Tak przecież nie można! Ani on, ani żaden z jego ludzi nigdy na coś takiego nie zezwola. Nikt nie ma prawa niszczyć tego, co na pustyni najcenniejsze!

- A przy odrobinie szczęścia otrujemy też paru naszych nieprzyjaciół.

Craig zauważył, jakie wrażenie ta informacja wywarła na Koharowie, i rzucił z rozbawieniem:

- Szkoda takiego kawałka ziemi, nie? Słyszałem, że niektóre z tych trucizn są w stanie utrzymać się w glebie całymi latami.

- Dokładnie taką mam - powiedział Bakly.



Reszty narady Koharow nie zarejestrował. Nie pozwoli zniszczyć oazy i skazać jej mieszkańców na śmierć z pragnienia. On sam może i był gotów umrzeć. Jeśli się nad tym zastanowić,

prawdopodobnie byłby również gotów poprowadzić na śmierć swoich ludzi. Ale na coś takiego zgodzić się absolutnie nie mógł. Po zmroku poszedł się przejść wśród drzew, rozmyślając, jak nakłonić Baklego do tego, by zarzucił swój potworny plan. Zbliżywszy się do nieukończonego muru, usłyszał ciche łkanie. Ostrożnie wyjrzał przez bramę. Ciało zabitego mężczyzny pozostało na miejscu, ale ktoś usypał nad nim z kamieni mogiłę. Ten ktoś siedział teraz obok mogiły i płakał. Wnioskując z brzmienia głosu i rozmiaru sylwetki - dziecko. Nad nim stał Bakly.

- Sam go pogrzebałeś? - zapytał wielki mężczyzna.

- Tak - zabrzmiała cicha odpowiedź.

- Nikt ci nie pomógł?

- Nie. Jestem tu obcy, przybyliśmy niedawno. Tata z nikim za dużo nie gadał, nie mieliśmy przyjaciół.

Koharow słuchał. W swoim życiu widział już wiele śmierci, bóleści, ale nie czyniło go to ani trochę bardziej odpornym. Nosił w sobie i swój własny ból, lecz z tym nauczył sobie radzić, w odróżnieniu od cierpienia innych.

- Te kamienie są małe, a w okolicy na pewno żyją jakieś zwierzęta. Wygrzebią go.

- Tych większych nie ruszę.

Było słyhać, że chłopak połyka łyzy, jednak z całej siły stara się nie rozpłakać. Bakly odszedł, pozostawiając go sam na sam z jego smutkiem.



Kiedy nadszedł poranek, Koharow był już zdecydowany. Umówił się z pięcioma ludźmi, do których miał największe zaufanie, i postanowił, że spróbują powstrzymać Baklego.

Nie było się z czym ociągać. Im szybciej karty zostaną wyłożone na stół, tym lepiej. Słońce nie wzniosło się jeszcze nad horyzont, ale już się rozwidniło. W bezpośrednim sąsiedztwie jeziora czuć było w powietrzu posmak wilgoci. Na liściach rosnących najbliżej drzew dostrzegł nawet kropelki rosy! Co za

wspaniały widok! Koharow otrząsnął się i spróbował skoncentrować na czekającym go zadaniu. Zakładał, że Bakly z rana pójdzie się umyć. Miejscowi z pewnością na nic podobnego by się nie poważyli, ale nieobeznany ze zwyczajami obcy zapewne tak. Po raz ostatni przyjrzał się swoim ludziom. Nawet jeśli mieli wątpliwości, nie dawali tego po sobie poznać. Bardzo dobrze, to znaczyło, że mógł na nich liczyć.

Wciąż panowała cisza, cykady poszły spać, a w oazie najwyraźniej nie mieszkały żadne ptaki. Suche, martwe połacie okazały się dla nich zbyt rozległe, aby się tu mogły dostać. Chrząst żwiru zdradził przybycie Baklego na długo, zanim go jeszcze dojrżeli. Stali na ścieżce, nie kryli się. Koharow chciał chociaż spróbować jakoś się dogadać. Wreszcie go dostrzegł i nerwowo przełknął ślinę. Bakly szedł w samych tylko spodniach, resztę swoich rzeczy miał zawiniętą w gruby kozuch. Koharow instynktownie dotknął miecza. To nie był człowiek, to był jakiś wynaturzony stwór. Olbrzymi potwór opancerzony mięśniami nieludzkich rozmiarów i proporcji. Wyglądał, jakby gołymi rękoma potrafił łupać skały. Poruszał się leniwie, czy może raczej oszczędnie, jednak Koharow dobrze pamiętał, że każdy fragment jego ciała skrywał w sobie istic wybuchowy potencjał.

Bakly też ich już dostrzegł, ale nie zwolnił ani w żaden inny sposób nie dał po sobie poznać, że przejęła go ich obecność. Jeden z ludzi Koharowa chciał dobyć miecza, lecz Koharow go powstrzymał. Jego samego świerzbiły ręce, mimo to chciał jednak spróbować porozmawiać.

Na całe szczęście Bakly nie spróbował obok nich przejść. Zatrzymał się i odłożył swój tobolek w trawę.

- Bardzo byśmy nie chcieli, abyś skazał na zagładę tę oazę i wszystko, co żywe - powiedział cicho, lecz stanowczo Koharow. Miał przygotowane całe przemówienie, ale póki co czekał. Coś mu mówiło, że stojącego przed nim półnagiego olbrzymia i tak nie przekona.

Bakly przyglądał im się z twarzą nieruchomą i nieprzeniknioną. W końcu rozwiązał przyniesiony tobolek, a z niego wyluskał

mieszek, który Koharow już wcześniej widział. Był zawiązany na supeł, aby kamień z niego przypadkiem nie wypadł.

- Oto Czerwona Gwiazda - powiedział spokojnie. - Z jej użyciem można by zniszczyć za jednym zamachem całe państwa. Na karku siedzi nam tysięczna armia. Cesarz nie zawaha się poświęcić jej w całości, co do żołnierza, byle tylko zdobyć artefakt.

- Nie powiodę ludzi na śmierć. - Koharow pokręcił głową. - Nie kobiety i dzieci.

- Ściga nas czarodziej, który uczyni absolutnie wszystko, aby zdobyć Czerwoną Gwiazdę - kontynuował Bakly, jakby go w ogóle nie słyszał. - Jest to czarodziej, który również doskonale wie, czego z jej pomocą może dokonać.

Nie dogadają się. Tyle Koharow już wiedział.

Bakly nagle rozsuptał rzemień i jednym ruchem wytrząsnął klejnot na ziemię.

Koharow syknął i cofnął się o parę kroków. W mgnieniu oka wyrosło przed nim ryczące tornado mocy. Wyglądający jak dziecięcy bąk odwrócony stożek szaleńczo wirującej, niepojętej substancji rósł szybko wzwyż i wszcz, a jego grot unosił się o kilka centymetrów nad artefaktem. Spowodowany rotacją mocy wiatr wzmagał się z każdą chwilą i Koharow zaczął się obawiać, że jeszcze moment i wessie go do środka. Z trzaskiem ułamały się pierwsze gałęzie i zniknęły w wirze, którego magia posilała się energią otoczenia, którą wchłaniała coraz szybciej i z coraz większą siłą. Tornado naginało już całe drzewa, było również coraz grubsze u podstawy. Koharow oczami wyobraźni ujrzał nagle gigantyczny wir, który pożera całą oazę, a potem rośnie i rośnie, aż rozrywa niebo...

Cisza. Tuman zniknął pod mieszkciem, którym Bakly nakrył kamień. Musiał przecież być w zasięgu tornada, uświadomił sobie Koharow. Pierś olbrzyma unosiła się w ciężkim oddechu, a jego ciało nabrało jakiegoś takiego kamiennego wyglądu. Koharowowi wydawało się, że przypominał prędzej granitowy posąg niż człowieka z krwi i kości. Nawet ziemia jakby

ustępowała pod jego ciężarem. Po chwili jednak wrażenie to uleciało i znów stał przed nim niezwykłych rozmiarów, ale jednak człowiek.

- Przekonaliście mnie - westchnął ciężko Koharow, wciąż porażony niszczącą mocą artefaktu.

Ustąpił z drogi, jego ludzie poszli za jego przykładem.



Kiedy dwie godziny później z oazy wyruszyła karawana stanowiąca zbieraninę wojskowych i mieszkańców oazy, zaraz za bramą w niedokończonym murze minęli wznoszącą się na drodze mogiłę usypaną z głazów, które nawet dwóch ludzi miałyby problemy poruszyć.



- Idą dalej na południe, w pustynię - powiedział ponuro czarodziej i z podręcznego bukłaka nalał sobie wody do pucharu. Słaby wiatr podnosił pustynny pył i sprawiał, że zarówno jedzenie, jak i napitek skrzypiały w zębach. W opuszczonych domach, które z pewnością zapewniłyby im większe wygody, nie odważyli się jednak zakwaterować. W nich pewnie czekały ich kolejne nieprzyjemne niespodzianki.

Coverfly napił się również.

- Dopilnujcie, żeby już nikt więcej się nie połakomił na wodę - warknął do Framy i Hoover'yego.

Stracili czterech ludzi - zwiad idący przodem i mający za zadanie rozpoznanie terenu. Kiedy dotarli do opustoszałej oazy, widok świeżej wody w jeziorku tak ich rozochocił, że nie zwrócili uwagi ani na pływające brzuchami do góry ryby, ani na inną, zgromadzoną przy brzegach drobną padlinę.

- Zagrywają ostro i mają ku temu odpowiednie środki - powiedział głośno Coverfly. - Jak daleko ujechali?

- Kilka dni przed nami - odpowiedział Evan. - Pięć, może sześć, nie więcej.

Po ostatniej aktywacji mocy Czerwonej Gwiazdy jego zdolność wyczuwania artefaktu znacznie się polepszyła.

- W tamtą stronę jest już tylko pustynia, nic z tego nie rozumiem. - Coverfly kręcił głową. - Dokąd oni jadą, do jasnej cholery?

- Nie wiem. Może rzeczywiście starają się po prostu wywieźć Gwiazdę poza nasz zasięg? - odpowiedział mu czarodziej rozdrażnionym tonem.

Podróż przez pustynię odcisnęła na młodzieńcu swe piętno. Spalone oblicze, ręce pozdzierane od kamieni, kiedy w co cięższych miejscach musieli zsiadać z koni i udrażniać szlak, stwardniała skóra i sieć nowych zmarszczek spowodowanych odwodnieniem, przed którym nikt nie był w stanie się ochronić bez względu na to, jak wielkie mieli ze sobą zapasy wody.

Do domu wszedł Hoovery. W odróżnieniu od swego dowódcy i czarodzieja sprawiał wrażenie, jakby mu cała ta pustynna wyprawa przypadła do gustu i rozkoszował się każdą jej chwilą. Oczy mu się skrzyły, skłębiona, gęsta broda była szara od pyłu.

- Konie już długo nie pociągną. Albo będziemy musieli dalej iść pieszo, albo musimy zredukować oddział - oznajmił z nieledwie wesołą nutą w głosie.

Coverfly zgrzytnął zębami. Gdyby nie to, że jego przyboczny był aż tak oddany i użyteczny, już dawno by się go pozbył.

- Doślą nam jakieś z tyłu - nie zgodził się.

Ze skrajem pustyni łączył ich łańcuch prowizorycznych obozów, wzdłuż którego bezustannie poruszały się wahadłowo karawany dowożące im wodę i resztę potrzebnego zaopatrzenia. Ta utrzymująca ich przy życiu pępowina kosztowała połowę jego ludzi. Jeśli mają zapuścić się jeszcze dalej, będzie musiał przerzedzić załogi, osłabić ochronę. Taki na przykład Trimitri mógłby wtedy z łatwością zlikwidować jedno ogniwo i tym samym skazać ich wszystkich na niechybną śmierć. Coverfly mocniej ścisnął puchar i pociągnął porządny łyk, chociaż pić wcale już mu się nie chciało.

Na czoło, potylicę i pierś natychmiast wystąpił mu pot. Działo

się tak za każdym razem, kiedy się napił. Spojrzał na czarodzieja. Tego żadne kwestie praktyczne nie interesowały. Fanatycznie tylko gonił za tą swoją Czerwoną Gwiazdą. Przeklęty kamień, pomyślał Coverfly, niechby go diabli wzięli. Przestał już liczyć na to, że cała ta akcja pomoże mu zyskać lepszą pozycję wśród arystokracji. Mając do dyspozycji całą armię, w dalszym ciągu nie zdołał schwytać bandy obdartusów.

Coraz częściej myślał o tym, że będzie bardzo szczęśliwy, jeśli po prostu uda mu się przeżyć.

- Już teraz ślą nam konie z terenów oddalonych od pustyni. Są nieprzyzwyczajone do tych warunków i prawdę powiedziawszy, do niczego. Połowa padnie, zanim tu w ogóle dotrze - powiedział Hoovery, jakby zupełnie nie zauważył długiej przerwy w rozmowie.

- No to co z tymi Jeźdźcami? Robią coś w ogóle? - Coverfly spytał z irytacją czarodzieja.

- Trzymają się tuż za nimi - wyjawiał Evan. - W ciągu godzin może być po wszystkim.

- Nie zaatakują, dopóki nie będą mieli absolutnej pewności, że mają wygraną na talerzu. - Hoovery wyszczerzył zęby w uśmiechu. - A właśnie, byłbym zapomniał, z czym przyszedłem. - Zniknął za drzwiami, po czym wrócił z beczułką wina. - Może nie zatrute? - Zaśmiał się, wybijając szpunt, obrócił beczułkę i nalał sobie do kielicha. - Równie dobrze mogą zaatakować wcześniej, w momencie kiedy ocenią, że czekając dalej, nie zyskają tyle wody, aby im wystarczyła na drogę powrotną.

Coverfly przyglądał się swojemu przybocznemu, jak ten pije wino. Jeśli będzie zatrute, przynajmniej się go pozbędę, pomyślał. Aczkolwiek na tyle szczęścia nie ma pewnie co liczyć. On sam pozwoli sobie najwyżej na jeden łyk. Dwóch ludzi, którzy pofolgowali sobie z własnymi zapasami czegoś mocniejszego, następnego dnia jeszcze przed południem było martwych. Alkohol i zabójcze słońce nie idą za dobrze w parze.

- Ha! To nawet nie jest wino! Takie gęste, słodkie i pachnące, zupełnie jak baba. Już to wystarczy za dobry powód, żeby się tu

tluc.

Hoovery oblizał wargi i nalał sobie kolejny kielich. To jest zwyczajny szaleniec i jeśli nie zacznie się zachowywać normalnie, zabiję go sam, postanowił Coverfly. Po chwili się jednak opamiętał. Upał i odpowiedzialność go wykańczały, musiał się mieć na baczności przed pustynnym amokiem. Bardziej niż ktokolwiek inny.

- Znaleźliśmy kilku ludzi! Schowali się w piwnicy, nie chcieli iść z tamtymi - zabrzmiał z korytarza głos Framy.

- Ja ich wezmę! - zareagował natychmiast czarodziej. - Potrzebuję wozy z moim ekwipunkiem, natychmiast!

- Dojadą dopiero z rana. Te wasze klamoty są cholernie ciężkie, same zwierzęta by nie uciągnęły, całą drogę muszą im ludzie pomagać - odparł Hoovery niewzruszenie. Wyciągnął się na krzesło, z nogami bezceremonialnie położonymi na stole. Kielich z winem postawił sobie na brzuchu. Wyglądał, jakby mu już nic innego do szczęścia nie brakowało. - Częstuj się, znakomite jest. - Pokazał Framowi beczułkę.

Coverfly zastanawiał się przez chwilę, czy jego podwładni jednak nie pozwalają sobie na zbyt wiele, ale dał sobie z tym spokój. Wystarczy, że musieli walczyć o życie z pustynią, niepotrzebne mu są dodatkowo swary w pierwszej linii.

- Do czego są wam te rzeczy? - Spojrzał z kolei na Evana.

- Do tego, aby zdobyć Gwiazdę, jeśli wam się nie powiedzie.

- Gdyby mi nie wchodzili w drogę ci wasi Czarni Jeźdźcy, szłoby to nam o wiele łatwiej - odciął się baron.

Gdyby nie list, już dawno by tego smarkatego gnoja zabił. Nawet ochrona by mu nie pomogła. Potem by ich wszystkich wrzucił w jakąś rozpadlinę, zasypał żwirem i po kłopotcie. Owa wizja wydała mu się nad wyraz kusząca, przynosiła wewnętrzne ukojenie.

- Swój ładunek będziecie tu, panie, mieć jeszcze dziś wieczorem. Bardzo mnie ciekawią wyniki waszej pracy - zwrócił się do czarodzieja, po czym skinął na Hoovery'ego. - Ma to tutaj być przed zmrokiem.

- Jasne, panie - otrzymał odpowiedź i zanim zdążył przybocznego trzepnąć za tak karygodne gwałcenie etykiety, tamtego już nie było. Pozostał po nim tylko stojący na stole kielich.

Było już dobrze po zmroku, jednak zeszli się wszyscy popatrzeć na starania czarodzieja. Jemu samemu nie wydawało się to przeszkadzać. Jeśli już, było wręcz na odwrót. Wypakowywanie rzeczy czarodzieja niezwykle wszystkich zaskoczyło. Owinięte w materiał trzy nieprawdopodobnie masywne i ciężkie zbroje, które musiały być kute chyba na olbrzymów.

- Pff... Ten chłop musiałby mieć chyba ze trzy metry, i to najmarniej! - prychnął Hoovery, który z pomocą dwóch innych ludzi tachał właśnie olbrzymi kirys. - Jeszcze nie słyszałem, żeby żelazne posągi pomogły komukolwiek w boju.

Mimo niezadowolenia nosił jednak kolejne elementy zbroi. Pomiędzy domami słychać już było huk przenośnej kuźni. Inni w tym czasie montowali poszczególne części na specjalne drewniane stelaże, które czarodziej również przywiózł ze sobą. Z powodu panujących ciemności gapie rozpalili tu i ówdzie ogniska, aby lepiej widzieć postępy prac. Noc stawała się coraz głębsza i żelazne monstra nabierały kształtu. Na pociemniałych z wiekiem pancierzach tańczyły odblaski płomieni.

- Takiej przyłbicy jeszcze nigdy nie widziałem. To musi być od czorta stare - powiedział mężczyzna, który właśnie odwinął tkaninę z wielkiego hełmu z zakratowaną zasłoną i o objętości wiadra.

Najwięcej dyskusji wzbudziła jednak broń, a zwłaszcza oburęczny miecz, którym najsilniejszy nawet spośród żołnierzy nie był w stanie władać. Hoovery, który przyniósł miecz na ramieniu, zdołał go przez krótką chwilę utrzymać przed sobą w pozycji szermierskiej, ale na tym się skończyło. Na więcej z dwuipółmetrowym ostrzem nawet on nie zdołał sobie pozwolić. Wszyscy jednak podchodzili dobrze się przyjrzeć niezwyklej broni. Stal wypolerowana została tak, że odbijały się w niej gwiazdy, a ostrze odpowiadało bojowym parametrom broni

używanej przez imperialną szlachtę do szermierczych pojedynków.

- Takie ostrze u tak wielkiego majchra jest zupełnie bez sensu - komentował ze znawstwem Hoovery. - Nie wytrzyma pierwszego lepszego uderzenia przecież.

Coverfly słyszał go z pewnego oddalenia, jednak zanim jeszcze dotarł na miejsce, wiedział już dobrze, na co się zanosilo. Hoovery już tak miał, że najpierw działał, a dopiero potem ewentualnie myślał. A tym razem działać musiał szybko, zanim czarodziej zorientuje się, co tu się z jego dobytkiem wyprawia. Hoovery obrócił się ku kłodzie, którą ktoś przyciągnął jako prowizoryczną ławkę. Chwycił miecz obiema rękami, zarzucił sobie na ramię i stamtąd podrzucił do pionu, wybalansował, po czym z całej siły ciął z góry do dołu, niczym siekierą. Ostrze weszło w kłodę, przecięło ją na pół i utknęło dopiero w ziemi.

- Ani zadrapania. - Hoovery pokręcił głową z niedowierzaniem po wnikliwych oględzinach. - Może powinniśmy spróbować o kamień?

Coverfly nie zdołał powstrzymać wesołego uśmiechu.

- Ej! Ty tam! - Czarodziej wreszcie zwrócił uwagę na otaczające Hoovery'ego zamieszanie. - Dość błaznowania. Przynies mi miecz tutaj i idź przyprowadzić więźniów! - rozkazał.

Hoovery posłuchał. Odłożył broń na wskazane miejsce i poszedł wykonać drugą część polecenia. Evan w tym czasie przystąpił do drobiazgowej inspekcji, sprawdzając, czy zbroje zostały odpowiednio poskładane.

- Jeśli mu się wydaje, że będzie je mógł poskuwać razem na tych rusztowaniach, to się grubo myli - zamruczał pod nosem człowiek, który miał się opiekować kuźnią. Nie przestawał jednak pompować nogą miecha.

Coverfly stał nieco dalej, ukryty w cieniu żywopłotu, niezauważony przez nikogo. Tej przyjemności czarodziejowi dawać nie chciał. Był ciekaw tak samo jak inni, to prawda, jednak w odróżnieniu od pozostałych, całe to widowisko postrzegał jako dość złowieszcze. Dobrze pamiętał, czego

czarodziej chciał od niego kilka dni wcześniej. Parę chwil później eskorta dostarczyła więźniów. Wszyscy poza jednym byli starzy. Widać było, że z racji wieku tułaczka po pustyni nie za bardzo im się uśmiechała, woleli więc zaryzykować i zostać w oazie. Może nawet wiedzieli o jakimś pomniejszym, dodatkowym źródle wody. Jedyne nieco młodszy mężczyzna wśród nich miał nogę amputowaną w kolanie.

- Materiał mizerny, ale co robić - westchnął rozczarowany Evan. - Dobrze przynajmniej, że mamy parę sztuk. Zamknijcie ich wewnątrz! - zakrzyknął.

Szum rozmów ucichł zupełnie, wszyscy ścieśnili się wokół, chcąc widzieć jak najlepiej. Powiązani więźniowie zostali upchnięci w pancernych zbrojach, po dwóch w każdej. Miejsca w środku nie mieli jednak zbyt wiele. Wiszące na stelażach płyty podzwaniały co chwila, kiedy nieboracy próbowali rozpaczliwie jakoś się w środku rozmieścić.

- Żeby nie pozrzucali tylko. Składanie tego wszystkiego do kupy zajęło nam trochę czasu! - krzyknął ktoś do wtóru rechotliwych śmiechów.

- Pewnie myśli, że mu w tym będą chodzić - podśmiewał się ktoś inny.

Wszyscy w dalszym ciągu uważali czarodzieja za szarlatana i nie mogli się doczekać momentu, w którym jego łągarstwo wyjdzie na jaw. Coverfly zakazał swoim przybocznym mówić komukolwiek o igłach destylujących wodę z ciała, więc reszta oddziału nie miała o nich pojęcia. Sam baron milczał. On już się nauczył, że czarodzieja nie należało nie doceniać. Przeczynał, że to, czego zaraz będzie świadkiem, wcale a wcale mu się nie spodoba. Najbardziej zaskoczyło go to, że więźniowie nie próbowali nawet stawiać oporu. Albo byli tak przerażeni, albo ich czarodziej jakoś omamił czy może czymś napałił.

Czarodziej dał znak dłonią, żeby zamknąć zbroje ostatnimi płytami, odcinając tym samym więźniów od świata zewnętrznego. Kiedy obrócił twarz w stronę bijącego od paleniska kuźni blasku, Coverfly zauważył, jak nieziemsko skrzą

mu się oczy, jak niezwykle ma napiętą skórę twarzy. Nie zauważył żadnego gestu, nie dosłyszał żadnego zaklęcia, jak tego oczekiwał. Zamiast tego Grigor Evan wyciągnął przed siebie prawą rękę, dłoń zacisnął w pięść i włożył ją prosto w żar paleniska. Stojący wokół ludzie struchleli, słysząc było pojedyncze zszokowane okrzyki. Czarodziej jednak nie dał żadnych oznak bólu i stał tylko bez ruchu. Coverfly oczekiwał swądu palonego mięsa, jednak nic takiego się nie stało. Zamiast tego żar paleniska zaczął nagle zmieniać kolor z białego na żółty, potem na czerwony, a chwilę później pozostały widoczne jedynie żarzące się słabo węgle. Wreszcie i te zgasły. Evan ruszył sztywnym krokiem ku żelaznym posągom z uwięzionymi wewnątrz ich cielsk spętanymi ludźmi. Koniuszki palców jarzyły mu się białym blaskiem. Dotknął palcami pierwszej zbroi w miejscu, gdzie stykały się dwie odrębne płyty pancerza. Wśród gapiów rozszedł się szmer zaskoczenia. Pod dotykiem czarodzieja płyty zrosły się w jednolitą całość. Evan przystąpił potem do drugiej zbroi i do trzeciej. Kiedy skończył, jego palce znów wyglądały jak dawniej.

Coverfly uświadomił sobie ze zdziwieniem, że zbroje się na jego oczach zmieniły. To wręcz nie były już zbroje, jak przedtem rozwieszane na stelażach, to były jednolite, olbrzymie, żelazne, archaicznie wyglądające posągi, z których każdy musiał ważyć dobre trzysta kilogramów, jeśli nie więcej.

Czarodziej stał w bezruchu przed magicznymi zbrojami. Z ich wnętrza zaczęły dobiegać stłumione dźwięki zmagania uwięzionych w nich ludzi. Może się właśnie ocknęli, przyszło do głowy baronowi. Teraz, kiedy już i tak nie mogą się wydostać.

Czarodziej włożył dłonie do kieszeni płaszcza, a kiedy je wyjął, trzymał w nich, między kciukiem a palcem wskazującym, małe kryształki. W świetle okolicznych ognisk wydawały się zielone. Evan wzniosł ręce ku górze i w tej pozie zastygł. Coverfly czuł jednak, że coś się dzieje, włosy na przedramionach stanęły mu dęba, a do tego strasznie mu się nagle zachciało kichać. Po dziesięciu uderzeniach serca, które wydały mu się ogłuszającym

dudnieniem wielkiego bębna, nieprzyjemne uczucie zniknęło i wszystko wróciło do normy. I tylko poprzez zasłony hełmów widać było jakby ciemnoczerwony blask bijący od jakiegoś wewnętrznego ognia. Coverfly początkowo myślał, że może mu się przywidziało, ale po chwili musiał przyznać, że widział dobrze, a jedynie nie chciał do siebie dopuścić świadomości, że to prawda. Uwięzionych wewnątrz ludzi nie było już słychać. Zastanawiał się, co się z nimi stało, ale jedno było pewne, nie znajdowali się już między żywymi.

- Weźcie broń - rozkazał im Evan i pierwszy z żelaznych wojowników się poruszył.

Coverfly przelknął ślinę i instynktownie cofnął się o krok, tak jak i wszyscy pozostali. Jeśli wcześniej targali nim jeszcze jakieś wątpliwości, teraz miał przed oczami najlepszy dowód na to, że magia zaiste powróciła. Igły mogły jeszcze być artefaktami z przeszłości, ale to... Grigor Evan był bez wątpienia czarodziejem. Coverfly już wiedział, skąd się brała pewność siebie młodzieńca. Z rzeczy straszniejszych, niż on sam byłby sobie w stanie wyobrazić.

Zafascynowany dalej śledził nieprawdopodobne widowisko. Po pancernych wojownikach oczekiwał ociężałości i niezgrabności ruchów, tymczasem przypominali raczej olbrzymie tygrysy - poruszali się płynnie, a w każdym ruchu czaiła się groźba szybkości i siły. Olbrzymy spełniły rozkaz swego pana i znów zastygły w bezruchu. Ognie, o których wszyscy wydawali się zapomnieć, przygasty i było teraz widać wyraźnie, że z wnętrza hełmów rzeczywiście biła jakaś tajemnicza jasność.

- Idźcie ich tropem i zabijcie wszystkich i wszystko w promieniu pięciu kilometrów od swego celu - wydał kolejny rozkaz Evan.

Bez najmniejszego zawahania, bez żadnej zwłoki, jak tylko wybrzmiały słowa czarodzieja, żelaźni wojownicy obrócili się na piętach w tym samym kierunku i długimi krokami ruszyli w ciemność. Jeden z nich stanął przy tym nogą w ognisku, ale nijak na ten fakt nie zareagował. Była to demonstracja siły czy też po prostu ogień znajdował się poza spektrum percepcji? Jak

nic nieznaczący otoczek na drodze, który się omija bez zwrócenia uwagi... Z rozmyślań wyrwało barona pojawienie się czarodzieja. W jakiś sposób Evan zdołał go wypatrzeć wśród gapiów, ale nie komentował tego w żaden sposób. Wyglądał na zadowolonego ze swojej pracy.

- Chodźmy do środka czegoś się napić. Zgłodniałem i jest mi zimno. To ze zmęczenia.

Coverfly kiwnął głową i bez słowa zawrócił w kierunku domostwa, które obrał na swoją kwaterę. Czarodziej ruszył za nim. Wewnątrz baron bez zwłoki nalał sobie pełen kielich wina, pomimo iż wiedział, że rano będzie tego żałować. Siadł na niewygodnym krześle i wyciągnął nogi na stół. Lekkie jeździeckie buty już dawno zamienił na bardziej wytrzymałe, do podróżowania pieszo. Kwestie mody, kariera, to wszystko zostało daleko poza linią piasków pustyni. Tutaj i teraz szło już tylko o przetrwanie jego, jego ludzi i młodego czarodzieja, który z szerokim uśmiechem zasiadł po drugiej stronie stołu.

- Patrzycie na mnie z obrzydzeniem - przerwał wreszcie ciszę Evan.

- A nie powinienem? - Coverfly wzruszył ramionami. - Wojna z natury swojej jest okrutna, ale ma swoje reguły. Tymczasem wyście właśnie nie tylko dla czarów zabili cywilów, ale w dodatku cywilów, którzy nie byli naszymi wrogami. Mało tego, gdybym wam tylko na to pozwolił, to samo gotowicie uczynić z moimi własnymi ludźmi.

Evan nie zaprzeczył. Ku zaskoczeniu barona z poważnym wyrazem twarzy przytaknął wręcz, jakby się z nim zgadzał.

- Nie zamierzam twierdzić, że całe to gadanie o prowadzeniu wojny w sposób cywilizowany to tylko takie pieprzenie.

Czarodziej ostatnie słowo zaakcentował szczególnie, przez co Coverfly zaczął mu się bacznie przyglądać. Do tej pory Evan wysławiał się niezwykle poprawnie, a do tego prawie nigdy nie zdradzał się ze swymi poglądami na żadne kwestie niezwiązane z magią.



- Ilu straciliśmy ludzi od momentu, kiedy zapuściliśmy się w to koszmarnie piekło? - zapytał czarodziej.

- Dziesięciu - odpowiedział mu zgodnie z prawdą Coverfly. - Pięciu otruło się tutaj, jeden chłop spadł z wozu i przejechało po nim koło i do tego jest jeszcze zwiad, który nam się zawieruszył. A ponieważ nie wrócili w ciągu trzech dni, to możemy ich raczej uznać za martwych.

- Gdybyście na początku dali mi tych ludzi, zaoszczędziłoby to wam życie siedmiu kolejnych - stwierdził Evan. - Z drugiej jednak strony, to się nawet dobrze złożyło, że udało mi się zmienić czar i w miejsce jednego silnego człowieka użyć dwóch o słabszej sile życiowej. Wydaje mi się, że dzięki temu moi wojownicy okazali się silniejsi, a zaklęcie mocniejsze.

- Do tego przecież nie można podchodzić w ten sposób! - wybuchł Coverfly. - Nie da się tak przeliczać śmierci za śmierć. Przecież liczy się jeszcze, jak się umiera! Mogę wysłać ludzi do ataku, gdzie będą ginąć setkami, ale nigdy nie zgodzę się na to, aby choć jednego poświęcić na to wasze... - Już chciał powiedzieć „kuglarstwo”, ale powstrzymał się w ostatniej chwili. W świetle ostatnich wydarzeń było przecież jasne, że o żadnym kuglarstwie nie mogło być mowy. - Na to wasze czarowanie.

- Czasy się zmieniają, sire. - Evan nie krył drwiny. - Przeżyją tylko ci, którzy się zdołają przystosować. Nawet też nie. Przeżyją ci spośród przystosowanych, którzy będą mieli szczęście. Nie uwierzylibyście, gdybyście wiedzieli, ile osób łamie sobie głowy nad tym, jak będzie wyglądać następna wielka wojna. Moi trzej wojownicy to jedynie drobny przedsmak.

Była to wizja, która baronowi wcale nie przypadła do gustu. Lubił o sobie myśleć jako o szczupaku, który najlepiej czuje się w wodzie walki. Jednak kiedy wyobraził sobie więcej takich Evanów, czuł, jak ze szczupaka zmienia się w małą brzanę.

- W jaki sposób ci żelaźni wojownicy odnajdą naszych nieprzyjaciół? - Postanowił skierować rozmowę na bardziej przyziemne kwestie.

- Są dostrojeni do wodnych igieł, które podarowałem

Trimitriemu. Odnajdą je bez najmniejszego problemu.

- I zabiją wszystko w promieniu pięciu kilometrów - uzupełnił za niego Coverfly. Rozkaz czarodzieja zapamiętał bardzo dobrze.

- Dokładnie tak. W cywilizowanych okolicach musiałbym, ma się rozumieć, być znacznie dokładniejszy. Nie wiem dokładnie, czy Jeźdźcy złodziejów Gwiazdy zdołali już dopaść, ale na ile wyczuwam Gwiazdę oraz Czarnych Jeźdźców, są bardzo blisko siebie.

- A gdybyśmy przez przypadek sami znaleźli się w tym pięciokilometrowym promieniu? - dążył dalej Coverfly. - Wszak twierdzicie, że wyczuwacie pozycję Gwiazdy, tylko kiedy jest w ruchu, a w tej chwili przecież nie jest.

- Według waszych zwiadowców się przecież nie znajdujemy. Czy jednak? - spytał Evan ostro, na moment jakby tracąc nieco ze swej pewności siebie.

- Nie, nie znajdujemy - uspokoił go Coverfly. - Jednak gdyby tak się stało, nas wyróżniłby również - dopowiedział sobie, słusznie wnioskując z gwałtownej reakcji czarodzieja.

- To prawda - przyznał już spokojniejszy Evan. - A do tego, zapewniam was, pokonać ich nie jest łatwo. I jeszcze jedno. Kiedy zażyczyłem sobie tych więźniów, wiedzieliście dobrze, że nic dobrego ich nie czeka, a jednak mimo to mi ich wydaliście. A w związku z tym... Na ile jesteście tak naprawdę lepsi ode mnie, hę?

Czarodziej napił się wina. Wyglądał równie spokojnie, jak na samym początku tej dyskusji.



Skrzypiały osie, grzechotały koła. Mozolne dźwięki odbijały się ponuro od okolicznych ciemnych skał na równi z gorącym powietrzem, które dodatkowo potęgowało lejący się z nieba słoneczny żar. Koharow rozejrzał się po powłóczących nogą za nogą ludziach i napotkał spojrzenie Sierżanta.

- Niektórzy długo już nie pociągną - stwierdził były żołnierz. Koharow tylko skinął.

Wiele osób kroczyło zgarbionych ciężko ku ziemi, niektórzy zataczali się przy tym z boku na bok - nieomylny znak, że jeszcze chwila i po prostu padną. Koharow wypluł kamyk, który ssał w ustach, żeby choć na chwilę oszukać pragnienie. Był osobiście odpowiedzialny za racjonowanie wody. W ciągu dnia pić pozwolono tylko kobietom i dzieciom. Pozostali otrzymywali pieczołowicie odmierzane porcje jedynie przy zachodzie słońca i potem raz jeszcze, niedługo przed wschodem. Koharow, myśląc o tym, aż pokręcił głową. Oszczędzał wodę za każdą cenę, ale jaki był w tym sens? Czy to nie zwyczajna podłość? Zgadzał się z Bakłym i sam bez wahania wyruszył z nim w podróż bez powrotu, jednak tym samym skazał przecież na śmierć dziesiątki kobiet i dzieci, mężczyzn nawet nie liczył. Pocieszał się jedynie tym, że przecież gdyby pozostali w oazie, zginęliby niechybnie i tak. Albo zabiliby ich Czarni Jeźdźcy, albo, jak przekonywał go Bakły, zamęczyli cesarscy. A co, jeśli nie? A co, gdyby i Czerwona Gwiazda okazała się nie aż tak potężna, jak się wydawało? Tylko że teraz nie było już co gdybać. Decyzję podjął, nie było odwrotu, a konsekwencje trzeba ponieść.

Idący przed nim mężczyzna z tobołkiem potknął się i przewrócił. Trochę to trwało, zanim znów zdołał stanąć na nogi.

Piekielna suchość, pragnienie, spalona skóra, język klejący się do podniebienia. Długo już tak nie dadzą rady, to oczywiste. Koharow zatrzymał się i poczekał, aż dogoni go koniec karawany. Pochód grupy zapuszczającej się wciąż głębiej i głębiej w Pustynię Gutawską zamykał Bakły. Wielki mężczyzna kroczył swym niezmiennym tempem, schowany w grubym kożuchu, z krótko ostrzyżoną głową ocienioną rondem kapelusza.

- Ludzie już dalej nie mogą - powiedział wprost Koharow, gdy znalazł się z Bakłym ramię w ramię.

- Zajmę się tymi, co zostaną z tyłu - odpowiedział tamten spokojnie.

Koharow zauważył, że kawałek przed Bakłym maszeruje chłopak, którego widział nad mogiłą jego ojca. Nie do końca rozumiał dziwną więź, jaka się między tymi dwoma wytworzyła.

Prawdę powiedziawszy, wcześniej nie dostrzegł, żeby trzymali się razem, aż do teraz, kiedy chłopak wyraźnie maszerował z tyłu karawany, za to w pobliżu Baklego.

- I co, poczekacie do zmierzchu i dogonicie nas, jak już się ściemni? - Koharowa zaskoczyło, że w tym ponurym mężczyźnie, który czasem aż nie przypominał w niczym człowieka, tliły się jednak jakieś ludzkie odruchy.

- Nie. Załatwię to bezboleśnie.

Koharow przełknął ślinę. Nie próbował ukrywać zdegustowania, obrzydzenia wręcz.

- Czarni Jeźdźcy depczą nam po piętach - powiedział Bakly spokojnie. - Jakie szanse będą mieli ci, co zostaną z tyłu?

- No to się zatrzymajmy! - Gdyby nie wysuszone na wiór gardło, Koharow wrzasnąłby z całej piersi. Tymczasem jedyne, co wydobyło mu się z gardła, to głośnawy skrzek.

- My mamy wodę, oni nie. Z każdym krokiem coraz bardziej pozbawiamy ich możliwości powrotu. Będą rozpaczliwie potrzebować naszej wody, do tego stopnia, że kiedy wreszcie zaatakują, będą zdesperowani, rozkojarzeni. Będzie nam o wiele łatwiej się ich pozbyć. Potem nie będziemy musieli tak się już spieszyć. O ile nie goni nas ktoś jeszcze - wyjął swój plan Bakly.

Koharow chciał dodać, że skoro i tak popełniają samobójstwo, to po co to rozwlekać, ale właśnie zrównali się z młodą dziewczyną w szarym habicie i twarzą skrytą pod kapturem, która zatoczyła się, a potem przystanąła, aby złapać oddech. Z ramienia zsunął jej się tobołek, który niosła. Była za stara na to, aby jechać na wozie, i wciąż za młoda, aby wytrzymać tyle, co dorośli. Stała teraz, wpatrując się tępo w pustkę, i zupełnie tego nieświadoma, kiwała się powoli w przód i w tył. Nowy znajomy Baklego podbiegł do dziewczyny, zarzucił sobie tobołek na plecy i wziął ją za rękę. Odwrócił się na chwilę i spojrzał na Baklego niezwykle poważnym spojrzeniem.

- Chodź albo cię zabije - powiedział i zmusił dziewczynę, żeby ruszyła z miejsca. W jego głosie nie było groźby, nie było

nienawiści, a jedynie sucha informacja.

Logika Baklego przerażała. Koharow ją rozumiał, ale i tak przerażała.

Kontynuowali swą wędrówkę. Rozciągająca się wokół nich ponura pustynia była tak rozpalona, że już i chodzenie po niej sprawiało ból. Koharow sam teraz trzymał się nieco z tyłu, aby w razie potrzeby pomóc dziewczynie czy w ogóle komukolwiek, kto zacząłby odstawać. Nie chciał dać Baklemu okazji do wprowadzenia swojego postanowienia w życie. Na parę chwil przyłączył się do niego Sierżant.

- Zaraz zaczną padać jak muchy - warknął.

Koharowowi zajęło dobrą chwilę, zanim zdołał mu odpowiedzieć. Musiał najpierw zebrać w ustach wystarczająco śliny, żeby choć trochę zwilżyć gardło.

- Sam mam dość. Wspomniałeś, że kiedyś walczyłeś przeciw Baklemu - zagaił.

Kiedyś, gdzieś... Na pewno gdzieś, gdzie było pod dostatkiem wody, a czaszki nie przewiercał żar lejący się z nieba. Koharowowi wydawało się, że zostało mu już tylko tyle życia, żeby wysłuchać tej jednej opowieści. Sierżant skinął głową, otworzył usta, ale natychmiast znów je zamknął. To było jak łykanie rozżarzonych węgli. Jar, którym szli, był w tym miejscu głębszy. Wznoszące się nad nimi, czerwone od wysokiej zawartości żelaza ściany były niczym rozpalone do białości płyty kuchenne zmieniające upał w nieomal widocznego nieprzyjaciela, który wgrzyzał się głęboko w ciało, wysysał z niego wodę, zmieniał krew w gęstą galaretę. Po kilkuset metrach albo trochę odpuściło, albo się nieco przyzwyczaili.

- Należałem wtedy do oddziału ciężkiej piechoty cesarskiej - rozpoczął swą historię Sierżant. - Do Wilków, to taki elitarny oddział. Wpadliśmy na siebie na ziemiach barona Coglia - ciągnął dalej po krótkiej przerwie, kiedy musieli pomóc wozom na stromiźnie. Pozostali starali się przy tym złapać choć trochę oddechu. - Miał ze sobą czarodzieja, który tak go przysposobił jakimś czarem, że żelazo zupełnie się go nie imało.

Wóz utknął w jakimś dole. Na początku ciągnęły go dwa woły, ale jedno ze zwierząt nie wytrzymało podróży. Sierżant zajął pozycję przy wozie, poczekał, aż Koharow pójdzie w jego ślady, po czym z pomocą dwóch kolejnych mężczyzn uwolnili koło i naprowadzili wóz na równiejszy teren. Niedaleko przed nimi tak samo męczyli się z drugim wozem najemnicy Craiga. Nikogo nie trzeba już było namawiać do tego, żeby pilnować wody jak oka w głowie.

- Gołymi rękoma nas porozrywał. Nie wiem, ilu wtedy chłopca zabił. Dwudziestu, trzydziestu, pięćdziesięciu... Naprawdę nie mam pojęcia. Zostałem ja i dwunastu moich ludzi. Dowódca uciekł i wyszło tak, że nagle nie widzieliśmy sensu w kontynuowaniu tej rzezi - podjął dalej Sierżant.

Koharow z zaskoczeniem zauważył, że żołnierz delikatnie uśmiecha się do tych wspomnień.

- No i tak zostaliśmy z Bakłym. Zaoferował nam, żebyśmy pracowali dla takiego samego gościa jak on.

Koharow przez chwilę trawił to, co usłyszał. Gołymi rękoma zabił pięćdziesięciu cesarskich żołnierzy?

- W oazie postawiłem mu się z pięcioma moimi ludźmi - powiedział tylko.

- Wiem, widziałem was. - Sierżant wzruszył ramionami. - Twoja decyzja, ja tam się innym z buciarami nie pcham w postanowienia.

Zagrzechotały kamienie, ktoś musiał się potknąć lub pośliznąć. Koharow uniósł wzrok i zobaczył, że był to ów chłopak, którego ojca Bakły zabił w oazie. Niesione przez niego brzemie musiało się okazać ponad jego siły. Wydawało mu się, że inni też musieli dosłyszeć ten dźwięk, wiedzieć, co oznacza, jednak nie zatrzymał się nikt, nikt się nawet nie obejrzał. Wszyscy snuli się tępo przed siebie, bardziej duchy niż żywi ludzie.

Bakły zrównał się z leżącym na ziemi z zamkniętymi oczami chłopakiem, zatrzymał się i przez kilka chwil mu się przyglądał.

- Rozbijemy tu obóz - oznajmił. Nie był to głośno wydany rozkaz, a jednak w okamgnieniu ucichły kroki i skrzypienie kół

wozów.

- Miejsce na obóz nie jest najlepsze - ocenił Koharow, kiedy rozejrzał się po okolicy. Same ściany może i nie były już tak strome, jednak wokół roilo się wręcz od porzrzuconych wielkich głazów, które potencjalnie mogły zapewnić doskonałą osłonę i pozwalały nieprzyjacielowi na podejście do obozu niezauważonym.

- Proponujesz więc, żebyśmy szli dalej? - spytał Bakly spokojnie.

Koharow rozejrzał się po ludziach. Wszyscy byli krańcowo wycieńczeni, siedzieli i leżeli tam, gdzie się zatrzymali. Pokręcił głową.

- Miejsce na obóz jest wyśmienite.

I tak umrą. Co za różnica, gdzie?



Zanim wyгнаńcy z oazy z wielką wprawą porozpinali swoje proste plecione daszki, które miały im zapewnić iluzję bezpieczeństwa i przynajmniej na początku wieczora cień, Koharow wybrał strategiczne punkty i umieścił w nich strażę. Craig, przedkładając własną wygodę nad obowiązki, zezwolił swoim ludziom oddalić się na spoczynek. Widać wydawało mu się to niemożliwe, aby ktokolwiek zechciał ścigać ich aż tak daleko.

Bakly przeszedł się po okolicy i wrócił do wozu, przy którym co wieczór odbywali naradę. Pozostali śledzili z napięciem tarczę słoneczną coraz niżej zwieszającą się nad horyzontem. Nie mogli się doczekać tego, o czym myśleli przez cały dzień - przydziału wody.

- Kiedy nas w takim razie zaatakują? - spytał Sierżant, zrzucając z wozu na ziemię wielką skórzaną torbę.

- Nad ranem - odpowiedział Koharow w zamyśleniu. - Przez to, że jadą konno i bez obciążenia, mogą sobie pozwolić na dłuższe popasy. Myślę, że dogonią nas jeszcze dziś w nocy, a napadną o świcie. Dużo wody im nie zostało.

- Ciekawi mnie bardzo, czego oni od was tak naprawdę chcą - Craig zwrócił się do Baklego. - Taka wyprawa w pustynię to nie przechadzka różanym sadem. To musi być coś naprawdę niezwykle ważnego.

- Nająłem was, żebyście zapewнили nam eskortę do Wotty, o pięć dalszych dni drogi stąd. Nic więcej i nic mniej. Wywiążcie się, a pieniądze są wasze.

Craig uniósł ręce w ugodowym geście. Koharow spojrzał na Sierżanta, ale nie odezwał się ani słowem. Jutro koło południa powinni minąć punkt bez powrotu. Zapasy wody, jakie przy sobie mieli, nie wystarczą już potem, aby wrócić. Jeszcze dziś daliby radę. Nawet gdyby co słabsi nie wytrzymali tak drakońskiego racjonowania wody. Większość by się jednak uratowała. Większość miałaby szansę przeżyć. Wahał się jednak tylko przez bardzo krótką chwilę. Pomyślał zaraz o niszczącej sile Czerwonej Gwiazdy, o Czarnych Jeźdźcach, o imperialnym wojsku i nie powiedział nic.

Tymczasem Sierżant zaczął rozwijać swój tobolek: stalowe naramienniki, rękawice, tarczę i hełm. Ukrytej pod luźnym chałatem nieokreślonej barwy kolczugi nie zdejmował nigdy, nawet w największy upał.

- Zamierzacie w tym spać? - zapytał drwiąco Craig.

- Nie, ale chcę je mieć pod ręką na wypadek pośpiechu - odpowiedział mu spokojnie żołnierz.

Koharow w duchu się z nim zgodził. Sam co prawda zbroi nie nosił, lecz planował przygotować się na noc podobnie.

- Jak to jest, że oni mogą podróżować konno? Zawsze mi się wydawało, że tak daleko na pustyni nie da rady wytrzymać - zmienił temat Craig.

Koharow popatrzył na swoich towarzyszy, ale nikt inny nie kwapił się z odpowiedzią.

- Trimitri kiedyś hodował konie. Sprowadzał nawet specjalne rasy z Południa, żeby uzyskać takie zwierzęta, które są w stanie wytrzymać żar lepiej niż jakiegokolwiek inne.

- Czyli że całą tę okolicę trzyma w szachu zwykły koniarz -

uśmiechnął się Craig.

- Dokładnie tak, szalony koniarz - przytaknął mu Koharow bez uśmiechu, zastanawiając się równocześnie, czy najemnik, którego upokorzył w oazie, zdołał już o tym zapomnieć. Najprawdopodobniej nie.

Więcej nikomu już się gadać nie chciało, siedzieli więc w milczeniu, jedli i rozkoszowali się swoim przydziałem wody. Po zakończeniu nieformalnej narady Craig wstał i zamierzał wrócić do swoich ludzi, kiedy nagle rozległ się gwizd pustynnego susła. Koharow zerwał się na równe nogi; widząc to, poderwał się również Sierżant. Te susły umiały przeżyć prawie wszędzie. A skoro tak, to może tutaj też, w każdym razie Koharow miał taką nadzieję, kiedy wybierał ten właśnie dźwięk jako sygnał straży.

- Są tu - skonstatował.

Licząc się z dużym prawdopodobieństwem napadu, rozmieścił swoje czujki dalej od obozu niż zazwyczaj. Dzięki temu mieli więcej czasu na zorganizowanie obrony. Z drugiej jednak strony wystawiało to jego ludzi na znacznie większe ryzyko.

Bakły uniósł się z ziemi.

- Wszystko według wcześniejszego planu. Koharow i jego ludzie polują, Craig i najemnicy tworzą dwa kręgi ochronne. Ten zewnętrzny musi być wysunięty na tyle, żeby z tych swoich krótkich luków musieli mierzyć mocno w górę. Ja z cywilami stanowimy ostatnią linię obrony wody.

- Ruszamy!

- Kobiety i dzieci pod wozy - zawołał Koharow. - Wróg się zbliża! Dalej, chłopcy, zaciągać płachty na wozy!

- Pewni jesteście, że wystarczy wam ten kozik? - Craig z niedowierzaniem wskazał katzbalger Baklego, zapinając w pośpiechu skórzaną kamizelę zbrojoną metalowymi lamelkami. Koharow nie czekał, aż padnie odpowiedź. Skulił się, prześliznął pod wozem i ruszył na południowy zachód. Biegł szybko, schylony nisko przy ziemi. Za każdym razem kiedy nierówności terenu dawały mu choć trochę osłony, zatrzymywał się, kontrolował sytuację, po czym równie ostrożnie ruszał znów

przed siebie. Z boku, o jakieś dziesięć metrów dalej, dostrzegł Sierżanta biegnącego równoległe z nim. Zdołali pokonać niecałych sto metrów, kiedy zabrzmiał kolejny umówiony sygnał. Jeźdźcy zrównali się z pierwszą linią czujek.

Koharow znał taktykę Trimitriego lepiej niż ktokolwiek inny. Uczył się jej, śledząc, wnikliwie badając pozostałości po napadniętych karawanach, przepytując tych nielicznych, którzy jakimś cudem zdołali się z owych ataków uratować. Czarni Jeźdźcy podchodzili cicho, likwidowali czaty, a potem z niewielkiej odległości i ukrycia prowadzili precyzyjny ostrzał tak długo, aż udało im się zniszczyć zapasy wody. Potem wystarczyło już tylko poczekać, aż ofiary zdziesiątkuje pragnienie, i bez zbędnego ryzyka zgarnąć zdobycz. A dzięki swoim makabrycznym sposobom pozyskiwania wody z ciał tej również mieli pod dostatkiem.

Tym razem na ich niekorzyść zagrało kilka czynników. Po pierwsze, obecność eskorty złożonej z ludzi Koharowa i najemników Craiga. Po drugie, fakt, że byli oczekiwani. I właśnie przez to, na swoje nieszczęście, nie zdołali dostać się wystarczająco blisko. Zazgrzytał żwir. Koharow momentalnie padł na ziemię, po czym ostrożnie wyjrzał zza kamienia. Trzech mężczyzn z obnażonymi mieczami w rękach zbliżało się ku obozowi, jeden z nich miał dodatkowo na ramieniu łuk. Uśmiechnął się tylko. Wysunięta czujka roztropnie dała im przejść obok siebie, przez co napastnicy w dalszym ciągu wierzyli, iż nikt o ich obecności nie wiedział. Koharow pomyślał, że on już im nie odpuści. Przyszedł czas na łowy i jedynie to się liczyło. Tak jak szli, musieli go minąć w zbyt wielkim oddaleniu, aby zdołał zaatakować ich z zaskoczenia, jednak szybko zorientował się, że potencjalnie potrafi przemieścić się tak, aby znaleźć się za ich plecami. Nawet pozycja słońca wydawała się mu sprzyjać. Co prawda trzech na jednego nie było może idealnym stosunkiem sił, ale nie zamierzał rezygnować ze sposobności. Za bardzo tych bydlaków nienawidził.

Ostrożnie, nie za wolno, ale i nie za szybko, ruszył przed siebie,

wykorzystując wszystkie swoje umiejętności i doświadczenie. Niezauważony znalazł się tuż za plecami bandytów. Sami też byli ostrożni, jednak całą swą uwagę skupiali na tym, co się działo z przodu. Jeszcze ostatnie metry i udzieli im nieoczekiwanej oraz zabójczej lekcji. Jeden krok, drugi, trzeci... W miejscu, wydawałoby się, idealnym do odbicia leżało na ziemi coś, czego tam być nie powinno. Zachrząściło - skoczył. Tego w środku ciała przez plecy, ale zamiast drugiego zaplanowanego uderzenia musiał już wyprowadzić zasłonę, która w ostatniej chwili ocaliła mu skórę po błyskawicznej reakcji napastnika po prawej. Liczył na możliwość zadania ciosu sztyletem, jednak tamten okazał się szybszy, niż Koharow oczekiwał. Już wiedział, że dosięgnie go ostrze. Konsekwentnie dokończył instynktownie wyprowadzony kontratak i z zaciśniętymi zębami oczekiwał na cios, jednak w tym momencie z najmniej spodziewanej strony wyskoczył jakiś cień, ktoś stęknął i opadające ostrze uderzyło go samym bezwładem, nie wyrządzając szkody. Mężczyzna w ciemnym płaszczu skulił się i padł na ziemię, zza niego wyłoniła się sylwetka Sierżanta.

- Bierzysz to bardzo osobiście, jak widzę - skonstatował. - Rzucić się samojeden na trzech...

- Mają luki i są gotowi do ataku - syknął wymijająco Koharow. - Musimy zrobić wszystko, aby do samego obozu przedostało się ich jak najmniej.

Zanim skończył mówić, obaj już leżeli płasko na ziemi, a o kamień tuż obok roztrzaskał się grot strzały. Sierżant skoczył. Łucznik zdołał naciągnąć i wypuścić kolejną strzałę, ale trafił jedynie w tarczę. Ułamek sekundy później leżał na ziemi martwy.

- Cztery. - Koharow uśmiechnął się. Twarz, mokrą od krwi i potu, oblepiał mu piach. - Nieźle jak na początek.

- Tam są! Tam są! - rozległo się od obozu, zadźwięczały miecze.

- Czujka! - syknął ktoś za skalnym załomem.

Bez słowa porozumienia skoczyli obaj tam, skąd dobiegł ich głos.

Niestety, spóźnili się. Kiedy dotarli na miejsce, zobaczyli, że ich człowiek ukryty na swym posterunku nie zdołał obronić się przed dwoma przeciwnikami. Znaleźli go leżącego na ziemi. Z głębokiej rany tryskała krew. Koharow przeszedł płynnie z biegu do wypadu zakończonemu wślizgiem. Przeciwnik przytomnie się zasłonił, ale nie spodziewał się sztyletu. Sierżant swojego najpierw uderzył tarczą, a potem błyskawicznie ciał w szyję.

- Nie ma to jak przyzwoita wybitka! - Wyszczерzył zęby w uśmiechu.

Tymczasem od strony schowanego za skałami obozu dobiegły ich pierwsze krzyki.

- Sześciu dostaliśmy, ale główne siły musiały nadciągnąć z innej strony. Trimitri nie ma więcej niż jakichś trzydziestu ludzi, a kilku zdążyliśmy mu już uszczknąć poprzednio. Nie oczekiwałbym frontalnego ataku w takiej sytuacji.

Na przekór jego słowom bitewny zgiełk tylko się wzmógł.

- Wracajmy.

W chwili kiedy wyrzekł te słowa, Koharow uświadomił sobie nagle, że nie będzie to takie łatwe. Pustynia wokół nich wcale nie była już pusta.

- Błąd.

Koharow sam nigdy tego głosu nie słyszał, ale wiele osób mu go opisywało. Zgrzytliwy jak przeciąganie oselką po ostrzu. Odwrócił się, na wpół oczekując, że za chwilę pośle go na ziemię strzała.

Wynurzyli się jakby znikąd. Trimitri i jego bandyci. Każdy miał twarz zakrytą chustą, a na czoło naciągnięte plecione czapki, tak że widać było jedynie wąski skrawek skóry wokół oczu. Ubranie Trimitriego było o odcień ciemniejsze od pozostałych, w lewej ręce trzymał szablę. Mniej zakrzywioną niż typowa, za to o znacznie szerszym i obustronnie ostrzonym piórze. Koharow poczuł, jak stają mu wszystkie włoski na karku, a wnętrzności zaciskają się w ciasny węzeł.

- Skoro ma około trzydziestu gamoni, z których myśmy położyli tutaj sześciu, a wcześniej jeszcze około dziesięciu, to kim w takim

razie są tamci łachmyci? A do tego z Craiga może i jest bydlę, ale bydlę, które potrafi się bić, jednak wnioskuje po tym rabaniu, łatwo w tej chwili nie ma. No więc coś tu nie gra... - kalkulował Sierżant spokojnie, jakby w ogóle nie zwracał uwagi na otaczających ich nieprzyjaciół.

- Sposrzegawczy jesteś, żołnierzu - powiedział Trimitri.

Ten człowiek naprawdę jest szalony, pomyślał Koharow. W jego głosie nie dało się wyczuć ani cienia emocji. Nie dlatego, że je skrywał, on ich po prostu nie miał. Mówił podobnie jak Bakly, nawet jeśli nie... Dał sobie spokój z dywagacjami i ocenił przeciwników. Nie mieli przy sobie łuków, więc przynajmniej paru zabiorą ze sobą na tamten świat.

Trimitri przewiercał go ciemnymi oczami i Koharow nie pozostawał mu dłużny. Napięcie pomiędzy nimi stało się tak intensywne, że dwóch ludzi stojących najbliżej przywódcy bandytów cofnęło się o krok.

- Pierwsza próba pozbycia się was nie powiodła się, widać rzeczywiście jesteś tak przebiegły, jak się o tobie mówi, Koharow. Kto wie, może nawet jesteś lepszym wojownikiem, niż mówią, ale znowu nie aż tak wiele.

- To tam umierają twoi ludzie, a ty tu sobie z nami pogawędki uczinasz? - wszedł mu w słowo Sierżant. Tarczę trzymał na wprost wzniesioną, miecz w opuszczonej ręce, skierowany ostrzem w dół. Nie dawał po sobie poznać, jak zachowa się w następnej sekundzie.

- To tylko banda tanich, wynajętych głupców, która połakomiła się na perspektywę łatwej zdobyczy. Myśleli, że będą mogli zostać Czarnymi Jeźdźcami Trimitriego - powiedział przywódca bandytów pogardliwie. - Ich jedynym zadaniem jest nadszarpnąć waszą obronę i samemu się przy tym wykrwawić.

- Jest ich ledwie trzydziestu i nie mają łuków. Będą się musieli ostro napracować, żeby nam choć trochę zaleźć za skórę. - Sierżant uśmiechnął się. - Chociaż z drugiej strony, wyglądają dość fajłapowato, więc pewnie i na to nie mają co liczyć.

- Tak głęboko w pustyni wytrzymałe tylko jeden łuk na

dwadzieścia, trzydzieści nawet. Klimat nie sprzyja. Przez to, że jest tak gorąco i sucho, łamią się po prostu. Ciężkiw znoszą to jeszcze gorzej - wyjaśnił Koharow, nie spuszczać oczu z Trimitriego.

- To co, loimy ich? Co tak będziemy czas marnować...



Bakly stał pomiędzy dwoma wozami i przyglądał się walce. Najemnicy Craiga dość szybko zdołali prawie na całej linii odepchnąć napastników dalej od obozu. Mimo to kilka strzał dosięgło wozów, przeszło ochronne płachty i zdołało przebić bukłaki z wodą. Mężczyźni i kobiety z oazy, nie bacząc na własne bezpieczeństwo, natychmiast przyskoczyli, próbując uratować każdy uciekający litr. Radzili sobie nieźle i Bakly nie widział powodu, aby im się do tego mieszać. W pewnym momencie dostrzegł, jak jeden z najemników zapuścił się odrobinę za daleko i padł pod ciosem jednego z Czarnych Jeźdźców. Ten natychmiast zaczął energicznie gestykulować na kogoś i po chwili Bakly ujrzał, jak z góry schodzi mężczyzna z wielkim worem na plecach. Bakly rozejrzał się bacznie. Wyglądało na to, że sytuacja jest pod kontrolą, a gdyby nawet coś się miało zmienić, to przecież nie będzie daleko.

- Jakby się tu zbliżyli jacyś dalsi bandyci, krzyknij na mnie, dobra? - poinstruował chłopaka, który siedział kawałek dalej, schowany za kołem od wozu.

- Rozumiem.

Bakly skinął głową i wybierając jak najkrótszą drogę, ruszył pod górę. Nikt nie zwracał na niego uwagi, wszyscy mieli pod dostatkiem własnych problemów. Dwaj Jeźdźcy byli tak zajęci swoją robotą, że w ogóle jego nadejścia nie zauważyli. Ciało zabitego położyli nieco wyżej na kamieniu, a w jego brzuch wbili połyskującą srebrzyście igłę. Z igły coś ciekło i obaj pochyłili się, to pijąc łąpczywie, to chwytając, co wyciekło, do owego wora, który okazał się po prostu dużym bukłakiem.

Dopiero z bliska do Baklego dotarło, co tak naprawdę się tam

działo.

- Coś mi się wydaje, młodzieńcy, że ta woda nam będzie bardziej potrzebna - powiedział tylko.



Koharow czuł, jak po lewym przedramieniu ścieka mu krew. Mnóstwo krwi. Mięśnie ręki w dalszym ciągu go jeszcze słuchały, ale wiedział, że nie potrwa to już długo. Na ziemi przed nim leżał trup, drugi napastnik odkuśtykał właśnie z głęboką raną uda. Pierwszy atak zdołali odeprzeć.

- Osiem - wycedził Sierżant. - Powiedziałbym, że takich trzech, jak nas dwóch...

- Już długo nie wytrzymam - wszedł mu w słowo Koharow.

- No to zakończmy to przedstawienie w wielkim stylu. - Sierżant pokiwał głową.

Błyskawicznie odskoczył od solidnych rozmiarów głazu, który chronił im plecy, naparł tarczą na jednego z przeciwników, a równocześnie z zaskoczenia bódł mieczem w jego towarzysza. Koharow dostrzegł ten manewr i zanim jeszcze śmiertelny cios sięgnął celu, skoczył, wykorzystując zasłonę, jaką dał mu umierający Jeździec, i sam dźgnął, raniąc kolejnego w ramię. Po czym obaj z Sierżantem znów stali plecami do skały. Bandyci, widząc, jak błyskawicznie przerzedziła się ich linia, stracili nieco na animuszu.

- Dziewięć - skostatował Sierżant. W jego głosie słychać było, że pogodził się z faktem, iż nic już nie mają do stracenia.

Koharow zaatakował niskim, długim wypadem. Nie zwracał sobie głowy fintą, po prostu ranił przeciwnika w udo, dopadł go i dokończył dzieła sztyletem. Sam byłby martwy chwilę później, ale zanim najbliższy towarzysz zabitego zdołał wyprowadzić cios, już mu stał na drodze nadludzko szybki Sierżant.

- Dziesięć.

- Jedenaście - powiedzieli prawie równocześnie, wracając do swej obronnej pozycji wyjściowej.

- Kirg, Banes! - warknął ostro Trimitri. - Skończcie z nimi.

Reszta do tyłu.

- Dociągniemy do trzynastu? - zapytał Sierżant.

Ten chłop jest ze stali, pomyślał Koharow z uznaniem. O sobie samym nie mógł tego powiedzieć. Czuł, że sił wystarczy mu najwyżej jeszcze na jakieś dwie minuty.

- To będzie przedwczesny finał, biorąc pod uwagę, że reszta dała nogę - wycharczał.

- No, szkoda.

Ich krótka wymiana zdań nieoczekiwanie zrobiła wrażenie na Trimitrim. Krótkim gestem powstrzymał swoich ludzi.

- Nie podoba mi się, że mówią o tobie więcej niż o mnie - powiedział zgrzytliwie, patrząc przy tym na Koharowa. - Dlatego postaram się, aby po dzisiejszym dniu we wszystkich gospodach mówiło się już tylko o tym, jak skamlałeś o śmierć.

- Jak to jest, że każdy kundel zawsze tak strasznie dba o to, co o nim mówią? Tobie też już nic innego nie zostało? - szydził Koharow w odpowiedzi, nie spuszczać oka z przeciwnika. Wszystko, o czym myślał, to lekko zakrzywione ostrze z obustronnym piórem.

Zaskrzypiały kamienie. Zabrzmiało to, jakby się zbliżał cały oddział ludzi. Trimitri instynktownie uskoczył w bok, chroniący jego plecy mężczyźni obrócili się. Szybkość reakcji nie zdała im się na nic, oto nagle wyrósł nad nimi żelazny kolos wysokości dwóch dorosłych ludzi. Trzymane przez niego niezwykle długie ostrze świsnęło z nieprawdopodobną szybkością i na ziemię padły trzy martwe ciała. Jedno bez nóg, drugie przecięte w połowie, a trzecie pozbawione głowy. Koharow uświadomił sobie, że owo monstrum wywijalo jak słomką mieczem, którego normalny człowiek pewnie nawet nie dałby rady unieść. Czarni Jeźdźcy rzucili się do ucieczki, jednak zanim zdążyli się rozpiezchnąć, jeden z nich skończył przebitym wielkim ostrzem na wylot, a kolejnego żelazny wojownik dogonił w dwóch długich krokach i roztrzaskał mu głowę pięścią. Potem zatrzymał się i zaczął rozglądać za kolejnym celem. Zrezygnował z gonitwy za tymi, którzy zdołali się już nieco oddalić, i zamiast tego

skierował się w stronę grupy ludzi otaczającej Trimitriego.

- Kurwa, jaki szybki! - zaklął ktoś. Koharow ruszył w lewo, starając się obejść żelaznego kolosa z drugiej strony. Sierżant podążył za nim. Przeciwno wspólnemu wrogowi było ich teraz pięciu.

Przez chwilę nie działo się nic. Mając nieprzyjaciół z każdej strony, olbrzym jakby się nie mógł zdecydować, na kogo uderzyć w pierwszej kolejności. Nieprawdopodobnie długi miecz nagle świsnął w powietrzu i Koharow uświadomił sobie w mgnieniu oka, że zasłaniać się nie ma najmniejszego sensu, więc zamiast tego rzucił się w tył, padł na plecy i przetoczył. Trimitri wykorzystał okazję i zaatakował, ostrze szabli zadzwoniło o pancerz kolosa. Przywódca Czarnych Jeźdźców ciął na kolano, ale równie dobrze mógłby próbować rąbać zamkowe wrota.

Kolejny zamach olbrzymiego miecza i Koharow spróbował się wcisnąć w niewielką rozpadlinkę. Owionęło go zmaczone powietrze, cios odezwał się rozwibrowanym brzęczeniem. W tym samym czasie Sierżant, Trimitri i jeszcze jeden człowiek zaatakowali. Gdyby nie groza sytuacji, przez fakt, że sięgali przeciwnikowi ledwie do pasa, wyglądałoby to nieomal śmiesznie. Ostatni z Jeźdźców leżał na ziemi. Ostrze dosięgło go i pozbawiło obu nóg. Tryskająca fontanna krwi słabła już, aż wreszcie zanikła całkiem i cicho wsiąkała w piach.

- Musimy ostrzec Baklego! - krzyknął Sierżant i w ostatniej chwili zasłonił się tarczą przed uderzeniem z góry. Olbrzymia pięść posłała go jednak na kolana i tylko dzięki błyskawicznemu atakowi pozostałych dwóch bandytów zyskał wystarczająco dużo czasu, aby odturlać się na bezpieczniejszy dystans.

Koharow zdołał wreszcie stanąć na nogi. Słyszał jedynie swój chrapliwy oddech i ciężkie walenie serca. Trimitri spojrzął na swego kompana, ledwo dostrzegalnie skinął głową i wyskoczył, jednak Sierżant był szybszy i zaatakował pierwszy. Zasłonił się tarczą, ale cios był tak silny, że znów posłał go na ziemię, miecz wyfrunął z ręki. Koharow i Trimitri uderzyli równocześnie, żelazny kolos postanowił zająć się w pierwszej kolejności

Jeźdźcem. Trimitri nie zawahał się jednak, jadąc ostrzem po ostrzu, próbował sięgnąć głębiej, ale przeciwnik zbił jego atak, posyłając mężczyznę w piach. Koharow zdołał sięgnąć kolosa, lecz uderzenie ostrza jedynie zadźwięczało o pancerz, nie wyrządzając żadnej szkody. Zabójcze ostrze błyskawicznie zmieniło kierunek i niby jedynie mimochodem sięgnęło stojącego niezdecydowanie bandyty. Koharow zdołał wycofać się poza zasięg niosącej zniszczenie broni, a Trimitri w ostatniej chwili przetoczył się i uchronił przed miażdżącym tupnięciem pancерnej stopy.

Nigdy go nie pokonamy, pomyślał Koharow. Co jednak nie znaczy, że nie warto próbować. Dopiero teraz uświadomił sobie, że podczas całego starcia z żelaznym kolosem od strony obozu dobiegały ich wrzaski, jęki i trzask drewna. Nagle jednak wszystko ucichło jak nożem uciął.

Ta nienaturalna, nagła cisza zmroziła wszystkich. Nawet pancerny wojownik zatrzymał się i obrócił w stronę obozowiska, a w głębi jego hełmu wyraźnie zapulsował czerwony płomień. Koharow otrząsnął się jako pierwszy i wykorzystał okazję do śmiałego ataku. Ciął prosto w łokieć, gdzie zbroja tradycyjnie zapewnia najslabszą ochronę. Po raz pierwszy wydało mu się, że wreszcie zadał minimalne, ale zawsze szkody. Przed reakcją kolosa się jednak nie uchronił. Uderzony na odlew przeleciał kilka metrów i wylądował na ziemi, z trudem próbując złapać oddech. Był przekonany, że kolos go za chwilę wykończy. Lecz tamten w dalszym ciągu wyglądał, jakby coś go wyprowadziło z równowagi, jakby się wahał. Wreszcie podjął decyzję, pozostawił trzech wojowników ich własnemu losowi i długimi krokami skierował się w stronę obozu.

- Za nim, musimy im pomóc! - krzyknął Sierżant.

Koharow uniósł się na kolana, dostrzegł, że Trimitri poświęcił mu krótkie spojrzenie, ale ruszył zgodnie za Sierżantem. Dla niego też gra toczy się o wszystko, pomyślał Koharow, a przecież woda tu jest tylko w jednym miejscu. Po chwili wysiłku zdołał wreszcie zmusić nogi do posłuszeństwa i ruszył za nimi.



Wracali do obozu najkrótszą drogą, co oznaczało, że musieli zejść stromym, południowo-zachodnim zboczem. Żelaznego wojownika dogonili dopiero przed samym obozem, a i to jedynie dlatego, że się zatrzymał. Na dole wciąż panował spokój. Ludzie leżeli, stali i umierali tam, gdzie opadł na nich dziwny czar. Jeden z wozów został roztrzaskany na drzazgi, jakby się przezeń przewaliło pomniejsze tornado.

- Kurwa - powiedział Sierżant, kiedy zrozumiał, co ten wóz w istocie zniszczyło.

Nie było to tornado, a młot bojowy drugiego żelaznego kolosa, który z uniesioną bronią przyglądał się czemuś w dole przed nim. Trzecie monstrum stało tuż obok. Koharow początkowo nie rozumiał, dlaczego bój ustał, dlaczego wszyscy stoją niczym skamieniali. Jednak po chwili dostrzegł Baklego, który stał naprzeciw dwóch kolosów, jakby próbował nakazać im się zatrzymać. Nawet nie dobył swego katzbalgera, w starciu z takimi przeciwnikami byłby i tak całkowicie bezużyteczny. Bardziej niż kiedykolwiek wyglądał jak pokraczna karykatura człowieka. Ramiona i pierś tak szerokie, że głowa w porównaniu z nimi prawie nikła. A mimo to i tak przypominał małe dziecko stojące naprzeciw dwóch dorosłych osób.

Wraz ze zstępującym na dno doliny cieniem coraz wyraźniej było widać jarzący się w głębi hełmów płomień. Stało się jasne, że to nie jest zwykłe szacowanie przeciwnika przed walką, tu działa się coś więcej, coś niezwykłego. Koharow poczuł nagle, że coraz ciężiej mu się oddycha, jakby powietrze straciło swoje życiodajne właściwości.

- Zabiję was - powiedział wreszcie ledwo słyszalnie Bakly.

Trzy monstra popatrzyły po sobie. Może się w duchu śmieją, pomyślał Koharow. A może zadają sobie pytanie, czy on to mówi na poważnie, czy to nie jest tylko taki żart, zanim sam rzuci się do ucieczki.

Bakly wzruszył ramionami, ciężki kozuch zsunął się z jego

barków i opadł na ziemię. Człowiek kontra monstra zrodzone z magii. Człowiek? Koharow miał co do tego pewne wątpliwości. Przecież człowiek już dawno by uciekł, a przynajmniej by próbował.

Rozległ się głośny trzask i naraz Bakly trzymał w każdej ręce bojową siekiere. Ponadmetrowe toporzyska, po jednej stronie ostrze, po drugiej głowica młota bojowego, zwieńczone długim grotem. Głęboko wcięta krzywizna ostrza nadawała im wygląd dość delikatny, jednak Koharow mógłby się założyć, że jest to broń, która może znieść wszystko. Nad tym, skąd je Bakly wytrzasnął, postanowił się nie zastanawiać. Rzeczy, które tu miały miejsce, i tak już wykraczały poza wszelką normalność.

Kolosy nadal stały bez ruchu, ale Bakly postanowił nie czekać. Nie chce, żeby na niego ruszyli równocześnie, pomyślał Koharow.

- Nie możemy go puścić tam na dół, z trzema sobie na pewno nie poradzi! - krzyknął Sierżant i rzucił się od tyłu na żelaznego wojownika.

- Bo niby z dwoma sobie poradzi... - burknął do siebie Koharow.

Wielki miecz opadł, Bakly zdołał siekiere zmienić tor jego lotu i olbrzymie ostrze rozłupało leżący obok głaz. Przed kolejnym ciosem umknąć nie miał szans, blokował tylko twardo, nieludzka siła rzuciła go na kolana, ale ani o włos dalej. Przez chwilę zastygli obaj, siłując się, i Koharow odniósł wrażenie, że Bakly ze swego przeciwnika jakimś przedziwnym sposobem czerpie wręcz siłę, jakby tracił swą ludzką postać i stawał się sam bardziej jak twór z żelaza i magii. Dalej już nie czekał. Trimitri właśnie chylił się w uniku przed świszczącym mieczem i próbował podejść przeciwnika bliżej. Koharow też rzucił się do ataku.

Sierżant, Trimitri, on - on, Sierżant, Trimitri. Jakby od miesięcy trenowali razem na arenie, wspólnymi siłami starali się dobrać kolosowi do korpusu, cały czas unikając śmiertelnych ciosów. Nawet nie próbowali ich zbijać czy stawiać przeciwko nim zasłon. Każde trafienie oznaczałoby śmierć, to było jasne.

Koharow zdawał sobie sprawę, że ten morderczy taniec w nieskończoność trwać nie może. Sam szybko tracił siły i wiedział, że jeszcze chwila i zabije go albo wyczerpanie, albo utrata zwinności. Gdy zadźwięczała broń, ocknęli się i pozostali. Najemnicy szybko zorientowali się, że walczący próbują powstrzymać kolosa przed połączeniem sił z jego kompanami w obozie. Koharow z bezgraniczną wdzięcznością powitał okazję do tego, by na chwilę zwolnić i złapać wreszcie dech. Brzęknęła pękająca stal - jeden z najemników, który próbował zasłonić się przed ciosem dwuipółmetrowego miecza, przyplącił to życiem. Kawalek dalej leżał następny.

- Spróbujmy go zrzucić! - zakrzyknął Sierżant, po czym natychmiast skoczył w przód, unikając tym samym świszczącego ostrza, które tymczasem zdekapitowało kolejnego, mniej czujnego najemnika.

Trimitri zrozumiał natychmiast i zaczął wspinać się na skałę, pod którą toczył się bój. Koharow zaś zaatakował kolosa, aby odwrócić jego uwagę od Sierżanta. Uchylił się przed ciosem, z ledwością zasłonił przed uderzeniem pancерnej pięści, o mały włos nie tracąc przy tym broni. Sam natychmiast ciał i dźgnął, bez rezultatu. W ostatniej chwili dostrzegł opadającą głowicę miecza, chciał uskoczyć, nie całkiem zdażył. Od uderzenia ugięły się pod nim kolana, miecz wypadł ze zdrtwiałych palców. Czas jakby zwolnił. Jedyne, co mógł, to przyglądać się, jak wielka żelazna stopa unosi się w powietrze, by za chwilę opaść i zmiażdżyć go niczym karalucha. Wiedział, że tym razem umknąć już nie zdoła, ostatni zbytek sił zużył w walce z magicznym wojownikiem. Ze zdziwieniem dostrzegł Sierżanta i Trimitriego, jak się zbierają w sobie, jak skaczą ze skały. Jak on się tam dostał tak szybko, pomyślał ze zdziwieniem, jakby to miało w tej chwili jakiegokolwiek znaczenie. Tamci byli już w powietrzu. Jeden ucpepił się głowy, drugi wielkiego ramienia. Złapali kolosa z nogą uniesioną do góry, to wytrąciło go z równowagi, zachwiał się zdezorientowany. Trimitri zdołał uchwycić się pewnie wokół szyi i sztyletem zaczął dźgać w wizjer hełmu. Żelazny wojownik

zatoczył się, jego pancerna noga trafiła w skałę tuż obok ramienia Koharowa, drobne odpryski kamienia strzeliły naokoło. Trimitri dalej zapamiętałe dźgał, olbrzym raz jeszcze spróbował złapać równowagę, jednak nieskutecznie, i wreszcie zaczął chylić się ciężko na jedną stronę, aż w końcu zwałił się na ziemię głową w dół z boczna.

- Zasypcie go - charczał Koharow. - Szybko!

Nie miał pojęcia, skąd wziął siłę. Ni stąd, ni zowąd trzymał nagle w rękach półcietnarowy głaz i niemiłosiernie grzmotnął nim w hełm powalonego przeciwnika. Sierżant bez zwłoki poszedł w jego ślady, błyskawicznie dołączyli do nich dalsi. Kamienie dzwoniły o pancerz, Koharow bezsilnie opadł na kolana. Zwyciężyli. Oczywiście, że nie zwyciężyli, uświadomił sobie, kiedy dotarło do niego, gdzie powędrował jego wzrok. W dole przed nim Bakly stawiał czoła dwóm żelaznym kolosom w pojedynkę.

Aczkolwiek trzeba było przyznać, że znaleźli w nim godnego siebie przeciwnika. Cała trójka krążyła wokół siebie jak gotujące się do ataku niedźwiedzie. Miecze i siekiery raz po raz błyskały, odbijając światło zachodzącego słońca, słysząc było, jak dzwonią, gdy się ze sobą zderzały z ogromną siłą. Na przemian to czaili się, to podrywali do szaleńczej wymiany ciosów. Nadchodzi moment, kiedy uderzą w tandemie, pomyślał Koharow, obserwując zsynchronizowany taniec żelaznych wojowników. Bakly nie zmienił tempa, dawał się wciągnąć do paszczy lwa. Albo i nie.

Poziome cięcie na głowę Bakly odbił, nie patrząc nawet, jakby o nim wiedział z dobrym wyprzedzeniem, po czym nie zatrzymując się ani na moment, skoczył w przód, unikając drugiego ostrza, i sam dźgnął grotiem siekiery. Zaskrzyptała stal, Koharow był pewien, że ostrze musiało przebić pancerz. Drugą siekierą zastonił się przed kolejnym atakiem, ale nie zdołał ustać pewnie na nogach, rzucił się w tył. Przed świszczącym ostrzem ocaliła go tylko nadludzka szybkość.

Porusza się wolniej niż oni, ale nadrabia refleksiem, Koharow

czysto podświadomie oceniał toczącą się przed nim walkę.

I znów powrócili do morderczego tańca, tańca, który każdego normalnego człowieka już dawno pozbawiłby sił i życia. Żelazni wojownicy znów się zgrali ze sobą, chwycili Baklego w kleszcze, miecz świsnął w powietrzu w ataku zbyt szybkim dla ludzkiego oka, lecz Bakly znów blokował instynktownie, lecz tym razem z mniejszym powodzeniem - potężne uderzenie wytrąciło mu z ręki siekiere. Uskoczył szybko poza zasięg broni przeciwnika, na drugą siekiere przyjął atak jego partnera. Ten wklinował swój miecz, przytrzymując oręż Baklego, nie dając mu uskoczyć.

„Masz tylko moment!” - chciał krzyczeć Koharow, ale wiedział, że to na nic. Drugi kolos miał oto drogę do ataku otwartą.

Bakly chwycił za toporzysko obiema rękami, skręcił siekiere jeszcze mocniej, klinczując ostrze miecza między ostrzem topora a grotem, i szarpnął. Miecz żelaznego wojownika zabręczał o kamienie. Bakly, kontynuując obrót, zbliżył się do przeciwnika i ledwo się tylko napinając, ciął. W uszy wdarł się przeraźliwy zgrzyt stali, a w pancerzu kolosa otworzyła się półmetrowa rana. Koharowowi wydało się, że widzi wyciekający przez nią czerwony płomień. Pancerny wojownik zamarł i z potwornym łoskotem zwałił się na ziemię. Bakly natychmiast uskoczył za niego, kupując sobie tym samym choć odrobinę czasu na złapanie oddechu. Ramiona i pierś unosiły mu się w szaleńczym tempie, twarz ociekała strugami potu, mięśnie miał napięte do tego stopnia, że przestały przypominać ludzkie ciało.



Ostatni przeciwnik, nie spuszczać swego niehumanicznego wzroku z Baklego, uniósł miecz poległego towarzysza. Żar jaśniejący w głębi jego hełmu rozbłysł nagle silniej. Zupełnie jakby przelała się w niego siła poległego kolosa, przemknęło przez myśl Koharowowi. Jakby na potwierdzenie tej myśli olbrzymi wojownik skoczył do ataku, szybciej i agresywniej niż kiedykolwiek przedtem. Serią błyskawicznych ciosów obu mieczy zaczął Baklego spychać w tył, aż do pierwszego z

nieuszkodzonych wozów. Pozostawszy z jedną tylko siekierą, Bakly nie miał szans się obronić i ustępował, dopóki mógł. Jednak gdy dotarł do wozu, stanął. Dalej się cofnąć nie zamierzał, na wozie znajdowała się przecież woda.

Przez chwilę jeszcze stawiał czoła nacierającym dwóm ostrzom, nieludzkiej sile i przewadze rozmiaru, w końcu jednak uległ i przeciwnik zepchnął go definitywnie do rozpaczliwej defensywy. Koharow poczuł, że oto nastąpił punkt zwrotny całej tej nierównej walki. Ciosy opadały tak gęsto jeden po drugim, że Bakly nie miał szans ich wszystkich uniknąć. Miecz wyskoczył do przodu, zaskrzypiało przeraźliwie drewno, ostrze zanurzyło się w burtę wozu, i wyszło aż po drugiej stronie. Ciało jednak nie sięgnęło, Bakly cudem chyba tylko zdołał znów uniknąć pewnej śmierci. Zamiast tkwić przyszpilony do boku wozu, znalazł się na kilka kroków bliżej przeciwnika. Wbrew oczekiwaniom Koharowa nie uderzył jednak w korpus, za to obrócił się na pięcie w półpiruecie i rąbał z całej siły rękę trzymającą broń wciąż zakleszczoną w wozie. Kolos ani się nie zachwiał, za to w odwecie próbował Baklego powalić ciosem rękojeści broni trzymanej w drugiej ręce. Chybił. Błysnęła wzniesiona do ciosu siekiera, doliną poniósł się huk maltretowanej stali, gdy Bakly rąbał raz po raz pancerną pierś, jakby za wszelką cenę chciał żelaznego kolosa wypatroszyć. I kiedy tylko zdołał przeciąć pancerną zbroję, wylała się z niej krwawa poświata, zaczęły wyslizgiwać czerwone płomienie. Bakly ignorował je, pracując zapamiętale dalej, niczym rzeźnik, i nie spoczął dopóty, dopóki nie rozplątał żelaznej tuszy aż po brodę hełmu. Dopiero wtedy cielsko żelaznego wojownika rozpadło się z głośnym zgrzytem i zamarło definitywnie.

Koharow aż do tego momentu nawet nie drgnął, teraz jednak z wysiłkiem uniósł się na nogi i wraz z pozostałymi ocalałymi obrońcami karawany ruszył ku wozom. W panującej w dolinie przeraźliwej ciszy słyhać było jedynie chrzęst żwiru pod nogami i trzaskanie stygnących w zapadającym zmierzchu okolicznych skał. Zewsząd wychodzili z ukrycia wciąż przerażeni i oniemieli

ludzie. Koharow z mieczem w dłoni dokuśtykał wreszcie do Baklego. Wielki mężczyzna leżał na ziemi bez ruchu i w pierwszej chwili wydawał się równie martwy, co żelazny kolos, którego pokonał. Koharow oddychał powoli i głęboko, próbując spłacić dług, jaki zaciągnął u własnego ciała. Wokół niego gromadzili się pozostali.

- Najlepiej, żebyśmy go dobili. I tak tylko ściągał na nas nieszczęścia, skurwiel jeden - odezwał się ktoś.

Koharow uniósł wzrok i rozpoznał najemnika, który w oazie próbował zgwałcić kobietę. Zbyt był wycieńczony, żeby się spierać, a przy tym nikt inny najemnikowi nie dawał odporu. Cywile albo się bali, albo wciąż po przeżytych horrorze nie odzyskali jeszcze głosu, a pozostali najemnicy albo spoglądali obojętnie, albo wręcz potakiwali zgodnie. Koharow nie miał sił na kolejną potyczkę, a Sierżanta, jak na złość, nie było nigdzie widać.

- Jesteś niczym więcej, jak śmierzącym psim gównem - oznajmił prowokatorowi. - I któregoś dnia cię zabiję - dokończył, po czym przyklęknął przy Bakłym.

Drobnego uśmiešku, jaki zatańczył najemnikowi na wargach, kiedy Koharow obrócił się do niego bezbronnymi plecami, już nie widział. Skłonił się ku Baklemu, chcąc sprawdzić, czy ten dycha jeszcze, a przy tym uczynił gest, jakby odkładał swój miecz na ziemię, jednak w ostatniej chwili obrócił ostrze i wyprowadził je spod lewej pachy na oślep prosto w górę. Stał weszła w coś miękkiego, ktoś zajęczał. Koharow nie puścił broni, obrócił się tylko i zobaczył, że najemnik z bezgranicznym niedowierzaniem wpatruje się w ostrze wystające mu z brzucha. Miecz, którym sam chciał zaatakować Koharowa, wypuścił z bezwładniejącej ręki.

- Obiecałem ci przecież - powiedział Koharow szeptem i napierał na swój miecz tak długo, aż ostrze przeszło na wylot. Dopiero wtedy puścił rękojeść i pozwolił, aby martwy mężczyzna zwałił się na ziemię. - Ktoś ma coś do dodania? - spytał, przyglądając się najemnikom i wędrując wnikliwie wzrokiem od

twarży do twarży.

- Nie ma - odpowiedział Craig i splunął siarczyście. Dowódca najemników krwawił z rany przez pierś, a lewą ręką podtrzymywał prawe ramię, z którego kapały na ziemię gęste krople czarnej krwi. - Denby już był taki zdradziecki. I nie tak szybki, jak powinien.

- Hej tam, Koharow! - rozległo się ze zbocza doliny. Sierżant nadal stał obok kolosa pogrzebanego pod kamieniami. - Podejdz tu!

Koharow zawahał się. Nie chciał zostawiać nieprzytomnego Baklego bez ochrony. Obrócił się i spojrzał w twarz mężczyzny, którego jeszcze przed momentem uważał za bezbronnego. Już nie był. Bakly wprowadzie nadal leżał bez ruchu, ale jego oczy były tak samo przytomne, a wzrok twardy jak dawniej. Chociaż nie... Wzrok chyba miał jeszcze twardszy. I jeśli przed tą walką miał na dnie swych oczu jeszcze jakieś tłące się ogniki człowieczeństwa, teraz już ich tam brakowało. Zastąpiła je bezlitosna srogość żelaznych wojowników, których właśnie pokonał.

Z tym akurat Koharow potrafił sobie poradzić. Świat był, jaki był, i tylko ci, którzy zdołali się przystosować, mieli szansę przetrwać. Czasami.

- Wygląda na to, żeśmy zwyciężyli - oznajmił Baklemu i ruszył za Sierżantem.

Po co tamten go wołał, zorientował się dopiero na miejscu. Trimitri leżał na ziemi, jego nogi ginęły pod cielskiem żelaznego giganta. Po ułożeniu ramion można się było domyślić, że nie miał już nad nimi żadnej władzy.

- Nie mogę się ruszyć - powiedział bandyta cicho.

Koharow klęknął koło niego.

- Na to wygląda - potwierdził.

Dwaj mężczyźni przyglądali się sobie długo.

- Nie zostawisz mnie tak tutaj, prawda?

- Oczywiście, że nie. - Koharow pokręcił głową. - Zawsze cię podziwiałem i zawsze kochałem... bracie - powiedział,

przykładając Trimitriemu do szyi ostrze sztyletu.



Potrzebowali całego dnia, żeby jako tako ponaprawiać wozy i bukłaki na wodę. Tej ostatniej stracili w trakcie potyczki dość dużo i groźba śmierci z pragnienia niechybnie zajaśniała im w oczy, gdyby Bakly nie użył jednej ze zdobycznych magicznych igieł. Dzięki niej obrzydliwa i makabryczna robota, jaką było pozyskiwanie z ciał wody sposobem Czarnych Jeźdźców, stała się zadaniem o wiele mniej uciążliwym. Koharow zgłosił się do pomocy, ale przekonał przy tym Baklego, że powinni się zająć procesem na uboczu, bez świadków. Kiedy przyglądał się, jak martwe ciała jedno po drugim przemieniają się w wysuszone mumie, zastanawiał się, czy ten kolejny magiczny przyrząd jest w istocie czymś dobrym, czy złym. Skłaniał się ku tej drugiej ewentualności, nawet jeśli w głębi ducha był wdzięczny za każdy litr wody, który tym makabrycznym sposobem udało im się pozyskać. Skorzystali też na wierzchowcach bandy Trimitriego, które w zaprzęgach zastąpiły pozabijane zwierzęta.

Tak najemnicy, jak i cywile szybko domyślili się, czym też zajęli się Bakly z Koharowem i zaczęli się od nich odwracać. Jednak podawane im kolejne bukłaki z wodą otaczali taką samą troskliwą pieczą, jakby ta pochodziła z najczystszej źródła, i z wielką ostrożnością układali na wozy. Na koniec wyszło na to, że po odwodnieniu ostatniego z ciał mieli niewiele mniej zapasów, niż kiedy wyruszyli z oazy.

- Dziś już nigdzie nie będziemy jechać - stwierdził Bakly, spoglądając na słońce chylące się nad horyzontem. - Ale jutro wyruszamy z pierwszym świtaniem.

Z jego zarządzeniem nikt nie dyskutował, wszyscy byli wręcz zadowoleni. Wydawało się, że po wstrząsie, jaki wszyscy przeszli, zupełnie zapomnieli, iż w sercu pustyni nic ich przecież nie czekało, jedynie niechybna zguba.

Zapała noc i Koharow leżał na kocu, wpatrując się w niebo.

- Wyglądasz, jakbyś jako żywo rozmyślał - odezwał się Sierżant,

który tuż obok rozwijał swoje legowisko.

- Kalkuluję, na jak długo wystarczy nam wody. Co prawda zasoby mamy mniejsze, ale też i ubyło parę osób. Kto wie, może mielibyśmy jeszcze szansę wrócić... - wyznał cicho.

- Zatruliśmy w Hutskiej studnię - przypomniał Sierżant i usiadł.

- A poza tym jeden z tych bandytów, zanim szczęł, wyznał mi, że ciągnie za nami armia.

- Musi mu na tym artefakcie naprawdę ogromnie zależeć - przyznał Koharow. - Tyle tylko, że... prowadzić niewinnych ludzi na śmierć to jest zwyczajne, nieludzkie, bezlitosne... - Nie zdołał dokończyć myśli, za to ciężko westchnął.

- Gdyby nie pociągnęli z nami, już dawno byliby martwi - próbował rozproszyć zły nastrój Koharowa Sierżant. - Ciągłe się tu teraz kręca Czarni, a i to wojsko czy czarodziej, co za nami posłał tamte żelazne bestie, też by się z nimi przecież nie pieścili.

- To prawda, lecz to wszystko dzieje się akurat z naszego powodu. Gdyby nie my, mogliby sobie dalej wieść spokojne życie - sprzeciwił się Koharow.

Sierżant wzruszył tylko ramionami. Jego przyjaciel coraz częściej popadał w pieski nastrój, choć z drugiej strony, ciężko się mu było dziwić.

- Słyszałem, jak najemnicy gadali między sobą, że do Wotty zostało już tylko pięć dni drogi. Planują poobijać się z nami jeszcze z dzień, dwa, a potem dać w długą.

- No to ich czeka gorzkie rozczarowanie - stwierdził Koharow.

Wotta - nieistniejący cel ich wyprawy.

- Ciekaw jestem bardzo, jakie będą mieli miny. - Sierżant uśmiechnął się błogo. - A już szczególnie Craig. No, nie mogę jakoś znieść tego nadętego bydłęcia.

Obaj zdawali sobie sprawę, że próbują jedynie się rozerwać, a tak naprawdę coraz bardziej zdejmował ich strach. Zbliżał się ich koniec i dobrze przecież o tym wiedzieli.



W ciągu kolejnych kilku dni pustynia stała się jeszcze bardziej

sucha i niegościnna niż do tej pory. Zaszli tak głęboko, jak mało kto kiedykolwiek zdołał. Powietrze było tak suche i gorące, że sprawiało ból przy oddychaniu. Czarne skały i czerwony żwir ustąpiły miejsca gładkiej równinie. Kiedy odgarnęli z wierzchu cienką warstwę pyłu, pod spodem ukazała się biała, ubita powierzchnia. Z wyglądu przypominała nieco lód, ale po polizaniu okazała się gorzko-słona.

- Kiedyś musiało tu być morze - ocenił Koharow. - Kroczymy po jego wyschniętym dnie.

Nie bardzo umiał to sobie wyobrazić. Wzrok utkwiał w dali przed sobą, ale jedyne, co widział, to roztańczone omamy powodowane przez rozpalone powietrze. Czasem takie fenomeny zdarzały się znacznie bliżej, na wyciągnięcie ręki wręcz. Wydawało się wtedy, że karawana znika bez śladu w srebrzystej tafli zwierciadła.

- Przydałby nam się wiatr - powiedział Bakly, kiedy zrównał się ze stojącym w miejscu Koharowem.

- Żeby nam sypał w oczy całą tę okoliczną sól?

- Dokładnie.

Od czasu bitwy wielki mężczyzna odzywał się jeszcze mniej niż zazwyczaj, a do tego nie opuszczało go - Koharow nie był zbyt pewien, jak to nazwać - jakieś takie magiczne opętanie.

- Ile nam zostało wody? - zapytał Bakly.

Zanim odpowiedział, Koharow zorientował się, że bacznie przysłuchuje mu się osierocony chłopak, który wciąż maszerował przy boku Baklego.

- A jego co przy was trzyma? Przecież zabiliście mu ojca - spytał, zamiast udzielić odpowiedzi.

- Nie wiem - odpowiedział Bakly bez cienia zainteresowania w głosie.

- Wody mamy akurat tyle, żeby dobrnąć do tej waszej Wotty.

Obojętność Baklego naprawdę go rozwścieczyła. Wydawało się, że nie pozostała w nim najmniejsza drobina człowieczeństwa. Przypominał bezmyślne narzędzie, obsesyjnie zdążające do wykonania zadania. Koharow przeklinał dzień, w

którym go spotkał.

Pod wieczór poderwał się wiatr. Był to gorący fen rodzący się w sercu pustyni, jeszcze bardziej potęgujący nieznośny upał. Niósł ze sobą drobne kryształki soli palące w gardle i w oczach.

- Jak na mój gust, tam, skąd wieje taki wiatr, powinniśmy znaleźć góry - oznajmił Bakly, kiedy stanęli, żeby rozbić obóz w czymś, co jako żywo przypominało gęstą śnieżycę. - Zanim pójdziecie spać, muszę z wami coś omówić - zwrócił się do zaskoczonych Koharowa i Sierżanta.



„Śnieżycą” trwała cała noc. I dobrze. Kiedy otworzyłem rano oczy, o moje czoło opierała się uginająca się pod ciężarem nawianej soli wybrzuszona płócienna płachta. Póki co było jeszcze w miarę chłodno, ale wiedziałem, że nie potrwa to już długo i kiedy tylko wstanie słońce, temperatura zacznie szybko rosnąć. Nie przeszkadzało mi to. Lubię ciepło. Gorąco, ukrop nawet, potrafię znieść bez problemu, nie tak jak pozostali. Wskoczyłem w buty i wstałem.

Obóz - porozrzucane bez ładu i składu zadaszenia przykryte grubą warstwą soli - był jeszcze spokojny i cichy. Ruszyłem w stronę wozu, za którym przed wiatrem i nawiewaną solą schronił się Craig ze swoimi ludźmi. Chwilę trwało, zanim go między nimi wypatrzyłem. Potrząsnąłem nim, a w tym samym momencie nad równinę wychynął pierwszy rąbek słonecznej tarczy, budząc całą okolicę do życia. Kolory mieniły się z jednego w drugi, każdy najdrobniejszy nawet kamyk czy grudka soli rzuciły nieskończenie długie cienie.

- Co jest, do cholery? - warknął Craig.

- Musicie o czymś wiedzieć - powiedziałem.

Zaciekawiał się, idiotą nie był, domyślał się, że o byle głupotę nie mogło tu teraz chodzić.

- Oaza Wotta nie istnieje. Wasza mapa kłamie - oznajmiłem mu wprost.

W pierwszej chwili nie zrozumiał, w drugiej nie uwierzył, a w

trzeciej wreszcie załapał i natychmiast chciał się na mnie rzucić, ale życie uratowało mu ostrze katzbalgera przytknięte do gardła.

- Co to ma znaczyć? To jakaś gra? Jaki w niej sens? - spytał zamiast tego.

Wzruszyłem ramionami. Z zaplanowaniem tej części pomagał mi pan Łasiczka, sam bym nigdy się na coś tak skomplikowanego nie porwał.

- Musiałem dostać się jak najgłębiej w pustynię, czego bez waszej eskorty nie udałooby mi się dokonać. A z kolei gdybyście wiedzieli, że żadnej Wotty nie ma, nigdy byście ze mną nie poszli.

- Wyście przecież skazali mnie i moich ludzi na śmierć z pragnienia! I jeszcze na dodatek tamtych ludzi też! - wrzasnął mi prosto w twarz. Kilka najbliższych nam osób zaczęło się budzić ze snu.

- Jeśli nie chcecie zdechnąć tu i teraz, radziłbym mówić ciszej - ofuknąłem go. - Jeszcze nie powiedziałem wam wszystkiego. W obozie nie pozostała ani kropla wody. Wszystko zabrał Koharow i jego ludzie, którzy ruszyli już z powrotem.

Ta informacja podziałała na wszystkich, którzy to usłyszeli, niczym płachta na byka. Kilku najemników najchętniej by się na mnie rzuciło i Craig musiał się zdrowo natrudzić, żeby ich przed tym powstrzymać. Ja tam dobrej bitce nigdy nie mówię nie, ale w tej chwili nie było mi to na rękę. Musiałem Czerwoną Gwiazdę donieść jeszcze kawałek głębiej w pustynię.

- Sprawdźcie, czy mówi prawdę! - rozkazał Craig, kiedy wreszcie udało mu się odzyskać kontrolę.

Schowałem broń i usiadłem. Słoneczko zdrowo już przygrzewało. Zaczynał się kolejny dzień, tak samo suchy i gorący jak tysiące innych.

- No ale przecież nie mają wystarczająco dużo wody, żeby dotrzeć aż do pobraża pustyni. Najwyżej na tyle, żeby dojść do tej ostatniej oazy, z której żeśmy wyszli. Co im jest psu na budę, bo studnię żeśmy przecież zatruli - powiedział zdeorientowany, kiedy jego ludzie donieśli, iż obóz był w istocie opustoszały.

Dobrze to sobie wszystko obliczył.

- Jak nie będziecie dalej zwlekać, powinniście dać radę ich dogonić, zanim wiatr zasypie solą ślady. I jeszcze jedno. - Podąłem Craigowi wodną igłę. - Mają ze sobą zapasy wody, ale przecież jeszcze więcej znajduje się w ich ciałach. Każde z nich, kobieta czy mężczyzna, to dobre pięćdziesiąt litrów. Jeśli dobrze wyliczycie moment, w którym zacznie wam brakować zapasów, powinniście dać radę wydostać się z pustyni.

Chwilę mu zajęło, zanim zrozumiał, że mówię poważnie, po czym błyskawicznie zabrał igłę.

- Musicie uważać, żeby ich nie pozabijać za wcześnie. Wozy zostały tutaj, więc całą wodę niosą ze sobą na plecach. Odpowiedni moment to ten, w którym wy sami zdołacie unieść cały ładunek.

Przyglądał mi się, kręcąc głową z niedowierzaniem.

- Z was jest naprawdę kawał nieprawdopodobnego skurwysyna. Czemu to wszystko?

- Nie wasz interes - zbyłem go. - Ja ruszam dalej. - Wskazałem na horyzont.



Spakowali się dosłownie w kwadrans. Wizja niknących pod solą śladów dodała im skrzydeł i nawet się ze mną nie pożegnali.

Zostałem wreszcie sam. Najpierw poszedłem po konie, które Koharow ukrył w niedalekiej dolince. Craig pewnie by je chciał dla siebie, ale nie mogłem mu na to pozwolić, potrzebowałem koni, aby karawana jechała dalej. Ślady kół i kopyt są o wiele wyraźniejsze niż ludzkich stóp i właśnie po tych śladach miałoby mnie dalej ścigać cesarscy. Dla siebie i zwierząt miałem już tylko dwa bukłaki wody, ale powinny nam na jakiś czas wystarczyć. Mało co nas tu przecież mogło zatrzymać, a i z prowadzeniem wozów powinienem sobie jakoś poradzić. Przynajmniej taką miałem nadzieję.

Kiedy dotarłem do zwierząt, czekało mnie niemałe zaskoczenie - chłopak.

- A co ty tu robisz? - spytałem.

- Jestem sam, z tamtych nikogo nie znałem, a wyście mi pomogli. Poza tym chciałem was o kilka rzeczy zapytać.

Przyjrzałem się smarkaczowi. Osiem lat? Może dziewięć.

- To nie najlepsza decyzja, chłopcze. Ja już jestem u kresu swojej drogi, daleko ze mną nie zajdziesz. No, ale co zadecydowane, to zadecydowane, bierzmy się do roboty.

Wspólnymi siłami zaprzęgliśmy konie do wozów, ustawiliśmy je w linii i ruszyliśmy, kierując się na horyzont, ku powietrznym widmom. Chciałem po prostu dostać się jak najgłębiej, tam, gdzie jeszcze nigdy żaden człowiek nie dotarł. Początkowo chciałem Czerwoną Gwiazdę ukryć gdzieś tutaj, ale uporczywość, z jaką cesarscy chcieli zdobyć magiczny kamień, nieprzyjemnie mnie zaskoczyła. Musiałem zabrać ją w taką głębinę, z której powrót nie był w żadnym wypadku możliwy. Osie skrzypiały, pod wielokrotnie naprawianymi kołami trzeszczała sól.

- Jak chcesz, to możesz jechać - zaproponowałem. Wozy były pozbawione ładunku i mały chłopak zwierzętom nie zrobi najmniejszej różnicy.

Pokręcił tylko głową.

Przed południem dostrześliśmy wznoszący się z jednostajnej równiny pagórek. Zatrzymałem wozy i poszedłem przyjrzeć mu się bliżej. Z soli wystawała czaszka jakiejś pradawnej bestii. Szczęki były długie jak dorosły człowiek wysoki, zęby, które się jeszcze ostały, miały rozmiar przyzwoitych sztyletów. Jaszczur musiał być wielki jak chałupa. Nigdy czegoś takiego nie widziałem, o szczątkach podobnych monstrów słyszałem jedynie jakieś opowieści. Przyglądałem się skamieniałej czaszce dość długo. Było mi nawet przykro, że się o tym stworzeniu nie dowiem niczego więcej. Czasem wydaje mi się, że sam jestem takim jaszczurem - reliktem z dawnych czasów. Tyle że ja jeszcze żyję.

Jeszcze.

Ruszyliśmy z chłopakiem w dalszą drogę, za towarzystwo mając

jedynie nasze własne cienie.



Coverfly splunął. A dokładniej, to próbował splunąć, lecz wyszło z tego tylko suche charknięcie. Zwyczajnie nie miał wystarczająco dużo śliny.

- Myślę, że kolejna dostawa wody już raczej nie nadejdzie. Musiało gdzieś przerwać łańcuch - osądził Hoovery.

Wspólnie z Evanem i jego dwoma ochroniarzami kryli się w cieniu pierwszego wozu z zaopatrzeniem, reszta oddziału kulila się za drugim. Już od kilku dni przemierzali pustą równinę pozbawioną skał, pagórków, właściwie czegokolwiek. Idealnie pusty widnokrąg wydawał się jeszcze gorszy niż wcześniejsze najeżone skały i niezliczone rozpadliny. I jeszcze ta przekłeta sól... Coverfly pokręcił z niedowierzaniem głową. Jak on się w to w ogóle wpakował? Wszystko przez tego cholernego czarodzieja i jego obsesję.

- Ile zostało nam wody? - zapytał Frama, choć doskonale znał odpowiedź.

- Żebyśmy mogli wrócić do ostatniego obozu, możemy jechać dalej jeszcze jakieś pół dnia.

Coverfly skinął. Chyba że ktoś, na przykład niedobitki bandytów, na obóz napadł, wtedy byli już wszyscy martwi.

- Zawróćmy - poprosił czarodzieja. - Nadmiernie już igramy z losem. Nie mamy żadnej rezerwy, najmniejszy jakiś wypadek i umrzemy. Wszyscy.

Evan pokręcił tylko głową.

- Czuję ją! Czuję, jak się porusza jedynie kawałek przed nami!

Czarodziej w niczym nie przypominał już przystojnego młodzieńca z początku podróży: wychudły, spalony słońcem, wyczerpany czarami i na wpół obłąkany żądzą pozyskania artefaktu, który, wydawało się, miał nieomal na wyciągnięcie ręki.

Coverfly najchętniej by go zabił albo zostawił własnemu losowi i zawrócił, ale list Varatchiego stawiał sprawę jasno. Baron

odnosił wrażenie, że arcyksiążę przewidział sytuację, w której obsesja czarodzieja wpakuje ich w tak wielkie kłopoty, iż myśl o pozbyciu się go będzie aż nadto kusząca.

Do wieczora i ani kroku dalej, zdecydował w duchu Coverfly. Nie podpisze przecież na siebie samego i wszystkich swoich ludzi pewnego wyroku śmierci.

- A do tego przecież ci przed nami mają mnóstwo wody. Wystarczy, że ich dopadniemy, i zyskamy zapasy. Będziemy wręcz w lepszej sytuacji, niż jesteśmy teraz - przekonywał czarodziej.

- To się nawet trzyma kupy - zgodził się z nim Hoovery. - Może będą mieli też i coś innego do picia. Ślady kół też są dużo wyraźniejsze. Za dwa, trzy dni powinniśmy ich dopaść.

- I nie będziemy musieli polegać na obozie zaopatrzeniowym - dodał jeszcze ktoś inny.

Coverfly zdusił rodzący mu się w gardle jęk. Czarodziej postradał rozum bez reszty. Przez niego zginą wszyscy.



Drugiego dnia uświadomili sobie już definitywnie, że nie wystarczy im wody, aby dostać się z powrotem do obozu z zaopatrzeniem. Ich jedyną szansą na przeżycie jest już tylko karawana przed nimi. Coverfly ich powstrzymywał, inaczej sami zagoniliby się na śmierć. Sól pod nogami, sól w oczach, sól na skórze. I nieustający upał. A mimo to nikt się nie skarżył. Szli rozciągnięci w długą kolumnę. Na czele szedł Hoovery w towarzystwie tropiciela, potem piętnastu chłopów, za nimi Evan z ochroniarzami, dwa wozy i kolejnych piętnastu ludzi. Oto, do czego skurczyła się dziesięcioletnia armia. Tylko tyłu Coverfly zdołał doprowadzić w głąb Pustyni Gutawskiej.

W trakcie ostatniego popasu zdechły im dwa ostatnie konie. W jednej chwili stały, przeżuając ziarno, a w następnej po prostu zwały się martwe na ziemię.

- Pewnie upał je zabił - oznajmił ze znanstwem Hoovery. Coverfly miał chęć go za to udusić. - Będziemy musieli

poprzekładać cały ładunek na jeden wóz i pociągnąć sami - dodał jeszcze.

Pod wieczór brakło im już siły na cokolwiek. To była zupełnie inna pustynia niż na początku. Głębina wysysała ich, odbierała wodę z każdym oddechem, kradła wilgoć przez ręce, twarz, skórę na całym ciele. Nie było sensu zawracać, nie mieli na to dość wody. W związku z tym Coverfly nakazał maszerować również w nocy. Solna równina odbijała światło księżyca i ślady kół były całkiem widoczne. Po drodze natrafili na ciała dwóch koni. Coverfly zdołał pozyskać z nich trochę wody, ale nie za wiele, leżały na słońcu zbyt długo.

Zatrzymali się dopiero późnym rankiem, słońce już znów zaczynało prażyć, pochowali się więc w cieniu wozów i spali do późnego popołudnia. Potem bez rozkazu wszyscy się pozbiali i ruszyli w dalszą drogę. Wozy zostawili na miejscu, całą pozostałą wodę ponieśli ze sobą.

Po zmroku, kiedy niebo na zachodzie zdążyło też już pociemnieć, Evan nagle się zatrzymał.

- Już jest niedaleko, kilkaset metrów.

Były to słowa, których Coverfly nie mógł się doczekać. Dogonili nieprzyjaciela. Dogonili Czerwoną Gwiazdę. Będą wreszcie mogli odebrać ją, zabrać tamtym wodę i wrócić do domu. Poczul nagły przypływ nadziei. Może jednak przeżyją?

Kroczyli dalej po śladach kół, zbici w ciasnej formacji. Sól skrzyła się w świetle księżyca niczym śnieg, ale biło od niej ciepło.

Minęli ciemniejącą sylwetkę wozu, kawałek dalej stał drugi. Coverfly się zaniepokoił. Nie dostrzegał nigdzie najmniejszego śladu ludzkiej obecności. Było podejrzenie cicho, podejrzenie pusto. Nic to, uspokoił się w myślach, liczy się, że jest tu Czerwona Gwiazda.

- Byłem ciekaw, kiedy mnie dogonicie - odezwał się z mroku głos. Równocześnie ktoś zdjął zasłonę z olejowej lampy, jej blask oślepił ich na moment. Coverfly instynktownie odwrócił głowę, na wszelki wypadek wołał osłonić przywykłe do mroku oczy.

- Widzę też, że podróżujecie bez zbędnego ciężaru.

- On ma Czerwoną Gwiazdę! - wysyczał czarodziej.

Skąd on się tu wziął? Miał przecież zostać z tyłu! - pomyślał Coverfly rozdrażniony i zastąpił czarodziejowi drogę, aby ten nie wystawiał się na jeszcze większe niebezpieczeństwo.

Wreszcie dostrzegł mówiącego.

Pod wozem tkwił olbrzymi mężczyzna, ukryty pod grubym kożuchem. W świetle lampy jego ostrzyżone na krótko włosy skrzyły się srebrzyście.

- No cóż, muszę was rozczarować - kontynuował tamten i Coverfly mógłby przysiąc, że w jego głosie pobrzmiwało rozbawienie. W sytuacji, w której był sam jeden przeciw tak znaczącej przewadze, było to nad wyraz nieoczekiwane.

- Może jeszcze nie zauważyliście, ale obóz jest pusty. Jestem tutaj sam. Wody też nie mam za dużo. Dla pięciu, sześciu ludzi na ledwie kilka razgów, nie więcej.

Coverfly rozejrzał się. Wiedział, że mężczyzna nie kłamie. Jedyным wozem, który wydawał się mieć jakikolwiek ładunek, był ten za plecami ich samotnego nieprzyjaciela. Dostrzegł jeszcze martwego konia i nic ponadto.

- Ja mam zamiar pójść kawałek dalej i jeśli już między sobą ustalicie, komu ta woda ma przypaść w udziale, możecie mnie dogonić - zaśmiał się olbrzym.

- Daj mi Czerwoną Gwiazdę! - warknął Evan, który wyskoczył nagle przed barona.

Coverfly napotkał wzrok jednego z ochroniarzy czarodzieja. W jednej chwili każdy z nich odgadł myśli drugiego. Coverfly dobył broni, ochroniarz powalił czarodzieja na ziemię uderzeniem w tył głowy. Świsnęło ostrze i Coverfly zabił pierwszego ze swoich żołnierzy.

- Hoover, Fram, do mnie! Musimy się stąd wydostać, i to z czarodziejem!



Zostawiłem ich, niech się biorą za łby, a sam usunąłem się w

mrok, gdzie przy ostatnim koniu czekał na mnie chłopak. Zarzuciłem na plecy specjalnie przygotowany plecak z wewnętrznym stelażem i skórzanym wnętrzem. Miałem tam jakieś sto litrów wody. Na więcej się nie odważyłem, czekała mnie dość mozolna wędrówka. Parę dodatkowych bukłaków miał przytroczonego koń, ale nie liczyłem, że wytrzyma jeszcze długo. Tak głęboko w pustyni było stanowczo za gorąco nawet i dla specjalnie hodowanej rasy.

Szedłem równym, spokojnym tempem, na jakie tylko pozwolił mi ładunek, chłopak kręcił się wokół mnie. Szliśmy tak aż do świtania. Początkowo radził sobie dzielnie, ale nad ranem ledwo już powłóczył nogami. Nie wierzyłem, żeby się za mną wypuścili. W porannym słońcu dostrzegłem na południu pierwsze mgliste zarysy gór. A zatem większą część solnych równin mieliśmy już za sobą. Ogłosiłem popas aż do popołudnia. Przysypiałem pod naciągniętą płachtą pośród oslepiająco białego solnego morza, leżący tuż koło mnie chłopak co i rusz rzucał się we śnie. Ten popas okazał się dla naszego konia ostatnim. Wypiliśmy z bukłaków na jego grzbiecie tyle wody, ile tylko zdołaliśmy, a resztę, której nie dałem rady unieść, zostawiliśmy na miejscu.

- Dokąd tak właściwie idziemy? - zapytał.

Jak na dzieciaka, dużo jakoś nie gadał. Choć może wynikało to z faktu, że to ja jakoś ludzi nie motywuję do rozmów.

- Idziemy umrzeć - odpowiedziałem, po czym pokrótce wyjaśniłem mu całą historię.

Rozmyślał nad tym aż do następnego dnia. Znowu szliśmy w nocy, spaliśmy za dnia. Góry na widnokręgu stawały się coraz wyraźniejsze.

- Uczyniliście to wszystko, żeby unieść ten klejnot poza zasięg waszych nieprzyjaciół - odezwał się wreszcie pod wieczór, kiedy znowu podjęliśmy marsz. Ubywało mu sił, twarz miał spękana i wychudła, oczy mu błyszcząły. Znałem dobrze ten blask. Pojawiał się tuż przed tym, kiedy człowiek padał i umierał. Trudno się było dziwić. To, przez co on przeszedł, zabiłoby już niejednego dorosłego człowieka.

- Włóż mi na ramiona - przykazałem mu, a kiedy się przed tym wzbraniał, złapałem go i posadziłem sobie na plecy. - Owszem, po to właśnie to zrobiłem - odpowiedziałem mu wreszcie.

Kolejnej nocy musieliśmy się zatrzymać wcześniej, jako że równina ustąpiła miejsca zwaliskom skalnym i dalsza droga po ciemku była zwyczajnie niemożliwa. Upał zaczynał dokuczać już również i mnie, a do gorzkiego zapachu soli od czasu do czasu wdzierало się coś jeszcze innego, coś, od czego robiło się nam niedobrze. Zapewne wyziewy z Gór Gejzerowych przed nami.

Szedłem dalej. Paski plecaka wbijały mi się w ramiona, pod nogami chrzęściła sól. Godziny i dni zlewały się w jedno, nie potrafiłem powiedzieć, jak długo byliśmy już w drodze.

- I zabiliście mi ojca - odezwał się nagle. Albo umknęła mi część rozmowy, albo nawiązywał wciąż do tego, o czym rozmawialiśmy kilka dni wcześniej. Nie byłem pewien. Musiałem być w gorszym stanie, niż mi samemu się wydawało.

- Owszem. Zabiłem go, bo musiałem. Miał po prostu pecha, że natrafił na mnie. Myślę, że to musiał być dobry tata - odpowiedziałem najszczerzej jak potrafiłem.

Możliwe, że się rozpląkał, nie miałem pewności. W tym wirującym upale, gdzie wiatr wiejący od pozornie tylko nieodległych gór dmuchał mi prosto w twarz, nie umiałem skupić na niczym uwagi.

W pewnej chwili wydało mi się, że zaraz zacznie padać, ale szybko zorientowałem się, że widziałem nie chmury, a kłęby trujących dymów unoszących się z rozmaitych pęknięć, gejzerów oraz większych i mniejszych wulkanów.

- Chodźcie, panie, w kółko - zwrócił mi uwagę.

- Mów mi, którędy iść - poleciłem, pomimo iż sam nie miałem pojęcia ani dokąd idziemy, ani po co.

Wieczorem zorientowałem się, że z naszego stulitrowego zapasu wody zostało już naprawdę niewiele.

Szliśmy dalej.

Szliśmy dolinkami, przesmykami, wokół bulgoczących gejzerów i pryskającej naokoło lawy. Znaleźliśmy i wodę, ale była to woda

gotująca się, śmierdząca siarką, z której wyrastały tu i ówdzie czerwone i żółte stalagmity. Do picia się nie nadawała. Trafiliśmy do piekła na ziemi, choć nie rozmyślałem nad tym zbyt wiele. Upał i wyziewy mąciły mi już zarówno wzrok, jak i umysł. Wymienialiśmy jedynie po kilka słów na dzień, rozpoznawałem chłopaka tylko jako bezosobowy głos gdzieś spoza ciemienia. Czasem nawet w ogóle zapomniałem, że trzymałem go na ramionach.

Wreszcie natrafiliśmy na jezioro wrzącego asfaltu. To miejsce mi odpowiadało. Gdyby ktokolwiek kiedykolwiek zechciał w tym pogrzebać, wymagałoby to niemało wysiłku. Za to, żebym się tu dostał, umarło mnóstwo ludzi. Niektórzy z nich wcale sobie na to nie zasłużyli. Wyciągnąłem zawiniątko Zuzanny z Czerwoną Gwiazdą w środku, chwilę ważyłem w dłoni, po czym rzuciłem daleko w sam środek tego czarnego bagna. Zadanie wykonane. Siadłem kawałek dalej od brzegu, gdzie gorąco wydawało się nieco bardziej znośne, położyłem na ziemi plecak, ściągnąłem z ramion chłopaka i też ułożyłem obok siebie. Albo spał, albo był nieprzytomny. Obie opcje wydawały się równie prawdopodobne.

Zadanie wykonane. Powinienem być zadowolony, w końcu przecież dokonałem tego, co sobie zamierzyłem. Teraz mógłbym już po prostu tak posiedzieć aż do końca, tylko że... nie mogłem. Przez tego chłopaka nie mogłem.

Znów wsadziłem go sobie na ramiona i ruszyliśmy dalej. Każdy krok kosztował mnie nieludzko i zaczynało do mnie docierać, że osiągnąłem wreszcie absolutny kres moich możliwości. Ból, który do tej pory brałem za towarzysza, który uświadamiał mi, w jak głębokim gównie się znalazłem, przestałem już nawet dostrzegać.

- Dlaczego mi pomagacie? - spytał po jakimś czasie. Mógł to być całkiem długi czas, nie miałem pojęcia.

- Nie pomagam ci - odpowiedziałem. - Idę dalej, bo nic innego już mi nie pozostało. Kiedyś sam sobie obiecałem, że się tak

zwyczajnie nie poddam.

Wieczorem skończyła się woda. Ostatni łyk był już zatęchły i śmierdział, ale smakował.

Szedłem dalej.

W nocy oświetlały nam drogę jaśniejące potoki lawy, których rozgałęzione koryta wycinały na ziemi czerwono-żółte koronki. Południe przeczekaliśmy w cieniu. Trudno było powiedzieć, czy większy żar lał się z nieba, czy bił spod ziemi.

Spuchnięty od pragnienia język mało mnie nie udusił. Omdlałego chłopaka musiałem przywiązać do plecaka, inaczej by zleciał. Szedłem dalej.

Przestawałem odróżniać rzeczywistość od omamów. Ból, o dziwo, powrócił, zmienił się w coś, czego mogłem dotknąć, coś, co przy uderzeniu wydawało dźwięk jak granit. Choćby już było najgorzej, mnie to wystarczy do radości.

Szedłem dalej albo tak mi się tylko wydawało.

Kolejne gejzery, barwne wytwory z najróżniejszych soli, skwierczące kamienie rozpuszczane w kwasie. Na skraju jednego takiego pola gejzerów dostrzegłem małą sadzawkę, z której dymiło stosunkowo niewiele i smród nie rozciągał się znowu aż tak ostry. Kto wie, może w tym roztworze było nawet trochę wody. Powoli napełniłem bukłak śmierdzącą, niesmaczną cieczą. Z dwojga złego już lepiej się otruć, niż zdechnąć z pragnienia.

Szedłem dalej.

Nie byłoby dobrze, gdyby miał umrzeć zarówno ojciec, jak potem i jego syn. Historie nie powinny się tak kończyć.

Szedłem dalej.



Ludzie byli wyczerpani i tylko świadomość, że wracają do domu, dawała im siłę, aby ciągle jeszcze iść dalej. Popychał ich też fakt, że wody rzeczywiście zbyt wiele już nie zostało. Wkroczyli na wąski szlak biegnący z boczem i karawana rozciągnęła się w długiego ludzkiego węża.

Koharow wdrapał się na głąz i doglądał wszystkiego z góry.

Próbował odgadnąć, kogo to dopadnie pierwszego. Dziś wreszcie będą się mogli zatrzymać, jako że udało im się pokonać zaplanowany dystans. Gdyby jednak ktoś miał odpaść wcześniej... Póki co nie chciał o tym myśleć.

Na górę wdrapał się Sierżant i stanął obok Koharowa. Od czasu bitwy w dolinie nawet na moment nie zdjął swojej kolczugi. Koharow nie mógł się nadziwić jego wytrzymałości.

- W powietrzu czysto. Wygląda na to, że udało nam się zgubić ich wszystkich. Znalazłem w okolicy tylko kilku martwych żołnierzy. Mam wrażenie, że to jakiś bunt wewnątrz oddziału, jakby część z nich nie chciała iść dalej i oficerowie nie ogarnęli sytuacji.

- No to jest akurat dobra wiadomość. - Koharow pokiwał głową.

Podszedł do nich Craig. Bez niego i jego ludzi z całą pewnością nie zaszliby aż tak daleko. Tylko dzięki pomocy najemników udało się odeprzeć dotychczasowe ataki. Za pierwszym razem były to niedobitki Czarnych Jeźdźców, za drugim oddział żołnierzy, który się w pustyni zagubił i za wszelką cenę próbował zdobyć ich wodę.

Dowódca najemników chwilę wraz z nimi obserwował ludzkiego węża.

- Jak wam się udało namówić ich do tego, żeby tak uparcie szli dalej?

- Powiedziałem im, że wracamy do ich oazy i że trucizna już wywietrzała - odparł Koharow.

- No, ale przecież to jest bzdura, nie? Poza tym i tak nie mamy wystarczająco wody, skończy nam się ze trzy razgi przed oazą.

- Dokładnie tak - zgodził się z nim Sierżant. - Precyzyjnie to macie wyliczone.

Nie było w tym nic zaskakującego. Craig przerabiał tę kwestię z Koharowem po kilka razy dziennie i za każdym razem Koharow cierpliwie informował najemnika o aktualnym stanie zapasów. Było to w ich interesie, aby dowódca został o wszystkim rzetelnie poinformowany.

- To kiedy zaczynamy? Wychodzi mi, że po powiększeniu

zapasów powinniśmy bez problemu wydostać się z pustyni. - Wskazał wodną igłę, którą miał schowaną w specjalnie wykonanym puzderku przytroczonym do pasa.

- Też prawda, po co odkładać? - wzruszył ramionami Sierżant. - Proponuję, żebyśmy zaczęli dziś w nocy. Jeśli będziemy ostrożni, nikt się nie zorientuje, a rano będziemy o dobrych pięćset, sześćset litrów bogatsi. Gwarantuję, że pozostali ruszą pokornie dalej jak gdyby nigdy nic. Zresztą zawsze możemy im wmówić, że tamci pod osłoną nocy się odłączyli, bo chcieli spróbować szczęścia na własną rękę.

- Dobry pomysł. - Craig poklepał go po ramieniu. - Przyznam, że się obawiałem, że ty - machnął brodą na Koharowa - będziesz miał obiekcje.

- Każdy chce przeżyć. A że to czasem wychodzi na cudzy rachunek... - Koharow rozłożył ręce w bezradnym geście. - Na to nic już nie poradzę.

Karawana zdążyła ich w tym czasie minąć w całości. Brakowało jedynie paru maruderów, którzy ledwie trzymali się na nogach.

Craig spokojnie zeskoczył z głazu, Sierżant ruszył jego śladem. Koharow jeszcze pozostał na górze, rozglądając się i próbując dostrzec, czy nikt przypadkiem im się nie przyglądał. W chwili kiedy dogonił Sierżanta, Craig już leżał na ziemi, a z igły ciekła czysta woda. Żył jeszcze, ale nie mógł drgnąć. W jego oczach widać jednak było paniczne przerażenie wynikające z pełnej świadomości tego, co się z nim działo.

- Myślałem, że będziesz go musiał najpierw zabić, żeby zabrać tę igłę - powiedział Koharow.

- Bakly dał mi drugą - powiedział Sierżant, nadstawiając skórzany bukłak i pilnując, aby nie uронić ani kropli. - I dobrze, bo obyło się bez marnotrawienia. Nie możemy sobie na to pozwolić.

Kiedy skończyli, unieśli po jednej igle każdy i popatrzyli po sobie.

- Hej tam! - Sierżant zamachał do najemnika, który odstał za karawaną. - Chodź no tu i weź ze sobą jakiś pusty bukłak. Coś

żeśmy znaleźli!

- No ale wyjść z pustyni i tak nie damy rady, prawda? - spytał potem Sierżant przyjaciela. - Musielibyśmy pozabijać z połowę ludzi, nie tylko najemników. Tak naprawdę robimy to tylko dlatego, że nie pozostało nam nic innego, dlatego że nie potrafimy się poddać.

- Nie dalibyśmy rady, to prawda. - Koharow po raz pierwszy od bardzo dawna uśmiechnął się. - Tylko że ja im nie kłamałem. Bakly zdradził mi, że ta trucizna rozkłada się po dwóch tygodniach.

Sierżant wprost się roześmiał.

- Ale z niego wyrachowany skubaniec!

- No.



Dosi Abrago bardzo lubił zachody słońca. Był to czas, aby pomyśleć chwilę nad minionym dniem, pozastanawiać się nad tym, co może przynieść kolejny. Zazwyczaj chadzał wtedy nad brzeg Jeziorka Kedskiego. Gdziekolwiek indziej na świecie nikt by takiej kałuży nie nazwał jeziorkiem, jednak był to ostatni taki zbiornik wodny na północnym skraju Pustyni Gutawskiej, więc miejscowi mieli na ten temat swoje zdanie.

Normalnie już dawno dostrzegłby lśniąca taflę wody, jednak dziś musiał mrużyć oczy przed pyłem unoszonym przez wzmagający się wiatr. Wiało prosto od pustyni, a to nigdy nie był dobry znak. Piaskowe wydmy zaczynały się dobrą godzinę drogi od farmy, jednak bywały już w przeszłości burze piaskowe zdolne przemieścić je i na taką odległość.

Z zamyślenia wyrwało go jakieś poruszenie w oddali. Zasłonił oczy ręką, starając się lepiej temu przyjrzeć. Spodziewał się susła, kojota lub jakiegoś innego zwierza, jednak z pyłu wyłonił się wychudły jak patyk chłopak, którego nigdy wcześniej nie widział. Z pewnością nie był to nikt z miejscowych.

Chłopak podszedł do niego i przystanął. Z bliska wyglądał jeszcze gorzej.

- Skąd jesteś? - zapytał Dosi Abrago ostrożnie.

- Z Frateu - odpowiedział chłopak. - A raczej z Hutskiej. Potrzebuję pomocy. Padł i się nie rusza. Leży już tak pewnie z godzinę.

- Z Frateu? Z Hutskiej? - Dosi nigdy o takich miejscach nie słyszał.

- Z drugiej strony pustyni, z południowego skraju - odpowiedział chłopak tonem tak oczywistym, jakby rzeczywiście mówił prawdę. A przecież byłoby to absolutnie niemożliwe. - Pomóżcie mu, bardzo proszę...

Dosi Abrago ruszył niepewnie, choć wobec głupot, jakie ten chłopak wygadywał, nie był przekonany, czy jednak powinien. Sam pomysł, że ktoś mógł tu dotrzeć z drugiego końca pustyni, brzmiał nieprawdopodobnie. Gdy dotarli na wskazane przez chłopaka miejsce, znaleźli jedynie odcisk ludzkiego ciała na miękkim, bagnistym brzegu jeziora.

Abrago rozejrzał się bacznie. To mogła być jakaś pułapka.

- Jak się ten twój towarzysz nazywał?

- Nie wiem. - Chłopak wzruszył bezradnie ramionami. - Ale słyszałem, jak ludzie wołali na niego Bakly.

Abrago wciągnął głęboko powietrze. Bardzo głęboko nawet.

- A nie dał ci czego przypadkiem? Albo nie przykazał powiedzieć? - zapytał po chwili.

- Owszem. Dał mi tę pieczęć. Podobno mam ją oddać prawowitemu właścicielowi. Tylko że ja wcale nie wiem, kim on jest i jak się tam dostać. I do tego nie mam nic, ani pieniędzy, ani jedzenia. Jestem całkiem sam.

O ile do tej pory chłopak wykazywał się niezwykłą wytrzymałością i odwagą, teraz wyraźnie upadł na duchu.

Abrago uniósł do oczu podany mu przez chłopca przedmiot i prawie natychmiast z szacunkiem oddał.

- Myślę, chłopcze, że ty już nigdy więcej sam nie będziesz. No, chyba że sam sobie zażyczysz. Chodź ze mną do domu. Najesz się i wypiszesz, a potem ruszamy w drogę. Książę Dask z pewnością się ucieszy, kiedy dostanie pieczęć z powrotem.

DO SZPIKU KOŚCI



Słońce wreszcie zachodziło. Wiedział o tym i bez otwierania oczu. Nie orientował się, który z preparatów za to odpowiadał, ale w ostatnim czasie umiał rozpoznać poszczególne godziny w nocy. Wstał i choć na poddaszu panował dość nieznośny upał, wstrząsnęły nim dreszcze. Kolejny z nieoczekiwanych efektów ubocznych, na szczęście nie tak groźny, jak te pozostałe. Spojrzał na przedramiona poznaczone niezliczonymi bliznami i otarciami. Od nieustających treningów wciąż przybywało mu nowych. Uzmysłowił sobie, że już dawno nie ćwiczył. Z drugiej strony, dziś go czekało zadanie, które spokojnie wystarczy za trening. Poćwiczyć może zawsze później, na przykład jutro rano.

Rozejrzał się. Jednym z powodów, dla którego wybrał ten nadzwyczaj drogi, stary dom, będący niegdyś szlachecką willą, były bardzo wysokie stropy. Wszystkie pomieszczenia, z korytarzem głównym włącznie, przemienił w serię sal gimnastycznych wypełnionych najróżniejszymi przyrządami do trenowania rozmaitych stylów walki. Chociaż jednak... jeśli cała sekwencja wyjdzie mu idealnie, może to znak, że wszystko skończy się pomyślnie, rozmyślił się po chwili.

Jednym płynnym ruchem zrzucił z siebie jedwabną piżamę, przy czym nie zdołał się oprzeć pokusie, aby przyjrzeć się swoim nogom i ramionom. Były tak umięśnione i żyłaste, że aż przerażały jego samego. Wciąż się jeszcze do nich nie przyzwyczyił i pewnie już nie zdoła. Miał przynajmniej nadzieję, że to już kres tak drastycznych zmian. Nadzieja jak nadzieja...

Pozostałych po ostatnim właścicielu zwierciadeł pozbył się już dawno. Nie mógł znieść własnego wyglądu. Teraz tego żałował, miał wrażenie, że wyobrażenia musiały być znacznie gorsze niż rzeczywistość. Chociaż kto wie?

Puścił się biegiem, mała trampolina wyrzuciła go o mały włos za wysoko, ale skulił się wcześniej, zrobił jedno salto więcej i wylądował dokładnie tam, gdzie sobie zaplanował. Przy lądowaniu jednym ruchem pochwycił z przygotowanego stojaka dwa noże, rozpędził się, wbiegł po ścianie prawie pod sam sufit i w trakcie salta w tył cisnął nożami. Nie przystanął, żeby skontrolować trafienie, zatrzymał się dopiero w ostatnim pomieszczeniu w przykłęku. Mięśnie rąk i nóg paliły go od wysiłku. Miał przecucie, że wszystko wypadło idealnie.

Odwrócił się. Ostatnie noże do rzucania wciąż jeszcze chwiały się wbite w środek czerwonych okręgów zakreślonych na ludzkich figurach wykonanych z drewna i słomy. Jeszcze nigdy nie udało mu się osiągnąć tak doskonałego wyniku. Jednak jutro wcale nie musi tak być, wystarczy, że zaniedba jakiś szczegół.

Powoli przeszedł całą trasę z powrotem, zbierając wszystkie noże, sztylety i inną broń i układając ją na swoich miejscach na stojaku. Dopiero potem przeszedł do pomieszczenia z TAMTYMI RZECZAMI i zabrał się do przygotowania śniadania.



Nie jestem szczególnie bystry i doskonale zdaję sobie z tego sprawę. Nie jestem jednak też i debilem, w związku z czym było jasne, iż jeśli chcę mieć szansę zarobić parę drobniaków na piwo i jakiś nocleg, to nie mogę się spieszyć i skończyć z tym rzeźnikiem ot tak, od niechcenia. Tyle potrafię zrozumieć bez trudu. Kłykcie zaciśniętych pięści miałem już jedynie na grubość kciuka od kałuży piwa. Dosyć paskudnego zresztą.

Westchnąłem głęboko, wyszczerzyłem zęby i przewróciłem oczami. Moja ręka zaczęła się powoli oddalać od stołu i ci, co na mnie postavili, gromko zaryczeli. Ci, którzy postavili na rzeźnika, też, ale z wściekłości. Rzeźnik nagle zaczął zmieniać

barwy. Najpierw się zrobił różowutki jak co lepsze ochłapy, które sprzedawał, a potem poszarzał niczym świeża szynka. Znów żeśmy stanęli w pozycjach wyjściowych. Uświadomiłem sobie, że już jakiś czas nie przewracałem oczami, i szybko naprawiłem ten błąd. Wszyscy znów zaczęli się wydzierać. Rzeźnik, trzeba mu przyznać, starał się i spod warstwy sadła, które maskowało jego mięśnie, zaczęły wylazić na wierzch nabrzmiące żyły. Prawdę powiedziawszy, był z niego całkiem silny chłop. Nawet silniejszy, niż się spodziewałem.

Pocharczałem trochę z udawanego wyczerpania i zacząłem powoli spychać go do defensywy.

W połowie drogi zrozumiał, że przegrał. Poznałem to po spojrzeniu, które mi rzucił, i po tym, jak nagle słabł jego opór. Mogłem pójść na całego, wyrwać mu staw łokciowy lub barkowy, mogłem mu pewnie i pozrywać wszystkie ścięgna. Nie zrobiłem tego jednak.

Kiedy oparłem pięć o stół, publika wybuchła nieokiełznaną wrzawą.

- Wisisz mi - powiedziałem, choć nie mógł mnie dosłyszeć. Mimo to zrozumiał, pokiwał głową bez chwili wahania.

Dotarłem tu z pięcioma miedziakami, w porozrywanej koszuli i dziurawych spodniach. Trudno się z takim przeciwnikiem liczyć i dlatego nie zarobiłem jeszcze zbyt wiele. Pięć srebrnych wystarczyło na nocleg ze śniadaniem i nowe buty. Te mi były potrzebne w pierwszej kolejności.

- Widowisko niezłe, ale to nie był dla ciebie wymagający przeciwnik - odezwał się do mnie dziobaty chudzielec, kiedy kończyłem trzecie piwo. To dostałem za darmo.

- Sił mu zabrakło - odburknąłem niezobowiązująco.

Chudzielec pił wino. Z butelki, a nie z dzbana. Był elegancko ubrany i bardzo pewny siebie, co znaczyło, że jest dobrze dziany.

- Czym żeś się do tej pory zajmował? - kontynuował rozmowę, jakbym mu dał jakikolwiek sygnał, że jestem nią zainteresowany.

- Silny jestem - odpowiedziałem.

Nie kłamałem. Rzadko kiedy kłamię, bo potem muszę

pamiętać, co naopowiadałem, a z tym jest za wiele zachodu.

- Nie wyglądasz, prawdę powiedziawszy, aby ci to popłacało - skomentował mój wygląd.

Nigdy nie przepadałem za takimi dowcipnymi mądralami, ale skoro z nas dwóch to on miał pieniądze, postanowiłem trzymać się na wodzy i grać swą rolę splukanego frajera.

- Też prawda - przyznałem.

- Widzisz tego gościa, który siedzi przy stole z żołnierzami w mundurach?

- Widzę.

- Pokonaj jego, a dostaniesz dziesięć złotych.

Kiedy wymienił sumę, w mojej głowie natychmiast rozbrzęczały się dzwonki alarmowe. Dla normalnego człowieka wykonującego uczciwą pracę to była kupa pieniędzy. Tyle to się zazwyczaj zarabia w trzy miesiące. Jak się człowiek natyra i w dodatku ma fach w ręku.

- Nowy tu jestem, nie widzę powodu, dla którego miałby się chcieć ze mną siłować.

- Ja już to załatwię. - Wzruszył ramionami.

- A jeśli nie wygram? - Chciałem wiedzieć, na czym stoję.

- Przegrani nie interesują nikogo.

- Dobra.

Nie wiem, jak to dziobaty załatwił, ale zanim zdążyłem dopić czwarte piwo - to już kupiłem za własne - tamten gość stał przy moim stole. Był wysoki, o dobrą głowę wyższy ode mnie. Jak i wiele innych osób. Był również ode mnie cięższy, co zdarza się już rzadziej, choć i paru takich udało mi się spotkać. Dziwnie się jednak poruszał. Nieco przygarbiony, ręce miał jakieś takie zbyt długie i zbyt masywne, a za to nogi krótsze, niżby człowiek oczekiwał.

- Nazywam się Rosen - przedstawił się. - Podobno jesteś ochotny, żeby się ze mną sprawdzić na rękę. - Dla rozproszenia wszelkich wątpliwości wykonał charakterystyczny ruch ramieniem.

- Jasne, czemu nie - odparłem. - Tamten mnie namówił. -

Skinąłem głową na dziobatego, który przyglądał nam się z oddalenia. Dostrzegł mój gest i odniosłem wrażenie, że nie był z tego powodu nadmiernie szczęśliwy. Cóż, życie to nie jest lizanie miodu.

- A, ten... - uśmiechnął się Rosen. - Jeszcze nigdy nie przegrałem.

- A ja owszem. Parę razy - przyznałem się otwarcie.

Aczkolwiek nie na rękę, ale to już inna sprawa. Kłamać może nie lubię, ale z zatajaniem prawdy radzę sobie znacznie lepiej.

Moja odpowiedź go przyhamowała.

- Możesz zrezygnować, to przecież tylko taka zabawa.

Sam wyglądał, jakby zaskoczyły go jego własne słowa.

- No co ty? - Machnąłem dłonią. - A co on za jeden? - Wskazałem na dziobatego.

- Pracuje dla Olvena - odpowiedział Rosen. - Ale skoro ty nie jesteś tutejszy, to dla ciebie bez różnicy. To co?

- No to dawaj. - Rozłożyłem ręce, jakby nie pozostało mi nic innego.

Już nasza pogawędka wzbudziła zainteresowanie przy stolikach wokół, jednak kiedy zasiedliśmy naprzeciw siebie po obu stronach stołu, staliśmy się natychmiast głównym wydarzeniem wieczoru. A przecież w planach nie było nawet rozlewu krwi. Świat nie jest już taki sam, jak za moich młodych lat.

Pomimo tego, iż przed paroma chwilami pokonałem miejscowego specja od zapasów, ten gość nie wydawał się ani odrobinę zaniepokojony. Siła to taka szczególna cecha, nigdy jej nie można mieć za wiele. Pewność siebie Rosena trochę mnie jednak zaskakiwała.

Z czego wynikała, zrozumiałem natychmiast, kiedy tylko splotły się nasze dłonie.

Wszystkie proporcje miał nie tak. Nie zgadzała się długość ramienia i przedramienia, miał dziwaczne palce, a z kolei jego kciuk nie był nawet w połowie tak ruchliwy jak mój. Oprócz tego, że był wielki jak stodoła, Rosen miał jeszcze ukrytego w rękawie asa. Jego tatko, dziadzio albo pradziadzio, względnie

matuś, babka lub prababka, nie był człowiekiem, ale szarym gorylem górskim.

Nigdy żadnego osobiście nie spotkałem, lecz widziałem ryciny. Słyszałem również relację od jednego człowieka, który się z nimi zetknął oko w oko. Szare goryle górskie mają zupełnie inne mięśnie niż ludzie. Przy tej samej wadze są o wiele silniejsze i szybsze. Podobno potrafią chwycić w obie łapy górską pumę i trzymając w powietrzu, złamać wpół jak patyk. Czegoś takiego ja bym nie dał rady dokonać. Chyba.

- No to dawajta, chłopcy - zakrzyknął nieco już wstawiony sędzia.

Więcej mi nie było trzeba. Zebrałem wszystkie swoje siły, podczas gdy Rosen, ufny w swą niehumanitarną przewagę, nie zdążył zareagować. W mgnieniu oka jego pięść znalazła się o włos nad deskami stołu. Spojrzał na mnie zaskoczony i zrównoważył nacisk. W tak niewygodnej pozycji było to absolutnie niewyobrażalne. Żaden człowiek nie zdołałby czegoś takiego dokonać. Spiąłem się, na momencik popuściłem i znów natarłem z całej siły. Wóz albo przewóz. Na drugi taki manewr już mi nie wystarczy siły.

Nie przypuszczałem, że coś takiego jest w ogóle możliwe, znów udało mi się go zaskoczyć i kłykcie jego dłoni na króciutką chwilę dotknęły powierzchni stołu. Wreszcie znów wyrównał ze mną siły i odepchnął mnie do pionu, ale było już za późno. Przegrał.

Jeśli na koniec mojego poprzedniego pojedynku wybuchło szaleństwo, teraz musiał to być co najmniej koniec świata.

- Jak się nazywasz? - spytał, podnosząc się od stołu.

- Bakły - odpowiedziałem i ruszyłem zgarnąć swoją wygraną.

I tak w kieszeń wpadł pieniądz, a w miasto poszła reklama.



Na zewnątrz było chłodniej, niż się spodziewałem. W ulicznym ścieku częściowo opuszczonej dzielnicy kulił się palacz opium. Wymizerniał, o krok od śmierci, nie dbał o nic ani o nikogo,

jedynie o fajkę, która pozwalała mu zażywać narkotyki. Długo go obserwowałem, zastanawiając się, czy mu przypadkiem nie zazdroszczę. Chyba jednak nie, ale nie byłem stuprocentowo przekonany.

Z pieniędzmi w kieszeni nie było trudno znaleźć nocleg, nawet jeśli nie miałem zamiaru być rozrzutny.

Łóżko okazało się twarde, wielkie i - o dziwo! - niezawszone. Spało się dobrze, na parę chwil udało mi się zapomnieć o rzeczach, o których nie chciałem myśleć. I, jak zawsze, ten błogostan nie trwał długo. Umyłem się pod pompą na podwórku i wróciłem na śniadanie, które zostało wliczone w cenę pokoju.

- Zapłaciłem za potrójne śniadanie - powiedziałem, kiedy posługująca dziewczka, córka gospodarza, stawiała przede mną na stole talerz ze smażonymi jajkami. Dostałem pięć, normalna porcja liczyła dwa.

- Przecież będziecie i tak nie zjedli - odpowiedziała.

- Chcę moje jajeczko - powiedziałem spokojnie, lecz stanowczo.

- Te wam przecież wystarczą. Popatrzcie tylko, jakie wielkie.

Zjadłem je wszystkie i, rzeczywiście, wystarczyły. Co nie zmieniało faktu, że mnie na jedno jajko oszukali. Odsunawszy pusty talerz, wszedłem na zaplecze, gdzie przy kuchni krzątał się sam właściciel. Widać był to taki mały, rodzinny interes. Złapałem gościa za tył głowy i przycisnąłem w dół, twarzą ku patelni z rozgrzanym olejem. Jego krzyk natychmiast ściągnął do kuchni ciekawskich, głównie kolejnych członków rodziny.

- Wisicie mi jajeczko, za które zapłaciłem - wyjaśniłem powód mego niezadowolenia, kiedy nabierał w płuca powietrza do kolejnego wrzasku. Powierzchnia wrzącego oleju znajdowała się już o włos od oczu. Na jego miejscu uważałbym, żeby nie zacząć płuć.

- Postradaliście rozum?! Dam wam cały tuzin tych cholernych jajek! - krzyczał.

- Dobrze. - Puściłem go. - Czekam.

Obietnicę spełnił. Jego szczęście.



Po tym, jak wreszcie zmożłem dokładkę śniadania, wyszedłem powąłęsać się trochę po mieście.

Damarkanda była skrzyżowaniem traktów kupieckich. Towary z południa szły na północ, ze wschodu na zachód i na odwrót. Tu docierały i stąd wychodziły te najdalej idące karawany. Drogie tkaniny, przyprawy, biżuteria - wszystko, co wystarczająco cenne, aby opłacało się przetransportować o tysiąc kilometrów dalej, było przekładane ze skrzyni do skrzyni, a czasem nie dalej niż z jednego straganu na drugi. Zamęt potęgowali zwykli, mali ludzie, próbujący jakoś zarobić na życie. Pomiędzy nimi kręcili się żołnierze, którzy towarzyszyli urzędnikom celnym przeprowadzającym losowe kontrole i inkasującym na miejscu opłaty należne za niezadeklarowane towary. Co oczywiste, nigdy przy tym nie obchodziło się bez obowiązkowej szarpaniny. Starłem się uważać, żeby się w nic podobnego przypadkowo nie wplątać.

Między tymi wszystkimi luksusowymi dobrami skrywały się jednak inne, te nielegalne. Opium, haszysz, khat, koka, marihuana, peyotl. Najwięcej oczywiście opium. Damarkanda była największą stacją przesyłkową. Z biedniejszych terenów wewnątrz ładu narkotyki szły do bogatszych części świata. Zarówno cesarskich, jak i niezależnych kupieckich metropolii.

Nie udało mi się odgadnąć, którzy z kręcących się po targowisku żołnierzy i urzędników celnych zostali przekupieni, aby przemykać oczy na ciemne opiumowe chlebki. W cesarstwie narkotyki, z wyjątkiem tytoniu, trawy i alkoholu, były nielegalne i handel nimi ścigano. Ostatnimi czasy ścigano wręcz bezwzględnie, zwłaszcza jeśli chodziło o opium.

Z tego właśnie powodu główny nurt odurzającego towaru zaczął płynąć w kierunku pogranicza, gdzie władza cesarska i jej metody egzekwowania prawa stawały się nieco bardziej rozwodnione. Interes musiał się wszak kręcić, a ten interes przynosił istic krociowe zyski, które warte były ryzyka.

Żołnierzy zrobiło się nagle jakby więcej, więc szybko wcisnąłem się do jednej z bocznych uliczek. Znalazłem tam siedzącego wprost na ziemi starca palącego fajkę. Sama skóra i kości, nie rejestrował, co się wokół niego działo. Nieobecny wzrok utkwiony miał gdzieś w pustkę. Wystarczyło jedno pociągnięcie nosem, żeby poznać, iż w fajce nie tlił się tytoń. Duchem musiał być w istnym rajach ćpunów. Oto siedziała przede mną ciemna strona handlu opium. W Damarkandzie było takich posągów całe mnóstwo. Powiadali, że kto pociąga z fajki raz, dwa razy na tydzień, wydłuża swoje życie o połowę, kto raz, dwa razy dziennie - o połowę skraca. Kto palił jeszcze więcej, nie miał szans na to, aby żyć dłużej niż trzy lata. Było oczywiste, że temu tutaj czas już się kończył, choć nie wyglądał na kogoś, komu to przeszkadzało.

Poszedłem dalej. Słońce dogrzewało, a pod grubym, sięgającym ziemi kożuchem było mi przyjemnie ciepło. Lubię ciepło. Daje mi złudne poczucie, iż nie jestem aż tak stary i sterany życiem, jak w istocie. Że nie skrzypią mi stawy, ale w dalszym ciągu są ciche i sprawne, jak naoliwione. Ponadto, o ile w przypadku większości osób ciepło rozleniwia, mnie dodaje sprężystości. Oczywiście w sytuacjach, w których jest to konieczne.

Przy straganie z napojami kupiłem dzban piwa, wypilem na miejscu, po czym, tak na wszelki wypadek, wychyliłem jeszcze jeden.

- Mówię ci, lepiej zapłacić, bo to twoja jedyna szansa, jeśli nie chcesz skończyć z poprzetrącanymi gnatami.

Rozejrzałem się. Kawalek dalej, niemalże na środku ulicy, jakiś wielki obwieś trzymał za gardło wysokiego chudzielca.

- No nie mam, przysięgam, że nie mam. Ale w przyszłym tygodniu na pewno...

Trzaśnięcie łamanego palca usłyszałem wyraźnie, lecz okrzyk bólu obwieś zdołał już wytłumić.

- Pan Horowitz czeka na swoje pieniądze najdalej do pojutrze. A jeśli ich nie dostanie, na złamanym palcu się nie skończy.

Ciemny typ zostawił swoją ofiarę z twarzą wykrzywioną bólem, opartą o ścianę, rzucił mi podejrzliwe spojrzenie i poszedł dalej do kolejnych obowiązków. Chudzielec zaś, zataczając się, ruszył w przeciwnym kierunku. Wyglądał, jakby gotów był iść dokądkolwiek, byle tylko oddalić się od swych problemów. Snułem się za nim, bardziej z braku zajęcia niż jakiegokolwiek konkretnego powodu. Wszedł do domu gry, skąd dobiegał stukot kości i podzwanianie kulek. Czyżby chciał spróbować wygrać pieniądze na pokrycie długów? Do tego przecież potrzebowaliby pieniądze na wejście. Z ciekawości postąpiłem za nim.

Zajęło to chwilę, zanim mój wzrok przystosował się do dusznego półmroku.

Wokół pięciu stołów tłoczyli się mężczyźni, nieświadomi słońca na zewnątrz i w ogóle świata za ich plecami. Śledząc karty, kości i kulki, rzucali wyzwania w twarz fortuny. Zbyt wiele szans im nie dawałem. Mój chudzielec rozmawiał z jakimś człowiekiem. Ten w nic nie grał, siedział w ciemnym kącie i bacznie się rozglądał. Dostrzegłem, jak dawał chudemu do ręki coś, co wyglądało jak małe kostki. Przypominały trochę twarde, brązowy cukier, jakiego używają na południu. Chudzielec jedną z nich natychmiast wrzucił do ust, pod język. W przeciągu kilku chwil z jego twarzy zniknęło przerażenie, a za moment wyglądał, jakby w ogóle ogarnął go pełny błogostan. Z ręki do ręki przeszło trochę drobnych, a za nimi jakieś kulki i tytoń. A zatem chudzielec jakieś pieniądze miał, ale nawet za cenę złamanego palca nie był skłonny ich oddać. Pytanie brzmiało: co mu zrobią następnym razem? Póki co nie wydawał się tym przejmować. Nie przejmowałem się i ja.

Zagadka się wyjaśniła, poszedłem dalej. Metodycznie obszedłem wszystkie uliczki w okolicy trzech targowisk, na których odbywał się cały handel. W lepsze dzielnice się nie zapuszczałem. Nie kryło się tam nic, co by mnie interesowało, a poza tym sam tam pasowałem jak pięść do oka. Sjęstę przesiedziałem pod plecionym zadaszeniem herbaciarni. Przez cały ten czas nikt na mnie nawet nie zwrócił uwagi, co mnie nie

zaskakiwało, a w dodatku bardzo odpowiadało, bo herbaty nie pijam.

Właśnie się zastanawiałem, dokąd się udać na jakiś posiłek, kiedy mnie znaleźli. Dwóch chłopaków, których w widoczny sposób życie nie rozpieszczało, z tych, co to najpierw przyłożą, potem przyłożą jeszcze raz, a dopiero potem pytają. Towarzyszył im trzeci, nieco lepiej odziany, jednak ten z kolei gębę miał tak naznaczoną opilstwem i innymi rozpustami, że z trudem przypominała ludzką. Mieczy ani żadnej innej długiej broni nie zauważyłem, co nie dziwiło, bo w Damarkandzie mieli ją prawo nosić jedynie miejscy gwardziści. Oraz oczywiście posiadacze cesarskiego pozwolenia. Zgadywałem więc, że gdzieś pod swoimi chałatami trzymali jakieś mniej konwencjonalne stalowe niespodzianki. No i czemu nie? Przynajmniej się zabawimy, jeśli się sytuacja rozwinie w niefortunnym, czy może właśnie fortunym, kierunku. Zależało, z której strony na to spojrzeć.

- Bakły? - zapytał szef tej wesołej gromadki.

Przyjrzałem się jemu i jego grupie uderzeniowej.

- A kto pyta? - chciałem się najpierw dowiedzieć.

Przez chwilę wyglądało, że każde tamtym dwóm nakłonić mnie do odpowiedzi, zmienił jednak zdanie.

- Pan Bandarillo. Być może miałby dla ciebie jakąś robotę.

- Wy też przypadkiem pracujecie dla pana Bandarilla? - dopytywałem dalej, przyglądając się tamtym dwóm.

- W tym mieście każdy rozumny człowiek pracuje dla pana Bandarilla - wyjaśnił mi mózg tej trójki, podczas gdy stojące za nim mięśnie pokiwały tylko głowami.

Ospały upał nadal nie odpuszczał. Blask słońca, odbijający się od jasnego piasku wypełniającego ulice, raził w oczy.

- Niektórzy pracują na przykład dla pana Olvena - rzuciłem niezobowiązująco.

Mózg spał się cały, mięśnie sięgnęli pod płaszcze. Kindzały albo coś podobnego, oeniłem.

- Pracujesz dla Olvena? - syknął facecik.

- Nie. - Pokręciłem głową. - Ale wczoraj wieczorem wpadłem w gospodzie na jednego takiego, co pracuje. Pewnie nie jest rozumny. - Wzruszyłem ramionami. - Zawsze jednak zarobiłem na nim wystarczająco, żeby można powiedzieć, iż Olvena pozbawiłem trochę grosza. - Uśmiechnąłem się.

- Rosen - powiedział mięsień prawy, podczas gdy lewy tylko wciągnął z sykiem powietrze przez zaciśnięte zęby.

Wyglądało na to, że wieści rozlatywały się po okolicy szybciej niż muchy.

- Zarobisz więcej. Pan Bandarillo potrafi docenić zdolnego człowieka.

- No, jak tak to tak - zgodziłem się. - Pieniądz to pieniądz.



Wbrew moim oczekiwaniom pan Bandarillo nie mieszkał w gospodzie, ale w lombardzie. Małeńki kantorek, w którym biedacy stawali się jeszcze biedniejsi, a sprytni kombinatorzy nieco bogatsi. Z ciasnego pomieszczenia, w którym załatwiano interesy, prowadził bardzo wąski korytarz z licznymi drzwiami po obu stronach. Pomieszczenie, do którego mnie zawiedli, było z kolei wielkie. Zaskakująco wielkie, jak na zwykły z zewnątrz dom, i do tego dziwacznie przyozdobione. Ściany obłożone zostały śnieżnobiałymi poduszeczkami. Z początku nie rozumiałem, co to miało być, ale przy bliższych oględzinach okazało się, że do każdej przyszpilony jest jakiś chrząszcz. Były ich setki, tysiące, a może i więcej. Małe, duże, okrągławe i podłużne, czarne, zielone, złociste. W samym środku sali, na krześle przy okrągłym stole, siedział największy żuk ze wszystkich. Gnojarek chyba czy jak mu tam. Przynajmniej takiego mi przypominał. Ubrany był w jakieś takie nieokreślone gieżło, które przypominało jako żywo worek na ziemniaki. Jedno oko ukryte miał za soczewką - monoklem, przypomniałem sobie po chwili właściwe słowo.

Gnojarka chroniło trzech łachmytów nieco wyższej klasy niż ci, co mnie tu przyprowadzili. Uzbrojeni byli w lekko zakrzywione

miecze, właściwie to po prostu szable, z wyraźnie rozszerzającą się głownią gdzieś tak w szczytowej jednej trzeciej. Taka broń najlepsza jest z siodła, kiedy czasu wystarcza zazwyczaj na jedno solidne cięcie. Do szermierki zdecydowanie za wolna. Z drugiej strony, ze mnie też szermierz był żaden. Ostatnim obecnym był elegancko ubrany młodzian. Pomimo iż zrozumiałem od razu, że jest o wiele lepiej urodzony niż wszyscy pozostali razem wzięci, to jednak rozumiałem też, kto tutaj rozdawał karty.

- A zatem, panie le Monte - gnojarek dokończył rozmowę, w której musieli być pogrążeni, zanim przybyłem - warunki mamy obgadane. Niezwykle przyjemnie robi się z wami interesy.

Le Monte wydobył z siebie jakąś niejasną odpowiedź i na wyraźnie słabych nogach ruszył do wyjścia. Odniosłem wrażenie, że warunki umowy odbiegały dalece od jego początkowych oczekiwań, a i sam interes pewnie nie miał mu przynieść zbyt wielkiej korzyści.

- Widzę, że przyglądacie się moim ślicznotkom - dostrzegł mnie gnojarek. - Który się wam podoba?

- Tamten. - Wskazałem grubego chrząszcza, którego pancerz mienił się wszystkimi barwami tęczy. Żuwaczki miał dłuższe niż mój palec wskazujący. I grubsze.

- To złoty tytan. Jak już się w coś wgrzyzie, to nie popuści, dopóki ofiary nie zabije. Choćby sam miał przy tym zginąć.

Zupełnie jak ja. Nie odezwałem się jednak, kiwnąłem tylko głową w milczeniu.

- Nie znam się na robalach - wyznałem wreszcie. - Powiedzieli mi - spojrzałem na swoją eskortę, która nieco jakby straciła na znaczeniu - że pan Bandarillo dobrze płaci. Odpowiednim ludziom.

- Właśnie rozmawiasz z panem Bandarillem, głupcze - warknął na mnie łachmyta stojący najbardziej po lewej. Wyglądał na takiego, co lubi się nagadać. Gawędziarz znaczy.

- Nie mówili, że pan Bandarillo lubi robactwo - odpowiedziałem z powagą, patrząc wprost na niego.

Bandarillo roześmiał się.

- Mądra odpowiedź - przytaknął.

- To jest ten, co wczoraj wieczorem dostał Rosena - powiedział mój znajomy Mózg, przestępując przy tym niepewnie z nogi na nogę.

- Ach tak? - Bandarillo przyjrzał mi się z większą uwagą. - Potrzebuję ludzi, którzy nie zawahają się użyć siły fizycznej, żeby postraszyć tego lub owego. Na ile się cenicie?

- Za Rosena dostałem dziesięć złotych - wypaliłem.

- Głupcze, to był przypadek! - warknął znów gawędziarz. - Widać nie uważał albo był w sztok pijany.

Środkowy łachmyta oprócz szabli miał jeszcze przy sobie cienki sztylet z niepozorną ciemną rękojeścią. Nosił go przy udzie, gdzie, na pierwszy rzut oka, zlewał się z ubraniem. Do tego nóż przy lewym bucie w specjalnej pochwie. Ten był najniebezpieczniejszy. Oczywiście, poza samym gnojarkiem. Człowiek, który jest w stanie wdrapać się na sam szczyt góry gnoju i się tam utrzymać, musi mieć łeb na karku i wcale nie mniejsze jaja. Z tym że Bandarillo był niebezpieczny potencjalnie dopiero w dalszej przyszłości. Zdecydowałem, że jeśli gawędziarz jeszcze raz otworzy dziób, zabiję go bez czekania i bez względu na konsekwencje. Rola czy nie, wszystko mi jedno.

- Dziesięć złotych to dużo pieniędzy - targował się pan Bandarillo. - Tyle nie płacę nikomu. Możesz dostać złotego dziennie za to, że jesteś dostępny i gotowy, piątaka za akcję w zespole i tę swoją dyszkę za solową.

Jego ludzie wyglądali na poruszonych. Musiał mi zaproponować naprawdę wysokie stawki. Pewnie się powinienem poczuć doceniony.

- No to biorę - powiedziałem.

- Zaprowadźcie go do Aksmajlowa, tego zielarza, który ma problemy z Hodeszem - Bandarillo rozkazał mojej eskorcie.

- Samego tak, szefie?

- Pewnie, niech się wykaże. Każdy jakoś musi zacząć.

Nawet jeżeli w słowach Bandarilla krył się sarkazm, nie udało mi się go dostrzec.

- To łatwe zadanie, masz się postarać, żeby go nikt nie otruł - zwrócił się wprost do mnie. - Płaci mi za ochronę i byłoby to wielce krępujące, gdybym nie dostarczył usług, za które biorę pieniądze. - Zaśmiał się i równocześnie wyparł mnie poza okrąg własnego zainteresowania.

Wrócił do ogłędzin żuczków - tych mniejszych. Mnie akurat te większe wydawały się ciekawsze. Może to przez to, że sam jestem wielki, podczas gdy gnojarek był taki raczej chłystkowaty. Ciągnie swój do swego.

Kiedy wychodziłem, odniosłem wrażenie, że moje wynagrodzenie pozostałym nie wydaje się już aż tak wygórowane. Ciekawe czemu?



Mózg i dwóch jego ciółków zaprowadzili mnie do pracowni kupca, którego miałem ochraniać, po czym skwapliwie próbowali się zmyć.

- Hej! - Zatrzymałem ich w progu. - Gdzie tu można znaleźć jakiś przyzwoity kąt za przyzwoitą cenę?

- Zajazd Balika nie jest zły, a do tego dla ludzi pana Bandarilla zawsze mają specjalne ceny. Powiedz, że przysłała cię Parly - poradził mi miesiąc numer jeden.

- Dzięki. A ciebie jak mam znaleźć? - zwróciłem się do tego drugiego.

- Pytaj o Duvala - wymamrotał niewyraźnie.

Ich szef wystrzelił na ulicę, wyraźnie niezainteresowany tym, abym go miał spytać o imię.

- Ciebie znajduję bez trudu, mordo moja! - krzyknąłem w ślad za nim.

Serdecznymi przyjaciółmi już raczej nie zostaniemy, ale przynajmniej pewnie zdołałem mu trochę popsuć humor. A to już coś.



Wprowadziłem się i zjadłem kolację w małym pokoiku z zaskakująco wielkim oknem. Można było przez nie wygodnie wyjść na okoliczne dachy. Wyglądało na to, że mnie utrzymają, co wnioskowałem z faktu, że miejscowi sypiali na nich niczym na tarasach. Jak również oddawali się innym czynnościom, których nie widziałem, ale słyszałem całkiem wyraźnie.

Po słonecznym dniu każdy kawałek drewna, każda deska podłogi promieniowały ciepłem. Do tego rozgrzał mnie i posiłek. Odsunawszy pustą tacę, zacząłem się rozbierać. Wyraźnie słyszałem ostrożne kroki kogoś, kto wspinał się po schodach. Oprócz mojej klitki na piętrze znajdowały się jeszcze tylko dwa pokoje, ale gość wyraźnie zmierzał do mnie.

- Wejść - warknąłem.

W drzwiach stanęła pomocnica właściciela zajazdu. Była tak stara, że nawet wobec często się wymieniających gości męskiego rodzaju musiała się czuć całkiem bezpieczna.

- Gorzałkę niosę - wyjaśniła i postawiła na stole butelkę.

- Żadnej nie zamawiałem - odburknąłem gwałtowniej, niżbym sam po sobie oczekiwał.

- Specjalna oferta. Goście pana Bandarilla zazwyczaj biorą chętnie.

Machnąłem ręką, nie chciało mi się wdawać w dyskusję. Obróciła się, zamknęła za sobą drzwi, a w pokoju została po babie jedynie ta butelka z przejrzystą cieczą. Zakorkowana, z szyjką zapieczętowaną woskiem. W tym klimacie należało butelki zatykać porządnie, inaczej wszystko dobre ulatywało.

Cisza. Uświadomiłem sobie, że siedzę na brzegu łóżka i prosto się w tę flaszkę gapię.

Piłem. Przez wiele lat piłem tyle, że aż się sam dziwiłem, iż jeszcze od tego picia mnie szlag nie trafił. Piłem, żeby zapomnieć, i rzeczywiście, były takie okresy, czasem całe miesiące, z których nie zapamiętałem nic. Nawet tych ludzi, których zabijałem. Potem przestałem, bo miałem powód, ale ten mi się z wolna znów wymykał.

Rozebrałem się do naga, otworzyłem okno na oścież i stanąłem

w nim, pozwalając, aby wieczorne powietrze chłodziło wzbierający we mnie żar. Lubię ciepłko... Ale tylko jak się poruszam.

Obudziłem się wcześnie, jeszcze przed świtaniem. Pierwszą rzeczą, na jaką padł mój wzrok, była ta flaszka. Sam czułem się zaskoczony, ale okazała się pełna. Wziąłem głęboki oddech, stała tam nadal. Otworzyłem drzwi i wcisnąłem pod nie klinik, jaki wyciąłem ze stołowej nogi. Zaczepiłem nogi pod kolanami o górną krawędź i zacząłem ćwiczyć brzuszki. Sto, dwieście, trzysta. I od nowa. Do czasu, aż pierwszy skrawek tarczy słonecznej pojawił się nad horyzontem. Nagi facet zwisający z drzwi mógł przykuć czyjś wzrok, a tego chciałem uniknąć. Skończyłem gimnastykę i w samych tylko spodniach poszedłem się umyć pod pompą na dole. Zanim się tam znalazłem, wokół kręciły się już kobiety nabierające wody do swoich domów i obejść. Kiedy na nie nie patrzyłem, przyglądały mi się, szeptały do siebie i albo chichotały, albo z obrzydzeniem kręciły głowami. Jednak kiedy na nie spoglądałem, spuszczały oczy, odwracały głowy i wreszcie uciekały. Przyzwyczailem się już dawno, a poza tym przestało to już mieć dla mnie jakiegokolwiek znaczenie.

Stawiłem się pod drzwiami zielarza Aksmajlowa, jeszcze zanim otworzył swój kram. Z okna na piętrze przyglądał się, jak nadchodzę, pewnie miał mieszkanie tuż nad pracownią. Z wyglądu musiałem mu się nie spodobać, bo schował się, gdy tylko spojrzałem w górę. Nie zdziwiłbym się, gdyby tam stał z naładowaną kuszą. Tyle by z niej miał, ile mu dodała odwagi, bo nie przypuszczam, aby umiał ot tak do kogokolwiek wystrzelić. Do tego potrzeba beznamietnego wyrachowania, a tego większości zwykłych ludzi brakowało. Co stawia ich w przegranej sytuacji, kiedy muszą stawić czoła nam, zabójcom.

- Przysłała mnie pan Bandarillo - oznajmiłem mu.

Całkiem go to nie przekonało, ale wpuścił mnie do środka. Wcisnąłem się do kramu, siadłem na ławeczce w kącie i czekałem. Ludzie przychodzili i kupowali ziółka. Jeśli mnie który zauważył, zachowywali się, jakbym był naturalną częścią

wyposażenia. Większość mnie jednak w ogóle nie zauważyła. Podświadomość potrafi płatać takie figle. Wszystkie te najgorsze rzeczy, które mogą nam się przytrafić, zwyczajnie wypychamy z życia.

Interes szedł mizernie i zaczynałem się zastanawiać, jakim sposobem Oduv Aksmajlow tak właściwie wiąże koniec z końcem, kiedy pojawił się wyschnięty chłopak, który jakoś nie wyglądał na zapalonego miłośnika gotowania i przypraw. Aksmajlow go znał. Nawet nie zawrócił sobie głowy wychodzeniem na zaplecze.

- Przyszedłem po towar, dwie ćwiartki - powiedział tamten.

- Pieniądze?

Zadzwońnięto złoto w mieszku. Dobre cztery dyszki. Zgadywałem na słuch, ale nawet jeśli się pomyliłem, to niewiele. W liczeniu złota nie mam sobie równych. Aksmajlow zgarnął pieniądze i w odpowiedzi położył na ladzie dwa ciemne brykieciki. Rozpoznałem opium. Przybysz uniósł je po kolei, zadrapał paznokciem, powąchał, po czym kiwnął głową i schował je do torby.

- Do zobaczenia za miesiąc - powiedział, wychodząc.

Było więc jasne, że nie chodziło w tym interesie o ziółka. Chociaż opium to też zioło, co nie?



Dzień drugi minął mi tak samo jak pierwszy. W tym czasie zdołałem się jednak wywiedzieć, że Hodesz, przed którym miałem ochraniać Aksmajlowa, był przybyszem skądś ze wsi, który w krótkim czasie rozpanoszył się w Damarkandzie na kilku ulicach i teraz próbował oficjalnie wywalczyć sobie własny kwartał. Jego specjalnością była ochrona, co potrafiło przynieść wcale niezłe zyski komuś, kto jest pozbawiony zbędnych skrupułów. Wnioskując z opowieści kramarzy i rzemieślników, którym połamał ręce i nogi, jego ten problem nie dotyczył.

W południe zjawił się Mózg w towarzystwie Duwała. Parlego gdzieś zostawili. Pewnie siedział w lombardzie i żałował, że w

tym upale nie dali mu pospacerować na zewnątrz.

- Jak idzie? - spytał Mózg.

- Dobrze. - Wzruszyłem ramionami. - Siedzę spokojnie na dupie i zarabiam moją drugą dyszkę.

- Pierwszą - sprzeciwił się. - Dychę dostajesz za akcję w pojedynkę, a tak jak dziś, to jest tylko za złotego.

Brał mnie ewidentnie za jakiegoś chłopka-roztropka i myślał, że będzie mógł zgarnąć do kieszeni kasę za moją ciężką pracę.

- Jeśli chcecie zamienić się na robotę, wasza sprawa, ale ja się z Bandarillem umówiłem na dychę dziennie i swoje pieniądze dostanę. Podejrzewam nawet, że właśnie przyszlście z moją wypłatą.

Duval zrobił zabawną minę, Mózg z kolei przybrał dość żaloszny wyraz pyska. Po krótkiej chwili zmagania się z samym sobą położył jednak na stół dwadzieścia złotych.

- Łatwy zarobek - powiedziałem, chowając pieniądze.

- Żebyś zaraz nie musiał zmienić zdania - rzucił mi w twarz i już go nie było.

- Hodesz ma ostrych chłopaków - ostrzegł mnie Duval na odchodnym.

Mało mnie to zaskoczyło. Gdyby było inaczej, Bandarillo nie zgodziłby się tak chętnie na moje warunki.

- Jesteście tu nowy? - zapytał mnie podejrzliwie Aksmajłow.

Ciąg dalszy rozmowy przerwał nam dzwonek przy drzwiach. Tykowały młodzieniec nie wyglądał na typowego klienta sklepu zielarskiego.

- Chciałbym... chciałbym coś do palenia. Coś dobrego, coś przyjemnego - wydukał wreszcie.

Akxmajłow natychmiast przybrał usługową pozę.

- Khat? - Wyciągnął spod lady małą paczuszkę. - Czy może coś lepszego? Mam tutaj coś nowego, po promocyjnej cenie.

Zauważyłem, że młodzian w nerwowych palcach obraca trzy srebrniki.

- Za trzy srebrne możesz dostać dwie porcje, a jeśli po nich ta dziewczyna nie nabierze chęci, dostaniesz jeszcze jedną za pół

ceny.

Chłopak podał Aksmajlowowi pieniądze, w zamian odebrał dwa brązowe papierosy wypełnione haszyszem, opium czy może jakąś mieszanką i wyparował.

- Duże zamówienia, nie powiem, to podstawa, ale cenić trzeba i drobny zarobek. - Aksmajlow uśmiechnął się do mnie.

Racji nie mogłem mu odmówić.

- No i do tego zyskuję w ten sposób nowych stałych klientów, którzy przychodzą do mnie bez względu na to, kto akurat rządzi okolicą.

Cwaniurka. Już wiedziałem, z czego postawił tak wystawny dom.

Siadłem z powrotem w swoim kącie i zacząłem kimać. Dzwonek odzywał się raz po raz, ale nawet nie chciało mi się otwierać oczu. Jednak na chwilę przed zamknięciem sklepu rozległo się dzwonienie zupełnie inne. Agresywniejsze, niosące groźbę. Było ich trzech. Takie chłopaki zawsze chadzają w kupie, tak na wszelki wypadek, gdyby ofierze przyleciała z pomocą na przykład żona.

- Dostałeś termin, termin minął. Płać - powiedział ten środkowy. Wyglądał na szybkiego chojraka, takiego, który w bójce potrafił zrobić użytek i z rąk, i z nóg, kiedy było trzeba.

- Wyciągaj broń, do cholery! - wrzasnął na mnie Aksmajlow, po czym sam uskoczył w najdalszy kąt.

- Kiedy nie mam - odparłem, pokazując puste ręce.

Ożywili się w mgnieniu oka, ani się człowiek obejrzał, a już trzymali w dłoniach długie na przedramię pały. Widocznie nie byli zainteresowani uczciwą walką. Błąd. Ich szef się wycofał, pewnie nie chcąc odbierać przyjemności kolegom.

- Idę, idę już - mamrotałem, kiedy zgarbiony człapałem w ich stronę. W moim długim płaszczu musiałem wyglądać jak jakiś tłusty safandula. - Bandarillo nic nie mówił, że będzie was trzech - marudziłem niezadowolony.

- Nie bój się, grubasie, jeden z nas wystarczy, żeby ci dać nauczkę - powiedział ten po prawej, uderzając pałąk w otwartą

dłoń. Moment później już za nią chwyciłem i szarpnąłem krótko do siebie. Siła bezwładu obróciła go i wypchnęła ramię do góry, wystarczyło oszczędne uderzenie drugą ręką i złamałem bandycie łokieć. Zrobiłem krok w bok, aby uciec przed pałą drugiego, co mi się prawie udało. Poczułem ją na brzuchu, ale na tym się skończyło, uderzenie nie było zbyt silne. Zanim zdołał zamachnąć się po raz wtóry, zdążyłem już do niego przyskoczyć i zyskać taktyczną przewagę za pomocą zaciśnięcia palców na jego gardle. Musiała to być przewaga wystarczająca, bo natychmiast przestał się rzucać.

Ich szef nie dał się zaskoczyć. Pozostawił Aksmajlowa, a zamiast tego skoczył na mnie z obnażonym sztyletem o ostrzu tak pofalowanym, że chyba wykuł go ktoś pod silnym wpływem napojów. Nie byłem w nastroju na przekomarzanki, więc po prostu naparłem na niego jego kompanem, po czym obu docisnąłem do lady.

Sztylet musiał być ostry, bo przeszedł przez ciało na wylot. Przebity przez chwilę jeszcze krzyczał, zalewając wszystko dookoła potokami krwi, jego kumpel pod spodem jedynie gapił się w szoku, a ten ze złamaną ręką głośno lamentował.

- To by sprawę załatwiało, nie? - Popatrzyłem na Aksmajlowa.

- Przyszli po mnie, a ty jesteś sam jeden! - darł się wniebogłosy, oszalały ze strachu do tego stopnia, iż nawet nie zauważył, że już po wszystkim.

Przywódca tamtej trójki wydostał się wreszcie spod ciała swojego kompana, ku memu zaskoczeniu trzymając w ręku nóż. Musiał ściągnąć z lady jeden z Aksmajlowych, służący do siekania korzonków na nadzwyczaj drobne cząstki, jak głosił wiszący przed wejściem szyld.

Wściekłość dodała mu animuszu, a do tego był naprawdę całkiem szybki. Uniosłem rękę, w którą dla pewności złapałem jakiś zydel, i bezceremonialnie zmiotłem sprzed mojej twarzy jego dłoń z nożem. Zanim się pokapował, co się stało, zarobił cios pięścią, który jeszcze poprawiłem łokciem. Poleciawszy do tyłu, łupnął o ścianę, po czym padł bez ruchu na ziemię.

- Zadowolony? - zwróciłem się znów do Aksmajłowa.
- Zróbcie im coś takiego, żeby już tu na pewno nie wrócili! - domagał się.

Złapałem tego ze złamanym łokciem i skręciłem mu kark. Woń ziółek definitywnie przegrała bój o powietrze ze smrodem wymiocin.

- Już dziś nikt więcej nie przyjdzie, więc się zwijam - pożegnałem się i zostawiłem handlarza sam na sam z trzema trupami na podłodze. Co z nimi zrobi, to mnie już nie interesowało. Ja dniówkę zarobiłem.



- A zatem zabiliście trzech ludzi Hodesza - mruknął Bandarillo. Jego ochroniarze przyglądali mi się z większą uwagą niż ostatnim razem. Mózg, który mnie tu znów przyprowadził, zażarcie kiwał głową, próbując w jakiś sposób przydać sobie współudziału w sprawie.

Milczałem, bo nie było tu nic do dodania.

- Chodziło o to, żeby go wystraszyć, a wyszło z tego wypowiedzenie wojny. Teraz będzie myślał, że za każdą cenę chcemy go zniszczyć.

Mózg natychmiast ode mnie odskoczył, jakby nie chciał mieć ze mną nic wspólnego.

- Rzekliście, że mam wychodzić naprzód czy jakoś tak - przypomniałem mu. - Znaczy do klienta. Aksmajłow chciał się ich pozbyć i poprosił mnie o pomoc. Możecie mu to policzyć ekstra, za specjalne usługi.

Bandarillo przyglądał mi się identycznym wzrokiem, jak kiedy patrzył na te swoje chrabąszcze.

- Z zabijaniem to wy nie macie problemów, co? - stwierdził.

- Zgadujecie słusznie, panie - przyznałem.

Lepiej tego podsumować nie mógł.

- Może warto, żebyście rzucili okiem na jeden z naszych magazynów. Doszło tam do morderstwa.

- Panie, przecież Bakly to nie jest żaden śledczy czy jak mu tam

- wtrącił się nagle Mózg. Zorientował się, że reprimendy nie będzie, i chciał znów zapunktować.

- No może i rzeczywiście nie jest z niego wielki myśliciel - wszedł mu w słowo Bandarillo. - Ale zna się na zabijaniu. A my musimy się dowiedzieć, kim był ten, co ich zlikwidował.

Myślicielem rzeczywiście nie jestem, więc się nie obrażem.

- Myślę również, że pana Baklego nie trzeba prowadzić za rączkę. Moi ludzie go znają, on drogę także. Idźcie się zająć kantorkiem.

Mózg wyszedł z pomieszczenia, gnąc się w pokłonach, ja - normalnie.

- Wiesz mi, brachu. Pamiętaj, że to ja ci tę robotę nagrałem - pożegnał się ze mną, kiedy zorientował się, że w istocie za nic mam jego usługi jako przewodnika.



Trzymałem się skraju ulicy, gdzie oblewał mnie żar słońca zwielokrotniony przez odbijające światło białe ściany budynków. Kłapy ciężkiego płaszcza falowały w rytm moich kroków, wpuszczając porcjami gorące powietrze. Przyjemnie gorące powietrze. Ulica była opustoszała, co mi bardzo odpowiadało. Nie przepadam za ludźmi. A skoro o ludziach mowa, przyszło mi nagle do głowy, może powinienem rozejrzeć się za jakąś bronią. Po tym, jak urządziłem tamtych trzech, z pewnością zaraz się znajdzie ktoś, kto się będzie chciał ze mną policzyć. A może jednak dam radę obejść się bez żelastwa? Rozleniwiłem się trochę ostatnio, nie chciało mi się ze sobą tachać zbędnego ciężaru, a już tym bardziej, kiedy większość problemów dawała się rozwiązać gołymi rękoma. A i mniejsze miałem szanse, żeby zadrzeć z prawem. Śmierć w ulicznej bójce rzadko kiedy przykuwała uwagę stróżów prawa.

Ulica Ropna należała już do odległych peryferii miasta. To w ogóle była jedna z ostatnich ulic, bo dalej domy stały już chaotycznie, bez żadnego planu. Wejście do budynku gospodarczego, za którym rozciągała się reszta majątku, stało

otworem, przed wrotami tkwił jedynie wysuszony, pomarszczony mężczyzna. Tak wyschnięty, że w tym wczesnopopołudniowym upale nawet się nie pocił. Zmarszczki na twarzy miał tak głębokie, że aż rzucały cienie. Ruszyłem do środka, na wprost oczekując, że będzie próbował mnie zatrzymać.

- Przejdźcie na wskroś, na wewnętrzny dziedziniec. Są w tym budynku z nareperowanym dachem - poinstruował mnie, kiedy go mijalem, po czym siarczyście splunął. - Zastrany upał.

Przeszedłem korytarzem na drugą stronę budynku, wyszedłem na dziedziniec. Wnioskując po pozostawionym tu i ówdzie sprzęcie, miejsce to jeszcze całkiem niedawno rzeczywiście służyło jako folwark. Odnowiony budynek, do którego się skierowałem, musiał być poprzednio stajnią. Teraz, nie licząc trzech ludzi i dwóch trupów, było tu pusto. W powietrzu wciąż jeszcze unosiła się jakaś znajoma jakby woń, jednak chwilowo nie umiałem jej zidentyfikować.

- Ty jesteś Bakly? - spytał mnie najniższy i najgrubszy z trójki.

Miał na sobie jasne spodnie i wyszywaną koszulę. Cienki płaszcz przerzucił przez górną krawędź drzwi. Wszystko z pierwszej jakości tkanin, był tak dobrze ubrany, że aż podejrzanie. Drugim obecnym okazał się Duval. Mózg musiał się czuć samotnie, pozbawiony jednego ze swych przybocznych. Ostatni wyglądał nieciekawie. Nie w sensie, że nie był interesujący, ale nieciekawie jak ktoś, kto spędził przynajmniej jedną noc, ostro balując, chlejąc do upadłego, albo i jeszcze gorzej. Siedział na ziemi oparty o ścianę. Oczy miał tak podkrążone, że ledwo widoczne. Głowę opierał na dłoni, rękę na zgiętym kolanie. Pomimo iż patrzył prosto na mnie, odnosiłem wrażenie, że jednak mnie nie dostrzega. Ten gość wyraźnie nie był bandziorem Bandarilla, to musiał być jeden ze stróżów.

Jego kompanom ktoś przynajmniej zaoszczędził cierpień związanych z kacem. Jednemu z szyi wystawała rękojeść noża, drugi nacieszył się umieraniem trochę dłużej. Przedstawieniu się jednak nie poprzyglądał, bo miał wydłubane oczy.

- Tja... jestem Bakly - odpowiedziałem.

- Bandarillo chce, żebyś się dobrze rozejrzył - powiedział elegant. - Czym chata bogata. - Wykonał zapraszający ruch ręką.

Skinąłem Duwalowi na dzień dobry i zacząłem od tego przebitego. Wyciągnąłem ostrze z ciała. Wyglądało na to, że weszło idealnie pomiędzy kręgi szyjne. Czysta robota. Ten, kto to zrobił, musiał być mistrzem precyzji i opanowania. Sam znajdował się przecież w zasięgu swojej ofiary. Wielkiej siły nie potrzebował. Raz, że pchnął niezwykle dokładnie, a dwa, że miał do dyspozycji fenomenalną broń. Na ostrzu nie pojawiło się najmniejsze nawet wyszczerbienie, stal została świetnie wykuta, sprężysta pod naciskiem.

Rozejrzałem się.

- Zastanawiasz się, którądy weszli?

Sam nie wiem dlaczego, ale jakoś nie sądziłem, żeby tu chodziło o więcej niż jednego człowieka. Może dlatego, że ja sam zawsze pracuję w pojedynkę i trzech naćpanych stróżów nie wydawało mi się szczególnym wyzwaniem. Wskazałem na otwarty świetlik w dachu. Znajdował się dobrych dziesięć metrów nad ziemią.

- To by musieli być jacyś akrobaci. - Elegant pokręcił głową.

Może właśnie byli? Człowiek, który jest zdolny dostać się ofierze za plecy i przeciąć jej kręgosłup, jakby kroić cebulę, nie powinien mieć problemu z zeskoczeniem z dachu. Ja bym nie miał. Oczywiście, o ile ten dach w ogóle by mnie utrzymał.

Zwróciłem swoją uwagę na tego, któremu umieranie nie przyszło z taką łatwością. Zabójca trochę się nad nim napracował. Połamane palce, ręce powyrywane ze stawów, wydlubane oczy... W porównaniu z poprzednim niezła jatka.

- Wyżywał się na nim. - Elegant cmoknął z niesmakiem. - Nie lubię takich zwyrodnialców.

Nie wydawało mi się. Miałem raczej wrażenie, że torturujący chciał wydobyć informacje. Szybko i najprostszymi dostępnymi metodami. Tylko że spartaczył, popełnił kilka błędów. Na samym początku zadał zbyt poważną ranę, dalsze starania nic

mu nie dały, ofiara niewiele już czuła. W torturowaniu jestem ekspertem. Nie jako kat, ale jako wielokrotna ofiara. Ja ludzi nie męczę, ja ich tylko zabijam.

- A co z tobą? - spytałem tego sponiewieranego kaczem. - Jak to się stało, że w ogóle żyjesz?

- Ja się nim zajmę i jeśli pan Bandarillo będzie sobie tak życzył, dowiesz się, co nam wyśpiewał. Teraz już nie mamy czasu, musimy stąd zniknąć - powiedział elegant.

- Nawijaj. - Dałem stróżowi do zrozumienia, że mimo wszystko nadal oczekuję na odpowiedź.

Popatrzył na mnie, na eleganta i zdecydował, z kim przyjemniej mu będzie pogawędzić.

- Kiedy ja nie wiem. Siedzieliśmy, graliśmy w karty, trochę żeśmy popili. W pewnym momencie zarobiłem w łeb, a kiedy się ocknąłem, siedziałem związany i z opaską na oczach. Wiedziałem, że moi kumple są już martwi. Nie odzywali się i śmierdziało trupem. Ja ten smród znam dobrze. On tu wciąż jeszcze był. O nic mnie nie pytał, zmusił tylko, żebym wypalił pod rząd dwie fajki opium. Dalej już nic nie pamiętam. Nie wiem, czy mnie wypytywał, czy jak...

A zatem miał wrażenie, że pojawił się tu tylko jeden człowiek, co zdawało się potwierdzać moje przypuszczenia. Że nie próbował zmuszać do mówienia, też miało sens. Miał już za sobą jedno niepowodzenie z torturowanym, więc tym razem postanowił się wystarać o informacje przy użyciu narkotyków.

- W życiu tego świnstwa więcej nie wezmę - kontynuował stróż.

- Ciągle mi strasznie niedobrze. Nie wiem, jak długo dochodziłem do siebie, ale akurat kiedy się wyswobodziłem z więzów, nadeszli nasi ludzie.

Niedaleko drzwi dostrzegłem koce i porzucone plecaki z widocznymi wewnątrz kształtami butelek. Siedzieli tu we trzech, pilnowali opium, nudzili się i popijali. Normalka. Na zewnątrz żadnych śladów nie udało mi się odkryć, ziemia tam była zbyt mocno ubita.

- No dobra, tyle mi wystarczy. - Zakończyłem oględziny. -

Bawcie się dobrze. - Machnąłem ręką na pożegnanie Duvalovi.

- Mamy wyjaśnić, kto to zrobił. Znaczący co, rozwiązałeś całą sprawę w ciągu tych paru chwil? - zapytał elegant. - Bandarillo mówił, że jesteś niebezpieczny, a tu okazuje się, że ty również jesteś dokładnie tak mądry, na jakiego wyglądasz.

- Wy go sobie znajdziecie, a ja go zabiję - wyjaśniłem mu moją koncepcję całej operacji.

Pokręcił tylko głową.

- Będę musiał powiedzieć Bandarillovi, że z idiotami po prostu nie da się współpracować. - Splunął na ziemię tuż pod moje nogi.

Przy tym upale nie było to nic innego, tylko marnotrawienie wody. Od razu zrozumiałem, że nigdy nie zpuścił się głębiej w pustynię. Kiedy go mijalem po drodze do wyjścia, posłałem na ziemię krótkim, lewym hakiem. Nie mogłem zrozumieć, skąd mu przyszło do głowy, że chciałem współpracować.



Wieczorem w moim pokoju zjawił się pan Łasiczka. Wyglądał jak zawsze. Drobny, niepozorny człowieczek o tak ostrych rysach, że i goła czaszka mogłaby mu pozazdrościć. Przeszliśmy już razem niejedno, choć tak naprawdę każdy z nas kroczył po zupełnie innej ścieżce i jedynie od czasu do czasu te ścieżki się przecinały.

Natychmiast zwrócił uwagę na stojące na stole butelki z gorzałką, ale nijak ich nie skomentował. Zamiast tego postawił im do towarzystwa solidny dzban piwa. Widząc rosę na kamionce, zgadywałem, że zimnego piwa. Bez słowa podał mi dzban, a ja nie tyle się napiłem, co opróżniłem z jednej czwartej zawartości.

- Co nowego? - spytał.

- Handel narkotykami kwitnie. Bez oglądania się na ostatnie cesarskie ukazy - wyjaśniłem pokrótce i oddałem panu Łasiczce dzban.

Jak na kogoś tak drobnego, miał zaskakujące i budzące

szacunek możliwości. Tak oto znaleźliśmy się w połowie dzbana.

Spoglądaliśmy na siebie w milczeniu. Ostatni raz przerabialiśmy tę grę w Saxpolis, ale wtedy akurat mieliśmy do dyspozycji przyzwoite zasoby piwa i tytoniu. Tamtym razem odezwałem się pierwszy, bo skończył się napitek i zrobiłem się głodny. Dzisiaj piwa przyniósł tak mało, że nie było sobie czym zwracać głowy, a do tego przed paroma chwilami się najadłem. Zawiałem się, że wygram, choćbym miał przy tym schudnąć dziesięć kilo.

Łasiczka zręcznie skręcił sobie papierosa, zapalił i ze smakiem się zaciągnął. Podczas naszego poprzedniego spotkania palił fajkę, a jeszcze wcześniej cygara. Widać ciągle w życiu próbował czegoś nowego.

- Wygraliście, poddaję się - powiedział zaledwie po dwóch machach.

Bardzo mnie tym zaskoczył.

- Ostatnim razem milczeliśmy dzień i noc, a wyście nie chcieli ustąpić, choćby się waliło i paliło. Co wam się dziś takiego stało?

- W boju jesteście najniebezpieczniejszym człowiekiem, jakiego w całym swoim życiu widziałem. To jest zwyczajnie wasz sposób na przeżycie. Ja mam inny. Muszę dokładnie oszacować swoje szanse, zanim się w cokolwiek wplączę, i pod tym kątem się przygotować. Dzisiaj bym po prostu nie wygrał.

Chwilę się nad tym zastanawiałem. Pan Łasiczka kłamał ciałem i słowem. Wydawał się niepozorny, w tłumie praktycznie niedostrzegalny. A przecież byłem świadkiem, jak zabił więcej ludzi, niż się to zdawało możliwe. Z drugiej strony, miał rację. Na arenie nie miałby szans. Każdy ma swoje własne sposoby, dokładnie tak jak powiedział.

- Strumień narkotyków, głównie opium, płynie ku obrzeżom coraz szerszy, przez co ceny spadają - zaczął.

- No to się ćpuny powinni cieszyć. - Wzruszyłem ramionami i podałem Łasiczce dzban z ostatnią ćwiartką piwa.

- Przez co również zaczyna palić coraz więcej osób - dodał.

Tyle potrafiłem zrozumieć bez trudu.

- Tu jednak zaczyna się problem.

Tego już nie łapałem. Są pieniądze - jest zabawa. Ludzie wydają na picie, hulanki, burdele, co im tam akurat sprawia radochę. A jak pieniędzy nie ma, to się koncentrują na bardziej podstawowych potrzebach i tyle...

- Wygląda na to, że opium, które obecnie przychodzi ze wschodniego pobrzeża, jest dużo silniejsze niż dawniej. Po pół roku palenia człowiek wygląda jak wcześniej po dwudziestu latach.

To brzmiało ciekawie.

- Zawsze się trafi ktoś, kto na narkotyki lub gorzałę kiepsko reaguje. Kiedyś, kiedy jeszcze piłem, tułałem się z jednym gościem przez dobry miesiąc po gospodach. Jak nam się skończyły pieniądze, umarł w kilka dni. Delirium tremens czy jakoś tak to ten felczer nazwał.

Łasiczka pokręcił głową.

- Książę posłał nas tutaj bezpośrednio na skutek mojego raportu. Przez ostatnie dwa miesiące rozmawiałem może z tysiącem rozmaitych ćpunów. Połowa z nich ledwo już ciągnęła, a wśród nich połowa nie paliła dłużej niż rok.

Czyli że jednak nie była to kwestia kilku gówniarzy chcących zakosztować przyjemności, na które zwyczajnie mieli za słabe organizmy. Ktoś pchał na rynek mocniejszy towar.

- A tak właściwie to co to K. przeszkadza? - spytałem.

Łasiczka dokończył piwo, wstał, sięgnął za drzwi i wyciągnął kolejny dzban owinięty mokrym ręcznikiem. Więcej piwa. Wyglądało na to, że wieczór nie upłynie nam jednak pod znakiem nieugaszonego pragnienia, jak to się z początku zapowiadało.

- Maleją zyski - odpowiedział, kiedy już wygodnie się rozsiadł.

Zyski nic dla mnie nie znaczyły. Odkąd spłaciłem mój dług, złoto przestało mieć dla mnie jakąkolwiek wartość, choć, o ironio, miałem go teraz więcej, niż mi było potrzeba.

- Książę prowadzi na wschodnim pobrzeżu wiele różnorodnych interesów.

W to łatwo uwierzyłem. K. był bogatszy, niż większość ludzi potrafiłaby sobie wyobrazić.

- Prawdę powiedziawszy, niektóre z tych przygranicznych księstewek to on praktycznie posiada, w związku z czym jeśli produkt krajowy brutto idzie im w dół, to jemu ubywa z kieszeni.

Spojrzałem na Łasiczkę. Wydawał się zamyślony.

- Nie mam nawet pojęcia, co to jest produkt krajowy brutto - wyznałem.

- Za dużo czasu spędzam z Estalainem... - Pokręcił głową. - To po prostu pieniądze, jakie w ciągu roku zarabia cały kraj. Z danin, z dzierżawy majątków, z wydawanych licencji...

To już rozumiałem. Estalain to był taki nudny, suchy facet od pieniędzy. Też pracował dla K.

- A czemu jest tych pieniędzy mniej?

- Bo coraz więcej i więcej ludzi bierze. I bardzo szybko przestaje im zależeć na czymkolwiek. W ciągu zaledwie kilku miesięcy stacają się na samo dno.

Chwilę się zastanawiałem, ilu ludzi musi zemrzeć albo przynajmniej skończyć w ryszotku z wypalonym mózgiem, aby to zabolalo państwową kasę. Jakakolwiek to była liczba, właśnie z taką, jak widać, mieliśmy do czynienia.

- Ile trwa - zaciekałem się - zanim to człowieka ukatrupi?

Piwo w dzbanie w dalszym ciągu było przyjemnie chłodne. Łasiczka potrafił się zorganizować. Z drugiej strony, aż tak strasznie mi nie zależało. Równie dobrze mógłbym popijać ciepłą wodę. Kiedy to sobie uświadomiłem, aż mną wstrząsnęło z zaskoczenia.

- Tak dokładnie to nie wiem, ale rozmawiałem z sześcioma takimi, co dopiero zaczęli palić opium. Będzie z jakiejś pięć miesięcy temu. Z tych sześciu trzech już gryzie glebę.

To znaczyło, że pan Łasiczka zajmował się tą sprawą już całkiem długo. Co z kolei znaczyło, że draka była większa, niż myślałem.

- I dlatego teraz my jesteśmy tutaj, w Damarkandzie - zgadłem.

- Tak właśnie. To już przecież powiedziałem. Ceny towaru z

Damarkandy idą w dół, co wypycha z rynku konkurencję. Tamci trzej palili opium, które wyszło właśnie stąd. Musieli być jednymi z pierwszych, którzy dostali to nowe, tańsze opium. - Zamyślił się nad własnymi słowami.

Przestałem go wypytywać, a zamiast tego powiedziałem o wszystkim, czego dowiedziałem się ja. Znowu aż tak wiele tego nie było. Na rynku robiło się trochę gorąco, nowi bandyci próbowali wywalczyć sobie teren, starzy trzymali pozycję. Oraz zdążyłem już zabić trzech ludzi. W tym akurat nie widziałem nic szczególnego.

- Macie jakiś plan? - zapytał.

Nigdy nie pytał o plany. No, chyba że chciał mnie prosić o jakąś przysługę.

- Mam - zaskoczyłem go. - Zamierzam pracować dalej dla Bandarilla i od czasu do czasu szturchnąć kogoś, kto się tego nie spodziewa.

Łasiczka o mały włos nie zakrzuszył się piwem.

- Tylko się hamujcie, bo inaczej trup będzie się ścielić gęsto, a my i tak nic z tego nie będziemy mieć.

Wzruszyłem ramionami. Takie już jest ryzyko zawodowe. Nie mogłem się przecież troszczyć o zdrowko każdego obywatela w tym mieście.

- A wy?

- Będę węszył, kto kogo przekupuje, kto kogo szantażuje... Dobrze by było, gdybyście zdołali się dowiedzieć, skąd do Damarkandy spływa cały ten towar. Plantacji maku jest sporo...

To akurat interesowało wszystkich w tym biznesie i każdy tego typu informacje trzymał dla siebie. Nie było to coś, o czym dyskutowało się podczas niezobowiązujących pogawędek.

Dopiliśmy drugi dzban. Zanim go zdążyłem odstawić, Łasiczka znów wstał i z korytarza przyniósł trzeci.

- To już ostatni - westchnął. - I już wcale nie taki chłodny.

Ostatniemu dzbanowi piwa tyle można było wybaczyć.

- Zazwyczaj nie jesteście tacy hojni. - Uśmiechnąłem się krzywo. - Postawić trzy kolejki bez rewanzu... Stał się z was

normalnie inny człowiek.

Łasiczka pokręcił głową.

- Świątuję. Próbuję oswoić się z myślą, że wciąż jeszcze żyję.

Nie przerywałem, czekałem na dalszy ciąg. Nie zawiodłem się.

- Wywinałem się ostatnio o włos. Było tak, że to już nawet nie zależało ani ode mnie, ani od nikogo innego. Wyobraźcie sobie, że podrzuciliście w górę monetę, ale zarówno orzeł, jak i reszka oznaczają śmierć. No i mnie ta moneta spadła na krawędź, po czym odtoczyła się gdzieś w błoto.

Rozumiałem go. Mnie już też podobne rzeczy w życiu spotkały. Łasiczka korzystał z życia, na ile potrafił. Mógł trafić lepiej niż w moje towarzystwo, ale i to lepsze, niż leżeć gdzieś martwym. Przynajmniej dla niego.

- Co u Zuzanny?

Moja córka Zuzanna, podobnie jak ja i Łasiczka, pracowała dla K. Tylko że ona wystawiała się na większe niebezpieczeństwo niż my obaj razem wzięci. Nie mogłem jej w tym przeszkodzić, więc przynajmniej próbowałem o tym nie myśleć. Życie zdążyło mnie już nauczyć, i to w bardzo bolesny sposób, że ludziom, na którym nam najbardziej zależy, nie wolno stawać na drodze, że należy im pozwolić wieść życie tak, jak oni sami zdecydowali. Nawet gdyby mogło ich to kosztować najwyższą cenę. Miałem nadzieję, że przyjdzie mi umrzeć wcześniej niż Zuzannie, ale jedyne, co mogłem w tej sprawie uczynić, to zabijać po kolei wszystkich naszych wspólnych wrogów, aby zostało ich mniej dla niej samej.

Coś z tego, o czym rozmyślałem, musiało się dać wyczytać z mojej twarzy, bo Łasiczka uniósł rękę w przeproszającym geście.

- Książę jest wam dłużny więcej niż komukolwiek innemu na świecie. Jestem przekonany, że gdybyście go poprosili, nie powierzałby jej takich zadań... - Sam się zorientował, że jego rada nie ma sensu, i zamilkł.

Dopiliśmy piwo, pan Łasiczka wstał i poszedł świętować fakt, że żyje, z kimś innym, przystępniejszym w obejściu. Zostałem w pokoju sam na sam z kilkoma pełnymi butelkami gorzałki, która

przez posledniej jakości szkło wyzierała na mnie z tanich butelek. Własnego życia nigdy jakoś wysoko nie ceniłem, a ostatnimi czasy traciło ono na wartości wręcz z każdym dniem. Jeśli po zakończeniu tej wojny, która właśnie nabierała rozpędu, jakimś cudownym zrządzeniem losu będę jeszcze w dalszym ciągu pośród żywych, wiedziałem, co ze sobą zrobię. Zaplanowałem sobie, iż załaduję cały wóz wódką, odjadę w jakieś ustronne miejsce i będę pił i pił, aż ogarnie mnie ciemność, aż znikną wszystkie wspomnienia, aż zniknę wreszcie ja sam. Wiedziałem jednak, że na takie szczęście nie miałem co liczyć. Z pewnością czekało mnie coś gorszego, niż byłbym sobie w stanie wyobrazić. Jak zawsze zresztą. Jednak każdy człowiek potrzebuje czegoś, w co będzie mógł wierzyć i z czego się cieszyć, bez względu na to, w jak ciężkiej się znajdzie sytuacji. Mimo moich własnych uporczywych starań nie byłem tu żadnym wyjątkiem.



Księżycowi do pełni brakowało już tylko kilku nocy, nocne niebo lśniło gwiazdami tak licznymi, że aż wydawało się, iż wszystkie na nieboskłonie się nie zmieszczą, a starannie przygotowany koktajl stymulantów sprawiał, że wszystko stawało się jeszcze wyraźniejsze. Dostrzegał poszczególne kamyki pod nogami, szpary w ścianie oraz które okna zostały zasłonięte okiennicami.

Zatrzymał się w cieniu krótkiej arkady i poczekał, aż minie go patrol straży. Tutaj, w najelegantszej części miasta, były one dość częste. Co więcej, oprócz straży miejskiej na ulicach również natykał się na prywatne patrole opłacane bezpośrednio przez bogatych mieszkańców dzielnicy.

Para strażników zniknęła za rogiem, dudniące echo ich kroków milkło powoli, aż nastąpiła cisza. Prawie, bo wyostrzony stymulantami słuch wychwytywał i zwielokrotniał najdrobniejszy nawet dźwięk. Dom Harbirgera, cesarskiego głównego śledczego, był częścią budowli będącej niegdyś murem obronnym wewnętrznego miasta. Oznaczało to, iż bocznymi

ścianami stykał się z sąsiadującymi budynkami, zaś jego fasada pełniła kiedyś funkcję obronną, co nawet teraz dało się rozpoznać na pierwszy rzut oka. Wewnątrz tego okręgu znajdował się okazały park zapewniający mieszkańcom ciszę i spokój. Wiodło do niego kilka dróg, jednak zostały one pozamykane wrotami albo stały się ukrytymi korytarzami, z których korzystała służba. Wszystkie bez wyjątku były strzeżone przez specjalnie szkoloną ochronę oraz szereg nieprzyjemnych niespodzianek, jako że majętni tego świata mają tendencję do paranoi i boją się wszystkiego. Wiedział o tym aż nadto dobrze.

Właśnie z tego powodu najniebezpieczniejsza droga, czyli wspinaczka po kamiennej ścianie aż do rezydencji wybudowanej na samym szczycie obronnej konstrukcji, wydawała się jednak wyjściem najłatwiejszym.

Od ściany dzielił go jedynie wąski pas wolnej przestrzeni, kiedy go pokona, nie będzie już odwrotu, jego jedyną szansą pozostaną zwinność i szybkość. Decyzję podjął już dawno, nie było miejsca na wahanie. Rozbiegł się drobnymi krokami, równocześnie nasłuchując, czy wszystkie części jego oporządzenia zostały dobrze umocowane, czy nic nie podzwania, nie chrzęści, nie lata luźno. Przystanął dopiero pod ścianą, po czym zaczął się zwinnie pięć w górę. Wąziuteńkie gzymsy okien zaprojektowane tak, aby nie dawać oparcia potencjalnym włamywaczom, dla niego były niczym szerokie stopnie schodów, najdrobniejsze nawet szpary między kamieniami, niewidoczne dla oka, opuszkom jego palców dawały aż nadto oparcia, podeszwy butów ze specjalnie przygotowanej skóry łąpały przyczepność nawet na zdawałoby się gładkiej powierzchni. Dzięki temu wszystkiemu parł w górę niczym gigantyczny pająk, który zwyczajnie nie zdaje sobie sprawy z istnienia czegoś takiego jak przyciąganie ziemskie. W czasie nie dłuższym, niż normalnemu człowiekowi zabrałoby przejście stu kroków, pokonał wzwyż pięć pięter, przy czym jego oddech jedynie minimalnie przyspieszył. Koniec wspinaczki był na wyciągnięcie ręki, najtrudniejsze miał już za sobą. Sięgnął

wzwyż, dłoń w rękawicy bez palców pewnie chwyciła kamienny rygacz. Przesunął środek ciężkości, sięgnął drugą ręką, by chwycić za górną krawędź ściany. W tym momencie kamienna figura, przez całe dziesięciolecia odprowadzająca wodę z dachu, nie wytrzymała i ułamała się. Zanim jednak runął w ślad za nią, w ostatnim momencie palce dłoni zdołały zaczepić się o krawędź dachu. Przez chwilę wisiał tak bez ruchu, w jego uszach wciąż rozbrzmiewał trzask rozpryskującego się w dole pod nim kamienia. Był silny, to prawda, ale musiał teraz pokonać wagę całego swego ciała, mając za jedyny punkt zaczepienia koniuszki palców jednej dłoni i mając wszystkie ścięgna i mięśnie rozciągnięte do granic możliwości. Jego wyostrzony słuch zarejestrował szybko zbliżające się kroki kolejnego patrolu. Poczł, że palce zaczynają mu się obsuwać. Miały więc umrzeć od upadku z wysokości? Tak banalnie? Tak... niesprawiedliwie? Rozprostował drugą rękę, obrócił się płasko twarzą do ściany i powoli, ostrożnie sięgnął ponad głowę. Spróbował podciągnąć się choćby minimalnie, z nadludzkim wysiłkiem zginając rękę w łokciu. Zyskał niewiele ponad kilka milimetrów, ale więcej mu nie było potrzeba. Kiedy krawędź dachu uchwyciły palce drugiej ręki, reszta okazała się już łatwiejsza niż przekroczenie progu w drzwiach. Przez chwilę pozostał tak, jak leżał, na lekko pochyłym dachu, otoczonym niewysokim, kamiennym obmurowaniem. Dopiero teraz poczuł, jak dopada go wyczerpanie, i uświadomił sobie pełnię ryzyka, na jakie się wystawił, którego o mały włos nie przypłacił właśnie życiem i które... które nie powstrzyma go przecież przed kontynuacją zamierzonego planu. Każdy, kto miałby choć odrobinę rozsądku, zrezygnowałby w takiej chwili, tyle że przecież... Uśmiechnął się, choć tak naprawdę był to jedynie mechaniczny grymas ust, wspomnienie po prawdziwym uśmiechu, jaki nie gościł na jego ustach już od lat. Powietrze miało smak... chłodny. To jeden ze skutków ubocznych narkotyków, których używał. Podczas gdy jedne zmysły zyskiwały na wyrazistości, inne bledły, zatracały się. Wstał i ruszył dalej za swoim celem. Poprzez podeszwy butów wyczuwał

dachówki tak wyraźnie, jakby kroczył boso. To może nawet i lepiej.



Rano przed moimi drzwiami zjawił się wychudły chłopak z potwornie krzywo zrosniętą nogą i obliczem, które mogłoby być nawet sympatyczne, gdyby mu tak oczy nie latały z przerażenia. Poślaniec od pana Bandarilla. Bardzo był nieswój, a kiedy zauważył, że mimo iż dostarczył mi wezwanie od naszego wspólnego chlebodawcy, ja w dalszym ciągu nie kwapiłem się do tego, by wyleźć z łóżka, zaczął dosłownie podskakiwać w miejscu na zdrowej nodze.

Kiedy jadłem śniadanie, nie spuszczał ze mnie wzroku. Musiał mieć strasznego pecha, że mu się ta noga zrosła tak paskudnie.

- Długo już pracujesz dla Bandarilla?

Pokręcił głową.

- Wcześniej żebrałem, ale jak podrosłem, dostawałem mniej i mniej. Bardzo się ucieszyłem, że mnie pan Bandarillo wziął do siebie.

Czyli że ta noga to nie musiał być konieczny wypadek. Ktoś mógł chłopaka tak urządzić specjalnie, żeby wzbudzał litość.

- Ile ci płaci?

- Mam gdzie mieszkać, czasem dostanę odzienie, czasem napiwek, jak przyniosę dobre wieści.

- No to nie za wiele. - Pokręciłem głową, wgrzyzając się w kawał mięsa.

Gapił się na mnie łapczywie, inaczej chyba nawet nie umiał.

- Pewnie spędzasz sporo czasu koło Bandarilla.

- No. Mam dobrą pamięć, przekazuję wiadomości szybko i dokładnie.

Ze zdrowym kulasem byłby jeszcze szybszy.

- Bardzo by mnie interesowało, z kim Bandarillo w najbliższych dniach będzie rozmawiał - powiedziałem. - Nie ciekawi mnie, o czym - dodałem prędko, widząc, że się skulił. - To przecież żadna zdrada - upewniłem go.

Musiał się poczuwać wobec swego pana do głębokiej lojalności, której ja nie zamierzałem nadwyreżać.

- To, z kim rozmawia, to przecież żadna tajemnica, a ja po prostu nie mogę być w zbyt wielu miejscach naraz. - Uspokajałem go dalej. Jak się wydawało, z powodzeniem.

- A za ile? - Podjął męską decyzję.

- Pięć srebrnych za każdy dzień, kiedy mi powiesz coś ciekawego.

Wytrzeszczył na mnie oczy. Dla niego to musiała być astronomiczna suma.

- I to tylko za to, z kim rozmawia? - upewniał się.

- A ty co? Nie dość, że kulawy, to i głuchy też jesteś?

- Nie jestem - żachnął się. - Umowa stoi.

- Jak się nazywasz?

- Bavajo.

Lepsze takie imię niż żadne, pomyślałem i wzruszyłem ramionami.

- Tu masz zaliczkę. - Rzuciłem mu dwa drobniaki. - Ja tylko coś jeszcze załatwię i zaraz podążę za władcą gnojownika.

Nawet jeśli zrozumiał, co miałem na myśli, nie dał po sobie poznać.



W związku z tym, że moja popularność w Damarkandzie wydawała się coraz bardziej wątpliwa, postanowiłem rozejrzeć się za kawałkiem jakiegoś eleganckiego żelastwa. Po kolei sprawdzałem miejscowych płatnerzy, bez pośpiechu każąc sobie pokazać, co mieli najlepszego, i ruszając dalej. W większości rzeczywiście były to co najmniej przyzwoite okazy. W Damarkandzie nietrudno było o dobrych rzemieślników oraz dopływ towarów z innych zakątków świata, jednak cena nie chciała iść w parze z jakością, już raczej odzwierciedlała przesadną ilość zdobień. Oczekiwałem, iż mogłoby to wzbudzić szereg podejrzeń, gdybym się zjawił gdzieś w jakiejś mordowni z mieczem, którego rękojeść została wyłożona szafirami, a

pochwa ozdobiona złotem. Złota zresztą nie lubię. Dostyc się już za nim przez całe życie naganiałem.

W piątym z kolei warsztacie zacząłem przeglądać odrobinę mniej eleganckie zabawki niż miecze. Morgensztorny, cepy, siekiery i takie tam... Pewnie powinienem w ogóle od nich zacząć, bo raz, że łatwiej je ukryć, a dwa, że człowiek nie ryzykował kłopotu ze stróżami prawa i porządku.

Znalazłem przedniej jakości kiścień, którego bijak, zawieszony na cienkim łańcuchu, wydawał się mieć wagę taką w sam raz. Jednak przy tego typu broni przydałaby się tarcza. Zanim człowiek zdola zamachnąć się do drugiego ciosu, chwilę to jednak trwa. Rozglądałem się za czymś wygodnym, a sprzedający próbował namówić mnie na jedno z tych drogich, okrągłych cudeniek wykonanych z prasowanej plecionki, kiedy mój wzrok padł na stojący w rogu ciężki, dwuręczny miecz. Był dłuższy niż normalnie, z rękojeścią odpowiadającą głowni i masywnym jelcem.

- A to co takiego? - spytałem, odkładając kiścień.

- Kawał starego szmelcu, nie nadaje się do niczego. Za ciężki i za wolny, przeciw szabli nie mielibyście szans.

Obsługiwał mnie młody chłopak, więc jego błąd aż tak bardzo mnie nie zaskoczył. Jego ojciec czy mistrz, u którego terminował, nigdy przed kimś takim jak ja nie nazwałby dwuręcznego miecza szmelcem. Choćby był nie wiem jak stary.

Chwyciłem miecz i podrzuciłem w dłoni. Wyważony świetnie, bez dwóch zdań. Może odrobinę cięższy, niż nosiło się dzisiaj, ale to mi nie przeszkadzało. Gorzej, że spod warstwy rdzy nie mogłem dostrzec, w jakim stanie jest klinga. Na próbę zamachnąłem się do ciosu, uniosłem do zastawy. Wydawał się w porządku.

- Biorę. I do tego jakiś kawał płótna, żeby mnie zaraz na progu nie chcieli zatrzymać.

Właściciel kramu dopiero teraz zorientował się, że jego pomocnikowi transakcja wymknęła się spod kontroli, i podszedł do nas.

Starał się, to mu należało przyznać, jednak najpierw odparłem, iż jego własny pracownik nazwał miecz starym szmelcem, a potem zmyłem głowę za pozostawienie mnie sam na sam z gówniarzem, który się nie znał na rzemiośle, więc zrezygnował. Odbił sobie, zdzierając ze mnie za płótno. Niech mu będzie, było mi potrzebne.

Dalej się już nie ociągając, ruszyłem do Bandarilla. Strażnicy przy wejściu odpuścili sobie komentarze, jeden z nich zaprowadził mnie do szefa.

Jeżeli nie podobał mu się fakt, że musiał na mnie czekać, nie dał tego po sobie poznać. Za to jego świta aż podskakiwała jak na rozżarzonych węglach.

- Gdzieś się, do cholery, podziewał? - huknął na mnie elegant.

Nie mogłem zrozumieć, po co Bandarillo trzyma gnojka, który nawet o tej porze, wczesnym popołudniem, nadal miał oczy nieobecne z przepicia i tak zapuchnięte, że ledwie je otwierał. Może zapewniał mu dostęp do wyższych kręgów? Może. Jakoś nigdy nie miałem głowy do tego typu układanek. Drugi z przybocznych, mężczyzna w średnim wieku w znoszonych spodniach i kamizelce tego samego koloru, wraz z moim przybyciem rozwalił się wygodnie w fotelu. Widocznie jego zadanie zostało spełnione. Trzeci z kolei rzucił mi niezobowiązujące spojrzenie, po czym całą swą uwagę skierował z powrotem na jakieś rozłożone przed nim na stole papiery. Coś z nich zaczął odczytywać, ale kiedy zorientował się, że Bandarillo go nie słucha, a zamiast tego całą swą uwagę poświęca mnie, zrezygnował.

- Potrzebna mi eskorta. Uzbrojona eskorta. Jeśli nie macie porządnej broni, któryś z moich ludzi wam pożyczycy.

Skąd to zainteresowanie moimi usługami? Na zawołanie mógłby mieć przecież dziesięciu gości gotowych poderżnąć gardło, zadusić, urwać łeb komukolwiek. Inna sprawa, czyby sobie dali radę. Zresztą powody były mi obojętne.

Rozwinąłem moją nową zabawkę i pokazałem. Kiedy tamci trzech dostrzegli miecz, jak jeden mąż pogardliwie się uśmiechnęli.

Bandarillo jedynie skinął głową.

- Zakładam, że wiecie, co robicie. Zaraz wyruszamy, muszę tylko jeszcze podpisać kilka dokumentów.

Prawie go nie słuchałem. Zamiast tego sam przyjrzałem się bliżej mojemu nowemu żelazu. Pomimo iż miecz bardzo mi się podobał, coś w nim jednak nie pasowało. Pewnie przez tę rdzę. Jak go oczyszczę, będzie lepszy.

- Czyli za dzisiaj dostaję pełną stawkę - powiedziałem, kiedy znów skłonił głowę nad papierami.

- Oczywiście - odpowiedział rozdrażniony.

Całą następną godzinę spędziłem, wyszukując palcami na ostrzu miejsce, gdzie mógłbym znaleźć wygrawerowane cokolwiek, co by nieco powiedziało o twórcy miecza. Coś tam wreszcie znalazłem, ale z powodu rdzy i nagromadzonego brudu nie potrafiłem rozeznaczyć, co znak przedstawiał.

Kiedy Bandarillo skończył, przeszliśmy kilkoma korytarzami i pomieszczeniami do stajni. Zorientowałem się, że Bandarillo posiadał nie jeden dom, a cały ciąg, który kazał połączyć wybitymi nowymi drzwiami. Dzięki temu zyskał labirynt przejść i pomieszczeń, gdzie ktoś nieobeznany mógł się bardzo łatwo zgubić, choć z drugiej strony, kompleks stawał się trudniejszy do obrony, jeżeli ktoś ten sekret znał.

W stajni dogonił nas pan zblazowany, który przyniósł Bandarillovi odzienie. Wnioskując z tego, co szef na siebie założył, nie wybieraliśmy się do gospody, restauracji lub na audiencję, ale gdzieś dalej na szlak.

Zblazowany z boksu wyprowadził konia. Olbrzymiego, masywnego gniadosza z nogami jak kolumny. Przy każdym poruszeniu grały na nim wszystkie mięśnie. Mało kiedy poświęcałem koniom uwagę, ale ten okazał się naprawdę imponujący.

- Rumak bojowy z cesarskiej stadniny. Nie jest może najszybszy, ale wytrzymały i potrafi unieść niemało.

- To więcej, niż taki jeździec jak ja mógłby sobie życzyć - oceniłem.

Z ciemnego kąta wynurzył się koniuszy i zabrał się do roboty. Na wszelki wypadek patrzyłem mu na ręce. Chciałem się lepiej przyjrzeć siodłu z wysokim łękiem, które wyglądało nieco jak turniejowe, ale koń Bandarilla, jak i on sam, już byli gotowi. Tamten wierzchowiec był z kolei smukły i długonogi. Zamiast stać, cały czas tańczył w miejscu.

- Z kim mamy się spotkać? - spytałem nagle.

Bandarillo wyglądał na zaskoczonego. Widać nie przywykł, aby podwładni zadawali mu pytania.

- Macie przecież do dyspozycji całą gromadę ludzi - kontynuowałem. - W związku z czym zastanawiam się, dlaczego ja: nowy, cudzoziemiec? Zawsze się lepiej przygotować na to, co nas może spotkać. Bo a nuż to będzie oddział halabardników albo strzelec ukryty za winklem.

- Ach tak... - Wyraźnie się rozluźnił, kiedy dotarło do niego, że moja ciekawość podyktowana jest wyłącznie względami praktycznymi, a nie chęcią wnikania w sekrety jego interesów. - Wyjaśnię wam wszystko po drodze.

- Dlaczego nie...

Jechaliśmy przez targową część miasta, z siodła mieliśmy dobry widok na okolicę. Nie wyglądało na to, aby ktokolwiek zwracał na nas uwagę. Wystawne odzienie Bandarilla wzbudzało wystarczająco duży respekt, aby większość pozostałych jeźdźców czy wozów ustępowała nam z drogi. Szable i łuki dwóch członków eskorty trzymały na odległość zwykłych targowych natarczywców. Jakie wrażenie na ludziach wywoływałem ja - wielki chłop, ostrzyżony na jeża i w dziwacznym kożuchu przypominającym worek na ziemniaki - trudno było odgadnąć. Nikt się jednak nie śmiał.

Kiedy wreszcie wokół nas trochę się rozluźniło, Bandarillo obrócił się w siodle i widząc, że bezpośrednio za nim jestem tylko ja, wyjął:

- Jedziemy na spotkanie z głównym śledczym cesarskim, Harbirgerem.

To zabrzmiało interesująco. Cóż mógł mieć wspólnego

namiestnik Jego Wysokości, stróż prawa i porządku, z jednym z największych bandytów w okolicy?

- Harbirger jest ostrożny - kontynuował Bandarillo. - Jest w posiadaniu jakiejś ważnej informacji, jednak zgodził się ze mną spotkać poza miastem. Ma mi towarzyszyć tylko jeden człowiek.

- Nie mogłaby to być pułapka?

- Mogłaby. Jednak i on będzie miał tylko jednego człowieka. Spotykamy się na Równinie Sokolników, gdzie płasko i pusto, więc praktycznie niemożliwe jest urządzenie zasadzki.

- A ten jeden, co ma towarzyszyć Harbirgerowi, kto to za jeden?

- Ten jeden to Rosen.

Zrozumiałem teraz, dlaczego Bandarillo wybrał właśnie mnie, bym mu towarzyszył. Mój pojedynek z Rosenem zdobył mi niemały rozgłos.

- Myślałem, że Rosen pracuje dla Olvena, a Harbirger to przecież człowiek cesarza - zdziwiłem się.

Już się zaczynałem w miejscowych stosunkach co nieco rozeznawać.

- Rosen jest wolnym strzelcem i zawsze bierze tylko krótkotrwałe zlecenia. Przez ostatnich parę tygodni rzeczywiście pracował dla Olvena. Ma dobrą renomę, zawsze wykonuje to, za co mu płacą.

To był dobry znak, dało się z tym żyć.

- Harbirger, jak każdy, chce zarobić, ale nie zależy mu na otwartej wojnie - wyjaśnił Bandarillo. - To nie byłoby i w jego interesie, gdyby w Damarkandzie został tylko jeden silny gracz. Z Horowitzem też postępuje bardziej niż ostrożnie.

Imię Horowitz - Cohen Horowitz - już gdzieś słyszałem, ale nie poświęciłem mu jak do tej pory większej uwagi. Ludzi zajmujących się handlem narkotykami było tutaj na kopy. Mieszkał w mieście narybek, mieszkaly ryby mniejsze i większe. Nad każdą ulicą ktoś sprawował kontrolę, przy czym ten ktoś służył komuś ponad nim i tak dalej. Rozeznac się w tym wszystkim nie było łatwo, a mnie takie śledzenie koneksji nigdy

nie bawiło. Horowitz, Olven i Bandarillo najwyraźniej tworzyli wielką trójkę. Póki co tyle mi wystarczało.

Dojechaliśmy do miejskiego muru i bramy. Strażnicy nawet nas nie zatrzymali, machnęli tylko ręką, żeby jechać dalej.

- Lepiej wróćcie przed zmrokiem - rzucił za nami jeden z nich. - Druga zmiana może nie chceć was wpuścić i będziecie musieli nocować na zewnątrz.

Bandarillo nie zareagował. Pewnie miał swoich ludzi i w drugiej zmianie, i w trzeciej, i w czwartej... Wszystko jedno, ile ich tam było.

Wjechaliśmy w step. On, ja i dwóch sokolników, którzy w istocie byli łucznikami. Sokoły, które mieli ze sobą, to jedynie przykrywka. Ot, bogaty mieszczanin jedzie się rozerwać. Do zachodu słońca pozostawały jakieś trzy godziny, odgadywałem więc, że miejsce spotkania nie może być zbyt daleko.

Bandarillo umilkł, jechaliśmy w ciszy. Pozostałym na czołach perlił się pot, ja za to używałem sobie przyjemnego ciepłka. Myślałem, że po przejściu Pustyni Gutawskiej znienawidzę serdecznie wszelkie rozgrzane pustkowia, ale było na odwrót. Ich pustka i bezkompromisowa wrogość wobec wszystkiego, co żyje, fascynowały mnie. No i ten upał. Wysuszające, piekielne gorąco. Działo na mnie dobroczynnie, jak na innych łaźnia, kąpiel albo masaż.



Miejsce spotkania znajdowało się nieco dalej, niż myślałem, ale poznałem je natychmiast. Idealnie płaska równina, której drugi koniec znajdował się w odległości jakiegoś kilometra. Podłoże pod naszymi nogami stanowiła sól wymieszana ze żwirem. Osobiście nie oczekiwałem w tym miejscu solnego jeziora, a i dla miejscowych musiało ono być miejscem charakterystycznym, skoro służyło za oczywiste miejsce spotkania. Zrozumiałem, że Bandarillo nie był aż tak beztroski, jak mi się początkowo wydawało. Tak wielkiej powierzchni nie dałoby się otoczyć bez kilku setek jeźdźców, a takiej siły w ludziach nie miał żaden z

bandytów. Co prawda cesarski śledczy mógłby taką liczbą dysponować, jednak zebranie ich zajęłoby mu czas oraz nie umknęłoby uwadze tych wszystkich w mieście, którzy bacznie przyglądają się każdemu co gwałtowniejszemu ruchowi miejskich szcurów, nie mówiąc już o znaczących graczach w obrocie opium. Wierzchowiec Bandarilla był z pewnością bardzo szybki i prawdopodobnie dałby radę uciec niemalże każdemu. Ja nie uciekłbym nikomu, ale mnie w razie potrzeby można spisać na straty. W końcu do tego zostałem najęty.

- Zostańcie tutaj - polecił Bandarillo udawanym sokolnikom. - Wicie, kiedy macie wypuścić ptaki.

Kolejne środki bezpieczeństwa. Nie doceniałem go jednak.

Po przeciwnej stronie wyschłego przed setkami lub tysiącami lat - człowiek nigdy nie mógł być pewien takich rzeczy - jeziora pojawiły się dwie postaci, które zaczęły się ku nam zbliżać. W falującym powietrzu unoszącym się znad powierzchni równiny wyglądały jak dwa duchy, jeden mniejszy i drugi większy.

- Możemy ruszać - zdecydował Bandarillo.

Czemu nie? Początkowo konie nie kwapiły się do tego, aby wstąpić na rozpaloną równinę, i musieliśmy je spiąć, jednak po przekroczeniu granicy dalej szły już gładko. Kiedy posuwaliśmy się solną równiną, każde, najdrobniejsze nawet uderzenie kopyt podnosiło chmury gorzko-słonego pyłu. Bandarillo wyglądał, jakby miał zwymiotować.

Wyschnięte jezioro okazało się rozleglejsze, niż początkowo oszacowałem. Przebyliśmy dobre półtora kilometra, zanim spotkaliśmy się z tamtymi. Zatrzymaliśmy się naprzeciw siebie trochę dalej niż na długość kopii, po czym zsiadliśmy z koni i ostatnich parę kroków pokonaliśmy już pieszo. Dźwięk brzmiał jakoś tak głucho, cisza wydawała się przytłaczająca.

Harbirger był tłustawym gościem gdzieś w połowie piątego krzyżyka. Wyglądał na takiego, co to lubi sobie użyć życia, nawet tych rzeczy, o które tak naprawdę nie dba, i gotów jest za to zapłacić każdą żadaną cenę. Towarzyszył mu rzeczywiście Rosen. Początku rozmowy pomiędzy moim pracodawcą a

cesarskim śledczym nie zarejestrowałem, bo całą uwagę poświęciłem Rosenowi. Teraz, na otwartej przestrzeni i przy pełnym świetle, nie mogłem wręcz zrozumieć, jak to się stało, że jego pochodzenia nie odgadłem już przy pierwszym spojrzeniu. Jeszcze większą zagadką pozostawało to, że nie dostrzegał tego nikt inny.

Nie ulegało wątpliwości, że pomiędzy najbliższymi swoimi przodkami miał szarego goryla górskiego, jednak na swoje szczęście, odziedziczył po nim tylko te najlepsze cechy - długie ręce, tkankę mięśniową i ciężki tułów. Głowę i twarz miał w miarę ludzkie, choć czoło akurat jeszcze masywniejsze niż moje, a to już coś. No i łuki brwiowe takie, że mógł się śmiało obejść bez kapelusza.

- A więc czemu zawdzięczam spotkanie w tak uroczym miejscu? - dobiegło mnie pytanie Bandarilla.

Czyli że wszystko, o czym mówili do tej pory, to była tylko taka pogawędka. Sam nigdy nie zawracam sobie głowy takimi głupotami i dziwi mnie, że ludzie potrafią zmarnować tyle czasu, mówiąc o niczym.

- Dostałem list - odpowiedział Harbirger.

Przez cały ten czas Rosen przewiercał mnie natarczywym spojrzeniem. Nie musiałem mu przypominać, że przegrał. Przez to, że mnie nie docenił, że mnie wziął za zwykłego faceta. Sporo się o tym w mieście mówiło. Byłoby jednak głupio, gdyby miał się na mnie rzucić ot tak, bez przywoitszego powodu.

- Jesteśmy przecież zawodowcami - upomniałem go. Skinął głową, ale jakoś mnie nie przekonał.

Nie powiem, żebym się sam rwał do bitki z nim. Słyszałem opowieści tylko o jednym człowieku, któremu udało się przeżyć spotkanie z szarym gorylem górskim. Pomimo iż nie był to wyrównany pojedynek, bo początkowo stanęło ich dwóch naprzeciw gorylowi i dysponowali nieporównanie lepszą bronią, i tak jeden przeżył wyłącznie dzięki ogromnemu szczęściu. Od K. wiedziałem, że goryle mają masywniejszy szkielet niż ludzie, a układ ścięgien tylko akcentuje ich ogromną siłę, co pozwala im

swobodnie poruszać się po urwistych skałach. Że już nie wspomnę o przewyższającej ludzką szybkości reakcji. Ani o tym, że mięsień szarego goryla górskiego w porównaniu z mięśniem ludzkim o takim samym obwodzie jest trzy razy silniejszy. Czytam niechętnie, ale ten rozdział z atlasu „Nasz świat” przeczytałem kilkakrotnie. Fascynujące stworzenia. Jak się tak zastanowić, to aż dziw bierze, że to my rządymy światem, a nie one. Widać coś gdzieś po drodze poszło nie tak.

Im więcej się Rosenowi przyglądałem, tym mniej mu ufałem. Przegrana traktował jako osobistą porażkę, czego nie mogłem mu mieć za złe. Też bym nie był szczęśliwy, gdyby na moim własnym podwórku pokonał mnie jakiś przybłęda.

- Ten list jest pełen imion. - Zacząłem się znów przysłuchiwać rozmowie. - Ciekawych imion. - Harbirger podał Bandarillovi złożony papier.

- Imiona handlarzy. Drobne i średnie ryby - stwierdził mój szef.

- Jest tam również i wasze - wskazał Harbirger. - Na samym końcu.

Nie musieli tego mówić wprost, abym wiedział, iż chodziło o nielegalny obrót opium.

- Ano jest.

- Jako cesarski śledczy muszę reagować na każdą, choćby i anonimową, poszlakę, zwłaszcza jeśli jest takiego kalibru, jak ta tutaj.

Słońce prażyło jeszcze, ale cienie wydłużyły się już i powietrze zaczęło mieć posmak wieczoru.

- Wydawało mi się, że nasze wzajemne stosunki nastawione są na obopólną korzyść i że wystarczająco wychodzimy sobie obaj naprzeciw - powiedział ostrożnie Bandarillo, obserwując uważnie swego rozmówcę.

Ja całą moją uwagę miałem zwróconą na Rosena. Nie gapiłem się na niego wprost, jednak miałem go w polu widzenia tak, abym dał radę zareagować, jeśli tylko coś mu strzeli do łba. On sobie takimi subtelnosciami głowy nie zawracał. Przewiercał mnie tymi swoimi wielkimi, ciemnymi, nieomal pozbawionymi

białek oczami na wskroś i ani przy tym mrugnął.

- Wcale nie twierdzę, że naszych stosunków nie dałoby się znów wyprowadzić na równiejsze drogi - załagodził Harbirger. - Mówię jedynie, że z załatwieniem tego - wyciągnął rękę po list - będę miał znacznie więcej pracy.

- Rozumiem - przytaknął Bandarillo.

Wyglądał, jakby się tej licytacji spodziewał, jakby uważał ją za coś tak naturalnego, że aż nieodzownego.

- A więc gdybym zwiększył waszą prowizję o połowę, czy wystarczyłaby, aby zrekompensować wasze trudy? - Wskazał ręką list, który Harbirger pieczołowicie składał.

- Myślałem raczej o podwojeniu. Będę musiał się upewnić, że nie istnieją odpisy, a jeśli takowe są, zdyskredytować je i przechwycić.

- W takim razie o trzy czwarte? - zaproponował Bandarillo.

Harbirger uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Obawiam się, drogi przyjacielu, że nie mogę zejść niżej. Czasy niepewne są i niebezpieczne.

- Niech będzie - nie targował się dalej Bandarillo. - Dogadaliśmy się.

Obaj mężczyźni - bandyta i ten, który go powinien łąpać - obrócili się w miejscu i bez pożegnania rozeszli, ale ja i Rosen jeszcze chwilę żeśmy zwlekali. Może i nie było tego widać, ale obaj byliśmy gotowi natychmiast ruszyć do akcji, zupełnie jakbyśmy wcześniej się co do tego umówili. Nie chciałem jako pierwszy odwrócić się do niego plecami, jednak po chwili widocznie się odprężył. Widać uznał, że dziś jego moment jeszcze nie nadszedł. Zaryzykowałem. Wdrapałem się na konia jako pierwszy, po czym szybko dogoniłem Bandarilla. Ten, o ile wcześniej wydawał się opanowany, teraz kipiał wściekłością.

- Zaszary, nienasycony skurwysyn - mamrotał do siebie pod nosem. - Nienażarty kastrat. Jeszcze go kiedyś jego własnymi jajami nakarmię.

To akurat nie miało zbyt wiele sensu, ale zachowałem tę uwagę dla siebie.

- Mógł to napisać jeden z naszych ludzi? - spytałem, wyczuwając dobrą okazję do pociągnięcia go za język.

- Móc mógł, tylko po co? - Pokręcił głową.

Żeby nabruździć szefowi i zyskać przy tym jakieś korzyści dla siebie, przyszło mi natychmiast do głowy.

- Mojego imienia oryginalnie w ogóle nie było na tej liście. Ten sukinsyn sam je tam dopisał, żeby ze mnie wydusić więcej pieniędzy. - Splunął wściekle.

A zatem moje przypuszczenia okazały się błędne - Harbirger umiał o siebie zadbać. Byłbym skłonny założyć się, że już planował podobne spotkanie z Olvenem i kolejnymi handlarzami opium. I każdemu z nich przedstawi podobny, nieco tylko zmodyfikowany spis. Czy było prawdopodobne, że od samego początku napisał go sam? Możliwe...

Pod podkowami zachręściły kamienie i żwir, znak, że opuściliśmy już dno wyschłego przed wiekami jeziora. Z cienia jednego z porozrzucanych po okolicy głazów wynurzyła się reszta naszej eskorty i powoli, zniechęceni przez upał, ruszyliśmy z powrotem w stronę miasta.

- Dlaczego wracamy tą samą drogą? - zapytałem.

- Bo jest najkrótsza - odpowiedział jeden z fałszywych sokolników i spojrzał na mnie jak na największego idiotę, jakiego w życiu spotkał.

Bo jest najkrótsza... Ciekawy powód, ale niech mu będzie.

Kiedy pół godziny później za naszymi plecami rozległ się daleki jeszcze chrzęst końskich kopyt, ani trochę mnie to nie zaskoczyło.

- Ktoś za nami jedzie - oznajmiłem im spokojnie, starając się nie wzbudzać zbędnej paniki. Bezskutecznie, wszyscy trzej natychmiast spięli konie. - Czekaście! - rzuciłem, zanim zdążyli wyskoczyć z kopyta.

Już ich było widać. Czterech jeźdźców, za plecami których podnosił się tuman pyłu. Zastanowiło mnie, że gdyby jechali nieco wolniej i ciszej, mogliby podjechać do nas niezauważeni znacznie bliżej. Widać na tym im wcale nie zależało.

- Uciekajmy, nie dogonią nas! - nie wytrzymał jeden z fałszywych sokolników i nie czekając na nas, ruszył przed siebie.

- Poczekajcie. To mi się naprawdę nie podoba, to musi być pułapka - powstrzymałem Bandarilla. Drugi z przybocznych też nie wytrzymał napięcia i bez słowa puścił się za swym uciekającym kompanem.

Bandarillo wyraźnie się wahał. Jego ludzie dali nogę, jakby im się zadki paliły, a tymczasem on został sam z człowiekiem, którego dobrze nie znał, naprzeciw czterem jeźdźcom. Mnie akurat było wszystko jedno, na co się zdecyduje. Czas rozstrzygnął to zresztą za niego, bo zrobiło się zwyczajnie za późno na ucieczkę. Żółty tuman wzniesiony przez naszych byłych towarzyszy podróży zdążył już skryć ich sylwetki, podczas gdy ten drugi, za naszymi plecami, znacznie się przybliżył, choć widać było też wyraźnie, że zwolnili.

Zlazłem z konia, klepnąłem w zad, żeby nie wchodził mi w drogę, i stanąłem za wysuszonym ciernistym krzewem. Jeśli nie od razu mnie dojrzą, powinno mi to trochę ułatwić zadanie.

- Tam się ustawcie - syknąłem do Bandarilla. - A jakby mieli strzelać, rzucajcie się natychmiast na ziemię.

Za niewielkim, porośniętym jakimś suchym zielskim pagórkim jego szanse powinny być całkiem nie najgorsze. Z natury jestem poczciwy, a jak mi ktoś zapłaci, skłonny jestem nawet zatroszczyć się o jego dobro.

Zanim mnie Bandarillo posłuchał, już tu byli. Rozciągnęli się w szereg. Ja stanąłem w lekkim rozkroku, oparłem miecz na ramieniu i spokojnie czekałem. Szarża konna może być wielce zdradliwa, ale do tego potrzeba więcej jeźdźców niż czterech. Przynajmniej na mnie.

Zadźwięczały podkowy, zaskrzypiał żwir i pierwszy z nich ruszył na mnie, zajeżdżając po łagodnym łuku. Półtorametrowego ostrza zdecydowanie się po mnie nie spodziewał. Ciąłem bez rozmachu, prosto z ramienia, nawet nie sprawdzając, jak mi poszło. Drugi, zamiast najechać na mnie natychmiast po swym kompanie, wstrzymał konia, co dało mi czas, aby zrobić krok i

ciąć od lewej. Trafiłem go tyle o ile w plecy, ale to wystarczyło, aby zwałił się na ziemię.

Pozostali dwaj zdołali mi się wymknąć i teraz stali o kawałek dalej. Na nierównym, porośniętym różnymi krzakami terenie brakowało im trochę swobody ruchów. Trzymałem miecz na ramieniu i obserwowałem ich. Wnioskując po skórzanych odzieniu, przesywanych kamizelach, wyświechtanych portkach i butach w nikczemnym stanie, było widać, że to nie są ludzie z miasta, ale gdzieś ze stepu. Cudzoziemcy najęci do brudnej roboty. Znałem takich aż za dobrze.

Spojrzeni po sobie. Obaj mieli takie same twarde, zacięte twarze, gęsto zarośnięte, z brodami szarymi od kurzu i pyłu. Bez słowa czy gestu porozumienia równocześnie zeskoczyli z siodeł i dobyli szabel. Nie dałem im szansy na obmyślenie żadnych planów i z mieczem gotowym do ciosu sam rzuciłem się na nich. Zareagowali, zwiększając odstęp, jednak temu po prawej przeszkodził krzak, na co liczyłem. Tuż przed nim odbiłem nieco na zewnątrz i ciąłem mocno z prawej. Miał mnóstwo czasu i zasłonił się bardzo poprawnie, jednak nie liczył się z siłą uderzenia dwuręcznego ostrza. Jego szabla odskoczyła, otwierając mi drogę, i bardziej robiąc krok w przód, niż używając ramion, zadałem mu krótkie pchnięcie. Natychmiast zresztą cofnąłem ostrze i w półobrocie zasłoniłem się przed cięciem tego drugiego. Zdołałem również zbić jego prawie natychmiastowy drugi atak, przy czym równocześnie udało mi się nieco odstąpić, zwiększając dystans między nami. Miał swoją szansę, ale ją zmarnował.

W pojedynku jeden na jednego, który potem nastąpił, wielkich szans już nie miał. Chwilę mu to zajęło, zanim zrozumiał, że przeciw mojemu dwuręcznemu ostrzu jego szabla długo nie wytrzyma. Cofał się, giął w unikach, robił ciąłem na lewo i na prawo, wypatrując okazji. Był uważny, spięty i przebiegły, to mu musiałem przyznać. Zacząłem sapać, ciosy zadawałem z coraz to większego rozmachu, pozwalałem ostrzu zataczać coraz szersze łuki. Wyczuł nadarżającą się okazję, rzucił się do ataku szybki jak

błyskawica.

Powróciłem do obrony znacznie szybciej, niż się tego spodziewałem, pochwyciłem jego ostrze i używając gardy miecza jako dźwigni, wyrwałem mu broń z ręki. W jego lewej ręce błysnął sztylet. Zamiast odskakiwać, przysunąłem się bliżej, obróciłem miecz i rąbnąłem go głowicą na tyle mocno, że aż się cofnął dobre trzy kroki. Z krótkiego zamachu ciąłem go w gardło, niemalże odrąbując mu całkowicie głowę. Ten ostatni cios wyszedł mi jakiś taki dziwny. Spojrzałem na pokryte krwią i rdzą ostrze i po chwili zrozumiałem, że brakowało dobrych dwudziestu pięciu centymetrów. Gdyby pękło nieco wcześniej, leżałbym teraz martwy na ziemi.

Bandarillo, w szoku, zataczając się, wyszedł z ukrycia.

- Wyście ich wszystkich pozabijali?

- Nie wiem jeszcze. - Wzruszyłem ramionami.

Wyglądało na to, że ktoś kiedyś mój miecz próbował przekuć i nie za dobrze to wyszło. Gdy wrócimy do miasta, będę się musiał przyjrzeć mu dokładniej.

- Ten jeszcze żyje - wskazał Bandarillo.

Ten, którego strąciłem z konia jako drugiego. Miał złamaną nogę i prawdopodobnie uszkodzony kręgosłup. W rękę nadal trzymał szablę i spoglądał na nas beznamiętnie.

- Dowiemy się od niego, kto ich na nas nastął. - Bandarillo aż kipiał wściekłością. W dodatku buzowała w nim adrenalina po tym, co właśnie przeszedł. Ja tam byłem spokojny. Oczywiście niecałkowicie, bo walka zawsze człowiekowi przyspiesza trochę krążenie, ale w niczym się to nie równało bijatyce na arenie, czy nawet później, kiedy zabijałem ludzi dla złota. Jednak zabicie paru stepowych obdartusów niewiele samo w sobie dla mnie znaczyło, nawet jeśli znowu nie tak wiele brakowało, aby się ta przygoda skończyła dla mnie tu i teraz. Może bym przyjął ten koniec z otwartymi ramionami? Odłożyłem tę myśl na później, wiedząc, że jeszcze przyjdzie czas do niej powrócić.

Bandarillo wyciągnął sztylet, ale nie odważył się podejść do leżącego.

- Ten wam nic nie powie - uprzedziłem go. - Ktoś im zapłacił za to, żeby was zabili, ale oni sami najpewniej nie mieli pojęcia kto.

- Chcę, żebyście go zapytali! - Bandarillo nadal był tak wściekły, że nieomal pluł słowami.

Spojrzałem na leżącego na ziemi, ciężko poranionego mężczyznę.

- Kto was najął? - spytałem.

Oblizał usta i na ile mógł, poruszył się, żeby lepiej oprzeć się plecami o ziemię.

- Mówiłem, że nic nie powie. - Wzruszyłem ramionami, po czym ruszyłem na poszukiwania mojego konia, który gdzieś się zawieruszył.

- Powie wszystko, co będę chciał wiedzieć! - pieklił się Bandarillo, wymachując sztyletem. - Tylko trzeba pytać odpowiednimi sposobami!

- Ja ludzi nie torturuję - odpowiedziałem mu krótko. - Chcecie, to się z nim babrajcie sami.

Coś w tonie mojego głosu sprawiło, że Bandarillo się zatrzymał. Czekałem, żeby zobaczyć, czy dalej będzie nalegał, ale odpuścił sobie.

- Pojedziemy do miasta okrężną drogą. Ciekawe, że wasi ludzie po nas nie wrócili - powiedziałem.

Był do tego stopnia wyprowadzony z równowagi, że nic na to nie odrzekł.

Co się stało z naszymi sokolnikami, dowiedziałem się dopiero następnego dnia od mojego małego informatora. Znaleźli ich niewielki kawałek za miastem, każdego ze strzałą w szyi. Czyli że ta zasadzka została całkiem nieźle przygotowana.



Poranek jak każdy inny, taki sam, jak wszystkie, które pamiętał. Rezultaty jego wysiłków wydawały się być dalece tym wysiłkom nierówne. Na dobrą sprawę były niczym w porównaniu z ofiarami, jakie poniósł. W ogóle były niczym!

Jeszcze na początku by go to zraziło, sprawiło, że by zrezygnował. Jeszcze w pół drogi się poddał. Teraz już jednak nie mógł. Stał i czekał, aż jego ciało się rozbudzi. Aż się rozgrzeją mięśnie, serce. Nie potrzebował gimnastyki. Spał bez przykrycia, na gołym prześcieradle, ale i tak przez całą noc było mu niewymownie gorąco. Swoje ciało odczuwał jako coś obcego, buchającego żarem.

Czas zacząć przedwieczorny trening. Wybił się w powietrze.

Kiedy, łapiąc ciężko oddech, skończył, wiedział, że nie poszło mu tak dobrze, jak miało być. Nie tak dobrze, jak musiało być, aby mu się powiodło. A przecież sukces był jedyną opcją. W łazience umył się, wytarł do sucha, po czym przeszedł do kuchni. Nie szykował tutaj jedzenia, jedynie przygotowywał rzeczy potrzebne do TEGO. Wieczorem zdecydował się wreszcie przynieść wielkie zwierciadło w miejsce tego, które rozbił, jednak w dalszym ciągu nie odważył się w nie jeszcze spojrzeć. Słabość rodzi kolejną słabość, a na to nie mógł sobie pozwolić w żadnym przypadku. Z niechęcią i obrzydzeniem graniczącymi z fizyczną niemożnością odsłonił tkaninę, którą było zakryte, i stanął naprzeciw. Z zamkniętymi oczami. Otworzyć je teraz okazało się trudniejsze niż wszystkie jego ćwiczenia, niż skakanie po fasadzie rezydencji Harbirgera. Nie był to przyjemny widok, ale wytrwał, aż się sobie całemu, kawałek po kawałku, przyjrzał. Ta rzecz między nogami irytowała go najbardziej. Nabrał głęboko powietrza, złapał kawałek papieru i spisał dokładnie to, co widział. Z pomocą krawieckiego metra pomierzył, co potrzebował, i wyniki pomiarów również skrzętnie zanotował. Wreszcie się ubrał, wypił kilka przygotowanych wcześniej koktajli, zjadł rozedrgane galarety, naszykował nowe porcje na później i dopiero wtedy wyszedł z domu.



Łasiczka rozwalił się pomiędzy workami z mąką, wiązkami trzciny, belami sukna i innymi nieistotnymi towarami. Jego koń, uwiązany na krótkim powrozie, posłusznie człapał za wozem,

podczas gdy sam woźnica mamrotał coś do siebie na koźle. Niecałe dwa dni drogi od Damarkandy z zakurzonej równiny wyrastały nagle góry. Strone i najeżone skałami, ale mimo wszystko bardziej zielone niż ciągnący się u ich podnóża step. Po drodze minęli jedynie dwie wsie, obie zamieszkane przez hodowców bydła. Woźnica i właściciel wozu, Azmund, w ogóle się w nich nie zatrzymywał, bąknął coś tylko o wszawych złodziejach i zawszonych siennikach. To Łasiczce wystarczyło za ostrzeżenie, a poza tym to i tak nie były te wsie, o które mu chodziło.

Przerwał podziwianie okolicy, wyciągnął się wygodniej na wozie i znów postanowił się przekimnąć. Trzeba korzystać, dopóki można, bo przyjdzie niedługo taki moment, że się wygody skończą.

- No, wstawać. Dalej się trakt zaczyna wspinać, stąd już musisz z wozu, nie będę dla ciebie męczył konia. - Azmund wyrwał go z półsnu.

- Jasne. - Łasiczka nie dał się popędzać.

Wstał, przeciągnął się i rozejrzał. Woźnica nie kłamał, droga dalej zaczynała się pięć dość stromo pod górę. Wyglądała również na dużo bardziej kamienistą.

- Zapalimy? - Wyciągnął fajkę.

Azmund skinął głową. Łasiczka już wcześniej zaobserwował, że ten mężczyzna w nieokreślonym wieku gdzieś między sześćdziesiątką a śmiercią wykonywał ten gest z takim namaszczeniem, że rozmówca musiał wręcz poczekać, aż tamten skończył.

- Chcesz spróbować mojego? - zaproponował mu tytoń.

Mężczyzna pokręcił głową i wyciągnął własny. Łasiczce wystarczyło jedno krótkie spojrzenie, aby dostrzec, że w mieszanke Azmunda tytoniu jest raczej mniej niż więcej.

Palili w milczeniu, spoglądając na okolicę, jedynie konie od czasu do czasu odganiały gzy. Nawet nie ma ich tak wiele, pomyślał Łasiczka, pewnie dlatego, że tu tak sucho.

- Chcę otworzyć handel - odezwał się wreszcie po starannie

wymierzonej pauzie. Azmund kiwnął głową.

- Tak sobie właśnie myślałem - odparł, kiedy cienie gór zdążyły się przesunąć zauważalnie.

Łasiczka uświadomił sobie, że być może czeka go najdłuższa w życiu rozmowa. Dopalił fajkę, wyczyścił ją i poczekał, aż ostygnie. Jakoś nie przyszło mu do głowy, że w tej podróży będzie chciał wypalić więcej niż jedną.

- Towar w mieście zrobił się jednak strasznie drogi - podjął, kiedy uznał, że przerwa była dostatecznie długa.

Azmund znów pokijał głową z lekko nieobecny wyrazem twarzy.

- Będę wysłać dość daleko, więc musiałbym kupować wprost od farmerów. Po cenach, które będą lepsze i dla mnie, i dla nich.

Fajka zdążyła całkiem już wystygnąć i Łasiczka zaczął ją ponownie nabijać.

- Dziw, że jedziesz bez ludzi pod bronią. Dawniej już byłbyś martwy w pół tej drogi - rzucił Azmund.

- Nie wiozę ze sobą pieniędzy, na razie jadę tylko wy badać sytuację - Łasiczka tym razem odparł mu bez zwłoki.

- Wszystko jedno. - Azmund machnął ręką obojętnie. - Kiedyś wszyscy się ze sobą bili, wszystkie wsie, wszystkie rody. Kto nie bił innych, umierał z głodu. To się teraz odmieniło. A zanim zaczniesz gadać z farmerami, musisz się wystarać o słowo u ludzi Wielkiego Milczącego.

- A to kto?

- No, on tu wszystkim rządzi. Niektórym się wydaje, że to Łysy tu władza, ale tak naprawdę wszystko w garści trzyma Wielki Milczący.

Azmund sięgnął po swoją specjalną mieszankę i też zaczął nabijać ponownie fajkę. Łasiczka zrozumiał, że w związku z tym już nic więcej dziś od starego nie wyciągnie. Może nawet nie tylko dziś, ale i do jutrzejszego popołudnia. Zostawił go więc sam na sam z jego medytacjami, odwiązał swojego konia, wskoczył na siodło i ruszył traktem w górę. Przez to, ile zajęła im

rozmowa, obawiał się, że nie zdoła dotrzeć do najbliższej wsi przed zmierzchem.

Mimo wszystko zdążył. Wieś tak naprawdę tworzyło raptem kilka koślawych chat z gliny i kamienia, pomiędzy którymi stał jeden jedyny przyzwoitszy budynek. Musiał być postawiony stosunkowo niedawno, z dużych, grubo ciosanych kamieni, które tu dotransportowano. Dziwacznie kontrastował z miernością pozostałych zabudowań.

Łasiczka objechał kamienny dom, na tyłach dostrzegł stajnię, jednak konia do niej nie zaprowadził. Zostawił go luzem przed wejściem. Tak na wszelki wypadek. Może i był przeczulony, ale czuł się nieswojo, mając świadomość, że jego przybycie zostało z całą pewnością zauważone. Zawahał się przez chwilę. Nic to, jak już grać rolę, to grać ją do końca. Odczuwając nieprzyjemne mrowienie na plecach, załomotał w drzwi, po czym wszedł do środka.

Gospoda, stacja łącznikowa albo posterunek wojskowy, takie były jego pierwsze domysły, kiedy rozejrzał się po wnętrzu. Stały tu stoły i ławy jak w karczmie, salę jednak przedzielała masywna lada z wyszynkiem, po drugiej stronie której znajdował się duży stół, przy nim krzesła, a na blacie rozłożone zostały licznie jakies papiery. Mapy i listy, na ile mógł się zorientować. Obok nich jakaś gruba księga otwarta mniej więcej w połowie. Jedynym obecnym był karczmarz, za którym stało, jak na okolicę, zbyt wiele butelek zbyt elegancko wyglądających napitków.

- Dobry wieczór - przywitał się Łasiczka. - Czy można tu co zjeść i wypić? Macie może też pokoje na nocleg?

Mężczyzna podniósł się i uśmiechnął, ukazując zęby człowieka, który jada, jak się należy, i wie, co w życiu dobre.

- Od tego tu jestem. Czego byście sobie zażyczyli?

Nawet nie zapytał, czy Łasiczka miał czym zapłacić. Ta cała gospoda była jedynie fasadą, gdzie nikt szczególnie nie dbał o to, jak szły interesy. Tak naprawdę to była... to była... to musiała być czyjaś siedziba. Pytanie tylko czyja?

- Piwo, do jedzenia cokolwiek - zamówił Łasiczka.

A zatem od razu mnie nie zabiją, osądził.

- Idę zaprowadzić konia do stajni, zaraz wrócę - rzucił do karczmarza. Ten tylko pokiwał głową.

Kiedy przestąpił ponownie próg, czekał już na niego kawał pieczeni wieprzowej, zimne piwo i kawał chleba z doskonale zmielonej mąki. Oraz kolejny gość.

- O, jakie mam szczęście, że tu nie będę siedział sam! - rozgadał się natychmiast tamten. - Przybyłem dopiero przed chwilą, ze wschodu, te góry są tak porozrzucane jakoś, człowiek traci całe dnie i nawet nie wie, ani kiedy, ani jak.

- Dobrze wiedzieć. - Łasiczka skinął mu na powitanie. - Przysiadę się do was, jeśli można? Jakoś trudno tu znaleźć towarzystwo poza miejscowymi.

- Oczywiście, sam nie śmiałem proponować.

Łasiczka zaczął powoli przenosić swoje rzeczy i jedzenie do stołu nowo przybyłego. Jego twarzy nie opuszczał przy tym przyjazny uśmiech. Mężczyzna miał ze sobą podróżne kufry, takie, jak zazwyczaj kupcy transportowali na wozach, odziewał się też według kupieckiej, podróźnej mody - niskie buty na grubej podeszwie, grube pończochy i krótkie wełniane spodnie. Do tego długi nieprzemakalny płaszcz. Wszystko wydawało się pasować. Oprócz twarzy, zbyt twardej, o nieodgadnionym spojrzeniu, nienawykłej do targów i kompromisów. Chociaż nie, nic nie pasowało. Ubranie było świeże, widać było wyraźne zagięcia po tym, jak złożone leżało gdzieś w kufrze czy szufladzie, czekając na taką właśnie okazję. I ta twarz niekupiecka... Łasiczka dostrzegł teraz szramy, z jednego ucha pozostały tylko smętne resztki. To był zabójca udający kogoś zgoła innego. Łasiczka zasiadł do stołu i aby dać sobie parę chwil do namysłu, chwycił się za jadło.

- Wybaczcie. - Uśmiechnął się przepraszająco pomiędzy dwoma kęsami. - Ale strasznie jestem głodny i jeśli czegoś nie zjem, zaczną mnie zaraz łapać straszne skurcze w żołądku.

- Miało się, miało - pokiwał głową ze zrozumieniem tamten. - Nazywam się Fabrico Percus - przedstawił się.

- Łasiczka. Łasiczka Psun - odpowiedział Łasiczka z pełnymi ustami.

Kim byli i czemu z nim grali w tę dziwną grę? Naprawdę myśleli, że da im się nabrać? A jeśli będzie udawał, że wierzy w każde słowo, włącznie z tym, iż siedzi w normalnej gospodzie, a Percus to kupiec, darują mu życie? A jeśli się zdradzi, to co wtedy? Zabiją na miejscu? Nie miał pojęcia.

Dodatkowy czas, jaki kupił mu posiłek, skończył się bezapelacyjnie.

- Czym handlujecie? - zapytał pierwszy Percusa, widząc, że tamten już otwiera usta, a przy tym równocześnie zamachał na karczmarza pustym dzbanem. Ten, przy drugim spojrzeniu, też na karczmarza nie wyglądał. Już raczej na kogoś, kto przywykł do noszenia broni, dużej ilości broni, a nie do polerowania szklanic, co czynił ruchem tak nienaturalnym, że musiał go z pewnością podpatrzeć w jakimś lepszym wyszynku w Damarkandzie albo jeszcze lepiej, Krachtiburgu czy innym większym mieście cesarstwa. Czy może to też była część gry? Może go testowali? Może chcieli zobaczyć, jak długo wytrzyma, udając, że nic nie dostrzega? Czy normalny, autentyczny kupiec nie zaczęłyby się zachowywać, jakby mu coś nie grało?

- No, a czym tu można handlować? - zaśmiał się Percus, puszczając do Łasiczki oko.

Łasiczka skinął ze zrozumieniem i machnął ręką na karczmarza.

- A do tego piwa jeszcze coś dobrego na rozgrzewkę. Całą butelkę.

Odwrócił się z powrotem do Percusa i sam posłał mu porozumiewawczy uśmiech.

- Wieloma rzeczami można handlować. - Sięgnął po przyniesione kieliszki i butelkę gorzałki. - Ale w tej akurat okolicy trudno znaleźć cokolwiek innego niż słomę makową - rzekł wprost.

Kiedy poziom cieczy we flasce opadł poniżej połowy, Łasiczka już wiedział, na czym stoi. Nie udało mu się od Percusa wydobyć

ani jednej konkretnej informacji, podczas kiedy sam przez cały czas miał wrażenie, jakby siedział na przesłuchaniu. Badany był profesjonalnie, bez cienia osobistego zaangażowania. Wypili niemało, i Łasiczka zaczął mieć coraz większe problemy z tym, aby zachować klarowność myśli, a przy tym przez cały czas przekonująco udawać kupca, który relaksuje się po ciężkim dniu w miłym towarzystwie. Percusowi na pozorach zależało coraz mniej. Wyglądał na mocno spiętego. Nie, nie spiętego, zmienił zdanie Łasiczka, kiedy ponownie mu polewał. Wyglądał jak ktoś, kto usilnie nad czymś rozmyśla, jakby się nie mógł na coś zdecydować. I kiedy Łasiczka dodał dwa do dwóch, poczuł, jak robi mu się zimno. Percus zastanawiał się, czy ma go zabić. Podchodził do tego profesjonalnie, na zimno, kalkulując, które rozwiązanie będzie dogodniejsze. To już o nim samym bardzo wiele mówiło. Zabić ot tak, bez emocji, z zimną krwią i z wyrachowania, do tego nie każdy się nadawał. Sam wiedział, że on by tak nie potrafił i przez całe swoje życie spotkał jedynie kilku takich ludzi. Trzech może? Jednym z nich był oczywiście Bakły, dla którego zabijanie było niczym orka dla farmera. Ten mężczyzna tutaj był do Baklego na swój sposób podobny. Porównanie z Bakłym dało wreszcie Łasiczce klucz, którego na próżno dotąd szukał. Fałszywy kupiec pewnie też był człowiekiem, który niechętnie tracił czas na cackanie.

Odstawił butelkę i uśmiechnął się szelmowsko. W ostatniej chwili zdławił w sobie chęć, aby odbezpieczyć sprężynowe ostrze, które miał przymocowane do przedramienia. Percus by to z pewnością zauważył i natychmiast zareagował.

- Rynek jest już pełen - zaczął. - Ceny lecą w dół i praktycznie cały wschód już tonie w opium.

Uniósł szklaneczkę i siorbnął z niej. Jego przemowa zainteresowała Percusa na tyle, że tamten zapomniał go naśladować. Łasiczka uśmiechnął się i ciągnął dalej:

- Tylko idiota próbowałby się przebić na takim rynku bez odpowiednich kontaktów i przy tak ostrej konkurencji. W cesarstwie...

Percus nie tyle spał się bardziej, co nagle wydał się jeszcze bardziej gotowy do akcji, jakkolwiek ta akcja miałyby wyglądać. Nie ulegało jednak wątpliwości, że większość opcji oznaczała nieuchronną śmierć.

- ...w cesarstwie są ceny oczywiście wyższe, ale zysk nie pokrywa ryzyka. Cesarz wydaje się być strasznie na opium cięty i częstokroć nie pomagają nawet łapówki. Znałem ja kilku porządnych ludzi, którzy skończyli na szubienicy.

Percus pozwolił sobie się rozluźnić. Łasiczka z największym trudem ukrył westchnienie ulgi. Trafnie zatem odgadł, iż jego rozmówca, a raczej ludzie, którzy za nim stali, nie chcieli, aby ktokolwiek się mieszał do handlu opium na cesarskiej ziemi.

- Nie pi-jesz - stwierdził Łasiczka z wyrzutem, wskazując na szklaneczkę. Starał się, aby zająknięcie brzmiało jak najbardziej naturalnie. - Widzisz, ja mam jeszcze lepszy plan... - Wciągał Percusa głębiej w swoją historię. - Dostawy towaru na większe odległości. Da-leko na południe, aż za Pustynię Gutawską. Owszem, logistyka wychodzi drożej, nie da się tego ukryć. Jednak jeśli wszystkim zajmę się sam, bez pośredników, i tak zarobię więcej, niż ktokolwiek mógłby sobie wyobrazić.

- To jest bardzo dobry plan - zgodził się z nim Percus. - Tyle że trochę ambitny.

Tym razem napili się obaj.

Percus do pewnego stopnia przypominał żołnierza. Dostał wprawdzie instrukcje, których musiał się trzymać, ale na tyle ogólne, że miał wolną rękę do podejmowania decyzji, kiedy szło o detale, wydedukował Łasiczka. Idea wysyłania opium na południe nie mieściła się w jego instrukcjach i decyzja, co z tym zrobić, należała w tej chwili wyłącznie do niego. Łasiczka przeszedł do kolejnego stopnia upojenia alkoholem. Niestety, nie tylko tego udawanego, choć przynajmniej tak naprawdę trzymał się wciąż o kilka stopni lepiej, niż to swemu rozmówcy pokazywał.

- Mnie się nie wydaje, żebyś ty był takim zwykłym kupcem, mój drogi, mnie się wręcz wydaje, że ty tutaj wszystkim rządysz! I

wiesz co? Ja cię lubię, chętnie z tobą zrobię interes. Zaproponuj przyzwoitą cenę, a ja ci zapewnię dostawy. Muszę tylko znaleźć szlak na północ, ale to nie problem, bo wiesz, ja mam kontakty... Dziewuszek! - Zamachał ręką na karczmarza. - Obiecałaś mi pokój czy nie?

Oberżysta wymienił spojrzenia z Percusem, który wykonał dyskretny, uspokajający gest ręką. Łasiczka nie posiadał się ze szczęścia, kiedy go dostrzegł. A zatem nie zamierzają go zabić, po prostu dostanie pokój.

Kiedy padał na wół nieprzytomny na łóżko, uświadomił sobie, że jest ululany jak bela. Niewiele brakowało... Gdyby nie zdołał tak dobrze wyczuć Percusa i umiejętnie tego rozegrać, nie przeżyłby tego wieczoru. Jednak czemu chlebodawcy Percusa byli aż tak wyczuleni w sprawie handlu opium na pobrzeżu i w cesarstwie? Chodziło wyłącznie o konkurencję czy może też i coś więcej? Rozstrzygnięcie tej kwestii postanowił zostawić już na rano. Na razie, był zbyt zmęczony i stanowczo zbyt pijany.



Po naszej małej wycieczce jakoś nie miałem nastroju ani na Bandarilla, ani na dalsze jego pomysły. Poza tym chciałem się lepiej przyjrzeć mojej broni, bo zaczynała mnie porządnie intrygować. W związku z moją rosnącą popularnością potrzebowałem też żelaza, na którym mógłbym bardziej polegać, bo przebijanie się z gołymi pięściami poprzez tłumy wszystkich moich wielbicieli zaczynało wyglądać na zadanie wcale ambitne, nawet jak na mnie. Mniej więcej w pół drogi między kwartałem rzemieślników a rogatkami znalazłem kowala, od którego za złociska wynająłem na cały dzień jego kuźnię. Sam się bronią nie zajmował, ale narzędzia miał więcej niż przyzwoite.

Zanim zabrałem się do roboty, jeszcze raz rozejrzałem się po okolicy. Ulica powoli traciła tu już swój charakter. Bardziej przypominała przedmieścia z ich wolno stojącymi domami z mniejszymi lub większymi ogródkami. Ludzie, którzy mnie mijali, widać znali kowala bardzo dobrze i rzucali mi zaciekawione

spojrzenia, jednak nie wzbudzałem nadmiernego zainteresowania. Wszystko to pasowało mi idealnie. Wróciłem do kuźni, rozpałem ogień i czekałem, aż komin złapie porządną cug. Zamiast dachu miałem nad głową okopcone, tu i ówdzie poprzepalane płótno, przez które wdzierały się promienie palącego słońca. W tym gorącym jak patelnia mieście kuźnia nie była miejscem dla byle mięczaka. Jak i gdziekolwiek indziej zresztą...

Zanim żar w palenisku osiągnął odpowiednią temperaturę, z pomocą miękkiego kamienia szlifierskiego oczyściłem ostrze z rdzy. Marka miecznicza nadal pozostawała nieczytelna. Dopiero kiedy rozebrałem rękojeść, znalazłem pod jelcem symbol dwóch stylizowanych górskich zboczy i słońca między nimi. Kiedyś znałem wszystkie ważniejsze znaki zarówno mistrzów współczesnych, jak i tych dawniejszych, jednak tego tutaj nigdy wcześniej nie widziałem. Mimo to wyrób dawnego, nieznanego rzemieślnika bardzo mi się podobał. Oczywiście z wyjątkiem tej części, która była poddana naprawie. Ktoś to zrobił bardzo nieumiejętnie, dodając zbyt wiele materiału i nie przekuwając ostrza odpowiednio.

Zabrałem się do roboty. Nie zamierzałem miecza przekuć i na nowo przedłużyć. Najpierw zająłem się samym ostrzem, które rozgrzałem w palenisku, i kiedy nabrało barwy dojrzewających wiśni, zacząłem kuć. Nie spieszyłem się, dawałem stali czas. Pęknięcie biegło dość krzywo, więc postanowiłem, że czubek ostrza wykonam niesymetryczny, wyglądający bardziej jak u broni jednosiecznej. Nigdy wcześniej niczego takiego nie widziałem, ale mi to nie przeszkadzało. Kiedy skończyłem, leżała przede mną przedziwna hybryda miecza jednoręcznego, dwuręcznego i tasaka. Przez chwilę zastanawiałem się, co zrobić z jelcem. Ponieważ ostrze stało się teraz krótsze, wyglądał trochę dziwnie, ale w końcu zostawiłem tak, jak był. Zamiast tego zająłem się głowicą, z której ująłem materiału, żeby pasowała wagą do krótszego ostrza, i wykończyłem bez specjalnej finezji, byle tylko nie pokaleczyła mi żadnymi zadziorami dłoni. Na

koniec przyszła kolej na prawie trzydziestocentymetrowy, odłamany fragment ostrza ze sztychem. Naostrzyłem je na nowo i zeszlifowałem pękniętą krawędź. Przewierciłem w niej otwory, po czym z lipowego drewna przygotowałem okładziny, które po znitowaniu wytworzyły prostą rękojeść. Owinąłem ją potem paskiem nawilżonej skóry i zostawiłem do wyschnięcia, żeby się trochę ściagnęła.

Przez resztę dnia dopieszczałem swoje wyroby, które w konkursie piękności wprawdzie nie zdobyłyby żadnych punktów, jednak świetnie leżały w dłoni i były wykonane z pierwszorzędnej stali. Na koniec zeszlifowałem jeszcze w szpikulce poprzeczki jelca tasako miecza. Każda część broni może się w walce przydać.

Kiedy kończyłem, przyglądał już mi się właściciel kuźni, który pod wieczór wrócił do domu. Siedział na beczce z piaskiem, w ręku dzierżył solidny dzban piwa i spoglądał, jak sobie radzę. Odłożyłem wreszcie narzędzia kowalskie i zamiast nich chwyciłem za dratwę. Po wewnętrznej stronie kozucha wszyłem dwie pętle, za które wsunąłem sztylet. Trzymanie go tam w ten sposób może i nie było całkiem bezpieczne, ale lepsze to niż nic. Poza tym mało kto by się w tym miejscu broni spodziewał.

- Znacie się na tym - ocenił wreszcie. - Macie fach w ręku, moglibyście się nim wyżywić. - Podbródkiem wskazał kowadło.

Były i takie czasy.

- Może... - przyznałem bez większego przekonania.

Skinięciem głowy pożegnałem kowala i z bronią ukrytą pod kozuchem opuściłem kuźnię. „Może” i „mógłbym” zupełnie mnie nie interesowały. Wspomnienia... Pewnie by bolały, gdybym nie był tak twardy. Niemniej przyjemnie spędziłem dzień. Najprzyjemniej od tak dawna, że sam już nie wiedziałem, od kiedy.



Kiedy wróciłem do mojego zajazdu, Mózg czekał na mnie na ulicy. Wyglądał bardzo nerwowo, przestępował z nogi na nogę,

a kiedy mnie zobaczył, wyraźnie mu ulżyło.

- Bandarillo już na was czeka. Nikt was przez cały dzień nie mógł znaleźć.

- A więc akcja. Rozumiem, że dostanę stawkę za cały dzień w związku z tym?

- Bandarillo uprzedził mnie, że o to zapytasz. Oczywiście.

Nie ruszyliśmy w stronę sklepu zielarza i handlarza narkotykami, ale do części miasta, w której jeszcze nie byłem. Domy stały tu gęsto, uliczki były wąskie, ale przynajmniej część z nich została wybrukowana.

- Co się dzieje? - spytałem, widząc, że Mózg cały czas nerwowo rozgląda się na boki. I to pomimo że się jeszcze nie zdążyło ściemnić.

- Znaleźli kolejnego trupa - wyjawiał.

Nie rozumiałem, co w tym takiego niezwykłego. Czasami odnosiłem wrażenie, że gdzie nie spojrzę, tam leży jakiś nieboszczyk. Skierowaliśmy się ku działce, która wyglądała na większą niż okoliczne, ale też gorzej utrzymaną. Przed bramą tkwił gość, którego z widzenia już zaczynałem rozpoznawać. Skinął nam na powitanie i wskazał ręką, abyśmy szli dalej. Przeszliśmy przez zaniedbany ogród i dotarliśmy do domu. W głównym pokoju czekał już Bandarillo ze swoją świtą. Tłok był tam taki, że gdybym się spróbował wbić na siłę, pewnie nie wytrzymałyby ściany.

- Chcę, żebyś na to popatrzył - zakomenderował bandyta.

Wskazałem dwóm jego gorylom, żeby wyszli. Nie byli zachwyceni, ale posłuchali. Coś tu jednak zaczynałem znaczyć.

Trup na podłodze wyglądał tak schludnie, że aż groteskowo. Miałem wrażenie, że ten człowiek zmarszczył się na śmierć. Był tak chudy i wyniszczony, że nie mogłem odgadnąć, w jaki sposób zdołał do tej pory utrzymać się przy życiu. Kucnąłem, żeby przyjrzeć mu się z bliska. Po brakujących zębach i poczerniałych dziąsłach poznałem, że brał khat. Może to przez narkotyk był taki wychudzony. Skoncentrowałem się na kwestii najważniejszej - zabiło go jedno uderzenie długim, wąskim

ostrzem, które weszło za uchem i sięgnęło prosto mózgu. Ktoś musiał je zadać bardzo szybko i z piekielną wręcz precyzją. Trąciłem trupa palcem i wciągnąłem głęboko powietrze. Wnioskując po zapachu, dostali gościa nie później niż tego ranka. Powiedziałem o tym Bandarillovi.

- Czemu jest taki istotny? Co chwila ktoś kogoś gdzieś zabija - spytałem.

- Jest ze spisu. Z listy Harbirgera - wyjaśnił Bandarillo.

Nie wydawał się przestraszony czy zdenerwowany. Jeśli już, to najprędzej wściekły. Z pomieszczenia obok wynurzył się jakiś człowiek. W każdej ręce trzymał po jednym chlebku surowego opium.

- Jest ich tam całkiem sporo - oznajmił.

- Jak sporo? - zaciekał się Bandarillo.

Mężczyzna wzruszył ramionami, więc Bandarillo, klnąc, poszedł sprawdzić sam. Ruszyłem za nim. Opium znajdowało się nie w samej izbie, ale w piwniczce tuż poniżej. Chlebki leżały na drewnianych paletach tak, aby miały swobodny dostęp świeżego powietrza z każdej strony, również od spodu.

- Za dużo tu jest towaru. Musiał pracować dla kogoś jeszcze, nie tylko dla mnie - ocenił po chwili Bandarillo.

Ciekawe.

Wziąłem łuczywo i obejrzałem sobie dokładnie całe podziemne pomieszczenie. Z tyłu, w samym rogu, dostrzegłem jedną paletę pustą. W odróżnieniu od pozostałych była solidnie zakurzona, jakby jej właściciel magazynu nie używał od dawna. Pozostały na niej jednak trzy ślady po czymś, co ktoś niedawno zabrał. Najprawdopodobniej opium. Mógł to być morderca, jednak dlaczego wziął tylko trzy i czemu z tej, a nie innej palety? Dziwne.

- I co o tym sądzi nasz mądrała? - zwrócił się do mnie jeden z goryli Bandarilla.

Mądrała? To miał być komplement czy próba obrazy? Ciężko się czasem połapać, a mnie tego typu różnice w ogóle już umykały. W myślach sam go ochrzciłem Mądrałą.

- Zabił go ktoś bardzo szybki. Lubi bardzo ostrą broń. To taki typ, co to zdoła stanąć za twoimi plecami, a ty dalej nie będziesz niczego podejrzewał. To ten sam typ, który załatwił tego pierwszego. - Nawet nie próbowałem sobie przypomnieć imienia.

- No dobrze, ale co on z tego ma? Dlaczego to robi? - dopytywał się Bandarillo.

- Za przemyślenia mi nie płacie. - Wzruszyłem ramionami.

Poczekaliśmy, aż całe opium zostało wyniesione, po czym opuściliśmy budynek.

- Chcę, żebyście mnie od tej pory chronili w dzień i w nocy - powiedział do mnie Bandarillo, kiedy dotarliśmy do jego domu.

- Nie. - Pokręciłem głową. - Macie dość ludzi. - Wskazałem czwórkę jego ochroniarzy.

Wszyscy czterej rzucili mi spojrzenia tak nienawistne, że komuś mniej gruboskórnemu pewnie by się zrobiło niedobrze.

- Płacie mi za to, że was tu czy tam odprowadzę, że przegonię kogoś, kto wejdzie w drogę, zrobię „buu!” i postraszę. Niańką jednak nie będę. Do tego wystarczą wam tamci. - Kiwnąłem brodą na goryli. - Aha, i jesteście mi dłużni za dzisiaj.

Zapłacił bez słowa. Bycie chłopakiem na posyłki jednego z głównych bandytów Damarkandy okazało się zaskakująco opłacalne.



Cały następny dzień spędziłem, snując się po targowiskach, przesiadując w gospodach i nadstawiając ucha na to, czym żyło miasto. Natrafiłem na gwałtowną kłótnię między celnikami a właścicielem karawany. Celnicy upierali się, że muszą skontrolować cały ładunek, pomimo iż już raz był poddawany oględzinom i został opatrzony pieczęciami celnymi. Mężczyzna próbował ich przekonywać, wściekał się, próbował łapówek, znów się wściekał i kłął na czym świat stoi, aż wreszcie musiał ustąpić, kiedy stało się jasne, że jeszcze chwila i go po prostu zamkną.

Inni handlarze, podróżujący na zachód, wydawali się mieć dużo więcej szczęścia. Drobną sumą pieniędzy przeszła z ręki do ręki i bez najmniejszego problemu przejechali przez bramę i opuścili miasto. U jednego z gości z tej pierwszej karawany znaleźli jakieś opium, znów się z tego zrobił krzyk. To było wręcz śmieszne. Damarkandą szły każdego dnia tony opium, haszyszu, marihuany i innych narkotyków, a temu tutaj robili problemy z powodu niewielkiej ilości, którą miał na własny użytek. W końcu jakoś się wreszcie jednak dogadali i karawana ruszyła w swoją drogę.

Z całego dnia węszenia wynikało tylko tyle, że coś się w mieście dzieje, ale co konkretnie? Nie wiadomo. Cokolwiek to było, po powierzchni rozchodziły się póki co jedynie bardzo delikatne kręgi.



- Kobieta się wami interesuje - usłyszałem znajomy głos - a wy zupełnie nie zwracacie na nią uwagi.

Pan Łasiczka podszedł mnie, jak to tylko on potrafił. Spojrzałem z ukosa, miał rację. Jedna z handlarek rzeczywiście na mnie spoglądała. Większość uwagi poświęcała swemu towarowi i klientom, jednak w wolnych chwilach rzucała mi ukradkowe spojrzenia albo wręcz przyglądała mi się wprost w zamyśleniu. Jej zainteresowanie nie niosło ze sobą żadnej groźby, dlatego nie zwróciłem na nią wcześniej uwagi.

- No i co z tego? - Wzruszyłem ramionami.

Pan Łasiczka pokręcił tylko głową.

Wyglądał nie najlepiej. Musiał być skrajnie wyczerpany, choć trudno zgadnąć, z jakiego powodu.

- Kiepsko z wami, oj, kiepsko. Przecież ona jest całkiem ładna.

- Uszczypliwy pozostał jednak w dalszym ciągu tak samo.

Tym razem już się nie oglądałem, a jedynie przywołałem wizerunek kobiety w myślach. Ciemne włosy zaplecione w długi, gruby warkocz, przykryte koronką, która mogła, ale nie musiała być czepcem. Owalna, regularna twarz, zaskakująco jak na

wieśniaczkę elegancka suknia z gorsetem ciasno opinająca sylwetkę, pełne, ciężkie piersi. Nie, nie miała na sobie gorsetu, po prostu przy jej pełnym biuście i krągłych biodrach taką miała sylwetkę. To prawda, była ładna, ale nie rozumiałem, dlaczego Łasiczka przywiązywał do tego taką wagę. Poza leżącym na ladzie nożem nie dostrzegłem żadnej innej broni.

- Nie jest niebezpieczna - uspokoiłem go.

Łasiczka z jakiegoś niejasnego powodu w głos się roześmiał. Był to zupełnie inny śmiech niż ten, do którego zdążyłem się już przyzwyczaić.

- Stało się coś? - spytałem.

- Owszem, ale to długa historia - odpowiedział.

- Kupimy piwa i pójdziemy do mnie w takim razie - zaproponowałem.

Nie zaprotestował. On kupił piwo, ja jedzenie. Raporty polne w sprawie apetytu Łasiczki okazały się, mówiąc najłagodniej, niesatysfakcjonujące. Przez chwilę zastanawiałem się nad sformułowaniem „raporty polne”. Już od dłuższego czasu nie byłem gościem przy stole sztabu generalnego K., a mimo wszystko coś z tego specyficznego języka, jakim tam operowano, we mnie zostało.

- Ta sprawa jest o wiele większa, bardziej złożona i niebezpieczna, niż żeśmy zakładali - rzucił mi przez ramię, kiedy kupował piwo. Nie skąpił. Zamówił dziesięciolitrowy dębowy antałek ze szpuntem. W cenę wliczony był też drugi szpunt, z miękkiego drewna, w którym osadzona była mosiężna pipa. Ja niosłem jedzenie. Dwie wielkie szynki, stos placków kukurydzianych, trzy woreczki korzeni do doprawienia posiłku i ćwierćkilogramowy pasztet. Podobno ze słowiczych języków z dodatkiem koniny w stosunku jeden do jednego. Odgadywałem, iż musiał to być zatem jeden słowiczy języczek przypadający na jednego konia.

Weszliśmy do zajazdu. Właściciel łypnął na mnie spode łba, po czym udawał, że mnie nie widzi. Weszliśmy na stopnie.

- Miałem już wcześniej zapytać... Mieszkacie na samej górze? -

zdziwił się Łasiczka.

- Owszem. A co? - Sięgnąłem po klucz.

- Wydawałoby się, że przy waszej wadze nie będziecie rozważać drogi ucieczki wiodącej po dachach.

- Ja przed niczym nie uciekam - odparłem.

- Ano tak. - Potarł twarz ręką. - Racja, zapomniałem.

Wcisnąłem mu jedną z szynek, po czym wydobyłem wreszcie klucz i otworzyłem drzwi gwałtownym pchnięciem. Nie uderzyły o ścianę, ale uderzyły w coś dużo wcześniej. Dokładnie tak, jak oczekiwałem. To, o co uderzyły, kwiczało teraz przeraźliwie jak zarzynany prosiak. Zaświszczała stal, szynka w moim ręku zadrżała. Kopnąłem drzwi raz jeszcze i kwiczenie ustało. Przedemną wystraszony człowieczek z metalową kuszą cofał się ku oknu. Przydzwoniłem mu mięsiwem raz z lewej, raz z prawej, po czym kopniakiem pomogłem mu dać drapaką przez okno. Lot miał bez zarzutu, ale lądowanie nie wyszło. Leżał teraz na ziemi i boleściwie jęczał. Wyglądało na to, że połamał sobie nogi, fajtłapa jeden.

Pan Łasiczka ze sztyletami w obu dłoniach krył mi plecy. Pod tym względem zawsze mogłem na niego liczyć. Zresztą pod każdym względem mogłem na niego liczyć. Tym razem jednak za wiele się nie napracował.

Zamknąłem drzwi, a przynajmniej spróbowałem zamknąć tych parę luźno zwisających desek, w które drzwi się zmieniły. Człowiek, który za nimi stał, miał rozbitą twarz, złamaną rękę, a do tego solidnie poharatał się kindżalem, którym zamierzał mnie dziabnąć. Nawet mordercy już nie są tacy jak dawniej.

- Dla kogo pracujesz? - spytałem go wprost.

Patrzyłem na niego, on na mnie, czas płynął, pan Łasiczka też czekał cierpliwie. Byłem głodny i chciało mi się pić.

- Nie będę ci niczym groził - powiedziałem spokojnie. - Ani tym, że ci połamię zdrową rękę, ani nawet tym, że ci wydłubię oczy.

Aż nim zatrzęśło.

- Zapytam cię raz jeszcze i jeśli mi nie odpowiesz, po prostu cię

zabiję.

Nie umiałem odgadnąć, czy mi wierzył, ale z drugiej strony, było mi wszystko jedno.

- Dla kogo pracujesz?

Milczał. Z trupami zawsze jest problem, ale co tu robić...
Sięgnąłem po niego.

- Dla Hodesza.

No i proszę, załatwione. Nie musiałem się wysilać, nie musiałem się wozić z krwią i z gównem, które w takich sytuacjach zazwyczaj sprawiały kłopoty.

- Dobrze więc. Powiedz panu Hodeszowi, że to jest całkiem zbyteczne. - Wskazałem pokrwawiony kindżał. - A jak będziesz wychodził, zabierz swojego kolegę. Marudzi, jakby mu się krzywda jakaś stała.

Wyskoczył znacznie szybciej, niżbym przypuszczał, że był w stanie, i chwilę później przyglądaliśmy się z Łasiczką przez okno, jak zbiera swojego kompana z ulicy.

- Nie oczekiwałem po was takiej wielkoduszności.

Spojrzałem na pana Łasiczkę zaskoczony.

- To znaczy tak znakomitego strategicznego planowania. -
Zdecydował się zmienić punkt widzenia.

- Wszyscy się zmieniają, niektórzy z nas na lepsze - odparłem. -
Przyszło i na to, że złagodniałem. Pojedźmy.

Podczas kiedy pakowaliśmy w siebie kawały mięsa, a w przypadku pana Łasiczki również drobne kawałki chleba, poznałem całą relację z jego wyprawy po opium.

- Wszystko jest niezwykle dobrze zorganizowane. Aż się wierzyć nie chce, jak dobrze. Cesarska straż przyboczna nie jest tak zdyscyplinowana, jak ci ludzie. Ci, którzy tym zawiadują, trzymają rękę na pulsie wydarzeń, o których my nie mamy nawet pojęcia.

Brzmiało to wszystko złowieszczo, jednak ja sam jakoś nigdy nie miałem głowy do skomplikowanych planów. Opium uprawia się i sprzedaje, bo są z tego pieniądze, do tego się wszystko sprowadzało i tyle mi wystarczyło.

- Mhm - mruknąłem niezobowiązująco.

- Musimy dokładnie całą sytuację obserwować. Kiedy już się zorientujemy, kto za tym wszystkim stoi i o co mu chodzi, dopiero wtedy będziemy mogli zacząć działać.

Znów przytaknąłem, unikając konkretnej odpowiedzi. Łasiczka może i kupił piwo w drogiej beczulce, ale w smaku wydawało mi się jakieś takie mdłe. Dziwne.

- Odwiedzimy Hodesza i utniemy sobie pogawędkę. To w niczym nie powinno przeszkadzać - zaproponowałem. - Koniec końców, to nikt więcej niż zwykły bandyta, który się mną zainteresował.

- A skoro puściliście wolno jego zabójców, powinno nam pójść łatwiej. To był bardzo dobry pomysł.

Tak prawdę powiedziawszy, nastał na nas amatorów, a nie zabójców, przynajmniej nie w takich kategoriach, jakimi operowałem ja albo pan Łasiczka. Po prostu starał się być grzeczny.

Dokończyliśmy posiłek i zanim podwieczorny żar zdążył jeszcze osłabnąć, wyruszyliśmy złożyć wizytę.

- Mało brakowało, a by mnie zabili. - Łasiczka wrócił do relacji ze swojej wyprawy. - Prewencyjnie, tak na wszelki wypadek.

Wstrząsnęło nim to bardziej, niż był skłonny przyznać.

- To nawet nie było jak gra w pokera o życie. To było jak blefowanie z mizerną parą bez znajomości reguł.

Jakoś nigdy nie zainteresowałem się grami hazardowymi. Te z mieczem w rękę w zupełności mi wystarczały, a poza tym jakoś nigdy nie miałem złota w nadmiarze.

- Kwichowa - oznajmiłem, skracając w prawo. - Główna siedziba Hodesza - wyjaśniłem po kolejnych dwudziestu krokach. Już wcześniej sprawdziłem, jak wyglądał jego dom.

- Mam nadzieję, że załatwimy sprawę szybko i bez problemów - zwrócił się do mnie. - I bez tego mamy mnóstwo do roboty. Ten cały narkotykowy interes sięga głębiej, niż żeśmy przypuszczali.

- I wyżej - dodałem. - We wszystko zamieszany jest śledczy cesarski, który likwiduje ostatnich handlarzy opium.

Jakoś wcześniej nie miałem czasu Łasiczce tego wyjawić.

- Fiu, fiu! - zagwizdał przez zęby. - To oznacza, że w sprawę wplątany jest również Falaghir, gubernator Damarkandy. Gdyby nie przymknął oczu na to, co się dzieje, nawet śledczy cesarski nie mógłby prowadzić tak zaangażowanej działalności.

Zastanowiłem się chwilę nad tym i wyglądało na to, że musiał mieć rację. Na Łasiczce można było w takich sytuacjach polegać. Potrafił sobie to wszystko przemyśleć i dojść do wniosków, które okazywały się stuprocentowo trafione. Jeśli o mnie chodziło, potrafiłem jedynie zorientować się, że sprawa sięgała wyżej. Łasiczka z kolei umiał wydedukować, jak wysoko.

Pchnąłem drzwi. Zadzźwięczał dzwonek, owionęła mnie woń niezliczonych ziół i przypraw. Skąd ta tendencja u handlarzy narkotykami, żeby kamuflować swoje sklepy właśnie w ten sposób? To taka tradycja może? Czy boją się, że te świństwa, którymi handlują, będzie czuć na odległość? A może to po prostu przypadek? Było nie było, jak do tej pory w Damarkandzie poznałem tylko dwóch. Póki co.

- Idziemy do pana Hodesza, mamy umówione spotkanie.

W małym pomieszczeniu, wypełnionym workami, woreczkami, słoikami i buteleczkami napelnionymi Bóg wie czym, siedziało trzech ponurych typów, którzy teraz przyglądali mi się podejrzliwie. Bardzo podejrzliwie. Widać moi posłańcy zdążyli już powrócić.

- Wasza broń. - Podszedł do mnie przerośnięty bydlak o karku tak grubym, że gdybym chciał go skręcić, najpierw musiałbym mu nadmuchać głowę, inaczej wysliznąłby mi się jak piskorz.

- Jasne. - Nie oponowałem, po czym podałem mój przerobiony miecz i nóż. Mimo to przeszukał mnie jeszcze, dzięki czemu znalazł dwa kolejne noże - jeden w pochwie przy pasku, drugi w cholewce buta. Z jakiegoś powodu niezmiernie go to ucieszyło. No i czemu nie? Lubię czasem bliźniemu zrobić jakąś małą przyjemność.

Łasiczkę przeszukali o wiele dokładniej i zabrali mu nawet jego brązową igłę, którą od pewnego czasu z sobie znanego powodu

stale przy sobie nosił.

Przywołali jakiegoś pokurcza o podejrzliwym spojrzeniu, który poprowadził nas korytarzem, przy okazji kontrolując po drodze wszystkie łuczywa w naściennych uchwytych. Tamci trzej zamykali pochód tak ciasno, że czuliśmy ich oddechy na karkach. Korytarz kluczył i załamywał się wielokrotnie. Wyglądało na to, że budowanie labiryntów wewnątrz domostw było kwestią tutejszej mody.

Nasz przewodnik otworzył nagle bez pukania drzwi, których nawet nie zauważyłem. Żółte światło wmieszało się w szarość korytarza.

- Chcą się z wami widzieć, panie - pokurcz krzyknął w otwarte drzwi.

Wkroczyłem do środka, zanim jeszcze zabrzmiała odpowiedź. Trzej strażnicy obskoczyli mnie jak psy, jednak póki co nie dobyli jeszcze broni.

Pomieszczenie nie miało okien i przez to przypominało kryptę. Za mahoniowym stołem, którego blat wypolerowany został do tego stopnia, że odbijały się w nim światła lamp, zasiadał mężczyzna średniego wzrostu o długich siwych włosach zaplecionych w kok. Dość niewyglądny kok, jeśli mam być szczery, wyglądał raczej jak mała termitiera. Z pochwy zawieszanej na zdobnym, wyszywanym srebrem pasie wystawała jeszcze bardziej bogato inkrustowana rękojeść kindżału.

- Spoko - zwróciłem się do eskorty. - Ja jestem tylko posłańcem. - Hodesz? - rzuciłem do siwego koka.

- Owszem - odparł, ale nic więcej nie zdołał już uczynić, ponieważ jednym ruchem wyciągnąłem spod podszewki kożucha mój nowy sztylet wykonany z ostrza miecza i wbiłem Hodeszowi w szyję. Zanim padł w tył, już dzierżyłem w dłoni jego broń i bez oglądania się dźgnąłem pierwszego z mięśniaków, który już się na mnie uwiesił i próbował skrócić mi kark. To ostudziło jego zapał. Drugiego, który na mnie skoczył, równocześnie próbując dobyć broni, złapałem za ramię, pociągnąłem i cisnąłem o ścianę. Walnął, aż zadudniło. Na tego trzeciego nie byłem już

dość szybki. Byłby mi wbił nóż w plecy, gdyby Łasiczka nie zdołał go w biegu podciąć. Sprzedałem mu kopniaka w żebra, kości trzasnęły jak wiązka chrustu, dla pewności poprawiłem raz jeszcze.

- Nie ruszaj się i siedź cicho, jeśli ci życie miłe - poradziłem pokurczowi, który wyraźnie nie mógł się zdecydować, czy ma uciekać, czy wołać o pomoc.

- Co to ma wszystko znaczyć? - Łasiczka patrzył na mnie szeroko otwartymi oczami. Był tak wściekły, że krew zupełnie odpłynęła mu z twarzy.

- Wygląda na to, że właśnie staliśmy się właścicielami rejonu. - Wzruszyłem ramionami.

- I wy to nazywacie planowaniem?! A gdzie przygotowania? - rzucił się dalej Łasiczka. - Gdyby cokolwiek poszło nie tak, nawet w najdrobniejszym szczególe, obaj byśmy leżeli tutaj martwi. Takie ryzyko! Takie idiotyczne ryzyko!

Pozwoliłem mu się wygadać. Może i miał trochę racji, tylko że ja się nigdy nad żadnym ryzykiem nie zastanawiałem. Wiele się więc jego skargami nie przejmowałem, ale przynajmniej wyglądało na to, że jak tak sobie krzyczał, to mu trochę ulżyło.

Typek z nożem między żebrami siedział na ziemi i z fascynacją przyglądał się rękojeści wystającej mu z ciała. Ten, który prasnął o ścianę, z wolna podnosił się na nogi, potrząsając przy tym głową. Ten trzeci, kopnięty, leżał dalej na ziemi nieprzytomny.

- Jesteśmy twoimi nowymi szefami - oznajmiłem pokurczowi. - Kto był jego zastępcą? Prawą ręką?

- Ja - wymamrotał po krótkim wahaniu.

- Dobra. Zostawiamy wam to miejsce, ale pracujecie dla nas. - Wskazałem siebie i pana Łasiczkę. - Nic ponadto się nie zmienia. Niedługo powiadomimy was o procencie, jaki nam będziecie odpalać. To wszystko.

Widać było, jak się nad tym wszystkim zastanawiał.

- Moglibyście naszemu przyjacielowi złożyć jakąś lukratywną propozycję? - odezwałem się do Łasiczki. - Nie z tych, co to się nie odmawia, po prostu wprowadźcie go w szczegóły.

- Jesteście skończonym debilem i jeszcze sobie o tym porozmawiamy - rzucił mi Łasiczka wściekle prosto w twarz, po czym zaczął pracować nad pokurczem. Najpierw jeszcze raz wyjaśnił mi sytuację, o wiele łagodniej, niż ja sam bym kiedykolwiek zdołał, po czym zasypał pokurcza gradem pytań, które następowały po sobie tak szybko, że tamten nie miał szans nadażyć z wymyślaniem ewentualnych kłamstw. Przestałem się temu przysłuchiwać.

Typek, który z tego wszystkiego wyszedł z najmniejszym uszczerbkiem, zrozumiał wreszcie, co się stało, i strzeliło mu do łba, że może w dalszym ciągu ma jeszcze szansę zapracować na to, co mu płacą. Stał niepewnie na nogach i sięgnął po broń. Trzydziestocentymetrowe, lekko pofalowane ostrze z niesymetrycznym czubkiem. Widać taka była miejscowa moda.

- Zabiję cię - oznajmił mi.

- Jest nas więcej, niż myślisz - jego koleżka na podłodze, który się wreszcie ocknął, pospieszył ze słownym wsparciem.

Zanim najwaleczniejszy z żołnierzy Hodesza zdołał postąpić choć jeden krok, złapałem za stół, uniosłem, po czym naparłem na mięśniaka, waląc blatem w brzuch niczym taranem. Złamał się wpół, nie czekając, złapałem gościa za głowę i trzy razy grzmotnąłem nią o blat. Mahoń nie był już tak błyszczący, pokrywała go krew i pożółkłe zęby. To wystarczyło, żeby twardziela zmienić w mokrą szmatę. Ten kopnięty znów zemdłał. Tak się nieszczęśliwie złożyło, że mu niechcący stanąłem na łokcie, pewnie dlatego zrobiło mu się niewyraźnie.

- Mam wrażenie, żeśmy się dogadali. Z panem Ontegą uścisnęliśmy sobie dłonie.

Ontega przyglądał mi się, jakbym wypełził z jego najmroczniejszych koszmarów. Zresztą kto wie, może rzeczywiście bał się postawnych mężczyzn? Tego się przecież nie dało wykluczyć.

- To co z tymi tutaj? - spytałem go. - Przydadzą się wam do czego?

- Ja będę dla was pracował - wyszeptał ten z nożem w piersi. -

Gdy się tylko doprowadzę do porządku.

Mądry wybór. W końcu ten nóż między zebra to nie było z mojej strony nic osobistego.

- A ci? - Wskazałem pozostałych.

Ontega pokręcił głową.

- Hodesz przyprowadził ich ze sobą ze wsi, skąd sam przyszedł.

- Trzeba im było zostać na wsi. - Wzruszyłem ramionami. - Na tyle się jeszcze nadawali.

Wyciągnąłem z Hodesza mój sztylet i skończyłem z nimi oboma.

- Jest tutaj ktoś jeszcze, kto przyszedł z Hodeszem ze wsi?

- Tylko dwóch. Stuscon i Brevi - odpowiedział pokurcz.

Popatrzyłem na niego i na pana Łasiczkę. Ten tylko parsknął i się odwrócił. Widocznie wciąż się jeszcze gniewał.

- W takim razie posłecie po nich, a wasz główny przyboczny - kiwnąłem brodą na przebitego - już to z nimi załatwi.

Łasiczka westchnął rozdrażniony. Do tej chwili nie przypuszczał nawet, że gotów byłem grać aż tak ostro. Pokurcz zrozumiał, że aby udowodnić swą lojalność, będzie musiał zabić własnych ludzi.

- Ja to załatwię - odezwał się wreszcie mięśniak, korzystając z wahania Ontegi. To wreszcie złamało Łasiczkę.

Stało się. Byliśmy już tylko my i oni. I gotowe.



Wspinaczka po tej fasadzie okazała się o wiele łatwiejsza, niż przypuszczał. Było już późno, w wielu oknach pałacu paliły się światła. Na szczęście dzięki wcześniejszym wyprawom znał już bardzo dobrze rozkład komnat, wiedział doskonale, gdzie sypia właściciel pałacu - główny śledczy cesarski Harbirger. Zamek okna opierał się nieprzyjemnie długo, jednak na szczęście parapet okazał się wystarczająco szeroki, a zawroty głowy spowodowane wysokością też już jakiś czas temu ustąpiły. Pomyślał, że w ciągu ostatnich kilku dni, a raczej nocy, więcej się nawspinał, niż nachodził.

Zamek szczęknął; usunął się na bok, żeby otworzyć okno, po czym wśliznął się do środka i zamknął je za sobą. Znajdował się w kancelarii, jakich w pałacu było zresztą wiele. W pustym o tej porze pomieszczeniu, dzięki czemu nie musiał nikogo uciszać ani zabijać. Gdyby jednak taka potrzeba się pojawiła, nie byłoby drogi odwrotu.

Przez chwilę nasłuchiwał pod drzwiami. Między palcem wskazującym a środkowym zaciśniętej pięści trzymał cienkie i ostre jak brzytwa ostrze noża do rzucania. Spokój, dokładnie tak, jak oczekiwał. W tym skrzydle pracowali za dnia urzędnicy, którzy o tej porze znajdowali się już dawno w domach, na spoczynku. Pomimo iż cesarskie rozporządzenie nakazywało, aby wszystkie pomieszczenia, w których pracowali imperialni urzędnicy, były na noc zamykane, zamek nie stanowił problemu. Rozporządzenia rozporządzeniami, ale oszczędzało się wszędzie i na wszystkim. Otwarcie pisarskiego zamka, jak je powszechnie nazywano, zajęło mu mniej niż cztery oddechy. Chłopak, który go tego nauczył, i tak twierdził, że był przy tym zaskakująco powolny.

Korytarz tonął w półmroku. Zarządzenia w sprawie regulaminowej liczby czynnych lamp najwyraźniej zupełnie już nie przestrzegano. Jak nigdzie zresztą. Było to absolutnie na porządku dziennym, że każdy urzędnik dowolnego szczebla starał się zaoszczędzić, na czym tylko mógł, aby tym więcej dodatkowego grosza mogło skapnąć do jego własnej kieszeni. Sam o tym doskonale wiedział.

Ruszył w głąb korytarza. Stopy w butach na podeszwie ze specjalnie przygotowanej skóry stawiał ciszej, niż brzmiał jego oddech. Za to zapłacił czymś zgoła innym niż pieniędzmi. Kawalek przed nim niespodziewanie szczęknął zamek, otworzyły się drzwi. Cofnął się parę kroków, skrył w najbliższej wnęce. Na korytarz dosłownie wytoczyli się mężczyzna i kobieta, ciasno objęci. Wiele odzienia na nich nie zostało i było oczywiste, czym są zajęci. Mniej oczywiste było jednak to, czemu zdecydowali się przerwać.

- Tam. - Mężczyzna wskazał ręką. - Tam znajdziemy coś dobrego.

Zagadka się wyjaśniła.

Poszli dalej we wskazanym kierunku, jednak w pewnym momencie wyglądało na to, że zdecydują się kontynuować uciechy tam, gdzie stali, na podłodze. Kobieta zaprotestowała jednak. Zdecydował brak dywanu.

Ruszył dalej. Plan pałacu znał doskonale, wiedział, gdzie może się zatrzymać, ukryć, odsapnąć. Jedyne, co mogłoby mu przeszkodzić, to jakieś niezaplanowane, przypadkowe zdarzenia, dokładnie jak to przed chwilą.

Pół godziny później widział już trzech strażników w pełnych zbrojach strzegących wstępu do prywatnej części pałacu. Trzy to niedobra liczba. Oczekiwał dwóch, a i tych nie zamierzał nawet próbować zabić, chciał się tylko obok nich niezauważony prześliznąć.

Zamek znów nie opierał się długo, jednak tym razem nie znalazł się w normalnej kancelarii, ale w pracowni kogoś znacznie wyżej postawionego. Poznał to po przedpokoju z szatnią i biurkiem dla sekretarza oraz po balkonie. Kilka metrów trawersowania po fasadzie, kolejna kancelaria i zostawił strażników za sobą. Parę minut później przechadzał się już po puchatych kobiercach prywatnego skrzydła pałacu najwyższego urzędnika cesarskiego w Damarkandzie. Tutaj nie oszczędzano na niczym. Każdy odcinek korytarza, klatki schodowej czy przechodnich pomieszczeń, które wydawały się nie mieć żadnej konkretnej roli, krzyczał wręcz, że ten, kto tu włada, nurza się w bezwstydnym bogactwie. Jak również nie życzy sobie, aby mu przeszkadzano. To mu akurat pasowało doskonale. Odnalezienie drzwi do pokoju Harbirgera było już tylko dziecinną igraszką.

Wystarczyło dotknięcie, aby zorientować się, że miał do czynienia z o wiele lepszym zamkiem. Z takim się jeszcze nie spotkał. Nie była to jednak pierwsza przeszkoda na jego drodze. Nie zraził się ani na moment, mocniej się tylko skoncentrował. Zamek poddał się po dziesięciu minutach ostrożnych

manipulacji.

Kadziłło, alkohol i smród prze poczonego ciała. Dziwna kombinacja. Spodziewał się raczej drogich perfum i zapachu współżycia. Zamknął za sobą drzwi i ruszył dalej.

Przeszedł krótkim korytarzem, po dotyku rozpoznał drzwi szaf wbudowanych w ściany. Garderoba albo podręczna kartoteka. Potem normalne ściany. Domyślił się, że korytarz musi kończyć się kolejnymi zamkniętymi drzwiami, inaczej musiałyby do niego wpadać jakieś światło, tymczasem wokół panowały absolutne ciemności, których nawet jego wspomagany substancjami wzrok nie potrafił przebić.

Nagle i bez ostrzeżenia - poruszenie powietrza. Zwinął się instynktownie, ostra klinga drasnęła go w ciemność. Bez chwili zawahania pchnął przed siebie nożem. Trafił, jednak równocześnie coś uderzyło go w rękę, wytrąciło z dłoni nóż. Oszacował na ślepo, sięgnął i namacał rękę trzymającą niewidoczną broń. Odtrącił ją przedramieniem, spróbował pewniej chwycić palcami. W jednej chwili atak z dystansu zamienił się w pojedynek zapaśniczy. Uścisk przeciwnika był niewyobrażalny. Jeszcze nigdy nie zetknął się z kimś tak silnym. Z całych sił próbował stawiać opór, ale nie dawał rady. Musiał spróbować jakoś inaczej. Czołem zdołał uderzyć w nos, dźwięk sugerował, że go złamał, jednak przeciwnik tylko się wzdrygnął i dalej trzymał go jak w imadle. Był silniejszy i twardszy niż on sam, musiał spróbować jeszcze inaczej. Na mgnienie oka rozluźnił się, tamten nieznacznie się zachwiał. Ugiął natychmiast kolana, skłaniając się bardziej w jedną stronę, po czym pociągnął do siebie przeciwnika i podstawiając mu nogę, zdołał go nieco obrócić i przerzucić przez biodro. Nie puścił przy tym ręki z bronią, kiedy tamten padał, podciągnął ją w górę, założył dźwignię i nie bez trudu wylał w łokciu. Czemu nie krzyczy? - zastanowiło go. Słyszał jedynie bicie własnego serca, za to po chwili zaczął wyczuwać nową woń - krew. Trącił leżące ciało czubkiem buta. Nie poruszyło się. Zaczął powoli macać wzdłuż złamanej ręki, do tułowia, i po chwili zrozumiał, co się stało.

Mężczyzna, padając na ziemię, przypadkowo nadział się na własny nóż, ten trzymany w wyłamanej ręce. Łut szczęścia. W ciemności kucnął na podłodze i czując, jak palce lepią mu się od krwi, zastanawiał się, czy ma iść dalej. Mimo wszystkich przygotowań, majątku wydanego na informacje, nie miał pojęcia, czy nie czeka na niego kolejny strażnik. Z drugiej jednak strony, cały pojedynek trwał tak krótko, że trudno tak naprawdę mówić o zwłoce. Jedyne, co mogłoby go zatrzymać, to gdyby zmienił zdanie, ale to mu przecież nie groziło. Nie zamierzał jednak iść dalej po ciemku.

Sięgnął do kieszeni, skąd wydobył małą, kryształową ampułkę. Zacisnął ją w pięści i energicznie potrząsnął parę razy, aż wypełniająca ją roztwór wymieszał się i zaczął emitować słaby blask. Dla jego oczu był on aż nadto wystarczający, mógł się swobodnie teraz rozejrzeć.

Pokój został urządzony bardzo surowo. Nieliczne meble wyglądały jednak na przedniej jakości i drogie. W rogu stało łóżko tak proste, że wyglądało wręcz jak polowe. Przyjrzał się swojemu przeciwnikowi. Potężny mężczyzna z gładko ogoloną głową musiał mieć zwyczaj spać w skórzanych spodniach i kamizelce. Grube, umięśnione ramiona miał szeroko rozrzucone, jedna ręka ułożona była pod nienaturalnym kątem pod ciałem. To mu już jednak nie przeszkadzało, był martwy. Wyglądał na żołnierza, weterana wielu walk, może zapaśnika. Gdyby wiedział na wstępie, z kim mu się przyjdzie potykać, nigdy by się na to nie zdecydował. Nie przy tak rażąco nierównych szansach. A mimo tego to właśnie jego przeciwnik leżał teraz martwy na podłodze. Otrząsnął z siebie niedowierzanie i wątpliwości, a potem skoncentrował swoją uwagę na drzwiach, za którymi powinien znajdować się główny śledczy cesarski rezydujący w Damarkandzie. Ostrożny śledczy cesarski, poprawił się w myślach, wspominając strażnika, o którym nie mówiły żadne plotki, żadne przecieki z pałacu. Nad wyraz ostrożny śledczy, pomyślał raz jeszcze, kiedy odnalazł mechanizm samowyzwalający, który miał za zadanie posłać strzałę w plecy

każdemu, kto nieopatrznie otworzy drzwi. Zwolnił ciężkę, po czym powrócił do oględzin zamka. Był o wiele bardziej skomplikowany niż poprzednie. Zanim się do niego zabrał, przeszukał strażnika i znalazł przy nim klucz. No proszę. Poczuł, jak wraca mu wiara we własne siły. Jeżeli nie da się ponieść nerwom, nie będzie panikował, osiągnie cel. Musi być tylko przygotowany na kolejne niespodzianki, ale z pewnością mu się uda.



Bandarillo nie wzywał mnie przez kolejne dwa dni. Przypuszczałem, że przed częstszym korzystaniem z moich usług powstrzymało go to, jak byłem uparty. Po drodze dowiedziałem się od Bavaja, że w tym czasie Bandarillo prowadził rozmowy ze wszystkimi płótkami, które znajdowały się na liście do likwidacji. Oferował im ochronę w zamian za oddanie się pod jego rozkazy. Zaczął od tych najdrobniejszych, co było bardzo sprytne, bo zanim dotarł do tych silniejszych, miał już za sobą sporą siłę, z którą każdy musiałby się liczyć. Byłem przekonany, że tak długo, jak długo będzie im oferować atrakcyjne warunki, powinno mu się udać. Przynajmniej na początku, jak się wszystko uspokoi, zawsze przecież może później dokręcić śrubę. Zakładałem, że Olven w tym samym czasie prowadził identyczną działalność. Przyjdzie taki moment, że ci dwaj na siebie wpadną. Nic to, zobaczymy, co z tego wyniknie.

Bavajo przyprowadził mnie do domu Bandarilla, ale tym razem nie zabrał do małego gabinetu, ale do wielkiej sali, która musiała powstać z połączenia dobrych czterech pomieszczeń. Bandarillo zasiadał w samym środku na podwyższeniu, niczym jakiś król górujący nad swymi poddanymi, na których składała się w tym przypadku pospolita hołota. Znów mi przypominał gnojarka, króla połaci łajna. Przyjrzałem się tej jego osobistej armii. Życie w ostatnich latach musiało w Damarkandzie upływać im dostаточно. Wszyscy byli dobrze odżywieni, ale kiepsko uzbrojeni.

A przy tym wydawali się boleśnie świadomi faktu, że ktoś w mieście robi z nimi porządek.

Wszyscy za to mieli jedną wspólną cechę - nie podobałem się im. No i czemu nie? Było nie było, z wzajemnością.

- Cieszę się, że wreszcie dotarliście - powitał mnie Bandarillo.

Jeśli chciał być uszczypliwy, to marnował czas.

- Nie potrzebujemy ludzi, na których trzeba czekać - wtrącił się z boku gość, który kiedyś już miał do mnie jakieś zastrzeżenia. Popatrzyłem na niego, nie odwrócił wzroku. Jeśli zabiję go tu i teraz, nic się nie stanie. Pozostali będą wprawdzie wstrząśnięci, ale wymyślą sobie też powody, dla których nie będą się chcieli wmieszać. A gdybym się jednak mylił, to też nic wielkiego się nie wydarzy.

- Panowie, nie mamy czasu na głupoty. Chcę się przyjrzeć miejscu, w którym to się stało - powstrzymał nas Bandarillo. - Wy idziecie ze mną.

Czemu nie? Przynajmniej się wyjaśni, po co mnie wezwano.

Tym razem Bandarillo otoczył się niemałą świtą. Tuż przy nim szedłem ja i jego czterej goryle, z Mądrałą włącznie, pozostali tworzyli dalej wysuniętą straż. Strzelec pewnie zdołałby go dostać i tak, ale musiałby wiedzieć, którędy będziemy szli i mieć czas się przygotować. Jak na mój gust, straż przyboczną trzymał zbyt blisko, a tę wysuniętą z kolei za daleko. Ktoś szybki zdołałby się do niego przedostać, a gdyby był naprawdę dobry, pewnie nawet miałby szansę na ucieczkę. Ja bym przez nich przeszedł jak przez masło, pozostawiając za sobą krwawą miazgę. Na tych wąskich i krętych uliczkach człowiek taki jak ja, którego ciężko powstrzymać, miałby wręcz przewagę.

Wreszcie dotarliśmy na miejsce. Spodziewałem się, że znów wyjdziemy gdzieś na obrzeża miasta, gdzie zawiewa kurzem i ganiają się kojoty, jednak ku mojemu zaskoczeniu staliśmy przed willą z białego kamienia, która ginęła wręcz w zieleni ogrodu. W zieleni tak bujnej, że ogród musiał z pewnością być sztucznie nawadniany.

- Dopadli grubą rybę - mruknąłem.

Bandarillo usłyszał mnie i kiwnął głową.

- Bardzo grubą.

O ile mogłem sobie przypomnieć, na liście, którą Harbirger przedstawił Bandarillovi, znajdowały się tylko te pomniejsze i średnie. Sam Bandarillo w świetle ostatnich wydarzeń dopiero piął się w górę. W związku z czym to mógł być, paradoksalnie, jego szczęśliwy dzień. Potencjalnie. Weszliśmy do ogrodu, który wysunięte strażę zaczęły na wszelki wypadek przeczesać. Pośród bujnej trawy dostrzegłem marmurowe kanaliki nawadniające. Bez nich byłoby tu o wiele bardziej sucho i dużo ładniej.

- Nazywał się Antonio Gusepi i oprócz naszego towaru zajmował się również handlem korzeniami - wyjaśnił mi Bandarillo takim tonem, jakby się nie mógł nadziwić, że ktokolwiek mógłby handlować jeszcze czymś innym niż narkotykami.

Ktoś go o coś zaczął pytać, ale przestałem słuchać, bo oto stanęliśmy przed otwartymi drzwiami, za którymi czekało dwóch ludzi. Zachowywali się spokojnie, więc wywnioskowałem, że to nasi. Zostawiłem pozostałych za sobą, skinąłem tym dwóm i wszedłem do środka. Ledwo na mnie spojrzeli. Opierali się znużeni o chłodny marmur, z rozchełstanych, kiedyś zapewne białych koszul wyzierały im brzuszyska. Każdy z nich miał przy pasie obuszek i niezwykle tu popularny kindżał. Te ich były tak zakrzywione, że nawet przebicie koszuli musiałyby im sprawić problemy. Generalnie byli równie niebezpieczni, co ślepy i kulawy staruch. W czasie snu.

Antonio Gusepi siedział w drewnianym fotelu, biały marmur wokół niego znaczyły liczne krwawe plamy. Ktoś zmienił jego twarz w porcję tatara. I to drobno siekanego. Obszedłem trupa dookoła. Fotel był drewniany i wykonany w taki sposób, że zapewniał maksymalną wygodę, a przy tym swobodny dostęp świeżego powietrza do wszystkich części spoczywającego w nim ciała. Gusepi już tego nie doceni.

Pomieszczenie urządzone zostało dość oszczędnie, ale drogo.



Można by też rzec, że wygodnie, o ile ktoś miał skłonność do pustych przestrzeni, marmuru i szemrzącej wody.

- A więc ten bydlak dorwał kolejnego... - usłyszałem Mądralę.

Na ścianach dostrzegłem kilka gołych haczyków, które wyglądały tak, jakby jeszcze niedawno wisiąca na nich broń.

- Ten Gusepi był kolekcjonerem? - rzuciłem w powietrze, nie zwracając się do nikogo konkretnie.

- Owszem - odpowiedział Bandarillo. - Uganiał się za starymi mieczami. Znał się na nich całkiem dobrze, na niektóre wydał fortunę. Załatwiłem mu nawet niewielki sklepik w ramach zacieśniania więzi handlowych.

- Niepotrzebnie tracimy czas, nie znajdziemy tu żadnych śladów, tak jak nie znaleźliśmy ich wcześniej. To musi być jakiś szalony artysta, co to wlatuje oknem i chodzi po ścianach...

Uwaga Mądrali wzbudziła falę potakujących mruknięć. Odnotowałem, że moją koncepcję, iż był to tylko jeden człowiek, zdążyli już przyswoić i uznać za swoją.

- Gusepi musiał przecież mieć jakąś ochronę - powiedziałem, nie zwracając na nich uwagi. - Proponowałbym sprawdzić na przykład piwnice. Jakoś trudno sobie wyobrazić, że tak po prostu siedzieliby na zadkach, podczas kiedy ktoś rozklepywał głębę ich szefa na befsztyk.

Sześciu chłopów spojrzało na mnie z nieskrywaną niechęcią, jednak wystarczyło jedno spojrzenie Bandarilla, aby bez słowa ruszyli na poszukiwania.

- Co o tym sądzicie? - spytał mnie wprost.

Poczekaliśmy z odpowiedzią na ich powrót. Z ich raportów wynikało, że oprócz trupa w willi nie było nikogo.

- Sądzę, że czas, abyście wynajęli Rosena - odpowiedziałem.

- A to wy mi już nie wystarczycie na jednego szaleńca, który morduje handlarzy opium? - Uśmiechnął się ironicznie.

- Nie o to chodzi. - Pokręciłem głową. - Rosen to zawodowiec, za co mu zapłacą, tego się będzie trzymał. Na tych niezłomnych zasadach zbudował całą swoją reputację, której nie będzie chciał zaryzykować. Byłoby niewskazane, aby wynajął go ktoś inny,

ktoś, kto może się zwrócić przeciw nam.

- Rosen pracuje dla Olvena - odezwał się ktoś.

Przyjrzałem się tym wszystkim niezgrabnym, tłustym gównojadom, którzy daliby radę najwyżej spuścić manto astmatycznemu sprzedawcy precli albo próbować obłąpić młodą dziewczkę gdzieś w ciemnym zaułku.

- No dobra. Jeśli Olven opłacił go po bojowych stawkach, nie mamy na co liczyć. Jednak z drugiej strony, nie sądzę, aby tak było. Rosen jest drogi i tak, a do takiej roboty - wskazałem trupa w fotelu - z powodzeniem wystarczyłyby takie łamagi jak wy. To jest robota Olvena - zwróciłem się do Bandarilla. - Zaczyna się wojna.

W plebiscycie na najpopularniejszą osobę w pomieszczeniu prawdopodobnie nie załapałbym się nawet na listę startujących, ale na zyskiwaniu przyjaciół akurat mi jakoś nie zależało. Nie mówiąc już o tym, że gdyby którykolwiek z tu obecnych miał się stać moim przyjacielem, już prędzej odrąbałbym sobie palec. Chociaż nie, zabiłbym go na miejscu. Palców mam tylko dwadzieścia.

Bandarillo chwilę zastanawiał się nad tym, co powiedziałem, aż wreszcie sam zaskoczył. Do tej pory ludzi z branży zabijał ktoś, kto potrafił dostać się do środka i wymknąć z powrotem niezauważony. Tymczasem tutaj nie pozostał nikt ze świty Gusepiego. Nie pozostał z prostego powodu - ktoś im zapłacił za to, aby byli gdzie indziej. Do tego trzeba przygotowań, kontaktów i sporych sum pieniędzy. Olven miał to wszystko.



Łasiczka stał przy straganie z chłodzoną i zwykłą herbatą, smakowymi lemoniadami i jeszcze innymi napojami zapewniającymi orzeźwienie pod palącym niebem Damarkandy. Na sobie miał płócienny płaszcz o barwie idealnie się z owym niebem zlewającej. Na świat spoglądał z wysokości za sprawą dwudziestocentymetrowych podeszew w specjalnie spreparowanych butach. Nie był to punkt widokowy, który jakoś

szczególnie przypadający mu do gustu. Czuł się nienaturalnie, jak na sobie zbyt widoczny i wystawiony na atak. Z drugiej jednak strony, sam sobie taki kamuflaż wybrał. Wraz z drapiącą i nieprawdopodobnie drogą peruką przebranie nadawało mu wygląd mieszkańca stepów, który do miasta zjeżdża najwyżej dwa razy do roku, kiedy przychodzi czas sprzedać na targu towar. Nie przemyślał do końca sprawy z fałszywymi bliznami rytualnymi i teraz martwił się, że może mieć problemy z ich szybkim usunięciem.

Na skraju targowiska, w tej części, w której pieczętowano worki, kosze i tobołki, czekało dziesięciu jego ludzi. Najlepszych, jakich udało mu się zebrać. Część pochodziła z zasobów Hodesza, czy raczej teraz już jego i Baklego, kilku najął. Zakup towaru, wynagrodzenie, prowizje wysłane przez kurierów i przekazy bankowe dla kolejnych adresatów w dalszych miastach - to wszystko kosztowało go mały majątek. Nie, nie mały. Całkiem spory majątek. Wszystko to było jednak absolutnie niezbędne jako część przygotowań do tego, aby towar trafił tam, gdzie powinien - na północ.

Jego ludzie już poprzedniego wieczoru otrzymali wszystkie pieczęcie wraz ze z góry opłaconymi bonami na noclegi w określonych cesarskich stanicach kupieckich. Teraz powoli, bez zbędnego pośpiechu opuszczali targowisko, a potem i miasto. Gdyby zbczyli z trasy pokrywającej się z ich pieczęciami, znaleźliby się w tarapatach.

Na umówione miejsce spotkania wreszcie dotarł i Bakly. Widząc go, Łasiczka tylko pokręcił głową. W poszarganym płaszczu z grubej krowiej skóry, z rzednącymi włosami ostrzyżonymi na jeża i ze skórą na karku układającą się w grube fałdy Bakly wyglądał jak tłuścioch, który z ledwością potrafi udźwignąć kilogramy własnego sadła. Wystarczyło jednak spojrzeć mu w twarz, aby człowiek natychmiast zrozumiał swój błąd w ocenie. Może powinien nosić kapelusz z szerokim rondem, pomyślał Łasiczka. Tyle że Bakly do maskowania się nie miał przekonania, choćby diabli wiedzą jak wiele od tego

zależało. Jeśli chcieli liczyć na sukces, Łasiczka musiał to brać pod uwagę. Dopił swoją, cudem jakimś ochłodzoną, jednak stanowczo zbyt słodką herbatę i opuścił stragan. Z drugiej strony, Bakly też przecież nie oczekiwał po nim ciężkozbrojnych szarzy. I właśnie dzięki temu, że tak dobrze znali nawzajem swoje słabe strony, póki co jakoś im się udawało. Póki co. Ta ostatnia myśl przywołała na usta Łasiczki słaby uśmiech.

Ruszył za Bakłym ciekaw, kiedy go wspólnik zauważy.

- Jestem tuż za waszymi plecami - oświadczył, nie kryjąc triumfu w głosie.

- Nie stanowicie zagrożenia.

- Dla was nie.

- Dokładnie to miałem na myśli.

Przez chwilę stali wedle siebie, spoglądając w różnych kierunkach, niczym dwóch cudzoziemców, którzy wpadli na siebie przez przypadek.

- Przed chwilą we własnym imieniu wysłałem na północ karawanę z opium - odezwał się Łasiczka. - Cel: kraje po drugiej stronie Gutawskiej.

Bakly nie skomentował.

- Towar zdobyłem od ludzi, którzy skontaktowali się ze mną w wyniku mojej wycieczki w góry. Cena okazała się korzystniejsza, niż oczekiwałem. Prawie bez różnicy, jak gdybym brał bezpośrednio od farmerów. Tak jak obiecywali.

- Dobry interes - ocenił Bakly.

- Niby tak, ale przetransportowanie towaru tutaj kosztuje, tymczasem pośrednicy praktycznie nic sobie nie zaśpiewali.

- Że niby przepelnieni miłością bliźniego? - zdziwił się Bakly, nawet na chwilę nie odwracając wzroku. - Rozprowadzają narkotyki dla powszechnej szczęśliwości społeczeństwa?

Łasiczka zdławił chichot.

- Tego nie wiem, ale coś mi tu zdecydowanie nie gra. Pierwszą zasadą handlu jest zysk. Organizuję jeszcze jedną karawanę - dodał po chwili. - Taką już trochę bardziej incognito, której nie można połączyć ze mną.

- I po to tutaj jestem?

Łasiczka skinął głową, podszedł do straganu z piwem, zamówił dwa, na ladzie pozostawił hojną kaucję za gliniane dzbany. Wrócił na miejsce, z jednego dzbana się napił, a drugi postawił na ziemi obok wyciągniętych nóg - na później. Wydawało się to być powszechnym tutaj zwyczajem.

Bakly sięgnął po piwo i Łasiczka słyszał wyraźnie, jak olbrzym w kilku łykach opróżnia cały dzban.

- Najałem kilku desperatów, którzy za garść złota skłonni byli zaryzykować więcej niż inni. Posłałem ich do tych samych ludzi, od których kupowałem opium za pierwszym razem. Myślą, że pracują dla Azmunda, który, nawiasem mówiąc, całkiem niedawno zmarł - wyjaśnił.

Przerwał, zastanawiając się, czy Bakly zapyta go o szczegóły jego genialnego planu.

- A czego chcecie w takim razie ode mnie?

Łasiczka uśmiechnął się. Prosto z mostu, tak jak tego oczekiwał.

- Eskorta, ochrona... Musiałem się zdrowo namęczyć, żeby zebrać tę ekipę. Raz, że nie można im za grosz zaufać, a do tego, jak sami się zorientowaliście, napędzili mi w tych górach niezłego stracha. Dla tych dziwnych typków zabijanie przychodzi równie naturalnie, co oddychanie. Gdyby jakimś cudem do mnie dotarli, raczej nie chciałbym się z nimi znaleźć sam na sam.

- Oddychanie...? - zastanowił się głośno Bakly. - No, nie wiem. Przypuszczam, że oddech jeszcze bym na jakiś czas zdołał wstrzymać, ale zabijanie?

Łasiczka pokręcił głową zrezygnowany. Tym razem w słownym pojedynku uznał swoją porażkę. Bakly może i twierdził, że myślenie przychodzi mu z trudem, ale jakoś podejrzenie często zdarzało się Łasiczce przegrać. Bakly powinien może bardziej się starać, aby nie odchodzić za bardzo od wizerunku, który sam sobie wymyślił. Podnieśli się bez słowa i zniknęli w niepozornej uliczce odchodzącej z placu targowego.

- Nigdy nie potrafie powiedzieć, kiedy żartujecie, a kiedy

jesteście poważni - odezwał się.

Przeszli trzy kolejne skrzyżowania, dwukrotnie przy tym skręcając.

- Nie umiem żartować - zabrzmiała wreszcie odpowiedź i Łasiczka poczuł, że ponury nastrój opuszcza go na dobre.

Jednym z powodów, dla których tak bardzo lubił rozmawiać ze swoim wielkim współnikiem, było, że Łasiczka nie miał pojęcia, czy Bakly przypadkiem nie studiuje potajemnie najnowszych trendów filozoficznych, czy też jednak działa wyłącznie według własnej, pokrętej, ale z drugiej strony na swój sposób konsekwentnej logiki.

W niecały kwadrans dotarli do wynajmowanego pokoju, który przypominał raczej komórkę z oknem niż pomieszczenie mieszkalne. Był to okazały budynek, z którym po obu stronach łączyły się dodatkowo dwa skrzydła. Na poddasze przynieśli ze sobą trzy niemałe dzbany piwa. Upał panował nieznośny i każdy, kto nie pochodził z Damarkandy od przynajmniej trzech pokoleń, musiał pić bez ustanku. Łasiczka siorbnął piwa i aż się skrzywił. Cena zupełnie nie korespondowała z jakością. Bakly też się napił, ale jego twarz pozostała bez wyrazu. Może stracił poczucie smaku? - przyszło Łasiczce do głowy.

- Co nas czeka? - spytał Bakly zwięźle.

- Zakup towaru. Wszystko jest już ustawione i przygotowane, pozostał jedynie odbiór.

- O jakich rozmawiamy pieniądzech? Wiedzą, gdzie was znaleźć?

- Nie. - Łasiczka pokręcił głową. - Wszystko zaaranżowałem tak, aby ci goście wiedzieli o mnie jak najmniej, jedynie te najbardziej niezbędne rzeczy. Tyle tylko, że ja tu jestem raptem od miesiąca, a oni całe życie i dlatego nie chcę być sam.

- Rozumiem. Mają gdzieś towar ukryć?

- Nie, wyrusza w drogę z miejsca. Odpowiednio już posmarowałem kilku celnikom, żeby się ładunkowi za bardzo nie przyglądali. Glejty dla karawany są oryginalne, wystawione na drogę do Saxpolis.

- Do samego serca imperium - skonstatował Bakly.

Czekali. Łasiczka zrezygnował z piwa, Bakly jednak popijał je dalej niespiesznym, równomiernym tempem.

- Co z tego będziemy mieli? - spytał, kiedy opróżnił pierwszy dzban.

- W najgorszym wypadku pieniądze. Mnóstwo pieniędzy. Cała ta operacja kosztowała już księcia ładnych kilka tysięcy, byłoby dobrze, gdybyśmy zdołali pospłacać jego rachunki. Z drugiej jednak strony, jeśli dobrze pójdzie, to takie potrząśnięcie gniazdem os mogłoby zmienić leniwe popołudnie w bardzo żwawy dzień. Wtedy się okaże, kto jest jak przygotowany i jak szybko umie biegać.

- No tak. - Bakly pokiwał głową. - Chodzi jednak o to, żeby się przy tym samemu nie dać pożądlić.

Wreszcie, po dwóch godzinach czekania, na nierównym bruku zagrzechotały koła i na podwórzec pod nimi wtoczyły się cztery wozy.

- To moi - powiedział Łasiczka. - Trochę się obawiałem, że się zwiną z zaliczką.

- Cztery wozy? - zaciekawiał się Bakly.

- Minimalny rozmiar karawany, żeby ją brać na poważnie, a z drugiej strony, nie za wielka i nie trzeba aż tyle płacić za przejazd - wyjaśnił Łasiczka.

- Aha - mruknął Bakly. - Trzynastu chłopów, ale na kupca żaden jakoś nie wygląda.

- Jak już mówiłem, nie było łatwo ich zebrać do kupy.

- Mają kusze, łuk, dodatkową broń na wozach, noży i kindżałów już nawet nie liczę.

- Mówimy o opium - przypomniał Łasiczka. - Za towar zapłaciłem pięćset złotych. Tutaj. W Saxpolis będzie wart sto razy tyle, ale najpierw musi tam dotrzeć.

- Szkoda, że wcześniej o tym nie wiedziałem.

Mężczyźni na dole ustawili wozy w czworobok w taki sposób, że łatwiej ich było bronić, jak również w razie potrzeby daliby radę szybko opuścić podwórzec.

Zanim jeszcze skończyli, przed bramę zajechał samotny wóz o kołach wysokości dorosłego mężczyzny, zaprzężony w czwórkę okazałych wałachów. Z budy wyskoczyło czterech mężczyzn, wszyscy dobrze odziani, w eleganckich pantalonach, kamizelach i w butach tak czystych, że aż lśniących.

Wkroczyli na podwórzec, rozejrzeli się, skontrolowali wzrokiem obecnych.

- Macie pieniądze? - spytał mężczyzna z kwicistą apaszką wokół szyi, nie zwracając się do nikogo konkretnie.

- Tutaj. - Brzuchaty wąsacz uniósł skórzaną sakwę i potrząsnął nią, aż zabrzęczało.

Elegant w apaszcze machnął ręką i wielki wóz zaczął manewrować, aby wjechać w bramę.

- Dwieście pięćdziesiąt złotych? - odgadł Bakły.

- Dokładnie tyle. - Łasiczka nie krył podziwu. - Mało kto potrafi odgadnąć sumę pieniędzy jedynie na słuch. Połowa teraz, połowa przy dostawie.

- Ile zapłaciliście szefowi?

- Siedemdziesiąt pięć na początek, sto dwadzieścia pięć po powrocie plus premia od sprzedaży, przy czym jej wielkość będzie uzależniona od strat poniesionych w czasie podróży.

- Czyli że zwyczajnie nie opłaca mu się zakosić te ćwierć kafla.

- Taką mam nadzieję.

Obserwowali przebieg przeładunku. Czwórka elegantów wyciągała z wielkiego wozu plecione kosze, które ludzie Łasiczki sprawdzali, po czym pakowali do drewnianych beczek.

- Ciekaw jestem, ilu ludzi tam się jeszcze ukrywa... - westchnął Łasiczka.

- Dość. Do tego trzymają kusze w pogotowiu, widziałem, jak dwóch z nich otarło się o brezent.

- Ostrożni są - ocenił Łasiczka.

Przeładunek i wymiana pieniędzy nie trwały więcej niż kwadrans, po upływie którego na podwórcu znów stały tylko cztery wozy. Zaprzężone do nich konie niespokojnie potrząsały głowami.

- Czyli że przynajmniej ta część poszła gładko. - Łasiczka odetchnął z ulgą. - Na wpół oczekiwałem, że nie dostarczą towaru. Jeszcze bym tylko chciał zobaczyć odprawę celną.

Bakly bez słowa wstał i ruszył ku drzwiom.

- Proponuję, żebyśmy zachowali większą ostrożność. Powinniśmy się też oddalić inną drogą, niż przyszlismy - rzucił za nim Łasiczka.

Olbrzym tylko wzruszył ramionami.

- Nigdy nie byliście specjalnie ostrożni, ale mam wrażenie, że ostatnio ryzykujecie więcej niż kiedyś - zauważył Łasiczka, kiedy kroczyli ciasnymi zaułkami ku targowisku przed północną bramą, przez którą wyruszała większość karawan i gdzie pracowali przekupieni celnicy.

- Może i prawda? - zgodził się Bakly. - Może rzeczywiście na wielu rzeczach zależy mi mniej?

- Rzeczach? Nie chodzi mi o rzeczy, tylko o życie.

- Dokładnie to miałem na myśli.

Łasiczce przypomniało to o czymś, o czym już kilkakrotnie przemyślał. Początkowo chciał tę myśl zachować dla siebie, jednak po chwili zmienił zdanie i powiedział na głos:

- Może w takim razie powinienem zacząć się więcej troszczyć sam o siebie.

Bakly zatrzymał się nagle i długo bacznie się swemu wspólnikowi przyglądał.

- Macie absolutną rację - powiedział zaskakująco poważnie.



Już bez przystanków dotarli na targowisko i z oddali przyglądali się ludziom Łasiczki. Karawana została odprawiona równie szybko i rutynowo, co i większość innych. Dwóch celników sumiennie udawało dokładny przegląd ładunku. Zapłacone mieli sporo, więc się przykładali. Potem jeszcze przejrzeni wszystkie dokumenty i pozwolili karawanie odjechać.



Był niezadowolony. Po tych wszystkich godzinach, a nawet dniach spędzonych w nieprzyjemnym towarzystwie Harbirgera nie zdołał z niego wyciągnąć nic. Do tego, pomimo iż co parę chwil zmieniał ubranie, wciąż miał wrażenie, że przesiąkł wskroś smrodem krwi, spalonej skóry, dymem z ogniska i jeszcze wieloma innymi, znacznie bardziej nieprzyjemnymi rzeczami. Nie pomagały nawet częste kąpiele. Przejrzał się w zwierciadło, starając się nie uронić nawet najdrobniejszych szczegółów. W ciągu ostatnich kilku dni rozrósł się jeszcze bardziej, trochę może nawet i przytył. Ta rzecz, ta rzecz między nogami była wręcz ohydna. Jednak aby dokończyć dzieła, będzie potrzebował każdej drobiny siły i bezwzględności. Już nie może zawrócić, w ten sposób przekreśliłby wszystko, czego dokonał do tej pory. Ta świadomość zarówno dodawała mu siły, jak i przygnębiała. Dopił ostatni z przygotowanych koktajli, zjadł ostatnią gorzką mieszankę i zaczął ubierać się w robocze ubranie. Harbirger czekał na dole, w piwnicy.

Kiedy na twarz skrępowanego mężczyzny padł pierwszy blask z łuczycywa, odmalowały się na niej równocześnie groza i ulga. Ulga płynąca ze świadomości, że nie pozostawiono go tutaj, aby umarł z głodu i pragnienia, ale i groza, bo wiedział, że oto nadciąga kolejna seria tortur.

Mógł kontynuować tę grę, jednak nie bez spowodowania nieodwracalnych urazów, które potencjalnie mogły uszkodzić ciało Harbirgera na tyle, iż potem nie będzie mógł sięgnąć po tę najbardziej wymyślną i skomplikowaną maszynę do zadawania cierpienia. Dziś jeszcze nie przyszła na nią pora.

Zapalił trzy lampy olejowe, które dzięki zmyślnie zaaranżowanym zwierciadłom oświetlały pomieszczenie lepiej niż piętnaście zwykłych świec, po czym wyswobodził Harbirgera z żelaznych pęt i przywiązał do drewnianej ławy. Oryginalnie służyła ona w połączeniu z innymi narzędziami do łamania palców u rąk czy u nóg, a od czasu do czasu również do wbijania drzazg pod paznokcie. Jednak Harbirger dość szybko

zorientował się, że dziś żadne narzędzia nie zostały przygotowane. Z drugiej strony było mu już wszystko jedno i po prostu witał z ulgą wyswobodzenie po tym, jak spędził całą dobę w okowach. Wydawał się wręcz całkiem spokojny.

Pomimo zadanych do tej pory mąk Harbirger nie poniósł żadnych trwałych uszkodzeń. Przypalone miejsca się zregenerują, paznokcie odrosną, rany przy odrobinie troskliwej opieki się zagoją. Pewnie zostanie mu kilka blizn, stawy może będą miały tendencję do wyskakiwania, ale z tym da się żyć. Zabijał już wielokrotnie, jednak torturowanie człowieka, o którym nawet nie wiedział, na ile jest winien, stanowiło granicę, której nie chciał przekraczać. Jak do tej pory.

Poluzował pętlę przytrzymującą jeden z nadgarstków Harbirgera i tym samym uwolnił mu rękę.

- Co mi powiesz o rodzinie Steinerów z Bezenu? - zadał pierwsze pytanie.

Rodzina Steinerów - ogniwo, które straciło znaczenie, bolało.

Harbirger, zaskoczony kierunkiem, w którym nieoczekiwanie potoczyło się przesłuchanie, zamrugał powiekami i kilkakrotnie rozprostował palce, jakby chciał sprawdzić, ile, po tak długim skrępowaniu, pozostało mu wciąż zdolności ruchowej. Potem spojrzął na swojego dręczyciela. Przez cały ten czas, który spędził w niewoli, nie zdołał zorientować się, kim jest. Gdyby nie malujące się na twarzy zacięcie graniczące z szaleństwem, jego oblicze byłoby nieomal piękne. Kontrastowało wprawdzie z brutalną, umięśnioną sylwetką, ale to również okazało się na swój sposób atrakcyjne. Znał bogatych utracjuszy bez zahamowań, którzy z przyjemnością znaleźliby się z nim w jednym łóżku. I tylko te oczy przepelnione szaleństwem wzbudzały strach. Tym większy, że teraz pojawiła się w nich i groźba. Harbirger przestał rozmyślać i odpowiedział:

- Steinerowie to jeden z pomniejszych rodów. Niektórzy zaliczali ich do cesarskiej szlachty, ale nie wszyscy. Stary Steiner zajmował się handlem na odległych rynkach, dzięki któremu udało mu się pomnożyć rodzinny majątek. Zbudował sobie sieć

rozległych kontaktów.

Mężczyzna pokiwał głową, wszystko się zgadzało.

- Mówisz o nich w czasie przeszłym, dlaczego?

- Jego synowie, a miał trzech synów i jeszcze córkę, stracili rozum, poszaleli. Wymordowali służbę w ich rodzinnym domu, potem zabili ojca, a na koniec zwrócili się przeciwko sobie. Nikt z rodziny nie przeżył i do dziś nikt nie wie, dlaczego to się stało.

- Ja wiem dlaczego. To było szybkie opium - powiedział mężczyzna cicho, lecz dobitnie.

- Czemu ciągle wygadujesz te głupoty?! - nie wytrzymał nagle Harbirger. - Szybkie opium! Ja nic o nim nie wiem! Po co w ogóle ktokolwiek zajmowałby się taką trucizną? Po kilku dawkach zostaje z ciebie bezmyślna kukła, szalencie gotów za wszelką cenę zdobyć kolejną porcję. Opium samo w sobie jest niebezpieczne, jeśli się nie uważa, ale przy zachowaniu umiaru nie ma wpływu na zdrowie. Sam od czasu do czasu wypalam sobie fajeczkę. Nie ma żadnej potrzeby, żeby je polepszać, a już tym bardziej psuć.

- Szybkie opium istnieje - kontynuował mężczyzna, jakby zupełnie nie zauważył wybuchu wściekłości Harbirgera. - Widziałem, jak działa, widziałem, jak kilka dawek w parę dni potrafi dokumentnie zniszczyć człowieka.

- To jakieś bzdury, kłamstwa! Łiesz i chcesz ode mnie usłyszeć kłamstwa, ale ja ci powiem wszystko, wszystko, co zechcesz, wszystko, tylko mnie wypuść!

- Podobno wystarczy jedna dawka - mówił dalej beznamiętnie dręczyciel Harbirgera. Z przyniesionej torby wyjął niewielkie zawiniątko i zaczął je metodycznie rozpakowywać. - I z tego, co sam widziałem, to może być prawda. Nie wiem, jak długo po zażyciu tej trucizny człowiek jest w stanie pociągnąć, ale wiem, że jedyne, co mu pozostaje, to głód kolejnej dawki, w poszukiwaniu której nic go nie potrafi zatrzymać.

Coś w tonie jego głosu i sposobie, w jaki przemawiał, sprawiło, że Harbirger zaczął mu się przysłuchiwać zafascynowany.

- Po drugiej dawce człowiek zaczyna się zmieniać, nie jest już

całkiem sobą, po trzeciej postępuje to jeszcze dalej. Wystarczyły trzy dni, aby moi bracia zmienili się w szaleńców nieodróżniających jawy od snu, w bestie gotowe uczynić wszystko, aby tylko zdobyć kolejną porcję opium. Jestem ostatnim z rodu Steinerów i jestem tu, aby się zemścić.

- Steinerowie wymarli! Wszyscy są martwi! - zawył zrozpaczony Harbirger, którego zdjęło przerażenie, że oto nadchodzi jego koniec. - Wymyśliłeś sobie to wszystko! Nie istnieje żadne szybkie opium! Wszyscy Steinerowie nie żyją! Jesteś szaleńcem, to są jakieś bzdury. Jestem głównym śledczym cesarskim Damarkandy, przecież coś bym o tym wiedział!

- Oto szybkie opium. Czujesz? Czujesz, jak śmierdzi? Jak cię kusi? - Mężczyzna podstawił Harbirgerowi pod nos kawałek płótna z kilkoma jasnobrązowymi kulkami.

- Kulki opiumowe. - Harbirger uśmiechnął się pogardliwie. - Towar kiepskiej jakości, po którym boli żołądek. Nikt tego nawet nie chce przemycać, nie ma z tego zarobku. Już lepsze jest opium do palenia i ten ostatni hit, laudanum. Dobrej jakości opium rozpuszczone w mocnym alkoholu. Świetnie idzie w imperium, tyle że tutaj nikt go nie umie produkować. Wierz mi, na temat opium wiem wszystko, co tylko można wiedzieć.

Mężczyzna odłożył kulki na stół i z powrotem usiadł.

- Prześledziłem trop tego, kto to zrobił mojej rodzinie, aż tutaj, do Damarkandy - zaczął mówić, ale bardziej chyba do siebie niż swojego więźnia. - Kiedy próbował zaimponować mojej siostrze, twierdził, że organizuje coś dużego, wielkiego wręcz: nowy rynek opium, który pchnie jego karierę do przodu. Nie wierzyłem mu za bardzo, ale zdaje się, że nie kłamał. Co mi się jednak wydaje zupełnie niewiarygodne, to fakt, że główny śledczy cesarski, którego najważniejszą rolą jest dopilnowanie przestrzegania imperialnego prawa, o obrocie narkotykami wie tyle co kot napłakał.

- Ale przecież ja wiem prawie wszystko na ten temat - zaprotestował Harbirger.

Uczepił się nadziei, że jeśli wszystko temu szaleńcowi dokładnie

opowie, wyjaśni, jak działa ten rynek, może jednak zmieni zdanie, może go jednak puści. Nie odważył się jednak zastanawiać nad tym zbyt wiele. Bał się w swoje szanse uwierzyć zbyt mocno.

- Jestem głównym śledczym, ale z pośledniego rodu, nie stoi za mną rodzina z wielkim majątkiem i potężnym nazwiskiem. Jeśli stracę posadę, stanę się znów zwykłym Harbirgerem, któremu będzie musiało wystarczyć tyle, ile uzbierał w sejfie. Dlatego muszę się na co dzień obracać z wyczuciem, umiejętnie, jeśli chcę się utrzymać i zabezpieczyć na przyszłość.

Wydawało się, że to jego dręczyciela zainteresowało. Przyglądał mu się bez wyrazu, ale przynajmniej ze wzroku zniknął ten cień szaleństwa, który skrywał w sobie przemoc. To budziło nadzieję.

Harbirger przełknął ślinę, aż mu podskoczyła grdyka.

- Dobrze by było zwilżyć gardło... - wymamrotał, jednak nie doczekał się reakcji, w związku z czym postanowił kontynuować opowieść: - Po prostu ustalam specjalne podatki za pobłażliwość prawa i sprawiedliwości. - Roześmiał się na wpół histerycznie, jakby właśnie opowiedział najzabawniejszy dowcip na świecie.

- Chciał moją siostrę. Nawet poprosił naszego ojca o jej rękę - kontynuował wspomnienia mężczyzna. Jego twarz nabrała przy tym twardszych rysów, przez co wyglądał, jakby się nagle o kilka lat postarzał. - Ruvark. Nazywał się Robert Ruvark. Z całego serca przeklinam to imię.

Mężczyzna zacisnął dłoń w pięść, aż zbieleły kłykcie, chwilę się jej przyglądał. Nie była to duża pięść, ale w ciągu ostatnich tygodni pokryła się wieloma zadrapaniami, odciskami i obtłuczeniami. Jednak przede wszystkim odciskami, twardymi niczym granit.

- Nasz ojciec kochał Elen bardziej niż nas, ale nam to nie przeszkadzało, bo sami ją wielbiliśmy. Temu łajdakowi uwierzył. Pomagał mu rozkręcić jego interes i nie miał nic przeciwko staraniom o rękę Elen, choć zastrzegał jednak, że to ona sama musi wyrazić zgodę. Że tylko od niej zależy, za kogo wyjdzie za mąż.

Zgasła jedna z lamp i mężczyzna zanurzył się w cień, Harbirger widział tylko jego sylwetkę. Piwnica musiała być głęboko, nie dobiegały do niej żadne odgłosy z ulicy, a jedynie chrobot korników w starych deskach.

- Udało mi się wytworzyć równowagę na rynku - zaczął Harbirger bez żadnego związku z tym, co powiedział jego porywacz. - Handlarze opium nie walczyli ze sobą, ale do pewnego stopnia współpracowali. Mniejsi bandyci pracowali dla tych większych, więksi oddawali procent tym największym, a ci z kolei podzielili miasto między siebie. Po drodze nie obyło się bez kilku zabójstw w wyższych sferach, ale szybko udało mi się pochwycić satysfakcjonujących wszystkie strony winnych i ich bez większych ceregieli skazać na szubienicę. W więzieniach zawsze się znajdują odpowiedni kandydaci. Zorganizowałem to tak, abym dostawał prowizję od każdego chlebka, który przejdzie przez Damarkandę. Niewielką, ale od każdego. Tych urzędników, którzy zarządzenia nie przestrzegali i zatrzymywali pieniądze dla siebie, pogoniłem precz. Wszystko działało idealnie aż do momentu, kiedy pojawiłeś się ty i bez powodu zacząłeś zabijać ludzi, hi, hi, hi. - Roześmiał się na koniec bez żadnego widocznego powodu.

Kiedy się uspokoił, słychać było jego przyspieszony oddech.

- Ruvark nie chciał przyjąć do wiadomości odmowy Eleny - Mężczyzna przejął pałeczkę. - Kiedy uzyskał od mojego ojca wszystko, czego tylko potrzebował, odjechał, ale przedtem zostawił moim braciom to mordercze szybkie opium.

- Nic takiego nie istnieje, hi, hi, hi.

Mężczyzna podszedł do Harbirgera i spojrzał na kulki narkotyku, które wcześniej odłożył na stół. Jednej brakowało. Zawinął je z powrotem w płótno, schował do kieszeni.

- Czuję ten smród, czułem go wtedy po raz pierwszy, jeszcze zanim wiedziałem, co powoduje. Potem, już na koniec, kiedy byli martwi, znalazłem list, który Ruvark zostawił Elen. Wyśmiewał się z niej i opisywał, jak się zemścił. Postanowiłem, że i ja się zemszczę. Trop zawiódł mnie tutaj, do Damarkandy,

gdzie się urwał. No to zacząłem robić to, co robiłem.

- I dlatego zacząłeś zabijać dilerów opium? Zamiast znaleźć Ruvarka czy jak się tam nazywał? Hi, hi, hi.

Harbirgerowi każde zdanie wydawało się zabawne.

- Nie. Zrobiłem to dlatego, że miałem nadzieję, iż kiedy ten cały dobrze naoliwiony mechanizm zacznie się sypać, pojawi się ktoś, kto będzie szukać sprawcy. Pojawi się Ruvark albo jego człowiek, aby z powrotem zaprowadzić porządek. Wszak przechwalał się przecież, że cały ten interes będzie należał do niego.

- Hi, hi, hi, hi... - Harbirger już go nawet nie słuchał.

- A ty próbujesz mi wmówić, że główny śledczy cesarski nic na ten temat nie wie. No, jeszcze zobaczymy - zakończył ostatni ze Steinerów, podniósł się i pogasił lampy. Tym razem ciemność wydawała się więźniowi nie przeszkadzać. Jeszcze kiedy zamykał drzwi za sobą, słyszał jego cichy śmiech.



Słońce paliło, cienie kuliły się u podnóży głazów niczym małe, wystraszone zwierzęta. Szedłem na piechotę, bo banda sępów krążących za miastem była całkiem blisko. Bandarillowi zaginęli dwaj ludzie i chciał wiedzieć, czy przypadkiem nie leżą gdzieś porzuceni na pustyni. Wydawało mi się to mało prawdopodobne, na miejscu Olvena raczej bym ich zagrzebał, niech konkurenta zżera niepewność. Albo, wręcz przeciwnie, zostawiłbym ich leżących gdzieś na ulicy, o ile miałyby to posłużyć jako groźba.

Czułem na języku pył, od czasu do czasu wiatr zawiewał żdźbłami wysuszonej trawy. To nie była Gutawska, gdzie na przestrzeni tysięcy, dziesiątków tysięcy kilometrów nie było ani kropli wody, najmniejszego śladu życia. Tutaj co wiosnę ziemia zieleniła się i rozkwitała. Teraz, w pełni lata, całkiem mi się tutaj podobało. Miecz niosłem przerzucony przez ramię, o udo obijała mi się podróżna butla z wodą. Może powinienem to wszystko zostawić za sobą, nie zatrzymywać się i tylko iść tak przed siebie

dalej i dalej, i dalej. Tylko że to by niczego nie zmieniło. Zastanowiłem się nad słowami Łasiczki, nad tym, że nie unikałem ryzyka jak dawniej. Sam sobie z tego do tej pory nie zdawałem sprawy, ale rzeczywiście miał rację. Żyłem tylko po to, aby zabijać, aby pomóc Zuzannie i aby w cieniach, w których sama musiała się skrywać, czekało na nią mniej nieprzyjaciół. Tyle że im więcej ich zabijałem, tym bardziej uświadamiałem sobie, że to się nigdy nie skończy, że wojna, która nadchodziła, przeora cały świat, nie zostawi kamienia na kamieniu. I że Zuzanna, moja córka - czarodziejka Zuzanna, nie ma najmniejszych szans, aby przeżyć. Ileż to już razy jej życie wisało na włosku, a jednak nie wyciągała z tego żadnej nauki. Wciąż ryzykowała coraz bardziej i bardziej, próbowała osiągnąć niemożliwe. Pozyskiwała ludzi, informacje, stare, zapomniane umiejętności, a wszystko po to, aby zwiększyć szanse księstwa na przetrwanie. Może należało spytać dlaczego, ale jakoś nigdy o tym nie pomyślałem, a teraz było już za późno.

Zszedłem z kupieckiego szlaku i dokładnie się rozejrzałem. Już wcześniej mi się wydawało, że ktoś z jakiegoś powodu przedzierał się równoległe w znacznie trudniejszym terenie. Teraz ślady wskazywały, że było to całkiem sporo ludzi. Znalazłem też na ziemi krew. Czemu się skrywali? Aby ich nikt nie wypytywał, kim są? Czy może byli ranni i uchodzili przed pogonią? A może mieli więźnia, może to nielegalni handlarze niewolników? Mogłem sobie wymyślać, co mi się tylko żywnie podobało.

Wróciłem z powrotem na szlak.

Nie chciałem, za wszelką cenę nie chciałem widzieć mojego jedyne dziecko martwym. Nie chciałem żyć dłużej niż ona. Może właśnie dlatego ryzykowałem coraz bardziej, jak sprawnie zauważył Łasiczka. Miał też rację co do tego, że powinien bardziej sam na siebie uważać, żebym go przypadkiem nie pociągnął za sobą. Było to jeszcze łatwiejsze przy tym całym naszym dość ryzykownym interesie.

Coś się poruszyło między kamieniami. Pustynny język,

zakłócający pustynny bezruch. Gutawska to rzeczywiście nie była. Hmm.

Oprócz tego istniała jeszcze jedna rzecz, która gdzieś tam w głębi mnie przerażała i być może wpływała na mój osąd. Przez całe życie nienawidziłem magii i się jej bałem, bo to właśnie przez nią spalili mi ojca. Właśnie jego - zbrojmistrza i kowala - oskarżyli o czarostwo i spalili. Przez długi czas wierzyłem, iż było to oskarżenie niesłuszne, jednak okazało się, że żyłem w błędzie. Ojciec rzeczywiście miał w sobie zdolności dawnych oświeconych i korzystał z nich przy wyrobie broni lepszej niż normalna. Na mnie samym z kolei każde spotkanie z magią odciskało swe piętno, odmieniało. Stawałem się innym Bakłym, twardszym, trudniejszym do zniszczenia, ale i coraz bardziej nieludzkim. Mam na ciele parę blizn spowodowanych atakami magicznymi. Magia mało mnie nie zabiła. Tych zabliźnionych miejsc nie da się zranić żadną bronią, a kiedy ich dotykam, czuję pod palcami chłód.

Wrzaski sępów rozbrzmiewały już całkiem głośno, znajdowałem się blisko celu, czymkolwiek był. Chwilę później poczułem też i smród rozkładającego się mięsa.

Na kamieniu przede mną dostrzegłem czerniejącą plamę zaschniętej krwi. Kawalek dalej ktoś się musiał zatoczyć, widać było miejsce, w którym czubkiem buta wyorał sporą bruzdę, a jego ostroga pozostawiła na kamieniu obok wyraźną ryse. Dalej nie szedłem już po śladach, ale zwyczajnie za odgłosem uczujących ptaków. Jakies trzysta metrów dalej natknąłem się na miejsce bitwy. Bandarillo obawiał się niepotrzebnie, to nie byli jego ludzie, tylko Łasiczki. Wszystkich trzynastu leżało tam, gdzie padli. Ostatnią linię obrony stanowił pierwszy wóz, gdzie zobaczyłem cztery ostatnie ciała. Obszedłem cały teren kawałek po kawałku. Dwóch pierwszych nawet nie wiedziało, co ich trafiło. Rany wskazywały na lekkie belty z małych kusz, które można nosić ukryte. U jednego z tych czterech przy wozie znalazłem nawet sam belt, który wciąż wystawał mu z uda. Jak na atak z ukrycia, wynik nie najlepszy.

Zrobiłem kolejny obchód i kawałek dalej znalazłem dwa krótkie łuki porzucone w krzakach. Kompozyt z drewna i rogu, świetna robota. Obok jednego z nich leżała niewystrzelona strzała, co tylko potwierdzało, że zasadzka im się nie do końca udała i musieli powtórzyć atak z dystansu, zanim doszło do walki wręcz. Dostrzegłem też leżące zakrzywione ostrza szabli. Sępy trochę ustąpiły, ale nie odleciały, starały się tylko trzymać ode mnie z daleka, równocześnie nie spuszczać z oka najdogodniejszych miejsc przy biesiadnym stole. Broń następnych czterech była porządnie zboczona krwią, jednak nie znalazłem żadnych innych ciał, tylko tych trzynastu. Stałem pośrodku pobojowiska i rozejrzałem się. Jeden ze ścierwojadów został wypchnięty za daleko, poderwał się więc z wrzaskiem i teraz krążył niezadowolony nad resztą, wypatrując, kogóż to on mógłby przegonić i zająć dogodniejszą pozycję.

Wozy zostawili, jednak zabrali konie, plandeki i towar. Sęp zaczął przypuszczać, że skoro się nie ruszam, to może miałby szansę się na mnie pożywić. Kiedy zataczał nade mną drugi okrąg zacieśniającej się spirali, wyciągnąłem miecz i ciąłem na ośle. Wyszło niezłe, tak na oko połówki ptaka, które spadły na ziemię, były tej samej wielkości. To mi zdobyło respekt u pozostałych ptaszysk i mogłem kontynuować już nieniekupiony.

Próbowałem odgadnąć, co dalej zrobili napastnicy. Wprawdzie zyskali dodatkowe konie, ale z drugiej strony mieli teraz również ładunek opium i rannych. Przypuszczałem, że martwych nie ciągnęli ze sobą zbyt daleko, mieli wystarczająco dużo kłopotów. Dodatkowo bandyci Łasiczki nie sprzedali skóry tanio. Rozglądając się za grobami, zastanawiałem się, kim byli napastnicy, którzy zdecydowali się rzucić na tak silną i uzbrojoną po zęby karawanę. Liczyli na element zaskoczenia, ale coś poszło nie tak, czy po prostu z miejsca nie docenili przeciwnika?

Dostrzegłem miejsce na ziemi, które wydawało się ciemniejsze oraz mniej porośnięte. Z pomocą jednej ze znalezionych szabli

zabrałem się do roboty i po kilku chwilach natrafiłem na ciało. Po kolejnej godzinie harówki wygrzebałem jeszcze pięć. Gdyby się walczyło na łopaty, miałbym o wiele łatwiejsze zadanie. Wrzucili ich w niewielkie zagłębienie, po czym najpierw przysypali większymi kamieniami, a potem tylko z wierzchu żwirem. Wyciągnąłem wszystkich na powierzchnię i dokładnie ich sobie obejrzałem. Byli to mężczyźni od dwudziestu pięciu do czterdziestu lat, wszyscy krótko ostrzyżeni, ubrani byle jak i tak też prezentowała się zawartość ich kieszeni. Zaskoczyło mnie tylko, że przy żadnym nie znalazłem ani miedziaka.

Odstąpiłem na chwilę i znów im się przyjrzałem. Za życia goście musieli być krzepcy, ale teraz zaczynali już mięknąć i się nadymać. Każdy kiedyś mięknie. Ktoś, najprawdopodobniej ich kompani, zadał sobie wiele trudu, aby usunąć wszelkie ślady, po których można by dojść, kim byli. Zupełnie jakby liczyli się z tym, że ktoś ich odkopie. Albo tacy byli pioruńsko przezorni.

Kłęknałem na ziemi i jeszcze raz dokładnie im się przyjrzałem, choć tym razem musiałem już stoczyć bój z sępami. Po wewnętrznej stronie płaszcza jednego z truposzy znalazłem przypięty maleńki, metalowy drobiazg, na którym coś było napisane. Bardziej mnie jednak zaciekało, jak to zostało przypięte, bardzo pieczołowicie, żeby delikwent za żadną cenę drobiazgu nie zgubił.

Dalej już sobie dałem z przeszukiwaniem spokój. Zazwyczaj pozwalałam, aby podobnymi rzeczami zajął się ktoś inny, na przykład Łasiczka.



Wróciłem do miasta i skierowałem się prosto do jednej z gospód, które z Łasiczką wybraliśmy na umówione miejsca spotkań. Wypiłem piwo i poszedłem do następnej. Kolejność też żeśmy ustalili, dzięki temu było mu łatwiej mnie znaleźć. Sam nawet nie próbowałem go wypatrywać. Łasiczka, kiedy chciał, potrafił się stać praktycznie niewidzialny, za to miał niezwykły talent do dyskretnego podpytywania i nadstawiania ucha.

Między gospodarzami drugą i trzecią wpadł na mnie Bavajo. Zmyślnie bydlę, też się umiał wypytywać. Przekazałem mu raport dla Bandarilla, pogawędziliśmy, co tam nowego, wypłacił mi moje wynagrodzenie i pokicał dalej.

- Płaci wam dziesięć złotych dziennie, a wy się do niego nawet nie pofatygujecie? - nie mógł zrozumieć, kiedyśmy ze sobą rozmawiali.

- Ano nie - przyznałem. - Jestem wykończony, wpadnę do niego jutro. Gdybyś miał jakieś rozkazy, znajdziesz mnie na stacji.

Początkowo chciałem mu nawet powiedzieć, że już dla jego szefa nie pracuję, ale w ostatniej chwili zmieniłem zdanie. Zaczynało się coś dziać, bliżej Bandarilla miałem większe szanse się czegoś dowiedzieć. Zdażę mu jeszcze złożyć wymówienie, jeden czy dwa dni nie zrobią różnicy.

Łasiczka znalazł mnie w trzeciej gospodzie, i to zanim jeszcze dostałem swoje piwo.

- Pijecie straszne siki - ocenił, po czym sam zamówił lepszy gatunek.

Nawet się nie zainteresowałem, jaki mieli wybór, karczmarz nałat mi to, na co sam uznał, że będzie mnie stać.

- Prawdę powiedziawszy, wszystko mi jedno. - Wzruszyłem ramionami. - I tak żadne już nie smakuje jak dawniej.

Pokiwał głową, jakby się ze mną zgadzał.

- Mam coś nowego. Żadna to rewelacja, ale zawsze coś - oznajmił.

Powiedział to zupełnie zwykłym tonem, ale natychmiast zrozumiałem, że znów pogrywa ze mną w jedną z tych swoich gier.

- Ja też. Przebijam - podbiłem stawkę.

- Przyjmuję.

Napił się piwa i otarł usta.

- Wszyscy ludzie, których najęliście do przerzutu opium do Saxpolis, są martwi, kawałek za miastem.

Łasiczka zamknął usta. Zdawał sobie sprawę z tego, co to

oznaczało. Pana Azmunda, czy pod jakim tam imieniem występował, z całą pewnością intensywnie już poszukiwano. Nieoficjalnie, ale tym bardziej zażarcie. Wynik tych poszukiwań mógł być tylko jeden. Powróż, nóż lub coś innego w podobnym stylu. Ciekaw byłem, jak się teraz czuł. Tych trzynastu chłopów wysłał prosto na śmierć. Na pewno się z taką możliwością liczył, lecz teraz musiał poradzić sobie z tym, że do niej rzeczywiście doszło.

- No to wasza kolej - powiedziałem i spróbowałem się uśmiechnąć, aby dać mu do zrozumienia, że jestem przekonany o wygranej. Kiedyś mnie ta gra bawiła, ale chyba już przestała. Co to się porobiło?

- Wczoraj rano znaleziono na ulicy totalnie ujaranego śledczego cesarskiego. Bredził coś o opium i wydawał się całkowicie odjechany. Jeżeli moje źródła są choć trochę wiarygodne, to w dalszym ciągu nie doszedł do siebie. Jeśli już, to jest wręcz jeszcze gorzej.

- Jeśli ma zjazd po dłuższym odlocie, powinni mu podać coś łagodniejszego, żeby złagodzić szok - zauważyłem.

Miałem na tym polu własne bolesne doświadczenia.

- O ile wiem, próbowali, jednak nic to nie pomogło. W ogóle się z nim nie da rozmawiać.

To było o wiele ciekawsze niż te moje trupy. Łasiczka wygrał i skinięciem głowy dałem mu znak, że uznaję ten wynik.

- Sprawy ruszyły z miejsca. Myślę, że dobrze by było poczekać i się poprzyglądać - powiedziałem.

- Macie całkowitą rację - zgodził się ze mną.

Był w dużo gorszej sytuacji niż ja. Na karku siedziała mu banda zabójców, która właśnie uporała się z trzynastką zaprawionych w bojach ludzi. Trzymał się jednak niezłe.

- Tak sobie właśnie pomyślałem... Karawany z opium zawsze są tak dobrze strzeżone, jak ta wasza?

- Nie są - odpowiedział. - Starają się po prostu nie rzucać w oczy. Zazwyczaj jest to czterech, pięciu zbrojnych, a reszta to kupcy.

- A to w takim razie znaczy, że wyście się z tym liczyli i chcieliście się w ten sposób zorientować, czy przypadkiem komuś nie przeszkadza ten wasz przemyt opium do cesarstwa i jak są dobrzy - odgadłem. - Znaczy, jak są dobrzy ci, którym przeszkadza.

- Dokładnie tak - przytaknął odrobinę jakby nieswój. - Przypuszczałem, że ten, kto trzyma łapę na zbiorach w górach, będzie też chciał mieć wyłączność na decydowanie, dokąd to opium ma trafić. Potrzebowałem się jednak upewnić.

W tym momencie mogłem go zapytać, jakie to uczucie, kiedy dla potwierdzenia przecucia wysła się na śmierć trzynastu ludzi, ale nie zrobiłem tego. Zamiast tego opowiedziałem mu, co mi się udało ustalić, a on w rewanżu zapoznał mnie z dalszymi wynikami jego studiów nad miejscowym rynkiem opium.

- Wygląda na to, że od kogokolwiek na ulicy kupilibyście fajkę, towar tak naprawdę pochodzi z jednego z trzech, może czterech magazynów w mieście. Bez względu na to, ilu po drodze jest pośredników. Tudzież było - zreflektował się, uwzględniając zwiększoną w ostatnich czasach umieralność wśród handlarzy.

Umieralność. Kolejne ciekawe słowo. Jakbym to chciał powiedzieć po swojemu, potrzebowałbym całego zdania. A ja przecież nie lubię się rozgadywać. Umieralność, hmm.

Łasiczka przyglądał mi się nieufnie. Musiałem wyglądać na głęboko zamyślonego.

- Pewnie tak to sobie urządzili dostawcy, czyli wasi znajomi z gór - odezwałem się szybko. - W tej ziemi mak rośnie wszędzie, więc zarabiają tylko ci, którzy mają gdzie go sprzedać. Gdzie tylko otworzy się dziura, tam zaraz ktoś się wciśnie.

- Mnie się to wydaje trochę bez sensu. Jeśli już się tak namęczycie, ustalając podział rynku, zatroszczylibyście się i o podział zysków. Hurt, detal. - Nie zgodził się ze mną, ale już dalej się nie sprzeczał.

Wyglądał, jakby go coś aż zmroziło.

Skinąłem Łasiczce na pożegnanie, ale jeszcze na odchodnym przypomniałem sobie o tej spince, którą znalazłem przy jednym

z trupów, i mu ją rzuciłem.

Zanim doszedłem do domu, czekał już na mnie Bavajo. Przyglądał się lasowi butelek z gorzalką, który wypełniał już cały jeden róg pokoju. Stały tam niczym armia zapomnianych żołnierzy, czekających na okazję.

- To wy nie pijecie? - spytał zaskoczony.

- Nie - odpowiedziałem, choć powinienem do tego dodać „jeszcze”. - Co masz dla mnie?

- Znaleźliśmy naszych ludzi. Z poderżniętymi gardłami i ustami wypchanymi opium - wyjaśnił.

Takie buty.

- Kto to zrobił?

- Znaleźliśmy ich w uliczce, którą niedawno przejęliśmy. Sąsiaduje z terenem Olvena.

A zatem wojna bandytów została ogłoszona i lada moment miała się zacząć na dobre. Znow przez chwilę pomyślałem, czy nie byłoby lepiej się wycofać. Miałem rozkazy, ale miałem też wolną rękę, mógłbym sobie na to pozwolić. Tyle że dla Olvena pracował Rosen. Nawet gdybym się wycofał, było oczywiste, że prędzej czy później musimy na siebie trafić. Nie widziałem sensu tego odkładać.

- Co Bandarillo powiedział?

- Że podwaja gaźę.

- Powiedz mu, że za taką akcję chcę stówę - zdecydowałem się.

Bavajo nieco wystraszony kiwnął głową na znak, że zrozumiał, i poleciał. Przez chwilę siedziałem i przyglądałem się obłym kształtom odbijających światło butelek. Może powinienem się teraz tak porządnie napić. Odłożyłem rozstrzygnięcie tego dylematu na później i pozwoliłem myślom leniwie przetaczać się w panującym upale. Czasy, kiedy na samą myśl o nadchodzącym boju w żyłach zaczynała mi żwawiej krążyć krew, miałem już dawno za sobą. Przez długie lata dusił mnie strach, że umrę lub dam się zranić za wcześnie, by zdołać zgromadzić całą sumę potrzebną do tego, aby wykupić życie moich krewnych. To już też miałem dawno za sobą. Kilka spokojnych

lat, kiedy miałem rodzinę i żyłem jak normalny człowiek, dobiegło końca. Przeminięły jak podmuch wiatru, pozostał po nich cień, w który nie potrafiłem, a może też i nie chciałem wejrzeć. Później, kiedy moja własna córka Zuzanna znalazła się w niebezpieczeństwie, strach, furia, wściekłość i wszystko to, co już kiedyś czułem, powróciły, i to ze zdwojoną siłą. Zabijałem znów. Zabijałem hurtowo, z łatwością, która mnie samego przerażała, ale przecież robiłem to tylko po to, aby pomóc Zuzannie, aby przynajmniej częściowo ułatwić jej drogę przez życie. Tyle tylko, że świat zmierzał ku zagładzie, a ona sama wybrała sobie drogę bez powrotu. Zrozumiałem to i pogodziłem się z tym dopiero niedawno. Przed paroma dniami, tygodniami może, najdalej miesiącem lub dwoma. I od tego momentu świat zaczął tracić barwy.

Sięgnąłem po butelkę i chwilę przyglądałem się zalakowanemu korkowi. To, że w śmierci nieprzyjaciół widziałem nadzieję dla mej córki, uczyniło ze mnie człowieka, którego zabić było bez mała niemożliwe, a który sam zadawał śmierć z taką samą łatwością, z jaką farmer sieje ziarno. Tygodnie, miesiące i całe lata zlewały się w jednolity korowód ukrywania się, podróży, planowania i krótkich okresów wzmożonego wysiłku, po których zostawiałem za sobą dziesiątki martwych ciał. Nie żałowałem niczego. Pomagałem w ten sposób Zuzannie, pomagałem też K., jednemu z niewielu ludzi, którym pomagać było warto.

Tylko że teraz, kiedy straciłem resztkę nadziei, barwy wyblakły, a nikomu przecież się nie chce gapić w całkiem szare płótno. Nawet ja nie wytrzymam tego zbyt długo. Do tego wszystkiego piwo nie smakowało już tak jak kiedyś, a zabić człowieka było łatwiej, niż głęboko odetchnąć. Dziwny świat. Może się powinienem napić? Wahałem się. Najlogiczniejszy koniec, jaki mnie czekał, to nieopatrzny błąd, niepotrzebna brawura, zwykły pech, czyli dokładnie to, co mi przepowiadał Łasiczka.

Pan Łasiczka ma rację zbyt często i zbyt często przegrywam w tych naszych grach. Nie żeby to miało aż takie znaczenie, ale mimo wszystko natchnęło mnie to, żeby z podróźnej torby

wyciągnąć ochraniacze przedramion, które bez zwłoki wciągnąłem i zasnuowałem. Były wykonane z bawolej skóry z wszytymi metalowymi drutami i doskonale się sprawdzały w pojedynkach z nożownikami, którzy zazwyczaj starali się człowieka najpierw poranić, aby go osłabić. Założyłem też koszulę i podszywany kaftan, na który z kolei naciągnąłem kolczą kamizelkę. Sprawdzała się w ciżbie, kiedy wokół człowieka świszczało więcej krótkich ostrzy, niż był w stanie naliczyć. Wyglądałem w tym wszystkim jak chodzący pień, szerszy niż wyższy, ale co mi tam. Do zestawu dodałem jeszcze rękawice. Były bezpalce, za to z metalowymi prętami chroniącymi dłonie. Noży zostawić w domu też nie widziałem sensu. Do tego dołożyłem jeszcze mój nowy miecz i byłem gotów. Możliwe, że Łasiczka ten podświadomy pęd samobójczy zdiagnozował u mnie prawidłowo, ale to jeszcze nie dziś.

Te wszystkie przygotowania zajęły mi trochę czasu. Rzuciłem tylko ostatnie spojrzenie na las stojących na podłodze butelek i bez dalszej zwłoki ruszyłem na zbiórkę armii Bandarilla.

Nikt tego głośno nie powiedział, ale czekali tam już jedynie na mnie. Ktoś wcisnął mi w rękę piwo. Do takich uprzejmości nie nawykłem, popularność, jak się wydawało, miała też i dobre strony.

- Plan jest następujący - rozpoczął Bandarillo, kiedy gwar przycichł i wszyscy stali tylko, czekając na rozkazy.

Nie wyglądał na zadowolonego z konieczności podjęcia otwartej walki, ale zdawał sobie sprawę, że musi sytuację ogarnąć, jeśli chce utrzymać swoją pozycję albo po prostu przeżyć. Bandyty handlujący opium nie odchodzili przecież na emeryturę, a ich wzajemne konflikty wzbudzały szczególne zainteresowanie.

Przysłuchiwałem się, jak wyklada ludziom, co muszą zrobić, aby uchronić swą pozycję, próbując im przy tym wmówić, że jadą na tym samym wozie. Łgał. Oni w każdej chwili mogli postawić żagle i zniknąć za horyzontem. Mieli znacznie mniej do stracenia, większość z nich mogłaby wręcz przystąpić do drugiej

strony. Miał jednak talent i zdołał ich przekonać, że zwycięstwo, a z nim i bogactwo są na wyciągnięcie ręki. Przyszedł czas na czyny. Każdy wiedział doskonale, gdzie znajdowała się główna siedziba Olvena, na temat jego dobrze chronionej kryjówki krążyły plotki. Teraz jeszcze Bandarillo i jego najbliżsi współpracownicy powiedzieli nam o trzecim miejscu, w którym Olven chętnie szukał schronienia, co jeszcze bardziej umocniło wiarę ludzi w zwycięstwo.

- Właśnie tam jest w tej chwili - powiedział Bandarillo z nieznoszącą sprzeciwu pewnością siebie. - Zaatakujemy wszystkimi siłami.

Miałem nadzieję, że swojego człowieka w szeregach Olvena opłacał naprawdę dobrze. Wystarczająco dobrze, aby nie przyszło mu do głowy grać na dwie strony. A może ja tylko tak z przyzwyczajenia wszystko czarno widzę? Zuzanna nazwałaby mnie pesymistą.

- Ta rudera ma jakieś umocnienia? - spytałem.

Brałem kiedyś udział w oblężeniu domu, które trwało tydzień. Nie było łatwo. Nawet biorąc pod uwagę, że to ja siedziałem wewnątrz.

- Kafar się zrobił jakiś nerwowy, pewnie ze strachu - zaśmiał się ktoś obok mnie i położył mi rękę na ramieniu. Mądrala, przypomniałem sobie przezwisko, które mu już wcześniej nadałem. Nakryłem jego dłoń swoją i bez mrugnięcia okiem zacząłem powoli ścisnąć. Próbował ją wyrwać, ale nie dał rady. Potem zaczął się zwijać z bólu, zgiął się w pasie, wreszcie o mały włos, a ugięłyby się pod nim kolana. Paść na podłogę jednak nie mógł, bo wciąż trzymałem jego rękę.

- Dość już tego. Możecie się droczyć, jak załatwimy sprawę z Olvenem - warknął na nas wściekle Bandarillo.

Uwolniłem rękę Mądrali i przez chwilę czekałem, żeby zobaczyć, czy czegoś będzie próbował. Nie spróbował, tylko odkuśtykał obrażony na bezpieczną odległość. Może go ręka za bardzo bolała? Są rzeczy, które potrafiłem odgadnąć z zabójczą dokładnością, niczym jakiś jasnovidz. O ile Duval i sporo innych

chłopaków bardzo się z mojego przybycia cieszyli, o tyle Mądrała i jego kumple nie mogli mnie znieść. Pewnie im z mojego powodu Bandarillo obniżył pensje. Co robić, konkurencja, prawa rynku. Zanim wyruszyliśmy, poprosiłem jeszcze, aby mi opisali drogę, tak abym i bez pomocy reszty wiedział, którą będziemy szli. Zaprocentowały te dni, które spędziłem na łazikowaniu po Damarkandzie.



Tajną rezydencją Olvena okazała się zwyczajna willa stojąca w wielkim ogrodzie w początkowo niezwykle luksusowej części miasta, która jednak na mocy niepisanego prawa ulicy ostatnimi czasy wyszła z mody. Wstępu na teren posesji broniły rozlatujący się płot i masywna brama z polerowanego granitu. Wszystko tonęło w szarości zmierzchu, jedynie gładki kamień odbijał światło księżyca i oddalonych latarni, które tu jeszcze pozostały z dawnych, lepszych czasów. Brama mogła jeszcze uchodzić za jako taką ochronę, płot w żadnym wypadku. Wszyscy stali i zastanawiali się, jak się dostać do środka, podczas gdy liczne zdobione kolumny, krzewy i rzeźby za ich plecami zapewniały setki potencjalnych kryjówek dla przyczajonego przeciwnika.

Odszedłem na bok, sprawdziłem ręką belki, czy nie wystają z nich ćwieki albo jakieś inne świństwo. Staroświeckie rzemiosło, drewno osadzone w drewnie, po co marnować pieniądze na żelazo... Odstąpiłem dwa kroki i z krótkiego rozbiegu płot zwyczajnie przewaliłem. Ruszyłem, nie czekając, w mrok pomiędzy przerośniętymi krzewami i drzewami. Może i nie było to najmądrzejsze, ale ta banda głośnych, miękkich i bezradnych bęcwałów zbyt mnie denerwowała.

Zanim do nich dotarło, co właśnie zrobiłem, stałem już przed cichą i ciemną willą. Nie wyglądało na to, aby Olven jakoś szczególnie używał sobie życia czy też przygotowywał się do walki. A może po prostu po spędzonym pracowicie dniu spał teraz spokojnym snem niesprawiedliwego. Albo czuwał przygotowany na atak, a za kamienną ścianą i oknami czekała

zgraja uzbrojonych po zęby ludzi. Możliwości było kilka. Mogłem poczekać na posiłki, spróbować się dostać do środka niezauważony oknem albo zwyczajnie wejść głównymi drzwiami. Posiłki były głównie warte, oknem mi się nie chciało przeciskać, spróbowałem więc klamki - otwarte.

Wystarczył drobny powiew powietrza ze środka i stało się jasne, że nikt żywy, zdolny się ruszać, na nas nie czekał. Tylko idiota pozostałby w willi przesiąkniętej smrodem niedawnej śmierci.

W którymś pokoju wciąż jeszcze paliła się lampa lub może świeczka. Ruszyłem w tamtą stronę, o pierwsze ciało o mało się nie potknąłem. Kiedy zdobyłem światło, poszło mi już lepiej. Zaszedłem do pomieszczenia, które wedle tego, jak było urządzone, musiało służyć do towarzyskich spotkań. I teraz można było powiedzieć, że wypełniało go wielkie towarzystwo. Ciche i całkiem martwe towarzystwo. Niektórych dosięgły ostrza, inni mieli roztrzaskane głowy i przetrącone karki, jakby jakieś wielkie koło łopatkowe rzucało nimi o ściany. Ciemność rozpraszały żarzące się węgle w kominku i dogasająca olejowa lampa. Szedłem dalej, aż dotarłem do sztabu głównego - pomieszczenia urządzonego w sposób nad wyraz ekskluzywny, gdzie na grubych kobiercach nasiąkniętych krwią, wśród poprzewracanych i porozbijanych kielichów leżeli Olven i jego najlepsi ludzie. Olvenowi ktoś wyrwał grdykę, dwaj goście o posturach zapaśników mieli przetrącone karki, a trzeciego zaduszono.

Siadłem na stole pomiędzy papierami, rozglądając się dookoła. Willa ożyła głosami postępujących do środka ludzi Bandarilla. Słyszałem, jak nerwowo komentują kolejne znaleziska.

- Ilu ich tu musiało być, żeby urządzić taką masakrę? - pytał czyjś głos.

- Dwudziestu, trzydziestu... Zabitych musieli zabrać ze sobą, wszyscy tutaj wyglądają na ludzi Olvena.

- A zatem kolejny kawałek miasta należy teraz do was - ogłosiłem Bandarillowi, kiedy pojawił się w drzwiach.

- Na to wygląda. Macie jakieś pojęcie, z kim tutaj walczyli? -
Zaczął ciekawie przeglądać leżące na stole papiery.

Wzruszyłem ramionami.

- Wisicie mi stówkę - przypomniałem mu.

- Wy chyba straciliście rozum! - zagrział. - Przecież nawet nie
wykonaliście żadnej pracy.

- Idę - oznajmiłem mu. - Ale wisicie mi stówkę.

- No lećcie, a jak się opamiętacie, możecie wrócić i znów się
zgłosić do roboty, choć za rozsądniejsze pieniądze. Dobra passa
się skończyła - warknął za mną.

Bez odpowiedzi zmierzałem dalej ku drzwiom.

- Odprowadźcie go. - Bandarillo skinął na Mądralę, chcąc się
upewnić, że nie będę się dalej błakał po willi i mu czegoś nie
podwędzę.

Rzucili się na mnie, kiedy tylko przekroczyłem próg domu.
Zaczął od tyłu Mądrala z pałką. Obróciłem się szybciej, niż się
zdążył zorientować, zablokowałem jego rękę przedramieniem i
bez większej finezji pięścią wepchnąłem mu twarz do środka.
Drugi chciał swojemu kumpłowi pomóc jak najszybciej, więc
skoczył na mnie z gołymi rękoma. Łupnąłem go w brzuch,
złapałem za głowę i ściągnąłem w dół, równocześnie wystawiając
jej na spotkanie kolano. Bezwładnego cisnąłem pod nogi
trzeciemu. Ten już stał z kindziałem w ręce. Próbując uniknąć
zderzenia ze swoim kompanem, uchylił się i stracił równowagę.
Pomogłem mu oprzeć się o ścianę, po czym porządnie nim dwa
razy o nią trzasnąłem. Osunął się na ziemię i wnoskując po
śladach, jakie zostawił na surowym tynku, w przyszłości będzie
musiał wydać niemałe pieniądze na maści, opatrunki, a potem
pewnie i na pudrowanie, o ile będzie mu zależało na jako takim
wyglądzie.

Pochyliłem się nad Mądralą i chwilę się przysłuchiwałem jego
charczącemu oddechowi. Powietrze przeciskało się z wielkim
trudem poprzez krzepnącą krew i zmiażdżoną chrząstkę nosa.

- No to przynajmniej wieczór nie poszedł na marne, co? -
zwróciłem się do niego i nie czekając na odpowiedź, odszedłem.

To spustoszenie nie było dziełem dwudziestu lub trzydziestu ludzi, to była robota jednego człowieka. A właściwie połowy człowieka, bo reszty krzyżówki dopełniał górski goryl. Po obu odziedziczył wszystko, co najlepsze tudzież najgorsze - w zależności, z której strony spojrzeć. Było to absolutnie oczywiste, ponieważ mając wojnę za pasem, Olven nigdy by się przecież nie pozbył swego najcenniejszego człowieka, a trupa Rosena nigdzie nie znalazłem. Ktoś mu musiał zapewne zapłacić jeszcze więcej i zdecydował, że na reputacji znowu aż tak bardzo mu nie zależało. Albo mu Olven wisiął pieniądze, tak jak teraz Bandarillo mnie.



Kiedy w moim pokoju znalazłem pana Łasiczkę, nawet mnie to nie zaskoczyło. Siedział po ciemku i pił coś, co sądząc po zapachu, mogło być mocną, słodką herbatą. Wyglądał przy tym na niezadowolonego.

- Jakież problemy? - spytałem, kiedy zapaliłem lampę.

- Jakież problemy u was? - odpowiedział pytaniem na pytanie.

- Nie, dlaczego? - nie rozumiałem.

- Cali jesteście we krwi.

- Brak należnego wychowania, nic więcej. - Zbyłem go. - Gość nie umiał krwawić tak, aby nie poplamić mi ubrania.

Nie żeby tych parę ciemnych plamek na moim stroju umiał dostrzec ktokolwiek inny niż pedant Łasiczka.

- No, a co się wam przydarzyło? - zapytałem, żeby podtrzymać rozmowę.

W rzeczywistości było mi wszystko jedno i najchętniej poszedłbym po prostu spać, ale stało się oczywiste, że nie przyszedł do mnie przecież na zwykłe pogaduszki.

Siorbnął herbaty, przełknął.

- Wiem, kto jest największą rybą w tym stawie. Wytropiłem, do kogo tak naprawdę trafiły pieniądze, za które kupiłem opium.

- Harbirger? - strzeliłem z głupia frant.

- Nie. - Łasiczka pokręcił głową. - Horowitz.

Jeden z wielu bandytów w Damarkandzie, przypomniałem sobie. Większa średnia ryba, nic więcej.

- To się zgadza. Jednak nigdy by mi nie przyszło do głowy, że to właśnie on jest dystrybutorem dla wszystkich pozostałych. Kiedy składałem zamówienia, które w ostatniej chwili zwiększałem i oznajmiałem, że chcę teraz albo wcale, wszyscy, od których kupowałem, biegli prosto do niego. Wiem, bo ich śledziłem. To znaczy kazałem śledzić, sam bym nie dał rady.

- Do niego? - Nie bardzo potrafiłem to sobie wyobrazić.

- Do ukrytych magazynów, które, kiedy już przedarłem się przez te wszystkie warstwy podstawionych kupców, fałszywych spółek i gildii, wszystkie jak jeden mąż należą do niego.

Łasiczka może i nie użył sobie tyle co ja, ale i jego śledztwo najwyraźniej przyniosło rezultaty.

- No dobra, wyście kupowali od niego, ale przecież o źródłach Bandarilla czy Olvena i tak nic nie wiecie. A tak przy okazji, Bandarillo właśnie przejął interes Olvena, od dziś ma pod kontrolą ponad połowę miasta i dobre dwie trzecie handlu opium.

- To się nazywa awans - przyznał Łasiczka. - Lecz wszystko, co ustaliłem, i tak wskazuje, że i oni kupowali z tego samego źródła. Nieświadomie, przez podstawionych pośredników, ale jednak.

Parsknąłem i sięgnąłem po dzbanuszek, z którego Łasiczka popijał herbatę. Piwo czy herbata, wszystko smakowało tak samo i ani jednym, ani drugim nie szło się napić.

- Mam jeszcze jedną wieść - mruknął.

Było jasne, że przyszedł moment wyłożyć na stół asa. Odwróciłem się tak, aby mnie dobrze widział. To też część gry - wyprowadzić tego drugiego z równowagi. Tyle że mnie już z równowagi nie mogło wyprowadzić zgoła nic.

- Do Damarkandy właśnie przybył jeden z cesarskich czarodziejów.

- Ciekawe - przyznałem. - Może należałoby go zabić, jak już załatwimy ten nasz mały interes.

Pomimo całego naszego wysiłku - mojego, Łasiczki, Zuzanny, a

także ogromnej liczby dalszych agentów K. - armia cesarskich czarodziejów powoli, ale niepowstrzymanie powiększała się. A co gorsza, zwiększały się też ich możliwości.

- Jak się nazywa?

- Ruvark. Robert Ruvark. Bez tytułu, pochodzenia. Nowa twarz, ale ma w klanie Janicka dość wysoką pozycję - wyjawiał Łasiczka.

Nazwisko Ruvark nic mi nie mówiło. O Janicku, czarodzieju, który do cesarza, a właściwie do arcyksięcia Varatchiego przyłączył się jako pierwszy, już parę razy słyszałem. Rewelacja Łasiczki całkiem mi się spodobała. Zabijanie cesarskich żołnierzy, morderców lub wyspecjalizowanych zabójców jest proste i stało się nudne. Zabijanie czarodziejów sprawiało mi czystą radość.

- Tak naprawdę to mamy wręcz szczęście - oceniłem naszą sytuację.

Zazwyczaj czarodziejów można spotkać jedynie na wewnętrznych ziemiach cesarstwa i nawet tam zawsze chronią ich grupy znakomicie wyszkolonych wojowników. Duże grupy. Jeśli jednak zapuszczali się gdziekolwiek dalej, były to już raczej małe armie.

- Osobiście nie widzę w tym nic dobrego - nie zgodził się ze mną Łasiczka.

Odstawiłem dzbanek. Herbata smakowała jeszcze gorzej niż piwo. Nie pozostawało mi już chyba nic innego, jak popijać wodę.

- Przede wszystkim nie wygląda mi to na zwykły zbieg okoliczności - dodał jeszcze wyjaśniająco.

- No dobrze, ale po co w takim razie tłukł się tutaj cesarski czarodziej? Z powodu przepychanki pomiędzy bandytami, których pierwszy lepszy zbrojny z Saxpolis załatwiłby gołymi rękami i ani się przy tym nie spocił? - Uśmiechnąłem się.

- Nie wiem i właśnie to mnie tak niepokoi - odparł Łasiczka.

Przybyliśmy tutaj, żeby z bliska przyjrzeć się miejscowemu rynkowi opium, bo szło go na wschód dużo więcej, niż to było

zdrowe, co z kolei ściągało K. na głowę problemy. To miało ręce i nogi. Jednak po co by się do tego wszystkiego miał mieszać jakiś czarodziej? No chyba że sam sobie lubił zapalić...

Informacja Łasiczki była wcale interesująca, jednak moja miała większą wagę. Wiedziałem, że go przebiję.

- Olven i jego najlepsi ludzie są martwi - oznajmiłem, sięgając po dzban z piwem.

Mimo wszystko lepsze niż woda. Picie czystej wody uważałem za zbyt nie ryzyko dla zdrowia.

Łasiczka zmarkotniał jeszcze bardziej. Wyglądało to tak, jakby ofiara, na którą się nastawiał, nagle okazała się mieć znacznie większe zęby, niż oczekiwał i w mgnieniu oka zmieniła się w łowcę.

- Nic się wam o uszy nie obito? - spytałem.

Łasiczka nie odpowiadał, postanowiłem więc kontynuować:

- Zaczęło się w samym centrum, Olven zginął jako jeden z pierwszych, wraz z nim jego najlepsi ludzie. Dopiero potem przyszła kolej na pozostałych. Jak dla mnie to sprawka Rosena. Zabił szefa, jego goryli i doradców, po czym szedł dalej od pokoju do pokoju tak długo, aż nie pozostał przy życiu nikt w całym domu.

- Jeśli to rzeczywiście robota Rosena, to musi mieć zupełnie niezwykły potencjał i zdolność zabijania - zdobył się wreszcie na uwagę.

Czasami mam wrażenie, że w przeszłości, zanim jego życie wykonało ostry zwrot i Łasiczka zaczął obracać się między takimi typkami jak ja, był profesorem albo kimś w podobnym stylu. Albo w przerwach pomiędzy kantowaniem w kartach i trzepaniem kieszeni nieostrożnych przechodniów po prostu czytał mnóstwo książek. Wszystko było możliwe.

- Rosen ponad wszelką wątpliwość posiada taką zdolność - potwierdziłem.

- Kiedy, podszywając się pod pana Azmunda, poszukiwałem większej ilości opium - zaczął Łasiczka - potrzebowałem poręczenia. Sugerowałem więc i dawałem do zrozumienia, że

działam w imieniu Olvena, choć nigdy tego nie powiedziałem wprost.

- I teraz Olven jest martwy.

- To były tylko takie aluzje... - Łasiczka próbował się wybronić przed narastającym poczuciem winy. - Kto się Olvena bał, zakładał, że poszerzam jego udział w rynku, kto z nim współpracował, w ogóle nie zwracał uwagi na to, co mówiłem.

- Kto inny zwracał - dopowiedziałem.

Po raz drugi, i to w tak krótkim czasie, za działania Łasiczki zapłaciło życiem tak wielu ludzi. Widziałem wyraźnie, że go to trochę jednak wyprowadziło z równowagi. Co innego zatłuc piętnastu chłopów własnoręcznie młotkiem, a co innego rzucić parę niezobowiązujących uwag, a rano zorientować się, że są z tego powodu martwi.

Czekałem bez słowa, aż Łasiczka upora się z tą nową pozycją na jego rachunku. Zajęło mu to pół dzbana.

- Komuś zwyczajnie nie odpowiada, kiedy ktoś handluje opium w cesarstwie, zwłaszcza bliżej centrum. - Zaczął zbierać myśli. To było jasne i wynikało z tego, co się przytrafiło jego karawanie i bandzie Olvena.

- Może nie zgadza się z zasadami wolnego rynku - odpowiedziałem.

Łasiczka pokręcił głową, sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej metalową spinkę, którą znalazłem przy jednym z trupów na pustyni. Towarzyszyła jej gęsto zapisana kartka papieru.

Nie lubię czytać i Łasiczka dobrze o tym wie. Liczby i mapy nie sprawiają mi problemu, ale czytanie... A jednak od czasu, kiedy zacząłem pracować dla K., wiele się zmieniło. Doszło do tego, że potrafiłem odcyfrować literka po literce niektóre teksty w starsosaxpoliskim. Musiałem się nauczyć, kiedy szukaliśmy z Łasiczką jednego magicznego artefaktu i po spotkaniu z pewnym starym, ale nieoczekiwanie nadal aktywnym magicznym zamkiem Łasiczka na jakiś czas praktycznie oślepnął. Nie zmienia to jednak w niczym faktu, że po prostu nie lubię czytać.

Wziętem papier i przebiegłem wzrokiem tekst. Pismo było koślawe, że hej, ale dawało się jakoś odczytać.

- To jest zamówienie - zorientowałem się. - Na dwakroć po sto pięćdziesiąt żelaznych spinek. Połowa ma być jak pieczęć, a druga jak odcisk, tak żeby do siebie pasowały. Mają na nich widnieć inicjały i zaszyfrowany numer - odczytałem. - Oraz imię osoby odpowiedzialnej za kontakt. Jednak nic z tego, o czym tutaj jest napisane, nie widzę. - Wskazałem spinkę.

Łasiczka wyciągnął dłoń i posłusznie oddałem mu jubilerskie cacko. Wyciągnął skądś małą szklaną buteleczkę ze szlifowanym korkiem zabezpieczonym rzemykiem, aby sam nie wyskoczył. Otworzył ją ostrożnie i wylał kilka kropel na powierzchnię spinki. Nie rozległo się żadne syczenie, jednak z powierzchni metalu uniósł się delikatny obłok szybko rozpryskującego się dymu. Łasiczka podsunął mi spinkę pod nos.

- Porucznik Ramirez Kranz, numer osiemdziesiąt siedem, osoba ręcąca i odpowiedzialna baron Edwen Outuvenzi - przeczytałem na głos i spojrzałem na Łasiczkę, oczekując wyjaśnień.

- Baron Outuvenzi należy do cesarskiej, a raczej Varatchiego zaufanej klikki - wyjaśnił.

- No to ja wiem, ale o co chodzi ze spinką?

- Wydaje mi się, że odznaka tajnych jednostek Varatchiego. Zakładam, że chodzi o dowód potwierdzający tożsamość, na wypadek gdyby popadli w jakieś kłopoty z miejscowymi władzami albo gdyby na przykład potrzebowali od nich dodatkowej pomocy - wyjaśnił.

Łasiczka lata całe zbierał każdy najdrobniejszy okrucz informacji po to, by je potem poskładać w jedną całość.

W czasie naszej rozmowy powierzchnia spinki zmatowiała, napis zniknął.

- A zatem zainteresował się nami cesarski wywiad - skonstatowałem.

Tę rundę informacyjnego pokera wygrał Łasiczka. Spoglądaliśmy na siebie, podczas gdy piwo grzało się

bezglósnie. Może się nad czymś zastanawiał, jednak dla mnie sprawa była jasna. W Damarkandzie było trzech dużych handlarzy opium. No, w tej chwili już tylko dwóch. Kim jest jeden z nich - Bandarillo - już wiedziałem. Gość, który po prostu chce wyjść na swoje i który stara się przy tym nie zmącić za bardzo wody. Co do tej pory wychodziło mu całkiem nieźle. Potem był Olven, który właśnie wypadł z gry. Pozostawał jedynie tajemniczy Horowitz, który, jak się właśnie okazało, trzymał łapę na znacznie większej części tego całego interesu, niż nam się początkowo wydawało. Jak więc jest możliwe, że powodziło mu się aż tak dobrze w branży, w której decydujące słowo mają cesarscy agenci?

- Przyjrzymy się Horowitzowi i zobaczymy, co z tego wyniknie - zaproponowałem.

Łasiczka pokręcił głową.

- Nie wiemy jeszcze dokładnie, o co toczy się gra. Cesarz angażuje się w tę całą sprawę nad wyraz intensywnie. Moglibyśmy w co wdepnąć.

Wchodzenie w sam środek awantury było moją specjalnością, jednak na głos nie powiedziałem nic.



Zabijanie handlarzy opium się nie sprawdziło, ale śledczy cesarski, który nie mógł dojść do siebie, zadziałał znakomicie. Ruvark pojawił się natychmiast i z właściwą sobie bezwzględnością zaczął dochodzić, co się z jego interesem dzieje. Kiedy go dostrzegł po raz pierwszy, cieszył się, że widział go tylko z daleka. Gdyby nie to, rzuciłby się na niego natychmiast i w mgnieniu oka skończył martwy, rozszarpany na kawałki przez ochronę. Młodego czarodzieja chroniło przez cały czas przynajmniej dwunastu ludzi. Wszyscy mieli przynajmniej po dwa metry wzrostu i tworzyli trzy grupy. Czterech strzelców z kuszami, czterech w kolczugach z mieczami i tarczami i czterech ciężkozbrojnych, zakutych w pancerze i uzbrojonych w oburęczne miecze. Razem stanowili zasłonę nie do przebycia,

zdolni również błyskawicznie wyeliminować każde najdrobniejsze zagrożenie. Nawet jego nadnaturalne zdolności, za które zapłacił tak wysoką cenę, nie byłyby mu w stanie dać szansy w bezpośrednim starciu.

Po pierwszym napadzie szaleństwa opanował się jednak i ograniczył do śledzenia, które było o tyle łatwiejsze, że w całym mieście miał już opracowane odpowiednie, ukryte trasy. Tak jak przypuszczał, Harbirgera umieszczono w prywatnym skrzydle pałacu, z którego większość zajął Ruvark ze swoimi ludźmi. Kiedy wrócił nad ranem do domu, udał się prosto do najmniejszego pokoju, w którym spał i jadł, po czym siadł na podłodze i złożył razem ręce jak do modlitwy. Uświadomił sobie, że się cały trzęsie, wymuszony spokój opuścił go zupełnie. Pałał żądzą zemsty, pragnął zabić tego sukinsyna, który zniszczył jego rodzinę, z braci i ojca uczynił początkowo bezwolne kukły całkowicie uzależnione od niebezpiecznego narkotyku, potem bezrozumne bestie mordujące pod dyktando niedającego się ogarnąć głodu narkotykowego, a na samym końcu bełkoczących debili, których sam... musiał zabić.

Trzęsy się mu ręce. Trzęsy się, bo dotąd nie wierzył, że jednak zajdzie tak daleko, nie wierzył, że nie umrze od zażywania mikstur Ruvarka, które dały mu zwiększoną siłę, szybkość i wytrzymałość, nie wierzył, że nie utraci tropu i zdoła go odnaleźć. Tymczasem teraz, kiedy zemsta była na wyciągnięcie ręki, zdjęła go trwoga, że w ostatniej chwili coś pójdzie nie tak i cały wysiłek obróci się wniwecz. Musiał dokonać zemsty. Musiał pokazać, że świat to nie miejsce, gdzie tacy jak Ruvark mogli sobie na wszystko pozwolić.

Wstał z łóżka i zaczął przygotowywać jeden z eliksirów Ruvarka. Nie miało już znaczenia, co na dłuższą metę zrobi z jego ciałem. Czy zniszczy wątrobę, serce lub nerki. Potrzebował zdobyć się na ten ostatni, najważniejszy wysiłek, potrzebował pokonać strażników Ruvarka, ludzi wybranych ze względu na ich nieprzeciętne cechy fizyczne, które dodatkowo jeszcze wzmocnione zostały miksturami bezwzględniego czarodzieja.

Przyszedł czas na sen. Wiedział, że jest zbyt wzburzony, by zasnąć, pomógł więc sobie medykamentem. Przebudził się na godzinę przed zachodem słońca. Kolejna porcja trujących koktajli i godzinę później odziany na czarno, z poczernioną twarzą skrytą przed ciekawskimi spojrzzeniami przechodniów pod szerokim rondem kapelusza, wyruszył na miasto. Ominięcie znudzonych straży okazało się dziecinnie łatwe i już drugie z kolei drzewo było tym właściwym. Zapewniało widok na dokładnie te komnaty, w których rozgościł się Ruvark. Po wszystkich trudnościach, jakie musiał wcześniej pokonać, nareszcie uśmiechnęło się do niego szczęście.

Nie czuł zimna. Tak był nabuzowany miksturami, że nie odczuwał prawie nic. Całą swą uwagę skupił na dużych oknach rozświetlonych licznymi lampami olejnymi. Harbirgera nigdzie nie dostrzegł, a jedynie jego opiekunkę, która się o niego troszczyła. Wyglądało na to, że dał mu zbyt dużą dawkę, przez co śledczemu w bardzo krótkim czasie wypaliło mózg. Nie było mu go szkoda. Nie było mu szkoda nikogo, kto choćby w najmniejszym stopniu przyłożył rękę do rozprowadzania tego potwornego świństwa.

Nagle w pokoju pojawił się Ruvark.

Znów całe jego opanowanie przysło niczym bańka mydlana. Przelknął ciężko ślinę, dławiąc w sobie odruch, aby nie zaczął krzyczeć z rozpacz i wściekłości. Konwulsyjnie zacisnął pięści, aż paznokcie przebiły skórę. To właśnie ból pchnął go na tę drogę, ból, który go nie zabił, a zmienił. Ból, który wielokrotnie na tej drodze mu pomógł. Skoncentrował się na Ruvarku, obserwował go, studiował, uczył się. Czarodziej zmienił się od czasu, kiedy go widział po raz ostatni. Przedtem nosił maskę człowieka zgodnego, chętnego do współpracy, udawał współnika przychylnego i miłego. Teraz już na pierwszy rzut oka biła od niego arogancja, widać było, że to nie on dostosowuje się do świata, ale zmienia tak, aby świat dostosował się do niego. Inni ludzie byli dla niego jedynie pionkami, którymi można manipulować wedle potrzeby. Im więcej studiował oblicze

Ruvarka, tym więcej cech dostrzegał. Zmarszczki wyżłobione okrucieństwem i radością z cierpienia innych. Sam był zaskoczony, skąd się w nim wzięła ta pewność, ale przekonanie o tym tkwiło w nim tak silne, że równie dobrze mogło być wryte w kamieniu. Widocznie eliksiry wyostrzyły zdolność postrzegania, zmieniły sposób myślenia, oceniania faktów. Było to jednak bez znaczenia, liczyło się tylko jedno - zemsta.

Rozsiadł się wygodniej w rozgałęzieniu, które dawało mu pewniejszą pozycję. Uświadomił sobie, że w trakcie swoich rozmyślań zmontował składaną kuszę. Dwa stalowe ramiona łuczyska osadzone zostały w łożu wykonanym z żelaznego dębu, a cięciwę skręcono ze splecionych i nasączonych specjalnymi żywicami ludzkich włosów. Naciąg miała tak silny, że wymagała użycia kołowrotka. Zainstalował go i zaczął powoli kręcić korbką. Do zapachu liści, skóry i ziemi dołączyła woń smarowidła. Kuszę wykonano na zamówienie. Jego ojciec był zapalonym myśliwym, który pasją zaraził wszystkie swoje dzieci. Broń wykonano z myślą o jak największej sile rażenia. Belty były lżejsze niż te używane w typowych kuszach i miały większe lotki, dlatego ich tor lotu był bardziej płaski, a przez to precyzyjniejszy. Dzięki temu nie powinien mieć najmniejszych problemów z trafieniem Ruvarka z pięćdziesięciu, sześćdziesięciu metrów w dowolny wybrany punkt.

Czarodziej stanął, pojawiając się znów w oknie. Przy każdym poruszeniu tkanina jego odzienia podkreślała zarys sylwetki. Od ostatniego razu wyraźnie przybrał na wadze. Chwilę szukał czegoś w biurku, po czym w jego dłoni, która wcześniej pozostawała poza polem widzenia, pojawiło się cygaro.

Zrównał muszkę ze szczerbinką. Po przeprowadzonych próbach wiedział, że nawet z dwa razy większego dystansu belt potrafi przestrzelić wyschnięty orzech kokosowy, więc nie obawiał się, że broń może go zawieść. Oparł palec na spuście. Wystarczył minimalny ruch, aby Ruvark padł martwy, aby osiągnął swój cel. Tylko czy to będzie sprawiedliwe? Ofiary Ruvarka umierały długo, a w tych krótkich chwilach, kiedy

powracało do nich ich dawne ja, cierpiały niewysłowione katusze, bo przez ten krótki czas mogły ocenić swe czyny w pełni przytomnie i zrozumieć, jakich potworności dokonały, będąc pod wpływem zabójczego narkotyku.

Opuścił kuszę niżej, wymierzył w brzuch. Ruvarak spokojnie przypalał sobie cygaro.

Jeśli będzie mu sprzyjać szczęście, czarodziej z poszarpanymi trzewiami będzie umierał długie godziny, może nawet dni. To brzmiało o wiele lepiej. Czy tyle wystarczy? Nie, w żadnym przypadku. Opuścił kuszę i chwilę się nad tym zastanawiał. Jeśli zdecyduje się na ten wariant, ryzykuje porażkę. A nawet jeśli mu się powiedzie, sam z całą pewnością nie wyjdzie z tego żywy. Tylko czy dalsze życie w ogóle ma jakiś sens?



Byłem głodny. Nie żebym miał chęć na coś dobrego, po prostu byłem głodny i dlatego właśnie opychałem się przyprawioną cieciorką i kebabem, który najlepsze dni miał już dawno za sobą, a wszystko to zapijałem herbatą tak słodką, że komuś nie tak silnemu jak ja już dawno zakleiłaby pysk. W końcu na nic konkretnego żeśmy się z Łasiczką nie zdecydowali, przynajmniej do czasu, aż się dowiemy czegoś więcej. A dokładniej, aż się coś nowego wydarzy. To „coś nowego” odnosiło się do dalszych dwudziestu pięciu trupów. Może trochę więcej, jeśli Łasiczka się rozkręci.

Skończyłem, co miałem na talerzu, i skinąłem na karczmarza, że chce coś jeszcze.

- Wybaczcie, panie, ale wyście już zjedli dwa dania, a więcej rodzajów nie mamy - oznajmił przeproszającym tonem właściciel, niewielki człowieczek o płaskim nosie i obwisłych policzkach.

- No to jeszcze raz to, co jadłem jako pierwsze.

Po czwartej rundzie jedzenie zaczęło wreszcie wygrywać z moim żołądkiem. Całe szczęście, że faktycznie nie było zbyt dobre. Podniosłem się i ruszyłem na niespieszną przechadzkę,

przeglądając po drodze skrytki, w których zostawialiśmy sobie z Łasiczką wiadomości. Przynajmniej o ile nie zanosilo się, że znów się będziemy widzieć. Zresztą słyszałem też gdzieś, że podobno trochę ruchu po jedzeniu jest dobre dla zdrowia. A ponieważ przygotowywałem się, że będę zabijał, wydawało się dobrym pomysłem, abym najpierw uczynił coś dla własnego zdrowia.

W jednej ze skrytek zostawiłem Łasiczce informację, dokąd idę. Więcej wiedzieć nie potrzebował, tyle wystarczyło, żeby sobie resztę dośpiewać.

Patrząc w przyszłość, na to, co mnie czekało, poczułem, że dzień nieco się rozjaśnia, że dusząca derka, która do tej pory tłamsiła wszystko wokół mnie, niemalże zniknęła. Nie całkowicie, ale wystarczająco na tyle, aby zaczął do mnie docierać gwar otaczającego mnie życia. I to nie tylko jako niezrozumiały szum. Pod kożuchem miałem przygotowany cały swój arsenał. Wszystko pod ręką, wszystko gotowe do akcji. Odczuwałem wręcz coś na kształt radości.

O tym, gdzie ten cały Horowitz miał swoją tajną siedzibę, wiedziałem od Łasiczki. Cały tydzień mu zajęło, aby się tego dowiedzieć, co w jego przypadku musiało oznaczać naprawdę ciężkie zadanie.

Kiedy zapukałem do drzwi, popołudnie przeszło właśnie we wczesny wieczór. Ściany domu promieniowały gorącem, a ścieżka pod stopami była wyczuwalnie ciepła nawet przez podeszwy butów.

Była to willa, która nie różniła się znowu aż tak bardzo od tej, w której rezydował Olven. Na przedmieściach, aczkolwiek w nieco lepszej części miasta i otoczona większą działką. Nawet nie tyle w ogrodzie, co w zaniedbanym parku. Pchnąłem skrzydło bramy, która na pierwszy rzut oka wyglądała na mało używaną. Otworzyło się bez najmniejszego dźwięku.

Jak by nie patrzeć, skrzypiąca brama nie zwiastowała by najlepszego początku nocnej akcji. Chodnik też nie był zbyt dobrze utrzymany, biały żwir przerastały kępki na wpół

uschniętej trawy.

Jeśli nawet ktokolwiek mnie obserwował, nie dali tego po sobie poznać. Niezatrzymywany dotarłem aż do głównego wejścia. Stał przed nim strażnik. Mężczyzna w spodniach z szerokim pasem i w koszuli z wykładanym kołnierzem. W trójkątnej, skórzanej pochwie zwiślał mu u pasa miecz z dzwonowym koszem i rękojeścią obciążoną skórą. Strażnik przyglądał mi się z zainteresowaniem, lecz bez strachu. Zanim podszedłem bliżej, zmienił postawę tak, aby mógł błyskawicznie zareagować. Zrobił to w sposób bardzo elegancki i niemalże niezauważalny.

- Czego tutaj chcesz? - spytał.

Chwilę się nad tym zastanowiłem. Nie byłem dyplomatą, ale przecież nigdy nie jest za późno, żeby nauczyć się czegoś nowego. Postanowiłem, że jednak nie zabiję go tu i teraz.

- Niosę wiadomość od Bandarilla. Chce zaproponować Horowitzowi układ.

To go zaskoczyło.

- Kto ci powiedział, żeby przyjść właśnie tutaj? - zapytał podejrzliwie. Palcami dotykał guzika przy koszuli tuż nad pasem, gotów zaatakować. Drugą rękę trzymał w sposób odrobinę nienaturalny i zrozumiałem, że wcale nie zamierza sięgać po miecz, ale po nóż, który miał ukryty na przedramieniu. W dzisiejszych czasach każdy obwieszał się żelastwem do tego stopnia, że jakby wpadł do wody, toby się natychmiast utopił.

Cholera, kto mi powiedział? Odpowiedź, że pan Łasiczka, pewnie by strażnika nie zadowolili.

- Szef. Nie wypytuję go, skąd ma swoje informacje - wypaliłem.

Ku mojemu zdziwieniu to gościa uspokoiło. Usunął się na bok i gestem zaprosił do środka.

Podążyłem za jego wskazaniem, na wprost oczekując, że w plecy wbije mi nóż. Nie wbił. Jak widać, dyplomacja się opłaca. Czasami. Póki co.

Korytarz zaprowadził mnie do nieurządzonego pokoju, który oryginalnie musiał służyć do witania gości. Teraz, oprócz pięciu kolczych koszul zawieszonych na hakach nie było tutaj nic. Tylko

zapach oleju. Ktoś je tutaj naprawiał i konserwował, a wyglądało też, że do jednej z nich zaczął między ogniwka wplatać skórzane paski, aby nie czyniła tyle hałasu. Nagle do mnie dotarło, dodałem dwa do dwóch. Nawet najlepiej zorganizowana szajka bandytów handlujących opium nie miałyby w swojej głównej siedzibie aż takiego porządku ani specjalnego pomieszczenia, w którym naprawiano by i ulepszano sprzęt. Taki ład i porządek mogli utrzymywać u siebie tylko wojskowi. Wojskowi, którzy za bramami miasta zostawili w piachu paru swoich po napadzie na karawanę Łasiczki.

Przeszliśmy dalej i wkroczyliśmy do wewnętrznego atrium, gdzie siedziało kilku ludzi. Kiedy mnie zobaczyli, zbystrzeli. Mój przewodnik zaprowadził mnie wprost ku nim. Wszyscy byli uzbrojeni. Nie siedzieli tutaj z nudów, zauważyłem, że pochylali się nad mapą. Lubię mapy.

- Posłaniec od Bandarilla. Chce się widzieć z szefem, prze...

Wiedziałem, że z chwilą gdy powie „przeszukajcie go”, pomysł z dyplomacją zwyczajnie nie przejdzie, więc zanim jeszcze dokończył, już byłem w ruchu. Rzuciłem się ku jego kompanom, ale równocześnie obróciłem się i zadałem mu cios mieczem. Zastłonił się nożem, jednak moje ostrze poradziło sobie z nim i cięło w nadgarstek. Przedramieniem, wciąż w obrocie, zgarnąłem stojącego najbliżej gościa i rzuciłem tamtemu pod nogi. Smutny facet z bokobrodami zdołał dobyć broni i zablokować mój cios, jednak ja, wciąż się nie zatrzymując, unikiem zdołałem uciec przed jego atakiem, przy czym drugą ręką złapałem poję mojego kozucha i ją na niego zarzuciłem. Zdołałem nakryć jego broń, co dało mi czas dźgnąć pod pachą i przeszyć kolejnego. Smutny dalej się mocował z kozuchem, co przypieczętowało jego los. Za to wszystko zapłaciłem dziurą w płaszczu, no i plamami krwi, ale gdzie drwa rąbią, tam wióry muszą lecieć.

Dopiero teraz zabrzmiały pierwsze krzyki. Te chłopaki były przyzwyczajone do tego, aby walczyć w ciszy i liczyć wyłącznie na siebie. Kontynuowałem tę swoją woltyżerkę i rzuciłem się na

eleganta w koszuli z lśniącymi guzikami przy mankietach. Zguba mu się stała jego własna zakrzywiona szabla. Mój miecz był dla niej zwyczajnie zbyt masywny i po prostu pękła. Następny z obecnych okazał się z kolei zbyt wolny.

Z całej tej pierwszej partii został mi już tylko jeden przeciwnik, jednak zdawałem sobie sprawę, że lada moment z głębi domu dołączą do niego inni. Serią szybkich wypadów szermierczych zepchnąłem gościa ku najbliższym drzwiom, przez które właśnie wpadali jego kompani. Zrobiło mu się ciasno, więc odbiłem jego miecz w bok i uderzyłem w niego całym ciałem, jak dobrze rozhuśtany taran. Niczym kula bilardowa zwałił z nóg dwóch dalszych, a ja już się postarałem, żeby więcej się nie podnieśli.

Podłoga pokryta była marmurem. Zmoczony krwią jest bardziej śliski niż polerowany wapień, ale nie aż tak bardzo jak granit. Wiem, jak się po czymś takim poruszać.

Otworzyły się drzwi po mojej lewej i stanął w nich rozbudzony gość, który jeszcze nie całkiem doszedł do siebie i który natychmiast skończył z przerąbanym karkiem. To już ich miałem przeciw mnie sześciu, w dwóch rzędach, wszyscy z tarczami. Tyle tylko, że w dalszym ciągu mieli wyłącznie te swoje zakrzywione szabelki, które może i są dobre z siodła, ale przeciwko pieszemu... Widać chcieli mnie po prostu zmieść przewagą liczebną.

W willi już dawno przestała panować cisza. Przestronne korytarze rozbrzmiewały okrzykami, tupotem nóg. Z drugiej strony, nie było ich znowu aż tak wiele. Tych nóg, mam na myśli. Łasiczka trochę tych Horowitzowych wojaków nadszarpnął, ja już zresztą też. Wyglądało na to, że dam radę. Drzwi, przy których właśnie stałem, wyglądały w miarę solidnie, zbite zostały z przyzwoitych dębowych belek. Taran to znowu może nie był, ale też i tych sześciu przede mną nie wyglądało na miejską bramę. Za to zawiasy były liche, wystarczyłoby te drzwi wyrwać i...

- Ustąpcie! - zabrzmiał ostry rozkaz, zanim żeśmy znów ruszyli do tańca.

Posłuchali z widoczną ulgą, ale musiałem im to przyznać, że wcześniej nie cofnęli się ani o krok.

- Ty pewnie będziesz Bakly. - Pomiedzy nimi przecisnął się niewysoki człowiek o urzędniczym wyglądzie. Palce miał poplamione atramentem, jednak u pasa wisały mu miecz i sztylet. Nóż w bucie w tym towarzystwie był absolutną oczywistością.

- Ano, to ja - przytaknałem.

- Mam tutaj kogoś, kto...

Ludzie się jakoś tak strasznie rozgadują. Pomysł z drzwiami pozostał jedynie pomysłem, a tymczasem ja wpadłem prosto między nich. Horowitz przy próbie obrony skaleczył mnie w łokieć, ale w kolejnej chwili przewalcowałem się przez niego, dalszego gościa pchnąłem na ścianę, aż zadudniło, a temu obok odciągnąłem na bok tarczę i uderzeniem rękojeści mojej broni zmiażdżyłem krtań.

Potem straciłem orientację, co się działo, a kiedy ją znowu odzyskałem, znów stałem sam, a dwóch ostatnich ludzi, którzy dali radę utrzymać się na nogach, odciągało właśnie w pośpiechu rannego kompana w głąb korytarza. Horowitza nigdzie nie widziałem, albo udało mu się zwiać, albo zmienił się w jedną z tych poszarpanych, bezkształtnych gór posiekanego mięsa.

Odetchnąłem głęboko, potem jeszcze raz, aż walące serce zwolniło nieco swój rytm, a gorączka bitewna ustąpiła podejrzenie szybko. Znow mogłem myśleć na chłodno. A świat znów nie był nic wart. W miejskich willach najwygodniejsze pomieszczenia zawsze umieszczone są na parterze, gdzie jest najprzyjemniej, najchłodniej. To oznaczało, że sztab główny powinien znajdować się gdzieś niedaleko. Zacząłem od drzwi po prawej i ruszyłem w głąb korytarza. Zanim zdołałem sztab Horowitza odnaleźć, usłyszałem za sobą kroki. Już po samym dźwięku rozpoznałem czyje.

- No tośmy się spotkali. - Uśmiechnąłem się, kiedy zobaczyłem Rosena.

Mieszaniec goryla i człowieka przyglądał mi się bez ruchu, ze ściągniętą twarzą bez żadnej mimiki wyglądał jeszcze mniej ludzko niż normalnie.

- Nie pracowałeś przypadkiem dla Olvena? - zagadnąłem. - Wydawało mi się, że jakiś honor jednak masz.

Honor, to słowo zabrzmiało pusto i mnie samemu.

Nie bał się mnie. Pomimo tego, iż właśnie zabiłem z dziesięciu, piętnastu ludzi, pomimo tego, że przegrał ze mną na rękę, nie bał się mnie, to akurat widziałem po nim wyraźnie.

- Zrobiłbyś lepiej, jakbyś uciekł, posłali po posiłki, zaraz tu będą. - Rozciągnął wargi w szyderczym uśmiechu.

A raczej wyszczerzył zęby, jakby próbował wgrzyźć się w jakiś soczysty kasek.

Pokręciłem głową.

- Dla ciebie i tak będzie...

Powiedzieć „za późno” już nie zdążyłem, bo rzucił się na mnie z nadludzką szybkością. Trudno mieć o to do niego pretensje, w końcu jednak nie był przecież do końca człowiekiem.

Ostrze mojego chałupniczego miecza spotkało się z masywną i szeroką głównią jego broni. Z wyglądu przypominała bułat, jednak była zdecydowanie cięższa. Tylko dzięki temu, że się błyskawicznie cofnąłem i uchyliłem, nie rozplątał mi twarzy na dwoje. W rewanżu próbowałem pchnięcia na tors, lecz brutalnym uderzeniem zdołał je zbić. Liczył głównie na swoją siłę i siłę uderzenia swojego oręża.

Ja też liczyłem na swoją siłę. I na swoją szybkość.

Pośród szaleńczego dzwonięcia stali o stal i sporadycznego kłaskania podeszew na mokrym marmurze przeganiaaliśmy się po całym korytarzu z kąta w kąt.

Krwawiły mi rany na twarzy, bolało ramię i ciężko było oddychać. Dużo ciężiej niż po tej wcześniejszej awanturze. Był szybszy niż ktokolwiek, z kim kiedykolwiek przyszło mi walczyć.

Mój ulubiony trik - skulić się i wystrzelić - zupełnie się nie powiódł. Kumulując siły z każdego skrawka mojego ciała, nie mając możliwości najmniejszego rozbiegu, rzuciłem się w przód,

na spotkanie z nabitą bryłą jego ciała. Powinien był polecieć w tył, skończyć na podłodze wydany na łaskę mojego kolejnego ataku albo w ogóle martwy, z rozbitą czaszką, jak wielu innych przed nim, lecz nic takiego się nie stało. Ustąpił nie dalej niż na pięćdziesiąt centymetrów, usłyszałem tylko, jak mi trzaska w stawach. Obaj spróbowaliśmy równocześnie tej samej sztuczki, wskutek czego obu nam odjechały do tyłu nogi na śliskim marmurze. Padając, obróciłem się, odbiłem i podbiciem lewej stopy próbowałem sięgnąć jego krtani. Nie dotarła jednak do celu, przygwoździł moją nogę do piersi twardą jak stal szczęką. Zanim mi zdążył skrócić nogę, zdołałem go kopnąć prawą piętą, rozłączyliśmy się i odturlaliśmy od siebie.

Wybiłem się na nogi prosto z pozycji leżącej, niczym jakiś tancerz, i nieoczekiwanie zderzyłem się z nim klatą w klatę. Sto pięćdziesiąt kilogramów żywej wagi potrafi niejednym solidnie zatrząść, miałem nadzieję, że i on poczuł swoje. Tylko jakim cudem zdołał tak szybko odzyskać równowagę? Żaden człowiek nie byłby zdolny czegoś podobnego dokonać. No tak, tylko że on nie był człowiekiem, cholera jasna. Puściłem miecz, dzięki czemu udało mi się przeprowadzić prawą rękę pod jego ramieniem i składając wszystkie pięć palców na kształt dzioba, spróbowałem znów trafić w gardło. Nie trafiłem dokładnie tak, jak miałem nadzieję, ale przynajmniej pochwyciłem go w silny uścisk, zanim mnie zdążył sięgnąć tym swoim przerośniętym bułatem.

Przetoczyliśmy się szaleńczo kilka razy od ściany do ściany, aż i on zgubił broń. W pewnym momencie poszczęściło mi się i zdołałem kopnąć go kolanem w podbrzusze, jednak wytrzymał, ustał, a nawet zdołał mi się wyrwać. Przecież to niemożliwe, aby ktokolwiek był aż tak wytrzymały i silny. Czy jednak?

Uśmiechnął się. Z czoła rozciętego najpewniej moją ręką kapała mu na twarz krew, kąciaki ust miał naderwane, co nadało mu jakiś taki wężowy wygląd. Nie ulegało wątpliwości, że ten wąż był w dalszym ciągu w pełni sił i nadal nienasycony.

Nienasycony. Wydawało mi się, że podobnie działo się ze mną,

ale czy jednak na pewno?

Żaden z nas nie miał bronii w ręku i kiedy spróbował sięgnąć po sztylet, przyskoczyłem do niego i uderzyłem trzy razy w spłot słoneczny tak szybko, że musiał dać sobie spokój z żelazem, inaczej nie zdołałby się obronić. Zanim się w pełni opamiętał, zrobiłem przewrótkę i leżąc na ziemi, zdołałem czubkiem buta trafić go w jaja. Niestety, niezbyt mocno, ale wystarczająco, abym miał czas znów stanąć na nogi.

Szumiało mi w głowie. Nawet nie pamiętałem ciosów, które to spowodowały. Nogi się pode mną uginały. Niby nic nowego, tyle że jeszcze nigdy w życiu nie słałem się na nogach po walce z wyłącznie jednym człowiekiem.

Częściowo człowiekiem. Cholera, może go jednak nie doceniłem?

Wszystko jedno. Pochyliłem głowę, aż broda oparła się o pierś, i zasłaniając się na tyle, na ile mogłem, ruszyłem zdeterminowany urwać mu łeb. Miał dłuższe ręce. Miał kurewsko długie ręce i natychmiast zasypał mnie gradem potwornych ciosów. Z tych, co to zdierają skórę i powodują wstrząśnienie mózgu. Przepuściłem najwyżej dwa, trzy, ale i te wystarczyły. W tym samym czasie mnie się udało go sięgnąć tylko raz, a szansę na to, aby go podciąć, z rozmysłem przepuściłem. Nie chciałem z nim znów wylądować na podłodze, tak jak przed chwilą, kiedy o mało nie pożegnałem się z tym padolem.

To też się zemściło i dostałem dwa niskie ciosy w dolną część żeber. Na szczęście wytrzymały. Z ulgą odskoczyłem na krok w tył. Wdech, wydech, wdech, wydech... Roztopiony ołów w żyłach, roztopiony ołów w płucach. Nic to, najważniejsze jest przeżyć. Czy może jednak nie warto?

Ten jego głupi małpi nos był rozpaćkany jak przejrzała gruszka, tyle że cios mierzyłem w zęby. Takie partactwo było zwyczajnie nie na miejscu, nie między nami.

Mógł mnie wziąć na przetrzymanie, ale widocznie miał gdzieś posiłki, dlatego rzucił się na mnie tak po prostu, bez finezji, gotów przyjąć jedno czy dwa pacnięcia, bo wiedział, że i tak za

każde odpłaci mi w dwójnasób. Niekorzystny dla mnie bilans, bo każde jego uderzenie bolało jak cholera. Za szybki i za silny dla człowieka. Za szybki i za silny dla mnie?

Przestałem ustępować i sam skoczyłem do kontrataku. Ręce, kolana, głowa, łokcie - to było jak walenie o ścianę. Moich ciosów w ogóle jakby nie dostrzegał, za to sam przyłożył mi tak, że się nagle ocknąłem o metr od niego, dyszący i z pięściami broczącymi krwią od nielicznych ran. Błahostka. Kręciło mi się trochę w głowie. To też błahostka. Coś mi bulgotało w resztkach nosa. Od bulgotania jeszcze nikt nie umarł, w każdym razie nie od razu. Błahostka.

Znowu wyskoczyłem. Skłon w lewo, jego pięść liźnęła mi skroń, wciąż był za daleko, znów - broda na piersi, nadludzkie uderzenie zdołał odchylić, inaczej połamałby sobie palce o moje czoło. Krył się mizernie, prawie wcale, jednak w dalszym ciągu pozostawał za daleko. Sięgnęła mnie pięść, za nią łokieć, żółte isierki bólu przesłoniły mi pole widzenia, jednak moja ręka za coś trzymała. Pociągnąłem tak na oslep, równocześnie wykonując półobrót na lewej nodze i wyprowadzając kopnięcie prawą. Trafiłem w coś, co wydało zadowolające trzaśnięcie. Jeszcze jedno kopnięcie, powolne, rozwlekłe, a jednak pięta trafiła w coś twardego.

Rosen się zachwiał.

Pokonam go. Zabiję, rozerwę na strzępy. Natychmiast po ataku znów odskoczyłem niczym baletmistrz, którym nigdy nie byłem. Łup, bęc, trach - trzy ciosy z lekkiego półobrotu i trzy trafienia w pierś, które pchnęły go na ścianę. Chciałem przykucnąć do wyskoku, ale straciłem równowagę. Zanim stanąłem prosto na nogach, znów był przede mną.

Następne kółko.

Jego pięści eksplodowały na mojej zastawie i na twarzy, próbowałem się przebić bliżej ciała, ale moje ataki zbywał co do jednego. Nagle rozwarł głupio pięść, pomyślałem, że oto mam szansę, jednak zanim zdążyłem z niej skorzystać, jego szpony pochwyciły mnie w pół kroku i zatrzymały w miejscu.

Zatoczyliśmy młyńca i poczułem nagle, że lecę ku ścianie. Zrozumiałem natychmiast, jak zginęła większość ludzi w willi Olvena. Zabiły ich uderzenia o ściany. W ostatniej chwili zdołałem pochwycić jego ramię, szarpnąć, wybić się i w efekcie uderzyliśmy o ścianę obaj równocześnie. Kości wytrzymały, cegły jednak nie. W obłoku pyłu przelecieliśmy na wskroś.

Miałem kurz w oczach, bolały mnie wszystkie gnaty. Oślepiiony zacząłem macać naokoło, mając nadzieję, że go w ten sposób znajdę. Zamiast tego żelazne imadło schwyciło mój kark. Docisnąłem brodę do piersi i znów ruszyliśmy do tańca z obrotami. Był silniejszy i z każdą chwilą jego ramię zaciskało się coraz ciaśniej wokół mojej szyi, a do tego zwieszał mi się na plecach całą wagą swego ciała, nie pozwalając się rzucić na ziemię. Zaczęło mi ciemnieć przed oczami i dosłownie w ostatniej chwili udało mi się obrócić w jego uścisku, po czym dłońmi złożonymi w miseczki trzasnąłem go z obu stron po uszach. Wrzasnął z bólu, puścił mnie i przeturlał się w tył przez ramię.

Potrzebowałem chwili, żeby złapać oddech, ale nie miałem na co liczyć. Zamiast, jak przystało na kogoś, komu właśnie przebiłem oba bębrenki uszne, leżeć na ziemi i zwijać się z bólu, on po prostu znów zaatakował.

Niezręcznie ustąpiłem przed jego frontalnym atakiem, przywitałem go błyskawicznym obrotem, który miał mi w zamierzeniu pomóc go podciąć i postać na podłogę. Te jego cholerne paluchy zdołały mnie jednak pochwycić, zwinnie uniknął mojego podcięcia i poleciliśmy obaj. Kiedy rąbnęliśmy o ziemię, nie puścił, ale ja akurat nawet na to nie liczyłem. Uderzeniem czoła definitywnie zmiażdżyłem mu nos, palcami wbitem się w oczy. Zanim jednak zdołałem je wylupić, dostałem takiego kopniaka w brzuch, że mało mi nie pękł kręgosłup, po czym poprawił uderzeniem otwartej dłoni, które i tak odebrało mi dech.

Cholera.

Znów staliśmy naprzeciw siebie. Przesunął się ku mojej lewej,

potem błyskawicznie zmniejszył dystans. Tupnął nogą tak głośno, że aż zabrzmiało to jak trzask. Długi, niemożliwie wręcz szybki cios totalnie mnie zaskoczył, zdołałem go odbić tylko ledwo, ledwo, zamiast trafić prosto w skroń, ześliznął się po czaszce. Potem drugi i trzeci, równie silne. Zupełnie jakby ktoś do mnie strzelał kamieniami z małej katapulty. Tak się musiały czuć mury obronne podczas szturmów. Ustępowałem do tyłu, a przynajmniej starałem się ustępować, próbowałem uników. Złamał mi nos, mimo pancerza, jaki stanowiły dziesiątki kilogramów mięśni, zmasakrował brzuch, aż to czułem w kręgosłupie. Ubywało mi sił, które się zwyczajnie rozplywały, ulatywały w powietrze z każdą chwilą. Wreszcie poczułem za plecami ścianę, dalej już nie było się dokąd cofać. Żeby nie wiem jak się starał, a starałem się przecież z całych sił, za każdym razem nieubłagane spychał mnie do defensywy.

Nie widziałem na lewe oko, w całej lewej połowie ciała na dobrą sprawę straciłem czucie. Powoli zaczynało do mnie docierać, że tym razem wygrać nie dam rady, że nie przeżyję. Już teraz czułem się na wpół martwy. Jeśli czegoś natychmiast nie zrobię, to będzie koniec.

Rzuciłem się na niego, nie dbając już o nic. Na jego ciosy nie zwracałem nawet uwagi.

Byłem zbyt poobijany, aby je zauważać. Trafiłem go w pierś, w niższe partie brzucha, trochę mu się podłamało kolano. Uderzyłem raz jeszcze, poczułem pęknięcie żebra. Dam radę. Zamachnął się w bok, przygotowałem się na hak. Ten nadszedł, ale nie z prawej, jak oczekiwałem, a z dołu. Poszybowałem w głąb ciemnej, bezdennej studni bez powrotu. Koniec. Niezbyt satysfakcjonujący, wszak przegrałem, niemniej koniec, tak czy inaczej.



Łasiczka pospieszył do siedziby bandy Horowitza, gdy tylko znalazł wiadomość w skrytce. Do głowy mu nie przyszło, że Bakły aż tak się pospieszy. Zdawał sobie sprawę z tego, że jego

partner ostatnimi czasy ryzykował więcej niż poprzednio, że jego zachowanie w ogóle się zmieniło, ale to go jednak całkowicie zaskoczyło.

Straży nigdzie nie było widać, więc przekroczył bramę krokiem kogoś, kto doskonale wie, dokąd idzie i ma ku temu ważny powód. Na zewnątrz, wzdłuż chodnika nie leżały żadne ciała. Tego się nie spodziewał.

Pierwsze dostrzegł tuż przy drzwiach, co oznaczało, że Bakly rzeczywiście tu jest. Dobiegające z wnętrza odgłosy sugerowały, że w środku nadal się bito.

Łasiczka ruszył w głąb korytarza pozornie nonszalancko, jednak z ukrytym w rękawie sztyletem gotowym do natychmiastowego użycia. Dotarł do wewnętrznego atrium, potem dalej, do znajdującego się za nim wielkiego salonu. Gdzieś rozlegały się dźwięki łamanych mebli, głuche uderzenia i przerywane oddechy. Na miejsce dotarł dokładnie w momencie, w którym Bakly zainkasował potężny cios pod brodę od swego przeciwnika - większego, potężniejszego mężczyzny, w którym Łasiczka rozpoznał z opisu Rosena. Cios nie tylko zatrzymał w miejscu najlepszego gladiatora i wojownika, ale wręcz uniósł go z podłogi i posłał łukiem do tyłu. Mimo wszystko jednak nie zabił.

Jakby był rzeczywiście niezniszczalny, Bakly otrząsnął się, stękając, przetoczył się na brzuch, po czym uniósł na kolana. Potrząsał przy tym głową, jakby w ten sposób chciał pozbyć się efektów wstrząśnienia mózgu. Z twarzy skapywała mu krew, ale nie było jasne, skąd dokładnie. Kilkukrotnie próbował stanąć na nogach, jednak nie udało mu się. Olbrzymi Rosen, który wskutek wysiłku wyglądał jeszcze mniej ludzko niż zazwyczaj, obserwował Baklego z niesmakiem, ale nie ruszył się z miejsca, aby go wykończyć.

Łasiczka oszacował szanse. Zdecydowanie odrzucił możliwość stanięcia do walki z Rosenem. Nawet ukryty sztylet nie dałby mu przewagi. Równocześnie jednak nie zamierzał zostawić Baklego samego. Rosen tymczasem zaczął rozglądać się za dogodną

bronią, aby Baklego definitywnie wykończyć. Kiedy akurat spojrzął w przeciwnym kierunku, Łasiczka wśliznął się do środka. Połamane meble i kawałki wybitej ściany dawały mu wystarczająco dużo osłony, aby mógł się przemieszczać niezauważony. Do tego Rosen sam nie był w najlepszej formie. Na dobrą sprawę wyglądał, jakby się ledwo trzymał na nogach. Baklemu jednak w dalszym ciągu nie udało się na nich stanąć.

Rosen wreszcie znalazł coś, co mu się spodobało. Nógę marmurowego posągu, który w trakcie swojej przepychanki rozbili. Na oko musiała ważyć z dobrych pięćdziesiąt kilogramów. Zamachnął się nią, aż zafurczało powietrze, a Łasiczce przy tym przebiegły ciarki po plecach. Jak Rosen w ogóle zdołał unieść coś tak ciężkiego? Powinien stąd natychmiast zniknąć, tłukło mu się po głowie. Był tego absolutnie pewien, a pewność ta wydawała się wypływać z każdego skrawka jego ciała. Mimo to parł jednak dalej, aż wreszcie znalazł się za plecami Rosena, który stał już tylko o krok od Baklego, i znów machnął na próbę nogą posągu. Bakly w dalszym ciągu nie zdołał się podnieść i wydawało się, że w ogóle swojego przeciwnika nie zauważa.

Łasiczka zorientował się nagle, że ktoś się zbliża. Było ich wielu, aroganckich i ufnych w swoją siłę, wiedzieli, że jakakolwiek ich czeka sytuacja, poradzą sobie bez trudu.

Rosen też już usłyszał, że się zbliżają. Uniósł wzrok w kierunku, z którego nadchodzili, potem znów spojrzął na Baklego, który, ciągle kłęcząc, kołysał się spokojnie na boki. Znów się uśmiechnął, pewien podjętej decyzji o egzekucji. Łasiczka zrozumiał, że nie da rady pomóc swojemu kompanowi. Rosen bez pośpiechu machnął ręką dzierżącą marmurową maczugę, na końcu której za moment znajdą się szczątki roztrzaskanej głowy. W ostatniej chwili, być może dzięki jakiemuś instynktowi, który wyrobił w sobie przez całe życie, walcząc, Bakly jakby wyczuł zamiar przeciwnika, szarpnął się i maczuga przecięła tylko powietrze. Bakly spróbował nawet złapać trzymającą ją rękę, jednak stracił równowagę i padł na ziemię. Rosen natychmiast

unieruchomił go kawałkiem posągu.

- Nie zabijać go! - dobiegł z atrium rozkaz.

O krok za plecami dwóch zbrojnych i otoczony dalszym orszakiem stał niewysoki człowiek o pogardliwym wyrazie twarzy. To on tutaj rządził. Łasiczka płynnie wcisnął się pomiędzy korpus rozbitej rzeźby i częściowo połamaną otomanę.

- Przybywam z pomocą - powiedział chudzielec.

Nie, nie chudzielec, Łasiczka natychmiast się poprawił. Mężczyzna był w rzeczywistości większy od niego, jednak otaczający go zbrojni zakłamywali proporcje. Wszyscy byli tak rośli, że nawet Rosen nie wydawał się już tak okazały.

- Nie potrzebuję pomocy - warknął Rosen, ale nawet jeśli planował, aby w jego głosie zabrzmiała groźba, nie wyszło mu to tak, jak sobie zamierzył. Jego głos tchnął raczej zmęczeniem.

- Horowitz najął was do ochrony - kontynuował dowódca przybyłych.

Czarodziej cesarski Robert Ruvark, który niedawno zjechał do miasta, zaświtało wreszcie w głowie Łasiczce. Na trop naprowadziła go arogancja, którą tamten aż promieniował. Zaczął też wychwytywać i inne wskazówki - sposób, w jaki uzbrojona była jego świta, akcent, z jakim cicho między sobą wymieniali uwagi.

- Owszem - potwierdził Rosen. - Ktoś mu zabił zbyt wielu ludzi, więc zdecydował się na kogoś dobrego.

- Porozmawiajmy. Mam dla was lepszą propozycję niż Horowitz.

Łasiczce w czarodzieju coś się nie podobało. Miał sytuację pod kontrolą, zachowywał się poważnie, ale wyglądał, jakby przed chwilą strzelił sobie na pusty żołądek dwa kielonki i właśnie zaczął odczuwać skutki.

- Czemu nie? Pogadać zawsze można - zgodził się Rosen.

Spojrzał na leżącego na ziemi Baklego, jakby się zastanawiał, czy aby na pewno dobrze robi, pozostawiając go przy życiu.

Ruvark w towarzystwie trzech swoich strażników wszedł do

pomieszczenia, które natychmiast jakby się skurczyło. Łasiczka ostrożnie przesunął nieco stojące przed nim krzesło, aby go lepiej zasłaniało, kurzem z rozbitej ściany przyprószył włosy i ubranie. Wszystko powolnymi, nieprzyciągającymi uwagi ruchami.

- Na początek naszych negocjacji handlowych, na znak dobrej woli, daj mi go. - Ruvark wskazał leżącego na ziemi Baklego. - Daj mi go.

Rosen się szybko namyślił, przeciwnika przed nim z pogardą kopnął, po czym cofnął się o krok, odstępując od niego.

- Czemu nie? Pokonałem go, przestał mnie interesować.

Czarodziej zachichotał z rozbawieniem i Łasiczka nadstawił uszu. To już nie wyglądało na dwa kielonki, ale trzy. A ten ostatni musiał wychylić przed samym wejściem do willi.

- Zwiążcie go - rozkazał Ruvark nieomal z rozbawieniem.

Jeden z mężczyzn, którzy weszli do sali z czarodziejem, pochylił się nad Bakłym. Ktoś z tyłu rzucił mu powróż.

Są bardzo pewni siebie, ocenił Łasiczka. Ruvarka chroniło ich teraz tylko dwóch. W najciemniejszym kącie sali, za wielką kanapą, która w boju nie ucierpiała żadnych zniszczeń, dostrzegł poruszenie, jednak kiedy tam popatrzył, miejsce wydawało się puste. Czyżby wzrok mu płatał figle? Dziwne. Zresztą wzrok może go i oszukiwał, ale w sytuacjach jak ta wolał i tak zdać się na inne zmysły.

Mężczyzna, który przygotowywał pęta do związania Baklego, wrzasnął nagle, kiedy pięść wielkiego wojownika bez ostrzeżenia wystrzeliła w górę i trafiła go prosto w twarz. Potężny strażnik zatoczył się, jakby nie był pewien, czy sam zdoła unieść własną wagę, co dało Baklemu czas uderzyć powtórnie. Tym razem palcami. Nie trafił dokładnie tak, jak chciał, ale i tak zdołał tamtemu mocno poharatać oczy. Szansy na trzecią próbę pozbawili go już pozostali dwaj, którzy skoczyli na niego i zwyczajnie przywalili własnymi ciałami. Łasiczka oszacował szanse. Tego czarodziejskiego bydlaka zdołałby teraz zabić, to było do zrobienia, ale nie wyszedłby z tego żywy. A on ponad

wszelką wątpliwość nie był samobójcą jak Bakly. Poza tym, gdyby umarł tu i teraz, Baklemu też już by nie mógł w żaden sposób pomóc.

Został więc w swojej wątpliwej kryjówce i tylko serce biło mu trochę szybciej niż przed chwilą. Nie należało się niepotrzebnie wzburzać, trzeba zachować spokój, instruował sam siebie. Ukrywając się tak blisko nieprzyjaciół, należy być spokojnym, myśleć trzeźwo i poruszać się powoli. Tę lekcję przyswoił już dawno, jeszcze jako mały gówniarz. Zanim opadła wzbudzona atakiem Baklego wrzawa, był już znów opanowany, cichy i niewidzialny. Aczkolwiek ponownie miał to dziwne odczucie, że spoza mebli w rogu sali ktoś całą tę scenę obserwuje. Szczur albo mysz, ocenił. Kiedy miał wszystkie zmysły wytężone do tego stopnia co teraz, zdarzało mu się dostrzegać obecność nawet tak małych zwierząt, a co dopiero ludzi.

- Wybił mu przednie zęby, rozbił nos i wydrapał oko - zdawał ktoś z tyłu raport Ruvarkowi, nie kryjąc w głosie wściekłości i niedowierzania.

Czarodziej ze złością otaksował spojrzeniem teraz już ciasno związanego jeńca.

- Wiesz, ile mnie kosztuje każdy taki człowiek? Ile pracy, cierpliwości i pieniędzy? Roznieśliby cię zębami na strzępy, gdyby nie twoje brudne sztuczki, gdyby nie to, żeś udawał na wpół martwego! - wydierał się.

Rosen uśmiechnął się rozbawiony. Łasiczka zrozumiał, że on się czegoś podobnego spodziewał. Może nawet wręcz specjalnie Baklego definitywnie nie wykończył, choć miał przecież taką możliwość. Nie jest taki głupi, jakiego udaje, zanotował sobie w myślach Łasiczka.

Nagle, zupełnie bez przyczyny, Ruvark wybuchnął śmiechem. Członkowie jego obstawy popatrzyli po sobie nerwowo, ale nikt się nie odezwał ani nie zareagował w żaden inny sposób. Po chwili czarodziej uspokoił się i dla odmiany popadł w ponure zamyslenie. Wyglądał teraz, jakby ostatnich kilka godzin spędził na samotnej medytacji i głębokich rozmyślaniach nad

problemami świata, a nie jakby dopiero co wszedł do domu, w którym miała miejsce potworna masakra. Zbrojni znów popatrzyli po sobie, ale nadal stali tylko i czekali na dalszy rozwój wypadków. Należący do orszaku cywile na wszelki wypadek trzymali się możliwie jak najdalej i nie kwapili się, aby wejść do sali, z wyjątkiem jednego młodego chłopaka, który z ciekawością zaglądał do środka.

- Zabić go. - Ruvark otrząsnął się wreszcie z zamyślenia. Mężczyzna stojący niedaleko Baklego spojrział na swojego pana, po czym wyciągnął z pochwy sztylet.

Łasiczka wstrzymał oddech. Nadszedł koniec. Nie było sensu ujawniać się, nic by w ten sposób nie osiągnął. Doskonale o tym wiedział, ale i tak czuł się parszywie. Tak bardzo nie chciał czegoś podobnego już więcej przeżywać, a tymczasem znów musiał przez to przechodzić.

- Poderżnij mu gardło, posłuchajmy, jak bulgocze! - Ruvark znów zaczął chichotać z cicha.

Mężczyzna pochylił się nad Bakłym i Łasiczka dostrzegł, jak jest niesamowicie wielki i fantastycznie umięśniony. Przedramiona miał grubsze niż Łasiczka ramiona. Co tam ramiona, uda nawet. Kto wie czy nie były grubsze niż ręce jego przyjaciela, skazanego teraz na śmierć. No właśnie, przyjaciela. Nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiał, ale jednak w ciągu tych wszystkich lat, sporadycznych spotkań i wspólnych misji stali się przyjaciółmi. Spróbował przyjrzeć się Baklemu po raz ostatni. Jego ręce, nawet teraz, kiedy był związany, wyglądały posągowo, niczym wyciosane z granitu. Zaciśnął zęby i spojrział Baklemu prosto w twarz. Chciał ją widzieć, chciał go zapamiętać żywego. Aby - aby go zachować w pamięci. Aby... aby go pomścić.

Oczy Baklego błyszczały we wpadającym z zewnątrz blasku. Nie było w nich strachu, nie było rezygnacji. Jedyne obojętność. Łasiczka w pełni go rozumiał. Związany, otoczony przez nieprzyjaciół, nie mógł nic zrobić, jedyne, co mu pozostało, to po prostu przyjąć koniec taki, jaki nadchodził.

Stał dotknęła szyi, na której zaczęły się już malować sińce po

duszeniu w trakcie niedawnej walki. Rosen przyglądał się temu bez wyrazu.

- Nie! - zakrzyknął ciekawski młodzieniec, który tymczasem wszedł do sali. - Jestem czarodziejem, Wielkim Mistrzem na usługach Jego Ekscelencji arcyksięcia Varatchiego, i zakazuję wam zabicia tego człowieka!

To ogłoszenie brzmiało na tyle nieprawdopodobnie, że aż zupełnie fantastycznie i przyciągnęło natychmiast uwagę wszystkich obecnych. Stał dotykała szyi Baklego, ale bez ruchu. Łasiczka wstrzymał oddech i tylko patrzył się na chudzielca pozornie nieobecny wzrokiem. W tym samym czasie szperał w pamięci w poszukiwaniu wszystkich faktów dotyczących najmocniejszego z cesarskich czarodziejów - Janicka. Książę Koniasz, dla którego pracował, znał najsilniejszego z cesarskich czarodziejów osobiście i Łasiczka spędził z Koniaszem wiele godzin, rozmawiając o psychice czarodzieja, o tym, jaki był wcześniej, zanim obudził się w nim talent, jak bardzo wpłynęła na niego zdolność opanowania mocy. Również o tym, w czym przypomina pozostałych czarodziejów, a co go zdecydowanie odróżnia. Wystarczyła chwila i dostrzegł wszystkie znajome, charakterystyczne detale.

Janick pochodził z biedoty, przez co stał się tylko jeszcze bardziej niebezpieczny. Było czystą ironią losu, że to właśnie książę przyczynił się, iż u zwyczajnego sługi, o którym czarodzieje, wśród których się wtedy obracał, twierdzili, iż nie ma za grosz magicznego talentu, zdolność władania magią rozwinęła się do niespotykanych rozmiarów. Chyba tylko Zuzanna, córka Baklego, była lepszą czarodziejką. Tyle tylko, że ona nie miała dostępu do tylu starodawnych tekstów i informacji oraz nie mogła sobie pozwolić na używanie artefaktów zwiększających magiczną moc. Cesarz dysponował na te cele niemalże nieograniczonymi środkami.

- Zabijcie go i tę pokrakę również - zakrzyknął Ruvark.

Mężczyzna, który miał wykonać wyrok, popatrzył na szefa, potem na Janicka, wreszcie wruszył ramionami i znów pochylił

się nad Bakłym. Janick wykonał drobny ruch ręką i Łasiczka dostrzegł, jak przez salę przeleciała mała kulka czy może kamyk, trafiając wielkiego mężczyznę w ramię. Rozległo się ciche jakby syknięcie i w okamgnieniu żywy mężczyzna zmienił się w z mumifikowanego trupa, który z głuchym grzechotem zwałił się na ziemię i rozpadł na kawałki.

- Tyle powinno wystarczyć - powiedział Janick surowo.

Ruvark zaczął się nagle śmiać i uderzać otwartą dłonią o udo, jak małe dziecko, które właśnie zobaczyło coś, co wzbudziło jego wesołość. Janick obserwował go z niesmaczonym i czekał.

- Tak, tak, tak, ślicznie, bardzo ładnie! - krzyczał czarodziej, na wpół obłąkany.

- Nie masz przypadkiem na coś ochoty? - zapytał Janick Ruvarka z zaintrygowaną miną. - Nie trzeba ci czego?

Łasiczka znów wstrzymał oddech. To oznaczało, że Janick nie wiedział jeszcze, co spowodowało dziwne zachowanie Ruvarka, ale starał się właśnie do tego dojść. Łasiczka zorientował się, że ciekawość sprawiła, iż wychylił się nieznacznie ze swojego ukrycia. Ostrożnie powrócił na swoje miejsce. Spoza kanapy coś go obserwowało i nie był to szczur. Coś znacznie, znacznie większego.

- Chcę herbaty, już dawno nie piłem herbaty! - zaczął krzyzczeć Ruvark.

Tym razem jego ludzie zareagowali błyskawicznie. Musieli być do tego typu rozkazów przyzwyczajeni. Bezwłocznie wyczarowali skądś drewno na ogień i kociołek.

Janick w niczym im nie przeszkadzał, stał tylko i wszystko z uwagą obserwował.

Ruvark zapomniał o Bakłym i całym otaczającym go świecie i z rosnącą niecierpliwością przyglądał się, jak jego ludzie przygotowują mu napój, i kiedy ten był gotów, zaczął go siorbać natychmiast, jeszcze wrzący.

Wystarczyła jedna trzecia filiżanki i jego wzrok stał się nieobecny.

- A więc to tak... - mruknął do siebie Janick. - To wy

dowodzicie strażą? - zwrócił się do jednego ze zbrojnych stojącego o krok od Ruvarka.

Ten posłusznie skinął głową.

- Od tej chwili wykonujecie jedynie moje rozkazy, czy to jasne?

To zdanie nie zostało wypowiedziane głosem podniesionym czy z jakąś inną intonacją, a jednak skrywało się w nim coś więcej. Hipnoza? - zastanawiał się Łasiczka. Podobno Janick był w niej bardziej niż biegły.

- Nikt nie pisnie ani słowa o tym, co tutaj widział.

Łasiczka przełknął ślinę, próbując oprzeć się sugestii.

- Wykonujecie tylko moje rozkazy.

Bzdura. Łasiczka zawsze słuchał tylko tego, kogo sam chciał słuchać.

Słowa czarodzieja straciły zniewalającą moc. Najważniejsze było oprzeć się pierwszemu wrażeniu.

Ruvark dopił swoją herbatę i teraz wylizywał filiżankę niczym pies. W dalszym ciągu nie zwracał uwagi na nic, co się wokół niego działo.

- Ruvark zostaje, a wy go będziecie w dalszym ciągu chronić. Nie możemy pozwolić, aby ludzie dowiedzieli się, iż cesarski czarodziej zwariował. O ile zwariował. - Janick znów popatrzył podejrzliwie na Ruvarka, który zapomniał już o filiżance i teraz stał bez ruchu, spoglądając tępo w przestrzeń.

- Wszystko ma funkcjonować, jak do tej pory, przynajmniej dopóki... dopóki nie zbadam natury tutejszych wydarzeń, które naruszyły interesy cesarstwa. Tajne służby muszą pracować dalej bez zmian, nawet jeśli straciliście właśnie przywódcę. Ja go zastąpię.

- Chcę herbaty! Ja chcę herbaty! - wrzasnął nagle Ruvark i rzucił się na strażnika.

Mężczyzna z kamienną twarzą pochwycił rękę z nożem i ją unieruchomił. Czarodziej zakwilił z bólu. Był gotów zabić strażnika, pomyślał zaskoczony Łasiczka.

Poczucie, iż w cieniu za kanapą ktoś się kryje, nasiliło się. Głównie dzięki temu, że ukryty zareagował na to, co się w sali

działo. Zupełnie jakby kogoś bieg dotychczasowych wypadków bardzo ucieszył i teraz nie mógł się aż powstrzymać przed okazaniem radości. Ponieważ Łasiczka wiedział już teraz, czego wypatrywać, udało mu się dostrzec ukrytą w cieniu niewyraźną sylwetkę.

- Wyciągnąć go stamtąd! - krzyknął nagle Janick.

On również potrafił postrzegać więcej niż tylko wzrokiem i musiał być przy tym naprawdę wyczulony.

Dwumetrowy drągał podszedł do kanapy i jednym ruchem odrzucił ją na bok. W ostatniej chwili zdołał się też częściowo obronić przed błyskawicznym atakiem z ciemności. Częściowo, bo gdyby nie zbroja, leżałby teraz na ziemi z ostrzem w piersi. Łasiczka obserwował krótki pojedynek, a równocześnie ze wszystkich sił starał się zachować spokój. To była jego jedyna szansa na uniknięcie wykrzyca, Janick, jak się okazało, był naprawdę bardzo niebezpieczny.

Reagując z nadludzką szybkością, strażnik zdołał pochwycić i drugą rękę, w niej też połyskiwała stal. Potem musiał się cofnąć, aby uniknąć kopnięcia w słabiznę, dosięgło go jednak uderzenie piętą w wierzch stopy. Chrupnęła kość, jednak to nie powstrzymało strażnika, aby mniejszego, szczuplejszego przeciwnika trafić w twarz. Tamten jednak zdołał się częściowo uchylić i wykręciwszy się błyskawicznie, dźgnął wielkiego mężczyznę w bok, gdzie dostrzegł szczelinę między płytami pancerza. Olbrzym na moment przystanął, wydawało się, że padnie tak, jak stoi, jednak zamiast tego rzucił się niczym okuty stalą taran na przeciwnika i przygwoździł go do ściany. I zaraz przybyli mu z pomocą dwaj kolejni zbrojni.

- Nie zabijajcie go, chcę go przesłuchać! - Janick powstrzymał ich, zanim zdążyli pomścić swego kompana. Łasiczka musiał przyznać, że zostali wspaniale wyszkoleni. Pomimo tego, że byli rozsierzdzeni faktem, iż jeden z ich towarzyszy został ciężko ranny, pojmali przeciwnika, nie czyniąc mu krzywdy, związali i położyli na ziemi obok Ruvarka, który okazał się równie fachowo spętany. Łasiczka nawet nie zauważył, kiedy to się

stało.

- Chcę herbaty! Chcę mojej herbaty!

- On nie chce herbaty - Łasiczka usłyszał przyduszony głos pojmanego. Mówił ostrożnie, oddech miał świszczący i Łasiczka zgadywał, że za stawianie oporu tamten musiał zapłacić kilkoma złamanymi żebrami. Jednak mimo iż był ranny, pojmany i wydany na łaskę nieprzyjaciół, jego uwaga zabrzmiała spokojnie, niemalże jak ogłoszenie zwycięstwa.

Łasiczka oddychał powoli, z przepony, ręce trzymał na podłodze, jakby się chciał w nią wczepić palcami, zlać z nią i zniknąć. Janick długo rozglądał się badawczo, jednak potem przeniósł całą swoją uwagę na jeńca.

- A czego chce?

- Tego przekłętego narkotyku opiumowego, który każdego wyniszcza.

- Nie spodziewałem się, Robercie, że będziesz chciał eksperymentować z czymś tak niebezpiecznym. Widać, że posunąłeś się dalej, niż obiecywałeś - Janick w zamyśleniu zwrócił się do drugiego czarodzieja.

- Chcę mojej herbaty! - Ruvarkowi, kiedy krzyczał, kapąca z ust piana.

- Zakneblujcie go - zażądał Janick. - Potem mu pomogę.

- Nie pomożesz - wychrypiął jeniec. - Dałem mu narkotyk, którym otrul moją rodzinę. Ten surowy, przygotowany tak, aby wyniszczył człowieka w okamgnieniu. On to pił od kilku dni!

Janick starał się zachować spokój, ale mimo to widać było, że się zaniepokoił.

- To bardzo niebezpieczny materiał. Dostęp do niego miała tylko wąska grupa ludzi, a wszystkie istniejące zasoby powinny leżeć w tej chwili w klanowym sejfie!

- Stamtąd go miał, a ja narkotyk pozyskałem z rzeczy moich nieżyjących braci i ojca - wyjaśnił pojmany. - Wątpię, żebyście mieli w sejfie autentyczny towar. Nie znacie tego gnoja. - Splunął.

- Bzdura. Jak będę miał czas, pomogę mu - skomentował

pogardliwie sprawę Janick.

Łasiczka widział jednak wyraźnie, że tylko się starał robić dobrą minę do złej gry. Sposób, w jaki jego kolega po fachu poddał się narkotykowi, bardzo wyraźnie go zaszokował.

- Wracam teraz do pałacu opracować jakąś oficjalną historię, zanim się ludzie zorientują i zaczną dopytywać, co się stało z cesarskim czarodziejem. Kiedy wrócę, chcę, żeby tu wszystko było uporządkowane, a ci dwaj - wskazał Baklego i drugiego pojmanego - przygotowani do przesłuchania.



Wisząca mi nad głową, rozżarzona do białości kula zaczęła zwalniać swe diabelskie tempo aż do momentu, kiedy wydawało się, że nie porusza się szybciej niż ślimak po sutym obiedzie. Wraz z tym nadeszło poczucie gorąca i głodu. Głód był ostry, przewiercający żołądek, wbijający się pod czaszkę, wypełniający każdy, najdrobniejszy fragment mojego ciała. Z pojawieniem się głodu powróciły wspomnienia i wszelka nędza mojego parszywego żywota. Tam, gdzie byłem wcześniej, było mi dużo lepiej.

Przestałem wbijać wzrok w rozpalone niebieskie niebo i rozejrzałem się dokoła. Dostrzegłem jedną pokurczoną pinie, która toczyła swą własną walkę z suszą, dwa krzaki, które przy odrobinie szczęścia bywały zielone gdzieś na wiosnę, mnóstwo kamieni, żwir, a do mych uszu dolatywało szemranie strumienia, którego jednak nigdzie nie mogłem dostrzec. Co było powyżej mojej głowy, też nie widziałem. Poruszyłem się, żeby móc popatrzeć, ale coś mnie trzymało za lewą rękę i podzwaniało przy tym metalicznie. Wielki, gruby łańcuch, grubaśny, że proszę siadać. Przymocowany został kilka metrów wyżej, na czubku gładkiej, skalnej ściany do wystającego z niej pnia uschniętej sosny. Pieniek ułamał się tak dawno, że drewno nabrało tego samego koloru, co kora.

Usiadłem i szarpnąłem na próbę. Łańcuch wyglądał solidnie, jakby ten, kto mnie weń zakuł, doskonale wiedział, jak byłem

silny.

To mi przypomniało, że istnieję. Byłem nagi, a na piersi miałem bliznę po przypaleniu, która wyglądała tak, jakby ktoś potraktował mnie w ten sposób naumyślnie. Czułem, że jeśli tylko odpowiednio mocno się postaram, przypomnę sobie, kto mi to zrobił i dlaczego. Do tego bolały mnie dosłownie wszystkie gnaty i cały byłem pokryty siniakami, jakby jakiś kowal testował na mnie młoty. Ruszały mi się przednie zęby, czoło miałem napuchnięte. Wyglądało to na mordobicie. Nad wyraz solidne mordobicie. Przypomniałbym sobie, gdyby to było wystarczająco ważne, ale wydawało mi się, że nie warto aż tak się starać.

Gdyby tylko jeszcze nie męczył mnie ten potworny głód. Ani piasek nie wyglądał na taki, który mógłby go zaspokoić, ani kamienie, ani wyschnięta trawa, ani nawet źródło, do którego łańcuch zezwolił mi się dostać. Napilem się i zacząłem ssać kamyki, ale głód wciąż we mnie tkwił. Cholera.

Coś zachrobotło. Jakiś gryzoń pewnie, skoczek pustynny, łasica albo jakiś inny kunowaty drapieżnik zdolny przeżyć w tych warunkach, polując na drobnych mieszkańców okolic źródła.

Lub pan Łasiczka. To imię przebiło się przez coraz bardziej prześwitującą zasłonę kryjącą nędzną przeszłość, o którą ani nawet dbałem.

Wyszedł zza skały, do której zostałem przykuty, i siadł kawałek dalej od miejsca, w którym się ocknąłem. Na ziemię zrzucił plecak. Ciężki, sporych rozmiarów plecak, z którego zaczął wyciągać jedzenie. Zapachniało mięso, chleb, świeżo upieczone placki ziemniaczane.

- Widzę, żeście się wreszcie przebudzili - powiedział.

- Owszem - zgodziłem się. - Ale was bym się tu nie spodziewał.

- Podjemy? - Wskazał specjalny rozłożony na białym płótnie.

Odczuwałem głód, więc propozycja zabrzmiała rozsądnie.

Uświadomiłem sobie, że wcale nie cieszę się z obecności pana Łasiczki. Przypominał mi o przeszłości, a ta nie była najprzyjemniejsza. Sprawiała ból.

- Ile z tego wszystkiego pamiętacie? - zapytał po kilku

pierwszych kęsach.

Boczek zupełnie nie miał smaku. Tak samo kiełbasy. Tak naprawdę wszystko smakowało dokładnie tak samo.

- Nie za wiele - powiedziałem i spróbowałem placka. Otoczaki, których wcześniej spróbowałem, smakowały identycznie, aczkolwiek specjały od Łasiczki były przynajmniej pożywniejsze.

- Nic dziwnego, przyjęście sporo ciosów na głowę.

- Rosen - wyrwało mi się.

- Owszem - potwierdził. Nie powiedział nic więcej, tylko mi się przyglądał.

Nie podobał mi się fakt, że dostałem łomot. Nie żebym nigdy wcześniej nie przegrał, nie dostał solidnie w skórę, ale za każdym razem przeciwnicy mieli znaczną przewagę. Czy to liczebną, czy przez zaskoczenie, czy jeszcze co innego. Tym razem jednak stoczyłem pojedynek jeden na jednego, który zwyczajnie przegrałem. Zresztą, co tam, głód był ważniejszy. Spróbowałem kolejnego smakołyka z bogatej oferty Łasiczki. Nic szczególnego.

Przegrałem? O nie. Dostałem łomot, który człowiek może w życiu przeżyć tylko raz. I jeśli się potem nie zmieni w warzywo, to już może mówić o wygranej na loterii.

- Więc interesuje was, co się wydarzyło?

Łasiczka zawsze jakoś tak dużo mówił.

Już chciałem przyznać zgodnie z prawdą, że nie, tyle tylko, że on mi się jakoś tak badawczo przyglądał. I do tego jakby trochę z niedowierzaniem. Zresztą w tym łańcuchu też musiał maczać palce, inaczej już dawno spróbowałby mnie oswobodzić. Musiałem postępować rozważnie, bo w dalszym ciągu targał mną głód, a nic z tego, co do tej pory zjadłem, nie umiało go zaspokoić. Musiałem więc dobrze się najeść, musiałem pozbyć się krwawych, niepokojących wspomnień, które tłukły mi się po głowie, czy tego chciałem, czy nie.

- Książę miał rację, kiedy mówił, że dzieje się tutaj coś dziwnego, że stanowczo zbyt wielu ludzi zaczyna palić opium i stanowczo zbyt wielu spośród nich umiera.

Może. Nie zamierzałem się o to kłócić, zamiast tego spróbowałem solonego śledzia. W pierwszej chwili jego ostry smak aż mnie odrzucił, jednak bardzo szybko wszelkie doznania przeminęły i znów wszystko smakowało jak ssanie kamienia. Wyplułem resztkę i patrzyłem, co by tu jeszcze spróbować.

Łasiczka udawał, że niczego nie zauważył, i kontynuował swą opowieść.

- Całą akcją rządzi ten czarodziej, to znaczy Janick, ten, który zjawiał się na samym końcu. Zajęło mi dwa tygodnie, zanim wreszcie rozpracowałem, o co chodzi, tak to wszystko jest zagmatwane.

A zatem dwa tygodnie, z których nie zapamiętałem absolutnie nic. Za to zyskałem w tym czasie całe mnóstwo blizn, ran po przypalaniu i siniaków.

- W trakcie poszukiwań magicznych artefaktów cesarscy czarodzieje natrafili na teksty jakiegoś starożytnego toksykologa, gdzie opisano substancje, które pozwalają na rozwarstwienie ludzkiej psychiki. Takie rozebranie człowieka na czynniki pierwsze - dodał szybko, widząc mój nic nierozumiejący wyraz twarzy.

Nie było to nawet z powodu słowa „psychika”. Doskonale je znałem, bo parę razy na ten temat rozmawiałem z... No właśnie, nie mogłem i nie chciałem sobie przypomnieć, z kim. I to mnie ogromnie denerwowało.

- Z tego, co słyszałem, zorientowałem się, że większość tych receptur jest zwyczajnie nic niewarta bez znajomości wyższej magii. Albo nie działają w ogóle, albo czynią z ludzi bełkoczących debili. Dodatkowo konieczne jest zdobycie absolutnie wszystkich wymaganych składników.

Też już kiedyś o tym słyszałem. W dawnych czasach czarodzieje dużo zajmowali się badaniami nad tym, jak sobie podporządkować innych ludzi. Możliwe, iż dlatego, że nikomu nie można było wierzyć, albo po prostu dlatego, że niezmiernie trudno pokonać innego czarodzieja.

- Zrozumiałem, że Janick specjalizuje się w tych właśnie

sprawach. - Łasiczka nie zwracał się już bezpośrednio do mnie, a bardziej jakby mówił sam do siebie. Siedział naprzeciwko mnie, dzielił nas tylko zaimprovizowany stół, jednak nie miałem pewności, czy ten cholerny łańcuch pozwoliłby mi go osiągnąć.

- No i właśnie Janick odnalazł obiecującą recepturę, w której głównym składnikiem jest sok z niedojrzałych główek makowych, czyli opium. Czteryście lat temu używano go tak samo, jak dziś.

Próbowałem ocenić długość łańcucha.

- Tyle tylko, że jak i we wszystkich innych przypadkach, bez użycia skomplikowanej magii po zażyciu mikstury ludzie zmieniali się nie tyle we wciąż posiadające własną inteligencję, lecz całkowicie posłuszne marionetki, a właśnie w bezrozumnych idiotów. A ponieważ procesu magicznego Janickowi nie udało się zrekonstruować, stracił zainteresowanie całą sprawą.

Pan Łasiczka mówił, ale bacznie mnie przy tym obserwował. Odległość między nami nie mogła wynosić więcej niż metr. Odmierzyłem w myślach metrowy odcinek łańcucha i zacząłem liczyć, ile się w nim mieściło ogniwi.

- Ów Ruvark, czy jak on się tam nazywał, wykombinował sobie inny sposób na użycie tej trucizny. Zaproponował, aby rzucić towar na rynek na zachodnim pobrzeżu, biorąc na cel te państwa Ligi Kupieckiej, które nie szły cesarstwu na rękę, i w ten sposób wpłynąć niszcząco na ich gospodarkę. Janick dał mu wolną rękę. Początkowo jednak mikstura była na coś takiego stanowczo zbyt mocna. Wystarczyło kilka dawek, aby człowiek zmienił się w szaleńca, któremu zależy wyłącznie na tym, aby dostać kolejną dawkę. Taki towar na rynku natychmiast zdobyłby złą reputację i z planu nic by nie wyszło.

Wiedziałem już, że na jeden metr łańcucha składa się siedemnaście, osiemnaście ogniwi. Teraz zacząłem śledzić zakręty stalowego węża, próbując odgadnąć, ile zyskam na długości, kiedy go całkowicie napnę.

- Janick dał Ruvarkowi pozwolenie na eksperymenty z miksturą, aby uczynić ją nie tak silną i aby wyniszczyła organizm

dopiero po kilku miesiącach zażywania, co mu się udało. Jednak na przekór wskazaniom swojego szefa część tej surowej mikstury w stanie czystym zatrzymał dla siebie i kiedy dostał kosza od jednej dziewczyny, wykorzystał tę truciznę, aby zniszczyć całą jej rodzinę. To byli Steinerowie, o ile się nie mylę. Na jego nieszczęście jeden z braci narkotyku nie zażył i po jakimś czasie odszukał go aż tutaj. Za śmierć rodziny odpłacił się czarodziejowi tym samym sposobem, uzależniając Ruvarka od opium. Tego oryginalnego, w czystej postaci.

- Hmm... - zareagowałem. - Zakładam, że ten Ruvark już się z tego wykaraskał, że już nie jest ćpunem. Z pomocą Janicka, ma się rozumieć. To w końcu najlepszy czarodziej cesarstwa.

Łasiczka otaksował mnie wzrokiem, jakby chciał przejrzeć na wskroś, po czym pokręcił głową.

- Nie wykaraskał się. Janick spędził dwa tygodnie, próbując pomóc temu bydlęciu, spędził z nim każdą godzinę i próbował go wyciągnąć z uzależnienia za wszelką cenę. Lekarstwa, inne substancje, czary... Nic nie pomogło. Wczoraj rozkazał go zabić, jako przypadek absolutnie beznadziejny. Z jego oryginalnej osobowości nie pozostało nic, za sprawą surowego opium przepadł bez reszty. Ruvark skłonny był bez mrugnienia oka dla opium mordować. Janick musiał pogodzić się z tym, że stracił wyniki badań Ruvarka, jak i recepturę na mieszankę, którą tamten rozprowadzał. Oraz jeszcze parę innych rzeczy, ale nic na to nie mógł poradzić.

W pozyskiwaniu informacji pan Łasiczka był po prostu niedościgły. Choć nie to mnie akurat w tej chwili interesowało.

Przez jakiś czas milczeliśmy. Ciszę burzyło tylko szemranie niedalekiego strumyka i sporadyczne kamyki turlające się w dół po skalnym zboczu. Widocznie słońce osuszało wilgoć, która trzymała je na miejscu, przez co traciły przyczepność z podłożem i toczyły się w dół. Zupełnie jak ja. Też już dawno straciłem przyczepność z podłożem.

Skończyłem rachuby. Wyglądało na to, że kiedy Łasiczka sięgnie po ser leżący za drugim rzędem wyblakłych, kiedyś

pewnie niebieskich kratak, powinienem zdołać go sięgnąć.

- A jak ja się tutaj dostałem? I co Janick zrobił z ostatnim ze Steinerów? - spytałem, choć tak naprawdę wcale nie byłem ciekaw. Gdybym jednak nie zapytał, to mogłoby wzbudzić podejrzenia Łasiczki, a tego przecież potrzebowałem w tej chwili najmniej.

- Młodego Steinera przesłuchał na początku. Nawet się nie musiał wysilać, chłopak był tak bardzo zadowolony, że się zdołał zemścić na Ruvarku, że sam się wszystkim chwalił. Kiedy powiedział wszystko, co wiedział, Janick kazał go rzucić do loszku i zamknąć. Już jest martwy. Z wychłodzenia albo pragnienia, innej możliwości nie ma.

To jednak zależy, nie wiadomo, jakie piwnice miała pod sobą willa Horowitza. W wilgotnych dawało się przeżyć nawet tygodniami. Łasiczka musiał mieć ciekawe doświadczenia. Napił się wody. Rękę z kielichem oparł na drugim rzędzie kratki, ale nie byłem pewien, czy tam bym go sięgnął. Nie mogłem ryzykować, miałem tylko jedną szansę.

- A co ze mną? Czemu jestem tutaj, a nie gdzieś w piwnicy?

- Janick oczywiście chciał was porządnie przepytac. Kim jesteście, dla kogo pracujecie i jakie było wasze zadanie.

To były dość oczywiste pytania.

- Tyle tylko, że pierwszy gość, który was zaczął wypytywać z rozpalonym żelazem w ręku, popełnił błąd: poluzował pęta, żeby móc się dostać do bardziej bolesnych miejsc. Urwaliście mu dolną szczękę.

Tego też nie pamiętałem, jednak kiedy się skupiłem, zobaczyłem przed oczami zataczającą się sylwetkę z broczącą krwią twarzą, która wydostała się poza mój krąg widzenia. To nawet nie było takie złe wspomnienie.

- A potem?

Nikt nie zniesie profesjonalnych tortur. Wiedziałem o tym dobrze, przeciwczyłem to na własnej skórze. Z drugiej jednak strony, nie czułem się aż tak źle, jak bym powinien, gdyby ktoś torturował mnie naprawdę rzetelnie.

- Drugi się za was zabrał z pomocą noża do skórowania, ale zerwaliście pęta i pomimo iż poniżej pasa dalej byliście przywiązani do stołu, zabiliście go. Kolejnych dwóch, którzy przybiegli mu na pomoc, ciężko raniliście.

To też brzmiało całkiem przyjemnie. Prawie jak te co jaśniejsze momenty mojego życia.

- Musieli użyć sparciałych powrozów - skonstatowałem.

Kiedy się oszczędza za bardzo, takie rzeczy zdarzają się częściej, niż można by przypuszczać. W podziemnych celach zazwyczaj panuje wilgoć, a wielcy panowie mają tendencję do tego, aby oszczędzać w niewłaściwych miejscach. Była tylko została kasa na dziwki i picie.

Łasiczka sięgnął po kawałek sera, skrzętego się kropelkami wilgoci, które wciąż jeszcze nie zdążyły obeschnąć. Przekroczył przy tym decydującą granicę drugiej linii kratki na obrusie. Miał na dłoniach rękawiczki, których nigdy wcześniej u niego nie zauważyłem. Teraz miałem już pewność, że go dosięgnę, o ile tylko ciężar łańcucha za bardzo mnie nie spowolni.

- I co potem? - spytałem.

Znów, nie dlatego że mnie to interesowało, ale głównie dlatego, że Łasiczka w dalszym ciągu przewiercał mnie tym swoim nieprzyjemnie przenikliwym wzrokiem. Gdybym go nie zapytał, z pewnością byłoby to dziwne, co mogłoby z kolei wzbudzić jego podejrzenia. A to ostatnia rzecz, która mi teraz była potrzebna.

- Janick się wściekł. Zabiliście mu jego ulubionego kata i solidnie sponiewieraliście jednego z osiłków Ruvarka, do których szef czarodziejów zdążył się przywiązać. Z tego powodu przykazał, żeby was przez trzy dni karmili czystym, surowym opium.

Skuliłem się, a po chwili zacząłem trząść. To było silniejsze ode mnie, nie umiałem przestać. Zupełnie jakby mi się nagle zrobiło zimno.

- Ruvarka to zabiło - skonstatowałem.

- Owszem.

- Ale ja jestem o wiele silniejszy.

- Owszem.

Łasiczka przysunął sobie kawałek suszonego mięsa, po raz kolejny przekraczając magiczną granicę. Byłem do tego stopnia wyprowadzony z równowagi, że zostawiłem go w spokoju.

- Uratowaliście mnie w ostatniej chwili, zanim zdążyłem się od tego świństwa uzależnić - spróbowałem.

- Nie. - Pokręcił głową. - Wystarczy jedna, dwie dawki. I muszę szczerze wyznać, że nie udało mi się was uratować. Te osiłki Ruvarka... Oni są naprawdę dobrzy. Mają niesamowity czas reakcji, są fantastycznie wytrenowani i do tego widzą i słyszą znacznie lepiej niż normalny człowiek. Jednego wieczora do willi włamał się złodziej. Dobry był, prawie go nie zauważyłem, a oni? Natychmiast. Pochwycili błyskawicznie w momencie, kiedy już prawie, prawie wymknął się z ogrodu. Za nogę. Ten, który go złapał, szarpnął nim tak gwałtownie, że biedak przeleciał w powietrzu pięć, sześć metrów. Ze zwichniętą kostką, kolanem i stawem biodrowym.

- No to skoro wyście mnie nie uratowali, w takim razie jak się tu dostałem? I w jaki sposób przezwyciężyłem uzależnienie od tego narkotyku?

Łasiczka pokiwał głową, jakby spodziewał się podobnego pytania.

- Po trzech dniach kuracji narkotykowej Janick znów was przesłuchał.

- Nic ze mnie nie wy dobył i dlatego się pozbył - odpowiedziałem, choć doskonale wiedziałem, że to bzdura. Prawda była taka, że się bałem. Sam czarodziej, który ten narkotyk wynalazł, zmarł wskutek jego użycia.

Łasiczka pokręcił głową.

- Zaczął was najpierw testować. Na początku zadawał pytania, na które sam znał odpowiedzi. Początkowo go ignorowaliście, ale przyszedł moment, kiedy zaczęliście potrzebować kolejnej działki. Obiecał, że wam ją da, więc zaczęliście śpiewać.

- Na te mało znaczące pytania? - chciałem się upewnić.

- Owszem - przytaknął. - Jednak potem zaczął pytać o istotniejsze sprawy. Powiedzieliście mu wszyściuteńko, co tylko wiedzieliście. Zależało wam na tej sprawie.

- Gdzieś się to musiało jednak skończyć. W którymś momencie musiałem się mu postawić i zwalczyć uzależnienie, w przeciwnym razie bym się tu nie znalazł, nie?

W trakcie opowieści Łasiczki zasłony przesłaniające moje wspomnienia zaczęły się co nieco rozchyłać, jednak to, co się spoza nich wyłaniało, nic a nic mi się nie podobało. Równocześnie, mimo tego ile w tym czasie zjadłem, zacząłem znów odczuwać silny głód. Potworne łaknienie, zwierzęce wręcz, które owładnęło każdym kawałkiem mojego ciała, domagając się, aby zostało zaspokojone.

- Owszem, skończyło się. W momencie, kiedy Janick zapytał, dla kogo pracujecie.

- A ja odmówiłem odpowiedzi. - Odetchnąłem z ulgą. - Nic mu nie wyjawiałem.

- Przeciwnie. Powiedzieliście, że pracujecie dla księcia oraz wiele innych rzeczy, o których nawet ja sam nie miałem pojęcia.

Przełknąłem z trudem ślinę. Zaskakująco uparty bąbel powietrza utknął mi w gardle.

- Z tego, co powiedzieliście, wynikało, że księżę wielce was szanuje i że wręcz uważa was za jednego ze swych najbliższych doradców.

Bzdura.

- Na pewno tak nie powiedziałem! - zachnąłem się.

- Wprost nie, ale tak to wynikało z waszych słów.

- No więc czemu nie jestem martwy? To wtedy pomogliście mi zniknąć?

- Nie. Kiedy się zorientował, że znacie się z księciem osobiście i że księżę ma was za doradcę, a może i nawet przyjaciela, spanikował.

Janick? Nie rozumiałem. Nie miałem pojęcia, o czym mówi.

- On się boi Kóniasza, śmiertelnie się go boi - uzupełnił Łasiczka, znów mówiąc bardziej do siebie niż do mnie, po czym

na chwilę zamilkł. - Rozkazał, aby dokładnie przeszukano wszystkie rupiecie po Ruvarku - kontynuował. - A zwłaszcza wszystkie papiery, listy, dokumenty... Przypuszczam, że zależało mu na odnalezieniu wskazówek dotyczących przygotowania tej specjalnej mieszanki opiumowej. Oprócz tego mieli zebrać wszelkie opium, jakie tylko znajdą w mieście, i posłać je Janickowi do testów. Potem się zwinął.

Przysłuchiwałem się temu wszystkiemu usilnie, myśląc, co z tego wynikało dla mnie. Wygadałem się na temat spraw, które uważałem za najbardziej osobiste, a to było niepokojące. Może rzeczywiście uzależniłem się od tego surowego opium? Czy jednak nie? Na pewno nie...

- Przed odjazdem zaordynował jednak, że mają się was pozbyć, ale w taki sposób, aby śmierć wyglądała naturalnie, bez śladów przemocy. Bał się, że księżę będzie się chciał zemścić.

K. nigdy się nie mścił. Uznawał to za głupotę. Musiałem jednak przyznać, że gdyby kiedykolwiek zmienił na ten temat zdanie, jego cel zrobiłby najlepiej, po prostu załatwiając to własnoręcznie i możliwie jak najszybciej.

Łasiczka sięgnął po kolejny kawałek sera w moim zasięgu.

- Postanowili, że was wywiozą w step i pogrzebią. Wybrali puste miejsce dwa dni drogi za miastem. Dopiero wtedy mogłem wkroczyć do akcji. Miałem szczęście, że chłopcom Ruvarka nie chciało się tłuc taki kawał i zlecili wykonanie zadania agentom Horowitza, inaczej nie miałbym szans.

„Chłopcy” Ruvarka musieli na Łasiczce wyrzucić naprawdę solidne wrażenie. Jeszcze nigdy nie słyszałem, aby o kimkolwiek wyrażał się z takim respektem.

- I tak żeśmy się obaj tutaj znaleźli. Wydaje się, że w odróżnieniu od Ruvarka rzeczywiście żeście się z tego wydostali. On był skłonny uczynić wszystko, aby tylko dostać narkotyk, a na koniec już jedynie bełkotał.

Wreszcie Łasiczka znów sięgnął dłonią w rękawicze po jedzenie. Zanim jeszcze zachrząścił łańcuch, już go trzymałem w żelaznym uścisku, na przedramieniu wystąpiły mi z wysiłku żyły.

Za żadną cenę nie mógł mi się wymknąć, to była moja jedyna szansa.

- Chcę opium - powiedziałem, a usta nagle wypełniła mi ślina. - To właściwe opium.

Łasiczka się nie poruszył, uważnie mi się przyglądał, tak samo jak przez cały czas do tej pory.

- Albo was zabiję.

Mimo iż nawet nie miałem takiego zamiaru, jego kości zaczęły trzaskać.

- Rozumiecie? Zabiję was, mówię poważnie. Potrzebuję opium! Pociągnąłem go do siebie. Kości trzasnęły jeszcze głośniej, zdenerwowałem się i szarpnąłem. Nagle okazało się, że trzymam w ręku jego dłoń z kawałkiem przedramienia, oddzielone od reszty ciała.

Kurwa, wykrwawi mi się teraz na śmierć, a ja już nigdy nie dostanę tego, co jest mi tak bardzo potrzebne. Szlag by to jasny...

Łasiczka jednak nie krwawił. Nie krwawił w ogóle. I kiedy przyjrzałem się bliżej, zorientowałem się, że wcale nie ścisnąłem w dłoni kawałka jego ręki, ale zwykłą atrapę, ukrytą w rękawiczce i wsuniętą do rękawa.

Może mógłbym go sięgnąć i tak, może go zdołam chwycić bez względu na ten parszywy trik, którym mnie oszukał. Za późno. Łasiczka stał już o dobry krok dalej i patrzył na mnie już nie badawczo, jak do tej pory, ale z jakimś takim smutkiem, jak ktoś, komu właśnie potwierdziły się jego najgorsze obawy.

- No toście mnie przechytrzyli - zawarczałem.

Kiedy to mówiłem, w myślach już rozważałem opcje, w jaki sposób mógłbym zdobyć dawkę narkotyku. Z każdym fragmentem przeszłości, którą przede mną odstąpił Łasiczka, czułem się nędzniej i nędzniej. Niewiedza była cudowna. Przeszłość nie istniała, nie istniały krwawe długi, paskudne uczynki, których się dopuściłem. Może nawet nie tyle nie istniały, co straciły na ważności, wyblakły niczym cienie w palącym blasku słońca.

- Nie, wcale was nie przechytryłem - pokręcił głową ten bydlak. - Ruvarka musieli ubić jak psa, a wiercie mi, Janick uczynił wszystko, co mógł, aby go uratować. Nie żeby tego sukinsyna lubił, ale Ruvark był jedyną osobą, która wiedziała, gdzie zostały ukryte receptury do wyrobu surowego opium, i jako jedyny wiedział, jak się wytwarza tę łagodniejszą wersję. Nic się jednak od niego nie dowiedzieli i przyszedł moment, kiedy przez połączenie magicznych zdolności z jego wyniszczającym uzależnieniem zaczął stanowić zagrożenie nie tylko dla siebie, ale i dla otoczenia.

- Ja nie mam żadnych magicznych zdolności - zaprotestowałem.

- Nie wydaje mi się - zgodził się ze mną Łasiczka.

- W dodatku jestem przywiązany.

- Ano jesteście. Na chwilę obecną powinno wystarczyć. Taką mam nadzieję.

Cisza. Nie ustawał tylko cichy szum schnącego piasku.

- Nad czym tak rozmyślacie?

Mogłem mu skłamać. Mogłem znów spróbować go przechytryć, jednak nigdy nie byłem dobry ani w łganiu, ani w dyplomacji. Zresztą dla mnie to jedno i to samo.

- Rozmyślam, jak zdobyć opium - odpowiedziałem szczerze. - Potrzebuję go, potrzebuję go potwornie! Potrzebuję zapomnieć całą przeszłość. Jeszcze nigdy w życiu nie byłem tak szczęśliwy, jak kiedy mnie tym karmili, rozumiecie mnie?

Łasiczka nie odezwał się, jedynie skinął głową.

- Dręczy mnie głód. Każdemu fragmentowi mojego ciała czegoś brakuje, a to - wskazałem przywiezione przez Łasiczkę jedzenie - nijak tego braku nie zaspokaja.

- Uzależnienie fizyczne i psychiczne to kombinacja nie do pokonania - podsumował smutno Łasiczka.

Nie było łatwo przyznać się przed sobą, ale jeszcze trudniej przyszło pogodzić się z utratą nadziei. Opuściły mnie siły. Padłem na ziemię, z trudem łapiąc oddech. Nie kłamałem. Nie zależało mi na życiu, nie zależało mi na krwawych

wspomnieniach ani niczym innym, co się z nimi wiązało. Do pełni szczęścia absolutnego brakowało mi tak niewiele.

Nie wiem, jak długo tak leżałem, jednak kiedy odezwałem się znowu, panowała już noc.

- Jesteśmy przyjaciółmi?

- A czemu pytacie?

- Bo jeśli powiecie, że jesteśmy, to może będę miał szansę jakoś dotrzeć do opium.

- Wy naprawdę nie macie smykałki do udawania i kłamstw.

- Przejrzelibyście mnie na wskroś i moje szanse by zmalaty.

Miałem nadzieję, że uda mi się w ten sposób, bardzo potrzebowałem opium.

- Owszem, jesteśmy przyjaciółmi - przyznał.

- Przez wiele lat piłem, piłem od cholery. Żeby zapomnieć... - zacząłem. Była to dziwaczna rozmowa. W ciemności, we wznagającym się chłdzie. Nie poruszyłem się jednak, nie chciałem Łasiczki wypłoszyć. Gdybym go tylko miał w zasięgu, skręcałbym mu kark tak długo, ażbym to opium z niego wycisnął jak sok z cytryny. Coś przecież musiał przy sobie mieć. Tyle że on był rozsądny, wiedział, do czego jestem zdolny, i trzymał się ode mnie na dystans.

Niech to szlag.

- Przywieźcie mi gorzałę, tę, co mam w pokoju. - Powróciłem do realizacji planu.

- Liczycie na to, że jednym uzależnieniem zwalczycie drugie?

- Mam taką nadzieję. - Zawahałem się na chwilę. - Ale wierzyć, nie wierzę.

Picie nigdy nie dało mi takiego szczęścia jak opium Ruvarka. Picie było tylko bladym odbiciem, ubogim zastępstwem. Tak jak kiedy człowiek pije śmierdzącą wodę i nazywa ją piwem.

- Jednak spróbować muszę. Zawsze piłem, żeby zapomnieć, może uda mi się zapomnieć i o tym. Jesteście przecież moim przyjacielem.

Nie odpowiedział, a ja spędziłem resztę nocy, leżąc na ziemi. Nie odważyłem się poruszyć nawet raz. Bałem się, że narobię

hałasu i przegapię jego odpowiedź. Niepotrzebnie, bo kiedy się rozwidniło, zorientowałem się, że zostałem sam.



W ciągu kolejnych trzech dni przeżulem całe moje odzienie. Tkwiły w nim jakieś resztki opium. Nieskończenie małe, ale wyczuwałem je i nawet dla tak niewielkiej ilości warto było pogryźć podeszwy butów na maleńkie kawałeczki, przeżuć i zeżreć tkaninę koszuli i skórę spodni. Czwartego dnia zacząłem jeść zapasy, które zostawił mi Łasiczka. W nich opium nie było. Nienawidziłem go, przeklinałem i... miałem nadzieję, że wróci.

Wrócił. Był to dzień piąty.

- Nie wyglądacie za dobrze - ocenił.

Jego koń aż się ugiął pod ładunkiem. Wyglądało, że Łasiczka większą część drogi pokonał pieszo, inaczej zwierzę by padło.

Tego, co zrobiłem z ubraniem, nijak nie skomentował.

- Bo i nie czuję się za specjalnie - odparłem szorstko.

- Przywiozłem to, o co prosiliście, a także trochę więcej zapasów. Niestety, sam muszę szybko wracać. Na skutek decyzji i rozkazów Janicka sprawy się ruszyły. Muszę być na miejscu, kiedy bagienko zawrze i na wierzch zaczną wypływać kolejne grube ryby.

O mnie w ogóle już nie mówił, ja w tej układance przestałem się liczyć. No i dobrze, aż tak bardzo mi nie zależało. Jedyne, co się liczyło, to opium, zdobyć opium.

- Odsuńcie się na tyle, na ile wam pozwoli łańcuch, nie tułałem się tutaj z całym tym ładunkiem tylko po to, żebym to miał teraz przez was potłuc - zażądał.

Uśluchałem.

Łasiczka rozłożył całą baterię flaszek na ziemi, po czym cofnął się i siadł w cieniu rzucanym przez zbocze.

- Udało mi się dotrzeć do części notatek Ruvarka. Niestety, tylko części, bo ludzie Janicka nie próżnowali, ale i tak trafiły mi się opisy jego niektórych co dziwniejszych eksperymentów. Nikt

spośród tych, którzy przyjęli więcej niż dwie dawki wzmocnionych magią narkotyków, z tego nie wyszedł. Każdy jak jeden mąż prędzej czy później sięgał po coraz większe i częstsze dawki, nawet mając pełną świadomość faktu, że to go zabije.

No i co z tego? Każdy kiedyś umrze.

Odkorkowałem pierwszą flaszkę. Szkło było ciepłe w dotyku, zawartość jeszcze gorsza. Smakowało potwornie, znacznie gorzej, niż pamiętałem. Pierwszy łyk o mało nie wyrzucił mi żołądka na lewą stronę, drugi mną wstrząsnął, po trzecim usiadłem. Ciepła woda. Potworność.

- No wielkie rzeczy. Jeszcze jeden łyk i też tu pewnie zdechnę - wycedziłem, czując, jak zaczynam oblewać się potem.

Siedzieliśmy tak, gapiąc się na siebie jak dwa stare koty, a ja kombinowałem, jak tu zacząć. Musiałem przekonać Łasiczkę, że jeszcze mogę mu się przydać, że wciąż potrafię być użyteczny, i to mimo iż nie mógł mi wierzyć, mimo iż w każdej chwili gotów byłbym sprzedać cały świat za jedną porcję eliksiru, który posłałby mnie tam, gdzie nic złego mnie nie czeka, gdzie nawet ja jestem zadowolony, szczęśliwy. Problem polegał jednak na tym, że nie potrafiłem nic wymyślić. Jedyne, co pozostało w głowie, to garść skolatanych myśli, które i tak sprowadzały się do jednego: opium.

- Zrobię wszystko, żeby dostać narkotyk - powiedziałem. - Najlepiej za waszą sprawą, ale nie wiem jak, bo jesteście za daleko.

Może i nie była to najwłaściwsza rzecz, jaką należało powiedzieć, niemniej Łasiczka pokiwał ze zrozumieniem głową.

- Czytałem relacje z przesłuchań uzależnionych ludzi. Większość z nich może i nie sformułowała tego tak wprost jak wy, niemniej wszyscy zachowywali się dokładnie tak samo.

Zmusiłem się, aby wypić kilka kolejnych łyków. Gdybym powiedział, że mi nie smakowały, to nawet w jednej dziesiątej nie oddawałoby, jak były paskudne. Jeszcze nigdy w życiu nie miałem w ustach czegoś tak obrzydliwego. Jednak równocześnie czułem, że ta bezlitosna lodowa góra, która wypełniała mnie

całego, zaczęła jakby nieco topnieć. Wizja, jak to trzymam Łasiczkę za gardło i trzacam nim tak długo, aż nie wytrączę tego, co mi było potrzebne, zbladła.

- Ludzie Ruvarka, a właściwie teraz to już Janicka, właśnie przeczesują miasto w poszukiwaniu każdej, najdrobniejszej ilości surowego opium, jaką tylko zdołają wywęszyć - powiedziałem.

Mniej więcej w ten sposób musiało to wyglądać i już sama świadomość nie dawała mi spokoju.

- No prawie - nie do końca zgodził się ze mną Łasiczka. - Chodzi im przede wszystkim o to pierwotne surowe opium, to, które Ruvark wyprodukował w pierwszej kolejności. Ta słabsza mieszanka zupełnie ich nie interesuje. Ona też wywołuje równie silne uzależnienie, ale potrzeba miesięcy, zanim zupełnie wyniszczy organizm. Tego opium się nie obawiają i o ile wystarczy im zapasów, planują wręcz dalej pchać je na rynek, żeby zdestabilizować ekonomię państw Ligi Kupieckiej. Obawiają się tylko tego surowego, bo Janick boi się, że ktoś mógłby narkotyku użyć przeciw nim, a zwłaszcza przeciw niemu samemu.

- Hm - mruknąłem tylko i odkorkowałem drugą butelkę. Nawet nie zauważyłem, kiedy wykończyłem tę pierwszą. Rwący, bolesny głód szarpał mną w dalszym ciągu, jednak już nie tak ostro i potrafiłem do pewnego stopnia pozbierać myśli. Uświadamiałem sobie nawet, że zanim zdołam z Łasiczki wycisnąć gołymi rękoma moje opium, będę musiał wykonać kilka pozorowanych manewrów. Byle nie za wiele, dwa, trzy kłamstewka. Na więcej już mi nie wystarczy sił. Znowu porządnie pociągnąłem z butelki. Myśli pędzące przez głowę strumieniem tak rwącym, że zabierały ze sobą wszystko inne, zaczęły się nieco rozmywać. Co poradzić, coś za coś.

Spróbowałem przymusić mój skołatany, roztrzęsiony mózg do konkretnej pracy. Jeden, dwa uniki i atak, więcej nie potrzebuję.

- Umieję zabijać, jestem w tym absolutnie wyjątkowy - zacząłem. - To by wam mogło pomóc w osiągnięciu naszego... waszego celu.

W butelce zachlupotało. Słońce paliło na niebie, gorzała w gardle i w żołądku. Najłatwiej byłoby go po prostu zadusić, ale... ale to jakoś tak nie w porządku. Musiałem myśleć, planować, kombinować. Inaczej nie dostanę się do opium.

- Janick, Ruvark, Horowitz... Mają opium, którego potrzebuję. Tyle z tego chcę ja, was ono przecież nie interesuje. No, chyba że się mylę?

- Nie, nie interesuje - odparł Łasiczka na szczęście wystarczająco szybko. Gdyby się nad tym choć chwilę zastanawiał, roztrzaskałbym mu łeb na wpół opróżnioną butelką gorzały. Oczywiście nic by mi z tego nie przyszło, siedział za daleko, żebym go mógł dosięgnąć. Zamiast tego dopiłem, co było w butelce.

Zabijałem całymi latami. Wspomnienia obudziły nagle martwych, którzy zaczęli na mnie wyskakiwać z nicości. Porozbijane gęby, popodrzynane gardła, rozszarpane klatki piersiowe. O tak, w tym byłem dobry. Nadal jestem. Nikt, ani Janick ze swoją bandą, ani sam cesarz nie stanie mi na drodze, nie powstrzyma mnie, żebym dostał moje opium. Potrzebowałem go, było moje, należało mi się. Pozabijam wszystkich, tak jak zniszczyłem każdego, kto mi kiedykolwiek wszedł w drogę. Wcześniej potrzebowałem złota, dziś opium. Dla mnie bez różnicy.

Do tego jeszcze dochodził Rosen. To właśnie przez niego siedziałem teraz przykuty do skały gdzieś na gołym stepie, pozbawiony najmniejszej, najdrobniejszej nawet odrobinki narkotyku. To mu nie może uść na sucho. To mu na pewno nie ujdzie na sucho.

Odrzuciłem pustą butelkę. Zagrzechotała na żwirze, ale się nie rozbiła. Równocześnie uświadomiłem sobie, że przez cały ten czas coś Łasiczce zawzięcie wykladałem, choć za żadne skarby nie mogłem sobie teraz przypomnieć co.

- Zorganizujecie to tak, że wszyscy ludzie Ruvarka, Horowitza czy Janicka znajdą się w tym samym miejscu, a wtedy ja wpadnę tam i wszystkich pozabijam. Potem powiecie mi, gdzie schowali

moje opium. Odbiorę je i już nigdy więcej o mnie nie usłyszycie. Wy będziecie zadowoleni, ja będę zadowolony i K. też będzie zadowolony. Brzmi jak całkiem dobry plan, nie?

Słońce przestało palić, zaszło za horyzont. Paliła już tylko i wyłącznie wódka oraz myśl o tym, jak to wprowadzam w życie swój plan.

- Nie, nie brzmi. Już prędzej jak samobójczy.

- Aha - zgodziłem się.

- Tyle że dla was i tak nie ma żadnej nadziei. Albo zginiecie na miejscu, albo się zaćpacie na śmierć.

- Kiedy już wszyscy będą martwi, uważajcie tylko, żeby nie wejść mi w drogę. Żebyście nie stanęli gdzieś między mną a tym opium, co tam mają zgromadzone na jednej kupie - ostrzegłem Łasiczkę, unosząc następną butelkę. - Ono należy do mnie.

- Tak, wiem.

Gdzieś pomiędzy kolejnymi łykami ściemniło się. Nie widziałem już Łasiczki, nie dostrzegałem nawet jego sylwetki. Na chybił trafił sięgnąłem po czwartą butelkę. Myśli zaczęły mi się zlewać. Czegoś tam chciałem, ale nie byłem pewien czego. Stopniowo zaczęła się przede mną rysować dalsza część planu, jaką przed tym trzeźwiejszym Bakłym, któremu tak strasznie zależało na... No nie wiem, na czymś mu zależało, ale nie mogłem sobie przypomnieć czego tak strasznie pragnął, w każdym razie przed tym drugim Bakłym skrywałem. Tę część planu znaczy.

Znów o czymś rozprawiałem. Gorzałka zdążyła się wychłodzić, gładko wchodziła w gardło. Zrobiło mi się niemalże przyjemnie. Niemalże, bo wciąż miałem poczucie, że czegoś istotnego mi brakuje, choć nie mogłem sobie przypomnieć czego. Wiedziałem jedno, jutro będzie mi dużo, dużo gorzej. To nic, mnie to nie przeszkadza. Gdzieś daleko ode mnie rozbiła się flaszka. Sięgnąłem po następną.



Ktoś jęczał. Nie, nie ktoś - to byłem ja. To było gorsze, niż byłbym sobie w stanie choćby wyobrazić. Leżałem na gołej,

wciąż jeszcze zimnej ziemi, słońce paliło mnie w potylicę, a w ustach miałem wielką, opuchniętą gąbkę, która próbowała mnie udusić. Potrzebowałem swojej działki, potrzebowałem jej potwornie. Gdzie ona jest, do cholery? Jeśli się nie napiję, zdechnę tutaj i już nigdy jej nie dostanę. Będę umierał powoli, na głodzie, wiedząc, że go nie ukoję. Pragnąłem, żeby się to wszystko już skończyło, ale z pragnień nigdy nic nie wynikało. Zacząłem się czołgać do strumienia. Z początku ręce i nogi nie chciały mnie słuchać, ale po paru chwilach krwawe rany od ostrych kamieni pobudziły je do życia. Woda. Chłęptałem ją jak zwierzę, bez pomocy rąk. Potem po prostu zastygłem tak z głową w zagłębieniu.

Nie pamiętałem zbyt wiele z poprzedniej nocy. Jedynie tyle, żeśmy się z Łasiczką zgodzili na jakiś plan, który miał mnie doprowadzić do opium. Tyle tylko, że nie wziąłem pod uwagę faktu, iż z rana w dalszym ciągu będę tu leżeć przywiązany do drzewa wyrastającego ze skały nade mną. Miał mnie uwolnić! Zatrzęsła mną wściekłość. Uniosłem się na kolana i natychmiast tego pożałowałem, kiedy od wypitego alkoholu zrobiło mi się ciemno przed oczami...

Zapasy, które przywiózł Łasiczka, leżały na swoim miejscu. Puste flaszki walały się porozrzucane w dość sporym promieniu. W świetle słońca rzucały teraz tu i ówdzie kolorowe odbłyски. Poza tym wszystko było po staremu. Potrzebowałem działki. Natychmiast. Krzyczałem tak długo, na jak długo wystarczyło mi sił i oddechu. Łasiczka mnie tu zostawił. Spisał na straty, nie udało mi się go przekonać. Trzeba go było zabić. Zatłuc i zeżreć jego ubranie, jego skórę. Na wszystkim musiały przecież być jakieś drobinki, pyłeczki opium, którego tak potwornie potrzebowałem.

Dopiero po południu na skale, z której wyrastało moje drzewo, dostrzegłem nagryzmołony kredą napis.

Nasza umowa jest ważna. Za dziesięć dni o świcie będę na was czekał przed południową bramą Damarkandy z informacją, gdzie są nasi nieprzyjaciele i gdzie jest wasze

opium.

Dziesięć dni? To nie może trwać aż dziesięć dni! Przez ten czas zwariuję, stracę rozum! Potrzebuję opium teraz!

Pozbędę się łańcucha, dotrę do miasta i wtedy zobaczymy, czy nam się tego wszystkiego nie uda trochę przyspieszyć. Przyspieszenie będzie się opierać na moich palcach i połamanych kościach Łasiczki. Połamanych kościach kogokolwiek, kto mi stanie na drodze.

Zacząłem obchodzić skałę, żeby znaleźć najdogodniejsze miejsce do wspinaczki, a równocześnie układałem w myślach listę tych wszystkich ludzi, których obarczałem odpowiedzialnością za to, że tu cierpię. Była długa, ale to się zmieni.

Po drugiej stronie zbocze okazało się dużo łagodniejsze, ale niestety łańcuch nie sięgał tak daleko. Nie pozostało mi nic innego, jak wrócić i spróbować wspinaczki po mojej stronie.

Po pięciu metrach waga łańcucha zaczęła mnie ściągać w dół. Osłabiony słońcem, piciem i odwodnieniem z wielkim trudem zdołałem uniknąć większych obrażeń, zeskakując z powrotem na ziemię.

Aby dotrzeć do opium, musiałem wziąć się w garść. Nie zważając, że każdy kęs wywoływał we mnie mdłości, zjadłem kawałek mięsa, kawałek chleba i popiłem wodą. Zacząłem się znów wspinać. Poszło mi lepiej niż za pierwszym razem, jednak gdzieś tak w połowie drogi zaczęły mnie łapać potworne skurcze i bez żadnej kontroli odpadłem od skały. Tymczasem znów zrobił się wieczór. Gapilem się w niebo, przeklinałem Łasiczkę i obiecywałem mu, że go znajdę i zmienię w krwawą papkę. Już lepiej by zrobił, gdyby mnie po prostu zabił.

W południe następnego dnia wisiąłem na koniuszkach palców kawałeczek poniżej górnej krawędzi skały, a oprócz mnie wisało dobrych dwanaście metrów tego przekłętego łańcucha. Początkowo piałem się po nim, ale w pewnym momencie nogi wypowiedziały mi posłuszeństwo i wymknął mi się z rąk. W ostatniej chwili udało mi się tyle o ile uchwycić skały.

Niekontrolowane skurcze w rękach, nogach, ramionach i barkach przypisywałem niedostatkowi opium. Rozejrzałem się, ale łańcuch zwiisał teraz zbyt daleko ode mnie, abym mógł go znów pochwycić. Będę się musiał obejść bez niego.

Tu, na samej górze, kamień był niemalże całkowicie gładki. Zapewniał minimalne uchwyty jedynie dla jakichś ludzkich pajaków, ale z pewnością niewystarczające dla kogoś takiego jak ja. Wyboru jednak nie miałem. Musiało mi wystarczyć to, co było dostępne, żeby pisać się dalej. Czekałem na moment, w którym obciążone ponad miarę ludzkich możliwości palce odmówią mi posłuszeństwa. Wtedy zlecę w dół i będę miał wreszcie spokój z tym wszystkim. Choć przy moim pechu pewnie tylko skrucę kark i będę zdychał diabli wiedzą jak długo. Jeszcze kawałek wyżej, efekt będzie pewniejszy. Zebrałem się w sobie i podciągnąłem kawałek. Znalazłem się na jeszcze gładszym kawałku skały. Tym razem już naprawdę utrzymywałem się wyłącznie na opuszkach palców. Liczne rany i odrapania z poprzedniego upadku wypełniły się świeżą krwią. Usłyszałem, jak mi zaczęło strzelać coś w stawach. Nagle jednak znalazłem odrobinę pewniejszego oparcia pod prawą nogą i zamiast roztrzaskać się o kamienie pode mną, zacząłem znów powoli posuwać się ku górze. Oddychałem ciężko, głośno i chrapliwie, a wycieńczone mięśnie przestawały mnie słuchać, jednak zanim do tego doszło, lewą ręką najpierw namacałem, a potem przekroczyłem górną krawędź wieńczącą skałę. W tym samym momencie całe prawe przedramię odmówiło współpracy. Tyle tylko, że ja już się trzymałem dobrze lewą ręką i nie zamierzałem puścić. Łańcuch zakotył się i zaczął podzwaniać o skałę. W ręce, na której zwiisałem, czułem pulsowanie krwi, ta druga w dalszym ciągu nie chciała mnie słuchać. Wystarczyłaby chwila zawahania i skończyłbym na dole. Skończyłbym, jeślibym miał wystarczająco dużo szczęścia. Nie. Zamiast się wahać, dobrze się zapałem i z całej siły podciągnąłem ciało tak, że wywindowałem się ponad krawędź aż do pasa, po czym przetoczyłem do przodu.

Chwilę mi to zajęło, zanim do mnie dotarło, że to, co widziałem przed sobą, to nie jakaś halucynacja, a prawdziwe blade niebo i mierzące w nie źdźbła wysuszonej trawy. Byłem dosłownie o włos od śmierci, nie zostały mi już żadne siły. Kiedy tylko nieco odpocząłem i zwalczyłem to najgorsze wyczerpanie, znów nadszedł głód. Tak silny, że pożerał wszystkie moje myśli. Dopiero pod wieczór pojawiła się w głowie pierwsza w miarę spójna myśl. Aby zdobyć opium, muszę się najpierw stąd wydostać. Krok za krokiem, po kolei.

Stałem na nogi i zacząłem kombinować, jak się oswobodzić. Łasiczka przywiązała mnie do starej i pokręconej sosny o zaledwie kilku ostatnich zielonych gałązkach. Martwa czy umierająca, nie robiło to żadnej różnicy, pokręcony pień okazał się twardy jak skała, a korzenie wczepiały się w kamień niczym jakieś zachłanne pazury. Nie było nawet o czym rozmyślać, to drzewo będzie tu stało jeszcze przez całe stulecia.

Usiadłem i oparłem się o pień. Jeżeli tak miała wyglądać nasza współpraca przy moim planie zdobycia opium, aż strach się zastanawiać, co by się stało, gdyby Łasiczka postanowił mi zadanie utrudnić. To musiał być chyba jakiś kiepski żart, wyrefinowana tortura albo co... Potrzebuję opium, krzychało moje ciało i mózg. Ja też krzychałem. Nie spałem całą noc, siedziałem tylko i się trząsałem. Nie z zimna, a z głodu. Dopiero o wschodzie słońca uświadomiłem sobie, że nie był to jedynie głód narkotykowy, chciało mi się również jeść. Równocześnie dotarło do mnie również i to, że nie odczuwam już żadnych skutków przepicia, które mnie o mało nie otruło na dobre, i że bolesne skutki spotkania z Rosenem też już odeszły w przeszłość. Dochodziłem do siebie i zdrowiałem równie szybko, co normalnie. Może nawet szybciej niż normalnie. Już dawno zauważyłem, że jeśli ktokolwiek próbuje mnie zgładzić za pomocą magii, ja z niej wręcz czerpię dodatkową siłę. A przecież właśnie magii użyto do modyfikacji opium. Może to zwyczajnie kwestia zdrowego powietrza na suchym stepie, a może poczyniłem kolejny krok ku całkowitej przemianie, jak to

kilkukrotnie sugerowała niejasno Zuzanna. Wszystko jedno, liczyło się tylko, że żyłem i chciałem dążyć do tego, aby zdobyć moje opium oraz pozabijać wszystkich, którzy staną mi na drodze. Prosty plan to dobry plan.

Zabrałem się do roboty i zacząłem tłuc kamieniem w pień starej sosny. Szło mi kiepsko, a koło południa poczułem się słabo i musiałem przestać. Moja nienaturalnie szybka rekonwalescencja miała swoją cenę, dosłownie umierałem z głodu, a jedzenie zostało na dole. Nie miałem wyjścia, nie zastanawiając się zbyt długo, spuściłem się po łańcuchu i zjadłem połowę pozostałych zapasów. Posilony, znów wdrapałem się po skale na górę.

Pod wieczór dotarło do mnie, że cała ta praca nie miała sensu. Pień był zbyt gruby i zbyt twardy. Nie dostanę mojego opium!

Jeszcze w nocy zacząłem gołymi rękoma odłamywać kawałki skały, aby dostać się do korzeni. Tłukłem je kamieniem, szarpałem i gryzłem - drzazga po drzazdze, byle do przodu.

Kolejnego dnia nie zapamiętałem w ogóle. Najwyżej tyle, że z wściekłości wyłem i przeklinałem Janicka, Rosena i Łasiczkę, którzy nie dawali mi przyjąć następnej działki. Musiałem też zjeść resztę zapasów, ale za to ręce, które z całą pewnością musiałem poranić i pozdzierać niemalże do kości, okazały się całkowicie zagojone. Nie pokrywała ich jednak świeża, różowa, miękka skóra, jak można się spodziewać, ale coś zupełnie innego, przypominającego raczej twarde, gadzie łuski.

W pewnym momencie na dole obok strumienia pojawił się byk. Zwierzę musiało uciec ze stada pędzonego do Damarkandy na ubój. Mięso było czymś, czego potrzebowałem, jeśli chciałem dotrzeć do mojego opium.

Nawet po tygodniu, który spędziłem w stepie, nie odstępował mnie narkotykowy głód. Jednakże w odróżnieniu od tego, jak się czułem na początku, teraz potrafiłem trzeźwo myśleć, nie przypominałem bezwolnej kukły myślącej jedynie o działce.

Zjechałem delikatnie w dół. Stal łańcucha podzwaniała cicho w kontakcie z niehumanie twardą skórą moich dłoni. Potem ostrożnie, żeby byka nie wypłoszyć, podkradłem się od tyłu.

Wypił całą wodę zgromadzoną w niewielkim zagłębieniu i teraz wylizywał pozostały na dnie wilgotny piach.

Poklepałem zwierzę po szyi, żeby zwrócić na siebie jego uwagę. Niechętnie obejrzał się i musiałem uskokczyć, żeby mnie nie poharatał swoimi długimi rogami. Poganiacze nie spiłowywali im ich na drogę, aby zwierzęta mogły same bronić się przed drapieżnikami. Nie wyglądał na takiego, co to by się dał byle czym wypłoszyć. Zupełnie jak ja. Jego małe oczka, zatopione w masywnej czaszce, spoglądały na mnie beznamietnie. I ja mam małe oczy osadzone w masywnej czaszce. Wyglądał, jakby nie mógł się zdecydować, czy denerwowałem go wystarczająco mocno, aby mu się chciało mnie pogonić. Musiał mieć twardy łeb, co też czyniło nas podobnymi. Trzasnąłem go prawym hakiem w skroń. Poderwał się, dostał jeszcze raz i runął na ziemię.

No niestety, jestem głodny, a w odróżnieniu od ciebie, brachu, trawą żywić się nie mogę. Masz pecha i tyle.

Tłukłem dalej. Pięść miałem całą czerwoną od krwi, skórę pozdzieraną, kłykcie porozbijane. Byk dalej na mnie patrzył. Może należało wziąć jakiś kamień? Wreszcie przewalił się na bok i znieruchomiał. Ręka przestała mnie boleć natychmiast. Klęknąłem ostrożnie przy nim i dostrzegłem, że miał pękniętą czaszkę. No proszę, obyło się i bez kamienia.

Minęła kolejna noc, a po niej dzień. Znów zapamiętałem niewiele więcej niż obłąkane wycie szaleńca na narkotykowym głodzie i trzask drewna łamanego gołymi rękoma. I trzaskanie ognia. O dziwo, nie zeżarłem byka na surowo. Aż sam się sobie dziwię. Osiem dni po tym, gdy mnie Łasiczka zostawił samego, stara sosna wreszcie się poddała. Wyrwałem ją z korzeniami, rozłupałem, porozrywałem na drzazgi. Nareszcie się oswobodziłem. Byłem głodny, wściekły i przepelniony nienawiścią. Kiedy ochłonałem na tyle, aby móc zaplanować dalsze kroki, cel był jeden i wciąż ten sam - opium.

Łasiczka, jakby wiedział, że się prędzej czy później uwolnię, za pagórką zostawił młot i solidny przecinak. Wystarczyło kilka

uderzeń, wskutek których z młota pozostał jedynie bezkształtny kawałek metalu. Jednak tak czy inaczej łańcucha się wreszcie pozbyłem. Zostały mi tylko obręcze na nadgarstkach, z których zwisało jedynie po kilka ogniwek. Nigdy sobie nie zawracałem głowy ozdobami, te też mi nie przeszkadzały. O ubraniu jednak zapomniał. A może i nie zapomniał, tyle że w ciągu ostatnich paru dni przeżulem i plecaki, w których przyniósł zapasy. Musiało na nich osiąść trochę opium, bo mi się na parę chwil zrobiło lepiej. Albo tylko tak mi się wydawało.

Wraz z odzyskaną wolnością wypełniło mnie również swoiste ponure zadowolenie. Idę po opium, a każdego, kto mi stanie na drodze, zatłukę. Rosen, Horowitz, Janick, Ruvark, Łasiczka. Wprawdzie niektórzy z nich już byli martwi, ale to nie szkodzi. Jeśli przyjdzie co do czego, to się ich wykopie.

Jeszcze tylko jakaś broń. Mieczyk i kozik z ostrzem długim na stopę, które mi tutaj zostawił Łasiczka, do takiej roboty nijak się nie nadawały. Tu było potrzeba czegoś solidnego.

Pracowałem całą noc przy blasku gwiazd, a kiedy skończyłem, miałem do dyspozycji dwie porządne maczugi. Rękojeści wykonałem z pokręconych korzeni sosny, która jeszcze niedawno mnie tu więziła, a głowice z kawałków granitu. Wszystko powiązałem pasami surowej wołowiny, którą najpierw wypłukałem w wodzie, a potem wymoczyłem w urynie. Nie mogłem się doczekać, aż się wreszcie na nich wszystkich zemszczę, aż wreszcie dostanę moje opium. Te dwie noce złały mi się w jedną.

Żeby nie przybyć do Damarkandy nago, wyciąłem z byczej skóry proste odzienie. W zasadzie po prostu płachtę z otworami na ręce i głowę. Nie szło to może w zgodzie z ostatnią ani nawet przedostatnią modą, śmierdziało i gryzło jak diabli, ale przynajmniej nie byłem goły i to się liczyło.

Wyruszyłem w drogę, ze świeżym słońcem nad głową, czując, jak mnie ono zaczyna rozgrzewać, jak powoli krew zaczyna żywiej krążyć, a stawy poruszają się coraz sprawniej i jakby lepiej nasmarowane.

Nie zastanawiając się zbyt wiele, ruszyłem po śladach Łasiczki. Jakoś się nie napracował nad ich zacieraniem. A może po prostu wcale nie miał takiego zamiaru?

Stawiałem na przemian nogę lewą przed prawą, potem prawą przed lewą i tak w kółko, a każdy krok przybliżał mnie do opium i tych sukinsynów, których chciałem pozabijać. Cieszyłem się na to, bo w zabijaniu jestem najlepszy, a do tego nie pokazałem jeszcze w pełni, na co mnie stać. W rytm moich kroków podzwaniały resztki łańcuchów. Na sekretny atak z ukrycia nie byłem może najlepiej przygotowany, ale z drugiej strony i tak to nie jest w moim stylu. Człowiek się zazwyczaj musi taplać w bagnie, czatować, czołgać przez jakieś gówno, a na koniec zwykle i tak nic z tego nie wychodzi.

Mimo iż Łasiczka twierdził, że do Damarkandy były dwa dni drogi, dotarłem na miejsce w jeden dzień z małym okładem. Do umówionego spotkania została jeszcze prawie cała noc. Długo zastanawiałem się nad tym, czy nie machnąć ręką na Łasiczkę i nie ruszyć do akcji na własną rękę, jednak Łasiczka miał w tym wszystkim swoją rolę - zgromadzić tych bydlaków, którzy ukradli mi opium, w jednym miejscu. W przeszłości zawsze mogłem na nim polegać. Zwalczyłem więc chęć, aby ruszyć po narkotyk natychmiast, i zdecydowałem się poczekać. Tym bardziej że obiecał mi przecież, iż dowie się dla mnie również, gdzie się znajdowały główne zapasy. A ja chciałem mieć wszystko.

To była długa noc, prawdopodobnie najdłuższa w moim życiu. Ścisnąłem sękatę rękonożkę maczuga, uważając, żeby ich przy tym nie zmiażdżyć.

Mieliśmy się spotkać o świcie, lecz Łasiczka zawsze lubił być wcześniej, dlatego nie zaskoczyło mnie, kiedy jeszcze w ciemności usłyszałem jakiś szmer.

- Jesteście tam?

Musiał mówić z ustami przy samej ziemi, bo za cholerę nie umiałem odgadnąć, gdzie się znajdował. Nie ufał mi, suczy syn.

Nie odezwałem się, tylko ruszyłem na czworakach po spirali, próbując go namacać. Łasiczka zawsze trzymał w rękawie

jakiegoś fałszywego asa, a gdyby tym asem miało się okazać pół kilograma opium, byłby to wystarczający powód, aby mu przyłożyć. Po drugim trzaśnięciu łamanego patyka i trzecim zadzwonieniu moich łańcuchów dałem sobie spokój. Już raczej o mnie wiedział.

- Ano jestem.

- To dobrze.

Nawet jeżeli wiedział, że go próbowałem znaleźć, nie dał po sobie tego poznać. Łasiczka nigdy nie był szczególnie wygadany, chyba że wymagała tego praca.

- Kwaterę główną mają w dalszym ciągu w tym samym miejscu, w byłej willi Horowitza. Są tam wszyscy, dlatego że czekają na kuriera z rozkazami od Janicka. Fałszywego kuriera. Że jest fałszywy, zorientują się dopiero w porze, w której normalni ludzie zasiadają do niedzielnego śniadania.

Niedziela? Nie miałem pojęcia, co oznacza to słowo, ale przynajmniej informacja, że wszyscy ludzie Janicka będą w jednym miejscu, brzmiała jak rajska muzyka.

- A opium?

- Również na miejscu, tak jak sobie zażyczyliście.

Odetchnąłem głęboko i znów spróbowałem odgadnąć, gdzie on, do jasnej cholery, leżał.

- Jednak wiedzcie, że nie dostaniecie się do narkotyku, o ile nie zabijecie wszystkich ludzi Janicka. W przeciwnym razie znów wam je sprzątnie sprzed nosa.

Chciałem go przekląć, ale wyszło mi tylko jakieś warknięcie.

- I spróbujcie przejść przez bramę miejską bez rozlewu krwi, wierzcie mi, że bardzo wam to ułatwi życie. Zwyczajowa stawka to pięć miedziaków, ale i jeden srebrny nie wzbudzi podejrzeń.

Moneta upadła w piach jakby prosto z nieba. Musiał ją podrzucić bardzo wysokim łukiem, nawet dzięki niej nie udało mi się odgadnąć kierunku, w którym się ukrywał. Z drugiej strony, aż tak bardzo mi to nie przeszkadzało, w końcu jak do tej pory rozgrywał wszystko zgodnie z moim planem. Jednak gdybym wiedział, gdzie jest, zadusiłbym go. Wycisnął jak cytrynę. Stara,

dobra wizja...



Miejską bramę przekroczyłem rzeczywiście bez problemów, choć parę zaciekawionych spojrzeń na siebie ściągnąłem. Na szczęście koczownicy ze stepu dość często bywali nieco ekscentryczni, a do tego pomógł mi ten srebrny.

Damarkandę znałem już całkiem dobrze i do byłej willi Horowitza udało mi się dotrzeć bez wzbudzania ciekawości miejskiej straży, która wołała przechadzać się lepszymi dzielnicami. Jediną przeszkodą na mojej drodze okazał się jakiś gość, chyba niespełna rozumu, bo próbował na mnie napaść tuż przed świtem. Gdyby wypił o jedną szklaneczkę więcej, odsypiałby teraz popijawę, a nie skończył z pogruchotaną stopą, rozbitym czołem i wyłamanym łokciem. I tak mógł na tym wyjść znacznie gorzej, ale nie chciało mi się tracić na niego czasu, tak naprawdę ledwie się tylko o niego otarłem. I mówią, że alkohol szkodzi zdrowiu. Chyba niedobór.

Główna brama wiodąca do posiadłości Horowitza wyglądała na niepilnowaną, lecz kawałek dalej z powodzeniem mogło się kryć ze dwóch zdolnych chłopaków z napiętymi kuszami. Co jak co, ale umierać bez opium we krwi z całą pewnością nie miałem zamiaru.

Zmierzałem wprost do tylnego wejścia. Poranek był nadal cichy, gdzieniegdzie dostrzegałem tylko ludzi spieszących za swoimi powinnościami, zaabsorbowanych własnymi sprawami. Wejście było zamknięte na łańcuch i solidnie wyglądający zamek. Za to płot obok wyglądał na dość słabutki. Tyle tylko, że furtką zawsze wchodzi się ciszej niż przez rozbity płot. Łasiczka sporo się napracował, szkoda by to ot tak zmarnować. Odstawiłem jedną z maczug na ziemię tak, aby opierała mi się o kolano, i spróbowałem nacisnąć klamkę. Otwarte. No, takie wejście zdecydowanie jest najcichsze. O ile nie czekają na mnie strzelcy, dostanę się do środka bez problemów. Nie miałem jednak nastroju na dalsze szarady i po prostu wszedłem. Nic się nie

stało.

Poczułem się nieomal rozczarowany.

Niespiesznie, bez nadmiernej ostrożności, ale i niezbyt głośno ruszyłem zarośniętą ścieżką. W cieniach dokoła mnie słyszałem jakieś odgłosy. Albo szpaki zabawiały się aż do białego rana, albo mnie obserwował ten przekłety Łasiczka.

Oparty o drzwi kimał wielki chłop. Wyższy ode mnie o jakiejś półtorej głowy i masywny jak polarny niedźwiedź. Strażników zawsze jest dwóch, lecz jego kumpla nigdzie nie mogłem dostrzec. Minął czas na podchody, nie zamierzałem biegać po okolicy i go szukać. Ten pod drzwiami otworzył oczy dopiero, gdy stałem tuż przed nim. Nie trzymał tarczy, a jedynie wielki dwuręczny miecz, na którym opierał dłoń. Na sobie miał stalową zbroję ze wszystkimi tradycyjnymi dodatkami. Machnąłem ręką, granitowa głowica uderzyła. Tam, gdzie wcześniej było ramię chronione przyzwoitym kawałkiem stali, teraz pozostała tylko mieszanina poszarpanego mięsa, kości i pokrzywionego metalu. Obróciłem się w miejscu i ruszyłem naprzeciw jego kompanowi, który wynurzył się z krzaków. Strażników po prostu zawsze jest dwóch.

Zazwyczaj wyprowadzać pchnięcia kawałkiem kija nie ma po co, nic więc dziwnego, że się go zupełnie nie spodziewał. Maczugą w jednej ręce odtrąciłem jego miecz, aż poszły iskry, kiedy ostrze uderzyło w kamień, po czym z rozpędu wzmocnionego jeszcze wypadem uderzyłem go drugą maczugą prosto w pierś. Żelazo zazgrzytało, a on nagle zaczął charczeć. Nic dziwnego, z wgiętym kirysem musiało mu się kiepsko oddychać. I to do tego stopnia, że kiedy spróbował kontrataku, skończyło się to tak, że zwałił się na ziemię z krwawą pianą na ustach. Nic nie jest idealne, nawet stalowa zbroja.

W tym czasie ze środka willi zaczęły dobiegać gorączkowe odgłosy świadczące jednoznacznie, że już o mnie wiedzieli. Gdzieś po lewej zaszeleściło listowie, pojawił się człowiek z kuszą gotową do strzału. Zanim zdążył wycelować, sam zarobił bełt w brzuch. Łasiczka albo któryś z jego ludzi musiał trzymać się w

pobliżu. Świetnie. Kolejny strzelec wybiegł z zarośli, na swoje nieszczęście o dwa kroki ode mnie. Rozbiłem mu łeb, już biegnąc do drzwi, które zaczynały się otwierać. Ktokolwiek za nimi stał, musiał się liczyć, że ze mną łatwego życia mieć nie będzie.

Nie zdążyłem dobiec i chwilę później na zewnątrz stało już gotowych trzech dryblasów z tarczami i mieczami, do uniesienia których normalny człowiek potrzebowałby obu rąk. Oczekiwali, że się przed nimi zatrzymam, jednak zamiast tego ja jeszcze tylko przyspieszyłem, odbijając nieco w lewo, aby podejść całą formacją z boku.

Granitowa maczuga uderzyła w tarczę, pozostawiając za sobą jedynie chmurę drzazg. To mi się podobało. W całej tej euforii zapomniałem jednak o mieczu, na szczęście trafił mnie tylko z lekka, a do tego płazem. Pierdnięcie, a nie uderzenie. Drugi był już lepiej przygotowany, jego cios udało mi się zbić nie bez trudu, na szczęście, grając według normalnych reguł pojedynkowych, zaraz po uderzeniu zasłonił się tarczą. Uderzenia pociskiem z katapulty zupełnie się nie spodziewałem. W ostatniej chwili się cofnął, przez co nie udało mi się go pozbawić całej ręki, a jedynie przedramienia. Cofając się, jednak stracił równowagę, dzięki czemu z wielką przyjemnością mogłem mu przyłożyć prosto w głowę. Na trzeciego spadły obie maczugi równocześnie. Obrócił się tak, aby móc przyjąć uderzenie i natychmiast po nim spróbować kontrataku. Mógłby to nawet znieść, chłopaki naprawdę okazali się krzepcy, ale wyposażenie mieli gówniane. Obliczone na stawianie czoła normalnym przeciwnikom. Jedna z maczug przeszła bez trudu przez warstwy drewna, skóry i szylkretu, zdeformowała brązowy rdzeń kompozytowej tarczy i uczyniła z ręki strażnika porcję farszu.

Bawiłem się świetnie, Boże, jak ja się dobrze bawiłem.

Zostawiłem chłopaka, bo już się pchał do mnie kolejny niecierpliwiec. Świszczącego ostrza jego miecza uniknąłem w ostatniej chwili niezgrabnym krokiem w bok, jednak w mgnieniu oka odzyskałem kontrolę nad pozycją mojego ciała i

przeszedłem płynnie w obrót, który wykonałem tak szybko i zwinnie, że najlepsza baletnica nie mogłaby się ze mną równać. Lewa maczuga dosięgła go tuż przed prawą, w związku z czym jego bezgłowe ciało przeleciało w powietrzu kilka metrów i wylądowało po drugiej stronie ścieżki na jakichś ciernistych krzewach. Miecz, który w zamierzeniu miał mi wypruć flaki, niegroźnie pacnął o poję mojego szytego na miarę kozucha.

Zaczynałem się rozgrzewać.

- Tam jest! Tam jest! - krzyczał ktoś.

I dobrze. Gdybym musiał biegać w kółko z dwoma ciężkimi badylami, pewnie bym się w końcu zmachał.

Najszybszy z nich myślał, że umiem atakować jedynie z długich, szerokich zamachów, i ta pomyłka kosztowała go jego wnętrzości wyszarpnięte krótkim, mocarnym uderzeniem. Dalsza trójka nie widziała, jaki los spotkał ich kompanów, liczyli więc na osłonę, jaką dawały im tarcze. Pokazałem chłopakom, że przeciw granitowym pociskom wystrzelonym z katapulty nie nadawały się do niczego.

Potem jakaś sprytniejsza menda o mało mnie nie dopadła. W obu rękach trzymał miecze i wiedział, jak się z nimi obchodzić. Tyle że ten już mnie w akcji widział i strach znacznie go spowolnił. Za długo zwlekał z atakiem. Przetoczyłem się po nim niczym kamienna lawina i zostawiłem za sobą leżącego na ziemi z czaszką przypominającą dojrzałego melona, na który nadepnęła krowa.

Już mi nie było zimno, już dostałem małej zadyszki, zarobiłem kilka drobnych ran. To wszystko powodowało, że walka sprawiała mi tylko większą przyjemność. Znowu czułem, że żyję.

Rwetes podnosił się już z każdej strony, a z drzwi willi, do których w dalszym ciągu nie zdołałem się przebić, wybiegali wciąż i wciąż kolejni wielcy wojownicy, których ja zaciekle i z zaparcie miałem na miązgę połamanych kości, porozrywanego mięsa, poszarpanych ścięgien i mięśni.

To byli naprawdę niezwykle silni wojownicy. Bardzo szybcy, o doskonałym refleksie. Jednak waleczność nabyli stosunkowo

niedawno i nie wykorzystywali wciąż w pełni, podczas kiedy ja swoją szybkość i swoją siłę znałem doskonale, zdobywałem je przez całe życie i nie wahałem się wykorzystywać aż do najostatniejszych granic, a nawet dalej, wkraczając w rejony, w których moje ciało jeszcze nigdy nie było.

Nie rozumiałem, czemu nie uciekali, choć cieszyłem się, że nie przyszło im to do głowy. Dzięki temu mogłem ich wciąż i wciąż zabijać, coraz więcej i więcej. Życie jest cudowne.

Kolejny przeciwnik zapędził mnie dokładnie tam, gdzie chciał mnie mieć. Jedną maczugę zablokował mi mieczem, druga spelzła po tarczy, którą się zastonił. W następnej chwili miałem już być jego, tyle że ja na to nie miałem zamiaru się godzić. Obróciłem się i wszedłem w niego ramieniem. Zabolało, ale uderzenie wytrąciło go z równowagi, więc znów granitowy pocisk wystrzelił ku trzymanej nieruchomo tarczy. I znów ją zmiażdżyłem, a wraz z nią dzierżącą ją rękę, i już gnałem dalej, tym razem do wnętrza willi.

Ich zbrojmistrz musiał być idiotą, powinien ich być wyposażyć w broń i zbroje odpowiadające ich sile, pomyślałem po raz nie wiedzieć który.

W głównym korytarzu było miejsca tak akurat na mnie i moje maczugi. Ani o włos więcej, ani o włos mniej. Gnali ku mnie w dwóch rzędach, jak lawina. Dwóch, czterech ludzi. Chyba. Ruszyłem biegiem, o krok przed nimi przeszedłem w piruet, przyciągnąłem ręce z maczugami do ciała, co na gładkim marmurze nadało mi jeszcze większej prędkości obrotowej, wpadłem między nich i wyciągnąłem ręce. Białe ściany korytarza natychmiast spływały krwią. Okazało się jednak, że były tam trzy szeregi, a nie dwa. Znalazłem się nagle twarzą w twarz z następnymi dwoma strażnikami, przeciwko którym nie mogłem użyć maczug. Schyliłem się, miecz rozdarł mi na ramieniu mój sztywny płaszcz. Złapałem lewą ręką za krawędź tarczy i odciągnąłem, prawą zacząłem bić przed siebie nieco na oślep. Trafiłem raz i drugi, ktoś zaczął charczeć, trzeci cios zamieniłem w uchwyt, który ułatwił mi przetoczenie się przez faceta.

Zdażyłem, zanim ostrze tego drugiego opadło, aby przeciąć mi kręgosłup.

W korytarzu nagle zaroilo się od ludzi. W większości nieuzbrojonych, w nocnych koszulach, w ogóle półnagich. Widocznie dotarło do nich wreszcie, że ochrona willi zawiodła i próbowali teraz ratować się ucieczką. Czemu nie? Próbować zawsze można, choć w tym wypadku nie mieli na co liczyć.

Tych nieuzbrojonych nie zabijałem. Zamiast tego używałem ich jako żywych pocisków przeciwko opancerzonym dryblasom. Działo nawet lepiej, niż się spodziewałem, pewnie dlatego, że pancerni wzdragali się przed zabijaniem cywili, których mieli za zadanie ochraniać. Dla równowagi ja zabijałem pancernych już bez żadnych skrupułów. Po kilku chwilach krwawego chaosu zostałem w korytarzu sam na sam z ostatnim z przerośniętych wojowników.

W rozedrganym świetle poprzewracanych olejowych lamp wyglądał jakoś tak niewyraźnie i niepewnie, jakby tu w ogóle nie chciał się znajdować. W odróżnieniu ode mnie, bo ja czułem, że właśnie jestem w najwłaściwszym miejscu na ziemi. I miałem zamiar wykorzystać to do ostatniej chwili. Póki co wszystko szło aż za gładko.

- Coś za jeden? - zapytał. Jak na swoje rozmiary, głos miał zaskakująco wysoki.

- Bakly - odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

„Twoja śmierć” czy coś podobnego zabrzmiałoby pewnie lepiej, ale... nie miałem smykałki do przemów.

Zmierzałem w jego stronę wolnym krokiem, bez broni, a on ustępował, jakby w ogóle zapomniał, że dzierżył w ręku miecz. Nagle jednak zaatakował wypadem, który być może miał być jedynie fintą, jednak nie dałem mu szans na przeprowadzenie właściwego ataku. Dopadłem go i przyparłem do ściany.

- Ty! - wycharczał.

Lewe przedramię wbilem chłopakowi pod brodę, unosząc go tak, że czubkami palców ledwie dotykał podłogi.

Miał znacznie lepszy kirys niż pozostali i wnioskując po

solidnym wgięciu, już raz musiałem go trafić. Tłukłem w stal, dopóki nie pokryłem jej krwią z własnej rozbitej pięści, dopóki wnętrzości, które zbroja miała chronić, nie zmieniłem w mieloną miazgę.

Puściłem bezwładną, pozbawioną życia kukłę i pozwoliłem jej paść na ziemię.

Krwawe szaleństwo zaczynało mnie powoli opuszczać. Poczucie, że żyję, gdzieś się ulotniło. To już wszystko? Uczucie, które mnie przepęłniało, najprędzej dawałoby się określić jako rozczarowanie. Nie tak sobie wyobrażałem mój ostatni, mistrzowski spektakl.

Po okolicznych pomieszczeniach w dalszym ciągu biegali ludzie, którzy z jakiegoś powodu nie opuścili jeszcze willi. Dziwne, na ich miejscu już dawno dałbym nogę. Nie interesowali mnie, byli jak komary, od których nie ma sensu się nawet odganiać. Znow zacząłem odczuwać paraliżujący głód.

- Nie wierzyłem, że jeszcze cię zobaczę - rozległo się.

Zmroziło mnie. Niedawno zagojone żebra, ponadrywane ścięgna, mięśnie, które miały już nigdy nie powrócić do sprawności, a jednak jakoś dały radę, we wszystkich tych ranach nagle znow odezwał się ból.

Rosen.

Odwróciłem się. To był on.

W korytarzu i w hallu mimo budzącego się dnia wciąż panowała szarówka, ale poznałem go i tak. Nie widziałem jego twarzy, lecz miałem wrażenie, że jego głos nie zabrzmiał tak pewnie, jak powinien brzmieć głos niedawnego triumfującego zwycięzcy. Oby, bo jeśli się myliłem, to już przegrałem. Wdepcze mnie w ziemię. Nagle w dwójnasób poczułem wszystkie rany, które mi zadał przy naszym poprzednim spotkaniu. Bolały mnie tak, że aż po plecach biegały mi dreszcze, żołądek wywracał się na lewą stronę, a wnętrzości ścisnęły się w ciasny, zimny węzeł. Bolało potwornie.

- Sięgnij po jakieś żelazo, bo mi za łatwo z tobą pójdzie - poradziłem Rosenowi.

Uśmiechnął się.

Czemu nie? To nikomu nie powinno zaszkodzić. Ja się nie uśmiechałem, nie było po co.

Do stracenia nie miałem już nic.

- Dopięliśmy swego! Sytuację mamy pod kontrolą! - krzyczał na mnie skądś z tyłu Łasiczka, ale po chwili zamilkł.

Zrobiłem pierwszy krok w stronę Rosena, potem drugi. Ręce trzymałem wiszące luźno wzdłuż tułowia. W pamięci miałem naszą poprzednią walkę w najdrobniejszych szczegółach. Jak i moje przemyślenia na jej temat, kiedy leżałem w malignie. Kiedy próbowałem przeanalizować, dlaczego wygrał. Był silniejszy ode mnie, szybszy, miał dłuższe ręce, masywniejszą klatkę piersiową. Oraz był w stanie inkasować niekończące się ciosy, co wydawało się nie robić na nim żadnego wrażenia ani nijak nie wpływało na jego kondycję.

Ostatnie metry.

Jednak nie był w pełni człowiekiem. W stosunku do tułowia miał zbyt krótkie nogi. Używał ich do podcinania, do kopnięć najwyżej do wysokości kolan. Potrafił nimi wywijać, to prawda, ale nie był dobry ani w bieganiu na dłuższe dystanse, ani w akrobacjach.

Tyle że ja też nie. Przy ostatnim kroku obniżyłem środek ciężkości i kopnąłem potężnie w przód, najszybciej, jak tylko zdołałem. Tego się nie spodziewał. Ludzie zazwyczaj nie spodziewają się rzeczy, które im samym sprawiają trudności. Cios w podbrzusze udało mi się zbić i już byłem przy nim z pięściami. Dał mi czas akurat na jedno trafienie, potem drugie stracił ruchem, jakby przeczesywał włosy, a szkoda, bo tym ciosem miałem szansę posłać go na ziemię, przed trzecim się uchylił. Nie odpuszczałem, starałem się nie wypuścić go z defensywy. Po chwili opamiętał się jednak, dostałem cios w dolną część żeber, kolejny minął o włos splot słoneczny, a jego energię pochłonęły mięśnie klatki piersiowej. Znow mógł się trzymać na dystans i korzystać z przewagi, jaką dawały mu te jego długie kafary.

Tym razem to ja poczułem się tak, jakby ktoś we mnie ciskał granitowymi głazami. Pękła mi przegroda nosowa, lewe oko zalewała krew, ale dostałem się bliżej, wsadziłem mu dwie pięchy w brzuch, a kiedy instynktownie się skulił, złapałem Rosena za głowę i pociągnąłem w dół, na spotkanie z moim podróżującym w górę kolanem. Raz, drugi raz, po czym poczułem, jak łapia mnie w imadło jego łapska, więc wysliznąłem się i odstałem.

Buch, buch, buch, jego błyskawiczny kontratak aż mnie odrzucił, jedno czy dwa żebra nie wytrzymały. Dałem krok w bok, żeby zejść z linii jego ataku, jakbym chciał się w ogóle usunąć, ale zamiast tego wyskoczyłem w górę i z półobrotu bosą piętą trafiłem go w skroń. Nie zdołałem wylądować z powrotem na nogach, padłem na plecy. Normalnego człowieka zabiłoby to na miejscu, a przynajmniej pozbawiło przytomności, a tymczasem Rosen się ani nie zachwiał. Oczy może i trochę mu się rozbiegały, ale nie przeszkodziło mu to w traktowaniu mnie nogami z siłą wodnych młotów. Namacałem ręką krzesło, którym cisnąłem w niego, aby zdobyć przynajmniej tyle czasu, żeby móc z powrotem stanąć na nogach.

- Tym razem cię zabiję. - Uśmiechnął się. Rozcięte wargi odstłoniły drapieżcze kły.

Jeśli o mnie chodzi, mógł nawet mieć rację, ale jeżeli ja mam umrzeć, to on razem ze mną.

Kolejne zwarcie, chaos uderzeń, sapanie, splątane ręce, nogi, kłincze, ciosy zadawane i inkasowane. Odstęp, krótka przerwa.

Opuściłem luźno ręce, żeby dać im odpocząć. Trzymanie ich w górze przez cały czas to potwornie męcząca robota. Równocześnie krok za krokiem zwiększałem odległość między nami. Wdech, wydech, ciężko to szło. Nie spodobało mu się, że się od niego oddalam, i ruszył za mną. Wyskoczył za szybko, niecierpliwie, miałem czas przykucnąć, podciąć go i zanim upadł, jeszcze mu sprzedać kopniaka w skroń. Skulił się tylko i znów mnie ścisnął w tych swoich stalowych objęciach. Mimo to jakoś udało mi się założyć mu dźwignię, ale znów zapomniałem o jego niehumanicznej anatomii i zdołał mi się wymknąć.

Stałem na nogi. Nawet nie pamiętam, jak mi się to udało. On już stał przede mną i delikatnie się zataczał.

- Po co żeś wrócił? - warknął.

Nie potrafiłem odpowiedzieć. Możliwe, iż wróciłem dlatego, że mnie pokonał i ta porażka pomogła mi przynajmniej na chwilę oprzeć się opium, zamienić żądzę narkotyku na żądzę zwycięstwa, żądzę rozdeptania go na miazgę. A może było zupełnie inaczej? Myśli miałem jakieś takie niejasne, rozmazane, zupełnie jakby nie były moje własne.

Ruszył mi na spotkanie, łagodnie się przy tym kołysząc na boki. Wiedziałem, że kolejnego uścisku jego gorylich łap nie przeżyję. Po prostu wyciśnie ze mnie życie jak sok z cytryny. Zanim na siebie wpadliśmy, wyskoczyłem w górę, chwyciłem go nogami w zapaśnicze nożyce i posłałem na ziemię. Zadudniło. Trzasnął marmur albo kości. Odturlałem się, zanim po upadku zdążył się opamiętać. Podniósł się i znów był na nogach. Wystrzeliłem do przodu, ale zatrzymało mnie uderzenie maczugi w brzuch. Straciłem dech, cofnąłem się. Z całych sił próbowałem utrzymać równowagę, ale nie dałem rady, klapnąłem ciężko na zadek. Nie, to nie była maczuga, to była jego ręka. Zbliżał się. Długie łapska kolebały mu się, zwisając wzdłuż ciała, ale wiedziałem, że tak naprawdę żyją własnym życiem, że potrafią poruszać się szybciej, niż potrafiłem zarejestrować. Podparłem się na jednej ręce i kopnąłem płasko, równoległe z podłogą. Kolano chrupnęło, ale wytrzymało. Zyskałem tylko tyle, że się zatrzymał. Patrzyliśmy na siebie nawzajem, ja leżąc, on stojąc nade mną.

Przy każdym oddechu czułem w ustach smak krwi i słyszałem ciche bulgotanie. Coś we mnie, w środku musiało pęknąć. Straciłem władzę w rękach, nie miałem pojęcia dlaczego. Widziałem tylko na jedno oko, a i na to niewyraźnie, serce waliło mi jak zmęczony dzwon, który w każdej chwili może po prostu zamilknąć. Byłem tak blisko śmierci, jak jeszcze nigdy wcześniej, i tak blisko życia, jak już nigdy nie będę, bo jeśli nawet uda mi się przeżyć tę walkę, wkrótce zabije mnie opium.

- Muszę to zakończyć - powiedziałem, ale nie usłyszałem nawet

własnego głosu, a jedynie rozmażane echo myśli.

Bliskość śmierci nic dla mnie nie znaczyła. Żyłem, mogłem się poruszać. Kiedyś, dawno temu, w ciemnościach, przyrzekłem sobie, że tylko definitywny koniec może mnie zatrzymać.

Wykroczył do przodu, a w tym czasie ja zwinąłem nogi pod siebie, odbiłem się i kopnąłem obiema nogami naraz. Nie próbował się zaślaniać, a może nie zdołał. Trafiłem stopami prosto w pierś. Przekazałem jego ciału całą moją energię, uderzył w ścianę za swoimi plecami, powalił ją i skończył w burzy kamieni, pyłu i gruzu. Ja z kolei padłem plackiem na podłogę bez żadnej kontroli.

To było dobre, to było bardzo dobre, cieszył się ktoś wewnątrz mnie. Leżałem na ziemi i czekałem. Zostało we mnie jeszcze na tyle siły, aby przeżyć? Przeżyć, by umrzeć nieco później?

- Musimy stąd spadać! Za chwilę nadciągną posiłki, a moi ludzie ich nie powstrzymają.

Pan Łasiczka. A skąd ten się tu wziął?

Jakimś cudem udało mu się postawić mnie na nogi i wypchnąć z willi na zewnątrz. Nie bardzo rozumiałem, co się tam działo. Okna miały pozamykane okiennice, wydawało mi się, że ktoś barykadował i drzwi. To bez sensu, okiennice otwierały się przecież na zewnątrz.

- No co, nie chcieliście się na nich wszystkich zemścić? Nie chcieliście, żeby się wszyscy zgromadzili w jednym miejscu? A ja wam to przecież zorganizowałem!

Aby przydać wagi swoim słowom, machał mi przed nosem dziko ręką z pochodnią.

Oddychałem już trochę lepiej, powoli wracały mi siły. Wraz z nimi przyszedł głód. Jeszcze niezbyt silny, ale wiedziałem, że to tylko początek, że się nasili, aż stanie się tak nieodparty, iż będę gotów uczynić wszystko, aby go tylko zaspokoić.

- Nie chcieliście się zemścić za to, że wam zabrali opium? - dopytywał.

Zabrali mi opium! Miał absolutną rację, to właśnie dlatego trzymał w ręku pochodnię. Wyrwałem mu ją, szarpnąłem

zamkniętą okiennicę i rzuciłem łuczywo do środka. Za nim cisnąłem butlę z olejem, którą podał mi Łasiczka. Ogień buchnął natychmiast.

- Niech nikt się nie wydostanie na zewnątrz - warknął na swoich ludzi Łasiczka. Wszędzie wokół nas przemykały ciche cienie. Mój wzrok w dalszym ciągu nie był jeszcze całkiem w porządku.

Główne wyjście nie zostało zabarykadowane i wraz z tym, jak się rozprzestrzeniał ogień, coraz więcej ukrywających się wciąż w środku ludzi próbowało się właśnie tamtędy salwować ucieczką.

Błąd, bo tam już stałem ja i każdego, kto się wynurzył z dymu stopniowo zmieniającego się w rozpalone piekło, kopniakiem posyłałem z powrotem. Nie chcieli mi dać mojego opium. Jako jeden z ostatnich pojawił się jakiś gość ze szkatułą na cenne dokumenty w jednej ręce i z podróżną walizką kurierską w drugiej. Coś do mnie krzyczał, coś mi próbował zaoferować. Nie wiem, o co mu chodziło, albo to płomienie huczały już zbyt głośno, albo coś huczało mi za bardzo w głowie.

Kopnąłem kuriera prosto w pierś, wykonał salto w tył i pochłonął go żółty jeźor płomienia, który wystrzelił gdzieś z boku. Zapłonęły mu włosy, przez chwilę jeszcze coś tam krzyczał, aż sobie definitywnie odpuścił. Ten był ostatni. Odszedłem na parę kroków, bo żar się robił nieznośny, siadłem na ziemi i przyglądałem się, jak ogień pożera starą willę.

Nagle zaroilo się zewsząd od gapiów, których cudze nieszczęście zawsze ściąga jak pszczoły do miodu. W miarę jak willa powoli zmieniała się w zgłiszcz, ich zainteresowanie słabło, a szeregi rzedyły. Łasiczka załatwiał sprawy z miejską strażą.

Nie wiem dokładnie, co im naopowiadał, ale po tym, jak się upewnili, że ogień nie zagraża okolicznym posesjom i że nikt nie zamierzał zgłaszać podejrzania o podpalenie, odeszli. Podpalacze są bardzo niebezpieczni i należy ich ścigać z całą surowością. Co do tego zgadzałem się z nimi w stu procentach. Na mnie nikt nie zwracał uwagi. Siedziałem na stronie i wszyscy brali mnie za szczęśliwca, któremu cudem tylko udało się ująć z

pożaru.

Do południa ogród znów się wyludnił. Siedziałem dalej w tym samym miejscu, czekając, aż Łasiczka sam się do mnie pofatyguje. Nie wszystkie warunki naszej umowy zostały jeszcze wypełnione.

Pojawił się wreszcie, ale do tego czasu mój głód tak spotężniał, że sama myśl, iż gdzieś tam czeka na mnie opium, doprowadzała mnie do szaleństwa.

- Dotrzymałem mojej części umowy. Pozabijałem ich wszystkich - powiedziałem ostro, kiedy się zatrzymał. - Co z waszą? Obiecaliście mi, że zgromadzicie w jednym miejscu całe pozostałe surowe opium, tak żebym mógł je zabrać i zniknąć - przypomniałem mu.

Gdyby Łasiczka spróbował mnie wykiwać, byłem gotów go zabić. Nawet jeśli nie od razu, to kiedyś w przyszłości.

- Oczywiście. - Popatrzył na mnie ostrożnie. - I ja swoją część również wypełniłem. Zgromadziłem w jednym miejscu całe surowe opium, jakie zostało po Ruvarku. Było tego dwa i pół chlebka.

- Było? - syknąłem.

- Owszem - przytaknął ze współczuciem. - Żeby wam ułatwić pracę, zarządziłem, żeby ludzie Janicka ukryli je właśnie tutaj, w willi. Wystarczyło, żebyście je wzięli i sobie poszli.

Na chwilę zapomniałem oddychać i tylko patrzyłem na Łasiczkę, czując, jak wzbiera we mnie furia.

- Spaliliście je! - wrzasnąłem bez opamiętania.

- Nie. - Pokręcił głową. - To wyście je spalili!

- Ale to wyście mi podali ogień! - wyłem.

Stał zbyt daleko, abym go sięgnął, a swoim nogom w dalszym ciągu nie mogłem ufać.

- Samiście go wzięli - zaprotestował.

Nie miałem opium, sam je spaliłem! To przecież nie mogła być prawda! Zacząłem się gorączkowo zastanawiać, jak się wydostać z tego zaklętego koła. Musiało istnieć jakieś wyjście, przecież nie mogłem tak po prostu zostać bez mojego narkotyku!

- Musi przecież istnieć sposób jego produkcji, jakaś receptura - powiedziałem zrozpaczony.

- Oczywiście - przyznał i odniosłem wrażenie, że w jego głosie kryło się rozbawienie. Poczulem, jak ogarnia mnie ogromna ulga. - Ludziom Janicka przeszukującym rzeczy Ruvarka udało się wreszcie znaleźć notatki dotyczące zarówno produkcji surowego opium, jak i łagodniejszej mieszanki. Musieli się zdrowo namęczyć, bo Ruvark ukrył je naprawdę dobrze, ale z drugiej strony Janickowi bardzo na tych dokumentach zależało.

- Gdzie jest ta receptura? Należy do mnie!

Łasiczka jeszcze kawałek się ode mnie odsunął.

- Wiecie, zorganizować wszystko tak, jak wam obiecałem, zgromadzić w jednym miejscu wszystkich ludzi Janicka i całe opium, to było wielkie wyzwanie. Udało mi się w ten sposób, że wywołałem w nich poczucie zagrożenia. Zdołałem wzbudzić w nich podejrzenie, że wszyscy pozostali gangsterzy zmówili się przeciwko nim i chcą przejąć cały pozostały rynek opium. Plan zadziałał fantastycznie. Zmienili tę willę w twierdzę, znieśli do niej wszystko, co miało jakąkolwiek wartość. Obawiam się, że recepturę miał ten ostatni człowiek. To była najcenniejsza rzecz, jaką posiadał, więc starał się ją uratować i oddać swemu panu. Ten ostatni człowiek, którego posłaście z powrotem do płomieni - uściślił.

Gdybym tylko mógł, zabiłbym go na miejscu, jednak w tej chwili byłem na to zbyt wyczerpany, a on zdecydowanie zbyt ostrożny.

Następnego dnia, kiedy zgliszcza nieco ostygły, zacząłem uparcie przeszukiwać pogorzelisko. Łasiczka mnie przy tym obserwował, ale w dalszym ciągu utrzymywał bezpieczny dystans. Niepotrzebnie, nic mu nie groziło. Częściowo dlatego, że rzeczywiście dotrzymał słowa, a częściowo dlatego, że podczas przeglądania ruin wróciły do mnie szczegóły naszej nocnej rozmowy przy strumieniu. To ja wymyśliłem ten plan i z pomocą wódki ukryłem go przed samym sobą, przed tą silniejszą częścią mnie, która łaknęła narkotyku. Przeklinałem sam siebie.

Głód nie słabł, a nawet jeśli, to niezauważalnie. Stawał się nieodłączną częścią mnie. Tęsknota za czymś, co nie istniało. Jednak poza tym nieustającym łaknieniem po dwóch tygodniach na głodzie w dalszym ciągu trzymałem się i radziłem sobie całkiem nieźle. Od czasu do czasu dopadały mnie tylko fale wściekłości, kiedy uświadamiałem sobie, że żadnego opium nie dostanę. Wiedziałem jednak, że gdybym tylko dostał je w swoje ręce, nie zawahałbym się ani przez chwilę.

- Są tu piwnice? - przyszło mi do głowy.

- Raczej katakumby - mruknął Łasiczka. - Bardzo głębokie. Więzili w nich ludzi. I grzebali.

Po godzinie poszukiwań udało nam się odnaleźć klapę wiodącą do podziemi. Łasiczka wyczarował skądś drabinę i zszedł na dno. Ja w dalszym ciągu nie czułem się na siłach na tak wymagający wyczyn. Zresztą wiedziałem, że wewnątrz nie będzie żadnego opium. Wyniuchałbym je.

- Znalazłem tu kogoś żywego! - dobiegło mnie zaskoczone wołanie.

Żywi mnie nie interesowali, jedynie opium, lecz i tak pomogłem mu wydostać więźnia na powierzchnię. Wychudzoną, zabiedzoną kobietę ze splątanym kołtunem zamiast włosów.

- Kim jesteście i jak długo was tam trzymali? - zaczął przesłuchiwać Łasiczka, kiedy wróciliśmy już do zajazdu, napoiliśmy ją i nakarmiliśmy kilkoma łyżkami rosółu z kury.

- Może ma trochę opium? - mruknąłem.

- Jestem Jane Steiner - odparła.

Łasiczka przyglądał jej się z niedowierzaniem, a we mnie wstąpiła nadzieja. Przecież ona też brała surowe opium, może ma jeszcze gdzieś schowane jakieś zapasy.

- Słyszałem waszego brata, kiedy opowiadał Janickowi, jak to was wszystkich musiał pozabijać, gdy poszaleliście i wpadliście w morderczy amok - powiedział Łasiczka dobitnie, nie spuszczać z niej wzroku.

Była wychudzona, miała może odrobinę za szerokie czoło, ale doprowadzona do porządku musiała być całkiem niebrzydka. I

odrobinę obłąkana, jeśli wierzyć jej oczom.

- To byłem ja, to ja ich zabiłam, a potem zdecydowałam się zemścić.

No to na opium nie ma co liczyć, zrozumiałem. Nawet jeśli coś tam miała, na pewno albo jej zabrali, albo zniszczyła sama. Nie lubię fanatyków.



Reszty historii wysłuchaliśmy już następnego dnia, kiedy nabrała trochę więcej sił. Opowiedziała nam o tym, jak sama na sobie użyła mikstur, eliksirów i koktajli, za pomocą których Ruvark zmieniał zwykłych mężczyzn w posłusznych olbrzymów, którzy go mieli ochraniać. Ją samą zmieniły one w atletycznego mężczyznę, silniejszego i szybszego niż większość, o władniętego tylko jedną myślą - zemstą.

Przysłuchiwałem się jej i równocześnie przyglądałem Łasiczce, który na Jane jakoś tak dziwnie spoglądał. W jego spojrzeniu kryły się uznanie i fascynacja, ale też i coś jeszcze, czego nie rozumiałem. Sam zastanowiłem się nad tym, przez co przeszła i jak jej się udało przeżyć.

Kiedy przyszło jej spędzić kilka tygodni w loszku Horowitza bez tych wszystkich eliksirów i mikstur, jej nienaturalny przyrost mięśni zatrzymał się i odwrócił, a organizm zaczął żywić się własną masą niczym zimujący niedźwiedź zużywający sadło. Dzięki temu zdołała przetrzymać bez jedzenia.

Może gdyby zażywała te świństwa trochę dłużej, zmieniłaby się w mężczyznę nieodwołalnie, a przynajmniej w prawie mężczyznę, a tak zostały jej po tym wszystkim może tylko nieco ostrzejsze rysy twarzy i odrobinę szersze ramiona.

Narkotykowy głód mnie nie opuszczał. Odsunął się w cień, przycisnął gdzieś z tyłu, ale był tam wciąż, nieustępliwy jak ból zęba, odciskając swe piętno na moich myślach, zwyczajach, całym życiu. Czasami uświadamiałem to sobie dopiero po jakimś czasie. Zacząłem na przykład chodzić na długie spacery po mieście, dopiero po kilku dniach dotarło do mnie, że po prostu

miałem nadzieję wychwycić gdzieś znajomy zapach. Na próżno, wszystko, na co się natknąłem, to były mdłe, całkiem mi obojętne wonie. Świat poszarzał, czułem, że tak naprawdę nie żyję. Każdego ranka zadawałem sobie pytanie, czy to uparte życie dla samego przetrwania ma jakąkolwiek wartość.

Po jakichś dwóch tygodniach odnalazł mnie Łasiczka. Siedziałem właśnie nad obiadem, który zupełnie mi nie smakował.

- Nad czym tak rozmyślacie? - zapytał.

- Nad tym, jak żeście mnie przechytrzyli - odpowiedziałem chmurnie.

- Sami żeście się przechytrzyli.

- No dobra... - Nie byłem w nastroju na dyskusję.

Rozmyślałem nad tym, kim tak naprawdę jestem i w imię czego miałbym dalej żyć, jednak nie miałem ochoty o tym rozprawiać. I tak o tym wiedział, bo tamtej nocy przy strumieniu wystarczająco mu się nazwierałem.

- Wyjeżdżam z Jane - oznajmił po chwili milczenia.

- Zamierzacie zniknąć? - zapytałem.

- Nie na stałe - wyjaśnił. - Podoba mi się, ale potrzebuje trochę czasu, żeby mogła zrozumieć, że i ja się jej podobam. Dlatego zdecydowałem się wziąć taki mały urlop. Księżę to zrozumie, a nawet jeśli nie... - Wzruszył ramionami.

- Życzę pomyślności.

Skinął głową i bez pożegnania rozplynał się w powietrzu, jak to miał zawsze w zwyczaju.

Tego samego wieczora stałem na rynku, gdzie handlowano do zmroku, i dokonywałem rachunku sumienia. Takie rozliczenie bywa zazwyczaj tym ostatnim krokiem i ja dokonywałem go każdego wieczora. Szukałem usilnie powodu, dla którego nie powinienem po prostu chwycić za nóż i poderżnąć sobie gardło.

Już kiedy przyjechałem do Damarkandy, na wielu rzeczach mi nie zależało. Wiedziałem, że i tak nie uratuję Zuzanny, piwo straciło smak, jadłem wyłącznie dlatego, że musiałem. Cieszyłem się na myśl, że kiedy to wszystko się skończy, siądę sobie gdzieś

pod lasem z butelką gorzałki i będę pić dotąd, aż pogrążę się w zapomnieniu, z którego nie ma powrotu. Teraz już nawet to nie wchodziło w rachubę. Wódka przestała mnie interesować, płynące z niej zapomnienie wydawało się jedynie bladym cieniem tego, czego pragnąłem, za czym tęskniłem. Tyle tylko, że surowe opium już nie istniało, a sposób jego wyrobu własnoręcznie wymazałem z tego świata. Wieczorami głód stawał się najgorszy, najsilniejszy, każdego wieczora próbowałem się zdecydować, wahałem się...

Kupiłem sobie piwo, ot tak, żeby mieć czym się zająć, i napiłem się. Smakowało inaczej niż do tej pory. Rozprowadziłem je po języku. Smakowało! To już nie była jedynie ciecz, którą piłem, aby ugasić pragnienie. Naprawdę miało smak. Spróbowałem pieczeni wieprzowej. Też zyskała smak. Nie najlepszy, ale zawsze smak. Nie mogłem zrozumieć, jak to się stało. Może stał za tym ów obezwładniający głód, który odczuwałem w każdej chwili dnia i który prześladował mnie również we śnie. Spróbowałem kolejnego kęsa. Może to właśnie ten głód wszystko wyostrzał, sprawiał, że więcej pragnąc, zaczynałem więcej odczuwać? A może wynikało to z faktu, że każdego wieczora rozważałem, czy ze sobą nie skończyć? Czy to dlatego, że wciąż sprzeciwiałem się szaleństwu pragnienia narkotyku, na krawędzi którego wciąż balansowałem? Może świat zaczął znów nabierać barw właśnie dlatego, że przetrwanie z dnia na dzień stało się tak trudnym zadaniem, że aż zacząłem traktować to jak wyzwanie? Zwykła, codzienna egzystencja stała się teraz walką o życie, o to, czy doczekam rana.

Nie wiedziałem, czy mam się z tego cieszyć, czy nie. Jednak to, że piwo miało smak, ucieszyło. Nawet to, co najgorsze, jest dla mnie zadowalające. Za każdym razem, kiedy zapominałem o tej maksymie, przychodziło mi ciężko za to zapłacić.

Rozejrzałem się w poszukiwaniu kolejnego wodopoju, w którym mógłbym przetestować powrót smaku, i zorientowałem się, że obserwuje mnie jakaś kobieta. Nigdy jakoś szczególnie nie wybierałem. Wysokie, małe, długonogie, chude czy nie... Nigdy

nie miałem wystarczająco dużo czasu, aby się nimi przejmować, a i też nie było znowu wiele takich, które by zainteresowały się mną. I to też do czasu, bo potem to już było tak jak z tym piwem.

- Widziałem was tutaj jakieś trzy tygodnie temu - zagadałem.

Nie była niebezpieczna.

- To prawda, handluję tutaj regularnie. Mnie też się wydaje, że już was tutaj widziałam, ale wyglądaliście wtedy... w lepszej kondycji, nie taki wyniszczony.

- Kiepskie czasy - odpowiedziałem jej ogólnikiem.

Była mną zainteresowana, dostrzegałem to wyraźnie, mimo iż zazwyczaj nie zwracałem na takie rzeczy uwagi. Nie miałem nic więcej do powiedzenia, więc tylko stałem w milczeniu. Jeśli jej to nawet w czymkolwiek wadziło, nie dała po sobie poznać.

- Mieszkam w Hervinie. To wieś kawałek za miastem. Mam gospodarstwo, z którym sama sobie nie radzę, a mój syn jest zbyt słaby do ciężkiej roboty. Mąż mi zmarł. Jeśli dacie sobie radę z robotą, obiecuję, że w tydzień podkarmię was tak, że znów będziecie wyglądać jak dawniej. A do tego będziecie mieli gdzie spać. W porządnym łóżku.

- To brzmi jak bardzo ciekawa oferta. Możemy ruszać?

- Nie macie żadnych rzeczy, które byście chcieli ze sobą zabrać? - spytała zaskoczona.

- Nic ważnego. - Pokręciłem głową.

I tak to wyszło. Ostry głód przenikający mnie na wskroś, zniekształcający każdą myśl spowodował, że wszystko postrzegałem inaczej, na nowo. Wszystko zyskało na wartości przez to, że mogłem w ogóle postrzegać i odczuwać.

Może też potrzebowałem krótkiego urlopu, przerwy w zabijaniu i wszystkim, co się z tym wiązało. Może Łasiczka miał rację, może przyszedł czas przypomnieć sobie, jak to jest - żyć.

- Nie jesteście szczególnie rozmowni - zauważyła, kiedy miejska brama została już w tyle za nami.

- Rozmyślam - odparłem zgodnie z prawdą. - A ponieważ nie jestem w tym najlepszy, zajmuje mi to sporo czasu.

Roześmiała się, jakby ją to rzeczywiście rozbawiło.

- A nad czym tak usilnie rozmyślacie? O ile to nie tajemnica.

- Nad tym, czy to łóżko, któreście mi zaoferowali, będzie wygodne.

- A to już zależy wyłącznie od was - zaśmiała się.

ZABÓJCA CZARODZIEJÓW



Wiatr świszczął na ostrych krawędziach głazów i skał sterczących groźnie ku niebu. Nawet teraz, na początku lata, w zacienionych miejscach wciąż leżały zwały śniegu, z którego wystawały pozamarzane kości i całe fragmenty szkieletów. Pozostałości niefortunnych śmiałków, którzy jeszcze w poprzednim roku próbowali sforsować przełęcz. Długa zima dobiegła końca, a wraz z jej odejściem wojna nabrała rozpędu. Chmury przemierzające niebo z szaloną prędkością wydawały się być na wyciągnięcie ręki, kępy bardziej szarej niż zielonej trawy poruszały się szarpane wichrem.

Prawie na samej ścieżce, oparty o jeden z głazów, zakutany w pelerynę, czy raczej może płaszcz z bawolej skóry, siedział mężczyzna. Na głowie miał futrzaną czapę, kanciastą brodę pokrywał kilkudniowy siwy zarost, oczy obramowane gęstą siecią zmarszczek miał zamknięte. Lis, którego przywiódł uwalniający się smród tającej padliny, przyglądał mu się podejrzliwie. Zbliżył się do mężczyzny, obwąchał, po czym zdecydował się jednak skoncentrować na rozmarzających nieboszczykach. Siedzący człowiek nie pachniał równie dobrze. Lis zaczął się pożywiać, ostrożny i cały w strachu.



- Zastrane góry! - Wichnowski pośliznął się i zaklął. - Uwaga pod nogi - ostrzegł idących za nim pozostałych.

Nie krzyczał. Nie chcieli, aby się nieprzyjaciel dowiedział o ich

obecności prędeej niż to absolutnie nieuniknione. Pod ciężarem jego ciała i ładunku pod stopą Wichnowskiego obsunął się nagle kamień, który, tocząc się w dół stromego zbocza, porwał za sobą niewielką lawinę kolejnych kamieni i żwiru. Nikt go nie sklął, nie zgłaszał pretensji. Wszyscy wiedzieli, że w tak trudnym terenie to się mogło przytrafić każdemu. Major Konrad Bullys obrócił się i spojrział na ciągnącego się za nim ludzkiego węża. Ktoś, chyba Peterson, jak przypuszczał major, zdecydował, że nie będzie się przed niczym uchylał i doskonale wymierzonym uderzeniem tarczy odbił spadające kamienie na bok, gdzie już dalej nie zagrażały kolumnie.

Bullys kiwnął głową z uznaniem. Jego ludzie nie należeli do najlepszych, oni byli najlepsi, nawet jeżeli w nazwie nie mieli żadnych wilków, tygrysów albo innych dzikich zwierząt, jak to bywało w zwyczaju u innych elitarnych jednostek. Ponieważ nie dowodził nimi szlachcic, takie prawo im nie przysługiwało. Splunął z obrzydzeniem i obrócił się znów w kierunku marszu. Wichnowski był już o solidny kawał dalej, i to mimo iż tachał na plecach sporą część ekwipunku Elcika Zitta - cesarskiego człowieka, którego mieli strzec jak oka w głowie i który potwornie ich spowalniał. Nie potrzebowali go do wykonania zadania. Nikt inny nie dostałby się tak szybko aż tutaj w tym ekstremalnie trudnym terenie. I to z całym oddziałem ciężkiej piechoty. Nie potrzebowali go.

- Sierzancie - Bullys zwrócił się do żołnierza, który właśnie wspinał się po stromiźnie obok niego - weźmiecie swoich ludzi i obsadzicie przełęcz, tak dla pewności, żeby nas w ostatniej chwili ktoś nie wyprzedził.

Brodacki, noszący w zgodzie ze swoim nazwiskiem gęsty, czarny zarost, nie zasalutował ani w żaden inny regulaminowy sposób nie potwierdził otrzymania rozkazu. Skinął tylko głową i zatrzymał się z boku, aby poczekać na resztę swoich żołnierzy.

Bullys poprawił hełm, który miał przytroczony do plecaka, i poczekał, aż się wreszcie zjawi Zitt ze swoją świtą. Chciał się upewnić, że tamten jest dobrze chroniony.

W chwili wewnętrznej szczerości musiał jednak przyznać, że piechota Varatchiego pewnie też zdołałaby się tu dostać, ale fakty były takie, że to właśnie jego oddziałowi zlecono to zadanie, a nie komukolwiek innemu, i Bullys był z tej decyzji wielce zadowolony. Oto spełniło się jego skryte pragnienie, otrzymał możliwość wyrównania z nieprzyjacielem własnych, osobistych rachunków. Wojna ciągnęła się już zbyt długo, a jej przebieg okazał się zbyt krwawy i bezlitosny, aby nie pozostawić za sobą zastępów ludzi, których prywatne życia zostały zmielone w jej trybach. Kiedy się to wszystko skończy, jego dwaj bracia będą pomszczeni. Już on się o to zatroszczy.

- Zandezi? - Wybrał jednego z żółtodziobów.

Przyjął go do jednostki stosunkowo niedawno, ale młodzik już się zdążył sprawdzić w boju. Był zawzięty jak wilk. Potrafił też pokonywać w krótkim czasie długie dystanse i był niezastąpiony jako posłaniec.

- Biegnij do Zitta i upewnij się, że wszystko tam jest w porządku. Nie chcę żadnych niemiłych niespodzianek.

- Tak jest, panie majorze.



Ścieżka przestała się wznosić, musieli dostać się na sam szczyt przełęczy. Wiatr tutaj był nie tyle zimny, co lodowaty, zupełnie jakby czerwiec jeszcze się nie zaczął. Brodacki zacisnął wysoki, futrzany kołnierz wokół szyi i podejrzliwie rozejrzał się po okolicy. Na wpół oczekiwał, że im się nie uda, że ktoś już tu na nich będzie czekał, jednak jego obawy okazały się bezpodstawne. Bullys poganiał ich dniem i nocą zupełnie zbytecznie.

- Nikogo tu nie ma - oznajmił z nieskrywaną ulgą Kramlow. - Możemy wreszcie odsapnąć.

Brodacki spojrział na niego z dezaprobatą. Wziął ze sobą Kramlowa nie dla jego intelektu, spostrzegawczości czy zdolności błyskotliwej oceny sytuacji, ale głównie dlatego, że Kramlow był prawdziwym olbrzymem, silniejszym nawet, niż na

to wyglądał, a do tego, jak na człowieka tej wagi, niezwykle zwinnym.

- Nasze rozkazy nie obejmują odsapki - warknął w odpowiedzi.

- Mamy zabezpieczyć przełęcz i ustanowić dobrze strzeżony posterunek.

- No ale tośmy już przecież zrobili. - Twarz Kramlowa rozjaśniła się w prostodusznym uśmiechu. - Nikogo tu nie ma i nikt nas stąd nie ruszy, choćby się nie wiem jak starał. - Poklepał znacząco przytroczoną do plecaka siekierę bojową, uśmiechając się przy tym jeszcze szerzej i odsłaniając wielkie, nieomal zwierzęce zęby.

- Powiedziałbym raczej, że się mylicie - odezwał się jakiś głos.

Brodacki spał się cały i zanim nawet zdążył o tym świadomie pomyśleć, jego plecak leżał już na ziemi, a on ścisnął w rękę miecz. To właśnie do niego przemawiał mniejszy głaz tkwiący tuż obok drugiego, większego.

To nie głaz, zmienił zdanie, przyjrzawszy się uważniej. To wielgachny, gruby facet.

Mężczyzna wstał. Jego długi, sięgający ziemi płaszcz rozchylił się, ukazując napierśnik zdobiony wilczą głową o rozwartym pysku. Wilk Varatchiego tutaj? Niemożliwe, uznał w duchu Brodacki. Ten gość musiał po prostu wygrzebać sobie fragment zbroi z tutejszych ubiegłorocznych pozostałości.

- A tyś co za jeden? Nie wiesz, że okradanie ciał szlachty jest karane? - Wskazał oficerski pancerz.

Kątem oka obserwował Azbuziego, który nie potrzebował rozkazu, aby wiedzieć, że czas naszykować kuszę. Azbuzi usunął się nieco na bok, aby nieznanego niepotrzebnie nie alarmować, po czym zabrał się do napinania cięciwy. Jeśli grubas będzie chciał sprawiać jakieś kłopoty, to się go po prostu ustrzeli. Brodacki nie miał w zwyczaju szukać problemów, wołał ich raczej unikać.



To była bardzo dobrze zgrana siódemka, zauważyłem już

wtedy, jak się zbliżali. Posilający się lis dostrzegł ich nie wcześniej, niż kiedy stali już obok mnie. Siedmiu chłopaków zdolnych utrzymać w bitwie linię, ale przede wszystkim nawykłych do tego, aby działać samodzielnie w terenie, a w razie czego stawiać czoła dwu-, może nawet trzykrotnie liczniejszemu przeciwnikowi, gdyby przyszło im walczyć z mniej doświadczonym wrogiem. Również z gatunku tych, co to nie mają problemów z szybkim odwrotem w przypadku przeciwnika, z którym nie mogą sobie poradzić. Chciałem od ich dowódcy wyciągnąć trochę więcej informacji, ale nie dali mi na to szansy. W momencie kiedy się odezwał, taki dziobaty tuż za nim złapał się za kuszę. Możliwe, że kirys, który chronił mój tułów, by wytrzymał, ale pewności nie miałem. Uznałem, że to nie najlepszy moment na przeprowadzanie testów. Ruszyłem ramionami, płaszcz z nich zjechał, a ja byłem już w ruchu, zanim jeszcze opadł na ziemię. Musiałem być szybki, bo kusza nie miała kołowrotka, tylko mechanizm do napinania z dźwignią. Za moment będzie gotowa. Strzelec, sierżant, wielkolud, a potem jedyńka i czwórka w miarę rozwoju sytuacji, ustaliłem kolejność.

Ich dowódca natychmiast zastąpił mi drogę, a pozostali zaczęli się przemieszczać, żeby nie musiał mi stawiać czoła sam. Znalazłem się jednak przy nim pierwszy. Wyprowadziłem cięcie na tarczę i jego miecz, ale nie wkładałem w nie całej siły, zależało mi tylko, żeby się do niego zbliżyć. Otworzywszy sobie drogę, wpadłem na dowódcę z impetem i uderzeniem z biodra posłałem w tył. Strzelec miał już kuszę nabitą, ale wciąż jeszcze trzymał skierowaną w dół. Długi wypad jedyńki zbiłem w locie i nie zatrzymując się, przeszedłem w obrót, na końcu którego wytrąciłem strzelcowi kuszę z rąk. Chwilę później rozplątałem mu głowę. Nie spodziewał się, że znajdę się przy nim tak szybko. Jedyńka był wprawdzie bardzo chętny do walki, ale nie przywykł jeszcze do przeciwników z dwoma mieczami. Podążył za swoim kompanem z przerąbanym karkiem.

Zakładałem, że po tym ataku będą na tyle zdezorientowani, zaskoczeni i wyprowadzeni z równowagi, że bez większych

problemów dostanę ich jednego po drugim, jednak za moimi plecami panował spokój. Kiedy się obróciłem, natychmiast zrozumiałem dlaczego. Naprzeciwko mnie stał ten olbrzym, podczas kiedy pozostali, uzbrojeni w miecze i w tarcze, rozstępowali się na boki, aby zrobić mu więcej miejsca, ale też i żeby dostać się za moje plecy. Nigdy nie walczyć tak, jak tego po tobie oczekują. Prosta zasada, choć nie zawsze łatwa do wcielenia w życie. Wybrałem dwójkę, który obchodził mnie szerokim łukiem, nie zważając, że stanąłem do olbrzyma tyłem. Niedbale ciąłem w krawędź tarczy, dokładnie tak, jak tego ode mnie oczekiwał, jednak zanim zdążył szarpnąć, aby wyrwać mi miecz z ręki, ja zrobiłem to samo. Byłem nieco silniejszy od niego i dzięki temu otworzyłem sobie drogę do uderzenia. Wykorzystałem to i jelicem drugiego miecza wbiłem mu nos głęboko do środka czaszki.

W ostatniej chwili krokiem w bok i kiwnięciem z pięty na palce uniknąłem pchnięcia grotem siekiery, które błyskawicznie przeszło w cięcie na rękę. Ten wielki bydlak okazał się cholernie szybki. Zasłoniłem się nie do końca tak, jak powinienem, ostrze nie wytrzymało spotkania z masywniejszą bronią i pękło. Uderzenie w bok na krótką chwilę mnie zatrzymało, jednak szybko się otrząsałem i drugim mieczem wycelowałem mu w pierś. Zasłonił się toporem, zadźwięczało, musiałem trafić w stalowe okucie toporzyska. Kolejna rzecz, której nie wziąłem pod uwagę. Bez błędnie odgadł mój następny ruch, po tym jak nasza broń się spotkała, szerokim łukiem odwiódł moje ostrze na stronę i sam ustawił się tak, aby mieć dogodną pozycję do poprowadzenia topora ruchem, który miał zmienić moje ciało w górę okrwawionego mięsa. Może mu się uda. Nie wiedzieć czemu, aż się na tę myśl zaśmiałem. Zaparłem się nogami, zaskrzypiał żwir. Nie było sensu odskakiwać, zamiast tego zmniejszyłem dystans i pięścią, w której nadal ścisnąłem utłamany miecz, walnąłem go w wyciągniętą dłoń. Miałem zamiar spróbować złamać mu rękę, ale w ostatniej chwili zdołał ją unieść. To na szczęście spowolniło jego atak, a ja znajdowałem

się już teraz na tyle blisko, że mogłem zadać mu cios złamanym mieczem. Nie w pierś, gdzie nic bym nie wskórał przeciwko jego kolczudze, ale z dołu ku górze, od uda w słabiznę. Miał prawdziwego pecha, że był ode mnie o tyle wyższy.

Sflaczał natychmiast, jego siekiere miałem w ręce, zanim on jeszcze wypuścił ją z bezwładnej dłoni. Nie tracąc czasu na rozglądanie się, zatoczyłem toporem szeroki łuk. Ich dowódca, który właśnie planował zaatakować mnie od tyłu, krył się tarczą, jednak siła uderzenia była zbyt wielka. Ostrze siekiery rozrąbało tarczę i przybiło jego biceps do boku. Mimo to wciąż próbował mnie jeszcze zaatakować, ale nie było już w tym za grosz siły. Zamiast mocować się z wyrwaniem siekiery z tarczy i ciała dowódcy, złapałem jego głowę w obie ręce i w tej samej chwili, w której zrozumiał, co go czeka, skręciłem mu kark.

Pozostali jeszcze trójka i czwórka. Błyskawiczna śmierć towarzyszy trochę ich spieszyła. Lecz nie na tyle, aby zechcieli tak po prostu uciec. Ich zawahanie dało mi jednak wystarczająco dużo czasu, aby wyswobodzić siekiere. Znakomita broń. Chwycałem ją oburącz i czekałem, aż mnie wzięli między siebie. Trójka umarł, ponieważ nie przypuszczał, że tak doskonale wyważoną bronią da się robić nawet jedną ręką. Ten ostatni nie miał żadnych szans, o czym doskonale wiedział, postanowił więc mi całą rzecz ułatwić.

- Ilu was jest i kiedy nadciągną pozostali? - spytałem.

Leżał przede mną na plecach, z rany w piersi wyciekała różowa piana, płuca wypełniały się krwią i coraz ciężiej łapał oddech.

- Wystarczająco wielu, żeby cię utłukli. - Splunął. - Coś ty, kurwa, za jeden? - zaświszczał.

Był twardy aż do końca.

- Bakły - odpowiedziałem i zostawiłem go, niech umiera.



Rozejrzałem się. Wnioskując z ekwipunku i z tego, jak dobrze walczyli, musieli należeć do jednej z elitarnych jednostek, których cesarz albo Varatchi używali do zadań specjalnych.

Czułem się prawie znakomicie. Ostatnimi czasy życie mnie nie bawiło i jedną z niewielu rzeczy, które jeszcze sprawiały mi jakąś radość, było zabijanie zabójców. A ci tutaj okazali się jednymi z najlepszych.

Siedmiu ludzi ze strategicznego punktu widzenia nie miało jednak większego znaczenia. Należało powrócić na ziemię. Ten ostatni potwierdził moje podejrzenie, że to tylko szpica. Najważniejsze w tej chwili to ustalić, ile zostało mi czasu, zanim dotrze tutaj oddział główny. Miałem nadzieję, że nie wcześniej niż za jakieś dwa, trzy dni. Do tego czasu powinien pojawić się tu garnizon obronny mający przejąć pieczę nad przełęczą w imieniu K., czy też hrabiego Daska, jak był powszechnie znany. Ja sam znalazłem się tutaj w zasadzie przez przypadek, ponieważ w ręce wpadł mi raport pana Łasiczki, który za pomocą licznych kurierów próbował dać K. znać, że coś się szykuje i dobrze by było, gdyby mógł jak najszybciej posłać na górę swoich ludzi. Pan Łasiczka był złodziejem, zabójcą i najcwańszym hazardystą, jakiego znam, pomijając mnie samego, ma się rozumieć. Tak jak i ja, już od kilku lat pracował dla księcia Daska i z jakiegoś niejasnego powodu często przychodzi nam pracować razem.

Skończyłem oględziny martwego i wstałem. Podnosząc się, uświadomiłem sobie nagle, że mnie boli prawy bok, a gruba przeszywanica nasiąknięta jest krwią. Krwawiłem. Niedobrze. Byli rzeczywiście bardzo szybcy.



Raport Zandeziego uspokoił majora. Sam czarodziej czuł się w porządku, a przydzieleni ludzie nie odstępowali go na krok, dokładnie tak, jak mieli przykazane. Tyle tylko, że przez ciągłe postoje nie mógł za nimi nadążyć. Trudno było mieć mu to za złe, bo tak diabelskiego tempa nie utrzymaliby nawet żołnierze regularnych oddziałów. To właśnie zdolność błyskawicznego przemieszczania się na duże dystanse była ich głównym atutem i czyniła z nich tak niebezpieczną jednostkę.

Do zmroku pozostało już niewiele czasu. Rozejrzał się i dostrzegł niewielką dolinkę, która nagle i niespodziewanie pojawiła się na zboczu przed nimi. Tam będą mogli przenocować.

- Zanim się połączymy z Brodackim, będziecie moim adiutantem - oznajmił Zandeziem.

- Tak jest, panie majorze - odparł młody żołnierz, nie dając po sobie poznać, czy tak nagły awans w hierarchii go cieszy, jest mu obojętny, czy wręcz przeciwnie, jest z niego niezadowolony z powodu większej odpowiedzialności i dodatkowych obowiązków.

- Rozbijemy obóz - powiedział Bullys i czekał, żeby zobaczyć, jak na to jego nowy bezpośredni podwładny zareaguje.

Ten bez zawahania ruszył wydać odpowiednie rozporządzenia podoficerom.

- Będziemy rozpalać ogień, panie majorze? - zapytał, kiedy wrócił.

Bullys rozważał to przez chwilę. Na tej wysokości noc będzie bardzo zimna, a do tego wszyscy byli już solidnie zmęczeni. Noc bez ciepła będzie ich kosztować utratę sił. Dokoła rośło wystarczająco wiele drzew, aby zapewnić im opał, a przed wzrokiem niepożądanych ciekawskich chroniły ich zbocza zagłębienia.

- Owszem. Ale nie chcę słyszeć żadnych głośnych rozmów, głos się niesie szeroko.

- Rozumiem, panie majorze - odparł Zandezi, po czym, tym razem nigdzie już nie odchodząc, za pomocą chorągiewek przekazał rozkazy dalej.

Musiał je pożyczyć od jednego z sierżantów, którzy je mieli na stanie. Poprzez obserwację musiał się też nauczyć znaczenia symboli, zgadywał w duchu Bullys. Chłopak ma potencjał.

Siadł i obserwował, jak Wichnowski i jego ludzie rozbijają jego namiot. Bycie dowódcą miało swoje dobre strony również w polu.

Kiedy zapłonął ogień, nalał sobie do kubka niewielką porcję wina i odstawił na kamień, żeby się ogrzało. Swoje zapasy niósł

sam, tak jak i pozostali. Tylko ten czarodziej burzył im doskonale dostrojony system. Jedząc niezbyt smaczną kolację, na którą składało się suszone, mielone, a następnie prasowane mięso, rozmyślał nad dalszymi krokami. Kiedy dostaną się na szczyt przełęczy i obsadzą obronny garnizon umożliwiający im dalsze ataki na terenie nieprzyjaciela, spełnią główne założenia misji. Po drugiej stronie gór, w kraju tak dzikim, że trudno go nawet nazwać krajem, znajdowała się spiżarnia zasilająca księstwo Daska. Setki, może nawet tysiące olbrzymich spichlerzy, które w swej dalekowzroczności książę kazał wybudować i napełnić ziarnem. Nawet kiedy wszystkie te spichlerze zmienią się w popiół, sytuacja nie zmieni się od razu, ale z nadejściem następnej zimy, kiedy przyjdzie klęska głodu, ludzie zaczną umierać tysiącami, może nawet dziesiątkami tysięcy. Dask i jego sprzymierzeńcy zostaną poważnie osłabieni. Bullys najchętniej Daska i jego rodzinę zamordowałby osobiście, jednak wiedział, że to nierealne marzenie. Przynajmniej w ten sposób mógł mu jak najwięcej zaszkodzić. A najlepsze, że był to jego własny plan, jego znakomity plan, który w końcu nawet sztab główny musiał uznać za wart wcielenia w życie.

Zandez wypelniał swoje powinności adiutanta, powrócił do ognia i zaczął przygotowywać sobie miejsce do spania, podobnie jak inni. To był dobry żołnierz i Bullys czuł, że oto znów natrafił na człowieka, który okaże się świetnym nabytkiem dla całego oddziału. Już samo to, jak szybko połapał się w sygnalizacji... Przez chwilę obserwował go kątem oka.

Młodzieniec wyciągnął z zanadru trzy kartki papieru i zaczął je czytać. Widać było, że nie czynił tego po raz pierwszy.

- Co tam macie? - zapytał major.

- Listy od rodziny. Mam brata i trzy siostry, a sam jestem potrójnym wujkiem.

Po raz pierwszy od momentu, kiedy major zwrócił na Zandeziego uwagę, na twarzy chłopaka odmalowało się coś innego niż neutralna obojętność. Wyglądało na to, że bardzo swoją rodzinę kochał i był z nią związany.

- A czemu wstąpiliście do armii? - pytał dalej Bullys.

- Moi rodzice mieli farmę na skraju Pustyni Gutawskiej, tuż na początku Żelaznej Doliny. W ostatnich latach szło nam to bardzo ciężko, ktoś z kimś ciągle wojował, a w końcu wypalili i ich. Musieli się spakować i iść gdzieś indziej. Starszy brat miał już rodzinę, a ja byłem tylko gębą do wykarmienia... - wyjaśnił.

Kiedy mówił o „wypaleniu”, głos mu wyraźnie stwardniał.

Bullys był bardzo zadowolony. Tacy żołnierze, powodowani pobudkami osobistymi, zawsze są najlepsi. Przez resztę wieczora, zanim sam udał się na spoczynek, studiował mapę i zastanawiał się, którędy najlepiej przeprowadzić przyszłą akcję dywersyjną. Ten plan z pewnością jeszcze się zmieni, w miarę jak zdobędą dokładniejsze informacje o rozmieszczeniu garnizonów nieprzyjaciela. To jednak nie stanowiło problemu. W tej chwili najważniejsze było ułożyć sobie wszystko w głowie tak, że kiedy przyjdzie właściwy moment, będzie w stanie podejmować właściwe decyzje. To najlepszy sposób, aby zemścić się za śmierć braci i zesłanie ojca na żebrzy.

Wrócił do rzeczywistości. Ponieważ główny oddział nie mógł się posuwać tak szybko, jak początkowo przypuszczał, dobrze byłoby posłać przodem jeszcze paru ludzi, aby wzmocnili pozycję na górze. Zastanawiał się w związku z tym, którzy ludzie są do tego najodpowiedniejsi i na których tymczasową utratę mógł sobie pozwolić.



Noc była długa i mroźna. Lubię ciepło, gorąco, piasek skrzypiący pod nogami, ściany domów promieniujące ciepłem. Lubię się wygrzewać w słońcu jak węże, jaszczurki czy pradawne dinozaury. Sam jestem trochę jak dinozaur - anachronizm, relikw przeszłości.

„Relikt” - obracałem tę dziwną zbitkę głosek na języku.

Pierwszy raz usłyszałem to słowo, kiedy wypowiedział je właśnie K. Przed kilku laty przeszedłem Pustynię Gutawską, co było wyczynem, który do tej pory uznawano za absolutnie

niemożliwy. Ja go uznaję za niemożliwy w dalszym ciągu. To inni twierdzą, że tego dokonałem. Sam mam z tego okresu bardzo niewiele zachowanych wspomnień. Te, które mi pozostały, głównie dotyczą gorących gejzerów, gór pozbawionych jakichkolwiek zwierząt lub roślin i olbrzymich szkieletów wystających z solnej równiny, którą po drodze przemierzyłem. K. zażyczył sobie później, abym mu o tych szkieletach opowiedział więcej, niż zostało zawarte w zwięzłych relacjach pana Łasiczki. Zaspokoilem jego ciekawość i muszę przyznać, że jeszcze nigdy nie widziałem go tak zainteresowanego czymkolwiek. Chciał wiedzieć wszystko, co widziałem, co czułem i co mnie samemu wydawało się, że widzę. Z właściwą sobie uprzejmością zapytał mnie, czy może sobie moją opowieść dokładnie zapisać. A kiedy dostrzegł, że ciekawi mnie jego zainteresowanie tymi dawnymi gadami, których szkielety towarzyszyły mej wędrówce, zdradził, że on sam dinozaury i podobne do nich inne stwory widział żywe, choć już zachował dla siebie informację gdzie. Miał ku temu powody, nie przeczę. K. zawsze ma ku wszystkiemu, co robi, niezaprzeczalne powody, jednak w tym przypadku nie zmieniało to faktu, że sam bardzo chętnie bym je kiedyś zobaczył. Olbrzymie stwory, które bardzo ciężko zabić. Równie ciężko jak mnie. Obiecał, że kiedy już się ta wojna skończy, zdradzi mi, jak się tam mogę dostać. Oczywiście, o ile obaj będziemy jeszcze żywi. O mało się nie zaśmiałem. O mało, bo śmiech i grymasy kosztują siły, a te musiałem oszczędzać.

Nie wierzę, że dożyję końca tej wojny, a możliwe, że nawet bym sobie tego nie życzył. Pomacałem bok. Rana już nie krwawiła, ale bolała jak diabli. Ból. Ból nie jest taki zły. Oznacza, że człowiek nadal czuje. Nie wierzę, że dożyję końca tej wojny, i nie przeszkadza mi to. Jedyne, czego żałuję, to że nie zobaczę tych dinozaurów.

Słońce wreszcie weszło. Siedziałem między dwoma głazami kawałek w bok od ścieżki. Najpierw wybrałem miejsce dla siebie, a potem, przy wtórze ciężkiego sapania, przytachałem dwa

kawałki skały, aby mnie zasłaniały od ciekawskich spojrzeń przybyszów z południa. Połamane przy tym drzewce wszystkich kopii, jakie znalazłem, ale dałem radę. Drewno zwyczajnie się do niczego nie nadaje.

Siedziałem i wypatrywałem, kto zjawi się pierwszy - obrońcy z księstwa czy ci ostrzy wojacy, których zwiad zabiłem. Szkoda, że nie było ze mną pana Łasiczki, on zawsze się chętnie zakładał. Ja bym obstawił tę drugą opcję.

Wygrałbym.



Wichnowski, kiedy zorientował się, że są już na górze, uśmiechnął się szeroko. Brodackiego oczywiście nigdzie nie było widać, w powietrzu nie unosił się nawet zapach dymu. Mógłby się założyć, że tamten drań chciał go zaskoczyć, żeby potem móc się przechwalać, jak to kumpla podszedł. Był rozczarowany, że to nie on został wybrany do pierwszej grupy, która poszła obsadzić szczyt przełęczy, ale przynajmniej teraz to się zmieni, bo miał przejąć dowodzenie. Drugą dobrą wiadomością okazała się ta, że Zandezi, jedyny, który potencjalnie mógłby się tu dostać szybciej niż on i jego drużyna, zmuszony był wlec się powoli z majorem.

Wichnowski bez słów, samymi tylko sygnałami dał pozostałym do zrozumienia, żeby ruszali dalej i zachowywali się przy tym, jakby znajdowali się na terenie nieprzyjaciela.

- Tam! - Pawlicz zignorował jego rozkazy, przerażony, wskazując coś przed nimi.

Wichnowski, zamiast na niego naskoczyć, posłuchał. Bez słowa wszyscy jak jeden mąż ruszyli przed siebie, aby móc lepiej dostrzec szczegóły. Ścieżkę przegradzał koślawy płot z połamanych drzewc kopii, na końcach których szczyrzyły się ponabijane głowy ich kompanów.

- Kurwa - powiedział Pawlicz i niczym zahipnotyzowany tym koszmarnym przedstawieniem, ruszył w jego kierunku.

Pozostali uczynili tak samo, aż wreszcie Wichnowski opamiętał

się, że przecież ten, kto te głowy tam wystawił, dokładnie tego po nich oczekuje.

- Stójcie, to pułapka! - krzyknął.

Zdażył się jeszcze obrócić, kiedy ktoś cisnął w niego olbrzymim głazem, który spostrzegł niewyraźnie w ostatniej chwili.

To nie głaz, uświadomił sobie, kiedy wnętrzności przebiła mu stal.



Miecz, który tu leżał od walk ubiegłorocznej jesieni, wcale nie był zły, a zdobyczna siekiera trafiła mi się wręcz wysmienita. Człowiek nie musiał nawet wyszukiwać łączenia fragmentów zbroi, wystarczyło tylko machnąć i już wyłuskiwała chłopaków z ich stalowych skorupek niczym smakosz ostrygi. Trochę mi też pomogły te głowy nabite na kopie. Napędziły im stracha, a to ich z kolei spowolniło. A mimo to i tak nie obeszło się bez strat z mojej strony. Jeden z nich - wszystko działo się tak szybko, że nie dostrzegłem nawet który - poharatał mi ramię, a kolejny rozciął skórę na czole. Była to tylko powierzchowna rana, ale krwawiłem niczym zarzynane prosię. Ostatni z nich o mało mi nie uciekł. Postanowił spróbować dać nogę między skały. Strzeliłem mu w plecy z przygotowanej zawczasu kuszy, ale niestety, trafiłem go niedokładnie. Musiałem się za nim wdrapać na górę i dokończyć ręcznie. Jednak nawet w świetle tych drobnych niedogodności należało przyznać, że i z drugą turą poradziłem sobie całkiem przyzwoicie.



Major Bullys wkroczył na szczyt przełęczy w towarzystwie Zandeziego oraz Petersona i jego ludzi. W sumie około piętnastu żołnierzy. Główne siły zostawił z Elcikiem Zittem, któremu z każdym krokiem ubywało sił, posuwał się wciąż wolniej i wolniej, co opóźniało cały oddział. Nie chciał ryzykować życia czarodzieja, bo cesarz był na punkcie tych miernot wyjątkowo

przeczulony.

Przełęcz okazała się opustoszała, nigdzie śladu po jego ludziach. Co znaczyło, że świetnie się spisali. Posterunek zarządzony tak, że nieprzyjaciel nie jest w stanie go dostrzec nawet tuż przed własnym nosem, był zdecydowanie godny pochwały. Odetchnął głęboko i nagle sposepniał. Wystarczyło mu jedno spojrzenie, aby zobaczyć, że Peterson czuł to samo. W powietrzu unosiła się śmierć. Smród krwi, wnętrzości, kwaśność rozprutych żołądków.

- Gotowość bojowa - zakomenderował, choć rozkaz okazał się zbędny. Wszyscy sami już to czuli.

Tobołki poleciały w trawę, tarcze powędrowały na ramiona, miecze w dłonie. W mgnieniu oka ustawili formację z trzema strzelcami gotowymi do strzału. I trzy powalone konie potrafiły załamać szarżę jazdy, dzięki czemu piechota miała większe szanse w obronie. To właśnie atak jazdy musiał najprawdopodobniej zaskoczyć Brodackiego i Wichnowskiego. Jednak skąd by się tu na górze wzięły konie, zachodził w głowę Bullys, rozglądając się bacznie dookoła. Do tej pory brak wiadomości od Brodackiego i pozostałych uważał za dobrą wiadomość, ale coś tu jednak poszło nie tak...

- Tam.

Już sam to dostrzegał - czternaście głów ponabijanych na kopie zagradzające im drogę. Niektóre z nich wyglądały wręcz, jakby im wciąż jeszcze drgały twarze.

Bullys rozglądał się na wszystkie strony z niedowierzaniem. Jak wśród tych skał mogło się z powodzeniem ukryć trzydziestu, czterdziestu ludzi? O mniejszej liczbie nie mogło być mowy. Nieprzyjaciel musiał mieć kilkukrotną przewagę, aby pokonać jego ludzi oraz tak doskonale uprzętać własnych poległych.



Piętnastu chłopów gotowych na każdą ewentualność. Piętnastu doświadczonych, zatwardziałych wojowników z dowódcą, którego nie wystraszyły nawet zmaltretowane zwłoki jego

własnych ludzi. Widziałem to po sposobie, w jaki się rozglądał, jak wydawał rozkazy i promieniował autorytetem. Ci też już się nie bali. Byli zaniepokojeni, nerwowi, ale nie dostrzegłem w nich strachu, który paraliżuje umysł i mięśnie. Szkoda, choć i tak na to nie liczyłem. Ta sama sztuczka rzadko kiedy udaje się dwa razy pod rząd.

Czy to byli wszyscy? Taka mała grupa dywersyjna? Może tak, może nie. Trzydziestu dobrze wyszkolonych ludzi mogłoby utrzymać przełęcz, choćby przeciwnik miał znaczącą przewagę, nawet kilka dni. Może właśnie po to tu przybyli, a w drodze była już niewielka armia, która miała za zadanie przewalić się na drugą stronę gór? Zastanawiałem się, ilu ludzi posłał Łasiczka. Coś się musiało stać, że jeszcze się tutaj nie pojawili. No, na to akurat nic nie mogłem poradzić.

Dalej czekałem, obserwując żołnierzy. Systematycznie sprawdzali po kolei wszystkie potencjalne kryjówki. Wiedziałem, że zakładali, iż ukrył się tutaj większy oddział, który przecież nie mógł się schować za dwoma kamieniami na krzyż. Łagodne podmuchy wiatru od czasu do czasu poruszały luźne kamienie ponad naszymi głowami, wtórowało im ciche pluskanie strumyka zasilanego topniejącym śniegiem. Po niebie krążyła kania, którą musieli przyciągnąć martwi.

Mogłem ich zostawić w spokoju, po cichu wycofać się i po drugiej stronie gór zejść stromą ścieżką. Jednak kto kontrolował przełęcz, ten kontrolował przeprawę przez góry. Pod osłoną łuczników mógłby wtedy z łatwością ślać swoich ludzi w dół, podczas gdy my musielibyśmy się pchać pod górę za cenę niewyobrażalnych strat. Może ludzie Łasiczki znajdowali się już tylko o kilka godzin stąd. Może dotrą na miejsce, zanim cokolwiek zacznie się dziać. Tyle że to było jedynie takie zgadywanie, a pewności żadnej mieć nie mogłem. Moim problemem stało się w tej chwili tych piętnastu zakutych w stal mięśniaków. Ktoś mądry by zawrócił, ktoś sprytny by zawrócił, zawróciłby i totalny idiota. Ja jednak należałem do specjalnej kategorii. Nazywam się Bakly i nie lubię rozwiązywania

złożonych problemów. Moim problemem było tych piętnastu chłopa. Jeśli ich zostanie dziesięciu, ktoś inny będzie mieć znacznie mniejszy problem. A kania więcej padliny do żarcia.

Uniosłem kuszę, wycelowałem i nacisnąłem spust. Pierwszy z mężczyzn krzyknął i padł. Trafienie z tak bliskiej odległości przestrzeliło mu udo na wylot. Uniosłem drugą kuszę. Koło ucha świsnął mi belt, drugi skrzesał iskry tuż za mną. Gdybym nie przykleknął, już by mnie mieli.

- Jest sam - odgadł ktoś ukryty za ścianą tarcz. - To Rzeźnik z Kletikonu, za jego głowę wyznaczono nagrodę.

Nie ma to jak sława.

Drugi strzał, druga noga i kolejny przeciwnik wyłączony z gry. Ruszyłem, zanim pozostali zdążyli ponownie załadować kusze.

Wykorzystałem zasięg siekiery, swoją masę i to, że nazawieszałem na sobie tyle żelaza, ile tylko zdołałem. Zastawili się jedynie prostą zasłoną z tarcz, która nie miała prawa wytrzymać pod moim naporem. Pchnięcie, cios, unik, ostrze na moim ramieniu, zgrzytnięcie stali na brzuchu. Siekiera poczerwieniała od krwi, miecz także. W ferworze walki nie wiedziałem nawet, na ile mnie zbroja ochroniła, a na ile zdołali dosięgnąć. Wyrwałem się poza ich rozbitą formację, pomiędzy kólkami długiej nad kolana kolczugi dostrzegłem tkwiące ułamane ostrze sztyletu. Ktoś próbował dziabnąć mnie w jaja i prawie mu się udało. Prawie.

Rzuciłem się z powrotem pomiędzy nich niczym kula roztrzająca kręgle. Pierwszemu brutalnym cięciem miecza wytrąciłem broń z ręki i uderzeniem całego ciała zwałem go z nóg, drugiemu przerąbałem rękę, mimo iż się zasłaniał tarczą, trzeci dostał mi się niebezpiecznie blisko, ale ochronił mnie pancierz na piersi. Zanim zdążył ponowić atak, ruszyłem na niego. Zamiast użyć broni, wałnął mnie tarczą, ale zniosłem to bez uszczerbku i chwilę później jelcem rozerwałem mu krtań. Po czym nagle zrobiło się wokół mnie podejrzanie pusto, co nie wróżyło nic dobrego. Dwóch kuszników miało mnie na muszce.

Szczęknięta cięciwa i pierwszy belt ześliznął się po ostrzu

siekiery. Było w tym więcej szczęścia niż czegokolwiek innego, ale nie zamierzałem się kłócić. Drugi trafił mnie w pierś. Usłyszałem zgrzytnięcie przebijanego żelaza, poczułem ból rwanego mięsa i pękających żeber. Świat się zatrzymał. Potem znów ruszył, choć już znacznie wolniej. Tamci przestali się spieszyć, strzelcy powoli opuszczali kusze. Cały świat zwalniał coraz bardziej i bardziej...

...aż ruszyłem znów ja.

Może i udało im się mnie trafić, jednak dzięki warstwom stali i mięśni jeszcze nie zabili. Niewiele brakowało, jednak ja kiedyś sobie obiecałem, a ból mi teraz tę przysięgę wtłaczał do każdego, najmniejszego kawałka mojego ciała, że nie przestanę, aż będę całkowicie i bezapelacyjnie martwy.

Znów nabrałem rozpędu, z kuszników została jedynie krwawa miazga. Może i byłem ranny, może i przez to nieco wolniejszy, ale w dalszym ciągu byłem niebezpieczny. Śmiertelnie niebezpieczny.



Zandezci upadł na bok. W pierwszej chwili wydawało mu się, że nogę ma całkowicie odrąbaną. Było to jednak tylko długie na dłoń cięcie. Obficie krwawiące cięcie. Przemógł słabość, z kieszeni wydobył bandaż i zaciskając zęby, zaczął opatrywać ranę. Nikt inny nie mógł mu teraz pomóc, musiał sobie radzić sam.

Nie mógł się jednak powstrzymać od spoglądania z fascynacją na samotnego wojownika. Do tej pory zdążył już wyeliminować z walki ośmiu ludzi, choć sam przy tym ucierpiał potwornie. Pancierz miał gęsto porysowany, kolczuga wisiała na nim w strzępach, z prawego uda wystawało ostrze sztyletu. Już się zataczał, już wyglądało na to, że jeszcze moment i padnie na ziemię. I rzeczywiście, miecz wypadł mu z ręki, runął na kolana. Zandezci odetchnął z ulgą. Koszmar dobiegł końca, zabili go. Ktoś z twarzą tak rozbitą, że Zandezci nie rozpoznał kto, zbliżał się do klęczącego z mieczem gotowym do ciosu. Z tyłu nadbiegał

Peterson, z boku zbliżał się Bullys. Peterson miał jedną rękę bezwładną, Bullys trzymał miecz oburącz, ale też był nieco skolowany. To była ciężka przeprawa, ale mają go. Nareszcie go mają! Zandezi nie wiwatował. Był zbyt wycieńczony tym, przez co właśnie przeszedł, aby okazywać jakiegokolwiek emocje.



Wyczuwałem ich, byłem świadom każdego ich kroku, ruchu, oddechu, mimo iż ich nie widziałem. Teraz. Ten przede mną wyciągnął się w górę, aby nadać swemu uderzeniu jak największą siłę. Najszybciej jak mogłem uniosłem oburącz siekiere i wbitem jej grot prosto w brzuch żołnierza, po czym natychmiast się przeturlałem. Bok na wysokości miednicy eksplodował bólem. Złapałem ostrze, żeby nie narobiło więcej szkody, ułamałem je, a tym, co zostało, dźgnąłem w górę. Drugi gość zakwilił, chwycił się rękami za krocze i zwałił na ziemię obok mnie. Trzeci i ostatni przyszpilił mnie do ziemi. Widziałem kiepsko, wszystko było rozmazane, ale nic mnie nie zabolalo. Musiałem się roześmiać. Został tylko jeden.

- I z czego się śmiejesz, idioto? - spytał.

Wyjaśniłem mu. Sam nie słyszałem swojego głosu, ale on mnie musiał słyszeć, bo dostrzegłem, jak kiwał głową.

- Głupcze, za chwilę będą tu dwie setki ludzi. Puścimy z dymem całą tę krainę po drugiej stronie gór i nic ani nikt nas nie zatrzyma.

Już się nie śmiałem, choć w dalszym ciągu nie czułem się w żadnym stopniu źle. Moja walka dobiegła końca. Ostrze miecza przeszywające ramię trzymało mnie przy ziemi, drugą ręką nie mogłem poruszyć, zupełnie jakby mi ją ktoś odciął. Nie dawałem rady nawet spojrzeć, aby sprawdzić, jak się sprawa miała w rzeczywistości. To tylko kwestia czasu, kiedy umrę, z pomocą tego żołnierza czy bez. Mimo to nadal starałem się podnieść, dopóki ból nie posłał mnie w błogą nieświadomość. A kiedy się z niej z powrotem wynurzyłem, próbowałem dalej.



Przykuśtykał jeden z żołnierzy. Miał być martwy, ale widocznie nie trafiłem go tak dobrze, jak mi się wydawało. Jeden z tych młodszych, jego szczęście.

- Kto to jest? - spytał.

- Jest martwy, już jest martwy - powtórzył spokojnie dowódca.

Nie zaprzestawałem wysiłków, jednak ostrze wciąż trzymało mnie przybitego do ziemi i co chwila posyłało na granicę nieprzytomności.

- Kto to jest? - powtórzył pytanie młodzieniec.

- Rzeźnik z Kletikonu, demon z Pustyni Gutawskiej... Bakly - wyjawiał mu moje imię tamten.

Młody wyglądał na zamyślonego. Popatrzył na mnie, spojrzął na miecz, który trzymał w ręku.

- Jest mój, ja go zabiję. - Dowódca pokręcił głową. - Za jego głowę jest wyznaczona nagroda, pięć tysięcy złotych. - Roześmiał się.

- No to dalej - zachęciłem go, choć mogło mi się tylko wydawać, bo swojego głosu nie słyszałem.

Młodzik przyglądał nam się, wyraźnie nad czymś rozmyślając, wreszcie skinął głową, jakby się na coś definitywnie zdecydował, i zwiesił rękę z mieczem luźno wzdłuż ciała. Błąd, mógł się przecież sam zgłosić po te pięć kawałków. Dowódca nagle drgnął i opadł na kolana, a jego twarz znalazła się na tyle blisko mojej, że stała się najwyraźniejszym obrazem w polu widzenia. Nie żeby to w tej chwili znaczyło zbyt wiele. Potem przewrócił się na bok, a ja dostrzegłem sztylet, który miał wbity w słabiznę. Niestarannie, wciąż jeszcze żył.

Młodzieniec ostrożnie wyciągnął ostrze miecza z mojego ramienia i pomógł mi się wygodniej ułożyć, po czym zaczął mnie opatrywać, nie zwracając uwagi na jęki swojego przełożonego.

- Dlaczego? - zaciekałem się.

Nie żeby to miało jakiegokolwiek znaczenie, i tak za chwilę miałem umrzeć.

- Dlaczego? - chciał wiedzieć dowódca.

On też miał zaraz umrzeć, jechaliśmy na tym samym wózku.

- Moja cała rodzina: ojciec, matka, brat, trzy siostry i ich dzieci była częścią marszu śmierci z Oazy Hutskiej. Przed śmiercią na pustyni i z rąk Czarnych Jeźdźców uchronił ich mężczyzna, imieniem Bakly. Zrozumiałem, że to ty, kiedy nazwał cię demonem z Pustyni Gutawskiej.

Mówił o kimś innym, nie o mnie, o kimś o tym samym imieniu. Przynajmniej tak mi się wydawało. Nie jestem z tych, co pomagają ludziom. No, chyba że w przenoszeniu się na tamten świat, ale to wyjątek.

- Przysiągłem sobie, że o ile to będzie w mojej mocy, spłacę ten dług - dodał młodzik.

To rozumiałem. Wiedziałem to i owo o spłacaniu długów.

Gdy opuszczało mnie podniecenie walką, krew zaczęła stygnąć, tętno się uspokoiło i przebudził się ból. Nie zwykły ból płynący z rany w ramieniu, lecz ból przenikający każde włókno mojego ciała, ból ogarniający każdą zadaną mi ranę i pożerający wszelkie siły oraz energię. Ból, który sprawiał, że człowiek oczekiwał śmierci jak wybawienia. Ja takiej możliwości jednak nie miałem, wciąż żyłem.

Tocząc zaciętą walkę z agonią, zajęczałem. Oddychać było mi trudno, patrzeć ciężko, samo istnienie było nie do zniesienia. Byłem złamanym człowiekiem, mój upór przedłużał tylko cierpienie, ale mimo wszystko nie poddawałem się.

Dowódca obok mnie zacharczał i nagle się rozluźnił. Żył jeszcze, ale już dobił targu z zębatą damą i mógł się przestać czymkolwiek martwić. Wiele razy widziałem, jak ludzie umierają, wiedziałem, jak rozpoznać nadchodzący koniec. Nabrałem z wysiłkiem powietrza. Jakbym wciągał do płuc roztopiony ołów. Walczyłem ze śmiercią, chociaż sprawiało mi to niewyobrażalny ból, a samej śmierci wręcz pragnąłem. Nigdy nie twierdziłem, że życie jest fair.

Mimo że nie dobiegł nas żaden dźwięk, nagle poczułem, że ja i młodzik jesteśmy ostatnimi żywymi ludźmi w okolicy.

Czas płynął, a ja wciąż nie umierałem. Dziwne, bo rany, które otrzymałem, wystarczyłyby na zabicie pięciu ludzi.

- Ilu was jeszcze nadciąga? - udało mi się powiedzieć, chociaż dławilem się własną krwią. O dziwo, tym razem usłyszałem już swój głos całkiem wyraźnie.

- Będzie z dwieście pięćdziesiąt ludzi. Specjalna jednostka uderzeniowa Bullysa. Do tego jeden czarodziej - otrzymałem odpowiedź.

Powiedział to obojętnym tonem, myślami był gdzie indziej.

- Jak to było, tam wtedy w pustyni? - Swoim pytaniem zdradził, nad czym tak rozmyślał. - Mój brat jest mężniejszy ode mnie, ale pisał mi, że płakał, że myślał, iż wszyscy umrą, że stracił wszelką nadzieję.

I co ja mu miałem na to odpowiedzieć?

- Dokładnie tak było - rzuciłem, zastanawiając się równocześnie nad czymś innym.

Oto zbliżał się do mnie czarodziej, a ja wciąż jeszcze żyłem. Dumalem, co mam z tym fantem począć. Nie lubię czarodziejów, a to dlatego, że moja córka jest czarodziejką. Kocham swoją córkę i zabijam czarodziejów, aby oni nie mogli zabić jej. Kocham swoją córkę i dlatego zabijam cesarskie pieski, żeby oni nie mogli zabić jej. A w każdym razie, aby zabili ją jak najpóźniej.

- Potrzebuję pomocy - poprosiłem młodzika.

Nie pamiętam, kiedy ostatni raz powiedziałem coś podobnego. Możliwe, że nigdy.

- Nie dam rady znieść was w doliny, jesteście zbyt ciężcy, a ludzie Bullysa będą tu za kilka godzin. Wypełnią zadanie nawet bez swojego dowódcy.

- Teraz to już są ludzie Bullysa? To już nie są twoi druhowie? - spytałem.

Wzruszył ramionami.

- Wybrałem swoją drogę. Bywają takie chwile, kiedy człowiek wyboru nie ma. Ocaliliście moją rodzinę.

- W takim razie pomóż mi. Tym razem...

Musiałem przerwać, bo załała mnie fala bólu tak ostrego, że pozbawiła władzy nad własnym gardłem.

- ...na poważnie - dokończyłem.

Wyglądało na to, że i umieranie szykowało mi się specjalne, inne niż dla reszty zwykłych ludzi. Takie baklowskie.

- Jak? - spytał tylko.



Śledziłem wzrokiem zbliżających się mężczyzn. Atletyczni, nieugięci, w pełni sił, gotowi wykonać zadanie, jakiegokolwiek by ono było. Bezlitośni i okrutni. Podobni do mnie.

Widzieli mnie z daleka, ponieważ stałem na najwyższym punkcie przełęczy, na samym środku ścieżki. Towarzystwa dotrzymywały mi głowy na kopiach i zwłoki pokonanych u moich nóg.

Był to na dobrą sprawę makabryczny dowcip, ponieważ słowo „stałem” było tutaj nadużyciem. Na nogach trzymała mnie jedynie konstrukcja, którą Zandezi - bo tak się ten młody żołnierz nazywał - sklecił ze wszystkiego, co tylko udało mu się znaleźć. Jedną rękę miałem przywiązaną do toporzyska siekiery, które częściowo zostało oparte o ziemię, a drugą trzymałem położoną na mieczu podpartym krótką tyczką w taki sposób, aby od strony, skąd nadciągało wojsko, nie było jej widać. Wyglądałem raczej jak strach na wróble, ale i tak lepsze to, niż obserwować ich, leżąc.

Tak naprawdę byłem zaskoczony, że ich widzę, oczekiwałem, że umrę, zanim tu w ogóle dotrą. Na szczęście zjawili się szybko, to im musiałem przyznać.

Jako pierwszy dostrzegł mnie wysoki blondas z rozbieganymi oczami. Ludzie za nim bez żadnego wyraźnego rozkazu rozstąpili się do szerokiego wachlarza, a on sam szedł dalej, aby sprawdzić, kim jestem.

Najbliżej prawdy byłoby pewnie stwierdzenie, że trupem odmawiającym zeszywnieć, ale miałem nadzieję, że z jego punktu widzenia nie było to aż tak ewidentne. Co zaś było bardzo ewidentne, to stos ciał na ziemi i głowy ponabijane na kopie. Nerwowo rozglądał się za moimi kamratami, ale mimo iż

wypatrywał bardzo uważnie, nie dostrzegł najmniejszych oznak ich obecności. I właśnie to go niepokoiło najbardziej. Wyglądał na takiego, co to umie wytropić ślad pośrodku wyschniętej równiny, jednak tutaj jego talenty nie zdały się na nic. Stałem po prostu sam.

- Nie jesteście tu mile widziani - rzuciłem.

Kiedy przed godziną Zandezi drapował mnie na tym stelażu, zacząłem krwawić z ran, o których nie miałem wcześniej nawet pojęcia. Teraz wraz z każdym wypowiedzianym słowem pluję krwią.

- Kim jesteście i dla kogo pracujecie? - spytał blondyn podejrzliwie.

- Oddajcie mi czarodzieja, a zostawię was przy życiu - powiedziałem, ignorując jego pytanie. - Nie skończycie, jak ci przed wami.

Dzięki temu, że drewniana konstrukcja zapewniała mi równowagę, odważyłem się unieść nogę i kopnąć specjalnie w tym celu przygotowaną głowę majora Bullysa. Potoczyła się elegancko, blondynowi prosto pod nogi.

- Jestem zabójcą i przyszedłem tu po waszego czarodzieja.

Nie bardzo wiedział, co ma na to odrzec. Widziałem, jak spojrzeniami porozumiewał się z dwoma najdalej wysuniętymi ludźmi na obu skrzydłach wachlarza. Zgadywałem, że dwóch, może trzech, trzymało mnie już na muszce.

- A jak tego czarodzieja myślicie zabić? - spytał.

Nie był głupcem, wiedział, że za każdą informację, którą zdoła ze mnie wyciągnąć, czeka go w przyszłości wyróżnienie.

- To już ustalę sam - odezwał się nieco piskliwy, ale pewny siebie głos. - Skoro major Bullys nie żyje, a widzę, że nie żyje - szczupły mężczyzna w płaszczu zdobionym złotym haftem i z przypiętymi srebrnymi sznurami galowymi wystąpił z szeregu żołnierzy i zrównał się z blondynem - oznacza to, że dowodzę teraz ja - dokończył zdanie, zanim ktokolwiek zdążył go powstrzymać. - Wedle rozkazu Jego Ekscelencji, arcyksięcia Ritcha Varatchiego.

Widziałem po wyrazie twarzy blondyna i pozostałych, że mówił prawdę.

- Jestem Bakly - oznajmiłem i aż sam się zdziwiłem, że głos mi nie zadrżał. - Każ swoim ludziom odejść, to ich oszczędzę, ty już jesteś martwy i tak.

Świetny blef, zadziwiałem sam siebie.

Zarejestrowałem dyskretny gest blondyna, a wraz ze mną dostrzegli go ludzie rozstawieni po bokach. Zadzźwięczały cięciwy, dosięgły mnie dwa bełty. Tor lotu jednego odchylił nieco mój płaszcz i tylko ześliznął się po zbroi, aby wylądować spory kawał dalej na kamieniach. Drugi trafił prawidłowo, przeszył pancerz i wszedł głęboko w ciało.

- Zwykle broń się mnie nie ima - dałem radę szybko oznajmić, zanim płuca wypełniły się krwią.

Udało mi się. Wciąż jeszcze nie byłem martwy, a dawno temu przysiągłem sobie, że zatrzymać mnie może jedynie śmierć. Teraz nadchodziła definitywnie i cieszyłem się na jej spotkanie.

Czarodziej uniósł ręce w geście koncentracji, po czym zainicjował czar.



Zandezi przyglądał się całej tej scenie ukryty pomiędzy dwiema kępami trawy. Najbardziej zaskoczyło go, że nawet po trafieniu z kuszy Bakly dał radę odezwać się z takim opanowaniem i zimną krwią. Rzucany przez czarodzieja czar odczuł jako coś niezwykle złowieszczonego, mrożącego krew w żyłach i wysysającego ciepło aż ze szpiku kości. Czuł się tak, jakby w jednej chwili ktoś zabrał mu kilka lat życia. Głaz na prawo od Baklego pękł, trawa i porosty wokół niego pokryły się rdzawym nalotem, jakby je coś w mgnieniu oka spaliło.

- I to już wszystko? - umierający mężczyzna zdobył się na jeszcze jedną replikę.

Czarodziej wykrzywił usta i splótł ręce w jakiś przedziwny węzeł, aby następnie płynnym gestem postać kolejny czar. Zandezi zwymiotował i instynktownie uniósł się na kolana, aby

nie udusić się zawartością własnego żołądka. Jeszcze nigdy w życiu nie czuł się tak źle. Rana na udzie to przy tym błahostka.



Bakly uczynił krok do przodu, co pozbawiło go podpory drewnianej konstrukcji ukrytej pod płaszczem.

- To już było lepsze, łajzo, ale i tak niewystarczające - odezwał się chropawym głosem, w którym teraz pobrzmiwała jakaś zupełnie obca, nowa nuta.

Brzmiał niczym kamienna lawina - chrapliwie, nieludzko, śmiertcionośnie.

Czarodziej posłał trzeci czar. W powietrzu trzasnęło jak z bata i wielki mężczyzna trzymał nagle w rękach opalizującą mocą siekiere. Ruszył przed siebie długimi, sprężystymi krokami, jakby był zupełnie zdrowy, jakby nigdy nie ucierpiał ran, które spokojnie wystarczyłyby na zabicie kilku ludzi.

Ani Elcik Zitt, ani żaden z ludzi Bullysa nie ustąpili ani o krok. Zandezi wiedział, że robili błąd. Teraz żaden człowiek, nawet czarodziej, nie był już przeciw niemu wystarczający. Kolejne uderzenie magii Bakly zwyczajnie odbił rozjarzonym ostrzem siekiery, po czym rozpętał istne jatki, które w ciągu kilku chwil pochłonęły dziesiątki ludzkich istnień. Czarodziej wciąż się bronił, Zandezi odczuwał każdy czar jako bezlitosne ostrza przebijające mu wnętrzności, jednak Baklego to nie zatrzymało. Wręcz przeciwnie, z każdym zaklęciem wydawał się nabierać siły, a przy tym tracić też coraz więcej ludzkich cech i słabości. Ostatnim, co Zandezi zarejestrował, zanim stracił przytomność, były ręce Elcika Zitta próbujące składać się do kolejnych zaklęć, choć głowa czarodzieja leżała już kawałek dalej, niczym upadła kometa z krwawym ogonem. A Bakly nie ustawał.



Zandezi ocknął się dopiero na miejscu zaaranżowanego przeze mnie tymczasowego obozu. Zniosłem go dobrych sto metrów w

dół zbocza, abyśmy się trochę oddalili od poboju. Gdyby chodziło tylko o tych parę setek martwych, nie musielibyśmy oddalać się aż tak bardzo, jednak niektóre z zakłęb użytych przez czarodzieja, okazały się naprawdę paskudne i jeszcze teraz, mimo jego śmierci, zagrażały wszystkiemu, co żywe.

Młodziak dochodził do siebie powoli, a wyglądał przy tym, jakby mu coś poważnie zaszkodziło, jednak czułem, że da radę. Twardy był.

Przed wieczorem na zakręcie ścieżki, która wiała się w dole pod nami, pojawili się ludzie zakutani w kozuchy. Po drugiej stronie gór zima jeszcze się nie skończyła, a sądząc po przytroczonych do plecaków rakietach śnieżnych, mogłem wnioskować, iż szli z południa, co oznaczało, że musieli przepawić się przez zamrażnięte równiny. Nie mieli tarcz, zamiast tego każdy niósł pęk oszczepów. Mimo iż stok był całkiem stromy, poruszali się biegiem. Jeśli mieli pod kozuchami jakieś zbroje, musiały być bardzo lekkie. To pewnie jedna z tych na wpół partyzanckich jednostek, których książę używał czasem do wybijania z głów wrogich feudałów głupich, dywersyjnych pomysłów.

- Coś za jeden? - spytał krępy mężczyzna o twarzy jak ze skóry bydłcej, którą ktoś zdarł, potem stwierdził, że nie podoba mu się to, co widzi, i przyklepał ją z powrotem na miejsce.

- A co wam do tego? - odpowiedziałem pytaniem na pytanie.

Zandezi przewrócił oczami zrezygnowany, lecz nic nie powiedział.

Człowiek z pogniecioną twarzą obejrzał się na nadciągających ludzi. Naliczyłem ich trzydziestu, a wciąż przybywali kolejni.

- Gdybym nie przytargał tylu moich kamratów, z waszej odpowiedzi mógłbym nabrać poczucia, że jestem tutaj sam. - Pokręcił głową, jak się wydawało, ze zdziwieniem.

- Gównu mnie obchodzi, ilu was jest, bardziej chciałbym wiedzieć, gdzieście się objali tyle czasu.

Mężczyzna roześmiał się i przysiadł się ochoczo do naszego ognia.

- Ty musisz być Bakly. Nikt inny nie próbowałby w taki sposób

obrazić pięćdziesięciu uzbrojonych ludzi. Łasiczka opisał cię bardzo trafnie.

Nic na to nie odpowiedziałem. Przy ogniu dołączyli do nas kolejni czterej mężczyźni, zapewne dowódcy niższego stopnia. Skórzana Gęba wyciągnął z plecaka kawał mięsa i placek i mnie poczęstował. Jeden z jego kumpli podobnie potraktował Zandeziego. Przynajmniej jedna rzecz, która mi się w nich spodobała.

- Ktoś otruł pułk Gotskiego. Wprawdzie nie wszyscy pomarli, ale nikt z pozostałych przy życiu nie dałby rady się tutaj dostać, stąd my. Przez ostatnie trzy dni zrobiliśmy ze dwieście kilometrów - wyjaśnił mi Skórzana Gęba.

Przez chwilę przeżuwałem te informacje do wtóru z mięsiwem. Zabijanie, o ile w jego trakcie nikt człowiekowi nie rozpruje brzucha, to zajęcie przyprawiające o głód i pragnienie. Wyglądało, że przeprawa przez góry była częścią doskonale zaplanowanej akcji dywersyjnej. Jednego z wielu posunięć w tej chaotycznej rozgrywce, jaką stała się ta wojna. Ja w niej byłem tylko pionkiem, choć należało przyznać, że ciężkim do strącenia z szachownicy.

- Na waszym miejscu poczekałbym z rozbijaniem obozu na górze do jutra. - Machnąłem ręką w kierunku szczytu. - Powietrze niezdrowe, umarł tam czarodziej - pospieszyłem z wyjaśnieniem, kiedy na ich twarzach odmalowało się zaciekawienie. - Pozostaje po nich smród, który dla normalnych ludzi nie jest zbyt zdrowy.

Skórzana Gęba przyglądał mi się przez chwilę w zamyśleniu, po czym pokiwał głową.

- A co jeszcze tam znajdziemy? - chciał wiedzieć jeden z jego towarzyszy.

- Paru martwych wojaków, nic więcej.

- Co ich zabiło?

Strasznie byli ciekawscy, ale dało się to zrozumieć.

- Ja. - Wzruszyłem ramionami.

Na tym zakończyliśmy naszą pogawędkę i zaczęliśmy szykować

się do snu. Czekala mnie kolejna mroźna noc wysoko w górach. Mialem nadzieje, że szybko znajde się gdzieś indziej, gdzie będzie duzo cieplej. Chociaż, znając moje szczęście, pewnie kroki powiodą mnie dalej na południe, gdzie od dobrych dwóch lat nieprzerwanie trwała zima.

Leżałem na swoim posłaniu i spoglądałem w żarzące się węgielki.

Wszyscy już spali. Wszyscy oprócz Zandeziego, który przyglądał mi się w milczeniu. Czułem, że zbiera się w sobie, żeby coś powiedzieć. Dołożyłem do ognia i czekałem.

- Wiem, w jaki sposób udało wam się przeżyć - zaczął wreszcie, nie spuszczać ze mnie wzroku. - To dlatego, że Zitt zaatakował was czarami. Gdyby chwilę poczekał, gdyby pozwolił swoim ludziom dokończyć roboty stałą, bylibyście martwi. Wyście jednak przejęli część jego siły, wzmocniliście się nią i wykorzystaliście przeciw niemu.

A do niej dołożyłem jeszcze sporą porcję własnej, uzupełniłem w duchu. Zuzanna, moja córka czarodziejka, wielokrotnie mi to prognozowała, ja jednak za wszelką cenę próbowałem się przed tą myślą bronić. Pewnie dlatego, iż w głębi ducha wiedziałem, że miała rację.

Kiedy walczyłem przeciwko normalnym ludziom, byłem normalnym człowiekiem. Może silniejszym, szybszym i bardziej bezwzględny niż ktokolwiek inny, jednak w dalszym ciągu zwykłym człowiekiem. Kiedy jednak walczyłem z czarodziejami, bydlakami, którzy używali magii do zabijania zwykłych ludzi, zmieniałem się w... sam nawet nie wiem, w co. Wiedziałem jednak, że każdy taki pojedynek odciskał na mnie trwałe ślady, odmieniał mnie. Zostawały mi po nich blizny, szramy, całe fragmenty ciała, które nawet w dotyku nie przypominały już ludzkiej skóry, wydawały się jakieś takie... kamienne. Namacałem nową bliznę w miejscu, w którym przebił mnie bełt z kuszy. Ciało zdążyło już zrosnąć się z materią, która wypełniła ranę. Była zimna i twarda niczym stal.

- Tak było - potwierdziłem wreszcie domysły Zandeziego, a

przy tym także moje własne.

- To jest wasz sekret, ale ten sekret jest też dla was niebezpieczny. Najlogiczniej byłoby mnie teraz zabić - zasugerował.

Wzruszyłem ramionami. Zbyt często robię rzeczy, które są całkiem nielogiczne.

- Kim wy tak właściwie jesteście? - zadał mi w końcu pytanie.

Spojrzałem na niego wprost i rozciągnąłem usta w uśmiechu, bo nagle przyszła mi do głowy prosta i trafna odpowiedź.

- Zabójcą czarodziejów.

Nota od wydawcy

Miroslav Žamboch, jeden z odnoszących największe sukcesy czeskich pisarzy fantastycznych, urodził się 13 stycznia 1972 roku w Hranicach na Morawach. Zima panowała wtedy okrutna, w Beskidach pojawiły się watahy wilków i niedźwiedzi i Miroslav do dziś lubi „chłód i słotę oraz sprawia mu przyjemność, kiedy czasem pośród nocy rozlegnie się wycie psa”. Studiował na Wydziale Fizyki Jądrowej na praskiej politechnice i dziś pracuje w Instytucie Badań Jądrowych w Reżu pod Pragą.

Pierwsze opowiadanie, zatytułowane „Zapach strontu”, napisał w wieku siedemnastu lat. Według słów samego autora było ono dość mizerne, w związku z czym pierwszą pracą, jaka ukazała się w druku, była „Spowiedź wojownika”, która wygrała nagrodę za najlepszą fantasy w roku 1992. Przez następnych osiem lat panowała cisza, po czym w roku 2000 powrócił, wydając zbiór trzech nowel „Ostatni zgarnia wszystko”. W opowiadaniu „Pustynny skorpion” po raz pierwszy pojawił się najstynniejszy bohater Žambocha, mężczyzna ukrywający się za nieskończoną liczbą imion, choć najlepiej znany jako Koniasz. Jest to banita, wędrowiec i samotny wojownik. Pozbawiony przyjaciół, nie ufa nikomu, zaś jego podręczny arsenał sprawia, iż sam przypomina chodzący sklep żelazny. Mimo to (a może właśnie dzięki temu?) szybko stał się ulubionym czeskim bohaterem fantasy. Przyczyniła się do tego przede wszystkim druga książka, powieść „Na ostrzu noża” (w Fabryce Słów wydana w roku 2007). Nie jest to historia w duchu klasycznej fantasy; Koniasz otrzymuje w niej dość niezwykle zadanie – ma zapewnić ochronę wyprawie kolonialnej i wspomóc zakładanie nowego miasta Ligi Kupieckiej, które ma utrzymać niezależność od Imperium Crambjińskiego w handlu ziarnem. To oznaczało przeprowadzenie kilku

tysięcy ludzi poprzez ziemię wielu niezależnych krain, poprzez niegościnnie tereny oraz wiele pułapek, nie tylko naturalnego pochodzenia. Powieść szybko stała się bestsellerem i zasłużyła sobie na nominację do Nagrody Akademii Science Fiction, Fantasy i Horroru. Co było w pełni uzasadnione, jako że była to historia bardzo zwarta, świetnie się czytała, a do tego została poprzeplatana znakomitymi scenami akcji i zaludniona wiarygodnymi, charyzmatycznymi postaciami.

Rok później na księgarskie półki dostał się „Sierżant” (w Fabryce Słów wydany w roku 2005), mieszanka SF i fantasy z głównym bohaterem Lancelotem. Mimo iż książka ta nie zyskała aż takiego rozgłosu jak „Na ostrzu noża”, to jednak była to pozycja również oferująca najwyższą jakość, co uzyskało potwierdzenie w przyznaniu nagrody Akademii w kategorii Najlepsza Czeska Książka. Nominowany był również zbiór dziewięciu opowiadań o Koniaszu, „Krawędź żelaza” (w Fabryce Słów wydany w latach 2007/2008), w którym autor posłał swego bohatera do dżungli, w rozpaloną pustynię, na arenę gladiatorów lub na tajemniczą wyspę, na której urzeczywistniają się koszmary zrodzone w ludzkiej podświadomości. W opowiadaniu „Pasjonat” Koniasz spotyka kolejnego kluczowego bohatera Žambocha – Baklego, który stał się głównym bohaterem powieści „Bez litości” (Fabryka Słów, 2006).

W kolejnej, dwutomowej powieści „Wylęgarnia” (Fabryka Słów, 2009) autor sięgnął po zupełnie inną tematykę. Główną bohaterką owej powieści detektywistycznej łączącej ze sobą elementy SF i fantasy, a osadzonej we współczesnej Pradze jest Marika Zahańska. Sama historia jest hołdem złożonym surowym dziełom akcji Jiříego Kulhánka. Z Fabryką Słów wydał także dwutomowe pozycje „Koniasz. Wilk samotnik” (2010), „Mroczny Zbawiciel” (2008/2009) oraz powieść „Łowcy” (2010).

Bibliografia Žambocha obejmuje nie tylko powieści i zbiory opowiadań, ale również wielką liczbę samodzielnych opowiadań, które regularnie ukazują w branżowych czasopismach oraz

antologiach. W ostatnich latach autor poświęcił się przede wszystkim czeskiej SF oraz serii fantasy „Agent JFK”, którą rozpoczął wspólnie z Jiřím W. Procházką. Oprócz tego pracuje oczywiście również i nad innymi projektami.

Žamboch przedstawia się jako mecenas dobrego wina i dobrych opowieści. Zwłaszcza tę drugą z jego pasji czytelnicy poddają próbie już od wielu lat. Zyskał ich przede wszystkim talentem do pisania chwytliwych historii z charyzmatycznymi bohaterami i wypracowanymi pojedynkami, wiarygodnością (który z czytelników opowieści o Koniaszu choć raz nie wyobraził go sobie jako autora?) oraz tym, że nawet w świetle sukcesu jednego bohatera i jego świata wciąż jest zdolny wymyślać inne światy i powoływać do życia kolejnych, odmiennych bohaterów. Najbardziej chyba jednak przyczynił się do tej popularności jego styl. Krystalicznie czysty i unikatowy na łonie (nie tylko) czeskiej fantastyki, opierający się na brutalnej, ale jednak sugestywnej atmosferze przygody okraszonej magią i intrygami. Nie ulega wątpliwości, że wszystkie te elementy odpowiadają jego fanom, co znalazło odzwierciedlenie w zwycięstwie opowiadania „Bakly: Gołymi rękoma” w konkursie czytelniczym „Mózg Einsteina” za rok 2007 oraz odnoszących ogromne sukcesy polskich wydaniach jego powieści. A biorąc pod uwagę fakt, iż jest to jeden z najpracowitszych czeskich autorów, mamy się już na co cieszyć w przyszłości.

Więcej informacji można odnaleźć na stronie oficjalnej autora: www.miroslavzamboch.cz, a kompletną bibliografię polskich wydań na stronie www.fabrykaslow.com.pl.



MIROSLAV ZAMBOCH

mocodawca Koniasza, konstruktor zabójczego R.C., zleceniodawca Bonda w spódnicy, czyli Mariki z „Wylęgarni” oraz agenta Johna Francisca Kevara.

W swoich książkach poddaje bohaterów ciężkim próbom. W życiu daje wycisk również sobie, uprawiając forsowne dyscypliny sportowe.

Dochodzi z Moraw, rocznik 1972. Absolwent fizyki na wydziale inżynierii jądrowej praskiej politechniki.

Autor wydanych nakładem fabryki Słów powieści: „Sierżant”, „Bez litości”, dwóch tomów „Na ostrzu noża”, „Koniasz. Wilk samotnik”, dwuczęściowej „Wylęgarni”, prehistorycznego thrilleru „Lowcy”, serii Agent JFK (jako autor i współautor), a także dwutomowych zbiorów opowiadań: „Krawędź żelaza” i „Mroczny Zbawiciel”.

Więcej informacji na stronie 609.





MIROSLAV ZAMBOCH

CZAS ŻYĆ. CZAS ZABIJAĆ

Poznaj zabójcę czarodziejów i poszukiwacza przygód.
Przebrnij pustynię w pogoni za Czerwoną Gwiazdą.
Poczuj dławiący strach przenikający do szpiku kości.
Skryj się w ciemności, bowiem...

NADCHOŹI BAKCV

Najemnik, zabójca, szarlatan.
Cwarty, nieustępliwy, plujący śmierci w twarz.

„Zabijanie cesarskich żołnierzy, morderców lub wyspecjalizowanych zabójców jest proste i stało się nudne. Zabijanie czarodziejów sprawiało mi czystą radość” – zwykł twierdzić.

Conan, Rambo i cała plejada bohaterów
mogą mu pozazdrościć siły i charakteru.

fabrykaslow.com.pl



fabryka słów

Wyłączny
dystrybutor



Patroni medialni

Kultura Online

Wiadomości 24.pl



kawerna.pl

WWW.OFANT.PL